

C.S. FRIEDMAN

OBCY BRZEG

Przełożył Zbigniew A. Królicki

Wydawnictwo MAG Warszawa 2000

PODZIĘKOWANIA

Naprawdę wspaniale jest mieć pomysł na grubą książkę i każdy autor o tym marzy. Gorzej jest mieć pomysł na grubą książkę wymagającą sporej wiedzy, której się nie posiada - tego obawia się każdy pisarz. Mieć pomysł na dużą książkę wymagającą sporej wiedzy, której się nie posiada, i wyszukać ludzi, którzy nie tylko posiadli tę wiedzę, ale w dodatku umieją ją przekazać w zrozumiałym języku... a także zechcą spędzić z tobą niezliczone godziny, omawiając hakerskie metody dwudziestego ósmego wieku, narzecz Inuitów czy cokolwiek będzie trzeba, między pospiesznie zjadanymi posiłkami a czytaniem poczty elektronicznej... No cóż, takie już jest życie pisarza.

Tak więc najpierw i przede wszystkim dziękuję Paulowi Suchinderowi Dhillonowi, bez którego ta książka po prostu by nie powstała. (No, może by powstała, ale wszystkie komputerowe kawałki byłyby tak kiepskie, że nikt by jej nie czytał). Dzięki za godziny specjalistycznych wykładów, zręczne zwroty akcji i wirtualne podróże śladami hakerów... Bez ciebie nie poradziłabym sobie z tym.

Dziękuję również Anthony'emu C. Woodbury'emu z University of Texas, którego nadzwyczajna znajomość północnych języków w końcu pozwoliła mi znaleźć tych kilka słów, które były mi potrzebne, aby powołać tę książkę do życia. (Proszę, by Czytelnicy zwrócili uwagę, iż zamieszczone w tej książce słowa odzwierciedlają wielowiekowe zmiany językowe. Jeśli ich pisownia jest błędna lub znaczenie nieco inne, należy traktować to jako rezultat mojej swobody artystycznej, a nie jego błąd!). Dziękuję też Cordwainerowi Smithowi za kilka cennych i inspirujących pomysłów, które niewątpliwie rozpoznają jego wielbiciele. On jest jednym z najbardziej niezwykłych pisarzy dwudziestego wieku, obdarzonym naprawdę niesamowitą wyobraźnią. (Tak, jest science fiction dziwniejsza od mojej. Koniecznie powinniście ją poczytać). A także Oliverowi Sachsowi, Tempie Grandin i wszystkim tym pisarzom, którzy usiłują ukazać nieznaną krajobrazy ludzkiego mózgu. Jeśli moja proza kiedykolwiek będzie choć w połowie tak porywająca jak ich codzienne prawdy, uznaję, że dokonałam czegoś wielkiego.

Dziękuję wszystkim tym, którzy utrzymywali mnie przy zdrowych zmysłach (a przynajmniej w takim stopniu, w jakim kiedykolwiek zbliżyłam się do takiego stanu) podczas

pisania tej książki, a szczególnie Paulowi Hoeffferowi, którego cudowna strona dla fanów podtrzymywała mnie na duchu w najtrudniejszych chwilach. Także Senji, Tinie, Fondzie, Joan, Lany'emu, Adamowi, a specjalnie Chuckowi, którego duchowe wsparcie i energiczna praca pomogły mi przetrwać te straszne ostatnie tygodnie. Nic nie może równie szybko doprowadzić człowieka do szaleństwa, jak próba ukończenia książki i jednoczesnego spakowania całego dobytku mieszczącego się w siedmiopokojowym mieszkaniu.

I dziękuję Yannowi, Mattowi oraz Petrze. Oni wiedzą za co.

Składam podziękowania Cheryl i Stanowi, którzy robili wszystko, żeby ta książka została wydrukowana na czas. Doceniam wasz trud.

Najgorętsze podziękowania składam Betsy Wollheim, istnej bogini redakcji. Nie tylko dlatego, że jest bystra, mądra i niebywale wnikliwa, ale za to, że ani razu na mnie nie krzyknęła. To rzeczywiście przejaw prawdziwej wielkości.

DEDYKACJA

Tę książkę dedykuję mojej matce, Nancy Friedman, która umarła, zanim skończyłam ją pisać.

Czasem aktami największej odwagi nie są niezwykle czyny, o jakich lubimy czytać, lecz ciche i prawie niezauważalne. Czasem dostrzegamy ich wagę dopiero po pewnym czasie. Moja matka była kobietą niezwyklej odwagi, podnoszącą na duchu wszystkich, którzy ją znali.

Kiedy miała dwadzieścia lat, stwierdzono u niej poważną wadę serca i powiedziano, że nie dożyje trzydziestki. Mogła wtedy poddać się i zrezygnować z życia, a tymczasem postanowiła żyć, jakby nie ciążył nad nią ten wyrok i śmierć nie szła za nią krok w krok. Większość z tych, którzy ją znali, nawet nie wiedziała, że coś jej dolega. Wyjawianie tego uważałyby za słabość.

Mojemu ojcu zabraniano żenić się z nią z powodu jej choroby. Mimo to pobrali się.

Powiedziano jej, że umrze, jeśli spróbuje urodzić dziecko. Ona chciała mieć dziecko, zaryzykowała i urodziła mnie. Przeżyła. Później zaryzykowała ponownie i urodziła mojego brata.

Ci z Czytelników, którzy czytali inne moje dedykacje, wiedzą, że pojechała ze mną na Hawaje, żeby zobaczyć wulkany. Natomiast nie wiedzą, że wszędzie tam były tablice ostrzegawcze, zabraniające wstępu do różnych miejsc ludziom, którzy mają choroby serca lub układu oddechowego. Ona cierpiała na jedną i drugą, a w tym momencie była umierająca. Mimo to ignorowała te ostrzeżenia. Zwyczajna choroba serca nie mogła udaremnić jej osiągnięcia celu, dla jakiego przeleciała pół świata. Wbrew wszelkim prognozom dożyła

wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, nigdy się nie poddając, chociaż śmierć szła za nią krok w krok. Nawet pod koniec życia powiedziała mi, że głęboko żałuje tego, iż jej choroba opóźniła ukończenie tej powieści, gdyż musiałam przyjechać do Nowego Jorku, żeby się nią zaopiekować. Śmierć mogła grozić jej, ale nie miała prawa dezorganizować życia tych, których kochała.

Chciałabym, żeby matka mogła dzielić ze mną tę książkę. Chciałabym, żeby mogła zobaczyć, iż powieść się ukazała.

Przy takim życiu błędnie wszelka fikcja.

I

W świecie, w którym dane są królewską monetą, a transmisji strzegą jedynie wymyślone przez człowieka szyfry i zawodne urządzenia, nie ma czegoś takiego jak tajemnica.

DR KIO MASADA

„Wróg wśród nas”, przemówienie wygłoszone na 121. Konferencji Bezpieczeństwa Kosmicznego (hologram z Guery)

ORBITA OKOŁOZIEMSKA OSIEDLE SHIDO

Obudziły ją głosy.

Przez chwilę Jamisia tylko leżała w ciemności, już nie śpiąc, lecz jeszcze nie w pełni przebudzona, nasłuchując. Ciche dźwięki muskały jej mózg, zlepiając się w słowa na moment czy dwa, a potem znów się rozpadały. Słowa budzące strach.

Niebezpieczeństwo.

Zdrada.

I jedno, prawie jak krzyk: *Uciekaj!*

Wstrząśnięta, usiadła na łóżku. Jej pokój w osiedlu Shido był uspokajająco przytulny, pełen znajomych pamiątek jej nastoletniego życia. Bilety z koncertu w osiedlu Mitsui. Kwiaty - prawdziwe kwiaty! - jakie dostała za występ w Microtech's Grand Pavilion. Na jednym rogu komódki piętrzył się stos chipów z zadaniami domowymi, wraz z hełmem, który wprowadzał ich zawartość do mózgu. Wszystko to - jej rzeczy, jej życie - takie znajome, uspokajające. Nie zawsze tak było. Czasem budziła się i znajdowała na komódce rzeczy, które nie należały (nie mogły należeć!) do niej. Czasami w jej skrytce była biżuteria, której z pewnością nie kupowała, tak sprzeczna z jej upodobaniami, że Jamisia nie mogła sobie wyobrazić, iż

mogłaby ją nosić. Czasem gorsze rzeczy, przerażające, które trzęsącymi się rękami wrzucała do spalarki, zastanawiając się, kto zostawił je w środku nocy w pokoju, który tak starannie zamknęła, zanim poszła spać. Wciąż czekała, aż odezwą się prawowici właściciele tych przedmiotów, nakrzyczą na nią za to, że bez pytania wrzuciła je do spalarki... na jakąkolwiek reakcję. Jednak nikt na nią nie krzychał. Nikt nigdy nie powiedział słowa, a jej ostrożne poszukiwania w osiedlowej bazie danych nie dostarczyły żadnego wyjaśnienia tych dziwnych wydarzeń ani żadnej wskazówki co do ich sensu.

Dzisiaj było inaczej - dziś przynajmniej wszystko w tym pokoju naprawdę należało do niej, a to powinno ją uspokajać. Tylko że nie uspokajało. Głosy wciąż dźwięczały w jej głowie, chociaż sam fakt, że już całkiem się rozbudziła, powinien je przegnać. Nie pojmowała większości tego, co mówiły, lecz zrozumiała kilka słów i przeraził ją ton, jakim zostały wypowiedziane.

Niebezpieczeństwo!

Zdrada!

Uciekaj, Jamisio!

Serce zaczęło walić jej jak młotem, włączając program zdrowotny: jasne słowa przewijały się na skraju pola widzenia, w czysto biologicznych kategoriach oceniając jej stan emocjonalny. **PODWYŻSZONY POZIOM ADRENALINY, informował. TĘTNO PRZYSPIESZONE, CIŚNIENIE KRWI ZWIĘKSZONE, STWIERDZONO SKURCZE MIĘŚNIOWE W PIERWSZEJ FAZIE. SKORYGOWAĆ?**

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi rozsunęły się, tak szybko i cicho, jakby wcale ich nie zamknęła. Do pokoju wszedł mężczyzna. Otworzyła usta do krzyku, lecz nie wydała go, tylko zadrżała i zacerpnęła tchu, gdy rozpoznała wchodzącego.

- Zbieraj się - rozkazał jej nauczyciel, tonem tak niepodobnym do zwykłego, pełnego ojcowskiego ciepła, jak ta noc była niepodobna do każdej innej. - Zabierz wszystko, co jest dla ciebie cenne, i zrób to szybko. - Obejrzał się na drzwi, jakby sprawdzał, czy ktoś go nie śledzi. W blasku nocnego oświetlenia zobaczyła krew na jego twarzy. - Nie mamy wiele czasu.

- Co się dzieje? - zapytała i usłyszała, że głos jej drży. Nauczyciel tylko gwałtownie potrząsnął głową. Miał ponurą minę.

- Później, - Przesunął dłonią po czole, rozmazując krew, a potem zauważył, że Jamisia jeszcze się nie ruszyła. - Zrób to!

Drżąc, wyskoczyła z łóżka i ruszyła do schowka. Wiadomość na skraju pola widzenia zareagowała domyślnie na brak odpowiedzi i zgasła. No i dobrze: w tym momencie nie mogła zebrać myśli i wydać programowi odpowiednich dyspozycji.

- Co się dzieje? - spytała, chwytając kilka ubrań. Na wysokie oraz niskie ciążenie, na stan nieważkości. Nie powiedział, dokąd ruszają, więc wyjęła po kilka rzeczy z każdej przegródki schowka i wepchnęła je do torby podróżnej. - Dokąd się wybieramy?

- To napad. - Jego głos, zwykle spokojny, teraz drżał, a na twarzy perliły się krople potu. Mogła się założyć, że program zdrowotny mężczyzny też protestował błyskami na skraju jego pola widzenia. - Musieli mieć tu jakąś wtyczkę, bo systemy alarmowe zostały wyłączone. - Sięgnęła po hełm, ale ją powstrzymał. - Nie. To nie. Zbyt łatwe do wytropienia.

- Kim oni są? - zapytała.

Zawahał się i wyczuła, że zastanawiał się, ile może jej powiedzieć. Cienka czerwona strużka spłynęła mu do oka i zamrugał, żeby odzyskać zdolność widzenia.

- Nie wiem. Wszystko działo się za szybko. Kimkolwiek są, przynoszą kłopoty. - Wyrwał jej torbę z rąk i zatrzasnął. - Chodź!

Słyszając ostrzegawcze głosy, ponaglające ją, by udała się z nim w bezpieczne miejsce, nie miała innego wyjścia jak usłuchać. Wyszła z pokoju i w płataninę ciągnących się za drzwiami korytarzy. Kiedy dotarli do najbliższej kabiny metra, chciała wsiąść, ale złapał ją za ramię i pociągnął dalej. Miała wrażenie, że wyczuwa w powietrzu jakiś ostry zapach, przenoszony ku nim przez system wentylacyjny osiedla. Czyżby dym? Czy to możliwe? Nauczyciel rzucił się biegiem, ciągnąc ją za sobą. Usiłowała dotrzymać mu kroku, ale miał znacznie dłuższe nogi, więc było to prawie niemożliwe i dwukrotnie o mało nie upadła. Co mogło się palić? Kilkaset metrów za przystankiem metra zatrzymał się, zdjął osłonę szybu naprawczego i gestem kazał jej wejść do środka. Zawahała się, przestraszona - a wtedy cała podłoga zatrzęsała się, jakby gdzieś w pobliżu coś eksplodowało. Drżąc, Jamisia przeszła przez krawędź wjazdu i wgramoliła się do środka. Żałowała, że nie pozwolił jej zabrać hełmu. Mogłaby połączyć się z programami monitorującymi osiedla i sprawdzić, co tu, do diabła, się dzieje... Tylko że wtedy wiedzieliby, gdzie jestem, pomyślała. Ta myśl zmroziła ją, nie wiadomo dlaczego. Była przerażona jak jeszcze nigdy w życiu.

Kiedy i on znalazł się w kanale naprawczym, zamknął klapę i kazał Jamisi iść dalej. Chętnie usłuchała, zadowolona z tego, że może skupić się na ucieczce i zapomnieć o wywołującej klaustrofobię ciasnocie tego wnętrza. Wydawało jej się, że przez całe wieki pokonywała jeden umazany smarem szczebelek za drugim, obok pokrytych kurzem zegarów i przełączników. Najwidoczniej nigdy tu nie sprzątno. Minęła ciasny korytarz i zdziwiła się,

że nauczyciel też zdołał go pokonać. Następnie pokonała zakręt i szła długim, łagodnym łukiem, słuchając szeptu nakazującego jej maksymalny pośpiech. Raz czy dwa poczuła, że cały tunel zadygotał, a słysząc, jak nauczyciel gwałtownie wciąga powietrze, domyśliła się, że jakaś część osiedla została poważnie uszkodzona, zapewne podczas wymuszonego manewru. Jakby sam powiedział: Kapitalizm to surowy pan.

Czy w razie przebicia zewnętrznej osłony osiedla kanały naprawcze zamkną się samoczynnie, pozostawiając dość powietrza do oddychania? Nie wiedziała. Nawet nie chciała wiedzieć. Musiała zmobilizować całą swą odwagę, żeby posuwać się naprzód i nie myśleć o tym, co się dzieje z tyłu.

- Tu - mruknął w końcu, wskazując jakiś właz. Otworzyli go razem i Jamisia wyślizgnęła się na zewnątrz. Dalej biegł ciemny korytarz. Dlaczego nie paliły się tu światła? Nauczyciel wyszedł przez właz i kilkakrotnie tupnął w podłogę, usiłując włączyć czujniki, lecz nie zdołał.

- Dlaczego... - zaczęła, ale ją uciszył.

- Posłuchaj - rzekł.

Tak też zrobiła. Nie usłyszała niczego. Żadnych odległych wybuchów ani ludzkich głosów. Ani...

Zupełnie nowy rodzaj strachu ścisnął jej pierś. Wśród ścian nie było słyhać cichego pomruku wentylacji, a na twarzy nie czuła delikatnego podmuchu regenerowanego powietrza. W jej świecie te rzeczy były czymś tak zwyczajnym, że nigdy nie wyobrażała sobie, czym byłoby osiedle bez nich. A teraz znikły. A to oznaczało...

- Wysiadły systemy podtrzymywania życia? - szepnęła.

- Dranie - wymamrotał, po czym ponownie złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. - Chodź!

Pobiegli - długimi susami, na jakie pozwalało niskie ciążenie pierścienia dokującego. Ujrzała dwa ziejące pustką otwory śluz powietrznych. Pociągnął ją dalej.

- Nie te.

Wydało jej się, że przez łomot serca i tupot stóp o metalową siatkę podłogi słyszy jeszcze coś: odgłos zbliżających się kroków za ich plecami. Głosy. Szturmowcy korporacji?

Uciekaj! - ponaglały jej własne głosy, przerażająco zgodnym chórem.

Pobiegła.

Zanim dotarli do miejsca, gdzie cumowały kapsuły, była zdyszana i bolały ją nogi, nienawykłe do większego wysiłku przy niskim ciążeniu. Patrzyła, jak nauczyciel szykuje do

lotu najbliższą kapsułę, i z dreszczem zgrozy zauważyła, że to jednoosobowy pojazd. A więc wysyłał ją samą. Dokąd? Po co?

Nie sama. Nie zrobi tego. Nie poleci.

Zaufaj mi, nalegały głosy.

- Wsiadaj, Jamie.

Był jej nauczycielem, jej przyjacielem, jedynym ojcem, jakiego znała. Chciała mu ufać. Jednak odlecieć stąd samotnie, bez słowa wyjaśnienia...

- Dokąd mnie wysyłasz? - zapytała. - Co się dzieje? Zakławszy gniewnie pod nosem, złapał ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Teraz, z bliska, zobaczyła, że rana na jego twarzy była oparzeliną. Krew ściekała mu z niej po policzku i wsiąkała w kołnierz.

- Posłuchaj tego! - Ruchem głowy wskazał na korytarz, którym przyszli, ku nieustannie przybliżającym się głosom. - Są tutaj, ponieważ chcą złapać ciebie, Jamie. Rozumiesz? Chcą twego mózgu oraz tego, co w nim jest, i nie zawahają się przed niczym, żeby to zdobyć. Właśnie dlatego miałem...

Urwał. Zacisnął szczęki.

- Pomóc mi?

Spojrzał jej w oczy i odwrócił wzrok.

- Miałem cię zabić - rzekł ochryple. - I niech Bóg ma mnie w opiece, kiedy Shido dowie się, że tego nie zrobiłem. - Łagodnie lecz stanowczo popchnął ją w stronę kapsuły. - Teraz już idź, Jamie.

Drżąc, wgramoliła się do małego pojazdu. Układając się na niewygodnym, piankowym materacu, słyszała zbliżające się odgłosy. W każdej chwili wróg mógł wyłonić się zza zakrętu korytarza i zobaczyć ich. W każdej chwili. - Dlaczego? - zapytała.

- Teraz nie ma na to czasu. - Manualnie ustawiał sterowanie kapsuły, nie włożywszy na głowę hełmu. - Masz program, który wszystko ci wyjaśni we właściwym czasie. Zadbalem o to.

- Dokąd mnie wysyłasz?

Kroki słyhać było coraz bliżej, a krzyki odbijały się echem w korytarzu: „Tędy! Sprawdzić śluzy, sir? Szybko!”.

- Daleko - powiedział, wprowadzając ostatnie instrukcje. - W tej chwili z Układu Słonecznego wylatuje liniowiec pasażerski. Powinnaś go złapać. - I pospiesznie dorzucił, uprzedzając jej protest: - To jedyne miejsce, gdzie będziesz bezpieczna, Jamie. Uwierz mi.

Uwierz mi, zawołały chórem głosy.

- Dobrze - wykrztusiła.

- Zmieniłem zapisy wyrzutni. Jeśli w ogóle połapią się, że odleciałaś, pomyślą, że udałaś się na Ziemię. Zanim zorientują się, że to mistyfikacja, będziesz już poza ich zasięgiem. Oto informacje, które będą ci potrzebne. - Sięgnął do kapsuły i wcisnął do ręki Jamisi małą kasetkę. Jego dłoń była spocona. - Odczytaj zawartość jak najszybciej, żebyś знаła te dane.

Zawahał się i przez moment myślała, że pochyli się, by ją pocałować, poklepać po ramieniu, albo... coś. On jednak tylko chwycił za drzwi maleńkiego pojazdu i zaczął je zamykać.

- Przykro mi, Jamie. Wybacz mi. - Zawahał się, a potem dodał: - Przebacz nam wszystkim.

Drzwi kapsuły zatrzęsnęły się ze szczękiem, zamykając ją we wnętrzu pojazdu. Na zewnątrz słyszała stłumione głosy i kilka głośnych dźwięków, które mogły być eksplozjami. Potem wszystko ucichło, gdy powietrze wokół kapsuły zostało wypompowane i pojazd otoczyła próżnia. Kiedy pojazd ruszył, Jamisia zaczęła miarowo oddychać i poczuła, jak materac dopasowuje się do jej ciała, gdy włączył się program startowy. STRES TRZECIEGO STOPNIA, ostrzegł program zdrowotny. SKORYGOWAĆ?

Kiedy kapsuła została wystrzelona, Jamisia poczuła gwałtowne szarpnięcie, jakby żelazna pięść uderzyła ją w pierś. Materac objął ją, absorbując impet. WYRÓWNAJ, powiedziała w myślach, wyobraziwszy sobie odpowiednią ikonę. W jej mózgu ten obraz zapoczątkował gwałtowny przypływ elektrycznej aktywności, biologicznej i mechanicznej, po czym kontrolę przejęła fala myślowa będąca połączeniem obydwu tych rodzajów. Puls zwolnił. Ciśnienie krwi opadło. Niezliczone symptomy wstrząsu złagodniały, osłabły i znikły.

Za okienkiem - małym łukiem nie większym od jej twarzy, mającym nie tyle pozwalać na obserwacje, co znosić skutki zamknięcia w ciasnym pomieszczeniu - widziała oddalające się osiedle Shido, oślepiające zwróconymi ku słońcu powierzchniami. Za nim wisiał niebiesko-biały sierp Ziemi, będącej domem prawie dziesięciu miliardów dusz. Ta planeta oraz jej osiedla były jedynym domem, jaki kiedykolwiek miała, a teraz opuszczała je na zawsze. Wywołany tym ból ścisnął jej serce zimnym węzłem, tylko częściowo łagodzony przez strumień chemikaliów, jakie pod wpływem fali myślowej zostały wprowadzone do krwioobiegu. Mogła poprosić program zdrowotny, żeby zrobił coś więcej, lecz nie chciała. Co oprogramowanie wiedziało o rozpaczach? Jak miało „wyrównać” niewypowiedziany ból wywołany nagłą utratą wszystkiego i wszystkich - w jednej chwili i nie wiadomo dlaczego?

- O Boże - szepnęła. Łzy popłynęły jej z oczu. PRZEPEŁNIENIE KANAŁU ŁZOWEGO, poinformował ją program zdrowotny. PODJĄĆ DZIAŁANIA? Drżącą dłonią otarła policzki. Zauważyła błysk światła, który pojawił się mniej więcej tam, gdzie było osiedle Shido, ale satelita pozostał już za rufą kapsuły i nie zdołała dostrzec żadnych szczegółów.

Co ze mną będzie? Miała nadzieję, że jej nauczycielowi nic się nie stało. Jednak w głębi serca wiedziała, że tak nie jest.

„Miałem cię zabić”.

Niezauważona, nie ścigana, małe kapsuła opuściła zatłoczone niebo Ziemi i poleciała dalej.

II

Są tacy, którzy zapłaciliby fortunę, by odkryć, jak nasi kosmopiloty nawigują w *ainniq*, i wielu poświęciło życie, usiłując odkryć sekrety Gildii. Tacy badacze reprezentują dwie przeciwstawne szkoły myślenia:

Według pierwszych umiejętności kosmopilotów są efektem ubocznym ich unikatowych genów i nie powtarzają się u innych ras.

Zdaniem drugich przemieszczanie statków umożliwia jakaś tajemna wiedza i gdyby inni ją posiadli, mogliby powtórzyć sukces Guery.

Oczywiście, rację mają jedni i drudzy.

Co i tak w niczym im nie pomoże.

GILDMISTRZYNI ALMA SARAJEVO

„Legat milczenia”, przemówienie wygłoszone na 274. Konklawe Mistrzów Gildii, Stacja Tiananmen

KOSMOLOT ORION

...MAYDAY... MAYDAY...

Stacja dokująca była teraz tak blisko, że jej powierzchnia wypełniła ekran, a port zmienił się w ziejącą tuż przed nimi czarną czeluść. Pilot drżał, manipulując w myślach kontrolnymi ikonami, usiłując wprowadzić frachtowiec między chwytaki.

- Podejście potwierdzone - rzekł w końcu. Mały triumf. Trzy czerwone diody na konsoli przed nim migały zawzięcie, wskazując na uszkodzenie modułów, ale wyglądało na to, że na razie zdołał je obejść. Dzięki Bogu, pomyślał kapitan frachtowca. W przeciwnym

razie mogliby pożegnać się z całym cennym ładunkiem, a przy okazji i z życiem. - Zgoda...
uzyskana.

Krople potu na czole pilota połączyły się w strużkę, która spływała mu po policzku, gdy frachtowiec wchodził do doku. Za szybko i za blisko - kapitan prawie słyszał zgrzyt trących o siebie płaszczyzn, gdy chwytały przesuwają się o centymetry od lewej burty. Teraz na panelu kontrolnym świeciły się już cztery diody, a według tych odczytów do uszkodzenia wszystkich modułów doszło na stanowisku kosmopilota. Kiedy włączył dźwięk, słyszał dobiegające z tego pomieszczenia odgłosy: łoskot, wrzaski i piskliwe zawodzenie, które mogło wydobywać się z ludzkiego gardła. Nie ulegało wątpliwości, że kosmopilot zwariował. Pytanie tylko, jakie szkody poczynił, wpadłszy w szal, i jakie jeszcze wyrządzi, zanim jego Gildia zdoła go stąd zabrać?

...ALARM DLA GILDII W DOKU 306, POZIOM ŻÓŁTY, EKIPA RATOWNICZA ZGŁOSI SIĘ NATYCHMIAST...POWTARZAM, ALARM DLA GILDII W DOKU 306, POZIOM ŻÓŁTY...

- Jesteśmy na miejscu. - Pilot z westchnieniem ulgi wyciągnął się w fotelu, gdy chwytały zadziały. Frachtowiec lekko zadrżał i znieruchomiał, gdy ustawiły go przy słuchach powietrznych. Pilot przesunął hełm na tył głowy, pozwalając, by chłodne powietrze statku osuszyło mu spływający z czoła pot. - Dzięki Bogu.

- Tak. - Teraz migąło już pięć lampek i niech Bóg pomoże temu pieprzonemu draniowi z Gildii, jeśli któreś z tych światełek oznaczało trwałe uszkodzenie statku. - Ty zajmij się formalnościami. Ja pójde zobaczyć, co się tam stało, do cholery.

...MAYDAY... MAYDAY...

Wychodząc ze sterówki, kapitan słyszał syk słuz powietrznych, wyrównujących ciśnienie na statku z tym, jakie panowało w pierścieniu dokującym. Przynajmniej ten układ działa, pomyślał ponuro. Przynajmniej dwadzieścia trzy kapsuły cennego towaru dotarły tutaj całe, chociaż kręciły się za statkiem jak wąż cierpiący na niestrawność. Mogło być gorzej, powtarzał sobie kapitan. Mogło być tysiąc razy gorzej.

Myślał także: Zabiję tego durnego gildziarza.

Oczywiście drzwi do kabiny były zamknięte. Piloci Gildii lubili samotność. Zza drzwi dobiegał jakiś łoskot i to dziwne, piskliwe zawodzenie. Na umieszczonym obok panelu kontrolnym wystukał uniwersalny kod. Nic się nie stało. Niech to szlag! Spróbował wprowadzić inne hasło, tajny priorytetowy kod dostępu, który powinien otwierać wszystkie zabezpieczenia na statku. Mimo to te przeklęte drzwi nie otworzyły się. Cokolwiek robił ten cholerny gildziarz, to zamknął się tam na dobre.

W oddali słyszał syk otwierającego się głównego luku, ostre głosy, pytające o kierunek, i zbliżające się kroki. Pojawili się gildziarze, dwaj, z minami nie zdradzającymi cienia współczucia.

- Zamknął się w środku - powiedział kapitan do podchodzących, starając się mówić to z urazą, a nie z obawą. Ci dwaj, z ich umalowanymi gębami i czarnymi płaszczami Gildii, mogli go wzbogacić lub zniszczyć. Gdyby uznali, że źle traktował kosmopilota, lub w inny sposób złamał umowę z Gildią, nie otrzymałby już żadnych zleceń na transport transnodalny. Postaraliby się, żeby utknął na tej pieprzonej stacji, aż piekło zamarznie, albo dłużej. - Zaraz po tym, jak wróciliśmy, dostał jakiegoś...

Jeden z przybyłych odepchnął go na bok i z fałd szaty wyjął jakiś przyrząd.

- Uszkodził układy statku...

Przyrząd plunął ogniem: z panelu kontrolnego obok drzwi trysnęły iskry i dym.

- Czekajcie, do kurwy nędzy, to mój statek...!

Gildziarz obrócił się do drzwi, wycelował przyrząd i wypalił ponownie. Twarda powierzchnia zaczęła falować, topić się i rozpływać, aż w końcu powstał w niej otwór, przez który można było włożyć rękę. Gildziarz właśnie to zrobił. Dym uniósł się z rękawa czarnej szaty, którym dotknął brzegu otworu, gdy szukał czegoś za tą przeszkodą - a może w niej - potem drzwi nagle rozsunęły się, a on cofnął się w samą porę, wyjmując rękę, zanim mu ją obcięły.

W kabinie było pełno krwi. Widział ją wszędzie: na podłodze, na module kontrolnym, a nawet na suficie. Pośród tego wszystkiego miotał się i jęczał nagi człowiek. Nie ulegało wątpliwości, że te przedziwne piskliwe dźwięki wydobywały się z jego ust. Kapitan, który na jedną krótką chwilę zapomniał o gniewie, zafascynowany tym widokiem, zauważył, że nagus niczym nie różni się od człowieka. Niektórzy twierdzili, że Gueranie są Wariantami nie tylko duchem, ale i ciałem, lecz wygląd tego faceta zaprzeczał takim domysłem. Gdy dwaj gildziarze podbiegli do miotającego się kompana i usiłovali go złapać, kapitan przysunął się bliżej, żeby dokładnie go obejrzeć.

Mężczyzna poszarpał i zdarł z siebie czarny mundur. Teraz był nagi. Miał bladą skórę i twarz pomalowaną w czarne linie, zgodnie z guerańską tradycją, lecz ten wzór był tak umazany krwią, że nie do rozpoznania. Natomiast jego ciało... Pokrywała je sieć krzyżujących się okaleczeń, przedziwnych malunków i tatuaży przedstawiających jakieś koszarne postacie, wytrzeszczone oczy, kolczaste koła i broczącą krwią dłoń. Z lewego ramienia mężczyzny płynęła prawdziwa krew, w miejscu gdzie najwidoczniej rozerwał skórę zębami i paznokciami, a gdy pierwszy gildziarz przyłożył mu do szyi automatyczną strzykawkę,

nieartykułowany wrzask kosmopilota w końcu zmienił się w zrozumiałe słowa:- To jest we mnie! Włożyli to we mnie! - Wściekle wrywał się trzymającemu go gildziarzowi, usiłując jeszcze głębiej wbić palce w ranę. Środek uspokajający z sykiem wniknął mu do żyły. - Muszę to wyjąć! - zaszlochał kosmopilot.

Potem środek zadziałał i gildziarz przestał się miotać. Postawił przekrwione oczy w słup, a potem je zamknął. Jeszcze lekko poruszał kończynami, ale zaraz zwiotczał i znieruchomiał. Znajdujący się bliżej gildziarz uniósł głowę i zauważył stojącego obok kapitana, po czym zmarszczył pomalowane czoło.

- To sprawa Gildii!

Wstał i doskoczył do niego tak szybko, że zdumiony kapitan nie zdążył zareagować, gdy urękawiczona dłoń mocno uderzyła go w pierś, wypychając na korytarz. W następnej chwili gildziarz powrócił do swych obowiązków, cicho i spokojnie, jakby nic się nie stało. Kapitan przez moment tylko stał w miejscu, pieniać się. Nie mieli prawa. Nie mieli cholernego prawa! Tyle że nie można kłócić się z gildziarzami. Nie można. Nawet kiedy rozwalają drzwi na twoim frachtowcu. Nawet kiedy ich pilot spieprzy ci statek i narobi Bóg wie jakich szkód, których naprawa będzie nie wiadomo ile kosztować. Nie można się z nimi spierać, nigdy.

Już wynosili nieprzytomnego, owiniętego w czarny płaszcz jak całun. Na ranę nakleili tkankopodobny plaster, który później będą musieli rozciąć, żeby zszyć rozerwane naczynia krwionośne. Teraz ramię wyglądało jak przepuszczone przez maszynkę do mięsa. Kosmopilot od czasu do czasu mamrotał coś niezrozumiałe, a jego ciało kurczyło się spazmatycznie, ale środek uspokajający najwidoczniej podziałał. Dzięki Bogu i za to.

Kapitan pospiesznie rozejrzał się po kabine, ponuro oceniając rozmiary szkód, a potem poszedł za gildziarzami. W służbie powietrznej czekali na nich dwaj inni, którzy przejęli opiekę nad nieprzytomnym. Kilku członków załogi frachtowca obserwowało to z bezpiecznej odległości, gdyż zdarzało się, że gildziarze wciągali na czarną listę tych, którzy wchodzili im w drogę. Statek, który zatrudniłby potem takich ludzi, nie mógł korzystać z usług kosmopilota. Piekielna kara.

Gildziarz, który pierwszy wszedł na statek, odwrócił się do kapitana.

- Będziemy musieli przejrzeć jego dziennik, żeby dowiedzieć się, co zaszło. Najszybciej, jak to będzie możliwe, damy ci znać, czy zostałeś uwolniony od odpowiedzialności za ten wypadek, czy nie.

- A co z moim statkiem?

Gildziarz zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Nakreślony czarną farbą wzór *kaja*, nadawał jeszcze groźniejszy wyraz jego ostrym i drapieżnym rysom twarzy.

- Przeprowadził was przez *ainnicp*. Z powrotem w bezpieczną przestrzeń?

- Tak, ale...

- Wasz ładunek jest nietknięty? Ludziom nic się nie stało?

- Tak, ale uszkodzenia...

- Dotrzymał warunków umowy. - Tamten odwrócił się, ucinając rozmowę. - Statek to twój problem.

I odszedł. Wszyscy odeszli. Został tylko kapitan i jego załoga, oraz kilka kropli krwi znaczących ślad zabranego do ich głównej kwatery gildziarza.

- Kapitanie?

Trzęsąc się ze złości (a także ze strachu, chociaż nigdy się do tego nie przyznał), spojrzał na swoich ludzi.

- Uprzątnijcie ten bałagan przed rozładunkiem - rzucił ostro. - Ty i ty, zajmijcie się kabiną nawigatora. Ty - wskazał na pierwszego oficera - zrób diagnostykę i zobacz, co do diabła zrobił z naszym układem sterowania. W ciągu godziny chcę dostać wydruk z listą uszkodzeń i przybliżony koszt napraw.

- Tak jest.

Niech szlag trafi Gildię. Ich przeklętą arogancję, przeklętą chciwość... a przede wszystkim ich przeklętą potęgę. Tę przede wszystkim.

- Dranie - mruknął.

III

A wówczas Człowiek wziął swe maszyny i rozerwał niebo, i posłał w niebiosa swe statki, maszyny i wszelkie zło Ziemi.

I postawił stopę na planetach, których Bóg dlań nie przeznaczył.

I splamił niebiosa swą dumą i arogancją.

I rozgniewał Pana, w ten i na tysiąc innych sposobów, aż Pan przemówił doń i rzekł:

„Strzeż się, albowiem dałem wam wieżę Babel, a wyście nie usłuchali mego ostrzeżenia.

Wznieśliście wieżę pod niebiosa, a ja podzieliłem was na miriady narodów, abyście zaznali wstydu i ukorzyli się przed waszym Bogiem.

Teraz zbudowaliście coś większego od wieży, co sięga aż po moje niebiosa.

Tak więc podzielę was ponownie, lecz nie tylko mową czy kolorem skóry.

Teraz będziecie nie jednym gatunkiem, lecz wieloma, a każdy będzie nienawidził i bał się innych, a nasienie między nie rzucone nie da plonu. Tak więc pozostaniecie podzieleni aż do końca czasu, abyście pamiętali mój gniew”.

I odcisnął na ich ciałach piętno Hausmana, aby wszyscy zaznali wstydu. A tych, którzy byli wierni Jego imieniu i pozostali na Ziemi, nie tknęło Jego przekleństwo i mogli płodzić dzieci do woli, gdyż taki był znak Jego łaski.

Kolonia 11:21-30

LINIOWIEC „AURORA

Trzy dni w kapsule. Miejsca było ledwie tyle, żeby odwrócić się na drugi bok, a za mało, żeby rozprostować zdrtwiałe nogi i trochę się przeciągnąć. Jednoosobowa kapsuła była przeznaczona do wycieczek do innych osiedli i może - tylko może - do rzadkich wycieczek na Ziemię. Nie przystosowano jej do trzydniowych lotów w przestrzeni, tak jak ludzi nie przystosowano do przebywania w niej przez trzy dni.

Jamisia była przygnębiona, obolała i przestraszona. Kapsuła miała układ niskiego ciężenia, ale ona bała się go włączyć, w obawie, że jeśli zużyje za dużo energii, niezbyt pojemne akumulatory kapsuły wyczerpią się i utkną w tej pustce. Tak więc pozostawała w stanie nieważkości, aż ją zemdlilo i pochorowała się, a wtedy musiała na chwilę włączyć ciężenie, żeby posprzątać... A potem unosiła się, zwinięta w kłębek nad materacem, i drżała, bardziej przestraszona i samotna, niż kiedykolwiek spodziewała się, że mogłaby być.

Otworzyła kasetkę, którą dał jej nauczyciel, ale w środku nie znalazła niczego szczególnie pomocnego. Była tam karta kredytowa i identyfikator - oba dokumenty z napisem, Jamisia Capra” i bez żadnych wyjaśnień - oraz kartka ze specyfikacją procesora myślowego (również bez opisu) i pół tuzina innych drobiazgów, włącznie z infochipem dla kapitana liniowca i drugim podobnym dla niej. Hełm kapsuły mógłby je odczytać, ale obawiała się go użyć. Bała się, że może wysłać jakiś sygnał, który tamci zdołają przechwycić. Był tam też zawieszony na łańcuszku wisiołek z wyrytym na nim dziwnym geometrycznym wzorem. Z początku wydawało jej się, że to jakaś ikona, więc raz po raz wodziła po nim wzrokiem, z jednego końca na drugi i z powrotem, oraz w każdym możliwym kierunku, ale nic się nie stało. Może to klucz do jakiegoś programu, którego nigdy mi nie wprowadzono, pomyślała. A może potrzebne jest hasło, które nauczyciel zamierzał jej wyjawić, ale nie zdążył. Albo to po prostu jakaś dziwna pamiątka, z rodzaju tych, jakie dajesz ludziom, których lubisz, kiedy rozstajesz się z nimi na długi czas. Rodzaj amuletu. Założyła łańcuszek

na szyję i schowała wisiołek pod koszulę, żeby nie unosił się i nie uderzał ją w twarz przy każdym ruchu.

Zdołała zjeść coś z przeznaczonych do stanu nieważkości zapasów kapsuły - pojemniczek pomarańczowego musu „z wieczną gwarancją”. Był bez smaku. Zdołała sprawnie wysikać się do rury na nieczystości i zamknąć ją, nie uroniwszy ani kropli, chociaż trzęsły się jej ręce. Płakała, aż zabrakło jej łez, a potem tylko szlochała; wreszcie, wyczerpana psychicznie i fizycznie, po prostu leżała w ciemnościach, lewitując, zbyt zmęczona, by się bać. Program zdrowotny zaproponował jej pomoc - a nawet nalegał - ale go wyłączyła. Potrzebowała tych emocji, tego rozładowania, jakie zapewniał płacz. Biosprzęt mógł stępić ostrze strachu, lecz nie zlikwidowałby przyczyny. Tylko ona mogła tego dokonać.

W końcu, wyczerpana, zasnęła.

*

(IKONA POTWIERDZONA) SEN 1.000

START

Zielona trawa. Niebieskie niebo. Barwy czyste jak kryształ. Niebo nad głową wydaje się bezkresne, nie jak to na wideo o Ziemi, lecz bogate w tajemne głębie, oszalamiające swym ogromem. Chmury również wyglądają obco i ze zdumieniem obserwuje, jak przechodzą z jednego kształtu w drugi, dziesięć tysięcy razy subtelniejszy niż renderowany na jakimkolwiek wideofilmie. Spogląda na ziemię - zieloną, och jaką zieloną! - i w oddali dostrzega strumień. Zaczyna iść w jego kierunku. Woda jest przezroczysta, jeszcze nie wypełniona specjalnie zaprojektowanymi glonami, które dostarczają tlen przeludnionej Ziemi. Ona rozkoszuje się rześkim dźwiękiem szmerzącej na glazach wody, gęstą trawą i uginającą się pod nogami ziemią, chociaż wysokie ciśnienie ściąga ją w dół. Obce wrażenia, każde z nich. A jednak... Uświadamia sobie, że nie czuje żadnych zapachów. Jakie to dziwne. Można by oczekiwać, że takie miejsce będzie pachniało czystością, wilgocią, ziemią lub... czymś. Potem dostrzega mężczyznę.

On stoi na brzegu strumienia. Z początku jest odwrócony do niej plecami, lecz kiedy ona podchodzi bliżej, odwraca się tak, że może zobaczyć jego twarz. Poznaje, że to jej nauczyciel, lecz nie wygląda tak samo jak wtedy, kiedy wpakował ją do kapsuły. Jest młodszy, szczuplejszy i opalony, jakby promieniami jakiegoś odległego słońca.

On także ją poznaje, wita skinieniem głowy i mówi, głosem tak spokojnym, że nie pasującym do tego fantastycznego otoczenia: „Wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej, mniej więcej 1940 rok”.

Ona zaczyna uważnie przyglądać się otoczeniu, wiedząc, że później sprawdzi jej wiedzę. Tymczasem on nie kontynuuje lekcji, tylko podchodzi do niej, bardzo blisko, ujmując brodę i delikatnie unosi głowę. Jego oczy są piwne, ciepłe i kojące. Na chwilę - na jedną cudowną sekundę - opuszcza ją strach. Ufa temu człowiekowi.

- Jamisio. - Przez te wszystkie lata, jakie spędzili razem, rzadko zwracał się do niej pełnym imieniem, więc to, że robi to teraz, nadaje jego słowom szczególną wagę. - Jeśli śniesz ten sen, to stało się najgorsze. Shido została zniszczona, albo postanowiłaś z niej uciec. Wkrótce pewni ludzie zaczną cię szukać. Nie pozwól, żeby cię znaleźli. Obojętnie, co ktoś będzie ci obiecywał, obojętnie, jak przerażające będą inne alternatywy, kiedy zaczniesz uciekać, musisz za wszelką cenę im ująć. - Przerwał. - Rozumiesz?

Przez chwilę nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Przypomina sobie, co nauczyciel mówił jej kiedyś o programowaniu snów; że stosuje się je wtedy, kiedy istnieje obawa, że obiekt nie zechce wysłuchać tego, co się ma do powiedzenia. Procesor myślowy nie przyjmuje nowych danych podczas snu - jest przed tym zabezpieczony - tak więc mózg śpiącego nie jest kontrolowany przez świadomość, przeciwnie niż na jawie. Jeśli program zostanie dobrze napisany, obiekt nawet nie będzie mógł się zbudzić.

Jakie wiadomości mogą być tak nieprzyjemne, że chciał przekazać mi je tylko w taki sposób? Nie była w stanie sobie tego wyobrazić. Ponieważ jednak zawsze starała się spełniać jego oczekiwania - nawet jeśli „on” jest tylko snem - bierze się w garści i mówi tylko, lekko drżącym głosem:

- Mów.

Postać nauczyciela z aprobatą kiwa głową.

- Byłaś obiektem eksperymentu, Jamisio, bardzo niezwykłego i piekielnie nielegalnego. Nie podam ci teraz wszystkich szczegółów, ponieważ... szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nigdy nie będą ci potrzebne. W tej chwili musimy zająć się bardziej praktycznymi aspektami twoich obecnych problemów. Fakt, że ten program się wykonuje, świadczy, iż otrzymałaś przygotowane przeze mnie materiały, włącznie z fałszywym identyfikatorem.! Nazwisko jest prywatne, nie korporacyjne, tak więc nie łączą cię żadne bliższe więzi z innymi, którzy je noszą. Niestety, będziesz musiała zachować twoje imię. To ryzykowne, ale znacznie mniej, niż gdybyś je zmieniła. - Po krótkiej przerwie dodał: - Nazwiska mają duże znaczenie w twoim życiu, Jamisio. Nie zmieniam ich, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

- Dobrze - westchnęła.

- Twój procesor myślowy to model eksperymentalny o unikatowej sygnaturze. Każdy, kto cię ściga, z pewnością będzie go szukał. Załadowałem ci program maskujący, który nada

mu fałszywą sygnaturę Haucka 9200, którego specyfikację dałem ci na kartce. Naucz się jej na pamięć. Musisz wiedzieć, że twoja prawi dziwa pojemność jest 1000% większa od największej uzyskane dla Haucka, szybkość pięciokrotnie przewyższa najszybszy procesor, jaki obecnie jest na rynku, a twoja wielozadaniowość... Na cóż, ta jest wysoka. Pamiętaj o tych różnicach. Ukrywaj swoje prawdziwe możliwości. Ktokolwiek cię szuka, będzie poszukiwał takich cech.

Ona stwierdza, że drży, chociaż we śnie nie jest jej ani zimno} ani ciepło.

- Dlaczego? Czemu tak zawzięcie mnie ścigają?

Nauczyciel zastanawia się przez chwilę. Nie jest to pauza człowieka namyślającego się nad odpowiedzią, lecz wyczekiwanie programu sięgającego do bazy danych. Na jakiej podstawie reaguje? Jakie parametry wprowadził do niego jej nauczyciel, definiując zakres udzielanych jej informacji?

- Już sam procesor myślowy czyni cię tak cenną - mówi w końcu postać. - Natomiast co do reszty... Oni cię skrzywdzili, Jamisio. Wiem, że nie pamiętasz szczegółów, ale uwierz mi, zrobili to. Chcieli sprawdzić, co się stanie z ludzkim mózgiem w pewnych okolicznościach, i wykorzystali cię jak świnkę morską, żeby się tego dowiedzieć. Teraz, kiedy im uciekłaś, być może wszystko z czasem samo się zagoi i może nigdy nie będziesz musiała wiedzieć, co też to było. Jeśli Bóg da.

- Co zrobili? - pyta go. Postać kręci głową.

- Nie, Jamisio. Nie teraz. Kiedy poznasz prawdę, nie będzie odwrotu, a w tej chwili i tak masz dość kłopotów na głowie. Jeśli nadejdzie czas, że będziesz musiała się tego dowiedzieć, zawarte w tym programie sny wyjawią ci tę informację. A teraz przejrzyj ten chip, który ci dałem. Zawiera szczegóły twojej nowej tożsamości, jak również historyjkę wyjaśniającą twój nagły wyjazd z Ziemi. Może będziesz musiała trochę zmienić tę bajeczkę, dostosowując ją do okoliczności. Kompilując ten program, nie znałem sytuacji, w jakiej odbywasz teraz ten lot. - Potem dodaje: - Próbowałem wszystko przewidzieć, Jamisio, aby dać ci to, czego najbardziej będziesz potrzebowała. Jednakże, programując teraz ten sen, nie mam pojęcia, ile będziesz miała lat, kiedy ci się przyśni, ani w jakim stopniu Shido zdoła zmienić naturalne wzorce twojego mózgu.

- Co zrobili Shido? - pyta. Słyszy w swoim głosie histeryczne nutki i zastanawia się, jak na to zareaguje nauczyciel. - Powiedz!

On jednak tylko powoli i ze smutkiem kręci głową.

- Zaufaj mi, Jamisio. Ufaj mojej ocenie sytuacji.

A potem znika. Tak nagle jak wyłączony wideo film, zakończony w momencie zmiany kanału. To nagle zniknięcie zaskakuje ją i zanim zbierze myśli, krajobraz już zaczyna blaknąć.

- Nie - szepce, a potem powtarza głośniej: - Nie!

Chmury przesłaniają niebo, roztopiają się w nicość. Ona usiłuje nad nimi zapanować, przywołać z powrotem, lecz jej nie słuchają. Próbuje wyobrazić sobie ikonę i obudzić procesor myślowy, który mógłby jej pomóc... Lecz programy nie reagują, kiedy ciało zapada w sen. Trawa znika i woda też, a nawet ziemia, na której stała. Sen wije się jak żmija w jej mózgu, robiąc miejsce dla innych, zwyczajnych.

Nie opuszczaj mnie! - krzyczy do niego w milczeniu.

KONIEC PROGRAMU

*

Kiedy w końcu zobaczyła liniowiec, znajdowała się o wiele kilometrów od niego, i chociaż wiedziała, czego oczekiwać - a przynajmniej tak jej się zdawało - i tak zaparło jej dech, gdy rozpostarł się przed nią nie jak reprodukcja wideo, lecz prawdziwy statek. Był ogromny, w taki sam sposób, w jaki Ziemia wydaje się ogromna, gdy ogląda się ją z okna osiedla. Wydawał się nierealny, ten sprawiający wrażenie żywej istoty stwór z głębi kosmosu, tak niepodobny do statku, że na krótką chwilę zapomniała o lęku i przycisnęła twarz do szyby, jak małe dziecko po raz pierwszy oglądające Ziemię.

Na dziobie miał ogromny owalny dysk, tak podobny kształtem i proporcjami do hełmu meduzy, że prawie spodziewała się ujrzeć, jak drży, gromadząc esencję otaczającej go ciemności, aby wypluć ją dyszami napędu. Dalej płynął prawdziwy kadłub statku: najpierw grube jądro mieszczące centrum dowodzenia, potem pasma kajut, kapsuł magazynowych, i ogromne zakrzywione bulwary, w których mogły mieć miejsce najróżniejsze rodzaje ludzkiej działalności. Owijały się wokół siebie luźnymi spiralami, a przestrzeń wokół nich i pomiędzy nimi przecinała sieć rur transportowych, obwodnic i delikatnych krystalicznych kul, które błyszczały, gdy przelatywała nad nimi w kapsule. Wszystko to razem wzięte wyglądało raczej jak jakieś olbrzymie, niesamowite stworzenie, wyciągnięte z dna ziemskiego oceanu, niż jak zbudowany przez człowieka transportowiec. Kiedy jej kapsuła podlegała bliżej, Jamisia stwierdziła, że wstrzymuje oddech, jakby się obawiała, że statek nagle zadrży i ożyje.

Teraz widziała błyszczące wieże, sterczące z powierzchni jednej ze spiralnych macek. Na drugiej był szereg kopuł w jaskrawych kolorach, połączonych rurami o przezroczystych ścianach, przez które sączyło się ostre światło. Bliżej głównej części statku, gdzie łączyły się macki, znajdowała się sekcja kanciastych, bardziej pospolitych i przeznaczonych do wysokiego ciężenia budowli, które przypominały jej te z oglądanych na wideo obrazów

Ziemi. Czy tam przebywali pasażerowie, którzy obawiali się nieskończonej pustki kosmosu, zabarykadowani w przysadzistych konstrukcjach, przypominających im ojczyznę i pozwalających zapomnieć o bezkresnej otchłani? Jako dziecko osiedleńców nie miała takich obaw i przez chwilę zastanawiała się, co tacy ludzie robią w przestrzeni. Jednak udostępniany przez Gildię Kosmos miał nieodparty urok. Ktoś, kto doleci do najbliższego *ainniq*, będzie miał dostęp do wszystkich istniejących stacji, których obecnie było prawie pięćdziesiąt tysięcy. Fabryki, osiedla, kupieckie placówki i posiadłości, rozsiane w przestrzeni bez gwiazd i planet znaczących ich położenie, zbierały się wokół węzłów, w których krzyżowała się *ainniq*, do których mogli dolecieć kosmopoloci. Któż nie przezwyciężyłby najgorszych obaw, aby uzyskać dostęp do takiego wszechświata?

Wkrótce tam będę, pomyślała z radością. Będę częścią tego. Przycisnęła twarz do maleńkiego okna, usiłując dostrzec bezkresną czarną pustkę za kadłubem liniowca. Czy gdyby dobrze się przypatrzyła, dojrzałaby stąd *ainniq*? Powiadano, że jest prawie niewidoczny, dopóki nie znajdzie się tuż przy nim, ale i tak spróbowała. Z lekcji kosmologii wiedziała, skąd się wziął, i zlokalizowała otaczające go gwiazdy, lecz między nimi ujrzała tylko nieskończoną ciemność zwyczajnej przestrzeni. Może kiedy będziemy bliżej, pomyślała. Może wtedy go zobaczę, jeśli dobrze się przyjrzę.

Nagle kapsuła opadła w dół, chociaż jeszcze przed chwilą ten kierunek wcale nie istniał. Jamisia pospiesznie zapięła pas, by nie obijać się o wyłożone gąbką wnętrze. Czowała, jak przyciąga ją pole grawitacyjne wielkiego statku, i ścisnęło ją w żołądku, gdy usiłowała się dostosować. Nic dziwnego, że kiedy przybywali tu pierwsi emigranci z Ziemi, umożliwiano im łagodniejsze podejście - pięć stopni grawitacji dla ułatwienia transportu urodzonych na planecie podróżnych, lecz teraz kosztowne mechanizmy dokujące zostały wyłączone. Za oknem zauważyła nową kopułę, wypełnioną ogromnym, przedziwnie powykręcany drzewem. Chwyciła należący do wyposażenia kapsuły hełm, który pod wpływem wstrząsu spadł z podstawki. Podniosła go i pospiesznie wepchnęła do schowka. W końcu wykorzystwała go do przeczytania dostarczonego przez nauczyciela chipa, zapamiętując informacje, które przewijały się w jej polu widzenia. Teraz szybko spakowała te nieliczne drobiazgi, które jeszcze wały się w kapsule, powtórzyła w myślach dane jej fałszywej tożsamości, jakie raz po raz wprowadzała sobie do głowy, usiłując się z nimi oswoić. Wprawdzie nauczyciel nic nie mówił na ten temat, ale domyślała się, że sposób, w jaki przedstawi swoją historię, będzie dla tych ludzi równie ważny jak to, co powie. Może po wielokrotnym powtarzaniu wejdzie jej to w krew i nowe nazwisko, które jej nadał, stanie się dla niej tak znajome, że bez namysłu będzie reagowała, gdy tak się do niej zwróci.

Z bijącym sercem i spoconymi dłońmi włożyła wreszcie kombinezon i zapięła grube pasy do lądowania. Po holograficznym ekranie kabiny przelatywały znaki, ale program dokujący był w pełni automatyczny, nie fatygowwała się więc ich czytaniem. Gdyby coś się stało, kapsuła by ją powiadomiła. Program zdrowotny wyczuł jej wzburzenie i znowu zaproponował pomoc. Po krótkim namyśle pozwoliła mu na to i poczuła, że gwałtownie łomoczące serce stopniowo zwalnia do normalniejszego rytmu. Było to działanie objawowe, gdyż strach w jej duszy nie dał się tak łatwo przegnać, ale mimo to pocieszające.

Czy załoga liniowca zaakceptuje jej historyjkę i pozwoli dołączyć do bogatych pasażerów na pokładzie statku? Czy fundusze na jej koncie wystarczą na opłacenie podróży? A jeśli tak... to co dalej?

Nie mogła sobie nawet wyobrazić, jaka przyszłość czeka ją na tym statku. Natomiast, jeśli chodzi o to, co będzie później... To zbyt odległa przyszłość, by się nad tym zastanawiać. Nie wszystko naraz, powiedziała sobie. Jej dłoń mocno zacisnęła się na amulecie z przedziwną ikoną. Po kolei...

*

ZESTAWIENIE DANYCH: JAMISIA CAPRA ID# 093-61-7779-8080-921F/TERRA
RODZICE BIOLOGICZNI: SELISE CAPRA, JON STEVAR

RODZICE SPOŁECZNI: JAK WYŻEJ DATA URODZENIA: 1.11.37 MIEJSCE
URODZENIA: SOL CITY, U.S.N.A. KLASYFIKACJA GENETYCZNA:

18N23/1.004T/XA305/2/3.9/40A80759-2 CZYNNY STANY ZAPALNE: BRAK
NOSICIELSTWO CHOROÓB: BRAK PROTEZY: BRAK

ZAŻYWANE ŚRODKI LECZNICZE: PDS12.

PANASOL, ENDOSTIM, CONTRA-5 ZMIANY GENETYCZNE (WSKAZAĆ
CEL):

POPRAWIONA SEKWENCJA L190 (REGULATOR
INSULINY)

POPRAWIONA AN28 I 31 (SKŁONNOŚĆ DO SCHORZEŃ
NEUROLOGICZNYCH)

KLASYFIKACJA PSYCHOLOGICZNA: NORMALNA BIOLOGICZNE,
PSYCHOLOGICZNE LUB BIOTECHNICZNE UWARUNKOWANIA MOGĄCE
OGRANICZAĆ LUB PRZEDŁUŻAĆ ADAPTACJĘ DO WYSOKIEGO LUB NISKIEGO
CIĄŻENIA: BRAK

UWAGI:

SELISE CAPRA I JON STEVAR ZABICI W KATASTROFIE TRANSPORTOWCA
3.12.53. CÓRKA JAMISIA CAPRA BEZ ŻYJĄCYCH KREWNYCH NA ZIEMI.
KONIECZNY TRANSPORT DO AINNIO W CELU POŁĄCZENIA Z POZOSTAŁĄ
RODZINĄ NA STACJI HARMONY.PRZEPRASZAMY ZA BRAK ZWYCZAJOWYCH
PRZYGOTOWAŃ. W CHWILI WYPADKU LINIOWIEC BYŁ JUŻ W DRODZE.
PSYCHIATRY ZDECYDOWANIE ODRADZAJĄ CZEKANIE NA NASTĘPNY KURS,
ZA SZEŚĆ LAT. PROSIMY O PRZYJĘCIE NA POKŁAD.

ARNEL KOHEIN, RADCA KOHEIN&SANGH, INC.

KOD KONTA

*

Badali ją, oczywiście. Musieli.

...Musimy teraz wykluczyć sto różnych chorób zakaźnych. Przykro mi, panienko, ale nie chciałabyś przez trzy lata podróżować do ainniq tylko po to, żeby Gildia odmówiła ci transportu?

Były pytania.

...Czy twoi krewni wiedzą, że przylecisz? Czy wezmą za ciebie odpowiedzialność? Czy masz wystarczające fundusze/programy/implanty, aby utrzymać się do chwili ich znalezienia?

I wspomnienia.

...Muszą gdzieś tam być, szukaj dalej... już szesnaście dni... nie, inni nie żyją, runął na nich cały budynek i ciała są zmiżdżone tak, że nawet nie możemy zidentyfikować szczątków, dopóki nie ściągną komputerów do DNA... nikt nie pozostał żywy, jestem tego pewny... szesnaście dni!... bierzcie łopaty, chłopcy, wracamy do roboty...

A także, jak zawsze, głosy.

Pieprzone dupki! - szalał jeden.

...konieczne... - uspokajał drugi.

Nie mają prawa! - upierał się pierwszy.

Oraz wycie płynące z samej głębi jej duszy - na pół dźwięk, a w połowie czysta udręka. *Co teraz, co teraz, CO TERAZ...?*

- Zamknij się - szepnęła, usiłując udzielać prawidłowych odpowiedzi, robić to co należy, być osobą opisaną przez nauczyciela, aby wydostać się w kosmos. Na razie nie czas myśleć o czymś innym. Nie ma czasu płakać. To przyjdzie dopiero później. Och, tak. A potem...

Świadectwo zdrowia, umieszczone w jej ręce. Małeńka kabina, której drzwi otwierały się za naciśnięciem kciuka. Kod dostępu do biblioteki, stołówki, banku...

Udało się, szepnął jeden z głosów. Jesteśmy bezpieczni. Dziwne, ale zdawał się mówić do niej. Zazwyczaj głosy nie robiły tego. Zwykle rozmawiały ze sobą, a o niej - jeśli w ogóle - mówiły, jakby była nieproszonym gościem.

To było poruszające. Trochę przerażające. A także, w dziwny sposób, pocieszające. - Mam nadzieję - odpowiedziała szeptem.

IV

Im bardziej skomplikowane stają się nasze zabezpieczenia, tym bardziej komplikuje to wysiłki naszych wrogów.

Im bardziej staramy się uniemożliwić im dostęp, tym lepsi muszą się stać w pokonywaniu zabezpieczeń.

Każdy nowy poziom bezpieczeństwa staje się tylko kolejnym stopniem dla tych, którzy nas wyprzedzają, gdyż dostosowują swoje następne ataki do naszej najsilniejszej obrony.

To wojna, w której nigdy nie zdołamy zwyciężyć... i której nie możemy przegrać.

DR KIO MASADA

„Ewolucja konfliktu” („Dziennik Bezpieczeństwa Uninetowego”, tom 57, nr 8.)

GUERA

Pomalowanie twarzy przed rozpoczynającym się dniem zabrało doktorowi Kio Masadzie prawie dwie godziny. Lubił poświęcać temu tyle czasu, jeśli mógł, pracując cierpliwie i dokładnie, aż każda linia była doskonała, a symetria i proporcje wybranego wzoru wprost nieskazitelne. Nie było to łatwe. Ludzka twarz jest asymetrycznym tworem, a chociaż przypadkowy obserwator mógłby nie zauważyć subtelnej różnicy w wygięciu brwi lub linii nosa, były one aż nadto widoczne dla całkowicie skupionego na swej pracy programisty. Znał na pamięć wszystkie swoje nieregularne rysy i nienawidził ich z całego serca, wodząc kredką po płótnie twarzy, maskując i poprawiając. Kiedyś zastanawiał się nad chirurgiczną korektą, która ułatwiłaby mu codzienne malowanie, lecz teraz rozumiał, że takie niedoskonałości są istotną częścią kosmetycznego rytuału, a przypływ satysfakcji wywołanej zwycięstwem ludzkiego intelektu nad ograniczeniami nałożonymi przez Naturę byłby znacznie słabszy i skromniejszy, gdyby pozostawione przez nią znaki zostały usunięte skalpelem chirurga.

W końcu, zadowolony, cofnął się i spojrzał na swoje dzieło. Aksamitna skóra miała dostatecznie jasny kolor, by czarny wzór odcinał się od niej dość wyraźnie, a kiedy obracał

głowę, linie zdawały się znikać i wylaniać z cienia - przyjemna cecha. Jak zawsze wybrał *iru* - konieczny przy kontaktach towarzyskich - lecz pierwotny wzór uzupełnił elementami *kita* oraz *nanango*. Wymyślił tę kombinację przed laty i służyła mu tak dobrze, że niegdyś zastanawiał się, czy na stałe nie wytatuować jej na twarzy, aby zaoszczędzić czas i trud, niezbędne do porannego rytuału. Jednak nie mógł znieść myśli, że czas zatarłby te piękne linie, a także tego, że obca dłoń miałaby wziąć odpowiedzialność za ten trudny wzór i być może oszpecić go na całe życie, nieznacznie zniekształcając jedną z dwudziestu linii. Lepiej robić to samemu i osobiście ponosić odpowiedzialność za to, co widzą w nim inni.

Inne cechy jego wyglądu trudniej było ocenić. Niektórzy nazywali go przystojnym, lecz on nie potrafił orzec, na jakiej podstawie tak mówili. Jak na mieszkańca Guery był średniego wzrostu, co czyniło go nieco wyższym od mężczyzn na większości kolonii. Miał sprawne ciało - dbał o to z tym samym perfekcjonizmem, jaki wykazywał w swoim fachu - lecz jeśli jakaś subtelna kombinacja mięśni i kości składała się na piękno, to on nie potrafił jej znaleźć. Ubierał się zwyczajnie, w wygodne stroje, nie zważając na obowiązującą modę, i nie pielęgnował swych gęstych czarnych włosów, jedynie strzygł je krótko dla wygody. Jeśli nitki siwizny na skroniach przyciągały uwagę ku jego ciemnym oczom, a okolona czarną brodą twarz wyglądała korzystnie, to był to efekt zupełnie przypadkowy, niezamierzony i nieświadomy.

Dwukrotnie zamrugał, przywołując rozkład dnia, po czym zamknął powieki, żeby wyraźnie widzieć przepływające w polu widzenia słowa. Po południu miał kilka spotkań, przeważnie związanych ze zbliżającą się uroczystością rozdania dyplomów. Rano czekało go tylko jedno. *GILDIA* - przypomniał mu program. Nic więcej. Mógł wywołać ikonę, która przypominałaby mu szczegóły, ale nie było to potrzebne. Prośba była tak niezwykła, a spotkanie tak odstające od jego zwykłych, rutynowych zajęć, że z pewnością by o nim nie zapomniał.

Kosmiczna Gildia chciała się z nim zobaczyć. Z nim! Chociaż usilnie próbował, nie potrafił się domyślić powodu. Kilkakrotnie wykonywał dla nich rozmaite zadania, ostatnio zaprojektował nowy zestaw programów przeciwwirusowych - ich sieć archiwalna była nieustannym celem złodziei danych - lecz miało to miejsce przed kilkoma laty, a od tego czasu nie utrzymywali żadnych kontaktów. Czego chcieli od niego teraz? Na pewno nie prostego ulepszenia ostatniego programu, gdyż ten mogli zamówić przez wideo łącze, tak jak wiele innych usług. Nawet jeśli ich zamówienie było tak delikatnej natury, że nie chcieli powierzać go publicznemu przesyłowi danych, mogli przekazać je za pośrednictwem

implantu, biologicznego lub mechanicznego. Dlaczego przysyłali na Guerę urzędnika Gildii, który musiał odbyć sześciomiesięczną podróż, żeby się z nim spotkać?

Z westchnieniem upuścił walizeczkę do kanału dostawczego i wprowadził kod miejsca, gdzie miała na niego czekać. Nie da się przewidzieć posunięć Gildii i nie zamierzał tracić na to czasu. Inny *kaja* mógłby tego próbować - może *simba*, obsesyjnie rozważający kwestie dominacji, albo *yakimi*, rozkoszujący się spekulacjami dla nich samych - lecz *im*, którego wzór nosił Masada, nie czerpał żadnej przyjemności z takich jałowych rozważań. Jego umysł już zajął się innymi, znacznie ważniejszymi sprawami i zanim zamknęły się za nim drzwi jego biura, już ledwie pamiętał, dlaczego to spotkanie w ogóle go zdziwiło.

Idąc ze swego apartamentu do centrum konferencyjnego uniwersytetu, przeszedł po wąskim, prawie półkilometrowym moście. Przezroczyste ściany ukazywały zapierającą dech w piersi panoramę stolicy Guery, więc pozwolił sobie przystanąć na kilka minut i podziwiać ten widok. W dole znajdował się uniwersytet, pięćset akrów, na których pracowały najlepsze umysły tej planety. Śmiałe szklane mosty i krystaliczne kopuły lśniły jak klejnoty w porannym słońcu, miejscami zbyt jasno, by na nie patrzeć. Za nimi, nieco dalej, wznosiły się wąskie, przeszklone drapacze chmur guerańskiej stolicy. Kiedy niebo było pogodne, a promienie słońca padały pod odpowiednim kątem, wszystkie te budynki zdawały się znikać w powietrzu, a płynące w powietrzu chmury przesuwwały się, odbite w ich lustrzanych ścianach, jakby nie napotykały na żadną przeszkodę. Uwielbiał na to patrzeć. Spoglądał na nie z dumą, płynącą z faktu, że jest obywatelem kolonii, która miała czas i chęć stworzyć coś takiego. A przede wszystkim był dumny ze szczególnych umiejętności, jakimi obdarował go los, pozwalając jego oczom dostrzegać fraktalny taniec wszystkich układów chmur, nieskończoną liczbę kombinacji łączących każdy moment z następnym.

Guera miała szczęście, nie dało się zaprzeczyć. Gdyby koloniści, którzy ujrzeli jej żywe brzegi, zwlekali z kolonizacją choć o dekadę, historia mogła potoczyć się zupełnie inaczej. Idąc, dr Masada przywołał ikonę, która wyświetliła mu dziękczynną odę. Dziwne, gorzko-słodkie wersy przewijały mu się w polu widzenia - poezja sprzed prawie trzystu lat, a mimo to wcale nie mniej aktualna. Chociaż niektóre z wyrażonych w niej uczuć były mu obce i takimi miały pozostać - brakowało mu emocjonalnego punktu odniesienia, aby mógł je zrozumieć - wiersz skutecznie błogosławił los, który wyniósł Guerę na wyżyny władzy, a jednocześnie oplakiwał to, co spotkało tyle innych planet. „Niechaj Hausman będzie naszym Lucyferem - głosił - zrodzonym czystym i pięknym, pławiącym się w szczęściu, a teraz upadłym, by dopełnić miary ludzkiego losu”.

Hausman. To nazwisko było kiedyś powszechnie szanowane, w początkach międzygwiazdnych podróży. Kiedy Victor Hausman zbudował swój słynny statek, umożliwiający w końcu podróże z nadświetlną szybkością, wydawało się to istnym cudem. Przeludniona i zanieczyszczona przez miliardy ludzi Ziemia hołubiła marzenie o galaktycznej ekspansji jako istne panaceum na swoje schorzenia, więc pospiesznie ruszyła zakładać kolonie na wszystkich planetach znajdujących się w jej zasięgu. Guera była jedną z pierwszych takich osad. Zanim Ziemia odkryła, że ten sam naukowy cud, który pozwalał ludziom latać z prędkością światła, jednocześnie powodował nieodwracalne zmiany genetyczne w organizmie każdego uczestnika takiej podróży, przodkowie Masady byli prawie samowystarczalni. Nagłe odcięcie pomocy z Ziemi było dla nich kłopotliwe, ale nie katastrofalne. Większość kolonii znajdowała się w znacznie gorszej sytuacji. W chwili, gdy przysłała ta wiadomość, niektóre jeszcze usiłowały ujarzmić wrogie światy i rozpaczliwie potrzebowały pomocy z Ziemi, żeby przetrwać. Inne zostały założone tak niedawno, że jeszcze nie otrzymały całego niezbędnego wyposażenia, gdy ich łączność z Ziemią została nagle - i całkowicie - przerwana.

Jeden Bóg wie, ilu ich jeszcze tam jest, pomyślał dr Masada. Tylko Bóg wie, jaką mają postać te zapomniane dzieci Ziemi oraz jaką formę przybiera ich gniew zwrócony przeciwko macierzystej planecie, która ich opuściła. Najsmutniejsze było to, że istniała możliwość uniknięcia tego. Ziemia mogła utrzymywać kontakt za pomocą maszyn, przynajmniej dopóki kolonie nie otrzymają wszystkiego, czego potrzebowały do przetrwania.

Jednak rozszalałe tłumy Ziemiaków zdecydowały inaczej. Przerażeni niekontrolowanymi zmianami kodu genetycznego, zdradzeni - jak uważali - przez rządy obiecujące ucieczkę na dziewicze i nie zatłoczone światy, aby nagle pozbawić ich tej nadziei, zareagowali w typowy dla siebie sposób. Co ich obchodziło, że na obcych planetach pozostało pół miliona kolonistów, z których każdy nosił w sobie zmutowane geny mogące zrodzić rasę potworów? Ci biedacy i tak byli zgubieni. Teraz liczyło się tylko to, żeby żaden Wariant Hausmana nigdy nie przybył na Ziemię i nie skaził ludzkiego genotypu. I tłumy postarały się o to. Niezbyt finezyjnie, ale skutecznie. Tak działa przemoc.

Spacer zajął mu trochę ponad pół godziny; Masada wyliczył sobie czas tak dokładnie, że wszedł do sali konferencyjnej punktualnie o zaplanowanej godzinie. Nie znał pomieszczenia, które jego gość wybrał na spotkanie, lecz w oprogramowaniu miał plany wszystkich uniwersyteckich budynków, więc znalazł je bez trudu. Pokój był mały, przeznaczony do kilkuosobowych spotkań, co Masada skwitował aprobuską skinieniem głowy, gdy rozsunęły się przed nim drzwi. *Jiu* nie lubi tłumów.

- Doktorze Masada.

W pomieszczeniu był tylko jeden człowiek, który wstał na widok wchodzącego. Był typowym przedstawicielem Gildii, od przecinających czoło, skomplikowanych czarnych linii *natsiq*, po długą czarną szatę okrywającą całe ciało.

- Dziękuję, że pan przyszedł.

Oprócz *natsiq*, będącego tradycyjnym *kaja* zarówno kosmopilotów, jak i ich sług, nosił delikatny, wyrafinowany wzór *nantana*. Był to znak człowieka porozumiewającego się z taką finezją, że każde słowo i wyrażenie mogły zawierać ogrom informacji. Masada gardził tym rodzajem *kaja*. Pamiętał, że zwyczajem *nantana* jest rozpoczynanie konwersacji od uprzejmej pogawędki, rozmowy o niczym, podczas której można ocenić znaczenie gestów, ton głosu i sto innych subtelnych oznak. *Iru* nie znał się na takich konwenansach i nie miał do nich cierpliwości ani - na szczęście - żadnych towarzyskich zobowiązań, by ich przestrzegać. (Chwała za to założycielom Guery! Oni w ich mądrości ustalili hierarchię ważności *kaja*, tak by obcy o innej kulturze mogli porozumiewać się bez problemów).- Wezwaliście mnie - rzekł krótko Masada i usiadł, nie mając ochoty stać. - Po co?

Gildziarz zastanowił się. Prawdopodobnie jako *nantana* nie był przygotowany na tak gwałtowne przejście do rzeczy i trwało kilka sekund, zanim się przestawił.

- Gildia chce zaproponować panu pracę - rzekł w końcu. - Doskonale zapłacimy i sądzimy, że to zadanie pana zainteresuje.

- Kiedy?

Gildziarz potrzebował chwili, żeby go zrozumieć. Może oczekiwał innego pytania - *nantana* lubią przewidywać.

- Musiałby pan zacząć jak najszybciej. Niestety, wymagałoby to opuszczenia na jakiś czas uniwersytetu...

- Mam tu zobowiązania. Gildziarz pokręcił głową.

- Pana wykłady prawie dobiegły końca. Podczas rozdania dyplomów ma pan wygłosić wykład, który prawie już pan skończył. Może go za pana przeczytać kolega. Ma pan trzech magistrantów, których powinien pan doprowadzić do obrony, ale dziekan zapewnia, że inni mogą pana w tym wyręczyć. Tak więc oprócz udziału w uroczystym rozdaniu dyplomów - co jest czystą formalnością - to już chyba wszystko?

Masada nie odpowiedział. Wyobraził sobie ikonę i uruchomił procesor myślowy, który szybko określił czas i wysiłek, jaki Gildia włożyła w uzyskanie tych informacji, bez jego kodów dostępu. To robiło wrażenie.

- Dlaczego? - zapytał w końcu.

Gildziarz przysunął sobie krzesło i usiadł. Luźne rękawy jego szaty opadły na blat stołu, gdy pochylił się nad nim, napięty.

- Sto dziewięćdziesiąt e-dni temu, kosmopilot Gildii odniósł poważne obrażenia podczas powrotu w bezpieczną przestrzeń. Analiza jego osobistego dziennika wykazała awarię oprogramowania procesora myślowego w momencie przejścia. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale wystarczyło. W tym momencie uwierzył, że jest obcym, otoczonym przez istoty o zupełnie inaczej funkcjonujących mózгах. Uznał, że te istoty wprowadziły do jego mózgu oprogramowanie uniemożliwiające mu logiczne rozumowanie, a także wszczepiły mu w ramię mechanizm wprowadzający do krwioobiegu narkotyki powodujące zmiany osobowości. Mając tylko kilka sekund, zrobił, co mógł, by zniszczyć ten mechanizm, a potem próbował rozbić sobie głowę, żeby wyrwać procesor. Na szczęście dla niego nie zdołał.

- Ponieważ jego podstawowe założenia były słuszne - rzekł spokojnie Masada - trudno mi zrozumieć wasze zastrzeżenia.

Gildziarz potrząsnął głową.

- Ten przeblysk świadomości nigdy nie powinien się zdarzyć, doktorze Masada. Zna pan programy, jakich używamy. Wie pan, jak precyzyjnie są dostrojone. W chwili, gdy wyszedł z *ainniq*, w jego krwioobiegu powinno znaleźć się dość leków, by zapobiec ewentualnemu atakowi paranoi. Tak się jednak nie stało. Nastąpiła nieprzewidziana zwłoka. Śmiertelnie niebezpieczna zwłoka.

- Był sobą - odparł cicho Masada. - Przez jeden moment, może trwający dłużej, niż wam się podoba, spojrział na świat własnymi oczami. Czy to zbrodnia?

- Był zarażony - odparł gildziarz. - Nasi ludzie wyizolowali wirus, który ich zdaniem jest za to odpowiedzialny. Sądzą też, że wiedzą, kiedy i gdzie się nim zaraził. Natomiast nie wiedzą, skąd się wziął ten wirus. Dlatego jest pan nam potrzebny.

Wirus. Interesujące. Wirus implikował pochodzenie, premedytację... i cel. Kto chciałby skrzywdzić kosmopilota? Ludzie mogą nienawidzić Gildii - większość darzy ją tym uczuciem - lecz kto ryzykowałby wciągnięcie na jej czarną listę za zamach na jednego z kosmopilotów? Na pewno nikt z ludzi przebywających na kosmicznych stacjach: groźba odcięcia od *ainniq* była zbyt okropna, by się na nią narażać. Może jakaś samotna planeta? Nie, żadna nie była w takim stopniu niezależna od Gildii, aby mogła ryzykować kompletną izolację. Nawet Ziemia, oddalona o trzy lata od najbliższej linii transportowej, była powiązana z odległymi światami siecią rozległych interesów, które załamałyby się po przerwaniu komunikacji.

Może więc zamach był dziełem samotnego programisty. Na przykład początkującego terrorysty lub nadmiernie aktywnego nastolatka. Z pewnością historia znała wiele takich przypadków. Tylko że terrorysta do tej pory już zdeklarowałby swoje intencje, natomiast amator... Poziom specjalistycznej wiedzy potrzebnej do przeprowadzenia takiego ataku czynił powyższe wyjaśnienie wysoce nieprawdopodobnym. Przeciwwirusowe programy Gildii należały do najlepszych na świecie - o czym Masada dobrze wiedział, gdyż osobiście pomagał je opracować - a poza tym wirus atakujący w taki sposób procesor mózgowy kosmopilota musiał posiadać szczegółową znajomość jego oprogramowania. Kto poza samą Gildią miał dostęp do tego rodzaju wiedzy? Ciekawy problem.

- Dlaczego ja? - zapytał w końcu.

Gildziarz lekko odchylił się, jakby ta nowa faza negocjacji wymagała nowej pozycji.

- Potrzebujemy kogoś spoza Gildii. Częściowo ze względu na nowe spojrzenie, ale głównie... - Zaciśnął wargi i napiął mięśnie szczęk. - Twórca tego wirusa musi zostać ukarany tak surowo, żeby nikt nie próbował pójść w jego ślady. Obojętnie, czy za ten zamach odpowiada jeden człowiek, czy grupa ludzi, Gildia na zawsze uniemożliwi im kontakt ze wszystkimi zamieszkanymi przez ludzi światami. To posunięcie nie przysporzy nam popularności, doktorze Masada. Co z pewnością może pan sobie wyobrazić. Wciągaliśmy już ludzi na czarną listę, ale nigdy na taką skalę. Przed podjęciem tak drastycznych kroków musimy mieć całkowitą pewność, kogo i dlaczego karzemy... I musimy mieć dostatecznie jasną sytuację prawną, żeby słuszność naszej decyzji i wyniki śledztwa były absolutnie niepodważalne. Potrzebujemy outsidera o nieposzlakowanej opinii, osoby szanowanej na wszystkich planetach, człowieka niepodatnego na jakiegokolwiek naciski. Innymi słowy, doktorze Masada, potrzebujemy pana.

- Jestem Gueraninem - przypomniał mu. - A Guera dla wielu jest synonimem Gildii. Czy nie lepszy byłby prawdziwy outsider, którego bezstronności nie można by kwestionować?

- Istotnie. Tyle że osoba prowadząca dla nas te badania musi mieć dostęp do tajnych danych Gildii, a nie ma „prawdziwego outsidera”, któremu powierzylibyśmy nasze tajemnice. Tak więc poszliśmy na kompromis. - Po krótkim milczeniu dodał: - Mamy do pana ogromne zaufanie, doktorze Masada. Pomagał pan opracować te programy, które teraz usiłujemy chronić. Ponadto *iru* jest znany z obiektywizmu. Kto nadawałby się do tego lepiej niż pan? - A kiedy Masada milczał, gildziarz zapytał: - Czy jest pan zainteresowany?

Jak zawsze, zirytowało go takie retoryczne pytanie, w jakich celowali *nantana*.

- Jakie warunki?

- Pełny dostęp do wszystkich wyników naszego dochodzenia i kierujących nim członków Gildii. Jeśli pan zechce, przydzielimy panu asystenta...

Następnego *nantana*? Broń Boże.

- Pracuję sam. Gildziarz skinął głową.

- Jak pan sobie życzy. Nie muszę mówić, że pokrywamy wszystkie koszty, dostarczamy wszelki potrzebny sprzęt i wsparcie w każdej sprawie. Ponadto, w ramach uninetu, będzie pan miał nieograniczony dostęp do danych...

Masada zeszywniał.

- W ramach uninetu?

Gildziarz zamilkł na chwilę. Niewątpliwie przetrwał słowa Masady, może nawet przepuszczał je przez swój procesor myślowy, żeby znaleźć przyczynę zastrzeżeń. W końcu rzekł:

- Zakładano, że opuści pan planetę. Takiego śledztwa raczej nie da się prowadzić na odległość.

- Nigdy nie opuszczałem Guery - rzekł spokojnie i stanowczo Masada.

Gildziarz przepaszajaco rozłożył ręce.

- A więc ma pan okazję, doktorze Masada. Najwyższy czas dla teoretyka o pańskim autorytecie.

Opuścić Guereę. Rozwazał już taką ewentualność, kuszony różnymi okazjami, ale zawsze w końcu zostawał. Tak było łatwiej. Wygodniej. Bezpieczniej. Czy *nantana* potrafił to zrozumieć? Czy też Masada musi znaleźć odpowiednie słowa na wyrażenie swoich zastrzeżeń?

Po długim milczeniu wykrztusił:

- Chcecie, abym pracował wśród obcych. Gildziarz zaczerpnął tchu.

- Jeśli ma pan na myśli Warianty Hausmana, to pozwolę sobie przypomnieć, doktorze Masada, że jest pan jednym z nich. Tak samo jak ja. Fakt, że nasi przodkowie nie ulegli żadnym zniekształceniom somatycznym, wcale nie oznacza, że pozostali nie zmienieni. Pan lepiej od innych powinien zdawać sobie z tego sprawę.

Masada pokręcił głową, zniechęcony tępotą rozmówcy.

- Nie to miałem na myśli. Powinien pan wiedzieć, że nie o tym mówię.

Teraz on pochylił się nad stołem, nie odruchowo - nigdy nie przybierał takich póz - lecz świadomie nadając w ten sposób większą wagę swoim słowom.

- Czy muszę przypominać, co Ziemiańskie sądzą o moim *kajał* To, co czyni mnie tak poważanym na Guerze, wśród nich jest uważane za „nienormalne”. Zrobili wszystko, co

mogli, żeby wyeliminować to z ich genów, a jeśli nieszczęśliwym zrzędzeniem losu, pomimo ich wysiłków, ta cecha ujawni się znowu, zastosują leki lub terapię genową, żeby ją „poprawić”. Nawet jeśli ceną takiej kuracji jest okaleczenie umysłu, śmierć ludzkiej duszy. Chcecie, żebym pracował wśród takich ludzi? Ziemianie są dla mnie bardziej obcy niż jakikolwiek Wariant Hausmana. A wiecie, że to Ziemianie zdominowali kosmos.

- Doktorze Masada. - Ton głosu gildziarza lekko się zmienił, lecz Masada nie potrafił stwierdzić, co kryło się za tą zmianą. - Jest pan holistą, a niektórzy nawet nazywają pana ojcem holistyki. Czy nie chce pan osobiście zobaczyć kosmosu? Od lat pisze pan prace teoretyczne z dziedziny uninetu. Czy nie pragnie pan doświadczyć tego osobiście, choć raz? Ja proponuję panu taką możliwość. Może pan spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że to pana nie pociąga?

A kiedy Masada nie odpowiedział, gildziarz sięgnął do rękawa i wyjął mały chip.

- Prosimy tylko, żeby pan to przejrzał. - Popchnął chip tak, że ten znalazł się w zasięgu ręki Masady. - Nic więcej.

Przez cienką pokrywę widać było zarys dysku.

- Zawiera kopię wyizolowanego przez nas wirusa, jak również naszą ofertę. Prosimy tylko, żeby zapoznał się pan z nimi, zanim podejmie pan ostateczną decyzję.

Masada przez chwilę nie odpowiadał. Nie ruszał się. Potem, bardzo powoli, wyciągnął rękę i podniósł chip. Na powierzchni lśnił napis oraz ikona mająca uruchomić programy obronne w każdym czytniku, do którego zostanie włożony ten chip. UWAGA! głosił napis. **MATERIAŁ ZAKAZNY KLASY A. WYMAGANE ŚRODKI OSTROŻNOŚCI 1. STOPNIA.** Zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

- Będę potrzebował kopii oprogramowania, które zaatakował wirus.

Gildziarz zmarszczył brwi i przez moment Masada myślał, że odmówi. W końcu zażądał kopii jednego z najtajniejszych programów Gildii. Nieważne, że było to w pełni uzasadnione żądanie. Głównie był to test, mający sprawdzić, w jakim stopniu mu ufali i jak bardzo chcieli zwerbować go do pracy.

Przez długą chwilę gildziarz milczał, patrząc na niego zmrużonymi oczami, jakby usiłował czytać w myślach Masady. W końcu kiwnął głową, wyjął z rękawa drugi chip i przesunął go po szkle. Była to właściwa odpowiedź i Masada z aprobatą skinął głową.

- Ile mam czasu? - zapytał.

- Ile pan chce. - Ton gildziarza jasno wskazywał, że jego zdaniem pierwszą fazę negocjacji mają już za sobą. Wirus albo okaże się dostatecznie ciekawy, aby wywabić Kio Masadę z jego guerańskiej kryjówki, albo nie. Słowa niczego tu nie zmienią. - Proszę się nie

spieszyć. Ocenic sytuację. Nasza oferta jest na pierwszym chipie, razem z instrukcjami, jak się ze mną skontaktować. Będę czekał na odpowiedź.

Wstał i wyciągnął rękę. Masada wahał się tylko ułamek sekundy, po czym uściśnął ją. Nie przywykł do takich kontaktów z obcymi, ale gildziarz był *nantana* i potrzebował rytualnego potwierdzenia. W takich sprawach jego *kaja* miał pierwszeństwo.

To niewygórowana cena, rozmyślał Masada, za strukturę społeczną umożliwiającą kontakt z obcymi.

Gdyby tylko inne światy były równie cywilizowane!

*

Uporawszy się ze wszystkimi zobowiązaniami, jakie miał tego dnia, nie wrócił do swojego apartamentu, ponieważ aż za dobrze siebie znał: kiedy zajmie się jakąś nową zagadką, zapomni o takich przyziemnych sprawach jak spotkania, terminy, a nawet posiłki. Kiedyś, w trakcie pracy nad szczególnie trudnym projektem, wyłączył nawet część swojego procesora myślowego, ponieważ ten rozpraszał go nieustannym przypominaniem o zbliżającej się sesji. Trudno mu było przez kilka godzin nie myśleć o propozycji Gildii. Z trudem powstrzymał się przed włożeniem chipa do hełmu i obejrzeniem wirusa odpowiedzialnego za atak. Tylko myśl, że taki pośpiech mógł okazać się samobójczy, pozwoliła mu przetrwać ten dzień i zaczekać do powrotu do jedyne miejsce na Guerze, gdzie mógł pracować spokojnie i bezpiecznie.

Jego mieszkanie było małe i czyste,umeblowane skromnie i bez estetycznych fanfar. W kącie salonu stała klawiatura z trzema rzędami klawiszy, wąska i gładka. Gdy tam wszedł, podszedł do niej i położył dłoń na klawiszach - delikatnie i z szacunkiem, jak starożytni Żydzi, po powrocie do domu dotykający palcami świętej rzeźby. Klawiatura należała do jego żony, była jej dumą i radością. Teraz, kiedy jej zabrakło, przedmiot ten stał się wskrzesicielem wspomnień, zamarłych w czasie obrazów, które co wieczór budziło do życia jego rytualne dotknięcie.

Ujrzał ją siedzącą tam, szczupłą i zgrabną, przebierającą palcami w dawnym koncertowym stylu (przy komponowaniu nie używała hełmu, twierdząc, że lubi czuć muzykę pod palcami), wyławiającą jedną ze stu nut, aby poprawić dźwięk instrumentu, zawsze szukającą doskonałości. Kiedy zaczęła tworzyć, nic nie mogło jej powstrzymać, a jeśli z jakiegoś powodu musiała ponownie odegrać część utworu, zaczynała grać od początku, jakby nie potrafiła ocenić tuzina wyrwanych z kontekstu nut.

Była *im*, tak samo jak on, i ich małżeństwo opierało się na tym jednym podobieństwie. To wystarczało. On rozumiał okresowe zaburzenia percepcji sensorycznej, które wpływały na

jej zdolność porozumiewania się, a ona rozumiała, że ze względu na dobro pracy zaprogramował swój procesor myślowy tak, by kompensował te zaburzenia, przy czym poświęcił część swojej osobowości. On wiedział, że kiedy grała - splatając wątki od Bacha po Omesiego, tworząc gobelin historii muzyki, który krytycy nazywali „zapierającym dech” i „natchnionym” - nawiązywała kontakt z czymś daleko większym, niż człowiek potrafi pojąć, z matematyczną doskonałością, której słaby cień inspirował symfonie. Ona rozumiała, że tylko w swojej pracy potrafił uzyskać kontrolę, jakiej pragnął, tworząc linie komputerowego kodu z takim samym metodycznym natchnieniem, z jakim artysta starożytnej Grecji wykańczał swe marmurowe arcydzieła. Nie kochał jej, nie w taki sposób, w jaki rozumie to słowo *nantana*, brakowało mu neuromechanizmów niezbędnych do doświadczenia tego rodzaju uczuć. Jednak dziesięć lat małżeństwa było dobrymi latami, oazą wspólnoty w życiu *kaja*, który zbyt często skłania się do samotności...

A potem doszło do tego wypadku z kapsułą.

I oaza zniknęła.

Z westchnieniem oderwał dłoń od klawiatury, pozwalając zgasnąć wspomnieniom. Chociaż chciał jak najszybciej rozpocząć pracę, zmusił się, by pójść do kuchni i pospiesznie zjeść posiłek, nie czując smaku potraw i nawet nie patrząc, co je, po prostu zaspokajając zapotrzebowanie na kalorie na nadchodzące godziny. Dopiero potem poszedł do gabinetu, który urządził sobie w drugiej sypialni apartamentu. Oprócz stert wyrafinowanego sprzętu - częściowo będącego jego własnością, pożyczonego mu przez uniwersytet lub dostarczonego przez różne firmy, dla których wykonywał zlecenia - stało tam kilka dinozaurów technologii komputerowej: szare pudła jednostek głównych i monitory o płaskich ekranach, które nie miały już żadnego zastosowania we współczesnym życiu, lecz były niezbędne do bezpiecznego badania zakaźnego materiału. Położył przed nimi chipa, nadrukiem w górę. **MATERIAŁ ZAKAŻNY KLASY A. WYMAGANE ŚRODKI OSTROŻNOŚCI 1. STOPNIA.**

Już czas.

W izolowanym sejfie na końcu pokoju trzymał pół tuzina sterylnych hełmów, przygotowanych z myślą o takiej chwili. Wziął jeden z nich i na wszelki wypadek przeprowadził ponowne odkażenie. Ten proces zabrał mu trochę czasu i Masada śledził kolejne kroki, gdy program porównywał każdy bit maszynowego kodu kopii z oryginałem. Takie nadzwyczajne środki ostrożności rzadko były potrzebne, ale wymagał ich pierwszy stopień zagrożenia. W końcu otrzymał potwierdzenie, że oba programy nie są zainfekowane i

nie wykazują śladów uszkodzeń spowodowanych dawną infekcją. Widział dosyć „zdrowych” systemów, zablokowanych z tego ostatniego powodu, żeby wiedzieć, jakie to ważne.

Potem ostrożnie, z pedantyczną dokładnością, wyobraził sobie szereg ikon, które wyłączały reakcje jego procesora myślowego.

Ponieważ wzrok był najwrażliwszym ze wszystkich ludzkich zmysłów, wykorzystywano go do sterowania procesorem myślowym, od kiedy ten układ biotechniczny po raz pierwszy, kilka wieków temu, wprowadzono do ludzkiego mózgu. W rezultacie powstał prawie doskonały interfejs: mózg nie był w stanie rozróżnić obrazów przetwarzanych przez nerw optyczny od tworzonych przez wyobraźnię i dostarczanych przez biomechanizm. Ten system był bardzo funkcjonalny i społeczeństwo całkowicie na nim teraz polegało, ale miał swoje wady.

Jeśli zbyt dokładnie będziesz przyglądał się wirusowi, twój procesor zaakceptuje go bez zastrzeżeń, a jeżeli skupisz wzrok na kodzie inwazyjnym, to możesz sam się zarazić. Manipulowanie takim materiałem wymagało odcięcia mózgu od dopływu tego rodzaju materiałów. Wynikiem była ostra klaustrofobia, lecz Masada robił to już wcześniej, tak więc kilka razy zaczerpnął głęboko tchu i czekał, pozwalając programowi zdrowotnemu uporać się z rosnącą falą paniki. Wiedział, że niektórzy nie potrafią sobie z tym poradzić, lecz dla niego był to po prostu jeden z aspektów pracy. A każdy ból pozwalający mu bliżej obejrzeć ten wirus był wart swojej ceny.

Położył przed sobą sterylny hełm, wsunął weń chip i załadował jego zawartość. (Czy tak czuł się ekspert-mikrobiolog, kiedy badał bakterię mogąca zdziesiątkować ludność planety? Widząc, że najmniejsze uszkodzenie kombinezonu pozwoli wrogowi wtargnąć do jego ciała?). Cienkim przewodem połączył hełm ze staroświeckim monitorem i zobaczył, jak ten, migocząc, budzi się do życia. Potem włożył na głowę to urządzenie w kształcie litery „U”, czujniki nawiązały kontakt z nadajnikami, które miał wszczepione tuż za uszami, a Masada zaczął wyobrażać sobie polecenia mające uruchomić cały system.

Chip zawierał materiał wprowadzający, zasadniczo pokrywający się z tym, co powiedział mu gildziarz. Pospiesznie przejrzał te informacje, przełomie sprawdził, ile Gildia proponuje za jego usługi (istotnie, zapłata była hojna, ale pieniądze nie były tu najważniejsze), a potem podał programowi swój kod bezpieczeństwa, aby przejść dalej. Na razie żadnych niespodzianek. Program przetrawił jego odpowiedź, w milczeniu zastanawiał się sekundę czy dwie... a potem wirus zaczął przewijać się po ekranie.

Był ogromny, wydawał się nie mieć końca. Już samo przejrzanie jego kodu zajęło kilka godzin, a drugie tyle szczegółowe sprawdzenie niektórych fragmentów. W pewnej

chwili program zdrowotny zawiadomił Masadę, że powinien coś zjeść. Nie zwrócił uwagi na tę wiadomość. Parę godzin później, program zasygnalizował mu potrzebę snu. To ostrzeżenie również zignorował.

Wirus był skomplikowany. Skuteczny. I zdolny do rozmnażania. Był... piękny.

Masada kilkakrotnie przeczytał kod i za każdym razem odkrywał coraz subtelniejsze fragmenty. Zagnieżdżone pętle przeplatające się ze złożonością pętli Moebiusa, zmieniające się przy każdym powtórzeniu i oddziaływujące na swoje poprzednie wersje. Niektóre części zmieniały kod zewnętrzny, inne go niszczyły, a jeszcze inne analizowały proces dezintegracji... I w końcowym rezultacie wirus stawał się czymś innym niż na początku: subtelniejszym, potężniejszym i nieskończenie bardziej zjadliwym.

Ewoluuował.

Masada położył dłoń na ekranie monitora, jakby w ten sposób mógł bardziej zbliżyć się do rozwiązania zagadki. Widywał już samorzutnie mutujące wirusy, ale nigdy nie napotkał równie skomplikowanego. Ten program zmieniał się przy każdym uruchomieniu w zainfekowanym środowisku i przy każdej okazji wysyłał do sieci swoje nowe potomstwo. Musiały już tam być tysiące kopii, może nawet miliony takich „zarodników”, z których każdy próbował wykonać swoje zadanie lepiej od poprzednika, każdy przekazywał swój zasób danych, a potem ulegał samozniszczeniu, kiedy napotykał swoją skuteczniejszą wersję. Było to przetrwanie najsilniejszego osobnika w dosłownym znaczeniu tego słowa, matematyka sukcesu, całkowicie oderwana od wszelkich ograniczeń ciała. Było to życie - pewnego rodzaju. Życie, o jakim pisał prace teoretyczne, jakiego istnienia był pewny, ale z jakim nigdy dotychczas się nie zetknął.

Nie tracąc czasu na jedzenie czy odpoczynek - chociaż jego program zdrowotny nalegał, że potrzebuje obu - załadował drugi chip. Znał oprogramowanie kosmopilotów, zajmował się nim już przedtem, więc początkowo przejrzał je dość pobieżnie. Nie zdziwiło go, że segment, który mu dali, głównie dotyczył medycznych programów Gildii - zakładał, że tak będzie, ze względu na sposób ataku wirusa - ale zdziwiło go, że kod nie był tak klarowny jak go pamiętał. Programiści Gildii byli znani z tego, że ograniczali objętość swoich produktów do niezbędnego minimum, tymczasem w tym co krok napotykał redundancje i fragmenty kodu, które wydawały się nie mieć żadnego przeznaczenia poza...

Na chwilę prawie zapało mu dech. W jego mózgu zaczęła formować się pewna koncepcja i przez chwilę miał wrażenie, że jeśli choćby drgnie albo pomyśli o czymś innym, zgubi wątek.

Zapisał program kosmopilota na dysku i ponownie wywołał wirusa na ekran. Przyjrzał mu się ponownie, szukając potwierdzenia.

Mój Boże.

Wirus zostawił sobie furtkę: dwa lub trzy fragmenty kodu, które pomogłyby jego potomstwu sforsować zabezpieczenia, gdyby zechciały dokonać inwazji. Dlaczego programista to zrobił? Czemu miało to służyć?

Wydawało mu się, że wie. Nie mógł w to uwierzyć, ale czy mogło istnieć inne wytłumaczenie?

Kazał komputerowi porównać oba programy i wykorzystał tę chwilę, aby oprzeć się wygodnie i wyciągnąć zeszywniałe nogi. Zerknąwszy w okno, stwierdził, że słońce zaszło i weszło, być może dwukrotnie: zajęty wirusem, stracił poczucie czasu. Nie fatygując się pytaniem procesora myślowego o datę - bo i po co? - znów coś zjadł i szykował się do krótkiej drzemki, kiedy w polu widzenia rozbłysła wiadomość.

SPOTKANIE Z DANEM SUMPTEREM O 10:30.

- Do licha.

Sprawdził aktualny czas i stwierdził, że do spotkania zostały mu tylko dwie godziny. Za mało, żeby skończyć to, co zaczął. Wywołał wideołącze, każąc połączyć się z biurem Dana. Może tamten już nie śpi, pracuje i jest osiągalny.

Był.

- Doktor Masada. Czekałem na wiadomość od pana. Trudno było się przestawić z czystego i prostego języka kodu na niejasny i skomplikowany sposób, w jaki porozumiewają się ludzie.

- Tak?

- Gildmistrz Hsing rozmawiał ze mną wczoraj o pańskich zobowiązaniach wobec uczelni. Zgodziłem się, żeby doktor Alesia zastąpiła pana dziś rano, a Towcester po południu. Będzie nam pan potrzebny na posiedzeniu komisji do spraw standaryzacji jutro po południu, ale potem poradzimy sobie bez pana, jeśli będziemy musieli. - Zamilkł i może ktoś inny zdołałby wyczytać coś z wyrazu jego twarzy. - Wiem, jak ważna jest dla pana ta praca dla Gildii.

Co do licha powiedział mu gildziarz, że był taki ustępliwy? Ktoś inny na miejscu Masady nabrałby podejrzeń, lecz on był tylko wdzięczny za zezwolenie.

- Dziękuję panu.

Może Gildia ofiarowała sporą dotację na jakiś fundusz uniwersytecki, którego dobro leżało Danowi Sumpterowi na sercu. Suma, jaką proponowali Masadzie, świadczyła o tym, że

dysponowali budżetem pozwalającym na takie gesty. A Sumptera z pewnością można było kupić.

Gildmistrz Hsing. Masada uświadomił sobie, że nie zapytał o nazwisko i rangę wysłannika. Już sam fakt, że mistrz Gildii przyleciał aż tutaj, na ponad rok porzucając kosmiczną stację, żeby się z nim spotkać... To oznaczało, że postanowili wynająć go za wszelką cenę, na dowolnych warunkach, dlatego wysłali człowieka cieszącego się sporym autorytetem, aby mógł złożyć wiążące obietnice. Najwyraźniej Gildia nie zamierzała przyjąć odmownej odpowiedzi.

Zelektryzowany tym odkryciem - i niespodziewaną przerwą w obowiązkach wykładowcy - ponownie włożył hełm, aby sprawdzić, co znalazł program porównawczy.

*

- Nazywa się to „kryj i szukaj” - powiedział gildmistrzowi. - Wyrafinowany program szpiegowski mający zainfekować procesor myślowy waszego pilota, skopiować do jego kodu pewną informację, a następnie wysłać programy „zarodnikowe”, które wtórnie zarażą uninet. W międzyczasie ulepszałyby siebie i swoje potomstwo oraz tworzył tylną furtkę w waszych zabezpieczeniach. Tak, by ewentualna ulepszona wersja, która mogłaby odkryć więcej waszych sekretów, mogła w przyszłości bez trudu je ominąć.

- Dlaczego zaatakował naszego kosmopilota?

- Sądzę, że to mógł być przypadek. Efekt uboczny, jeśli wolicie, prawdziwego działania wirusa. Przeznaczeniem tego było zbieranie danych w chwili przejścia. Może po prostu zdominował procesor myślowy w momencie, gdy kosmopilot potrzebował pełnego dostępu do bioobwodów. Potrzebuję więcej czasu, żeby się upewnić - ostrzegł - ale w tej chwili taka teza wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

- Dobrze. Dobrze. - Mistrz Gildii pokiwał głową, przetrawiając tę informację. - Pierwsze pytanie: może pan to powstrzymać?

- Mówi pan o programie przeciwwirusowym? Z pewnością wasi ludzie już taki stworzyli.

- Ściśle mówiąc, mamy aż trzy. Jednak w ocenie naszych projektantów ich szanse na sukces nie są zbyt wysokie. Mamy nadzieję, że pan poradzi sobie lepiej.

Masada zawdzięczał swoją reputację między innymi temu, że nigdy nie składał obietnic bez pokrycia. Teraz również zastanowił się, zanim odpowiedział.

- W środowisku elektronicznym mógłbym zagwarantować sukces. Jednak mówimy tu o ludzkim mózgu - przypomniał. - A wiemy, że on zmienia każdy realizowany przezeń program. Nawet sam wirus jest modyfikowany przez mózg, który zarazi. Czy mogę

przewidzieć ogólny kierunek takich zmian, ocenić ich skutki, zaprojektować program likwidujący każdą wersję ewentualnej mutacji? Wobec kilku generacji, na pewno tak. Jednak uniwersalny? - Zamilkł i po chwili dodał: - Czy obserwator badający ziemskie dinozaury mógłby przewidzieć, że ich potomkami będą ptaki? Albo czy zdołałby zastawić skuteczną pułapkę na sówkę, żyjącą milion lat później? Zrobię, co w mojej mocy. Zważywszy na moje szczególne zdolności, zapewne mój program będzie lepszy od ułożonego przez waszych programistów. Jednak nie będzie doskonały. Żaden nie będzie idealny.

Mistrz Gildii ponuro pokiwał głową, przetrawiając te wiadomości.

- Co pan stwierdził odnośnie źródła wirusa?

Masada zastanawiał się chwilę. Każdą odpowiedź musiałby rozpocząć od tego samego stwierdzenia, a jeszcze nie był na to gotowy.

- W każdym programie pozostaje znak jego autora - rzekł w końcu - i jak każdy podpis, można go odczytać. Ten wirus zawiera szereg indywidualnych cech, które można uznać za reprezentatywne dla stylu jego twórcy. Jednak, by odnaleźć inne programy z tym samym podpisem, potrzebna jest niemal nieskończona baza danych i nieograniczony dostęp...

Urwał. Za późno.

- Uzyskałby pan to wszystko - powiedział mu gildmistrz - w uninecie.

Masada nie odpowiedział. Nadal miał wątpliwości. Obawy.

- Co jeszcze? - naciskał tamten.

- Śledźcie zarodniki - rzekł, wdzięczny za chwilową zmianę tematu. - Sprawdźcie, czy da się znaleźć jakąś prawidłowość w mutacjach. To nieprawdopodobne, żeby tak dobry programista wypuścił wirusa i czekał, aż przypadek sprawi, iż ten znów znajdzie się w jego zasięgu. Bardziej prawdopodobne, że w kodzie znajduje się jakiś fragment naprowadzający albo adres pozwalający na odzyskanie wirusa. Jeśli autor był dobry - naprawdę dobry - ten adres nie ujawni się przez wiele generacji.

- Trzeba czekać, aż sam się pojawi?

- Niekoniecznie. Można określić schemat wewnętrznej struktury na podstawie kolejnych mutacji, a potem dokonać ekstrapolacji. Albo...

Nagle zabrakło mu słów. To wszystko teoria, pomyślał, tylko teoria. Jeszcze nigdy nie było czegoś takiego.

- Prawdziwe wyzwanie - podsunął gildmistrz.

Takim też było. Niezwykłe. Może już nigdy nie zetknie się z czymś takim. Powiedz to. Zacerpnął tchu.

- Jak ma wyglądać nasza współpraca? Mistrz Gildii rozłożył ręce.- Wyślemy pana w kosmos. Zaopatrzymy w środki finansowe umożliwiające wszelkie potrzebne podróże. Pańskie przecucia zawsze dotychczas się sprawdzały. Ufamy im i teraz. Wystarczy, że w regularnych odstępach czasu będzie pan składał raporty naszym ludziom, żebyśmy mogli obserwować pańskie postępy.

- Nie będą się wtrącać?

- Ma pan moje słowo - odparł tamten po krótkim namyśle.

- W porządku - rzekł Masada. Czuł siłę tych słów, determinujących jego los, ograniczających tysiąc możliwych wariantów przyszłości do jednego. Poczul lekki zawrót głowy. - Dobrze. Polecę.

Gildziarz wyciągnął rękę, aby przypieczętować umowę. Masada spiął się i uścisnął mu dłoń.

- Dopilnuję, aby otwarto panu rachunek. Następny prom odlatuje we wtórnik. Będzie pan gotowy?

Miał spotkania, umowy, obowiązki na uczelni... lecz Gildia wszystkim się zajmie. Nikt nie będzie się z nimi spierał. Nikt nie zechce zadzierać z ludźmi, którzy umożliwiają podróże międzygwiazdne. Cena byłaby za wysoka.

Ktoś wkrótce będzie musiał ją zapłacić, pomyślał. I to ja mam powiedzieć, kto.

- Doktorze Masada? Zmusił się, by skinąć głową.

- Będę gotowy. Umowa zawarta.

V

NATSIQ

Lodowe pole jest lasem ostrych krawędzi, sterczących jak noże płaszczyzn, wypchniętych ciśnieniem sezonowej wędrówki, a pęknięcia, szczeliny i spiętrzone seraki przegradzają drogę po jego powierzchni. *Natsiq* nie wie, skąd wzięły się te przeszkody, gdyż on nie rozumie praw rządzących lodową płytą. On wie tylko, że chce przejść przez tę rozległą białą równinę, a podróż będzie trudna i zajmie mu dużo czasu.

Ostrożnie zaczyna poruszać się po białej równinie, kierując się na wschód. Krajobraz wygląda odstręczająco, zniechęcając do dalszej wędrówki. Wiele innych stworzeń podjęło tę podróż i zrezygnowało z niej, zadowolając się tym małym światem, w którym się urodziły. Jednak nie *natsiq*. On postanowił pokonać tę odległość, pomimo wszelkich przeszkód, aby zobaczyć, jakie cuda znajdują się po drugiej stronie.

Nagle napotyka szczelinę, która niczym wycięta nożem przecina lód - *ainniq* - i zagląda do niej. W dole jest jakaś czarna powierzchnia, zimna i błyszcząca. Przygląda się jej przez chwilę, a potem stwierdza, że nie da się jej zbadać z zewnątrz i skacze w tę czerń.

Ogarnia go chłód, gdy przenosi się do świata płynnych ruchów, gdzie wokół niego w powietrzu unoszą się krystaliczne światła. Tu nie ma gór, nie ma żadnych przeszkód. Tutaj te same ruchy ciała, które na górze przemieściłyby go o krok czy dwa, nadają mu prędkość wystrzelonej kuli. Podróż, która na powierzchni zajęłaby mu dni, a może nawet lata, zostaje skrócona do godzin. Pędzi pod lodową płytą, unikając lśniących stalaktytów zamrożonego kryształu, upajając się prędkością. Podróżując, nie może dostrzec wokół żadnych punktów orientacyjnych, lecz widzi przed sobą słoneczne światło, oznaczające inny *ainniq*. Tam dotrze, wynurzy się i ustali swoją pozycję. W ten sposób uniknie wszystkich udręk podróży przez lodowe pole.

Czuje drzenie oceanu pod sobą, ale nie wie, co to ma oznaczać. Słyszy dźwięki, ale nie umie ich zinterpretować. Strach ściska mu zimną dłonią serce i *natsiq* usiłuje płynąć szybciej. Pod lodem jest jeszcze coś, co czekało na niczego nie spodziewającego się podróżnika. Coś, co zasadziło się na istoty znad *ainniq*, gdyż one zaspokajają jego głód.

Wyczuwa obecność tego czegoś, lecz nie może go dostrzec, gdyż jego wzrok nie przywykł do wielkiego świata i każdy rodzaj ciemności wydaje mu się taki sam. Wie, że jego strach pozostawia trop, którym to coś może podążać, ale nie ma pojęcia, na czym to polega ani jak tego uniknąć. Może tylko uciekać, jeszcze szybciej w przypływie czystego przerażenia, które pozwoli mu dotrzeć w bezpieczne miejsce - lub nie.

Czuje różnicę w otaczającej go toni, gdy to coś zbliża się, za bardzo się zbliża. Potem nagle wypada z *ainniq*, z powrotem na lodową płytę, aby lec, ciężko dysząc w mroźnym powietrzu, z mocno bijącym sercem. Czy to coś będzie go tu ścigać? Zdrętwiały ze strachu, czeka. Jednak mijają minuty i nic się nie pojawia. Wie, że to coś krąży na dole, czekając na jego powrót.

Natsiq znalazł się na wschodzie, za górami lodu. Podróż trwała kilka minut. W oddali jest inny *ainniq* do którego może dotrzeć równie szybko. Jeśli tylko ponownie zanurzy się pod lód, będzie mógł dotrzeć wszędzie w mgnieniu oka.

Wzywają go dalekie horyzonty, syrenim śpiewem w gasnącym świetle dnia.

Na dole czeka *sana*.

KAJA: „Kosmiczny przewodnik po guerańskim systemie społecznym”, tom I: *Znaki Gildii*.

LINIOWIEC „AURORA”

Nie wychodź!

To niebezpieczne!

Zostań w pokoju!

Natarczywe głosy nie milkły. Już nie były ciche i widmowe jak niegdyś, lecz dudniły jej w uszach z taką siłą, że czasem gotowa była zrobić wszystko, byle tylko ucichły. Czy to ostatnie wydarzenia nadały im taką moc? Czyżby program wprowadzony przez nauczyciela w jakiś sposób dał im siłę, pozwalającą ją dręczyć? Czy też po prostu traciła zmysły, w dawnym ziemskim znaczeniu tego słowa, kompletnie wytrącona z równowagi przez stresującą sytuację, pod wpływem której jej mózg przestawał funkcjonować? Nie mogła ocenić prawdopodobieństwa tej ostatniej ewentualności, chociaż ta najbardziej ją przerażała. Na Ziemi już dawno uporano się z szaleństwem, wyrwawszy jego biologiczne korzenie z puli genowej, izolując przypadki psychologicznego ryzyka, zanim zdążyły wydać owoce. Czyż lekarze nie badali jej właśnie pod tym kątem po śmierci rodziców, zawsze świadomi tego, że próg szaleństwa można przekroczyć szybko i niepostrzeżenie? A także to, że - podobnie jak obrażenia fizyczne - takie rany najłatwiej wyleczyć, kiedy są świeże i czyste? Przez całe życie była obserwowana, najpierw przez rząd, a potem - po wypadku - przez Shido. Tak więc z pewnością była zdrowa na umyśle. Gdyby było inaczej, wykryliby to podczas jednego z regularnych badań lekarskich i podjęli leczenie. Prawda?

Nie była tego pewna. Już niczego nie była pewna. Cały jej świat stał się nieznany i przerażający, a uciec przed nim mogła, jedynie kuląc się w swojej kabinie, gdzie musiała słuchać gniewnych i ostrzegawczych głosów.

Będą cię ścigać. Musisz coś zrobić!

Zostań tu, zostań tu, zostań tu, ukryj się, ukryj, ukryj...

Pieprzone dranie! Nie mieli prawa...

- Przestańcie! - załkała. - Zostawcie mnie w spokoju!

Czy w tym pomieszczeniu były czujniki, czy jakiś lekarz obserwował na wideo, jak rozmawiała z niewidzialnymi antagonistami, i zastanawiał się, w którym momencie najlepiej będzie zabrać ją na leczenie? Kilkakrotnie przeszukała niewielką kabinę i niczego nie znalazła, ale to niekoniecznie oznaczało, że miała tu zagwarantowaną prywatność. Na Shido czujniki były rozsiane po całym osiedlu, a komputer analizował ich plon szukając dowodów szpiegostwa przemysłowego. A przynajmniej tak jej powiedziano. Czy mogła być pewna, że na liniowcu, którego bezpieczeństwo zależało od tego, czy przez trzy ko lejne lata utrzyma się kruchy pokój między setkami obcych podgatunków, nie ma podobnych urządzeń? Może tutaj

wstępne badania przeprowadzali ludzie, nie komputery: zaglądając do jej kabiny z jakiegoś ukrytego punktu obserwacyjnego, patrząc na jej ataki strachu i hysterii, raz po raz sprawdzając je z jakąś listą psychologicznych odchyłeń, jakich nie można tolerować na statku...

Przestań, przestań, przestań, przestań...!

Z jękiem dźwignęła się na nogi i drżącą ręką otarła z twarzy łzy. Jeśli przez trzy lata będzie ukrywać się w tej kabynie, to naprawdę oszaleje - nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Ta przestrzeń była wystarczająca, ale mała - ceny zakwaterowania na statku rosły proporcjonalnie do metrażu, a ona obawiała się, że zużyje swoje ograniczone fundusze, zanim zdoła dotrzeć do *ainniq* - a ponadto pusta, bez jakichkolwiek drobiazgów, jakimi nastolatki zwykle znaczą swoje terytorium. Opuszczając w pośpiechu osiedle, spakowała prawie wyłącznie ubrania.

Powoli nabrała tchu, usiłując się uspokoić. Coraz trudniej przychodziło jej opanowanie strachu, ale wiedziała, że musi się starać, bo jeśli się podda, będzie naprawdę zgubiona. Głosy jazgotały jej w głowie, gdy podeszła do szafy i otworzyła ją, by wybrać ze swej skromnej garderoby kombinezon do stanu nieważkości. Jeden Bóg wie, dokąd dzisiaj się uda, więc lepiej być przygotowaną na wszystko. Ostrożnie włożyła kombinezon, wystrzegając się rozciągania materiału, który mógłby się rozpruć lub rozedrzeć. Miała mało pieniędzy i żadnego źródła przychodów na horyzoncie, więc wszystko musiało wystarczyć jej jak najdłużej.

Zamykając szafę, odważyła się spojrzeć w lustro, usiłując skupić się na odbiciu i je zaakceptować. Ciasny kombinezon podkreślał figurę, a nawet powiększał wypukłość małych piersi, przez chwilę pozowała przed lustrem, naciągając materiał w talii, uwydatniając biodra. Była jeszcze o dwa e-lata za młoda na profesjonalną zmianę kształtów. Shido unikali takich kosmetycznych poprawek, dopóki ciało jeszcze się rozwija. Tylko że Shido nie mają już nic do powiedzenia, uświadomiła sobie nagle. Nic, co wiązało się z Ziemią, nie miało już żadnego znaczenia. Gdyby miała pieniądze i znalazła chirurga plastycznego, gotowego za odpowiednią sumę wykorzystać swoje umiejętności, mogła zmienić się w dowolny sposób. Stać się wyższą lub niższą. Tęszą lub szczuplejszą. Mieć jaśniejszą lub ciemniejszą skórę, wedle kaprysu lub nakazów mody. Tej myśli towarzyszył dziwny przypływ pewności siebie. Shido zawsze traktowali ją jak dziecko, tak więc pozostała dzieckiem. Tylko że nie było już Shido. Kim więc teraz była?

Jeszcze nie dorosła, pomyślała, spoglądając w lustro. Jednak i nie tą, którą byłam. Kimś pośrednim. Zmusiła się, by uważnie przyjrzeć się sobie i spróbować ocenić, co mogą dostrzec w niej inni. Nie było to łatwe. Studiując swój wygląd, czasem doznawała zawrotów

głowy, a nawet mdłości, chwilami tak silnych, że niechętnie spoglądała w lustro. Kiedyś zapytała o to nauczyciela, a on popatrzył na nią dziwnie - bardzo dziwnie - a potem wreszcie rzekł coś, że nastolatki często nie są pewne swojej urody, że to jej przejdzie... Tylko że odniosła nieodparte wrażenie, iż odnotował to w myślach. Dlaczego? Co czyniło ten fakt tak istotnym?

Nie powiedziała mu jednak, że czasem jej ciało wydawało się... no, obce. Jakby nie należało do niej. Jakby w głębi duszy spodziewała się ujrzeć w lustrze zupełnie inne rysy. Czasami odnosiła wrażenie, że ma nie taki wzrost, albo skórę białą zamiast czarnej, lub jej włosy powinny być ciemne, jasne bądź; ufarbowane na jeden z tych kolorów, jakie noszono na Ziemi a nie rudawo obrazowe... Nie potrafiła wymienić ani jednego rysu twarzy, ani cechy, która nigdy nie budziła w niej żadnych wątpliwości. Czasem wszystko wydawało się nie takie, a wtedy ogarniał ją tak nagły i potworny strach, że ta obca postać w lustrze zginała się wpół i wymiotowała. Jednak dzisiaj... Odetchnęła z ulgą. Dziś jej ciało wyglądało jak należy. Dzisiaj chyba wszystko było w najlepszym porządku.

Może to dobry znak, powiedziała sobie.

Chciałaby w to uwierzyć.

Drżącą dłonią otworzyła drzwi i zaczekała, aż odsuną się ze świstem. Zawahała się, a potem nabrała tchu i przeszła przez próg. Głosy w jej głowie wrzeszczały, by uciekła do kabiny i ukryła się tam, bo to jedyne bezpieczne miejsce... Jeśli jednak pozwoli, by nią rządziły, naprawdę postrada zmysły, tak więc kazała sobie odejść trzy kroki od progu, konieczne, by mechanizm wyczuł jej nieobecność i z sykiem zamknął za nią drzwi. No tak. Zrobiła to. Wyszła na zewnątrz. Gdyby tylko wiedziała, dokąd chce teraz iść...

Linowiec był ogromny i luksusowy, jak przystało na plac zabaw dla bogatych podróżnych. Potrzeba lat, żeby go zwiedzić - na pewno więcej niż trzy e-lata lotu w jedną stronę, a nawet sześć lat podróży w obie. Kto wie, ilu dzięki temu uniknięto kłopotów? W jego wnętrzu nastolatki zdobywały niezależność, znajdując dość tajemnych korytarzy i zakazanych zakamarków, by zaspokoić wymagania nawet najbardziej niespokojnego młodzieńczego ducha. W labiryncie kabin buntownicy mogli tworzyć swoje miasta-państwa, oparte na dowolnych umowach społecznych - nawet zmieniając układ pomieszczeń, jeśli mieli na to wystarczające środki. Warianci mogli odizolować się od swych prawdziwie ludzkich sąsiadów lub kroczyć wśród nich przy wtórze okrzyków zdumienia i mamrotanych modlitw, odgłosów niedowierzania, jakich (przynajmniej tak uczono Jamisę) nie wydaje się w uninecie. A ci prawdziwi ludzie, którzy nie chcieli lub nie potrafili znieść widoku

zmutowanych kuzynów, mogli wycofać się do tej części statku, gdzie ofiary Hausmana nie miały wstępu. Tam mogli stworzyć sobie namiastkę ziemskiego sanktuarium na trzy lata lotu.

Tak więc miała aż za dużo możliwości do wyboru. Przez chwilę sama konieczność wybierania wydawała się tak przytłaczająca, że Jamisia była gotowa natychmiast wrócić do swojej kabiny - nie rezygnując z wycieczki, powiedziała sobie, tylko odkładając ją na później. Jednak przerabiała to już dostatecznie często, by wiedzieć, że godzinna zwłoka przedłużała się do dwóch godzin, te do trzech... a z trzech robił się cały e-dzień, spędzony w bezpiecznym zakamarku kabiny, podczas gdy głosy w jej głowie zawodziły triumfalnie. Nie. Nie tym razem. Przygryzając z determinacją wargę, skierowała się w lewo - ku dziobowi wielkiego statku - i miarowym krokiem ruszyła na pokłady pasażerskie.

Niebawem wąski korytarz doprowadził ją do szerszego przejścia, gdzie zaczęła napotykać innych pasażerów. Przeważnie byli to prawdziwi ludzie, ale niektórzy Warianci również mieli kabiny w tym sektorze lub zmierzali na spotkanie z tymi, którzy tu mieszkali. Starła się na nich nie gapić. Nauczyciel mówił jej, że w kosmosie często spotyka się Wariantów i gapienie się na nich jest przejawem braku wychowania, ale trudno było tego nie robić. Pierwszy, którego teraz napotkała, bardziej przypominał pająka niż osobę. Miał szereg kończyn sterczących parami z torsu, a owadzi sposób, w jaki się poruszał, z ciałem ustawionym równoległe do podłogi, jeszcze powiększał to wrażenie. Jego oczy pokrywała gruba biała błona, więc kiedy go mijała, nie potrafiła orzec, czy zachował zdolność ludzkiego widzenia, czy też „widział” ją dzięki jakimś mechanicznym przyrządom. Uniosła dłoń w uprzejmym pozdrowieniu, a potem pospiesznie odwróciła wzrok. Nauczyciel mówił, że taki gest jest neutralny kulturowo i używają go wszyscy Warianci... A co z tymi, którzy nie mają dłoni albo używają ich jako stóp? Czy oni też uszanują taki gest, czy też rozgniewają się na jego somatyczną arogancję? Nic dziwnego, że dyplomacja była tak subtelną dziedziną wiedzy...

Minęła Fryzjanina, którego ciało pokrywały nakładające się łuski, niczym zbroja jakiegoś pradawnego ziemskiego gada. Potem Iotanina, którego twarz wyglądała, jakby była przyklepiona do wielkiej, nieforemnej czaszki. Napotkała parę Wariantów z Hellsgate, których długie i chude kończyny drżały nieustannie w pantomimicznej namiastce mowy. Oni wszyscy są ludźmi, mówiła sobie, gdy Wariant z Gehenny spojrzał na nią ze źle skrywaną pogardą. Zadrzała. Wszyscy, co do jednego, są ludzkimi istotami. Różnice są tylko powierzchowne. Jednak nie była to cała prawda i Jamisia wiedziała o tym. Byli przecież Lakisowie o zdeformowanych mózgach, ledwie zdolnych do ludzkiego rozumowania. Oraz Yinowie o niewykształconych prawych półkulach mózgowych, mający telepatyczne zdolności i

powłóczący lewymi nogami. I oczywiście Gueranie - najbardziej przerażający ze wszystkich! - których odchylenia psychiczne odzwierciedlały dawne formy ziemskiego szaleństwa, równie niepodobni do siebie, jak ona do wszystkich tych Wariantów. Oni byli obcymi w pełnym znaczeniu tego słowa, a jeśli nawet wyglądali jak Ziemianie, to był to tylko kaprys natury.

Skreśliła, nie dochodząc do pierwszego wspólnego pokładu, unikając tamtejszego targowiska i przetaczających się po nim tłumów. Już raz - tylko raz - odważyła się tam pójść i natychmiast tego pożałowała. Wprawdzie urodziła się na Ziemi, ale wychowała w osiedlu i zanim dożyła dziesięciu lat, zapomniała zatłoczone ziemskie miasta, z ich ścisaniem, brudem i wyczuwalnym napięciem, grożącym wybuchem zamieszek. Może później będzie w stanie poradzić sobie w takim tłumie - podziwiać jego energię, determinację i pęd - lecz w tym momencie wszystko to budziło w niej tylko lęk. O czym, ku swemu zawstydzeniu, przekonała się już kiedyś, właśnie tutaj.

Mijając kulistą budowlę, zerknęła w jej główne wejście, na artykuły z tysiąca stacji i osiedli, zwisające z drzewek-wieszaków, ze ścian, a nawet ramion kilku rozentuzjasmowanych klientów. Powiadano, że na pokładzie liniowca można nabyć każdy istniejący we Wszechświecie towar. Bez trudu mogła w to uwierzyć. Cienkie jak pajęczyna chusty powiewały na wieszakach, gdy mijali je pasażerowie wielkiego statku, przebierający w delikatnych klejnotach z Hellsgate, gorzko-słodkich łakociach ze stacji Aires, muzycznych sześcianach z Candidy. I hełmy. Niemal wszyscy pasażerowie liniowca nosili je przez cały czas, bardziej jako wymóg mody (jak podejrzewała Jamisia) niż z rzeczywistej potrzeby. Zauważyła kobietę - miała na głowie hełm w formie złotego sępa, który trzymał za jej uszami swe wspaniale rzeźbione skrzydła. Inna nosiła kunsztownie plecioną woalkę naszywaną klejnotami, które migotały przy każdym jej ruchu. Ze skroni jednego mężczyzny opadały surrealistycznymi zwojami srebrne druty, a inny, bardziej ekstrawagancki od innych, nosił parę sterczących kryształowych rogów za uszami. Taka moda miałaby sens, gdyby statek znajdował się w pobliżu jednej z kosmicznych stacji, gdyż wtedy hełmy mogłyby połączyć właścicieli z uninetem, a przez nią z miliardem innych umysłów i baz danych. Tutaj były tylko dziwaczną ozdobą, jeszcze niezwyklejszą ze względu na swą bezużyteczność.

Za targowiskiem znajdował się szereg rur transportowych. Jamisia przystanąła i po chwili wahania otworzyła luk najbliższej, po czym wślizgnęła się do środka. Jak wiele takich rur w liniowcu, ta również miała służyć zarówno do transportu, jak i rozrywki, więc gdy Jamisia znalazła się w stanie nieważkości, przezroczyste ściany sprawiały wrażenie, że spada w ciemną otchłań przestrzeni. Obok pomrukiwał uchwyt, zachęcając, by się go przytrzymała,

ale spędzone w osiedlu lata sprawiły, że takie przemieszczanie stało się jej drugą naturą. Kilkoma dobrze wymierzonymi kopnięciami nadała swemu ciału dostateczną szybkość, by bez pomocy polecieć środkiem rury. Ze wszystkich stron rozpościerały się gwiazdy, których światło przerywane było złowieszczymi zwojami ogona liniowca. W rurach transportowych panowała cisza, aczkolwiek trochę złowroga - jakby wszyscy umilkli, zachwyceni pięknem tego widoku. Jednakże ta cisza była krótkotrwała i skończyła się, gdy szereg czerwono świecących kręgów ostrzegł, że należy zmniejszyć prędkość. Zaczęła ocierać miękkimi podeszwami butów o ściany, nadal nie przytrzymując się uchwytu. Nauczyciel powiedział jej kiedyś, że przystosowuje się do nieważkości jak kot, lecz w rzeczywistości była jeszcze nastolatką i jak wszystkie osiedlowe dzieci uczestniczyła w tylu zakazanych zabawach i grach w rurach transportowych, że korzystanie z nich weszło jej w krew.

Gdzie się znalazła? Zerknąwszy przez ścianę rury ujrzała nieznaną jej sektor liniowca, błyszczący od kabin jakiegoś dziwnego kształtu. W oddali dostrzegła przezroczystą kulę z jakimś ogrodem lub parkiem rozrywki, znajdującą się już w przestrzeni.

Przyjrzała się jej dokładniej i odniosła wrażenie, że widzi jakieś gałęzie, przedziwnie poskręcane konary, surrealistyczną rzeźbę z kory i chlorofilu. W ścianach tej bańki osadzono jaskrawe światła, niczym miniaturowe słońca, nie pozwalające dokładniej przyjrzeć się temu, co znajdowało się w środku. Jamisia uświadomiła sobie, że widziała tę kulę z kapsuły i wie, co to takiego. Wypadła z rury, zachwiała się lekko w niespodziewanie silnym polu grawitacyjnym tego sektora, a potem znalazła następną rurę, biegnącą w pożądanym kierunku.

Po trzech przesiadkach i krótkim spacerze znalazła się na miejscu. Rzeczywiście był to ogród, jeden z najdziwniejszych na pokładzie liniowca. Rosło w nim tylko jedno drzewo, bananowiec z Ziemi, kultywowany w sztucznym polu grawitacyjnym i sztucznym oświetleniu, pozwalającym mu rosnąć. Tyle że ciężenie się zmieniało, a lampy przesuwaly, i w rezultacie powstało coś monstrualnego i cudownego, budzącego podziw w całym znaczeniu tego słowa.

Głosy w jej głowie były cichsze niż zwykle, nadal pomrukiwały swoje nie kończące się komentarze, ale choć raz zadowolając się miejscem w tylnych rzędach. Była to rzadka i wspaniała chwila. Wśród listowia wiły się ścieżki, więc ostrożnie weszła na jedną, zauważając, że niektóre przewieszały się tak, że żaden człowiek nie zdołałaby z nich skorzystać przy wyłączonej sztucznej grawitacji. Widok zapierał dech w piersi, a wijące się nad jej głową schody i poręcze wyglądały jak jakaś surrealistyczna rzeźba. I wszędzie wokół niej drzewo rosło, pulsowało, żyło. Korzenie wylewały się falującym strumieniem z

poskręcane pnia i gromadziły na chodniku pod jej nogami. Boczne odgałęzienia wili się obok ścieżki, wyglądając jak ogromna sprężyna, która w każdej chwili może się rozprężyć i rzucić Jamisę na ścianę ogrodu. Były tam dolinki zakryte cienkimi korzeniami, niczym pajęczyną, oraz splecione ze sobą pnie, tworzące skomplikowane figury, pokryte brązową korą.

Była tak zajęta podziwianiem tego widoku, że prawie nie dostrzegła idącego za nią mężczyzny, niemal nie zauważyła, że poszedł za nią spod ściany ogrodu na sam środek. Prawie.

Głosy ostrzegły ją nagłym krzykiem. Nie zważając na nie, powoli i spokojnie odwróciła się, by sprawdzić, kto ją śledzi.

Zobaczyła, że to nastolatek, niewiele starszy od niej. Miał na sobie mundur członka załogi, lecz był zdecydowanie za młody, żeby go nosić. Tak więc musiał być krewnym, zapewne sprawiającym kłopoty wychowawcze synem, który miał za dużo czasu i nie mógł się doczekać końca podróży. Był przystojny, w pewien szczególny sposób, miał czarne włosy i oczy, przyjemną twarz o wyrazistych rysach; był szczupły, lecz dobrze zbudowany... Nagle uświadomiła sobie do czego zmierzają jej myśli i pospiesznie odepchnęła je od siebie. To nie czas na randki, powiedziała sobie.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem - powiedział. Zdołała wzruszyć ramionami.

- Nie spodziewałam się, że ktoś tu jest.

Podszedł jeszcze kilka kroków - nie za blisko, zauważyła, jakby wyczuł, że to może ją wystraszyć. Czy wiedział, że pod wpływem głosów mogłaby uciec przed nim, wrzeszcząc z przerażenia, gdyby sprowokował ją tylko jednym nieopatrzonym słowem lub jakimś niewinnym gestem? Zaczerwieniła się, patrząc na niego, i nakazała programowi zdrowotnemu, by wpuścił do jej krwiobiegu małą dawkę środka uspokajającego. Tylko odrobinę. Czasem człowiek tego potrzebuje.

- Jesteś z czerwonego sektora, prawda? - Nie odpowiedziała. Skąd wiedział, gdzie mieszkała? Czy spotkała go już wcześniej? - Justin Clarendon - rzekł i wyciągnął do niej rękę.

Nie - wrzasnął jeden z głosów. *Nie dotykaj go!* Jednak ten głos sprzeciwiał się wszelkim kontaktom z ludźmi, niezależnie od sytuacji, więc już dawno nauczyła się nie zwracać na niego uwagi.

- Jamisia... hm, Capra. - Ujęła jego dłoń i uściśnęła, zaskoczona jej ciepłem. Poczowała coś, co nie było lękiem, lecz dziwnie przyjemnym uczuciem. - Clarendon... Czy to nie...?

- Tak. Obawiam się, że tak. - Zawahał się, nim puścił jej rękę. - Krewny kapitana. - Potem na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech, a czarne oczy zabłyśły. - To nie ma znaczenia, naprawdę. Chyba że wpadnę w tarapaty. Wtedy dopiero jest piekło.

Uciekaj od niego!

Szukasz kłopotów, Jamisio...

Chociaż raz zgadzała się z głosami. Niebezpiecznie było rozmawiać z kimś i nawiązywać kontakty. Spójrz, jak niewiele brakowało, a zapomniałaby swojego nowego nazwiska. To może się powtórzyć, a jeśli wymknie się jej z ust słowo „Shido”, to co się stanie? Mimo wszystko nie potrafiła tak po prostu odejść. Zamiast tego uśmiechnęła się i powiedziała:

- Czy to ci się często zdarza?

Choć głosy w jej głowie protestowały chórem, nie zwracała na nie uwagi. On znów się uśmiechnął.

- Obawiam się, że jej zdaniem za często.

- Nie wydaje mi się, żeby tu można było wpaść w jakieś kłopoty.

- Och, można. - Podeszedł krok bliżej i poczuła, że oblewa ją nowa fala gorąca, ale nie była w stanie się cofnąć. Albo nie chciała. Przez ten e-miesiąc, jaki spędziła na liniowcu, unikała wszelkich kontaktów z ludźmi, więc w rezultacie tęskniła za towarzystwem. Przecież kilka minut i kilka zdań nie zaszkodzi. - Są tu miejsca, gdzie ludziom nie wolno wchodzić. Wszystkie są zamknięte i pilnie strzeżone. Za wchodzenie tam grozi wysoka kara.

- Ale ty tam byłeś? Uśmiechnął się.

- Cóż, przyznając się do tego, znowu napytałbym sobie kłopotów, no nie?

Mimo woli uśmiechnęła się. Był miły, ujmujący i w innym czasie oraz miejscu zainteresowałaby się nim i nie ograniczyła do krótkiej rozmowy. Jednak tu i teraz nie powinna nawiązywać żadnych bliższych kontaktów, tak więc powstrzymała się i nie przechyliła głowy w taki sposób, jaki podoba się chłopcom, nie uśmiechnęła się zachęcająco i nie podeszła, by, mówiąc, dotknąć palcami jego ramienia. Chociaż miała na to wyraźną ochotę. To pragnienie było tak normalne, że wprost odświeżające.

Tak, już kiedyś ją spotkał. Wynikało to z tego, co mówił. Powiedział, że widział ją i zastanawiał się, kim była, a nawet zajrzał do rejestrów statku, żeby się tego dowiedzieć. Najwidoczniej na pokładzie nie było wiele pasażerek w jej wieku, które podróżowałyby same, a te nieliczne zwykle sprzedawały swoją wolność, żeby opłacić podróż. Tymczasem ona podróżowała sama i nie była bogata - a przynajmniej nie afiszowała się ze swoim bogactwem i nie odpracowywała trzyletniej podróży.

Zaintrygowała go. Dlatego za nią poszedł. A teraz wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że chętnie poznałby ją lepiej. Och, jakże pragnęła takiego zainteresowania! Jednak to zbyt niebezpieczne, mówiła sobie. Nie odważy się zbliżyć do nikogo. A już na pewno nie do tego pewnego siebie młodzieńca o ciemnych i roziskrzonych oczach, w którego obecności tak łatwo mogłaby się z czymś zdradzić.

- Posłuchaj - powiedziała w końcu, z trudem wydobywając z siebie słowa, z wysiłkiem wymawiając każdą sylabę - naprawdę muszę już wracać do mojej kabiny. Mam sprawy, którymi muszę się zająć...

- Odprowadzę cię.

- Nie! Ja... nie. - Zająknęła się i skrzywiła, zniesmaczona własną nieporadnością. Czy nie stać jej na nic lepszego? - Muszę... Mam kilka spraw...

Pokiwał głową, rozważając wymówkę. Potem powiedział cicho:

- Chciałbym znów cię zobaczyć, Jamie. Zarumieniła się.

- Nie wiem. To nie... Chciałam powiedzieć, że...

Jednak tym razem nie znalazła zręcznego wykrętu i urwała w połowie zdania.

- A więc nie powiedziałaś „nie”?

Nabrała tchu, a potem powoli pokręciła głową.

- Nie - szepnęła. - Nie mówię „nie”. Uśmiechnął się.

- A więc będę musiał jakoś cię skusić. Wymyślić jakieś zajęcie na pokładzie tego statku, coś, czego nie zdołasz zrobić beze mnie.

Dlaczego zadajesz sobie tyle trudu? - miała ochotę zapytać. Co też we mnie widzisz, że tak się starasz? Zamiast tego tylko leciutko skinęła głową.

- Tak - szepnęła. - Jeśli tak.

Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo! - krzyczał głos. *Zbyt wiele się dowie! Już za dużo wie! Będziemy bezpieczniejsi sami!*

Dopiero później, kiedy wróciła do krzepiącej samotności swojej kabiny, uświadomiła sobie, jak dziwne były te ostatnie słowa. I choć właściwie był to drobiazg, z jakiegoś powodu dreszcz przeleciał jej po krzyżu. *Będziemy bezpieczniejsi sami...*

Dotychczas głosy zawsze zwracały się bezpośrednio do niej albo spierały ze sobą. Nigdy nie występowały zgodnie. Nigdy nie wykazywały poczucia tożsamości, pozostając oderwanymi zdaniami, pojawiającymi się i znikającymi w jej mózgu.

Jaką moc ma jeden zwykły zaimek, pomyślała. Jedno słowo. W dodatku niezbyt długie. A jednocześnie ta myśl przerażała ją, nie wiadomo dlaczego.

My.

*

„Znalazłem drogę do Mohammed's City - głosiła notatka. - Chcesz tam pójść? J.C.”.

W okrętowej bazie danych nie znalazła żadnej wzmianki o takim miejscu, przynajmniej nie pod tą nazwą. Co wcale nie oznaczało, że ono nie istnieje. To „miasto” mogło zostać niedawno tak nazwane i jeszcze nie wciągnięte do dziennika okrętowego. Albo mogło to być określenie slangowe, nie uznawane oficjalnie, więc nie odnotowane w bazie. „Znalazłem drogę do Mohammed's City”. Sugerowało to, że normalnie nie można się tam dostać. Oznaczało, że nawet uprawnienia syna kapitana statku nie wystarczały, by tam dotrzeć. Potrzebne były specjalne środki.

Chcesz tam pójść?

Spoglądała na te słowa przez długą, długą chwilę, wiedząc, co powinna odpowiedzieć. Przez tydzień nie wychodziła z kabiny, obawiając się, że znów go spotka. Miała niepokojące sny, niektóre wypełnione wizjami płonącego Shido, inne tak jawnie erotyczne, że budziła się drżąca, zawstydzona tymi wizjami. Oczywiście, miewała już takie koszmary - były brzemieniem i częścią jej życia. Zazwyczaj po takich snach znajdowała w swoim pokoju różne rzeczy albo znajomi cytowali jej wypowiedzi, jakich sobie nie przypominała. Jakby na jakiś czas zacierała się granica między jawą a snem i koszmary przechodziły do prawdziwego życia.

Tak więc miała wszelkie powody do obaw. Istotne powody, aby unikać kontaktu z ludźmi, inaczej ktoś odkryje jej obcość, jej inność, po czym nie dopuszczą jej do *ainniq*. Wiedziała, że aberracje psychiczne były tam równie niepożądane jak choroby *zakaźne*, a Gueranie badali stan zdrowia wszystkich emigrantów. Co by się stało, gdyby dotarła do stacji tranzytowej tylko po to, żeby tym samym liniowcem odesłali ją na Ziemię?

Dlatego powinna odmówić. Miała po temu ważne powody. Natomiast co do tego, dlaczego miałyby się zgodzić... Ze względu na jego twarz. I oczy. A także nieznośną nudę. Oczywiście, to za mało. Rozumiała to. Prawda?

Jednak słowa uformowały się jakby z własnej woli. Jakby tę odpowiedź wysłał pocztą elektroniczną ktoś inny.

Bardzo chętnie, odpowiedziała. Gdzie się spotkamy?

*

Tunel był ciasny, jak przystało na kanał wentylacyjny, nie przeznaczony do poruszania się w nim. Jeśli zanadto uniosła głowę, uderzała nią o sufit i musiała pełzać jaszczurczymi ruchami, do jakich nie są przystosowane ludzkie kończyny. Dobrze że czasem napotykali szersze odcinki, gdzie mogła zrównać się z nim i złapać oddech. Przez większą

część drogi musieli poruszać się jedno za drugim i z trudem dotrzymywała kroku wprawnie poruszającemu się przewodnikowi.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie kanał był szerszy i chłopak przycisnął się do bocznej ściany, robiąc miejsce dla Jamisi. Przed nimi znajdowała się kratka z jakiejś syntetycznej substancji. A za nią...

- Staraj się mówić cicho - ostrzegł szeptem. - Te kanały wzmacniają dźwięk.

Za nią była ogromna sala, pełna pięknie udekorowanych straganów, najwyraźniej rodzaj targowiska. Tylko że tu nie zauważyła jaskrawych strojów ani gablot z biżuterią czy obcych kosmetyków - w ogóle żadnych ozdóbek. Do kanału, w którym byli ukryci, napływały zapachy jedzenia, egzotyczne aromaty drażniące nozdrza. Na niektórych straganach był wystawiony sprzęt elektroniczny.

Skromnie ubrani ludzie przystawali, by posmakować, wypróbować towar lub się potargować. Słyszała strzępy zdań w co najmniej kilkunastu językach. Nie licząc tego, że wszyscy nosili jakieś nakrycia głowy, wyglądali jak klientela każdego innego targowiska.

- Dlaczego nie wolno tu przychodzić? - zapytała szeptem. Do sali weszła jakaś kobieta - a przynajmniej wydawało się, że to kobieta, pod czarną szatą skrywającą jej ciało i głowę, odsłaniającą tylko dłonie i oczy. Jej strój najwyraźniej był typowy dla jakiejś planety o wysokim ciśnieniu, której grawitacja pozwalała na noszenie długich szat. Jamisia zastanawiała się, co ta kobieta wkładała, wchodząc do rur transportowych.

- Zasady ich religii zakazują wyznawcom wykonywać rozkazy niewiernych - odparł szeptem. - Większość współczesnych) sekt robi wyjątek dla tego statku - w końcu to tylko środek transportu - lecz ci ortodoksi uważają liniowiec za niezależną stację, tak więc nie mogą wejść na jego pokład, dopóki dowodzi nim niewiemy. To poważny problem, gdyż religia nakazuje, by każdy z nich przynajmniej raz odwiedził ich założycielskie miasto na Ziemi, a tylko tak mogą się tam dostać. Pogubiła się.

- A mogą mieszkać wszyscy razem w jednym miejscu?

- Nie chodzi tylko o to, żeby byli razem - wyjaśnił. - Cały ten sektor jest pod ich nadzorem. Rządzą się tu własnymi prawami i nie uznają przepisów obowiązujących na statku ani ziemskiego prawa. Mają tu nawet swojego przywódcę, który sprawuje rządy - kapitan statku nie ma tu żadnej władzy. I nikt inny nie ma tu nic do powiedzenia, nawet jeśli łamią prawa Ziemi.

Odwróciła się od kraty i spojrzała nań. Jego czarne oczy błyszczały w padającym z dołu świetle.

- To niewiarygodne - szepnęła. Skinął głową.

- Teraz rozumiesz, dlaczego trzeba ich było oddzielić od pozostałych, prawda? Każdy konflikt z innymi pasażerami mógłby i przerodzić się w poważny problem. I nie byłoby wiadomo, według czyich praw go rozsądzić.

Zauważyła, że przysunął się do niej tak, że ich ciała się zetknęły. Delikatnie, och jak delikatnie. Gdyby chciała, mogłaby się odsunąć, było na to jeszcze kilka centymetrów miejsca.

- Patrz - zachęcił, ponownie kierując jej uwagę na rozpościerający się w dole widok. Na salę wszedł mężczyzna w długiej szacie, z towarzyszącym mu młodym sługą. Chłopiec miał na sobie tylko zgrzebne szorty i znoszone buty, w których wydawał się odstawać od starannie odzianego tłumu. Mężczyzna kupował rozmaite artykuły i wręczał je chłopcu, który ugiął się pod ich ciężarem. Niektóre były duże i nieporęczne. Widziała, jak tragarz napina mięśnie, usiłując utrzymać towary w ramionach.

- Kontraktowy sługa? - szepnęła. Znała ten układ, chociaż na Ziemi już dawno został zakazany.

- Coś więcej. - Mężczyzna odwrócił się i rzucił kilka ostrych słów chłopcu, który zaczerwienił się i energicznie skinął głową. - Pamiętaj, że ta podróż jest obowiązkowa: jeśli za życia nie odwiedzisz Ziemi, to po śmierci nie pójdziesz do nieba. Tak więc każdy ortodoks musi prędzej czy później spędzić sześć lat życia na liniowcu, czy stać go na to, czy nie. Najwidoczniej niektórych nie stać. Inne sekty obchodzą ten nakaz, ustanawiając rozmaite święte miejsca na pobliskich światach, żeby biedni mieli jakąś tańszą alternatywę, lecz ci wyznawcy nie uznają żadnych wyjątków. Każdy musi odwiedzić prawdziwe święte miasto. - Ruchem głowy wskazał chłopca, nadal zmagającego się z bagażem. - Tak więc ci, którzy nie mają pieniędzy na podróż, sprzedają się komuś za cenę przelotu. Sądzę, że to rodzaj umowy kontraktowej, trwającej siedem lat, bez możliwości wcześniejszego wypowiedzenia. Po jej podpisaniu nie chroni cię żadne prawo.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, chłopiec odwrócił się do nich plecami i Jamisia z trudem powstrzymała okrzyk zgrozy. Białą skórę przecinała siatka blizn, świeżych i starych, od prostych czerwonych śladów po uderzeniach batem po podkowiaste oparzenia po elektrycznej palce.

- To jedyne miejsce w kosmosie Gildii, gdzie nadal istnieje niewolnictwo - szepnęła. - Moim zdaniem to dziwne, że na to pozwalają.

Teraz przysunął się do niej jeszcze bardziej, tak że całym ciałem czuła bijące od niego ciepło. Na myśl o tym poczuła lekkie mrowienie skóry i wypływający na policzki rumieniec. Nie mogła zaprzeczyć, że jej się podobał i w każdym innym momencie życia mogłaby

przytulić się do niego, spojrzeć mu czule w oczy lub inaczej zasygnalizować, że pociągają seksualnie. Ale tutaj! Na liniowcu była zbyt bezbronna, jej życie legło w gruzach, teraz nie mogła sobie pozwolić na komplikacje wynikające z bliskiego związku... Tak więc z żalem, szczerym żalem, odsunęła się od niego troszeczkę, wystarczająco, by dać mu znać, że to nie miejsce na karesy...

A raczej próbowała to zrobić. Jednak jej ciało nie uczyniło tego, czego oczekiwała. Kazała mu odsunąć się, a tymczasem ono przytuliło się do niego. To uczucie było przerażające, obezwładniające. Jej dłoń uniosła się do jego twarzy i delikatnie pogładziła policzek. Jamisia nie panowała nad tym, zupełnie. Jakby jej ciało należało do obcej osoby, a ona tylko była w nim uwięziona jako bierny widz.

Strach zimną dłonią ścisnął jej serce. W duchu trzęsła się z przerażenia, chociaż objęła go ramionami, przyciągając do siebie. *NIE NIE NIE NIE NIE!* Ich usta spotkały się w głodnym pocałunku i poczuła, jak żar rozchodzi się po jej ciele... I wciąż nie panowała nad nim, zupełnie, była tylko widzem swoich własnych poczynań. On objął ją jedną ręką, a drugą przesuwał po jej ciele.

W duchu krzyczała rozpaczliwie, usiłując wydobyć z siebie choć słowo... Lecz ciało tylko westchnęło i wtuliło się w niego, zachęcając do pieszczot. Jakby ktoś przeciął jakąś żywotną więź między jej ciałem i duszą, a miejsce tej ostatniej zajęło coś obcego. Uwięziona w swojej głowie, z całej siły waliła w niewidzialne ściany więzienia, lecz na próżno. Objął jej pierś, i rozkosz, gorąca i przepojona poczuciem winy, jak narkotyk odurzyła mózg Jamisi. *NIE NIE NIE...*

A wtedy, w chwili, gdy wydawało się, że jej mózg eksploduje, nadszedł jeden cudowny moment otrzeźwienia, kiedy odzyskała kontrolę nad swoim ciałem. Poczuła, że jej ręce znów reagują na rozkazy, i z jękiem mocno odepchnęła go od siebie. Zaskoczony, z głuchym łoskotem uderzył o ścianę tunelu. W innym miejscu i czasie mogłaby się zaniepokoić, że ten odgłos zostanie usłyszany w wielkiej sali na dole, zwracając uwagę na ich kryjówkę, ale teraz wcale się tym nie przejęła. Szlochając z przerażenia, wiała się w ciasnej przestrzeni, aż odwróciła się i zaczęła uciekać wąskim tunelem. Ciasne przejście utrudniało szybkie poruszanie się, ale strach dodał jej sił, więc jak najszybciej czołgała się na kolanach i łokciach. Jeśli Bóg da, pozwoli jej odejść i nie pójdzie za nią. Jeśli Bóg da, odnajdzie powrotną drogę. Jeśli Bóg pozwoli, to ta dziwna siła, która na kilka minut zawładnęła jej ciałem, uzna się teraz za pokonaną i nie zmusi jej, żeby się zatrzymała i od nowa podjęła przerwane pieszczoty, których wspomnienie już teraz rozpalało w niej krew...

Dyszając, z otartymi łokciami, dotarła do pierwszego rozwidlenia systemu wentylacyjnego i odważyła się obejrzeć przez ramię, gdy tylko pozwoliła na to szerokość tunelu. Najwyraźniej nie podążył za nią, a jeśli to zrobił, to znacznie wolniej. Strach odrobinę rozluźnił lodowatą dłoń, którą ścisnął jej serce, lecz mimo to nie zwolniła. Musiała wydostać się stąd, uciec od niego, zanim znów wydarzy się coś strasznego.

Co to było?! - krzyczała, a słowa niemo odbijały się w jej mózgu. Co to było, do diabła?

Żadnej odpowiedzi. Głosy, chociaż raz, milczały. Wydawało się, że minęły wieki, zanim w końcu dotarła do miejsca, gdzie weszli do systemu wentylacyjnego. Ze szlochem, nie myśląc o tym, że ktoś może ją zobaczyć, kopniakiem wybiła kratkę zasłaniającą luk i wysliznęła się przez wąski otwór. Ciężenie było tu tak wysokie, że padając, uderzyła głową o podłogę i poczuła przeszywający ból w ręce. Łzy stanęły jej w oczach, z bólu i strachu. Rękawy kombinezonu miała przetarte, a z podrapanych łokci ciekły strużki jakiejś lepkiej cieczy. Z łkaniem zaplotła ramiona na piersi, usiłując zasłonić rozdarcia, po czym zaczęła biec. W takiej pozycji trudno jej było złapać równowagę, a ponadto nogi uginały się pod nią ze strachu. Kilkakrotnie przewróciła się i przy każdym upadku czuła przeszywający ból w ramieniu.

Och, proszę, daj mi wrócić bezpiecznie do domu, modliła się w duchu. Proszę, proszę, proszę...

Korytarze, korytarze i znów korytarze. Mijała innych pasażerów, którzy zerkali na nią i pospiesznie odwracali głowy. Widocznie wyraz jej twarzy był zbyt przerażający, by dłużej na nią patrzeć. W końcu znów znalazła się w czerwonym sektorze i z łkaniem pobiegła ku jedynemu bezpiecznemu miejscu, jakie jej pozostało. Zamek w drzwiach przez chwilę nie poznawał odcisku jej kciuka, gdyż ten był oblepiony krwią. Kiedy zrozumiała, w czym rzecz, otarła palce o nogawkę kombinezonu, tak mocno, aż zapiekła ją dłoń. Potem drzwi rozsunęły się i Jamisia wtoczyła się do środka.

- Zamknij! - wykrztusiła.

Drzwi bezgłośnie wykonały rozkaz, odcinając ją od świata.

Mdłości wstrząsnęły nią nagle, z potworną siłą, jakby przerażenie zmaterializowało się w jej wnętrznościach i ciało usiłowało je wydalić. Ledwie zdążyła dowlec się do zlewu, zaczęła wymiotować raz po raz, jakby nigdy nie miała skończyć. Teraz, kiedy wreszcie była bezpieczna, tak bezpieczna, jak mogła być na tym statku - wróciły wspomnienia tego, co się stało, równie świeże, jakby nadal była w kanale wentylacyjnym. Horror uwięzienia we własnym ciele, które porusza się niezależnie od jej woli, jak pociągana za sznurki

marionetka... I jeszcze gorsze wrażenie, iż ktoś umieścił w jej głowie obce myśli, w wyniku czego część jej umysłu wcale nie chce się uwolnić.

Tracę zmysły, pomyślała. A teraz on o tym wie. Kiedy przyjdą, by zabrać mnie na leczenie i odesłać na Ziemię? Och, Boże, pomóż mi. Powoli osunęła się na podłogę i oparła o ścianę, czując w gardle gorącą, kwaśną ciecz.

- Pomóż mi - szepnęła. - Proszę...

Jednak nikt po nią nie przyszedł. I nikt nie pomógł. Chętnie usłyszałaby nawet głosy, gdyż te przynajmniej były znajomą, zrozumiałą i akceptowaną formą szaleństwa... Lecz tym razem głosy milczały.

Czekając.

*

SEN 2.0000 START

Kabina osiedla, widziana z kamery umieszczonej pod sufitem. Pięciu lekarzy stoi wokół siedzącej na fotelu dziewczynki. Na kieszonkach ich białych fartuchów widnieją jaskrawe emblematy korporacji Shido. Jeden z mężczyzn wyjął notebook i piórem świetlnym wprowadza notatki. Dziewczynka zamknęła oczy i oddycha szybko, lecz miarowo. Na głowie ma hełm z mnóstwem sterzących czujników, które przymocowano również do różnych części jej lekko odzianego ciała.

- Może powinniśmy dać już dziś spokój... - zaczyna jeden z mężczyzn.

- Cicho! - ucina inny, który najwyraźniej reprezentuje tu władzę, gdyż pierwszy nie protestuje.

Drugi mężczyzna obchodzi wkoło siedzącą na fotelu dziewczynkę, oglądając ją ze wszystkich stron. Jest młoda i krucha, ze złocistymi śladami po sińcach na jasnej skórze czoła i policzków. Z początku można odnieść wrażenie, że śpi... a potem dostrzec drgające mięśnie szczęk i mocno zacisnięte pięści. Wyczuwa się napięcie w jej płytkim, przyspieszonym oddechu.

- Jest za wcześnie, by oczekiwać rezultatów - podsuwa kobieta.

- Nie - zaprzecza główny lekarz. - Wcale nie.

- Może wyniki początkowych badań nie były reprezentatywne - sugeruje inna.

On mierzy ją wyraźnie gniewnym spojrzeniem. Czyżby śmiała kwestionować jego diagnozę?

- Była przysypana przez szesnaście e-dni, ranna i bez nadziei na ocalenie. To cud, że w ogóle przeżyła, szansa jedna na milion. Chcecie powiedzieć, że wyszła z tego z nietkniętą psychiką? Ze można zapomnieć o takim traumatyzującym przeżyciu? Ja nie sądzę. - Zwrócił

się do kogoś stojącego z boku, poza polem widzenia kamery. - Chcę mieć te wspomnienia, Shea. Macie je znaleźć i opanować. - Ponownie spogląda na dziewczynkę, a potem na kolegów. - Nie rozumiecie? Badanie wykazało potencjalną możliwość załamania nerwowego. Jeśli szybko nie zaczniemy stymulować odpowiednich traktów nerwowych, jej mózg może znaleźć jakąś inną drogę i uporać się z szokiem. - Znow zwrócił się do niewidocznego spiskowca: - Spróbuj jeszcze raz.

Przerwa. Dziewczynka cicho jęczy i lekko rozluźnia pięści. W jej mózgu obudziło się jakieś wspomnienie... ale nie to, którego potrzebowali.

- Negatywna reakcja na 327-A - melduje niewidoczny Shea.

- Przejsć do następnej sekwencji. Kolejna pauza. Pomruk aparatury...Dziewczynka wije się na fotelu, unosząc ręce nad głowę. Ze zduszonym okrzykiem próbuje wstać i bezwładnie pada na podłogę. Z jej gardła wydobywają się krzyki, bardziej podobne do zwierzęcego wycia niż odgłosów wydawanych przez człowieka. Sińce na jej twarzy nagle stają się jaskrawoczerwone i pulsujące.

Jedna z kobiet robi krok w kierunku dziewczynki, przystaje i spogląda na głównego lekarza, czekając na polecenia. On po chwili kiwa głową i kobieta klęka przy dziewczynce, delikatnie usiłując ją uspokoić. Oczywiście, na próżno. Hełm bezpośrednio stymuluje ośrodek pamięci i żadne łagodne słowa czy dotknięcia tego nie zmieniają.

Mężczyzna obserwuje to przez chwilę, po czym daje znak niewidocznemu technikowi. Pomruk aparatury słabnie, a potem zupełnie cichnie. Dziewczynka jeszcze przez chwilę pozostaje sztywna, z wyciągniętymi chudymi rączkami, jakby osłaniała się przed spadającym gruzem. Jakże długie musi się zdawać to krótkie wspomnienie, jak przerażające i beznadziejne! Potem dziewczynka z cichym jękiem wiotczeje i wyciąga się bezwładnie. Klęcząca przy niej kobieta bierze ją w ramiona i przez chwilę dziewczynka jest tylko dzieckiem, posiniaczonym i płaczącym.

- W porządku - mówi spokojnie główny lekarz. Mimo tego, co robią, nawet on odczuwa współczucie. - Na dzisiaj wystarczy. Sensuzi... - Ponownie zerka poza ekran. - Chcę mieć te wspomnienia zmapowane na piątek. Możesz to zrobić?

- Tak, proszę pana.

- A więc w przyszłym tygodniu przejdziemy do fazy numer dwa. - Kolejno przesuwa wzrok po swoich współpracownikach, przenikliwym spojrzeniem czytając w ich sercach. - To nie będzie przyjemne - ostrzega. - Jednak wszyscy wiedzieliście o tym, kiedy podpisywaliście umowę. Jeśli ktoś z was ma jakieś wątpliwości w związku z tym, co tu robimy - albo dlaczego

to robimy - może wyrazić je teraz. Nie chcę mieć żadnych problemów, kiedy zabierzemy się do pracy.

Czeka. Oni nic nie mówią. W końcu kiwa głową.

- Zatem w porządku. - Ruchem głowy wskazuje kłęczącą na podłodze kobietę, która zaczyna delikatnie zdejmować czujniki z ciała drżącej dziewczynki. - Chcę widzieć was tu wszystkich w poniedziałek, punktualnie o ósmej rano. A jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości, to pamiętajcie... - wyciąga rękę i gładzi wilgotne od potu włosy na głowie dziewczynki, nie czule, lecz gestem posiadacza - ...że pracujemy dla przyszłości Ziemi.

SEN 2.10000

START

Dziewczyna szarpie jarzma, bluzgając strumieniem przekleństw. W jej oczach pali się wściekłość i przy każdym wydechu opryskuje śliną dręczycieli.

- Nie ma, kurwa, mowy! - wrzeszczy wulgarnie, jak na tak młodą dziewczynę. Ten głos wydaje się zbyt chrapliwy, żeby mógł wydobywać się z jej gardła. - Nie pomogę wam z tym głównem! Rozumiecie? Pierdoleni mordercy, możecie wsadzić sobie ten projekt...

Syk automatycznej strzykawki przerywa tę tyradę. Dziewczyna podrywa się i bezgłośnie łapie ustami powietrze, jakby nagle pozbawiono ją zdolności mowy. Potem z westchnieniem zapada w głęboki sen.

Główny lekarz obserwuje ją przez chwilę, a potem ze zniechęceniem kręci głową. - Z tej - mówi spokojnie - nie będzie żadnego pożytku.

SEN 2.20000

START

W szeroko otwartych oczach dziewczyny maluje się strach.

- Kim jesteście? - szepce. - Gdzie ja jestem? - A potem z drżeniem: - Dlaczego tu jest tak ciemno?

On spogląda na lampę bezcieniową, włączoną na pełną moc, a potem znów na dziewczynę. Ze smutkiem potrząsa głową.

SEN 2.30000

START

Dziewczyna jest spokojna, niemal nienaturalnie, a kiedy mówi, jej głos jest opanowany i dojrzały, głos dorosłego w ciele dziecka.- Myślicie, że nie wiemy, co próbujecie zrobić, co? Dobrze wiemy, wszyscy. Tylko Jamisia tego nie rozumie. I oczywiście Zanny, ale to dzieciak i zajmiemy się nim. - Próbuje unieść ręce, ale są przywiązane do poręczy fotela. Spogląda na nie z przelotnym niepokojem, a potem wzrusza ramionami. - Co za

barbarzyństwo. Ale czegoż innego można się spodziewać? Sami nie wiecie, co robicie, prawda? Miotacie się po omacku, w nadziei że się wam uda... Nawet nie rozumiecie własnej pracy.

- Powiedz nam o tym - zachęca spokojnie główny lekarz. Razem z kolegami stoją nieruchomo jak stado drapieżców czekających na ofiarę. W ciszy między kolejnymi zdaniami słyszą ich oddechy, szybkie i wygodniałe. - Powiedz nam o naszej pracy.

Jednak dziewczyna odchyliła głowę, zamknęła oczy i dygocze. Nie odpowiada i niczym nie okazuje, że słyszała pytanie. Potem powoli znów otwiera oczy. Z wyraźnym zdumieniem rozgląda się wokół i stwierdza, że jest przywiązana. W końcu patrzy na głównego lekarza i z jej oczu można wszystko wyczytać: młodość, zdziwienie, strach.

- Gdzie ja jestem? - szepce Jamisia.

SEN 3.00000 START

Otoczenie wygląda tak samo jak w pierwszym śnie, lecz tym razem wszystko zasnuwa mgła. Z trudem można dostrzec coś, co znajduje się w odległości większej niż trzy metry. Wszystkie szczegóły zacierają się, a tuż za zasięgiem wzroku poruszają się jakieś bezkształtne cienie. Nauczyciel jest z nią, ale nawet on wydaje się ulotny, bezcielesny. Ona ma wrażenie, że gdyby spróbowała go dotknąć, ręka przeszłaby przez jego ciało.

- Jest tego więcej - mówi cicho nauczyciel. - Chcesz zobaczyć wszystko?

Ona odpowiada szeptem, z trudem dobywając słowa:

- Co się stało? Dlaczego wszystko wygląda tak... dziwnie?

- Ponieważ walczysz ze snem, Jamie. Boisz się tego, co ci pokaże.

Ona obejmuje się ramionami, drżąc, bez tchu.

- Czy to możliwe? Można zmienić program snu? Zdawało mi się, mówiłeś, że to nie...

- Większość ludzi tego nie potrafi. Ty...- Zdobywa się na wymuszony uśmiech. - Nawet nie wiemy, jakie są twoje możliwości. Może potrafisz i to.

We mgle zaczynają pojawiać się postacie. Z początku są tylko cieniami, które stopniowo przybierają konkretny kształt. Nastoletni chłopiec w podartej czarnej kurtce, z nożem przypiętym do pasa. Kobieta w skromnej sukni, z dezaprobatą marszcząca brwi. Zanedbana dziewczyna z blond włosami w strąkach, rozglądająca się wokół z rozpaczliwym lękiem schwytanego zwierzęcia.

- Poznajesz ich? - pyta łagodnie nauczyciel.

Jest tam dziewczyna mniej więcej w jej wieku, ale ciemnoskóra, o gładkich czarnych włosach i oczach jarzących się zimnym ogniem gniewu lub nienawiści. Jest krępa i starsza dziewczyna, która nerwowo drapie się po ramieniu, aż do krwi. Jamisia wolałaby nie wiedzieć

kim oni są. Wolalaby, żeby to był tylko zły sen, którego treść można zignorować. Jednak to jest program wprowadzony przez jej nauczyciela, a więc mający czegoś ją nauczyć... A poza tym ona zna te twarze. Boże, jak dobrze je zna! Twarze z koszmarów, przywołane z głębi jej okropnych snów, jej obawy.....jej odbicia.

- Nie - szepce. Cofa się o krok, gdy jej umysł w końcu łączy straszne fakty. - Nie!

- To mechanizm przystosowawczy - mówi spokojnie nauczyciel. Jego głos jest łagodny, lecz oczy spoglądają na nią z niepokojącą uwagą, studiując, analizując jej reakcję. - Kłopotliwy we wcześniejszych wiekach, teraz rzadko spotykany dzięki postępom nauki. Wychwytyjemy oznaki w najwcześniejszych stadiach, docieramy do przyczyny wstrząsu i zapewniamy mózgowi inne połączenia nerwowe... zapobiegając prawdziwej fragmentacji.

- Fragmentacji? - powtarza szeptem.

- Wiesz, co to oznacza - mówi jedna z kobiecych postaci. Czarnoskóra dziewczyna. - Nie udawaj głupszej niż jesteś.

Nauczyciel obrzuca ją gniewnym, jakby ostrzegawczym spojrzeniem, po czym znów zwraca się do Jamisi.

- Zwykle nazywali to inaczej - na przykład osobowością mnogą. Jednak ich zrozumienie tego zjawiska było w najlepszym razie bardzo prymitywne i...

- Pieprzyć to! - ucina ubrany na czarno chłopak. Przechodzi, obok nauczyciela, robiąc gest, jakby chciał go odepchnąć, lecz jego ręce przechodzą przez ciało tamtego. Staje przed Jamie, bierze się pod boki i spogląda na nią wyzywająco. - On usiłuje ci powiedzieć, że kiedyś byliśmy częścią ciebie, fragmentami całości. Dopiero wielki bóg Shido postanowił obdarzyć nas samodzielnym życiem i nauczył, jak mamy się bronić. Tak więc teraz jedyne, co nas łączy, to że tkwimy w tym samym pieprzonym ciele które w najlepszym razie...

- Derik, proszę! - mówi krepa dziewczyna. Jamie widzi prze łzy blizny na jej rękach, niektóre prawie niewidoczne, inne świeże. - Wiesz, że to nieprawda. - Przenosi spojrzenie na Jamisi i na moment przestaje się drapać. - Tak, kiedyś wszyscy byliśmy częścią ciebie. Shido obdarzyli nas głosami, uwydatnili dzieląc nas różnice i nauczyli, że jeśli kiedyś znów staniemy się częścią ciebie, będzie to równoznaczne ze śmiercią. Tak więc nie uda się nas namówić, żebyśmy odeszli, Jamisio, jak to niektórzy z was robili w przeszłości...

- Nie zamierzamy odpuścić i umrzeć dla ciebie, do cholery! A wybucha Derik. - Ponieważ tak by się stało, bo całe to „leczyć nie”, jakie stosowali, po prostu zabijało takich jak my...

- Reintegracja... - zaczyna nauczyciel.

- Bzdury!

Nauczyciel pospiesznie wysuwa się przed niego, ucinając dalszą tyradę.

- Przykro mi, Jamie. Powstrzymałbym ich, gdybym mógł. Jednak zanim włączono mnie do projektu, uaktywniono już pięcioro z nich i nauczono uważać, że twoje uzdrowienie byłoby równoznaczne z ich śmiercią...

- Cholerna racja! - mamrocze gniewnie czarnoskóra dziewczyna.

- Dlaczego? - pyta błagalnie Jamisia. Strach tak ściska jej gardło, że z trudem wydobywa z siebie słowa. - Dlaczego Shido zrobili coś takiego? Nie rozumiem.

Ma wrażenie, że nauczyciel się waha. Konsultuje się z oprogramowaniem?

- To był eksperyment - mówi w końcu. - Niewielu ludziom wyjaśniono, o co w nim naprawdę chodzi. Powiedziano im tylko tyle, ile musieli wiedzieć, żeby wziąć w nim udział. To było ściśle tajne, Jamisio. I bardzo nielegalne. Wziąć dziecko, które nadal znajdowało się w szoku, nie udzielić mu pomocy medycznej, tylko doprowadzić do wielokrotnego rozszczepienia jąźni...

- Powiedz jej o tamtym - nakazuje czarnoskóra dziewczyna wyzywającym tonem. - Pokaż jej tego, którego chcieli mieć!

- Kogo? - Głos Jamisi drży tak samo jak jej ciało. Z trudem wydobywa się z jej ust. - O czym ona mówi?

Po krótkiej przerwie kilka postaci rozstępuje się na boki, robiąc jej przejście. Jamisia spogląda na nauczyciela, czekając na jakiś znak. On ma ponurą minę, ale nieznacznie kiwa głową. „Na własne ryzyko” - zdają się mówić jego oczy. Ona powoli rusza naprzód. Mgła rzędnie, reagując na jej chęć odkrycia prawdy. Postacie wylaniają się z mgły - kilkoro ludzi, drzewa i kamienie...

...i on leży na ziemi u jej stóp, zwinięty w kłębek, tak że widać, jak mięśnie jego chudych ramion i nóg dygoczą z wysiłku. Skórę ma białą i pokrytą sińcami, oczy przekrwione i zażawione, a z kącika ust cieknie ślina zmieszana z krwią z przygryzionej wargi. A jego spojrzenie... wyraża potworny strach, jakby jej widok - czy kogokolwiek - był nieznośną udręką.

Potem znowu pochłania go mgła, litościwie skrywając przed jej wzrokiem. To jej własny umysł odcina ten obraz.

- Kim on jest? - pyta szeptem Jamisia.

- Kimś, kogo skrzywdzili - odpowiada ostro czarnoskóra dziewczyna. A inny głos, znacznie łagodniejszy, dodaje: - To mogłaś być ty, Jamisio. I my wszyscy, gdyby Shido tego chcieli.

Błagalnie spogląda na nauczyciela. On mówi łagodnie:

- Nie znam wszystkich szczegółów. Powiedzieli mi, co mam robić, i niewiele więcej. Jednak widziałaś... - Ruchem głowy wskazuje mgłę skrywającą teraz ten przerażający widok. - Oni chcieli go, Jamisio, bardzo chcieli go mieć. Usiłowali obdarzyć go samodzielnym głosem, kiedy zaatakowano stację. Może gdyby im się udało, mógłbym powiedzieć ci więcej.

Podchodzi do niej i ujmując ją za ramiona - delikatnie, tak delikatnie, jak prawdziwy ojciec, którego ona pamięta i kocha - po czym mówi bardzo łagodnym głosem: - Teraz to już nie ma znaczenia, Jamie. Wiesz o tym, prawda? Czegokolwiek chcieli Shido, nie uzyskali tego. A teraz jesteś wolna. Czas, żebyś zaczęła żyć własnym życiem.

Ona ledwie wydobywa z siebie szept:

- A co z nimi?

On spogląda na otaczające ich postacie - jego uczniów, jego podopiecznych - po czym odpowiada cicho:

- Miałem nadzieję, że kiedy uwolnisz się od Shido, fragmentacja z czasem ustąpi, lecz najwyraźniej tak się nie stało. Fakt, że ten program się uruchomił, świadczy, że jedna z tych jaźni próbuje nawiązać z tobą kontakt i musisz teraz zareagować. Musisz to zaakceptować, Jamie... obojętnie jakim kosztem.

- Kontakt... - Ona usiłuje układać to w głowie, lecz informacje napływają zbyt szybko. - Kiedy?

- W szybkiej wentylacyjnym. - Właścicielka tego głosu jest trochę podobna do Jamisi, ale o ciele bardziej zaokrąglonym i ubranym w wyzywająco opięty kombinezon. Jej oczy - jasnozielone, magnetyczne - skrzę się, gdy pyta: - Już zapomniałaś?

Przypomina sobie ten moment w tunelu, z Justinem - przypomina sobie i w końcu wszystko pojmuję. Rumieniec oblewa jej policzki.

- On mówi, że teraz mamy działać razem... a to oznacza, że mamy dzielić się z tobą wrażeniami. - Mówiąc, podchodzi bliżej i Jamie dostrzega słabą złocistą mgielkę unoszącą się z jej skóry. Czasem we śnie w ten sposób ukazuje się zapach. Perfumy? - Mówi, że mamy działać jako zespół, że to jedyny sposób; by wymknąć się Shido. My zamierzamy spróbować, Jamie. A ty?

Ona nie może wykrztusić słowa. A nawet drgnąć. Przerazenie, ściska lodowatym węzłem jej wnętrzości, napiera na płuca, gdy: próbuje złapać dech.

- O, kurwa! - prychna wściekle Derik. - Ona nie będzie chciała współpracować.

Nauczyciel ujmując ją pod brodę i zmusza, by spojrzała mu w oczy.

- Jamie. Czy chcesz, żeby znów było tak jak w osiedlu? Luki w pamięci, niewyjaśnione zmiany w otoczeniu, nie pasujące do siebie fragmenty życia? Już nie musi tak być. Teraz masz wszystkie kawałki łamigłówek.

Piekące łzy spływają jej po policzkach.

- Chcę do domu - szepce ochryple. - Proszę. Chcę wrócić do domu.

- Ach, moja droga. - Powoli i czule kręci głową. - Nie możesz już wrócić do domu, Jamie. Przykro mi.

Ona z łkaniem robi krok naprzód, a on delikatnie bierze ją w ramiona i przyciska płaczącą do piersi.

- W porządku - szepce. - Jesteś silna, wszyscy jesteście silni, będzie dobrze. - Przyciska wargi do jej włosów w czułym, ojcowskim pocałunku. - Powiedz, że spróbujesz, Jamie. Powiedz, że będziesz z nimi współpracować. Tylko tego chcą.

- A jeśli nie? Wzdycha ciężko.

- Wtedy Shido zwyciężą, moja droga. Wzięli młody umysł i próbowali go zniszczyć... Jeśli teraz się poddasz, będzie to ich zwycięstwo. A te wszystkie lata, przez które przygotowywałem grunt do tej chwili, szykując cię na dzień, kiedy w końcu wyrwiesz się na wolność... byłyby stracone, Jamie. Całkowicie. - Jego głos opada do szeptu, nie głośniejszego niż tchnienie. - Powiedz, że spróbujesz, Jamie.

Zbierają się wokół mej, milcząc, czekając. Oczy, które setki razy widziała w lustrze, spoglądają teraz na nią z innych twarzy. Ten widok sprawia, że Jamisia drży.

- Co...- Przełyka ślinę, usiłując pozbyć się ściskania w gardle. - Co mam robić?

- Zaakceptować ich jako część ciebie. Tylko tego teraz potrzebują. Reszta przyjdzie z czasem. Zaakceptuj ich, Jamie, a odzyskasz twoje życie.

Mężczyźni i kobiety. Czarni i biali. Gniewni, nienawistni, współczujący, głodni... częścią jej duszy? Drży na samą myśl.

My nie odejdziemy, Jamisio...

Musimy działać jako zespół, to jedyny sposób, żeby wymknąć się Shido...

Nie zamierzamy odpuścić i umrzeć dla ciebie, do cholery! Czy jest jakieś inne wyjście? Odpowiedź jest chłodna i zdecydowana.

- Zrobię to - szepce. - Zrobię. Spróbuję.

KONIEC PROGRAMU

VI

Jak oni śmieli tu przyjść, te dzieci Ziemi?

Jak śmiały korzystać z pracy potępionych, jednocześnie nas przeklinając?

Powiedzcie im, że nie są tu pożądani. Wykrzyczcie waszą urazę do gwiazd:

My, którzy nosimy te zniekształcone ciała, nie jesteśmy zapomniani!

My, którzy nosimy brzemię tych zniekształceń, nigdy nie wybaczymy!

Niechaj to przekleństwo będzie naszą dumą, każda deformacja źródłem siły, a straszne dziedzictwo źródłem jedności.

Niechaj każdy Wariant oznajmi z dumą: to TY jesteś obrzydliwy, Ziemianie, nie my. Teraz strzeż się, inaczej zwrócimy się przeciw tobie, jak ty niegdyś przeciw nam!

(Fragment z materiałów propagandowych Ligi Hausmana. Autor nieznanym).

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

Ubrana w rytualny strój, z *simba-kaja* wyraźnie widocznym na jej twarzy, jej wysokość Alya Cairo, pierwsza gildmistrzyni węzłów *ainniq* szykowała się na spotkanie gości.

Fakt, że osobiście przybywali na stację Tiananmen, aby z nią porozmawiać, zamiast przysłać tu swe holograficzne wizerunki, wiele mówił o randze problemu. Ci gildmistrzowie byli przyzwyczajeni do załatwiania delikatnych spraw i z pewnością doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jak podatny jest sygnał holokonferencji podczas jego przesyłania. Jednak nie tylko dlatego chciała, by stawili się tu osobiście. Prawdę mówiąc, lubiła bezpośrednie konfrontacje. Uwielbiała to niemal wyczuwalne napięcie, kiedy napotykała spojrzenie podwładnego lub rywala... Ekran wideo lub holowizora nie mógł zapewnić jej tego uczucia, obojętnie jak dobre było oprogramowanie. Nie pozwalał wyczuć, co rozmówcy myślą, kiedy robili się niespokojni i zaczęli podejrzewać, że wybrany na to spotkanie *kaja* może nie był najlepszym z możliwych. Lubiała to, ponieważ dawało jej to poczucie władzy... a śmiało można rzec, iż pierwsza mistrzyni Gildii *Ainniq*, która kontrolowała wszelki transport międzyplanetarny, a co za tym idzie wszelki handel, była w istocie najpotężniejszą osobą w galaktyce. Jeśli nie najpotężniejszą ludzką istotą w dziejach.

I tak powinno być.

Wybrana przez nią sala była wąska i spartańsko wyposażona, jak większość sal konferencyjnych Gildii. Wynikało to nie tyle z wyboru, ile z konieczności: tak wielu jej podwładnych miało wady wzroku lub innych zmysłów, że najlepsze było wyposażenie proste, sprawne i wygodne. Stalowy stół z dwunastoma monitorami dla gości. Rząd krzesel. Wszystko w kontrastowych barwach: bieli i czerni, węgla i macicy perłowej, lodu i mgły.

Chociaż istniały proste programy kompensujące niezdolność rozróżniania odcieni, wiedziała, że niektórzy jej podwładni gardzą takimi protezami i bez pomocy z trudem rozróżniają zbliżone do siebie kolory. Krzesła były rozstawione w idealnie równych odstępach, a monitory pochylone pod tym samym, starannie dobranym kątem. Każde inne ustawienie spowodowałoby stratę czasu i wysiłku jednego z jej najbardziej cenionych ludzi. Wszystko było przygotowane.

Z pięciu starszych gildmistrzów mieli przybyć tylko czterej. Żałowała tego, ale nie można było temu zaradzić. Luis Hsing dopiero wracał z Guery i miał pojawić się w kosmosie nie wcześniej niż za kolejny e-miesiąc. Nie chciała na to czekać. Przysłał raport, a tylko to się liczyło. Ten guerański profesor leciał z nim i już zabrał się do pracy. Szczegóły jego współpracy trzeba będzie dopiero ustalić.

Mam nadzieję, że miałeś rację, pomyślała ponuro. Jakby człowiek, który doradził jej wynająć Masadę, stał tutaj i mógł ją usłyszeć. Mam nadzieję, że wynajęcie tego człowieka nie stworzyło jeszcze większych problemów.

Gniewało ją to, że musi czekać cały miesiąc, żeby osobiście porozmawiać z Hsingiem. Irytowało ją, że charakterystyka demograficzna czyniła taką zwłokę czymś normalnym. Jak większość członków Gildii, uważała system *ainniq* za naturalną sieć wszechświata i nie mogła pojąć uporczywości, z jakim tak wielu ludzi nie chciało przyjąć tego faktu do wiadomości. Gdyby była Prima w początkach drugiej fali osadnictwa, zadbałaby o to, żeby ludzkość opuściła macierzyste planety, zamieniając ich brud i meteorologiczne kaprysy na nowoczesne wnętrza stacji kosmicznych ze wszystkimi ich zaletami. Nigdy nie przestawała się dziwić, zachęcano ludzi do przetrwania na takich planetach, zamiast po prostu ich ewakuować. Czy nie widzieli, że gdyby wszyscy ludzie żyli, mając *ainniq* w zasięgu ręki, to każdy - Wariant czy nie - mógłby w ciągu kilku dni znaleźć się w dowolnym punkcie zamieszkanym przez ludzi kosmosu? Czy to nie było warte odrobiny wysiłku? Drobnych ofiar?

Jednak urodzeni na planetach tak nie uważali. Czepiali się swoich ojczyzn i historii, nie zamierzając z nich rezygnować dla wygod kosmicznych podróży. Nawet Guera nadal była gęsto zaludniona, chociaż od najbliższego węzła *ainniq* dzielił ją rok podróży, więc jej ziomkowie nie mieli prawa pouczać w tej sprawie innych. Cóż, ten profesor, którego wynajęli, nigdy nawet nie był w *ainniq*, nigdy nie postawił stopy na innej planecie... To niewiarygodne, pomyślała. Dlaczego ktoś, kto miał w zasięgu ręki cały wszechświat, wolał mieszkać na takiej maleńkiej wyspie? A w dodatku taki wykształcony człowiek? Nie mogła tego pojąć.

- Wasza wysokość?

Zaskoczona, uniosła głowę i zobaczyła, że kiedy się zamyśliła, do sali wszedł Devlin Gaza. Wymówił jej tytuł z lekkim uśmiechem - bardziej intymnym, niż sugerowałby tytuł. W takich chwilach wolał zwracać się do niej formalnie i prawdę mówiąc, podczas oficjalnych spotkań okazywało się to bardzo pomocne. Trudno jej było jednak zapomnieć, że kiedy goście opuszczają salę konferencyjną, ich związek stanie się znacznie mniej służbowy.

To już dziesięć lat. Żaden z jej poprzednich związków nie trwał tak długo. Jednakże żaden z jej poprzednich kochanków nie był taki jak Devlin. Częściowo dlatego, że nie rywalizowali ze sobą i nie czuła, że jemu przeszkadza zajmowane przez nią stanowisko. Devlin Gaza również był potężny, jako szef zespołu programistów Gildii, i chociaż nominalnie jej podlegał, w praktyce był prawie niezależny. Ufała, że dobrze wykonuje swoje obowiązki, i rzadko wtrącała się do jego spraw. Może dlatego związali się ze sobą. Może dlatego ich związek przetrwał już dziesięć lat, podczas gdy poprzednie rozpadały się po kilku miesiącach.

A może po prostu jeszcze się nie wypalił. Albo nie miał jej dość. Może nie dała mu do zrozumienia - jak to powiedział jej trzeci kochanek - że najważniejsza jest dla niej praca, a nie uczucia.

- „Exeter” właśnie zadokował - powiedział jej. Żadnych głupstw, tylko konkrety, jak zawsze przy takich okazjach. Była mu za to wdzięczna. Dzisiaj nosił agresywny *raj-kaja*, połączony z *nantana*, jakiego zwykle używał. Zna się na subtelnościach, ale nie ma czasu na bzdury. - Na pokładzie powinien być Varsav. To już czterech.- Dobrze. Karmen wie, że ma go tu natychmiast przyprowadzić.; Wkrótce będą tu wszyscy. Wkrótce.

Devlin kiwnął głową, posyłając jej nikły uśmiech, i powiódł wzrokiem wokół, notując ustawienie krzeseł, kąt pochylenia monitorów i pewnie każdy pyłek w pomieszczeniu. Najwidoczniej zaaprobował jej przygotowania, gdyż niczego nie próbował poprawić, tylko po prostu zajął miejsce za jednym z dwunastu krzeseł, aby oczekiwać gości. Wiedziała, że gdyby położyła na stole stos raportów, on zapewne zacząłby je układać, wyrównując ich brzegi tak, by leżały równoległe do boków blatu. Albo porozkładałby je przed monitorami, krótszym brzegiem do krawędzi stołu, a dłuższym równoległe do poręczy krzesła. Czasami zastanawiała się, według jakiego obcego wzoru pracuje jego mózg, oceniający otoczenie w kategoriach, jakie jej nigdy nie przyszyłyby do głowy. Był jej kochankiem, ale także Gueraninem, co oznaczało, że nigdy nie zdoła go zrozumieć. Czy inaczej było na Ziemi, gdzie wszystkie umysły spełniały jeden standard? Podejrzewała, że nie. Podejrzewała, że niezależnie od tego, jak podobne są do siebie dwie osoby, zawsze dzieli ich otchłań, której nie da się do końca zasypać. Guerańskie różnice były mroczne i dramatyczne, lecz Ziemianie

mieli ich własną odmianę. Jak powiedział niegdyś pewien filozof? Każdy człowiek jest w głębi duszy obcym dla wszystkich innych.

Drzwi szcęknęły cicho, ostrzegawczo. Wyprostowała się, z wieloletnią wprawą wyglądając czarną szatę. Teraz nadszedł czas, by przejął kontrolę *simba*, *kaja* przekazujący prostą i jasną wiadomość: „uznaj mój autorytet, a wszystko będzie dobrze”. Zwierzę, od którego pochodziła nazwa tego *kaja*, posyłało inne na polowanie, a potem pożywiało się pierwsze, zostawiając łowcom odpadki. Bez żalu i cienia wahania zabijało szczenięta, które mogłyby w przyszłości zagrozić jego dominacji. Gromadziło wokół siebie orszak kochanek i potomstwa uznającego w nim pana oraz jego prawa... a także natychmiast reagowało, gdy jakiś rywal naruszył jego terytorium. Uśmiechnęła się lekko pod wpływem tej ostatniej myśli. Minęły lata od kiedy ktoś w jej obecności odważył się nosić *kaja simba*. Tamten rzeczywiście był jej rywalem, ale już nie sprawi jej kłopotu. Teraz już nikomu nie sprawi kłopotu.

Drzwi rozsunęły się i wszedł pierwszy z gildmistrzów. Ian Kent - wysoki, uprzejmy, przystojny - skłonił się nisko na jej widok.

- Primo. - Jak zawsze uderzył ją emanujący z niego spokój, niemal nieziemski chłód tego człowieka. Wiedziała, że nie było w tym niczego niezwykłego. Ten człowiek był kiedyś kosmopilotem i zasmakował nieograniczonej mocy... a potem utracił ją w wypadku przy dokowaniu, który uszkodził jego mózg i na zawsze usunął go z grona kosmopilotów. Czy ten spokój ducha był ubocznym produktem programów, które wykorzystywał do kontrolowania śmiertelności syndromu, nie mogąc w inny sposób złagodzić jego skutków? Czy też czymś bardziej osobistym? Guerańska etykieta nie pozwalała o to pytać, tylko zaakceptować.
- To dla mnie zaszczyt.

Jak zawsze nosił *natsiq*, skromnie ozdobiony. Służę Gildii; nic więcej nie musisz wiedzieć. Przy każdym kroku zamiatął podłogę długą czarną szatą. Tradycyjny strój, równie stary jak sam *ainniq*. Dzieci Guery nie przechwalały się swoimi ziemskimi ciałami przed bardziej zdeformowanymi Wariantami.

Jakie to do niego podobne, pomyślała, nosić szatę modną w kosmosie. Długą i skromną, skrywającą niespokojną duszę.

- Nie, to ja jestem zaszczycona - odpowiedziała formalnie, a kiedy skinieniem głowy powitał Devlina, wskazała mu jego ulubione miejsce przy końcu stołu. Następny wszedł Anton Varsav, gildmistrz ze stacji Adamantine. Jeśli Kent był ucieleśnieniem spokoju, to ten człowiek był jego przeciwieństwem. Zarówno fizycznym - gdyż mutacja, która zmieniła jego mózg, wywołała niepokój ruchowy, przejawiający się nerwowymi tikami i nieodpartą potrzebą dotykania wszystkiego i wszystkich znajdujących się w zasięgu; psychicznym - gdyż

umysł miał równie żywy jak ciało i nie znosił najdrobniejszej zwłoki; duchowym - ponieważ był bezgranicznie oddany Gildii i nie wątpiła, że w razie potrzeby z przyjemnością włożyłby strój gladiatora i stoczył krwawy bój w jej obronie.

- Primo - wymamrotał, ujął jej dłoń i z melodramatycznym szacunkiem uniósł do ust. Czuła pulsowanie jego nerwów, świadomych i nieświadomych odruchów rywalizujących o kontrolę nad ciałem. - Jak zawsze miło ci służyć.

- Zawsze cenię sobie twoje usługi - zapewniła go. Obserwowała Varsava uważnie, gdy siadał - na najdalszym miejscu, gdzie raczej nikt obok nie usiadzie - a jego ręce natychmiast wyciągnęły się do monitora, dotykając, sprawdzając, badając. Był ubrany na czarno, tak samo jak Kent, lecz w dopasowany kombinezon, który nadał jego rąkom i nogom kruchy, chitynowy wygląd. W tym stroju jego szybkie nerwowe gesty wydawały się raczej ruchami owada niż człowieka. Podejrzewała, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę i specjalnie wybrał sobie taki ubiór. Antona Varsava nigdy nie można było podejrzewać o to, że ułatwi sprawę rywalom.

Następną wchodzącą osobą była zgrabna postać, która lśniła tęczowym blaskiem tysiąca klejnotów. Szczupła, gibka i ciemnoskóra, Sonondra Ra włożyła tak skąpą szatę, na jaką pozwalał protokół, aby maksymalnie wykorzystać sensory umieszczone na jej ciele. Kiedy szła, te maleńkie czujniki osadzone w jej miedzianej skórze migotały jak diamenty, a jeśli ktoś uważnie im się przyjrzał, mógł dostrzec łączące je nitki, umożliwiające nieustanny przepływ strumienia danych. Mutacja spowodowała u niej ślepotę, lecz guerańska nauka powetowała jej to z nawiązką. Teraz wyczuwała kolory dotykiem, jako pieśczętę światłocienia, którą nauczyła się właściwie interpretować. Kazała sobie wprawić zamiast oczu dwa drobno oszlifowane klejnoty. Czemu nie, skoro i tak nie miała z nich żadnego pożytku? Alya podejrzewała, że gildmistrzynie doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak niepokojący stał się jej wygląd w wyniku tego zabiegu.

- Primo - powiedziała cicho. Mówiła melodyjnym głosem, z lekkim akcentem stacji Paradise. Prima w milczeniu skinęła głową, zastanawiając się, jak tamta odebrała ten gest. Nikt nie potrafił niczego wyczytać z zachowania Sonondry Ra, a jej *kaja* niewiele zdradzał. Oczywiście, głównym motywem był *natsiq*, z kilkoma kreskami *yuri*, oddanego sługi... Ra była urodzoną dyplomatką i wiedziała, jak sprawić przyjemność Primie. Jednak dominującym wzorem był *otta*, *kaja* radosnego upojenia. Dziwny wybór, pomyślała Prima, na takie spotkanie. Po namyśle doszła do wniosku, że nigdy nie widziała tej kobiety bez tego wzoru.

Ostatnia weszła Chandras Delhi. Kobieta w podeszłym wieku, chuda i wyglądająca na kruchą, o ciele powykręcany przez lata niedowładu mięśni. Nosiła pancerz z chromowanej

plastostali, w którym jej ciało spoczywało niczym kruchy schwyty ptak, a który poruszał się zgodnie z jej wolą. Weszła z pomrukiem silnika, skinęła głową i usadowiła się na krześle znajdującym się najbliżej drzwi. Gdy tylko usiadła, jej wzrok zaczął niestrudzenie wędrować po pokoju, ani na sekundę nie zatrzymując się na jednym punkcie, pozornie nie skupiając się na niczym. Jej pierwotny *kaja - lilitu* - ostrzegał o duchowej wizji tak silnej, że czasem negującej wymagania materialnego świata. Alya wiedziała z doświadczenia, że czasem trudno było się przez to z nią dogadać. Chociaż była to także jej, Alyi, wina. *Simba* lubił otwarte wyzwania, a *lilitu* z pewnością nie można było nazwać otwartą.

Kiedy wreszcie wszyscy usiedli, zajęła miejsce na końcu stołu. Pięcioro jej najbardziej godnych zaufania podwładnych, przy czym jeden z nich był mistrzem programowania procesorów myślowych, a inni też nieźle się na tym znali. Wszyscy byli Gueranami, co oznaczało - z definicji - że byli nieobliczalni. Jak można przewidzieć postępowanie osoby, której umysł pozostaje dla nas obcą krainą?

- Wezwałam was, żeby przekazać bardzo przykrą wiadomość - powiedziała. - Do tej pory mogliście usłyszeć już tę plotkę lub nie. Mam nadzieję, że nie, gdyż robiliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby ukryć ten fakt. Jednak wydarzenia szybko rozwijają się w taki sposób, że wkrótce nie będzie to już możliwe.

Nacisnęła ikonę, włączając sieć w pomieszczeniu i na dwunastu monitorach pojawiło się dwanaście twarzy. Każdy z jej czworga gości ustawił swój pod odpowiadającym mu kątem. Nawet Ra sprawiała wrażenie, że uważnie patrzy w ekran, chociaż informacje zbierała sensorami, a nie oczami. Spędziwszy długie lata na stacji Paradise, nauczyła się idealnie imitować „normalny” język ciała.

- Widzicie mapę kosmosu z zaznaczonymi miejscami występowania wirusa zwanego „Lucyferem”.

Oczywiście, mapa była czarno-biała. Nie było to konieczne, gdyż procesor myślowy Kenta mógł skompensować daltonizm, przekładając nawet najbardziej skomplikowane odcienie w postrzegane przezeń barwy, lecz z grzeczności nie chciała, by ktokolwiek z nich był tu w niekorzystnej sytuacji.

- Dotychczas wyizolowaliśmy dwadzieścia siedem zarodników oryginalnego wirusa. Dwadzieścia pięć unieszkodliwiliśmy, zanim wyrządziły poważniejsze szkody. - Jej twarz miała ponury wyraz, pasujący do tonu głosu. - Dwa pozostałe, jak wiecie, o mało nie kosztowały nas utraty statków i pilotów. Jeden z tych przypadków miał miejsce na twoim terenie, Varsav. Proszę, zreferuj nam sprawę.

Wywołany kiwnął głową, nie przestając wodzić palcem po blacie stołu.

- MedTech raportuje, że straciliśmy kosmopilota - jego mózg był zbyt uszkodzony. Może uratujemy mu życie, ale to wszystko. - Zerknął na Kenta i zobaczył, że tamten zaciska usta. Można się tylko domyślać, co też działo się w jego głowie, kiedy o tym usłyszał. - Wygląda to na działanie „Lucyfera”, bez wątplenia. Tylko że tym razem... - Zawahał się i nerwowo rozejrzał wokół, jakby sprawdzał, czy może zaufać obecnym. - To nie był przypadek. Tym razem było to celowe działanie.

Prima posepnie pokiwała głową.

- Właśnie dlatego wezwałam was, abyście stawili się tutaj osobiście. Nie wierzę w poufność holograficznych transmisji, nawet szyfrowanych. - Oparłszy dłonie na stole, gwałtownie się pochyliła. - Wczesne generacje Lucyfera atakowały procesory myślowe, żeby wykradać dane. Piloci zaledwie odczuwali mało dokuczliwe efekty uboczne. Jednakże najnowsze wersje wydają się atakować bezpośrednio mózg, a to... - Zaczerpnęła tchu, pozwalając im rozważyć konsekwencje. - To zupełnie inne i znacznie poważniejsze zagrożenie.

- Czy wiemy na pewno, że chodzi o Lucyfera? - spytał Kent. Jak zawsze mówił cicho, bez śladu emocji. Równie dobrze mógłby rozmawiać o dzisiejszej pogodzie na Guerze, a nie o czymś, co groziło upadkiem cywilizacji. - Może mamy do czynienia z drugim wirusem, wypuszczonym niezależnie od pierwszego.

Zerknęła na Devlina i skinieniem głowy oddała mu głos.

- Nie mamy pewności - rzekł programista. - Nie ma wątpliwości, że oba wirusy zaprojektował ten sam autor - zostało to dowiedzione ponad wszelką wątpliwość. I wiemy, że Lucyfer jest ewoluującym programem, więc teoretycznie mógł zrodzić cokolwiek... Tylko czy właśnie tak się stało? - Ze zniechęceniem potrząsnęła głową. - Codziennie zbieramy nowe zarodniki Lucyfera. Miejmy nadzieję, że jeden z nich da nam odpowiedź na to pytanie. Jedyne człowiek, który może rozwikłać tę zagadkę, dopiero tu leci i znajdzie się tutaj dopiero za miesiąc.

- Masada - powiedziała powoli Delhi, smakując to słowo. Alya skinęła głową.

- Masada.

- Czy to nie on twierdzi, że kosmos żyje? - powiedziała z wyraźną pogardą Delhi. - Sądzicie, że taka skrajna filozofia może nam pomóc?

- Ta „skrajna filozofia”, jak ją nazwałaś - odparła Alya - to holizm, który w niektórych kręgach naukowych cieszy się sporym szacunkiem. I głosi potrzebę traktowania uninetu jako żywej istoty w celach badawczych... a to niezupełnie to samo, co powiedziałaś.

- A dlaczego uważasz, że ten profesor zdoła zinterpretować nowy rodzaj wirusa lepiej niż nasi ludzie? - zapytał Varsav. - Przecież mamy własnych ekspertów. - Gwałtownym skinieniem dłoni wskazał Devlina, a więc i gromadę współpracujących z nim programistów. - Oni pracowali nad tym problemem przez całe miesiące, natomiast on zacznie od zera.

- Przede wszystkim nie zacznie od zera. Lecząc tu, już od pięciu miesięcy pracuje nad Lucyferem, a moje biuro przesyła mu najnowsze wyniki badań. Fakt, że podróż do *ainniq* zabiera mu sześć miesięcy wcale nie świadczy o tym, że nasze transmisje danych trwają równie długo. Jedyne informacje, jakich nie posiada, dotyczą ostatnich wydarzeń... których, jak już mówiłam, nie powierzyłabym żadnemu środkowi przekazu. Nawiasem mówiąc, tak samo jak wy. To sprawa wyłącznie między nami. Natomiast co do tego, czy Masada nam pomoże... Dyskutowaliśmy o tym, zanim go wynajęliśmy. Nie zamierzam znów rozpoczynać tego sporu. Byłaby to strata czasu. Devlin Gaza twierdzi, że potrzebujemy tego człowieka, a ten problem dotyczy jego dziedziny. Proponuję, żebyście uszanowali jego ocenę sytuacji tak samo jak ja. Aczkolwiek pokażę wam coś, co powinniście wziąć pod uwagę.

Mignęła ikoną, która przywołała na ekrany dwunastu monitorów nowy obraz. Gildmistrzowie przez chwilę studiowali wykresy, milcząco komentując je w myślach.

- To, co tu widzicie, to początkowe raporty odnośnie potencjału Lucyfera. Jak widzicie, nikt nie przewidywał, że sytuacja może się rozwinąć w taki sposób... Nikt - tylko jeden człowiek.

- Masada - powiedziała Ra.

Alya nacisnęła ikonę i zmieniła obraz na monitorach, przewijając na nich słowa Masady: "Pod tym względem mamy tu do czynienia z prawdziwą ewolucją, tak więc nie możemy zakładać, że ten wirus ograniczy swój rozwój do ścieżek, jakie zaaprobowaliby jego twórcy. Jego głównym celem jest przetrwać i mnożyć się, więc - jak forma prawdziwego życia - zrobi wszystko, żeby osiągnąć ten cel.

Musimy być przygotowani na to, że - jak wiele chorobotwórczych mikroorganizmów - odkryje, że osłabiony lub chory organizm z daleko mniejszym prawdopodobieństwem może przerwać jego cykl reprodukcyjny, więc zrobi wszystko, by okaleczyć nosiciela".

- Tylko tyle? - rzucił ostro Varsav. - Barwne metafory, przyznaję... ale nie konkretniejszego?

- Barwne metafory, jak je nazwałeś, często są językiem życia

- przypomniała mu Sonondra Ra. - Jeśli ten wirus jest naprawdę żywy - jak twierdzi profesor - to zasługuje na taki opis. - I dodała: - Ten człowiek ma duszę poety.

- Mówimy o *iru* - przypomniał jej Varsav.

- Którego żona też była *iru* i znanym kompozytorem. Dla niej świat był muzyką. Dla niej ten wirus byłby dysonansem w idealnej symfonii i tak też by go opisała, przewidując jego rozwój.

- Sonondra Ra zwróciła klejnoty swoich oczu na Alyę i skinęła głową. - Proszę, mów dalej.

- Ten cytat pochodzi z raportu liczącego prawie dwa tysiące stron. Powiedziano mi - zerknęła na Devlina - że większość zawartych tam wywodów nasi programiści z trudem pojmują. Rzecz w tym, że ten raport został napisany pięć e-miesięcy temu. Zanim wirus uległ jakiegokolwiek znaczącej mutacji i zanim cokolwiek świadczyło o tym, że może atakować naszych kosmopilotów.

- A więc mamy go podziwiać - podsumowała Delhi. Mikrofon przy jej krtani wzmocnił dźwięk tak, że wszyscy ją usłyszeli. - Zdajemy sobie z tego sprawę. Przejdźmy dalej.

Alya wyczuła, że siedzący obok niej Devlin zeszywniał. Och on dobrze ją znał - a przynajmniej znał *simba*, która była jej pierwotnym *kaja*. Czy ton Delhi oznaczał świadomie rzucone wyzwą nie, czy też ta kobieta tak się zamyśliła, że zrobiła to bezwiednie.

Alya pamiętała zbyt wiele podobnych chwil z przeszłości, by zaakceptować to jako zwykłą gafę. Tę kobietę trzeba mieć na oku.

- Nie wiem, czy wszyscy wiedzą - powiedziała z naciskiem Prima - że żaden z naszych analityków tego nie przewidział. Musimy zdać sobie sprawę, że mamy do czynienia z czymś, co może wydawać się kolejnym wirusem, lecz w rzeczywistości stanowi zagrożenie zupełnie nowego rodzaju; zdawać sobie sprawę, mistrzyni Delhi, że jeśli nie zwalczymy tego wirusa - i to szybko - będziemy musieli patrzeć na upadek Gildii, a potem całej ludzkiej cywilizacji. *Ainniq* jest tym, co łączy wszystkie ludzkie światy. Jeśli nie będziemy mogli z niego korzystać, staniemy się świadkami katastrofy dorównującej tej, jaka miała miejsce w okresie izolacji.

Przerwała, swoją postawą wyzywając Delhi, lub kogokolwiek, by jej przerwał.

- Gildmistrzowie i gildmistrzynie - dodała spokojnie - ktoś wypuścił tego wirusa. Jesteśmy zgodni co do tego, iż jego pierwotnym zadaniem było szpiegowanie nas: kopiowanie danych medycznego oprogramowania kosmopilota i przekazywanie ich twórcy. Tylko że teraz wirus przekształcił się w coś groźniejszego. Czy od początku miał takie przeznaczenie? Czy projektanci Lucyfera umieścili go w uninecie, by ukraść dane Gildii, czy też był to zaledwie pierwszy ruch w znacznie niebezpieczniejszej grze? Takie pytania rodzą się po schwytaniu nowych zarodników... I musimy jak najszybciej znaleźć na nie odpowiedź.

- Kto by na tym skorzystał? - zapytał Kent. - Mogę wymienić tysiąc firm i stacji, które chciałyby uzyskać informacje wykradane przez ten wirus... ale bezpośredni atak na Gildię? Jaki by to miało cel?

- Na to pytanie musimy odpowiedzieć sobie już teraz. I ufam, że pięcioro moich najlepszych ludzi poradzi sobie z tym. - Szerokim gestem objęła czworo obecnych, jak również nieobecnego Luisa Hsinga. - Znajdźcie mi odpowiedzi. I znajdźcie je szybko. Chcę, żebyście zbadali każdy możliwy motyw, obojętnie jak dziwny by się wydawał. Jeśli ktoś atakuje Gildię, to chcę wiedzieć, kto mógłby na tym skorzystać. Firmy, osoby, stacje, skrajne ugrupowania polityczne. Zaczniście od swoich własnych węzłów, a potem przydzielę wam inne. Najpierw zajmijcie się stacjami izolacjonistów, których bezsprzecznie ucieszyłby rozpad Gildii. Varsav, ty masz u siebie Nowych Aryjczyków i Zjednoczony Front Terrański. U ciebie, Kent, działa Liga Hausmana. Mogłabym z pamięci wymienić co najmniej dwa tuziny innych stacji, założonych tylko po to, żeby manifestować ksenofobiczne poglądy. Większość z nich nie może pozwolić sobie na utratę *ainniq* tak samo jak nasze stacje, gdyż Gildia zapewnia im dostawy i możliwość handlu, lecz być może któraś z nich jest gotowa poświęcić to wszystko, byle mieć pewność, że nikt nie naruszy ich terytorium. Varsav ponuro pokiwał głową.

- Destiny chorobliwie nienawidzi Gildii za przeforsowanie prawa powszechnego dostępu. Twierdzą, że gdyby nie to, mieliby ojczyznę, jaka im się należy.

Zaciśnięte usta Primy wykrzywił przelotny uśmiech.

- To test ludzkiej tolerancji, prawda? Ile stacji oburza się na to, że muszą przepuszczać obcych przez swoją przestrzeń? Narzekają tak, że można by pomyśleć, iż każemy im wykonywać skok Hausmana. Stacja Destiny znajduje się na czele listy podejrzanych, a kilka innych widzicie na ekranach monitorów. - Mignęła ikoną, która zmieniała obraz w wewnętrznej sieci i dała im chwilę czasu, żeby mogli przestawić się i zanotować to, co widzieli. - Każcie obserwować te stacje. Mam na myśli dokładną obserwację. Chcę, by rejestrowano każdą transmisję, każdego gościa i każdy transport.

- To będzie... - zaczął Kent.

- Kosztowne? Trudne? - spytała. - Zatem proponuję, żebyście zaczęli natychmiast, ponieważ musimy załatwić tę sprawę jak najszybciej. Zanim ten wirus zdąży się ponownie zmutować.

- Zauważyłam, że przydzieliłaś nam stacje w innych węzłach - powiedziała Ra. - Zakładam, że możemy prosić o pomoc miejscowych gildmistrzów?

- Nie.

- Nie? - zdziwił się Varsav. W jego głosie słychać było urazę.

- Od kiedy nie ufamy naszym własnym ludziom?

- Wcale nie powiedziała, że to kwestia zaufania - przypomniała chłodno Delhi. - Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- Jeśli nie chodzi o zaufanie, to o co?

Prima zaczęła, aż oczy wszystkich zwrócić się ku niej, na tę chwilę, kiedy *nantana* w niej wyczuje, że już nikt jej nie przerwie.

- Powiedziałam wam, że Masada już od kilku miesięcy pracuje nad tym wirusem. Kilka dni temu otrzymałam jego ostami raport. Zawiera bardzo niepokojącą sugestię... Zdecydowałam, że dopóki nie dowiemy się więcej, wolę nawet przesadzać z ostrożnością.

Powiodła po nich spojrzeniem, kolejno, po jej czterech najlepszych gildmistrzach i dyrektorze działu programowania. Było to spojrzenie *nantana*, który potrafi zanalizować najmniejszy gest, najlżejsze zmruczenie powieki, zajrzeć do samej duszy. Ufała tym ludziom jak nikomu innemu. Mieli dostęp do największych tajemnic, a za sobą lata nienaganej służby dla Gildii. Jednak nie zdobyła swojej pozycji, postępując nierozważnie, i teraz też nie zamierzała jej narażać nieostrożnym działaniem. Nawet jeśli nikt z nich nie miał nic wspólnego z wirusem, to bynajmniej nie oznaczało, że nie zechcą go wykorzystać w prywatnych rozgrywkach. Gildmistrzowie byli lojalni wobec Gildii, lecz zażarcie rywalizowali ze sobą.

Oczywiście, rejestrowała przebieg tego spotkania. Później szczegółowo przestudiuje hologramy tych ludzi, analizując ich reakcje podczas prezentacji. Szczególnie w następnej chwili, kiedy powie im prawdę. W tym momencie winny może się czymś zdradzić.

Powiedziała cicho i spokojnie:

- W Gildii może być przeciek. Reakcja była natychmiastowa.

- Ktoś z naszych? - zapytał z niedowierzaniem Varsav.

- Kto? - spytała Delhi. - Kogo on oskarża?

- To niemożliwe - mruknął Kent. - Po prostu niemożliwe. Devlin wyglądał na bardziej zaskoczonego od innych.

- Skąd on o tym wie? Jak mógł się tego dowiedzieć?

- Ten człowiek fantazjuje - mruknął Varsav. - Mówimy o Gildii. Ra nic nie powiedziała.

- Gdybym wiedziała więcej, powiedziałabym wam - zapewniła Alya. - Jednak razem z dyrektorem Gazą już wcześniej postanowiliśmy nie przysyłać niektórych informacji, aby utrzymać tę operację w ścisłej tajemnicy. W rezultacie doktor Masada powiadomił mnie

bardzo ogólnikowo i nie mogę zapytać go o szczegóły, dopóki nie zjawi się tu osobiście. Powiem wam tylko, że analizując wirusa, doszedł do wniosku, iż w tę aferę jest zamieszany ktoś z naszej Gildii. - Urwała, wprawnym okiem studiując ich twarze. Nie dopatrzyła się niczego niezwykłego... na razie. - To oznacza, że do czasu jego przybycia musimy dziesięć razy pilniej niż dotychczas strzec naszych tajemnic... Nawet przed naszymi ludźmi.

- Chcesz, żebyśmy uwierzyli, że ktoś z naszych sprzedał Gildię - powiedziała spokojnie Ra. - Uważam, że to niemożliwe.

- Tego nie powiedziałam. Mówię tylko, że jest bardzo prawdopodobne, że ktoś noszący mundur Gildii wyjawiał informacje komuś z zewnątrz. Może zrobił to celowo. Może był po prostu nieostrożny. Kiedy przyleci Masada, poda nam dalsze szczegóły i wtedy będziemy mogli właściwie ocenić sytuację. Do tego czasu będziemy działać przy założeniu, że mamy do czynienia z najgorszą z tych możliwości. A to oznacza, że nie możemy ufać nikomu. Nikomu - powtórzyła z naciskiem. - Nawet innym gildmistrzom. - Spojrzała na Devlina. - Ani ludziom z twojego wydziału. Przykro mi, ale niektórzy z nich utrzymują zawodowe kontakty z osobami spoza Gildii. To czyni ich podwójnie podejrzanymi.

- Rozumiem - odparł z ponurą miną; znała go dostatecznie dobrze, aby domyślić się, że szalał ze złości. Był dumnym człowiekiem i myśl, że któryś z jego podwładnych mógłby zrobić coś takiego, na pewno doprowadzała go do szału. - Zapewniam was, że jeśli przeciek miał miejsce w moim wydziale, z pewnością to ustalę.

Skinęła głową.

- Dobrze. Teraz wiecie, jak wygląda sytuacja. Jesteście moimi najbardziej zaufanymi gildmistrzami. Wszystkie informacje będziecie otrzymywać tylko wy i Hsing. To dotyczy również wyników pracy Masady. Wszystkie raporty należy przekazywać mi przez kuriera albo osobiście. Nie chcę, by cokolwiek transmitowano, nawet między naszymi biurami. Pamiętajcie, że ten, kto ponosi odpowiedzialność za stworzenie Lucyfera, już raz złamał nasze zabezpieczenia, tak więc nie wolno nam zakładać, że to się już nie powtórzy. Należy maksymalnie wzmocnić środki bezpieczeństwa. Zrozumiano?

Patrząc na nich, studiując ich reakcje, w głębi serca wiedziała, że przeglądając zapisy tego spotkania, znajdzie tysiąc faktów i budzących wątpliwości, tysiąc powodów do podejrzeń. Ufała im bardziej niż komukolwiek innemu, lecz w takich sprawach nie mogła sobie pozwolić na luksus zaufania. Będzie obserwować ich wszystkich i przy najmniejszym podejrzeniu, że coś jest nie w porządku, zareaguje z całą mocą jej urzędu.

- Gdyby sytuacja wymagała jednak przesłania jakiejś wiadomości, użyjecie tego systemu kodowania.

Skinęła na Devlina, który błysnął ikoną i przesłał odpowiedni program do procesorów myślowych gildmistrzów. W pomieszczeniu zapadła głucha cisza, w której wszyscy goście oglądali ikony potrzebne do nadawania i odbioru danych. Patrząc na to, zdawała sobie sprawę z niedoskonałości tego systemu, z tej jednej krótkiej chwili, w której binarny kod jednej maszyny mknie w przestrzeni nawiązać kontakt z drugą. Czy w tym krótkim czasie ktoś może go przechwycić? - zastanawiała się. A jeśli już teraz do tej sali wtargnął obcy program, rejestrujący ich tajną naradę?

A jaki mamy wybór? - zadała sobie pytanie. Czy mamy wprowadzić sobie elektrody do mózgow, jak robili to nasi przodkowie? Odizolować się w naszych czaszkach, jak to nadal robią Ziemianie, w nadziei że przeciwnik nie wtargnie do nich w momencie, gdy się łączymy? Nie można żyć w wiecznym strachu - myślała. Nie przez cały czas. Gdyby doprowadzili nas do takiego paranoicznego stanu, to przegralibyśmy coś więcej niż bitwę z jednym wirusem.

Jednak w głębi duszy czuła lęk, zimny dreszcz niepokoju... I wiedziała, że inni też to czują.

VII

TENSAN

Tensan jest niespokojny, pobudzony. Odczuwa chęć zrobienia czegoś, ale nie wie czego. Czuje rozpacz, jakby rozpatrywał utratę czegoś, co jest mu drogie, lecz nie potrafi powiedzieć, co obawia się stracić ani w jaki sposób to utraci. Czuje podniecenie, jakby miał zaraz ujrzeć jakiś nowy horyzont, ale nie ma pojęcia, dokąd miałby wtedy podążać.

Wyczuwa, w głębi swego jestestwa, iż jego życie wkrótce na zawsze się zmieni. Nie potrafi stwierdzić, na czym to polega, gdyż tylko ci, którzy przeszli Przemianę i wyszli z niej, mogą to zrozumieć.

Pragnie stać się czymś większym, niż jest.

Boi się przestać być tym, czym jest.

W głębi serca wie, że ta Przemiana jest nieunikniona.

KAJA: „Kosmiczny przewodnik po guerańskim systemie społecznym”, tom II: Znaki duszy.

WĘZEL REIJIKAŃSKI STACJA REIJIK

Trudno było nauczyć się siadać w tylnym rzędzie własnego umysłu, pozwalając, by ktoś inny przejął kontrolę nad twoim ciałem, a jego uczucia wtargnęły do twej duszy. Z początku, kiedy to się działo, Jamie była tak przerażona, że kulila się w pozostawionym jej zakątku umysłu, płacząc i krzycząc bezgłośnie z żalu. Obserwując, jakby oglądała wideofilm, jak jej ciało porusza się bez jej woli.

Niektórzy z Innych byli mili. Niektórzy zdawali się rozumieć, co trzeba zrobić. Nawet Derik na swój szorstki sposób sprawiał wrażenie, że wyczuwa, iż to nie pora na popisywanie się męskością, gdyż ten delikatny umysł, dzielący z nim jedno ciało, ma ograniczoną wytrzymałość. Tak więc, jak dotąd, z nim układało jej się dobrze. Całkiem niespodziewanie. Sądziła, że będzie jednym z najgorszych. Chociaż jednak był źle wychowany, gwałtowny i pełen nagromadzonej w nim furii, wykorzystywał to dla jej dobra i przynajmniej nie zdradzał skłonności autodestrukcyjnych, w przeciwieństwie do Zusu. Nie, on nie był zły.

Verina okazała się bardzo pomocna. Była zimna jak lód, ale dużo wiedziała i czasem, kiedy Jamie najbardziej się bała, słyszała ten spokojny głos, podający jej szeptem uśmierzające lęk fakty. Na przykład wtedy, kiedy Zusu po raz pierwszy przejęła kontrolę i Jamie z przerażeniem zobaczyła własną rękę sięgającą po kuchenny nóż, zaciskającą na nim drżące palce i zaczynającą wycinać zygzakowate linie w ciele lewego ramienia. *Psychoza, wywołana przez sługusów Shido*, szeptała w jej mózgu Verina, kiedy zaczęła płynąć krew. *Gdyby nie istnienie Zusu, to uczucie nie miałooby ujścia i z pewnością całkowicie by tobą ovladnęło.* Gdy patrzyła na to ze zgrozą i zdumieniem, chłodny głos zapewnił ją: *Me martw się, nigdy nie pozwolimy jej posunąć się za daleko.*

Dlaczego oni to zrobili? - pytała ich wszystkich. Usiłując poskładać razem kawałki łamigłówek, zrozumieć czego chcieli Shido. Och, teraz już wiedziała, co jej uczynili, to już nie było dla niej tajemnicą... Tylko dlaczego?

Nigdy nie odpowiedzieli na to pytanie.

Najdziwniejsze było to, że wszyscy ci Inni, którzy dzielili jej ciało, najwidoczniej bardzo dobrze się znali. Jakby tworzyli jakiś tajny klub, do którego należał każdy oprócz niej... Tylko że teraz została do niego przyjęta i usiłowała poznać obowiązujące w nim reguły, zanim domysły na temat jego celów doprowadzą ją do szaleństwa.

Najgorsza z nich wszystkich była Katlyn. Nie dlatego, że była najbardziej nieobliczalna, wprost przeciwnie: z wielu Innych, którzy tłoczyli się w głowie Jamisi, ona była jedną z najrozsądniejszych. I nigdy nie próbowała przejąć kontroli w nieodpowiedniej dla niej chwili, czego nie można było powiedzieć o paru innych, którzy, chcąc zakosztować pełni życia, domagali się pierwszeństwa i spychali Jamisę na bok w chwilach, kiedy

najbardziej pragnęła panować nad swoim ciałem. Nie, Katlyn zawsze czekała na odpowiedni moment. Jamie zaczerwieniła się, wspominając ostatnią eskapadę, spotkanie z synem kapitana statku w hydroponicznych ogrodach. Pozamykał drzwi, żeby nikt nie mógł im przeszkodzić, a potem, pośród wszystkich tych egzotycznych zapachów i odurzająco wysokiego stężenia tlenu, Jamie poczuła żar pożądania Katlyn... Sama nie wiedziała, co teraz bardziej ją zawstydzalo - wspomnienie tego, co robiło jej ciało, czy też związanych z tym doznań? Jeszcze teraz drżała na samą myśl.

W rzeczywistości chodzi o władzę, wyjaśniła Verina. Seks jest tylko środkiem. Chodzi o kontakt, zburzenie odgradzających nas murów, pokonanie mądrali, którzy chcą ograniczyć naszą wolność.

Jednak chodziło również o seks, gorący, namiętny i porywający dla niedoświadczonej Jamisi. Owszem, teraz wiedziała, że jej ciało nie było niedoświadczone, gdyż Katlyn podzieliła się z nią opowieściami o swych wyczynach w osiedlu... Tyle że Jamisia nie pamiętała tamtych przygód, więc nie przejmowała się nimi. W przeciwieństwie do tej.

Teraz tworzymy zespół, szeptała Katlyn tym samym uwodzicielskim głosem, jakim wabiła mężczyzn w swoją sieć. I tak jest znacznie lepiej, bez lekarzy, przed którymi trzeba ukrywać nasze sekrety... Odpręż się. Uspokój. Baw się dobrze.

Pałace wspomnienia. Zawstydzające.

Musicie działać jako zespół, powiedział jej nauczyciel we śnie. Był to jeden z wielu snów, jakie umieścił w jej mózgu, aby pomóc jej przejść tę okropną przemianę. Teraz miewała je prawie co noc. Ćwiczenia z szaleństwa. To wasza jedyna nadzieja.

Staram się, powiedziała mu. Ze łzami w oczach. Naprawdę się staram.

Zespołowo...

*

- Jamie?

Oderwała się od pakowania i zobaczyła go w progu. Jak zawsze, zaczerwieniła się na jego widok. Wahała się przez chwilę, czekając, aż kontrolę przejmie Katlyn, bo Justin tak naprawdę był jej kochankiem, nie Jamisi, ale tamta choć raz nie kwapiła się do tego. Czy to dobrze, czy źle?

- Wejdz.

Patrzyła na niego znad torby, którą pakowała, jednej z dwóch mieszczących jej skromny dobytek. Mimo pokus, jakie napotykała na liniowcu, kupiła bardzo mało rzeczy, zawsze świadoma tego, że ma ograniczone fundusze. Kilka praktycznych ubrań. Nowoczesną biżuterię, którą można nosić do wszystkiego. Kosmetyki, ledwie podkreślające jej rysy, ale

bez hołdowania wyzywającej i często odrażającej modzie, wciąż zmieniającej się na pokładzie statku. Żadnej muzyki poza tą, jaką zabrała z Shido. Żadnych książek. Były tu biblioteki, gdzie wypożyczała literaturę naukową dla Yeriny, kryminały dla Katlyn, podręczniki sztuk walki dla Derika, fantastykę dla Raven... Teraz, kiedy dzieliła świadomość z Innymi, wszystko jej się poplątało i już nie pamiętała, kto co czyta.

Przez chwilę wyglądało na to, że Justin wejdzie do kabiny i pocałuje ją. Nakazała sobie nie cofać się, jeśli to zrobi. Bynajmniej nie uważała go za odpychającego i kilka razy, kiedy sama przebywała w jego towarzystwie, okazał się całkiem miły. Jednak na wspomnienie mimowolnie przeżytych z nim uniesień, przechodził ją dreszcz. Do licha, gdzie jest Katlyn?

- Musimy porozmawiać - powiedział cicho.

Chciała powiedzieć coś o pożegnaniach, a potem popatrzyła na Justina, spojrzała mu w oczy i słowa zamarły jej na ustach. Nie chodziło mu o to, że w przyszłym e-tygodniu miała opuścić pokład statku. Ani o to, że mieli się rozstać, ku wielkiemu żalowi Katlyn i uldze Jamisi. Już o tym rozmawiali, nawet kilkakrotnie.

Chodziło mu o coś innego... coś poważniejszego.

- Dobrze. - Zamknęła torbę i usiadła na brzegu łóżka, nie wiedząc, czego się spodziewać. - Mów.

- Nie tutaj. - Rozejrzał się, trochę nerwowo, a potem wskazał na drzwi. - Chodź ze mną.

Zdziwiona, poszła za nim. Takie zachowanie wcale nie pasowało do Justina. Opuszczającabinę, przesłała szybką myśl do Innych -???? - ale żadne z nich nie odpowiedziało. Widocznie byli równie zaskoczeni jak ona.

Uważaj, ostrzegł Derik, kiedy w milczeniu szli korytarzem.

Można by pomyśleć, że po trzech latach powinna znać liniowiec jak własną kieszeń, a tymczasem zaprowadził ją na pokład, na którym jeszcze nigdy nie była. Raz użył identyfikatora, żeby otworzyć zamknięte drzwi; przed innym przejściem przystanął i domyśliła się, że system sprawdza jego procesor myślowy. Wkrótce znaleźli się w takiej części statku, w której nie było nikogo oprócz nich. Korytarze były tu puste, z szeregami oznaczonych numerami drzwi: zimne, pozbawione ozdób, odpychające wnętrza. Ciarki przeleciały jej po plecach... Czyżby pod wpływem jakichś wspomnień? Czy to tutaj przyprowadzili ją po przylocie na statek i przeprowadzili badania lekarskie, aby upewnić się, że nie jest zakaźnie chora? Nagle uświadomiła sobie, że przez większość tamtego czasu była

obecna Verina, której bystry umysł wchłaniał wszystkie fakty. Dla niej nie było to męczące, lecz pouczające.

Jakże inne były teraz wspomnienia Jamisi, kiedy wiedziała już o Innych, którzy byli ich częścią. Zastanawiała się, czy kiedyś do tego przywyknie.

- Wejdz tutaj.

Otworzył drzwi wiodące do jakiejś salki konferencyjnej. Jamisia zawahała się, ale weszła do środka. Pomieszczenie było małe, skromnie umeblowane, ze stołem i krzesłami pod jedną, a konsolą komputera pod drugą ścianą. Żadnych obrazów. Żadnych tabliczek. Ani śladu czyjejs obecności, po którym mogłaby poznać przeznaczenie tego pokoju.

Justin zamknął drzwi, a potem przeszedł się po kabinie, zaglądając w kąty. W rękę trzymał detektor, na który spoglądał raz po raz, aż w końcu zrobił zadowoloną minę.

- Czysto - mruknął i odłożył przyrząd. Dopiero wtedy odwrócił się do niej i oparł plecami o konsolę komputera.

- Czysto?

- Większość pomieszczeń liniowca można obserwować przez system monitorujący. Wyłączyłem go w twojej kabinie. Przy tym wszystkim, co się teraz dzieje, odkryją to najwcześniej jutro.

- Chcesz powiedzieć... - Zaskoczył ją tak, że z trudem zdołała wyszeptać: - Mój pokój?

- Powiedziałem „można” - odparł. - W normalnych okolicznościach prywatność pasażerów to rzecz święta, w przeciwnym razie mielibyśmy bunt na pokładzie. Jednak kapitan w razie potrzeby ma prawo prowadzić obserwację, jeśli wymaga tego bezpieczeństwo statku... Dlatego we wszystkich kabinach są urządzenia monitorujące, na wszelki wypadek. Nie martw się - dorzucił pospiesznie, widząc w jej oczach lęk. - Wiem na pewno, że w twojej do dziś nie zostały włączone. Nikt cię nie obserwował, Jamie.

- Jednak obawiałeś się, że ktoś może to robić. - Serce zaczęło łomotać jej w piersi. - Dzisiaj.

Zastanowił się.

- Powiedzmy, że wolałem nie ryzykować.

Podszedł do niej, wyjmując z kieszeni złożoną kartkę plastiku. I - To przyszło wczoraj. Mama nie wie, że to mam. Spoglądała na niego przez chwilę, a potem wzięła list. Rozłożyła i przeczytała.

Do Viktorii Clarendon, kapitana ziemskiego liniowca „Aurora”.

Mamy powody przypuszczać, iż wśród waszych pasażerów może ukrywać się poszukiwana osoba. Naprawdę nazywa się Jamisia Shido i jest zamieszana w terrorystyczny atak, który trzy e-lata temu zniszczył stację Shido. Od dawna usiłujemy ją znaleźć i zawiadomiliśmy wszystkie stacje obsługujące przyloty z Ziemi, aby oczekiwały jej przybycia. Bylibyśmy również wdzięczni za pomoc z waszej strony.

Panna Shido nie była obecna na początku waszej podróży, ale mogła wejść na pokład nieco później. To młoda, teraz dziewiętnastoletnia kobieta. Dołączamy jej zdjęcia w chwili opuszczenia osiedla Shido oraz obecny rysopis, uaktualniony komputerowo. Nie wiemy, jakiego rodzaju procesor myślowy posiada poszukiwana, tak więc z żalem stwierdzamy, iż na tej podstawie nie da się zweryfikować jej tożsamości. Dołączamy dodatkowe dane pomocnicze: charakterystykę ruchową, odciski palców, obraz siatkówki, wyniki sekwencjonowania DNA, wykresy fal beta. Mamy nadzieję, że przynajmniej niektóre z nich okażą się pomocne przy poszukiwaniach.

Z żalem stwierdzamy, iż na docelowej stacji nie mamy naszego agenta, który aresztowałby pannę Shido, co byłoby najlepszą metodą załatwienia tej sprawy. Tak więc prosimy o jej zabranie w powrotną drogę na Ziemię i przekazanie, po przybyciu, w ręce odpowiednich władz. Gdyby to okazało się niemożliwe, prosimy o ustalenie, do jakiej stacji została wysłana, i powiadomienie osób, których nazwiska i adresy zostały załączone do tego listu.

Dziękujemy za pomoc w tej sprawie.

Przeczytała list dwukrotnie, aż w końcu zobaczyła podpisy i nazwy umieszczone pod tekstem. *Federalna Służba Bezpieczeństwa Ziemi. Ministerstwo Obrony Zjednoczonych Osiedli.* Dwie najpotężniejsze organizacje wywiadowcze na Ziemi. Ci ludzie chcieli ją dostać - i to bardzo.

Nagle powrócił dawny strach. Zapragnęła uciec - dokądkolwiek - ale dokąd? Zaczepnęła tchu i oddała list Justinowi. Czekala.

- I co? - zapytał cicho.

Przełknęła ślinę. Zabolało.

- Jamie?

- Co mam ci powiedzieć? - szepnęła. Boże, mieli obraz jej siatkówki, odciski palców... wszystko. Co za problem dla załogi statku przeskanować wszystkich wysiadających pasażerów? Ze względów bezpieczeństwa pewnie i tak to robili. Była w pułapce, w pułapce...

- Opowiedz mi o tym - poprosił łagodnie. - Pomóż mi zrozumieć.

Ile razy miała te sny, w których nauczyciel ostrzegał ją o nieprzyjacielu? Ile razy mówił w snach, że jej procesor myślowy jest wart fortunę dla konkurentów Shido, którzy bardzo chcieliby dostać ją w swoje ręce... a ona, głupia, wyobrażała sobie, że jest tu bezpieczna. Zapomniała o pierwszej obowiązującej w przestrzeni zasadzie, którą wbijano jej w głowę od dziecka: ludzie mogą podróżować z ograniczoną prędkością. Dane - nie.

Tak też się stało.

- Jamie?

Nabrała tchu, usiłując wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo. Co mogła mu powiedzieć? Na ile mogła mu zaufać? *Obejmij go*, szeptała Katlyn, ale Jamisia nie zamierzała skorzystać z jej rady. Kat miała rozum między nogami.

- Jestem z Shido - powiedziała powoli, bardzo starannie dobierając słowa. - To akurat jest prawdą.

W czym mogła skłamać, a na czym mógłby ją przyłapać? Nagle uświadomiła sobie, że ta wiadomość być może była dłuższa i on mógł nie pokazać jej całej. Lepiej trzymać się jak najbliżej prawdy.

- Mniej więcej w tym czasie, kiedy „Aurora” opuszczała Ziemię, zostaliśmy zaatakowani. Osiedle zostało zniszczone. Ja...

Zobaczyła wyraz jego oczu i nagle zrozumiała. On wie, co stało się z Shido, pomyślała. Sprawdził to, zanim do mnie przyszedł.

Poczuła, że łzy nabiegają jej do oczu, i przeraziła się chwili, gdy zaczęły spływać jej po policzkach, zdradzając strach.

- Uciekłam - powiedziała w końcu. - Ktoś z moich... bliskich wysłał mnie tu. Mam dołączyć do krewnych w kosmosie. - Jeszcze jeden głęboki wdech, chociaż drżący, ale dostarczający dodającego sił tlenu. - Mój ojciec prowadził badania dla Shido. Uczył mnie i... - Pierwsza łza zaczęła spływać po jej policzku i Jamisia postanowiła to wykorzystać. - On nie żyje - szepnęła. - Zginął w eksplozji. Cała moja rodzina zginęła.

W tym momencie załamała się i zaczęła płakać, tylko częściowo na pokaz, bardziej ze szczerego żalu. Od tak dawna nie oplakiwała utraty wszystkiego, co miała, wszystkich tych, których kochała; dusiła to w sobie...

Właśnie tak, szepnął któryś z Innych. Nawet nie wiedziała który. *Daj płynąć łzom, Jamie, to na niego podziała.*

I tak też się stało. Po krótkim wahaniu podszedł do niej i czule objął. Poczuła się dziwnie - dla niej był właściwie obcym człowiekiem, ten kochanek Katlyn - lecz jego uścisk był ciepły, a troska szczerą, więc gdzieś w głębi serca zaczęła się w niej budzić nadzieja.

Verina podsuwała jej różne koncepcje, a Jamisia starała się przyswajać je bez wahania i powtarzać swoimi słowami.

- Jego praca była ściśle tajna. Konkurenci Shido wiele by dali za te informacje. Nie znam szczegółów, ale wiem... - *Uważaj!* ostrzegł Derik - ...dosyć, żeby się ich obawiać. Dość, by wiedzieć, że ich zdaniem ja mam informacje, których wcale nie posiadam... A oni w to nie uwierzą. - Napotkała spojrzenie Justina i usiłowała przekazać mu swą niemą, rozpaczliwą prośbę o pomoc. - Rywale Shido będą mnie szukać. Chcą sprowadzić mnie z powrotem na Ziemię, a kiedy się tam znajdę, przepisy korporacji dadzą im prawo do tego, co jest w moim mózgu. Tylko że będą musieli... będą musieli... - zająknęła się. - To... nie jest bezpieczny proces - powiedziała w końcu. - Może... - Wahala się, nie chcąc zbytnio naciągać prawdy. Potem pomyślała: och, do diabła z tym! - Mogę tego nie przeżyć.

Przez chwilę w milczeniu obracał w palcach kartkę, jakby porównując jej słowa z wagą tego urzędowego pisma. *On nie należy do żadnej korporacji*, osądziła Verina. *Prawdopodobnie urodził się na jakiejś planecie i takie historie oglądał tylko na wideo. Pewnie za mało wie o prawach korporacji, aby ocenić, czy mówisz do rzeczy, czy nie.*

Może to dla nas dobrze, podsunął Derik. *Dzielny tępawy bohater pomaga uroczej bohaterce wymknąć się z łap paskudnego syndykatu...* Ktoś zachichotał. *Pieprzyć to, byle tylko zadziałało!*

Justin w końcu złożył list. Zajęło mu to chwilę, gdyż szczupłymi palcami wygładzał każde zgięcie. Obserwowała to z zapartym tchem, obawiając się zapytać, co o tym myśli. Co zamierza. Wreszcie rzekł:

- Kiedy dotrzesz do tych twoich krewnych... będziesz bezpieczna?

Serce waliło jej jak młotem. Starła się zachować spokój.

- Tak. Tak. Prawo ziemi nie obowiązuje w kosmosie... Kiedy się tam znajdę, już nic mi nie zrobią.

Przez chwilę się nie odzywał.

- Justinie?

- Mama jeszcze tego nie widziała - mruknął. Wsunął wiadomość do kieszeni kombinezonu i uśmiechnął się kącikiem ust. - I chyba nie musi, no nie?

Tak! - wrzasnęła Zusu, a Derik zawołał radośnie: *Udało ci się, dziewczyno!*

Jeszcze nie, ostrzegła Katlyn. *Trzeba jeszcze przypieczętować umowę.*

Słyszając te wszystkie głosy, Jamisia ledwie zdołała zebrać myśli.

- A jeśli na tym się nie skończy? - zapytała nerwowo, obawiając się poruszać ten temat. - Jeżeli przyślą następną?

Wziął ją w ramiona i delikatnie przyciągnął do siebie.

- Nie martw się, dopilnuję tego. Nikt na tym statku cię nie sprzeda, Jamie. Obiecuję.

Potem pocałował ją i zaczęła się odsuwać. Nie naprawdę, ale w sobie, ustępując miejsca komuś innemu. Nie walcz z tym, Jamie. To teraz nasze życie. Puść... Tak też zrobiła, odsuwając się. Ustępując miejsca. Oddając kontrolę komuś, kto rozumiał zasady rządzące taką ulotną chwilą i mógł najlepiej z niej skorzystać.

- Mój bohaterze - szepnęła z uśmiechem Katlyn.

*

Wyokrętowanie przebiegło zdumiewająco gładko, zważywszy, ile tysięcy ludzi leciało na liniowcu. W istocie było to nie lada osiągnięcie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż nadzorujący ten proces stewardzi byli z konieczności niedoświadczeni: ponieważ po dwóch rejsach można było zaoszczędzić tyle, by przejść na emeryturę, mało kto dłużej pełnił służbę na liniowcu. Przy wyładunku byli także zatrudnieni wszyscy oficerowie oraz każdy, kogo tylko zdołali zapędzić do pracy... co oznaczało, że Justin był zbyt zajęty, by mieć dla niej choć chwilę czasu.

No i dobrze.

W kieszeni miała wydruk transmisji z Ziemi, wraz z dwoma innymi, które przysły później. Wrogowie Shido rzeczywiście bardzo chcieli ją znaleźć. Wołała nie myśleć o tym, co by jej zrobili, gdyby im się to udało. Chociaż nauczyciel wprowadził do jej oprogramowania tyle snów, w żadnym nie wyjaśnił, czego naprawdę chcieli od niej wrogowie, ani nawet czego dotyczyły prowadzone przez Shido badania. Miała wrażenie, że wcale nie chciał, aby to wiedziała, jakby jego zdaniem ta wiedza była ponad jej siły.

A więc nigdy się nie dowiem, pomyślała, po raz ostatni zamykając drzwi kabiny. Ponieważ to pewne jak diabli, że nie wrócę na Ziemię, żeby się tego dowiedzieć.

Mówili, że z kopuł na dziobie można dostrzec *ainniq*, lecz mówili także, że panuje tam okropny tłok i trudno coś zobaczyć, jeśli jest się zwykłym człowiekiem. Patrzyła, jak ją mijają pędzący tam Warianci: Alegonkowie o długich szczudłowatych nogach, na których uniosą się nad tłumem, Salvationerzy, których czepne stopy doskonale umożliwią im wspinanie się na dźwigary kopuł obserwacyjnych, oraz inni, obdarzeni podobnymi korzystnymi cechami, jak również niemała liczba prawdziwych ludzi. Wszyscy spieszyli tam, skąd przy pewnej dozie szczęścia będą mogli ujrzeć najwspanialsze ze wszystkich zjawisk. Kosmiczną szczelinę, przez którą człowiek dotarł do gwiazd.

Naprawdę powinniśmy pójść to zobaczyć, zaczęła Raven, ale Inni zakrzyczeli ją. Jak to ujął Derek: *Me ma na to pieprzonego czasu!* Natomiast Jamisia... Ona chciała tylko jak

najszybciej wydostać się ze statku, unikając wszystkich grożących jej tu niebezpieczeństw. Najwidoczniej większość Innych zgadzała się z nią, ponieważ nie słyszała dalszych protestów, gdy odwróciła się tyłem do prowadzącego ku kopułom korytarza i ruszyła w stronę śluz.

Obie torby miała przerzucone przez ramię, co było niewygodne, ale konieczne. Nie chciała utknąć przy taśmach, z których dziesięć tysięcy ludzi zaczęło odbierać swoje bagaże. Fakt, że za każdy kilogram nadwagi trzeba było słono zapłacić, nie powstrzymał pasażerów od przekraczania limitu. W końcu większość podróżnych należała do bogatych, a wielu z nich było emigrantami, którzy mieli już nigdy nie wrócić na Ziemię. Przecież nie można oczekiwać, że wyruszą w taką podróż bez całego swego dobytku, no nie? Wokół uwijali się stewardzi z wózkami wyładowanymi stertami najróżniejszych przedmiotów - od mebli, po ozdoby architektoniczne. A to był dopiero bagaż podręczny. Bóg wie, co znajdowało się w ładowniach.

Szaleństwo, pomyślała do Innych, przedzierając się przez tłum. Derik określił to zdecydowanie mniej cenzuralnym słowem. Raz czy dwa poczuła, jak zaczął się wyłaniać, kiedy mocno ściśnięto ją w tłoku, ale nie przejął kontroli. To nie była odpowiednia chwila dla niego - brakowało mu cierpliwości. Idąc w kierunku śluzy, słyszała, jak karca go Inni, i szalejąca w głębi myśli kłótnia bynajmniej jej nie uspokoiła.

Mogli dostać jeszcze jedną wiadomość, pomyślała, wsuwając się do rury transportowej. Przeciążony system włączył się z gwałtownym szarpnięciem. *Mogą na mnie czekać*. A jeśli Justin nie przejął wszystkich transmisji? Albo jeżeli wrogowie skontaktowali się ze stacją i tutejsze władze już były gotowe ją aresztować?

Niemożliwe, powiedziała Verina. *Przejdziemy przez odprawę emigracyjną, którą przeprowadzą urzędnicy Gildii. Wątpię, by Gueranie współpracowali z tamtymi, a próba oszukania ich z pewnością byłaby zbyt ryzykowna.*

Czy gildziarze są aż tak nieprzekupni? - zdziwiła się Jamisia. Miała wrażenie, że Verina się uśmiecha. *Nie, moja droga. Jednak mówi się, że oni nienawidzą Ziemi, więc wątpię, żeby zniżyli się do tego, by stać się narzędziem korporacyjnych rozgrywek.*

Jeśli tak bardzo nienawidzą Ziemi, to dlaczego tu są? Przecież to oni powiedzieli nam o ainniq. Bez nich nigdy nie ruszylibyśmy w kosmos.

No właśnie, mruknęła Verina. *Czyż to nie dziwne?*

A Derik dodał sucho: *Guerańska etyka. Cokolwiek to oznacza, do diabła.*

W końcu dotarła do wyznaczonej śluzy. Przerzuciła ciężkie torby na drugie ramię i podała swój identyfikator stojącemu tam stewardowi. Obejrzał go, kiwnął głową i oddał jej.

- Potwierdzenie? - zapytał.

Przez chwilę nie wiedziała, o co mu chodzi, ale zaraz zobaczyła, że podaje jej mały krążek. Przycisnęła go do skroni, pozwalając odczytać numer seryjny procesora myślowego i zapisać specyfikację. Oczywiście, fałszywą. Podczas długich miesięcy podróży liniowcem zmieniła wszystkie dane oprogramowania zgodnie z instrukcjami otrzymanymi w snach. Dzięki Bogu, że nauczyciel był taki przewidujący.

Najwidoczniej maszyna dała się oszukać, gdyż steward skinął głową, wziął od niej czytnik i gestem kazał jej wejść do służby. Nawet zdołał się do niej uśmiechnąć, gdy przechodziła, chociaż był już wyraźnie zmęczony

- Hauck 9200, tak? Niezłe wyposażenie.

Odwzajemniła mu się nikłym uśmiechem, ale nic nie powiedziała. Bo co mogła rzec? Jeden Bóg wie, co naprawdę miała w głowie. Zważywszy, że jej oprogramowanie musiało reagować na tuzin różnych osobowości jednocześnie, to dziwne, że zostało tam jeszcze trochę miejsca na szare komórki.

Przeszła przez kilka bramek kontrolnych i na żadnej z nich nie miała kłopotów. Nawet trochę się rozluźniła, chociaż kilku Innych ostrzegało ją przed tym. Och, gdyby tylko mogła wyłączyć ich choćby na godzinę, mieć jedną cudowną godzinę spokoju...

A potem skierowano ją do pokoiku, w którym czekało dwoje ludzi. Kobieta z dziwnie wykręconą prawą ręką i nogą. I mężczyzna.

Gueranin.

Zdumiewające, jak władczo wyglądał. Prawdę mówiąc, nie był wysoki czy potężnie zbudowany, ani nie posiadał żadnych innych cech, jakie mogłyby kojarzyć się z władzą. Jego ciało skrywała luźna czarna szata, nie pozwalająca dojrzeć żadnych szczegółów.

Jamisia poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, i natychmiast zrozumiała, skąd wzięło się to wrażenie. Ten mężczyzna był potężny, i nie chodziło tu o jego wygląd. Mógł wypuścić ją na wolność albo zabronić wstępu do *ainniq*. Jego rasa mogła udostępniać planety całym narodom lub na zawsze zamykać do nich drogę. A jego twarz... Widząc go, w mgnieniu oka pojęła, iż te cienkie czarne linie, które wydawały się prawie barbarzyńskie - jak prymitywne ziemskie tatuaże sprzed epoki kosmicznej - w rzeczywistości były językiem równie bogatym w znaczenia jak każda mowa. Formą porozumiewania się, która (jak powiadano) pod względem przekazywania subtelnych różnic nastroju i zamiarów mogła się równać z telepatią.

Jamisia oniemiała, nie wiedząc, co powiedzieć.

Milczał przez kilka sekund, przy czym niemal widziała pajęczą sieć informatyczną, łączącą go z bazą danych statku, po czym rzekł:

- Jamisia Capra.

Skinęła głową. Na razie dobrze. Może podejrzewali, kim naprawdę jest... ale nie mieli pewności.

- Dane medyczne...

Znów zamilkł. Nie zaokrętowała się z innymi, więc nie miała kompletnego dossier jak pozostali pasażerowie, jednakże została bardzo dokładnie zbadana, zanim wpuszczono ją na pokład. Wiedziała, że jest kilkadziesiąt chorób, które uniemożliwiają wstęp do kontrolowanej przez Gildię przestrzeni. Gueranie twierdzili, iż powodem zakazu jest troska o dobro populacji, które straciły naturalną odporność na te wysoce zakaźne choroby. Przeciwnicy utrzymywali, że Gildia w ten sposób selekcyjnie genotypy, wybierając spośród różnych psychofizycznych cech mieszkańców starej Ziemi takie, jakie jej się podobają.

Wstrzymała oddech, czekając na werdykt.

- W porządku - rzekł w końcu. Podał jej jakiś niewielki przedmiot. Rozpoznała próbnik DNA. - Tylko dla weryfikacji, panno Capra.

Wyciągnęła rękę i pozwoliła, by musnął ją instrumentem, pobierając komórki do identyfikacji. Przyrząd zamruczał i pisnął. Cokolwiek oznaczały te dźwięki, najwidoczniej go zadowolili.

- Bardzo dobrze - powiedział gildziarz, odsuwając się i otwierając drzwi. - Wszystko w porządku, panno Capra. Proszę przejść.

Zawahała się i ruszyła naprzód. Idąc do drzwi, przeszła tuż obok kobiety, która obrzuciła ją uważnym spojrzeniem, ale się nie odezwała.

W następnej chwili Jamisia przeszła przez drzwi do doku. Tam Gueranie ładowali bagaże do sporego transportera, w którym już znajdowało się około dwudziestu lub trzydziestu pasażerów. Przyjęła pomocną dłoń, weszła do środka i znalazła sobie miejsce przy jednym z wygiętych, czystych okien. W oddali migotały gwiazdy, a między nimi... Czy to było to, ten błysk światła? Czy to był *ainniq*, drogowskaz jej wolności?

Udało nam się! - wykrzyknął jeden z Innych. Nieważne kto. Chociaż raz wydawało się, że wszyscy są zgodni.

Jamisia oparła się o burtę transportera, wyczerpana napięciem, w jakim żyła przez kilka ostatnich dni. Teraz jednak było już po wszystkim, przynajmniej na razie. Wkrótce znajdzie się w przestrzeni Gildii, chroniona przez galaktyczne prawo przed chciwością i rozgrywkami ziemskich korporacji. A wtedy, przez pewien czas, będzie bezpieczna. Gildia

się nią nie interesowała. Wrogowie Shido tam jej nie osiągną. Nie będą mieli okazji, by ją złapać, dopóki kosmolot nie dotrze do pierwszej stacji węzłowej... A do tego czasu wymyśli coś, żeby im się wymknąć. Znajdzie sposób.

Tak, przytaknęła. Udało nam się.

Gładząc stalowy naszyjnik, spojrzała w gwiazdy, szukając *ainniq*.

*

- No? - zapytał gildziarz.

Yin namyślała się długo i głęboko, a potem odparła, starannie dobierając słowa:

- Ona ma swoje tajemnice.

- Jak wielu innych. - Ścigają ją.

- Wiemy o tym.

- Ona też o tym wie. Gildziarz wzruszył ramionami, lecz ten gest bynajmniej nie świadczył o obojętności.

- I?

Yin zastanowiła się.

- Nie sędzę, żeby rozumiała, dlaczego ją ścigają. A skoro tak...

- To niczego nie osiągniemy, przesłuchując ją teraz.

- Właśnie.

Gildziarz wyjął coś z kieszeni. Starannie złożony wydruk transmisji z Ziemi. Rozłożył kartkę. Przeczytał.

Mamy powody przypuszczać, iż wśród waszych pasażerów może ukrywać się...

- Zobaczmy, dokąd się uda - rzekł w końcu. - I kto za nią ruszy. - Ponownie złożył list i z powrotem schował go do kieszeni. - A także, czy ona będzie wiedziała coś więcej.

- Zawiadomisz załogę kosmolotu?

Na moment przymknął oczy, błyskając ikonami, które nawiązywały łączność ze statkiem. Myśli zmieniły się w kod dwójkowy, a ten w strumień danych... W kilka sekund sygnał pokonał przestrzeń i dotarł do adresata. Po kilku następnych nadeszła odpowiedź.

- Gotowe - oznajmił Gueranin. Wrócił na swoje miejsce przy drzwiach. - Zajmą się tym.

Drzwi otworzyły się z sykiem. W progu stanął młody człowiek z walizką w ręku.

Następny...

VIII

ASSIVAK

Assivak nie mówi, nie ryczy, ani nie rzuca się na swych wrogów. Zazwyczaj sprawia wrażenie martwego, gdyż nie rusza się, oszczędzając siły. Jeśli przyjrzeć mu się uważnie, można dostrzec mrugnięcie oka lub drgnięcie czułków, ale i to rzadko.

Nie musi się poruszać, wyc ani z niczym spieszyć. Jest budowniczym, który tworzy to, co musi, a potem czeka, aż jego budowla spełni swoje zadanie. Nie ugania się za pożywieniem, bo ono same do niego przychodzi. Nie poluje, tylko przyjmuje. Jego ciało tak doskonale upodabnia się do otoczenia, że można je dostrzec dopiero z bliska... a wtedy jest za późno.

Nikt nie ma pojęcia, jakie myśli snują się w jego mózgu. Żaden zbędny ruch nie zdradza jego zamiarów. Po prostu buduje swoje pułapki i czeka. Nic więcej. Jeśli pułapka jest dobra, a ofiara nieświadoma jej istnienia, nie ma żadnych wątpliwości, jaki będzie wynik. Nie ma powodu marnować energii.

Rzadko bywa głodny.

KAJA: „Kosmiczny przewodnik po guerańskim systemie społecznym”, tom II: Znaki duszy.

WĘZEL GWIAZDOZBIORU WĘŻA STACJA W GWIAZDOZBIORZE WĘŻA

W środku sieci czekał pająk: przyczajony, milczący. Krystaliczne nitki ciągnęły się od jego nóg do węzła, stacji, kosmolotu i dalej. Tysiące cienkich jak myśl pasm, łączące ze sobą światy ludzi. Drżały od czasu do czasu, gdy takie czy inne wydarzenie zmieniało kruchą równowagę ludzkiej władzy, i stworzenie w środku tej sieci zwracało swą uwagę w odpowiednim kierunku. Szczupłe palce czule pieściły pajęczynę, wyciągając maksimum danych z każdej najmniejszej wibracji.

Każda ze stacji Gildii miała grube włókna - napęczniałe od danych, sięgające końcami samych dusz gildmistrzów. Te włókna były najważniejsze, podtrzymywały całą strukturę. Jeśli Hsing choćby drgnął w swoim złotym pałacu, pająk wiedział o tym. Jeżeli Ra wzięła sobie kochanka, który mógł dowieść jej słabości, wieść niosła się po tej cienkiej nitce, aż znalazła się w zasięgu pająka. Jeśli Kent lub Varsav wydali choć westchnienie, które mogło okazać się istotne, do nadejścia nocy pająk już je słyszał. Były też inne nici, wiodące do innych gildmistrzów: dwadzieścia najmocniejszych i ponad dwieście mniej ważnych, lecz teraz liczyły się tylko cztery. Te, które Prima w swej mądrości uznała za rywali pająka.

Hsing. Ra. Varsav. Kent.

Nie rywalizowali o władzę, nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Chandras Delhi już osiągnęła najwyższe stanowisko, jakie mógł zająć człowiek - nie licząc Primi. Jednak tę władzę można było utracić. W kosmosie istniało tylko dwieście dwadzieścia węzłów, a każdy z nich miał rezydującego gildmistrza. Niebyło to wiele, zważywszy na tysiące gildziarzy, którzy walczyli o takie stanowiska, tak więc jej podwładni nieustannie szukali jakiegoś słabego punktu, który pozwoliłby strącić ją ze stołka. Zaś, co do innych gildmistrzów... tych zawsze należało obserwować. Jej stacja w gwiazdozbiorze węża była doskonale zlokalizowana pośrodku kilku głównych szlaków handlowych i Delhi wiedziała, że inni mają na nią ochotę. Czowała, jak bardzo pragną ją mieć, i dobrze wiedziała, że wystarczy jeden błąd - jedna przelotna chwila słabości - a będzie musiała przekazać hasła dostępu komuś obcemu, kto zajmie jej miejsce.

Hsing, Varsav, Kent, Ra. Wszyscy oni mieli własne stacje, może nie tak dobre jak jej, ale dostatecznie ważne. Tak więc nie to byłoby motywem współzawodnictwa. Nie obawiała się Ra, uważając ją za kobietę płytką, pochłoniętą własnymi przyjemnościami i nie gustującą w politycznych intrygach, w jakich lubowała się Delhi i inni. Delhi czujnie obserwowała jej poczynania, ale nie spodziewała się z jej strony żadnych niespodzianek. Od czasu wypadku Kent był cieniem człowieka, lecz w tym udręczonym ciele krył się nadal bystry umysł, i ci, którzy go nie doceniali, wiele ryzykowali. Ona nie zamierzała tego robić. Varsav... ten człowiek przypominał odbezpieczony granat, który w każdej chwili może wybuchnąć, jednocześnie był doskonałym strategiem, a pedanteria czyniła go podwójnie niebezpiecznym. Tacy jak on czasem wyczuwali pajęczynę, którą rozsnuła wokół nich, a jeśli szarpali ją dostatecznie długo i uparcie, mogli zniszczyć delikatne nitki danych, których używała, by ich obserwować. A Hsing... ten był zręcznym przeciwnikiem i zwykle czujnie go obserwowała, ale już od roku przebywał poza stacją. Zanim wróci, będzie tam tuzin kandydatów na jego miejsce, a każdy z własnym planem zmierzającym do pozbawienia go stanowiska. Hsing będzie musiał całą energię poświęcić umacnianiu swej pozycji i naprawianiu szkód wyrządzonych podczas jego nieobecności. Tak więc nie musiała obawiać się Hsinga. Jeszcze nie.

A czy oni obawiali się jej?

Wiedziała, że Kent się jej boi. Kent wciąż się czegoś bał i nawet strumień regularnie dozowanych do krwiobiegu leków - o czym od dawna wiedziała, dzięki świetnej pracy jej służby wywiadowczej - nie był w stanie całkowicie zlikwidować tego uczucia. Wiedziała, że on również sprawdzał granice jej władzy i nie udaremniła wszystkich tych prób. Lepiej wiedzieć, gdzie znajduje się wróg, i karmić go fikcyjnymi danymi, niż odepchnąć w mrok,

aby lepiej zaplanował następne posunięcie. Ponieważ tego następnego możesz nie skontrolować...

Jej procesor mignął ikoną alarmu: przybył transport. Dała sygnał, żeby go wpuścić, i pozwoliła, by jego symbole przewinęły się w polu jej widzenia. Kapsuła z danymi, przechwyconymi ze stacji Reijik. Wprowadziła kod i otworzyła ją, rzuciła okiem na zaszyfrowaną zawartość, a potem odesłała do speców od kryptologii. Sprawdziła koszt przesyłki - nie była tania, lecz przechwycone dane nigdy nie są tanie - i mignęła ikoną, potwierdzając zlecenie wypłaty. Nie musiała przechodzić przez kolejne instrukcje, aby jej rachunek obciążono odpowiednią kwotą, ani dopilnować, by przelano ją właściwemu agentowi. Nie musiała też nadzorować procesu maskowania płatności jako innej transakcji, tak by niespodziewana kontrola nie odkryła nielegalnych działań. Wszystko to odbywało się automatycznie, zaprogramowane w jej procesorze myślowym i otaczających go, żywych komórkach. Takie poczynania przychodziły jej z równą łatwością jak oddychanie.

Z westchnieniem satysfakcji błysnęła serią ikon i podtrzymująca jej ciało klatka z plastostali zaczęła się poruszać. Delhi już dawno mogła kazać naprawić swój mózg, tak by jej ciało poruszało się samodzielnie, bez mechanicznego wsparcia, lecz było to ryzykowne. Te same metody, dzięki którym powstawały nowe drogi nerwowe ze skuteczniejszych połączeń komórkowych, mogły też uszkodzić delikatne układy odpowiadające za procesy myślowe. Kobieta z jakiejś innej planety mogłaby podjąć takie ryzyko, woląc poświęcić kilka ulotnych myśli niż spędzić całe życie zamknięta w mechanicznej skorupie, ale nie Gueranka. Dziedzictwo Guery było w umysłach i duszach jej ludu, i jak wszyscy jej pobratymcy, Chandras Delhi czciła ludzki umysł w jego naturalnej postaci. Jeśli kosztem miało być jej ciało, niech tak będzie. Była stworzona do myślenia, nie wysiłków fizycznych, więc chemie poniesie taką ofiarę.

Stacja Reijik, pomyślała. To jeden z węzłów obsługujących macierzysty świat - Ziemię. Niektórzy z personelu Delhi uważali, że jest szalona, poświęcając tyle energii tej zapomnianej planecie, ale to dlatego, że nie postrzegali wszechświata tak jak ona. Ziemia była dokładnie spowita pajęczyną danych, przez co wydawała jej się białym kokonem. Ta sieć była tak ciasno utkana, że bardzo rzadko ktoś z zewnątrz zdołał wyciągnąć z niej pojedynczą nić i ją zbadać. Niewielu tego próbowało. Dla większości Gueran Ziemia była śmietnikiem kosmosu i historii, zbyt zajęta własnymi problemami politycznymi, by kiedykolwiek mogła uzyskać większe znaczenie. Ci Gueranie, którzy zajmowali się ich macierzystą planetą, zazwyczaj robili to z niechęcią. W końcu Ziemia była domem dziewięciu miliardów „prawdziwych” ludzi i ośrodkiem skupiającym jeszcze pięć miliardów. Oni wszyscy uważali

się za prawdziwych ludzi. Potomkowie tych, którzy zostali w domu, gdy koloniści Guery, Yin i Frisi ruszyli na podbój galaktyki... Teraz śmieli uważać się za lepszych od swych kuzynów Hausmana i okazywać im to przy każdej okazji.

W rzeczy samej, rozmyślała Delhi, gdyby Ziemia znajdowała się bliżej *ainniq*, zapewne już dawno wybuchłaby wojna. Światy Wariantów nie były zjednoczone, lecz łączyła je nienawiść do Ziemi. Krótkowzroczni głupcy. Tak jak niegdyś prastare oceany Ziemi dostarczyły Naturze materiały do stworzenia życia, tak jej zatłoczona datasfera tworzyła teraz żyzne podłoże do nowych technologii, nowych danych, nowych zagrożeń... Delhi nie przejmowała się tym, że była osamotniona w przekonaniu o obiecujących możliwościach Ziemi. Niewielu obserwowało planetę ludzi tak jak ona, co oznaczało, że miała mniej rywali. Mogła polować w spokoju.

Stacja Reijik, rozmyślała. Poruszyła palcami w plastostalowej klatce, zastanawiając się, co tym razem uda jej się złowić.

*

- Niech to szlag! - zaklął Stivan.

Jego współpracownik oderwał wzrok od panelu kontrolnego, na którym skupił całą uwagę.

- Co jest, Stiv?

- Nic - warknął. - Zupełnie nic.

Na ekranie monitora przewijały się kolejne linijki kodu. Przechwycony materiał trzeba było przeglądać właśnie tak - na monitorze - a poza tym wyłączyć procesor myślowy, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy w tym bałaganie nie trafi się jakiś rodzaj zabezpieczającego wirusa, który spali ci bioobwody jeśli tylko wpuścisz go do głowy. W porządku, to jego praca. Rozumiał to i akceptował. Tylko że to gówno zaszyfrował prawdziwy ekspert. Programy deszyfrujące przysyłały Stivanowi sygnały, jakich jeszcze nigdy nie widział, a jedynych wzmianek o czymś takim mógł szukać we własnej głowie.

- Cholera.

Ze złością uderzył pięścią w konsolę i w końcu wyłączył monitor. Zrobił jeden głęboki wdech. Drugi. Wciągnij powietrze, policz do sześciu, wypuść. W gniewie popełnił tyle błędów, że w końcu zaprogramował swój procesor na blokowanie wszelkich poleceń w chwilach wzburzenia - co teoretycznie było niezłym pomysłem, ale istnym wrzodem na tyłku, kiedy potrzebował szybkiego dostępu do jakichś danych. Tak jak teraz.

Wreszcie uznał, że osiągnął stan, w jakim program monitorujący będzie zadowolony z odczytów tema, ciśnienia krwi, przewodnictwa skóry - i wyobraził sobie ikonę. Przedstawiała

czarnego smoka na czarnym tle, niezwykle dramatyczny symbol. Wzorował się na tatuażu, który widział kiedyś jako dziecko i który utkwił mu w pamięci. Rysunek był skomplikowany i trudny do zapamiętania, bo ze względów bezpieczeństwa specjalnie zaprogramował go tak, by najdrobniejsze przesunięcie linii powodowało wyłączenie programu. Stivan Dici miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Nic dziwnego, skoro jego głównym zadaniem było łamanie zabezpieczeń programowych.

Dopiero za trzecim razem - najwyraźniej ciśnienie nadal miał trochę podwyższone i musiał poczekać aż opadnie - udało mu się ponownie uruchomić procesor myślowy. Dane potrzebne do deszyfracji znajdowały się w części pamięci nieulotnej, umieszczonej przy wewnętrznej ścianie komorowej. Te informacje zajmowały sporo pamięci trwałej, ale warto było ją poświęcić. A na co miałby ją przeznaczyć, na magazynowanie wideofilmów do odtwarzania?

Posługując się zapasowym hełmem, załadował potrzebne dane i natychmiast go wyczyścił. Z takim materiałem lepiej nie ryzykować. Od trzydziestu lat zbierał informacje o rzadkich i obcych metodach deszyfracji, dzięki czemu był jednym z najlepiej płatnych hakerów. Oczywiście, te metody były skuteczne tylko jeśli...

Starał się o tym nie myśleć, instruując sprzężony procesor, dla ma zrobić z załadowanym materiałem. Usilnie starał się opanować zniecierpliwienie, ale przychodziło mu to z trudem. Taki talent jak jego był przeznaczony do wyższych celów i chociaż Stivan wiedział, że w końcu będzie miał okazję go wykorzystać, irytowało go, że dotychczas nie nadarzyła mu się taka sposobność. Och, pewnie, gildmistrzynie obsypywała go prezentami za usługi, jakie jej oddawał, a współpracownicy spoglądali nań z podziwem i szacunkiem. Cieszył się tym i wykorzystywał przy każdej okazji.

- No, co my tu mamy? - mruzczał, wchodząc do biura. - Następna kapsuła z Danyona?

A współpracownicy spoglądali na niego w pełnym zdumienia milczeniu, zastanawiając się, w jaki sposób na pierwszy rzut oka odczytał to z chaosu obcych symboli, nad którym trudzili się przez wiele godzin. Uwielbiał takie momenty. Tym bardziej że było to tylko szpanerstwo, nic więcej. Już dawno dobrał się do prywatnej bazy danych gildmistrzynie i potrafił wyciągnąć stamtąd informację tak zręcznie, że programy zabezpieczające nie ogłosiły alarmu. Oczywiście, częściowo zawdzięczał to temu, że sam zaprogramował...

Cóż, żył w hakerskim rajku, bez wątplenia. Hojnie opłacany za grabienie galaktyki z najtajniejszych danych i obsypywany zaszczytami przez Gildię. To powinno mu wystarczyć. I z pewnością wystarczyłoby każdemu hakerowi. Lecz nie jemu.

On chciał mieć stację.

W hierarchii Gildii dzieliły go od niej tylko dwa szczeble. A wiedział, że mógłby je ominąć, gdyby poparła go Prima. Żaden przedstawiciel jego profesji nigdy nie awansował na gildmistrza, ale to wcale nie oznaczało, iż żaden nim nie zostanie. Spójrzmy prawdzie w oczy: człowiek, który złamał wojenny kod Termilliana i przechwycił piracki fracht na Paradise, sprostą każdemu wyzwaniu.

Zrządzenie losu sprawiło, że mógł awansować w hierarchii Gildii, jedynie zajmując się tym, do czego wynajęła go gildmistrzynie - danymi. Nie miał pojęcia, czego właściwie szuka ani jak to działa, ale wiedział, że ta jego znosząca złote jaja kura gdzieś tam jest. Dane, które zagrożą istnieniu Gildii - lub zwiększą jej wpływy - a które Prima musi zdobyć, inaczej wszyscy ucierpią. Ten, który je dostarczy, z pewnością zostanie sownie wynagrodzony, a Delhi miała spore szanse stać się tą osobą. On zaś miał spore szanse, by ją ubiec.

- Czego za to chcesz? - zapyta Prima swym najśłodszy glosem, na co on niedbale odpowie: - Hm, mam wrażenie, że marnuję się na dotychczasowym stanowisku, więc może powinienem awansować...

A kiedy ona zacznie mówić o awansie o jeden szczebel, on grzecznie zauważy, że ktoś, kto uratował Gildię, zasługuje chyba na więcej, może - jeśli wolno zasugerować - na własną stację...

I, oczywiście, będzie to stacja Delhi. Jeśli nie pokona tej kobiety i nie zajmie jej miejsca, ona odplaci mu za taką zdradę. Gdyby jednak straciła stanowisko w tym samym czasie, kiedy on zdobędzie swoje, tak że nie miałyby już takich możliwości... To będzie trudne, ale nie niemożliwe. Nie ma innego wyjścia. Jej siatka była zbyt rozległa, zbyt dobrze zorganizowana, aby mógł z nią rywalizować. Musi ją zneutralizować, jeśli ma do czegoś dojść.

W końcu, pomyślał pod jej adresem, gramy w tę samą grę, ty i ja. A tylko jedno z nas może ustalać reguły.

Najpierw jednak musi zdobyć te dane.

Upewniwszy się, że hełm został rzeczywiście dokładnie wymazany do czysta - w takich sprawach był bardzo sumienny, co stanowiło jedną z tajemnic jego sukcesu - zaczął jeszcze raz przeglądać pakiet tajemniczych danych. Do programu deszyfrującego dodał wiele dodatkowych instrukcji, które zauważalnie spowolniły jego działanie, więc śledząc je, niecierpliwie postukiwał pisakiem o konsolę. Gdyby pracował na jednej z dużych maszyn, nie miałby takich problemów, ale tego rodzaju danych nie opracowuje się na cennym sprzęcie. Zaledwie tydzień wcześniej zabezpieczenia pakietu przechwyconego z Paradise spaliły pięć

maszyn, jedną po drugiej. Nie wolno ryzykować, że coś takiego przydarzy się któremuś z większych komputerów.

Na ekranie rozbłysło czerwone światełko, ostrzegając go o zmianie aktywności. Trafiony. Pochylił się, przewijając i studiując dane. Uśmiechnął się. Tak, to ziemski szyfr, w dodatku piekielnie stary. Nikt prócz kolekcjonera nie trzymałby czegoś takiego w plikach... Cholera, albo ktoś stroi sobie wyszukane żarty, albo te informacje są naprawdę bardzo ważne. Z mocno bijącym sercem zaczął neutralizować wbudowane w pakiet zabezpieczenia. Zauważył, że nie obejmowały całej zawartości, tylko jeden niewielki fragment liczącego zaledwie kilka linijek tekstu.

Kiedy zaczął do niego dochodzić, włączył się alarm, więc szybko wycofał się i sprawdził pakiet. Ten wydawał się nienaruszony. Ponownie uruchomił skaner przeciwwirusowy i... niech go diabli, coś przyczepiło się do jego systemu. Cholera.

Dojście do tego punktu kosztowało go zbyt wiele trudu, żeby teraz wkładać czysty dysk i zaczynać od nowa. Poza tym to, co załatwiło mu ten zestaw programów, równie dobrze mogło zrobić to z kopiami. Co oznaczało, że musi usunąć wirusa. Wywołał program porównawczy, który przejrzy oprogramowanie bit po bicie, porównując kopie z oryginałami. Konsola cicho popiskiwała przy każdym znalezionym fragmencie obcego kodu. Był zbyt zajęty, by zwracać na to uwagę.

Cóż to takiego, do diabła? Dlaczego program zabezpieczający uruchomił się w trakcie przeglądania tego cholernego pakietu? Powinien zrobić to na początku, aby uniemożliwić odczytanie wszystkich danych. Jaki sens ma chronienie dodatkowo jednego krótkiego fragmentu, jakby pochodził z jakiegoś innego źródła...

Wytrzeszczył oczy. Na moment zapało mu dech. Nie zwrócił na to uwagi. Inne źródło. Jezu Chryste...

Program deszyfrujący zatrzymał się. „Szyfr wielowarstwowy, ostrzeż. Kontynuować?”.

Drżącymi palcami wystukał: „Nie. Izoluj segment. Wyświetl”. Czekał.

Maszyna pomrukiwała cicho, co rzadko się jej zdarzało. To pewne, że mocno ją obciążył. Po chwili na ekranie pojawiło się kilka linijek tekstu. Oczywiście, był zakodowany. Stivan przepuścił go przez program dekodujący i otrzymał tekst liczący tylko pięć linijek. Nadal zaszyfrowany.

Serce waliło mu jak młotem. Miał ochotę unieść głowę i sprawdzić, czy ktoś zauważył jego niezwykle podniecenie, ale nie mógł oderwać wzroku od ekranu. Drżąc, podał instrukcje

do kolejnego deszyfrazu, a kiedy komputer odpowiedział, że może złamać i ten kod, aż ścisnęło go w dołku z emocji.

To jest to, pomyślał. To musi być to.

W końcu komputer zasygnalizował sukces. Linijki obcych symboli znikły z ekranu. Na ich miejscu pojawiło się pięć innych. Po angielsku.

PROJEKT JANET ZATWIERDZONY GID OBIEKT PRAWDOPODOBNIENIE
NIEŚWIADOMY OSTATNIE ID JAMISIA SHIDO ZDOLNOŚCI KOSMOPILOTA
NIEUJAWNIONE ZNALEŻĆ ZA WSZELKĄ CENĘ

Plik był dłuższy, lecz to tylko dane uzupełniające. Na razie nie zamierzał ich czytać. Widział tylko te pięć linijek tekstu.

„Zdolności kosmopilota nieujawnione”.

Jakoś zdołał nacisnąć klawisz, który zaciemnił ekran monitora. Lepiej, żeby nikt nie przeczytał mu tego przez ramię.

Jezu Chryste.

W końcu doprowadził kontrast do normy i wystukał: JAMISIA SHIDO. SZUKAJ.

Komputer zrobił to. Przez cztery minuty. Cztery bardzo długie, denerwujące minuty. TRZY, oznajmił.

Ten skromny wynik wcale go nie zdziwił. Nazwy korporacji były zastrzeżone i mało kto używał swego korporacyjnego nazwiska. PLANETA/STACJA POCHODZENIA? - napisał. Ręce wciąż mu się trzęsły.

Tym razem natychmiast otrzymał odpowiedź.

ZIEMIA

HELLSGATE

ELISIA

Ziemia. Reijik był jednym z węzłów obsługujących Ziemię. Jeśli ktoś chciał schwytać kobietę uciekającą ze strefy wpływów macierzystej planety, stacja Reijik była jedną z kilku, które należało ostrzec.

To musi być to.

Stivan kazał komputerowi podać wszystkie informacje o tej Jamisi Shido. Nie było ich wiele. Ziemia przechowywała swoje pliki w osobnych archiwach, nie udostępniając ich rozległej kosmosieci. Pomimo wszystko, o tej kobiecie było jeszcze mniej informacji, niż można by oczekiwać.

Nic dziwnego, pomyślał, jeśli bierze udział w jakiejś tajnej operacji. Nic dziwnego, jeśli dotyczy to kosmopilotów...

Szukał dalej, uaktywniając ikonę za ikoną. Zredukował pakiet danych, wycinając podwójnie zaszyfrowany fragment. Ponownie zamknął pakiet, operując kodem jak chirurg skalpelem, aby plik wyglądał na cały, jakby niczego zeń nie usunięto. „Bądź ostrożny - powiedział temu obcemu, którego palce stukały w klawiaturę - bądź bardzo ostrożny, bo Delhi wie, co robi. Nie wolno ci zostawić żadnego śladu”.

Kiedy wreszcie skończył, ponownie uruchomił program dekodujący. Później wejdzie do logu i usunie wszystkie ślady operacji, żeby nikt nigdy nie odkrył, co tu zrobił. Wszyscy będą myśleli, że przez tę godzinę odszyfrowywał pakiet dla gildmistrzyni.

Mały chip, na którym była zapisana wiadomość, parzył go w dłoń, gdy Stivan wziął czysty hełm, jednocześnie uruchamiając swój procesor myślowy. Tym razem nie czekał, aż funkcje organizmu same wrócą do normy. Wykorzystał hełm, by przejąć kontrolę nad programem zdrowotnym, i wprowadził do swego krwioobiegu dość środka uspokajającego, by móc ponownie uaktywnić procesor. Najwyraźniej biologiczny strażnik, z którego był tak dumny, w takich chwilach tylko przeszkadzał.

Załadował zawartość chipa do hełmu, a stamtąd do swojej pamięci stałej. Pięć linijek i trochę uzupełniających danych. Kwintesencja supertajnego planu, który dotyczył kosmopilotów i Ziemi, a także mógł - być może - zakończyć długie oczekiwanie. Reijik ukradł te dane Ziemi. Delhi ukradła je Reijik. A teraz on wykradł je Delhi...

A to, pomyślał ponuro, jest najbardziej niebezpieczne.

Jednak warto zaryzykować. Boże, tak. Warto.

*

- Pani?

Delhi powoli odwróciła się. Jej mechaniczny pancerz nie pozwalał na szybkie ruchy. To była Jovanne, jej sekretarka.

- Mam ten log, o który prosiłaś.

- Tak, oczywiście. - Z roztargnieniem wskazała puste miejsce na stole. - Połóż go tutaj, obejrzę go sobie później.

Nie patrzyła, jak wysoka Anduluvianka kładzie chip na stole, a potem kłania się i wychodzi. Myślała o czymś innym. O swojej sieci.

Teraz sprawdzała najcieńsze nitki, co wymagało głębokiego skupienia. Nie były to ogromne zbiory danych, lecz delikatne pasma złożone z pojedynczych faktów, falujące niczym cieniutkie wici, widziane oczyma duszy. Widziała każdy dołączany fakt, a usuwany postrzegała jako powstającą dziurę - jak prawdziwy pająk zauważa każdą zmianę w swoim dziele. Czasem nawet zapominała o tym, że spogląda na dane, i ztracała się w czystym

pięknie tego wszystkiego: we fraktalowych, niewiarygodnie skomplikowanych wzorach powiązanych ze sobą faktów. Taka sieć, jaką postrzegała większość ludzi, była zaledwie cieniem tej absolutnej prawdy, bladym i zamglonym odbiciem w krzywym zwierciadle. Ilu widziało świat właśnie takim? Hu rozumiało, że interpretacja jednej informacji może powodować drgania całej sieci, zagrażające jej najmocniejszym włóknom? Ona wiedziała i mogła obserwować to bezpośrednio, bez potrzeby intelektualnej analizy. Taki dar zawdzięczała efektowi Hausmana, który pozbawił ją zdolności poruszania się o własnych siłach.

Była więcej niż zadowolona z tej zamiany.

Starannie i delikatnie skupiła oprogramowanie analityczne na anomalii, jaką dostrzegła w sieci. Jej hełm zawierał ponad pięć tysięcy programów, które nieustannie pobierały i wysyłały dane, analizowały je, ściągały informacje z uninetu, sprawdzały je na obecność wirusów, porównywały i wyszukiwały podobieństwa... Częściowo były jej dziełem, częściowo jej kochanka (już nieżyjącego), szefa bezpieczeństwa (też nieżyjącego), oraz faworyzowanego hakera (jeszcze żywego, ale nie pamiętającego, co zrobił). Tylko końcowe wyniki poszukiwań były przekazywane do jej mózgu, gdzie wyspecjalizowane zmysły wchłaniały je i ukazywały w takiej metaforycznej postaci. W ten sposób mogła wynajdywać subtelne i dobrze ukryte dane, które umykały uwagi jej hakerów. Dzięki temu została gildmistrzynią tej stacji. I to pomoże jej trwać na tym stanowisku do śmierci. Nie jej śmierci, rzecz jasna.

Oczami duszy znów ujrzała sieć, skrzącą się aktywnością podobną do tej, jaka ma miejsce w ludzkim mózgu. Po pewnym czasie zauważyła rozgałęzienie cienkiego włókna i zidentyfikowała potrzebny jej fragment. To na stacji, pomyślała, interesujące. Po kilku sekundach ujrzała nowy wzór. W mojej cytadeli. Coraz ciekawsze. Z ponurą miną dalej studiowała sieć, szukając anomalii. Istotnie, była subtelna, ta zmiana wykryta przez jej oprogramowanie, ukryta poniżej poziomu, do jakiego zwykle ograniczała poszukiwania. Może ta informacja nie miała żadnej wartości. Jednak Delhi pamiętała o podstawowej zasadzie teorii chaosu: nieskończenie mały element może zmienić nieskończenie dużą całość. Tak więc kontynuowała poszukiwania, zastanawiając się, co też takiego ciekawego znalazł jej procesor myślowy i programy pomocnicze.

Wreszcie dotarła do końca nici i ku swemu zdziwieniu znalazła logi jej pracowników. Przejrzała zaprezentowane jej tabele, ale nie dostrzegła nic niezwykłego. Jeszcze bardziej zawęziła pole poszukiwań, posługując się programem wyszukującym, i ujrzała biozapis jednego z jej hakerów, Stivana Diciego. Tak jak inni, nie miał pojęcia, że regularnie

przeglądała odczyty jego programu zdrowotnego. Och, mógłby się dowiedzieć, gdyby chciał, bo z pewnością umiałby to odkryć... gdyby zaczął szukać. Tylko że nikt tego nie robił. Komu przyszłoby do głowy, że pracodawca wciąż sprawdza jego ciśnienie krwi, puls i oddech?

Te dane były tam. Szpilka poprzedniego dnia i dwie w nocy. Długie, płaskie plateau fazy REM - we śnie. I szereg szpilek z dzisiejszego dnia, wyższych, gęściejszych i bardziej znaczących niż jakiegokolwiek do tej pory.

Domyśliła się, że coś odkrył. Albo usłyszał. Lub wymyślił coś. Jakiś fakt, który podekscytował go lub zdenerwował, który męczył go nawet we śnie, a dzisiaj - niedawno - skupił całą jego uwagę.

Tętno znacznie przekraczało normę dla mężczyzny w jego wieku i formie. Porównała go z plikami danych medycznych i cicho gwizdnęła. Zdecydowanie powyżej normy. Zawsze był zapaleńcem i w jego biologu często zdarzały się szpilki, lecz intensywność i częstotliwość tych tutaj wskazywała na zewnętrzną przyczynę. A znając jego charakter, gotowa była się założyć, że taką reakcję wywołały jakieś dane, które wpadły mu w ręce.

Sprawdziła, nad czym pracował w momencie, gdy w jego logu pojawiła się pierwsza szpilka, i zobaczyła pakiet ukradziony stacji Reijik. Odszyfrował większość transmisji, lecz ta wydawała się nieistotna, gdyż dotyczyła głównie dostaw i transakcji między ziemskimi konglomeracjami a ich partnerami z Reijik. Bogaty plon, oczywiście, więc jej analitycy wycisną z niego sporo pożytecznych informacji... Mimo to nie widziała niczego, co mogłoby wywołać taką reakcję, jaką odnotował program zdrowotny Diciego. Hakerzy Delhi przez cały czas mieli do czynienia z tego rodzaju danymi.

ZLOKALIZUJ STIYANA DICIEGO, poleciła hełmowi. Ten w mgnieniu przekazał polecenie komputerowi stacji, który odpowiedział: W PRYWATNEJ KWATERZE. Zadała następne pytanie: AKTYWNOŚĆ? Minęła kolejna sekunda, a potem w polu widzenia ujrzała napis: POSZUKIWANIE DANYCH W UNINECIE.

To niepodobne do niego. Zazwyczaj jej najlepszy haker nie opuszczał laboratorium, gdzie wszystkie ściany były obwieszane cienkimi jak papier monitorami, a szafy pełne sterylnej sprzętu wspomagały jego najniebezpieczniejsze wyczyny. To zupełnie niepodobne do niego, taka... tajemniczość.

A raczej próba zachowanie tajemnicy.

Jak wielu nie znających jej możliwości, Dici nie doceniał Delhi. Jej komputer był połączony z kamerami ukrytymi w jego kwaterze. Teraz wywołała obraz na monitor. Ukazały go siedzącego na łóżku. Krople potu spływały mu z czoła. Niezwykłe. Jego dłoń spoczywała na klawiaturze, której klawisze były oznakowane jakimiś nieznanymi jej symbolami -

zapewne ikonami, które sam opracował. Włączyła zbliżenie i zaczęła nagrywać obraz oraz taniec jego palców na przyciskach. Była w tym wiedza, którą pragnęła zgłębić, lecz taki prywatny monolog można zrozumieć, tylko uzyskując bezpośredni zapis fal mózgowych. A chociaż nie było to niemożliwe, to jednak bardzo kosztowne. Nie można uzyskać informacji z martwego mózgu, gdyż w chwili śmierci oprogramowanie procesora myślowego ulega dezintegracji, ani siłął wydobyć z funkcjonującego umysłu, gdyż zabezpieczenia wykasują wszystko przy pierwszej próbie inwazji. Był pewien sposób, żeby uzyskać to, co chciała... ale jednorazowy. Najpierw musiała się upewnić, że warto poświęcić cennego pracownika, a dopiero potem uderzyć, skrycie i celnie.

Teraz otrzymywała dane z komputera stacji, sprawdzając wszystkie pliki pobierane przez tamtego. Obserwowała postępy, jakie czynił w swoim prywatnym śledztwie, obejmującym korporacje, które zaliczały się do elity najpotężniejszych na Ziemi. Najwyraźniej wpadł na trop jakiejś dużej sprawy, a jeśli domysły Delhi były słuszne, to na ten ślad naprowadziło go coś, co odkrył w pakiecie danych z Reijik. Przywołała ten pakiet w swoim procesorze i porównała z listą jego poszukiwań. Nie znalazła zgodności. Tak więc to coś, co go zainspirowało, zostało usunięte z pakietu, zanim go zobaczyła. A to - w oczach Delhi - było zbrodnią.

Zdradziłeś mnie, pomyślała zimno. A skoro tak, to nie zostało nic, co warto by zachować, prawda? Oprócz tych danych, które spoczywały w jego mózgu. Powszechnie uważano, że nie można uzyskać takich informacji bez zgody posiadacza. Twierdzono, że mózg zbyt dobrze się broni przed taką inwazją.

Jakże byłoby to smutne, gdyby było prawdą.

*

Stivan przywołał ikonę poszukiwania i wprowadził ciąg znaków: JANET.

1. IMIĘ KOBIECE Z ODMIANAMI W TRZYDZIESTU SIĘDMIU JĘZYKACH. Z HEBRAJSKIEGO JANE, OZNACZAJĄCEGO „BÓG JEST ŁASKAWY”. 2. SIÓDMY KSIĘŻYC HYDRY, NAZWANY NA CZEŚĆ ODKRYWCZYM, JANET WITHERS. 3. FIRMA ZAŁOŻONA W XXI WIEKU PRZEZ PROJEKTANTKĘ ODZIEŻY, JANET DYMACEA, OBECNIE WCHODZĄCA

W SKŁAD KORPORACJI MARANECKA. 4. TYTUŁ WIDEOFILMU Z XXI WIEKU, ZNANEGO Z BARDZO...

Uważnie przejrzał ponad dwadzieścia definicji. Każda z nich mogła być właściwa. Żadna jednak nie wyglądała interesująco. W końcu westchnął i wydał komputerowi polecenie: SZUKAJ GID.

SKRÓT OZNACZAJĄCY „GÓRĘ I DALEJ”, WYRAŻENIE UŻYWANE NA ZIEMI NA OKREŚLENIE KOSMICZNEJ (DOSTĘPNEJ PRZEZ *AINNIQ*) CYWILIZACJI. POŁĄCZENIE SLANGOWEJ NAZWY KOSMOSU (GÓRA) I *AINNIQ* (DALEJ).

SZUKAJ/E-BIO/JAMJSIA SHIDO, rozkazał.

OBYWATELKA KORPORACJI SHIDO, URODZONA 1.11.37 (STANDARDOWEGO KALENDARZA ZIEMSKIEGO) W SOL CITY, USNA. RODZICE ZABICI W KATASTROFIE HAIDO CITY CENTER, 12.12.43. FORMALNA ADOPCJA PRZEZ SHIDO INTERNATIONAL, 1.03.44. MIESZKANKA OSIEDLA SHIDO OD 1.30.44 DO 3.21.54. ZAGINIONA PODCZAS ATAKU TRIDAC ENTERPRISES. OBECNIE UWAŻANA ZA NIEŻYJĄCĄ.

Nie przez wszystkich, pomyślał posepnie. Po chwili wprowadził nazwę TRIDAC ENTERPRISES. W polu widzenia ujrzał długą kolumnę tekstu.

ZIEMSKA KORPORACJA, ZAŁOŻONA 2013 (STAREGO KALENDARZA). GŁÓWNY OBSZAR DZIAŁALNOŚCI, BIOTECHNOLOGIA. SZACUNKOWA...

Nie, to do niczego nie doprowadzi. Potrzeba wielu godzin, by przejrzeć dane takiej wielkiej firmy, a potrzebne mu informacje, jeśli w ogóle tam są, zapewne będą tak głęboko ukryte w gąszczu danych, że wcale ich nie zauważy. Zniechęcony, zapatrzył się w dal. Po minucie włączył się praJB gram pobudzający uwagę i zaczął wyświetlać hologramy nagich kobiet, przypominając mu, że nadal jest na linii. Zirytowany, parsknął, po czym wyłączył obrazy i spróbował się skupić.

Janet. Imię. Ten projekt został nazwany czyimś imieniem. Może nie chodziło o kogoś z korporacji, która rozpoczęła tę operację. Może ten kryptonim wymyślili ci, którzy próbowali przejąć nad nią kontrolę.

JANET TRIDAC, pomyślał, gasząc przewijający się tekst. ILE ISTNIEJE?

Komputer przez ponad pięć sekund poszukiwał tej informacji we wszystkich bankach danych. Zajęłoby mu to nawet pięć minut, gdyby te dane nie były już zmagazynowane w komputerach stacji Delhi.

15, wyświetlił.

PLANETA/STACJA POCHODZENIA?

CASPAR

ZIEMIA (2)

EUMENIDES

HELLSGATE

LORD'S KEEP (2)

NEW HEBRIDES (2)

NEW TOKYO

NEW WASHINGTON (3)

OBANTU

SINCLAIR

Dwie na Ziemi. Wywołał i przestudiował ich biografie. Janet Austria Tridac była pracownikiem technicznym w głównym laboratorium badawczym Tridac, na powierzchni Ziemi. Janet Dian Tridac była sprzątaczką w orbitującym osiedlu tej korporacji. Niemożliwe, żeby poszukiwana była ta druga, pomyślał. Dlaczego mieliby nazwać taką ważną operację jej imieniem... Jednak w tej fazie niczego nie mógł wykluczyć. Niewielka była szansa na to, że ten kryptonim pochodził od imienia osoby pracującej dla Tridac, gdyż ziemskie korporacje nie lubiły wyróżniać w ten sposób swoich pracowników, żeby nie utwierdzać ich w poczuciu własnej wartości. Stare przysłowie głosiło, że pracownik znający swoją wartość jest niebezpieczny dla pracodawcy. Stivan zebrał wszystkie dane o zmarłych Janet Tridac, jakie zdołał znaleźć. W bankach danych było ich prawie trzydzieści, a zapewne jeszcze więcej na Ziemi, która nigdy nie przekazała swoich archiwów do węzłów. Przejrzał wszystkie, które znalazł. Nie było tego wiele. Gigantyczne korporacje Ziemi zazdrośnie strzegły swych tajemnic i ta nie była wyjątkiem: biografie były krótkie, zwięzłe i nic nie mówiące. Odszukał w archiwach kilka Janet Shido i znów nic mu to nie dało. A może odpowiedź miał tuż przed nosem, tylko nie potrafił jej dostrzec? Niech to szlag.

Ponownie spojrzął na pięć linijek tekstu, smakując ich tajemnicę końcem języka, którym oblizwał suche wargi. To nie była jego specjalność. On potrafił znajdować dane i błyskotliwie łamać szyfry, lecz stawał się bezradny, kiedy przyszło do wykorzystania tych fragmentów. To nie była jego specjalność.

Aż do tej pory.

Program zabezpieczający błysnął ostrzegawczo, uświadamiając mu, że już od godziny pozostaje na linii. Zaprogramował to ostrzeżenie przed laty, kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że kiedyś może zająć się czymś, o czym Delhi nie powinna wiedzieć. W tej sytuacji godzinne poszukiwania były ryzykowne. Komputer stacji wpisze je do logu i każdy, kto przejrzy zapisy na pewno zdziwi się, po co haker tak długo szukał danych. Lepiej zatrzeć ślady, i to szybko. Wyobraził sobie jedną z ikon, która dawała mu dostęp do programów zabezpieczających Delhi...

I poczuł przeszywający ból. Nie, właściwie nie był to ból. Raczej dezorientacja, tak nagła i całkowita, że przez moment miał wrażenie, iż jego mózg przepuszczono przez młynek. Potworne uczucie i chociaż nie odczuwał fizycznego bólu, był bliski utraty zmysłów. Co się dzieje, do diabła? Próbował...

Próbował...

Próbował...

O, *Boże*...

Nie próbował.

Nie próbował.

Nie mógł.

Milczenie, wewnątrz i na zewnątrz. Tam, gdzie zwykle przemykały tysiące myśli, teraz nie było ani jednej. Słyszał tylko łomot swego mocno bijącego serca. CIŚNIENIE KRWI/PULS ALARM CZERWONY poinformował go program zdrowotnymi SKORYGOWAĆ? Nie mógł na to odpowiedzieć. Po chwili program podjął działanie domyślne, wydając instrukcje sercu, mózgowi i gruczołom nadnerczy. Mijały sekundy. Serce zaczęło bić trochę wolniej. Ciśnienie krwi nieco opadło.

Nie mógł myśleć.

Nie mógł myśleć!

Uczucia kłębiły się w nim nie analizowane, nie wyjaśniane. Prymitywne emocje, typowe dla najniższych form życia, pozbawione wszelkich racjonalnych motywacji. Przerazenie zwierzęcia, nagle wyczuwającego z tyłu zapach łowcy. Rozpacz, jaka każe uwiezionemu drapieżcy odgryźć sobie nogę, żeby uwolnić się z pułapki. Te uczucia wypełniły go po brzegi, aż łzy stanęły mu w oczach. Jednak nie towarzyszyła temu żadna myśl. Żadna aktywność mózgu, jaką ktoś mógłby nazwać ludzką. Nawet nie był w stanie dziwić się temu, co mu się przydarzyło, gdyż nawet to i było myślą, a zdolność myślenia została mu odebrana.

Po krótkim czasie, a zarazem nieskończenie długim preludium, przerażenia, usłyszał odgłos otwierających się drzwi. Nie odwrócił się, by zobaczyć kto to - nawet nie chciał się odwrócić, gdyż takie pragnienia były zbyt skomplikowanym procesem myślowym - lecz strach podniósł mu ciśnienie krwi na zupełnie nowe wyżyny. KORYGUJE, powtórzył program zdrowotny. Ktokolwiek wszedł do pokoju, przez chwilę stał w progu, po czym zaczął podchodzić. Z przerażeniem schwytanego i umierającego zwierzęcia Dici rozpoznał ledwie słyszalny syk mechanicznego pancerza Delhi.

Po długiej jak wieczność chwili znalazła się w polu jego widzenia. Miała nieprzeniknioną minę.

- No, no. Stivan Dici. Mój najwierniejszy sługa. - Przeszyła go I spojrzeniem jasnych, lodowatych oczu, które w jej starym i wspomaganym przez serwomechanizmy ciała wydawały się być obdarzone własnym życiem. Kurczył się pod ich spojrzeniem. - Może powinnam opowiedzieć ci pewną historię, Stivanie. Oczywiście, nie będziesz w stanie w pełni jej docenić. Twój mózg pracuje na jałowym biegu i nie jest w stanie snuć żadnych spekulacji. Sądzę jednak, że zdołasz pojąć najważniejsze fakty.

Zaczęła się poruszać, upiornym mechanicznym krokiem, aż cicho pomrukujący pancerz przeniósł ją za plecy hakera. Ten nie odwrócił się, by na nią spojrzeć. Nawet nie chciał się odwrócić. Jakieś ważne połączenie w jego mózgu zostało przerwane i mógł tylko słuchać.

- Oczywiście nie wiesz - zaczęła - na czym polega ceremonia towarzysząca mianowaniu gildmistrza. To tajemnica, rytuał oparty na wielowiekowej tradycji. Na jego zakończenie nowy mistrz lub mistrzyni staje przed Prima i może wyrazić jedno życzenie. To rodzaj przywileju dla uczczenia nowego stanowiska. A także próba. Oczywiście, nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Ten pierwszy kontakt między gildmistrzem a zwierzchnikiem wiele mówi o tym, jakie będą ich przyszłe stosunki. Niewielu rozumie wagę tej chwili.

Przed jego oczami zaczęły pojawiać się obrazy, zamglone wizje, które komputer stacji przekazywał do jego nerwu optycznego. Potem - jak film przesłany po wideołączu - powoli wykrystalizowały się szczegóły. Ujrzał komnatę w rozmaitych odcieniach szarości i kobietę w czarnej szacie, ze złotym znakiem Gildii na piersi, a także stojącego z tyłu i nieco z boku mężczyznę, jakiegoś sługę nie całkiem uczestniczącego w ceremonii. Delhi wizualizowała swoje wspomnienia i za pomocą sieci przesyłała je do mózgu Diciego. W żadnym razie nie było to niczym nowym - które dziecko nie korzystało kiedyś z tej metody, imitując telepatię, by przesłać koledze bezwstydną lub szokującą obrazę? Jednak w połączeniu z niezdolnością do korygowania przekazu cudze wspomnienia wypełniające jego mózg były podwójnie przerażające.

- Jedni proszą o drobiazgi, uważając, że powinni w tym momencie potwierdzić swoją lojalność, okazując bezinteresowność. To głupcy. Inni proszą o coś dla popieranej przez siebie stacji, zabezpieczając swoje pierwsze inwestycje, pozycję ukochanej osoby lub sprzymierzeńca. Lista żądań jest równie długa jak spis gildmistrzów. Jak najlepiej wykorzystać tę chwilę? Nie można się wcześniej przygotować, rozumiesz? Ceremonia jest trzymana w tak ścisłej tajemnicy, żeby odpowiedź była swego rodzaju próbą, sprawdzającą,

jaki Gueranin został wyniesiony na wyżyny władzy, jak szybko umie myśleć, jak dobrze ocenia różne możliwości oraz jakie są jego polityczne priorytety.

Przerwała, pozwalając, by bezradny umysł Stivana ogarnął te okropną koncepcje. Tajne ceremonie. Nikt nie wie. A ona mówi mi o tym. Niepotrzebne było racjonalne myślenie, żeby z tych strzępów informacji wyciągnąć odpowiedni wniosek. Mechanizm tego rozumowania był w takim samym stopniu częścią jego układu nerwowego, jak odruch jedzenia, picia lub... ucieczki.

- Tak więc postawiono mi to pytanie. I przez krótką chwilę gorączkowo zastanawiałam się, czego w całym kosmosie pragnęłam najbardziej i co mogła mi dać Prima. Nie uchodziło prosić o niemożliwe... tak samo jak nie docenić takiej okazji. Istotnie, ta chwila była w takim samym stopniu nagrodą, co próbą.

Ujrzał ich czekających, mężczyznę i kobietę. Dziwne, lecz wydawało się, że łączą ich cienkie linie, drżące jak pajęczyna w nieruchomym powietrzu. Im dłużej ta wizja pozostawała w jego umyśle, tym wyraźniej je widział.

- W końcu powiedziałam: chcę dostać program.

- Jaki program? - zapytała Prima.

- Zastanawiałam się gorączkowo i odpowiedziałam po krótkim namyśle: „Daj mi coś, co pozbawi człowieka inicjatywy. Daj mi program pozbawiający wszelkiej motywacji do działania, który będę mogła umieścić w ludzkim mózgu i uruchamiać w razie potrzeby. Działający nie tylko na ciało - dodałam szybko - ale i na umysł”. Przez chwilę trwała cisza. Potem Prima powiedziała: „Bardzo niewielu programistów potrafi stworzyć coś takiego”.

Zobaczył, że kobieta obejrzała się i zerknęła na mężczyznę. Devlin Gaza? Tak nieznacznie, że prawie niedostrzegalnie, kiwnął głową. Łączące ich jedwabiste nitki zdrząły.

- Po chwili ona też skinęła głową. „Bardzo dobrze - powiedziała mi. - Jeśli tylko to możliwe, dostaniesz go”. Widzisz więc - powiedziała cicho Delhi, gdy ten obraz znikł w oślepiającym rozbłysku - teraz mogę to robić. Spalić tę część mózgu, która odpowiada za iskry inicjatywy. Zamienić człowieka w coś, co może tylko reagować... i słuchać.

Wyszła zza pleców Stivana, ponownie pojawiając się w jego polu widzenia. Milczała chwilę. Potem powiedziała:

- Unieś lewą rękę, Stivanie.

Ku swemu przerażeniu zobaczył, że jego lewe ramię unosi się, jak u marionetki poruszanej przez lalkarza. Kiedy dłoń znalazła się na wysokości barku i stało się jasne, że nie zdoła powstrzymać jej ruchu, Delhi rzuciła rozkaz:

- Stop. Usłuchał.

- Opuść rękę. Zrobił to.

- Wspaniale. Miejmy nadzieję, że wewnętrzne polecenia działają równie dobrze.

Podeszła do leżącej na łóżku klawiatury i spojrzała na ręcznie nakreślone symbole. Prywatne ikony, co do jednej. Milczenie Delhi i jej bezruch świadczyły o wewnętrznym monologu, a może dialogu prowadzonym z otaczającą ich, skomputeryzowaną rzeczywistością.

Nagle oczami duszy ujrzał nowy obraz, umieszczony tam z zewnątrz. Z przerażeniem poczuł, że jego mózg zareagował kaskadą neuronowych połączeń, uruchomionych przez ten znajomy symbol. Nie mógł temu zapobiec. To nie zależało od niego. Był gapiem we własnym mózgu i - jak oglądający wideofilm widz - mógł tylko patrzeć na pojawiające się i znikające ikony.

- Wspaniale - powiedziała w końcu. - Gaza dobrze się spisał. - Spojrzała na niego swymi zimnymi oczami, zupełnie wyczutymi ze współczucia, po czym powiedziała: - Trudno wydobyć coś z ludzkiego mózgu, gdyż jedna myśl może wyłączyć całe oprogramowanie. Jeden błysk przygotowanej ikony wystarczy, by zawiadomić programy zabezpieczające, które odetną system od wszelkich wchodzących sygnałów. Jestem pewna, że ty też zabezpieczyłeś się w taki sposób, Stivanie. Rozumiesz więc, że nie było innego sposobu. Tak mi przykro. Byłeś takim dobrym sługą.

Spojrzała mu w oczy, jakby czegoś w nich szukała. Wyglądała jak drapieżna, łakomie oblizująca się bestia.

- No cóż, chyba zaczniemy, co? Chcę przejrzeć twoje ostatnie odkrycia i zapisać je w mojej pamięci. Przykro mi, lecz w trakcie tej operacji twój umysł zostanie uszkodzony. Obawiam się, że ten program powoduje nieodwracalne zniszczenia. Rezerwuję go dla wrogów, Stivarne - dodała, zaciskając usta. - Lub zdrajców.

W odpowiedzi na jej elektroniczny zew tajne dane zaczęły wypływać z jego mózgu. Nie byłoby tak źle, gdyby mógł zamknąć oczy. Przekaz nie obejmował przetwarzania obrazu, więc gdyby zdołał zamknąć oczy, to mógłby udawać, że nic się nie dzieje, skulić się w jakimś zakamarku swego umysłu i wierzyć, że wszystko jest w porządku, aż cały proces się skończy.

A tak, musiał patrzeć na nią aż do końca.

*

Assivak czai się przed ofiarą. To maleńkie stworzenie jest już unieruchomione i ledwie się porusza. Jedwabne nici spowijają je od stóp do głów, udaremniając wszelkie próby oporu. Przezroczyste skrzydelka, które niegdyś ujarzmiały niebo, teraz są przyklejone do boków

stworzonka, które bezradnie spogląda mozaikowatymi oczami przez płataninę lepkich włókien.

Oczywiście, od początku było zgubione. Każde stworzenie, które wpadnie w sieć, staje się łupem assivaka. Ten może nie od razu zechce je pożreć, lecz kiedy zapragnie, wynik jest przesądzony.

Ostrożnie, niemal nieśmiało, assivak zaczyna wysysać soki ze swej ofiary.

IX

Czymże jest prawdziwy geniusz, jeśli nie stanem idealnej równowagi między nowatorstwem a konserwatyzmem?

CHEULGU KIM

„Stare prawdy nowej ery”

STATEK „MERCURY”

Kombajn był przedziwnym i wspinałym tworem. Ze srebrnymi skrzydłami rozpościerającymi się na wiele kilometrów w każdą stronę, zmieniając pozycję przy każdym nowym podmuchu słonecznego wiatru łaskoczącego ich cienkie jak papier płaszczyzny, wydawał się bardziej żywą istotą niż tym, czym naprawdę był - ludzkim tworem, zbudowanym z plastostalowych rur i płyt. Oczywiście, teraz te skrzydła przeważnie były złożone. Tylko w granicach żywnego układu słonecznego rozpościerały się na pełną długość, niczym u drapieżnego ptaka rozkładającego skrzydła na wietrze. Tutaj galaktyczna bryza była cichym, słabym echem burz, które niegdyś wybuchły na powierzchni jakiegoś odległego o miliardy kilometrów słońca. Tutaj to ogromne stworzenie było na pół uśpione.

Pod jego skrzydłami, osłonięte kokonem cienkich jak papier zbiorników wodoru, znajdował się najważniejszy ładunek: pierwiastki zebrane z powierzchni planet przez maleńkie sondy, które teraz spoczywały przytulone do piersi macierzystego statku, pogrążone w mechanicznym śnie. Metale szlachetne i radioaktywne pierwiastki, gazy ściśnięte tak, że bliskie skroplenia, oraz wszystko, czego stacje węzłowe potrzebowały do napraw i działania, odbywały w ten sposób swą dziesięcioletnią podróż.

To życie, rozmyślał Hsing, a przynajmniej pewna forma życia. Tak samo, jak słońce Guery umożliwiało życie na tej planecie, tak jak Słońce ogrzewało Ziemię, te ogromne zbiorniki umożliwiały życie na stacjach węzłowych. Ponieważ trzeba było tam dostarczać nowe surowce i świeże źródła energii. Każda z tych kosmicznych stacji tworzyła prawie

idealny układ zamknięty, a mimo to były pewne granice ponownego wykorzystywania tych samych materiałów. Nawet recykling miał pewne granice, jeśli metal i plastik tak często przybierały nową postać, że traciły swoją integralność cząsteczkową. Oczywiście, dziesięcina w pewnym stopniu załatwiała tę sprawę, nakazując, by każdy wracający z planet statek przywoził ładunek surowców na potrzeby Gildii. To jednak ledwie wystarczało na budowę nowych stacji, statków i niezbędne naprawy. Bez kombajnów nieustannie przywożących dostawy z odległych układów nie wystarczyłoby energii, żeby podtrzymać życie miliardów mieszkających w kosmosie ludzi. A już na pewno nie wystarczyłoby jej, żeby zapewnić im dobrobyt.

Hsing stał przy luku widokowym, aż kombajn znikł w oddali, a z nim większość obserwujących to pasażerów. Na podstawie tego, w jakiej odległości trzymali się od Hsinga, można było domyślić się, skąd pochodzili. Gueranie stali blisko, nie zważając na jego stopień, inni Warianci trzymali się kilka kroków dalej, czujnie i z szacunkiem, natomiast nieliczni obecni na statku Ziemianie przez cały czas stali jak najdalej. Zastanawiał się, czy irytowało ich jego stanowisko, czy też po prostu fakt, iż jego mutacja była niewidoczna, co kazało im domyślać się najgorszego? A może to jego „groźne barwy wojenne” (jak pewien Ziemianin nazwał *kaja*) przemawiały do nich na bardziej pierwotnym szczeblu, ostrzegając, by się nie zbliżali? Czego się obawiali, że co im zrobi, jeśli się do niego zbliżą? Zje ich?

Najzabawniejsze było to, że jego mutacja została skorygowana już dawno temu. Niektórzy ludzie decydowali się na to. W jego przypadku był to prosty wybór między ciałem reagującym na polecenia, a nie robiącym tego. Przeszedł tę operację, gdy tylko zdołał wyrazić swoje życzenie i nigdy tego nie żałował. Och, byli Gueranie, którzy oskarżyliby go o odrzucenie rzadkiej okazji, którzy ochoczo przypomnieliby mu, iż niektóre największe osiągnięcia ludzkiego geniuszu były wytworem umysłów tych, których nazywano „upośledzonymi”. On uważał, że to bzdury. Może istotne dla takich jak Masada lub jego żona, których wzory poznawcze wzajemnie się zmieniały, ale nie dla umysłu uwięzionego w ciele nie reagującym na polecenia. Uważał, że Ra była szalona, nie korygując swej wady wzroku. Wiedział, że Delhi w mgnieniu oka wymieniałaby swoje ciało na w pełni sprawne, gdyby ta operacja nie groziła utratą części świadomości. Nawet Masada zmodyfikował program zdrowotny tak, by zredukować najgorsze zniekształcenia sensoryczne, przynajmniej te, które wpływały na jego pracę.

Wszyscy jesteśmy ludźmi, prawda? Jednak nie można było powiedzieć o tym Ziemianom. Boże, nie! Za wszelką cenę należało utrzymać to w tajemnicy.

Dzisiaj udało mu się, może przez pięć minut, nie myśleć o tym, co dzieje się w domu. To wymagało sporego wysiłku. Gdyż gildmistrz opuszczający na rok swoją stację pozostawiał ją w rękach tych, którzy najbardziej jej pragnęli, i chociaż Prima obiecała osobiście dopilnować jego interesów, nawet nie będzie świadoma snutyh tam subtelnych intryg, dopóki nie będzie za późno, by im zapobiec. Nikt z zewnątrz nie zdoła się w nich rozeznać. Musisz tam być, aby dostrzec wszystkie oznaki, musisz spotykać się z ludźmi spiskującymi za twoimi plecami, żeby patrzeć na nich i zauważyć ten jeden przyspieszony oddech lub kose spojrzenie, które świadczą o szykującym się buncie...

Tutaj był bezradny, zniechęcony, a czasem nawet zły. Widział, że to ostatnie uczucie jest bezsensowne, lecz jako człowiek nie mógł się go pozbyć. Prima dała mu wybór. Powiedziała, że nie musi lecieć. Zapewniła go, że może znaleźć kogoś innego, by przewiózł wirusa Masadzie i przekonał go do podjęcia pracy. Nie musiał to być Hsing.

A jednak musiał.

Wiedział, że w jego rękach spoczywa los całej Gildii i było to okropne uczucie. Zdawał sobie sprawę z tego, że Prima miała najwyżej dziesięciu takich, którym mogła powierzyć to zadanie, i jego zapytała jako pierwszego. To było coś, no nie? Taką przysługę mógł kiedyś wykorzystać, zachować na czarną godzinę. Wówczas wydawało mu się, że warto zaryzykować. Teraz jednak, osiem miesięcy później, nie był już tego taki pewny. A jeśli wróci do domu i stwierdzi, że pozbawiono go władzy i znów musi odbijać się od dna? Czy wykorzysta swoje zasługi, by tylko odzyskać to, co stracił podczas pełnienia tej misji?

Nawet w takim wypadku niczego nie będę żałował, jeśli tylko pokonamy tego wirusa, powiedział sobie.

Chciałby być tego pewien. Gdzieś w głębi podświadomości małeńka egoistyczna cząstka jego duszy ostrzegła, że unieszkodliwiony wirus będzie niewielkim pocieszeniem, jeśli Hsing straci wszystko, co ma. Czy powinien wstydzić się tej myśli, czy też była ona po prostu przejawem jego człowieczeństwa?

- Gildmistrzu?

Drgnął, słysząc ten głos za plecami. Odwrócił się i ujrzał okrętowego stewarda, czekającego kilka kroków dalej, ze spuszczonym wzrokiem. *Kaja* tego człowieka ostrzegła, by nie przypisywać nadmiernego znaczenia temu brakowi kontaktu wzrokowego, tylko zaakceptować go jako związany z jego mutacją. Hsing uciszył swoją reakcję *nantana* i czekał.

- Kapitan pragnie pana zobaczyć - rzekł steward, a potem dodał, niemal przepaszająco: - Jeśli ma pan chwilę czasu.

Hsing dopiero po chwili zdołał zinterpretować ton głosu stewarda i wychwycić ukryte znaczenia. Kapitan wyraził się znacznie mniej parlamentarnie, ale steward wzdragał się dokładnie powtórzyć jego słowa. Ostatnie dodał sam, usiłując złagodzić agresywny ton zaproszenia, które graniczyło z rozkazem. Nic niezwykłego w takiej napiętej sytuacji jak ta.

Dziwnie było poruszać się po cudzym terytorium, gdzie tytuł gildmistrza tak niewiele znaczył. W każdym innym miejscu kapitan wychodziłby z siebie, żeby nie urazić Hsinga. W każdym innym okolicznościach słowo gildmistrza było prawem. Kiedy jednak zamknie się pięciuset ludzi na niewielkim statku, na okres sześciu miesięcy, a jeden człowiek odpowiada za to, żeby nie pozabijali się z nudów, musi skupiać w ręku całą władzę. Hsing nie był tym zachwycony, lecz musiał zaakceptować ten fakt.

- Dobrze - powiedział. Czy mu się wydawało, czy też steward odetchnął z ulgą? - Zaprowadź mnie do niego.

Kapitan czekał w jednej z małych salek na dziobie statku, obok mostka. Hsing doskonale znał ten pokój. Na początku podróży przez ponad tydzień walczył, by uzyskać dla Masady dostęp do jednego z lepiej wyposażonych pomieszczeń, tak by uczoney mógł skorzystać z lepszego sprzętu niż ten, jaki miał w laboratorium.

Hsing wygrał tę bitwę, ale z trudem. Niewątpliwie kapitan nadal był o to wściekły. Z pewnością teraz częściowo o to chodzi.

Udostępniliby mu cały ten przeklęty statek, gdyby wiedzieli, co robi. Niestety, pomyślał z zalem, nie możemy im tego wyjawić, prawda?

Kapitan zaczekał, aż steward wprowadzi gościa i odejdzie. Był krzepkim mężczyzną w kwiecie wieku, z twarzą poraną bruzdami, świadczącymi o troskach i radościach związanych z zajmowanym stanowiskiem. W tym momencie widać było głównie zmarszczki, deformujące jego *simba-kaja*. Kiepski znak.

- Gildmistrzu Hsing. - Wskazał mu krzesło przy końcu stołu, lecz Hsing pokręcił głową. Nie zamierzał siadać przed stojącym kapitanem, dając mu przewagę. Dostrzegł, jak tamten zmrużył oczy, gdy *simba* przyjął do wiadomości jego wyzwanie, ale czego tamten się spodziewał? Hsing górował nad nim wszędzie prócz tego statku i nie zamierzał pozwolić mu o tym zapomnieć.

Prawdziwy *simba* warknąłby teraz gniewnie i zastygł w agresywnej pozie. Ten człowiek nie zrobił tego, lecz Hsing nie dał się zwieść. Tamten może zdołał ukryć reakcję, lecz to niczego nie zmieniało.

- Moja załoga zgłosiła mi szereg problemów. Hsing uprzejmie czekał.

- Zaczęło się od biblioteki wideo. Czas dostępu spadł o dziesięć, potem dwadzieścia, a teraz o czterdzieści procent. Potem niektóre wideofilmy stały się niedostępne... Najwyraźniej katalog usuwał mniej popularne pozycje, aby uzyskać pamięć do przetwarzania. Teraz żywieniowiec zgłasza, że i jego programy działają wolniej, co oznacza, że ludzie nie mogą zamówić niektórych posiłków. To niedobrze na takim statku jak ten. Chcę, żeby pasażerowie byli spokojni. Chcę, żeby byli zadowoleni. Utrzymanie ich w takim stanie to mój obowiązek. A pańskim jest nie przeszkadzanie mi w tym.

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć po prostu to, co myślał: „A co ja mam z tym wszystkim wspólnego, do diabła?”. Jednak nie można w ten sposób rozmawiać z *simba*. Chociaż *im* lub ktoś z innym *kaja*, odznaczającym się brakiem wychowania, mógłby tak postąpić, ale nie *nantana*. Tak więc spróbował pojednawczego gestu.- Oczywiście, nigdy nie próbowałbym przeszkadzać panu w pełnieniu obowiązków.

Zadziałało: zmarszczki na czole kapitana trochę się wygładziły.

- Może nie pan, ale pański towarzysz.

- Doktor Masada? - Hsing był szczerze zdziwiony. - Przecież on ma swój własny sprzęt.

- Przed kilkoma tygodniami poprosił pan, żeby Masada mógł do swych badań wykorzystać trochę mocy obliczeniowej komputera pokładowego. Wyraziłem zgodę, pod warunkiem, że jego badania nie wpłyną na działanie oprogramowania statku.

- Jestem pewny, że tego nie zrobił - odparł spokojnie Hsing. A potem, widząc groźnie marszczące się brwi kapitana, dodał szybko: - Po co miałyby to robić? Co by mu to dało?

Kapitan z ponurą miną wręczył mu wydruk na cienkim białym plastiku. Piętnastostronicowy wykaz obciążenia sieci od pierwszego dnia podróży. Hsing przejrzał wydruk, starając się nie okazywać żadnych uczuć.

Wykaz bez cienia wątpliwości dowodził, że Masada wykorzystywał okrętową sieć do przetwarzania danych, i to na taką skalę, że system zaczął częściowo wyłączać niektóre mniej istotne funkcje. Oczywiście, nie zaprzestał wydawania posiłków. Nie wyłączył biblioteki wideo ani żadnego z dwustu innych programów, od których zależało przetrwanie i dobre samopoczucie pasażerów. Jednak pożyczka kilku bitów tu, a kilku milionów tam, miała swoją cenę. Obciążenie wpłynęło już na dziewiętnaście systemów statku, a jeśli taki wzrost zapotrzebowania na moc obliczeniową utrzyma się, niebawem obejmie jeszcze dwadzieścia siedem. Jeśli tak pójdzie dalej, to za kilka dni wszystkie programy statku będą działały z połową swej wydajności. Hsing zrozumiał niepokój kapitana.

Kiedy, podnosząc wzrok, zasygnalizował, że skończył przeglądać dokument, kapitan rzekł:

- On jest pańskim podopiecznym. To pan prosił o zezwolenie na korzystanie z naszej sieci. Bardzo dobrze, niech pan teraz załatwi tę sprawę. Nie wiem, czym on się zajmuje - skoro mówi pan, że to ściśle tajne, to w porządku, nie będę pytał - ale chcę, żeby zostawił nasz system w spokoju, i to zaraz. Mamy przed sobą jeszcze ponad cztery miesiące lotu i nie zamierzam ich spędzić na uszkodzonym statku.

Zdając sobie sprawę z tego, że w powietrzu unosi się chmura feromonów będących zarzewiem konfliktu o dominację, Hsing starannie dobierał słowa:

- Oczywiście, doktor Masada rozumie swoją powinność względem pana i pańskiego statku. Z pewnością nie zdawał sobie sprawy ze skutków, jakie jego badania niosą dla sieci pokładowej. Jestem pewien, że kiedy mu to wyjaśnię, dokona niezbędnych poprawek.

- Niech pan się postara - warknął kapitan i wręczył mu wydruk.

Hsing z trudem zdołał wyjść bez żadnych dalszych komentarzy, ale pieniał się w duchu. Nikt nie będzie go tak traktował w jego własnym węźle. Nikt. Czy ten kapitan zapomniał, że bez Gildii nie byłoby kosmicznych stacji zapewniających pracę jego małemu promowi? Czy zapomniał, co oznaczał tytuł Hsinga i jaką władzę dysponował gildmistrz? Czym był jakiś mały komputer pokładowy w porównaniu z tym, czym Hsing zajmował się na co dzień?

Jednak nie wojuje się o takie sprawy z kimś, z kim jeszcze przez długie miesiące trzeba będzie tkwić na tym samym statku. Nie warto. Niech ma to swoje małe królestwo. Hsing będzie miał gwiazdy, gdy tylko wróci do *ainniq*.

Teraz musiał tylko załatwić tę sprawę z Masadą.

Masada.

Czasem zastanawiał się, czy to, co działo się w głowie tego człowieka, przypominało jakikolwiek znany proces myślowy, czy też jego słowa i zwyczaje skrywały tak ogromną przepaść koncepcyjną, że równie dobrze mógłby być reprezentantem jakiegoś zupełnie obcego gatunku. Chociaż właściwie wszyscy Gueranie byli sobie obcy, czyż nie? Po prostu *iru* wydawał się mu bardziej obcy niż inni, gdyż Hsing był *nantana*, tak więc w kontaktach towarzyskich polegał na tonie głosu i gestach, które u Masady były nieobecne. Lub zniekształcone. Albo przesadne. Takiego człowieka nie można przeniknąć, można tylko brać jego słowa za dobrą monetę i nie starać się ich zgłębić.

Ach, pomyślał niechętnie, oto uroki guerańskiego społeczeństwa.

Przeszedł przez pasażerską część statku, z powrotem do niewielkich kabin upchniętych na rufie. O tej porze było tu nadzwyczaj pusto. Większość pasażerów wolała przestronniejsze wspólne pomieszczenia na dziobie, z ekranami wideo, stołami do gry oraz setkami innych rozrywek. Tu na rufie, w tych ciasnych kajutach, trudniej było zapomnieć o tym, że na sześć e-miesiący jesteś zamknięty w małym stateczku i jeśli nie układa ci się z sąsiadami, chciałbyś zbadać nowe horyzonty albo po prostu przez jakiś czas być sam... No to masz pecha.

Zapukał do drzwi Masady. Musiał zrobić to trzykrotnie, zanim tamten zareagował. Typowe. W końcu drzwi otworzyły się na jakiś niemy rozkaz i zobaczył dokładnie to, co spodziewał się ujrzeć.

Profesor siedział przed wielkim ekranem, który przywiózł ze sobą, ukazującym linie jakiegoś zakodowanego i niezrozumiałego programu. Ekran był ustawiony pod takim kątem, że Hsing nie mógł dostrzec, co ukazywał, ale nic nie szkodzi: już kilka tygodni wcześniej przekonał się, że nie jest w stanie niczego zrozumieć z tych wzorów, jakimi posługiwał się przy pracy Masada.

- Proszę spojrzeć - zachęcił profesor.

Hsing był zdumiony. Masada chciał coś mu pokazać? Chyba po raz pierwszy. Zazwyczaj *iru* traktował zaciekawienie Hsinga z wyraźną irytacją i chociaż udzielał niezbędnych w danej chwili wyjaśnień, zawsze z wyraźnym zniecierpliwieniem wyczekiwał, aż gość zostawi go samego i pozwoli podjąć przerwana pracę. Zaproszenie do podziwiania dzieła mistrza to prawdziwy zaszczyt, pomyślał kwaśno Hsing. O mało nie zapomniał o tym, że choćby nie wiem jak się starał, zapewne i tak nic nie zrozumie. Większość widocznego na ekranie tekstu wydawała mu się chaotycznym gąszczem znaków.

Potem jednak stanął w miejscu, z którego widział cały ekran, i zobaczył, co na nim jest. Wcale nie chaos. Bynajmniej. Na moment zapomniał o wszystkich zmartwieniach, nawet o tym, co sprowadziło go do kabiny Masady.

- Co to jest? - zapytał.

Masada powoli odsunął fotel, nie odrywając wzroku od ekranu.

- To - odparł spokojnie - jest nasz wirus.

Ten z płynną gracją unosił się na ekranie - przedstawiony w sposób znany nawet początkującemu programiście. Znajomy widok zaparł dech Hsingowi, który przez chwilę nie był w stanie powiązać tego widoku ze słowami uczonego. Podwójna spirala? Jaki miało to związku z wirusem? Czyżby Masada chciał powiedzieć, że to paskudztwo ma własne DNA, że jest obdarzone własnym życiem? Jeśli tak, to sławny holista najwyraźniej stracił kontakt z

rzeczywistością. Życie programu było metaforą, a nie definicją jego bytu. Chyba nawet Masada musiał to rozumieć.

- Co to jest? - zapytał powtórnie. Tym razem pytanie miało inne, głębsze znaczenie. Zawierało jeszcze ważniejsze pytanie: Jak mogliśmy się tak pomylić? Czyżbym zatrudnił ekstremistę tak pogrążonego w swoich holistycznych fantazjach, że zupełnie oderwanego od rzeczywistości? Na samą myśl Hsingowi zrobiło się słabo. Czyżby zaryzykował swoje stanowisko dla jakiejś bajki o binarnym Pigmalionie? Boże, dopomóż temu człowiekowi, jeżeli tak było. Jeśli tak, to Boże, pomóż Primie, która zleciła mu tę misję. Ocalenie świata to jedno, ale to... to po prostu szaleństwo.

Jednak Masada nie wyglądał na szaleńca, a ton jego głosu wyraźnie świadczył, że nie wie i nie dba o to, co w tej chwili dzieje się w głowie Hsinga.

- To obraz wirusa. Oczywiście, tylko jego fragment, ale zapewniam, że całość wygląda właśnie tak. Idealnie uporządkowany, od pierwszego bitu do ostatniego. - Przez chwilę spoglądał na Hsinga i wydawało się, że nieznacznie się uśmiechnął. - Życie.

Gdyby Masada był *nantana*, Hsing uznałby to za drwinę. Jednak żaden *iru* nie zdołałby na pierwszy rzut oka przejrzeć jego myśli i zrozumieć, jaką moc będzie miało to jedno słowo.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć ekranu. Trudno było mu oglądać coś takiego w 2D i nie móc obracać do woli oczami duszy. Wirus powoli wirował na ekranie, stopniowo pokazując się ze wszystkich stron, lecz to nie było to samo, jak to, gdyby Hsing sam nim obracał.

- A co to takiego? - spytał gildmistrz, wskazując na cienką żółtą linię biegnącą przez środek helisy. - Nie pasuje do reszty.

- Owszem, gdyby wirus naprawdę był żywy. - Masada ponownie odwrócił się do monitora i widocznie wydał jakieś polecenia przez hełm, gdyż podwójna helisa z tym dziwnym dodatkiem nagle zaczęła rosnać, aż dało się dostrzec cieniutkie żółte pasma łączące środkową rurę ze spiralami. - To pamięć. Zwykle jest zintegrowana z innymi elementami, a nie oddzielona. Tymczasem programista umieścił ją w taki sposób, oddzielając od reszty, aby nie zakłócała symetrii całego tworu. A to najlepiej świadczy o tym, że celowo nadał mu taki kształt.

- Najwidoczniej jest pan bardzo pewny jego motywów. Profesor postukał palcem w ekran, kolejno wskazując segmenty helisy: niebieski, czerwony, zielony, biały.

- Cztery kolory, mistrzu Hsing. Każdy reprezentuje inny rodzaj sekwencji. Cztery kolory w różnych kombinacjach - jak aminokwasy w łańcuchu DNA. Gdybyśmy dodali

jeszcze jeden, metafora nie byłaby tak doskonała. - Ze zdumieniem pokręcił głową. - Zaprojektował cały ten program tak, żeby przypominał DNA. Ten obraz można uzyskać, tylko dekompilując cały program, a potem tworząc schemat. Aż trudno ogarnąć wysiłek, jakiego to wymagało. Liczba prób przy doborze segmentów kodu, które idealnie spełnią wymagania... Dopiero patrząc na ten obraz, można to ocenić.

- Dlaczego? - spytał Hsing. - W jakim celu?

- Dobrze pytanie. Z pewnością nie na pokaz, gdyż szanse na to, że ktoś to odkryje, są bliskie zera. Musiałem pokonać ponad sto zabezpieczeń, żeby w ogóle zdekompilować wirusa, a były to bardzo skuteczne pułapki, zastawione na kogoś o moim lub wyższym poziomie umiejętności. Zniszczyłem ponad dwieście kopii wirusa, żeby dojść tak daleko. Tak więc ten, kto to zrobił, nie oczekiwał uznania, chyba że wśród wąskiego kręgu kolegów.

- Hakerów?

Masada popatrzył na niego. Nic więcej: żadnych słów, żadnego grymasu, tylko nieprzenikniona mina, niewypowiedziana replika, które jednak dobitnie uzmysłowiły Hsingowi, że w tym momencie profesor nie najwyżej ocenia jego inteligencję.

- Takie upodobanie do tajemnic to ich specjalność - upierał się Hsing. - I wybujałe ego.

- To nie hakerzy.

- Jest pan pewny?

Masada nie odpowiedział. Po dwumiesięcznej znajomości Hsing wiedział, że uczony nie lubi powtarzać rzeczy oczywistych. A przynajmniej oczywistych dla niego. Nie przyjmował do wiadomości, że czasem powtarzanie może mieć emocjonalny sens - na przykład utwierdzać kogoś w przekonaniu, że wyrażony przez niego pogląd ma pewne podstawy. A może zdawał sobie z tego sprawę, tylko po prostu nic go to nie obchodziło.

- Skąd? - zapytał Hsing. - Skąd może pan to wiedzieć? Twarz Masady wykrzywił przełomy grymas, który mógł być uśmiechem.

- To nie jest robota hakerów, mistrzu Hsing. Oni nie tak myślą, nie tak działają, nie tak programują. Hakerzy to niecierpliwie stworzenia, pragnące zmierzyć się ze światem. Nigdy nie stworzyliby takiego wirusa, mogącego zniszczyć cały kosmiczny handel, po to by ukrywać go przez lata i nadawać mu ładniejszy kształt, którego nikt nigdy nie ujrzy. Chcieliby, żeby spełnił swoje zadanie.

- Sądzi pan, że tworzono go tak długo?

- Co najmniej kilka e-miesięcy. Lata, jeśli programista musiał zajmować się także czymś innym. - Odwrócił się z powrotem do ekranu i Hsing zobaczył, że jedna część wirusa

znika, zastąpiona przez drugą, a ta przez trzecią. - Wykresy tworzonych przez hakerów wirusów są skomplikowane, na swój sposób piękne, ale bardziej chaotyczne. Składają się z wielu oddzielnych części, podklejanych do siebie w przyływach natchnienia. Ten jest produktem bardziej uporządkowanego umysłu. W rzeczy samej powiedziałbym, iż jest wytworem umysłu dumnego ze swej systematyczności. - Przez chwilę spoglądał w milczeniu na migające obrazy, po czym dodał: - Założę się, że ten programista nie jest samoukiem, lecz odebrał staranne wykształcenie. Jest zdeklarowanym perfekcjonistą, co objawia się nie tylko w sposobie programowania, ale i w życiu. Nie potrzebuje pochwał, lecz czerpie przyjemność ze swej pracy. I cokolwiek zamierzał osiągnąć... Założę się, że nie zrobił tego pod wpływem impulsu ani w odpowiedzi na jakieś wydarzenie. Zaczął pracować nad tym wirusem dawno temu i nie przestał, dopóki nie nadał mu doskonałej postaci. Wtedy go wypuścił. Zapewne nadal go obserwuje, co oznacza, że może uda nam się go złapać. Teraz szukam w kodzie programu sekwencji adresu albo czegoś, co może się w nią przekształcić. Oczywiście bardzo utrudnia to zadanie fakt, że mamy do czynienia z nieskończoną liczbą mutacji. Być może ten adres jeszcze nie istnieje, ale zapewniam pana, że człowiek, który stworzył takie arcydzieło, zechce sprawdzić, czym się stało.

- Może po prostu wychwycić zarodniki w uninecie - przypomniał Hsing. - Prędzej czy później złapie taki, którego szuka, bez żadnego ryzyka.

- Innemu programiście mogłoby to wystarczyć - przyznał Masada. - Lecz nie jemu. Jego dzieło jest zbyt uporządkowane, zbyt kontrolowane. Taki człowiek nigdy nie liczy na szczęśliwy przypadek. Będzie chciał obserwować każdą mutację wirusa, w miarę ich powstawania, tak by w razie potrzeby dokonać w porę odpowiednich poprawek. Niewątpliwie zapewnił sobie taką możliwość. Jestem o tym przekonany.

Hsing przez moment spoglądał na Masadę. Profesor znów zajął się wirusem i wydawał się nie zauważać gościa. W końcu Hsing rzekł cicho:

- Zdaje się pan bardzo doskonale rozumieć jego sposób myślenia.

Czy Masada usłyszał w jego głosie niewypowiedziane wyzwanie? *Iru* nie byli znani z umiejętności rozumienia ludzkich motywów. Prawdę mówiąc, słynęli z braku takich umiejętności. Między innymi i to było przedmiotem dyskusji, jaka toczyła się w Gildii, kiedy po raz pierwszy wymieniono nazwisko Masady jako ewentualnego konsultanta. *Iru* mógł być przydany do analizowania czystego, maszynowego kodu, ale czy zdoła wpaść na trop tego, kto go napisał? W końcu postanowili zatrudnić go mimo to, ale nie spodziewali się, że stworzy portret psychologiczny twórcy wirusa.

- To wszystko jest w kodzie - odparł spokojnie Masada.

I dla niego tak było. Czysty kod, zimny i bezosobowy. Oczywiście, musiał być odbiciem osobowości człowieka, który go stworzył. Ten, komu profesor wyjaśnił te ślady, też mógł je dostrzec i właściwie zinterpretować. Dla Masady było to po prostu zadanie matematyczne, które rozwiązywał z chłodną precyzją laserowego skalpela. To wszystko jest w kodzie. Tak, tylko kto inny potrafiłby to zauważyć?

Nagle Hsing doszedł do wniosku, że Masada nawet nie rozumie istoty swego geniuszu. Dla niego myśli i motywy widoczne w sekwencjach wirusa były oczywiste, a nie dostrzegał ich tylko ten, kto uważnie im się nie przyjrzał. A jednocześnie chętnie przyznawał się do nieumiejętności zrozumienia ludzi, nawet w najprostszyc kontaktach. Taki był balast *iru*.

Co za przedziwne połączenie wad i zalet. Jaki całkowicie obcy profil charakterologiczny. Chwała założycielom Guery za to, że nauczyli swoich potomków rozwijać takie wyspecjalizowane zdolności, zamiast je „leczyć”. Nic dziwnego, że źródłem większości technologicznych innowacji były guerańskie kolonie, podczas gdy na Ziemi, która ustaliła takie sztywne reguły „normalności”, dokonywano niewielu naprawdę cennych odkryć. Dzięki Bogu, że przodkowie Gueran opuścili tę skazaną na zgubę planetę, zanim stracili geny geniuszu. Dobrze, że przewidzieli nadchodzący kreatywny holocaust i uciekli przed nim.

- Prawdziwa ewolucja jest przypadkowa - powiedział Masada. - A ta nie. Ktoś zdecydował, kiedy i jak zmutuje ten wirus, a jeśli uda mi się wyizolować sterujący tym procesem kod, to powinienem lepiej zrozumieć sposób myślenia jego twórcy. Co z kolei powinno mi zapewnić lepszą kontrolę nad jego dziełem. Jak również dostarczyć odpowiedzi na kilka bardzo ważnych pytań.

- Takich jak?

Masada przez chwilę milczał. Wydawało się, że zastanawia się, czy w ogóle odpowiedzieć.

- Podczas inwazji wykorzystuje fragment oprogramowania kosmopilota - rzekł w końcu. - Teraz używa kodu wykradzonego podczas poprzednich ataków - tak właśnie działa. Chcę wiedzieć, jak wyglądał na początku, kiedy po raz pierwszy próbował wtargnąć do mózgu kosmopilota. To wiele nam wyjaśni, mistrzu Hsing... Włącznie z tym, czy jego twórca miał dostęp do plików Gildii, czy nie.

Zimny dreszcz przebiegł Hsingowi po krzyżu.

- Sądzi pan, że był w to zamieszany ktoś z naszych?

- Na razie nic nie sędzę - padła spokojna odpowiedź. - Muszę jednak rozważyć wszystkie możliwości... nawet te najmniej przyjemne. Jeśli uda mi się przeprowadzić regresję wirusa, może będę mógł powiedzieć więcej.

- Myślałem, że już pan to zrobił.

- Zdekompilowałem go. Złamałem zabezpieczenia. Regresja to inna sprawa, polega na ekstrapolacji prawdopodobieństw wynikających z kodu źródłowego.

Nagle najwidoczniej zdał sobie sprawę z tego, że wkroczył na obszary niedostępne dla przeciętnego śmiertelnika, bo zaczął od nowa:

- Zamierzam podjąć próby ustalenia, jak mogły wyglądać wcześniejsze wersje tego wirusa. Na podstawie tego, co wówczas stanie się z kodem inwazyjnym, może coś zdołam ustalić.

- Odwrotna ewolucja?

- Właśnie.

- Jeśli jednak ten wirus jest tak skomplikowany... - Hsing szukał odpowiednich słów. - To tak jakby próbować zgadnąć, jak wyglądał pradziadek, tylko rzuciwszy okiem na prawnuka. Prawda? Czy każda wersja programu nie może teoretycznie mieć tysięcy potomków?

- Nawet miliony. I z każdą generacją więcej. - Ze wzrokiem wbitym w ekran nie wydawał się wcale poruszony taką perspektywą. - Mam nadzieję znaleźć kilka podstawowych wzorów, które pozwolą nam opracować drzewo genealogiczne wirusa. I zredukować liczbę możliwości o kilka rzędów wielkości. Potem najbardziej podejrzanym odmianom pozwolę się samoistnie reprodukować i ewoluować, aby sprawdzić, czy ich rozwój przebiega zgodnie z przewidywaniami. Większość fałszywych tropów da się wyeliminować po kilkunastu pokoleniach. Pozostałe powinny pozwolić nam na wyciągnięcie kilku wniosków odnośnie pochodzenia wirusa.

Hsing spoglądał na niego, zdumiony.

- Czy ma pan pojęcie, jakie ogromne objętości danych trzeba będzie przetworzyć?

- Oczywiście, że mam, gildmistrzu Hsing. - Masada wzruszył ramionami. - W końcu mam tu spędzić jeszcze cztery miesiące. Gildia nie prześle nam teraz ostatnich kopii wirusa, w obawie że transmisje mogłyby zostać przechwycone, tak więc mogę zajmować się tylko tym, którego mi pan dostarczył. - Spojrzał na Hsinga. - Czy może wymyślił pan dla mnie bardziej produktywny sposób spędzenia tego czasu?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Zobaczył, że profesor ponownie skupił całą uwagę na widocznym na ekranie wirusie. Obraz urósł, wyostrzył się i przesunął kilka skrętów w górę, reagując na nieme polecenie. Po chwili Hsing zrozumiał, że profesor jest już myślami gdzie indziej i pewnie nawet nie pamięta o jego obecności.

- Wykorzystywana moc obliczeniowa spowalnia działanie programów statku - powiedział prosto z mostu, chociaż odradzały mu to wszystkie jego instynkty *nantana*. Tylko że z *ku* nie można niczego owijać w bawełnę. Nie lubią tego, a poza tym to do niczego nie prowadzi.

Minęła sekunda, po czym Masada znów się do niego odwrócił.

- Czy coś się zepsuło?

- Nie. Jeszcze nie.

- No to nie ma się czym przejmować - rzekł i wrócił do pracy. Hsing zrobił krok naprzód, naruszając jego osobistą przestrzeń na tyle, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Doktorze Masada, kapitan prosił mnie, żebym z panem o tym pomówił.

Czarne oczy przeszły go spojrzeniem. W ich głębi zamigotał błysk gniewu.

- A więc niech pan mówi.

- Monopolizuje pan jego procesory. Systemy statku pracują coraz wolniej.

- Gildmistrzu Hsing - rzekł Masada, powoli i cierpliwie, jakby przemawiał do dziecka. Albo idioty. Gdyby ten człowiek był *nantana*, Hsing poczułby się głęboko znieważony jego tonem, ale tak tylko zacisnął zęby i nie protestował. - Wyjaśniłem panu, co robię. Rozumie pan znaczenie mojej pracy. Obiecałem kapitanowi i jego załodze, że moje obliczenia nie wpłyną na funkcjonowanie tego statku. I nie robią tego, prawda? Przykro mi, jeśli jeden czy drugi program działa nanosekundę wolniej, lecz niestety ten statek jest kiepsko wyposażony do tego rodzaju badań, jakie prowadzę. Muszę wykorzystywać każdą dostępną pamięć, wszędzie gdzie uda mi się jej trochę uszczknąć. - Znów zerknął na ekran, ale bliskość gildmistrza nie pozwalała mu zignorować jego obecności. - Sprzęt, jaki zabraliśmy ze sobą, pozwala mi manipulować samym wirusem, ale potrzebuję znacznie większej mocy obliczeniowej. Materiał, jaki przetwarzam na komputerach statku, nie stanowi żadnego zagrożenia. - Nie w tym rzecz.

Czarne oczy zwęziły się. Rzadko widywał Masadę rozgniewanego. Poczł dziwną ulgę widząc na tej nieruchomej twarzy ludzkie uczucie, które mógł rozpoznać.

- Mistrzu Hsing, zatrudniliście mnie, ponieważ Gildii grozi niebezpieczeństwo. W kosmosie grasuje wirus, który zabija waszych pilotów, a w ten sposób zagraża całej cywilizacji. Przynajmniej tak mi pan powiedział. Mam wrażenie, że takie niebezpieczeństwo

jest nieco ważniejsze od tego, czy jakiś bogaty turysta z Paradise uzyska dostęp do ostatniego wideo z Imą Starshine, przy którym będzie mógł zasnąć. Jeśli uważa pan, że się mylę, proszę mi to powiedzieć, a ja wykasuję wszystkie moje dane z sieci statku i pozwolę kapitanowi wykorzystywać pełną moc systemu. W przeciwnym razie byłbym głęboko zobowiązany, gdyby pozwolił mi pan wrócić do pracy.

Ty draniu, pomyślał Hsing. Doskonale wiedziałeś, które funkcje ograniczasz i jakie dokładnie będą tego skutki. Niczego nie pozostawiasz przypadkowi, prawda? W takiej sytuacji złość w niczym nie pomagała, ale i tak w nim wzbierała i musiał zmobilizować wszystkie umiejętności gildziarza oraz doświadczenie *nantana*, żeby niczego nie okazać po sobie. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, żebym mógł się przygotować?

- Niech pan zwróci pełną moc programom żywieniowym - powiedział do Masady. - Przynajmniej tyle będę mógł powiedzieć kapitanowi.

- Zmniejszenie mocy obliczeniowej znacznie spowolni moją pracę.

W końcu w głosie Hsinga pojawiła się gniewna nuta.

- Programy żywieniowe. I zdrowotne. Oraz wszystkie inne, które dotyczą zdrowia i funkcji życiowych. Nie chcę, by ich działanie spowolniło się choćby o nanosekundę, doktorze Masada. - Zaczerpnął tchu i dodał: - A przynajmniej nie w stopniu zauważalnym przez pasażerów. Rozumie pan?

Czarne oczy spojrzały na niego, znów nieprzeniknione.

- A pozostałe?

Chciał powiedzieć coś równie gniewnego, ale znowu zaczerpnął tchu i powstrzymał się. Ten człowiek miał rację, niech go szlag. Jego praca była tysiąc razy ważniejsza niż wygoda paru turystów i obaj o tym wiedzieli. Tylko gdzie przebiegała ta cienka linia między akceptowalnymi utrudnieniami a niewygodami nie do zniesienia? Gildia nigdy nie była tyranem. Jeśli zacznie nim być teraz, na dłuższą metę przegra więcej, niż uzyska przez przetwarzanie jakichkolwiek danych.

- Niech pan tylko odblokuje te programy, które wymieniłem - odparł szorstko. - Resztę jakoś załatwię z kapitanem.

Boże, z jaką przyjemnością wróci do domu, do otaczających go tam *nantana*. Będą spiskowali przeciwko niemu, rzecz jasna. Spodziewał się tego. Mieli rok, by przygotować się na jego powrót, i jeden Bóg wie, jakie subtelne i podstępne pułapki pozostawiali. Ich machinacje były skomplikowane, wyrafinowane, zabójcze. Obawiał się chwili, kiedy będzie musiał się z nimi zmierzyć. Jednak to była gra, której zasady rozumiał, i gdyby nie umiał w nią grać, nie byłby tym, kim jest.

Po tej misji będzie to jak orzeźwiający haust świeżego powietrza.
Przeklinając pod nosem wszystkich *iru*, poszedł szukać kapitana.

X

Każdy węzeł będzie miał stację tranzytową, nie dalej niż dziesięć godzin lotu od najbliższego punktu wyjścia z najbliższego *ainniq*.

Ta stacja musi mieć odpowiednią wielkość i budowę, aby pomieścić wszystkich podróżujących przez system pasażerów, z wygodami i usługami zapewniającymi wygody wszystkim znanym typom ludzkich istot.

Żadnemu człowiekowi podróżującemu przez *ainniq* nie zabroni się wstępu do stacji.

Koszt usług będzie jednakowy dla wszystkich. Prawa i przepisy będą dotyczyły wszystkich w jednakowym stopniu.

W razie konieczności prawa publiczne podróżnych mogą zostać czasowo ograniczone.

Prawa osobiste nie mogą być ograniczone, chyba że stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa stacji.

Każdy węzeł, nie zapewniający wyżej wymienionych usług lub nie spełniający wyżej wymienionych przepisów, nie będzie obsługiwany przez kosmopilotów Gildii, do odwołania.

Niedopełnienie tych wymogów lub notoryczne ich naruszanie może doprowadzić do stałej izolacji stacji.

Kontrakt Gildii *Ainniq*, część 4 (zwana też prawem powszechnego dostępu).

LINIOWIEC „AURORA

- Pani Capra?

Rozbiegane myśli. Nieuchwytny. Mechaniczny głos przemawiający jak zza ściany.

- Pani Capra. Słyszysz mnie pani?

Wydostała się z gęstej, ciepłej głębi, do miejsca gdzie został jej głos.

- Pani Capra. Proszę odpowiedzieć.

- Ja... - Zaczerpnęła tchu i zakaszła. Miała wrażenie, że płuca ma pełne waty. -

Słyszę.

- Dobrze się pani czuje, pani Capra? Ten program wymaga potwierdzenia.

Zerknęła w kąt pola widzenia, gdzie powinien zgłosić się jej program zdrowotny. Nie było go.

- Ja... nie wiem. Mój program zdrowotny...

Mówienie wymagało tyle wysiłku, że nic więcej nie zdołała wykrztusić. Miała nadzieję, że program zrozumiał.

Gdzie ja jestem?

- Pani program zdrowotny został wyłączony w chwili przejścia do stanu zawieszenia, pani Capra. Było to konieczne, by nie zakłócał procesu. Teraz może go pani włączyć za pomocą odpowiedniej ikony. Proszę to zrobić.

Miała taki zamęt w myślach, że zajęło jej to minutę. Powoli w jej głowie zaczął nabierać kształtu spiralny wzór. Trzy razy obejrzała go w myślach, mając nadzieję, że zdoła uruchomić program.

Najwidoczniej tak się stało, gdyż zaczął przewijać wyniki analiz. Wyniki wielu z nich były słabsze niż zwykle, niższe niż zwykle lub w inny sposób odbiegały od normy, ale nie w znaczącym stopniu. PODJĄĆ DZIAŁANIA? - zapytał program na zakończenie. Zawahała się, a potem mignęła ikoną przeczenia: NIE. Zaczęła sobie przypominać.

- Pani Capra, proszę potwierdzić status biologiczny.

- W... w porządku. - Wata zaczęła się rozpuszczać i Jamisia słyszała wszystko coraz wyraźniej. Kroki i głosy w oddali. - Czuję się dobrze.

- Nie odczuwa pani żadnych dolegliwości wymagających interwencji medycznej?

Ponownie sprawdziła wskazania programu zdrowotnego: odczyty już prawie wróciły do normy.

- Nie. Nic mi nie jest.

- Potwierdzenie przyjęte. Program medyczny zostaje wyłączony. Życzymy przyjemnej podróży, pani Capra.

Powoli, ostrożnie, otworzyła oczy. Z początku widziała tylko niewyraźne kształty, które jednak stopniowo nabierały ostrości. Zamrugła, usiłując przyspieszyć ten proces. Leżała w jakiejś wyprofilowanej skorupie, przymocowanej do ściany obok dziesiątków podobnych pojemników...

Kosmolot. Oczywiście. Teraz sobie przypominała.

Podparła się rękami i usiadła. Technik Gildii zerknął na nią i wrócił do swojej pracy. Kilku innych pasażerów też odzyskało przytomność, tak jak ona. Ze zdumieniem rozglądali się wokół. Mniej więcej tuzin pojemników nie otworzył się: niewątpliwie były jeszcze sprawdzane przez program medyczny, cierpliwie przesłuchujący zamkniętych w nich ludzi. Zobaczyła, jak wieko jednego uniosło się i jego lokator - młody chłopak, którego widziała w transportowcu - powoli usiadł, mrugając.

Tak, teraz wszystko sobie przypominała. Długą podróż do stacji Gildii. Przejście przez posterunek kontrolny. Rozczarowanie, kiedy powiedziano jej, że kosmolot nie ma okien, przez które można by oglądać Wszechświat, a na czas trwania podróży pasażerowie zostaną uspieni. Pamiętała, że jakiś bogaty idiota z Ziemi usiłował przekupić Gueran, żeby pozwolili mu patrzeć. Proponował im miliony w dowolnie wybranej walucie, żeby choć przez minutę pozwolili mu popatrzeć na *ainniq*, kiedy statek będzie w ruchu. Zignorowali jego propozycję i protesty, a potem zamknęli go w pancerzu przeciwpromieniowym, jak wszystkich innych. Nikomu spoza Gildii nie było wolno oglądać *ainniq* od środka.

Przynajmniej widziała go z zewnątrz. Tylko przez moment, gdy transportowiec dolatywał do stacji Gildii - błysk przedziwnego światła, nierealny, cieniutki welon, który zmaterializował się, zamigotał i nagle znikł. Przyciskała nos do szyby w nadziei, że jeszcze go zobaczy, lecz najwidoczniej spoglądała pod złym kątem. Połowa ludzi na transportowcu w ogóle tego nie widziała i ci byli bardzo niezadowoleni, dowiadując się, że jej udało się zobaczyć. Najwidoczniej można to było dostrzec tylko pod pewnym kątem i ci, którzy siedzieli po drugiej stronie przejścia lub bliżej dziobu, nie byli w stanie tego zauważyć.

- Miała pani szczęście - rzekł jej później steward. - Mało komu udaje się zobaczyć aż tyle.

Z jękiem wygramoliła się z pojemnika i stanęła na nogi. Na statku włączono ciężenie, wystarczające, by można było ustać. Gildia twierdziła, że wszystkie środki ostrożności podejmuje w trosce o dobro pasażerów, ale Jamisia nie była pewna, czy im wierzyć. Wiedziała, że w *ainniq* były istoty, które atakowały każdego intruza - wszyscy o tym wiedzieli - ale nie miała pojęcia, w jaki sposób brak okien miałby chronić przed tym ludźmi. Ani dlatego pasażerowie musieli spać podczas podróży. Czy dlatego, by oszczędzić im strachu, czy też by nie przeszkadzali załodze podczas lotu przez *ainniq*? Minęło kilkadziesiąt lat od kiedy Gildia straciła jakiś statek, więc raczej nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Podejrzała, że Gueranie po prostu nie chcieli mieć kłopotów z tak wieloma „planeciarzami”, dlatego usypiali ich i pakowali do pojemników ustawionych w głównej ładowni, jak kufry.

W każdym razie już było po wszystkim. Rozprostowała zeszywniałe kończyny, zauważając siniak na prawym ramieniu. Wiedziała, że program zdrowotny zajmie się tym. W ciągu kilku godzin uszkodzone komórki zostaną naprawione i przebarwienie zniknie. Zastanawiała się, co je wywołało. Inni pasażerowie mieli podobne ślady, a więc musiało to być coś, co wydarzyło się podczas tej podróży. No, pomyślała, to stało się wtedy, kiedy ludzie byli uspieni i nie mogli sami zatroszczyć się o siebie. Zastanawiała się, czy ktoś kiedyś

zaskarżył o to Gildie, a potem przypomniała sobie formularze, które kazali jej podpisać przed wejściem na pokład... Nie, Gildia najwyraźniej pomyślała o wszystkim. Żadnych pozwów.

Zanim zupełnie otrzeźwiała, ostami pojemnik otworzył się i przejście wypełnili ubrani w kombinezony pasażerowie, rozprostowujący kości i zeszywniałe mięśnie. Jedna z kobiet miała trudności z oddychaniem i potrzebowała pomocy. Widocznie był to typowy efekt uboczny procesu usypiania, gdyż stewardzi doskonale wiedzieli, co robić, jakby już nieraz mieli z tym do czynienia. Szybko dokonali niezbędnych poprawek za pomocą jej hełmu, przez który wprowadzili jakiś program medyczny z komputera statku. Zobaczyła, jak kobieta robi długi, drżący wdech, sprawdzając pojemność swych płuc. Potem drugi, znacznie swobodniej. Kiedy na jej twarzy pojawił się ostrożny uśmiech, stewardzi zajęli się czymś innym.

- Pani Capra?

Odwróciła się i zobaczyła jednego z nich, czekającego na odpowiedź.

- Tak...?

- Zechce pani pójść ze mną?

Minęła chwila, zanim zrozumiała. Rozejrzała się wokół i nie zauważyła, aby zwrócono się z taką prośbą do kogokolwiek z pozostałych pasażerów. Ścisnęło ją w dołku.

Coś jest nie tak, ostrzegł Derik.

Program medyczny alarmował, że ciśnienie krwi rośnie. Była bliska tego, by nakazać mu podanie środka uspokajającego, ale się rozmyśliła. Niebawem bardziej może się jej przydać trzeźwa głowa niż zimna krew.

Owszem, przyznała mu rację, *coś jest nie tak, ale co mogę zrobić?*

- O co... o co chodzi?

- Tylko kilka pytań, pani Capra. To nie potrwa długo.

- Niech wezmę bagaże - powiedziała. Częściowo, by upewnić się, że nadal je ma, a przede wszystkim, by zyskać na czasie. Potrzebowała jeszcze minuty, żeby się pozbierać. Czy przesadzała? Do jej mózgu wlewały się obawy kilku Innych. Trudno jej było zebrać myśli, a co dopiero działać.

Boże, tu nie ma dokąd uciec...

- To nie będzie konieczne - powiedział steward, delikatnie ujął ją za ramię i pociągnął.

- Załoga zajmie się pani bagażem.

- Chcę zabrać moje pieprzone bagaże! - Poczowała tak gwałtowny przypływ wściekłości, że miała wrażenie, iż udusi się, jeśli jej na nim nie wyładuje. - Rozumiesz, draniu? I natychmiast zabierz ode mnie te ręce!

Zaskoczony steward cofnął się. Inni pasażerowie przestali się przeciągać i gapili się na nich, wszyscy. *Pieprzeni idioci. Derik...*

Chciałem tylko pomóc, pomyślał szorstko. Weź te bagaże.

Wstrząśnięta, podeszła do przedziału, w którym złożono bagaż podręczny. Cóż to było, do diabła? Zazwyczaj Inni przejmowali kontrolę lub nie. Zmiana zawsze wywoływała szok, ale była zdecydowana. Boże, miej ją w opiece, jeśli zaczęli podsuwać jej swoje myśli, kiedy Jamisia wciąż była sobą.

Me przejmuj się, rzekł Derik z uśmiechem. Słyszała to w jego głosie. Tworzymy zespół, pamiętasz?

O, Boże, pomyślała, chcę, żeby to się skończyło, chcę tylko znów być normalna... Zarzuciła ciężkie torby na ramię, zrobiła głęboki wdech i odwróciła się do stewarda.

- W porządku - powiedziała. - Chodźmy. Czy kiedykolwiek była „normalna”?

Poszli na dziób - mijając kabiny pasażerskie, których było dwanaście - do sekcji dowodzenia. Kiedy mijali miejsce, gdzie robotnicy mocowali rękaw do śluzы wyjściowej, miała ochotę po prostu uciec stewardowi i co sił w nogach pobiec tym korytarzem, ale wiedziała, że dotarłaby tylko do pierwszej bramki i znów by ją zatrzymali. Nie, lepiej udawać, że o niczym nie wie. W ten sposób przynajmniej zorientuje się, o co chodzi.

Zaprowadził ją do części statku, która najwyraźniej nie była przeznaczona dla pasażerów. Mijali ich odziani w czarne szaty Gueranie, zajęci obowiązkami związanymi z dokowaniem. Lekko zadrżała, kiedy któryś otarł się o nią: mimowolna reakcja, która ją zawstydziła. Jeśli mogła znieść widok naprawdę odrażająco zdeformowanych Wariantów, dlaczego przerażali ją ci ludzie? Wyglądali zupełnie normalnie, a co do ich umysłów... Powiadano, że wszystkie typy guerańskich Wariantów istniały niegdyś na Ziemi, więc dla jej przodków nie były niczym nowym. Nie można było tego powiedzieć o innych Wariantach. Czemu więc na widok ich pomalowanych twarzy i czarnych szat przechodził ją dreszcz?

Ze zdziwieniem zobaczyła, że steward wyprowadza ją ze statku, przechodzą przez odprawę celną i podążają wąskim korytarzem, który zapewne był tylko do użytku służbowego. Wychodząc, zobaczyła po prawej pasażerów, ustawiających się w kolejce do odprawy. *WIZY* głosił napis nad jedną z bramek, a nad drugą *KONTROLA PASZPORTOWA*. Steward nie podeszedł do żadnej z nich, tylko do pobliskich biur. Otworzył drzwi i przepuścił Jamisię.

- Proszę wejść, pani Capra.

Z lekkim drzeniem weszła. W pokoju czekali dwaj mężczyźni, obaj byli Gueranami. Rysunki nadawały ich twarzom tak groźny i obcy wyraz, że niczego nie mogła z nich wyczytać.

Co to za jedni? - szepnął w jej mózgu któryś z Innych.

Czego chcą?

Co wiedzą?

- Jamisia Capra.

Jeden z mężczyzn wskazał na jedyny znajdujący się w pomieszczeniu stół. Po chwili zrozumiała, co ma zrobić, i położyła na nim torby.

- Jest pani z osiedla Lansing, tak?

Urwał, jakby sprawdzał jakiś wykaz. A może... Spojrzała na jego hełm, potem na małe moduły transmisyjne umieszczone pod sufitem w kątach pomieszczenia. Nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się w kosmosie. W zasięgu uninetu. Gdyby włożyła hełm, mogłaby się podłączyć, tak jak robili to ci dwaj. Na moment radość zastąpiła lęk. Boże, jeśli tylko uda jej się jakoś przejść przez to przesłuchanie, kto wie, jakie czekają tu cuda?

Osiedle Lansing. To część fikcyjnego życiorysu, jaki przygotował dla niej nauczyciel. Czyżby kwestionowali go, podejrzewając, że jest zmyślony? Kiwnęła głową, starając się nie okazywać niepokoju. Może jednak powinna była zastosować środki uspokajające.

- Mam do pani kilka pytań, pani Capra. Zwykła formalność. W międzyczasie - skinął na towarzysza - mój asystent przeprowadzi kontrolę celną pani bagażu, aby skrócić formalności. Rozumiem, że to cały pani bagaż?

Machinalnie skinęła głową i patrzyła, jak tamten przegląda jej biżuterię, ubrania i skromny dobytek. Co spodziewali się znaleźć? Boże - o mało nie wybuchnęła śmiechem - czyżby podejrzewali ją o przemyt? Czy o to im chodziło?

I mają rację, przypomniała jej Verina. Wywiozłaś z Ziemi prototyp procesora mózgowego, który bardzo chcieliby dostać...

Tylko że nie znajdą go w twoim bagażu, dodał Derik.

Starła się przyglądać temu, co tamten człowiek robi z jej bagażem, lecz drugi Gueranin zadawał pytania, które wymagały pełnej koncentracji. Jak długo mieszkała w osiedlu? Kiedy opuściła je po raz ostami? Czy w ciągu dziesięciu ostatnich lat odwiedzała Ziemię, a jeśli tak, to gdzie tam była i jak długo? Na niektóre z tych pytań z trudem znajdowała odpowiedź, więc musiała przeproszać i prosić o cierpliwość, podczas gdy sama szukała dziennika, w którym miała zanotowane odpowiednie daty. Wreszcie przywołała swój organizator osobisty i przelała odpowiednie działy. Im bardziej będzie trzymać się prawdy,

tym będzie bezpieczniejsza. Starła się skupić, gdy przed oczami przewijały jej się inne dane, dręczące ją niegdyś tajemnice... Luki w pamięci, dziwne przedmioty, obca twarz spoglądająca na nią z lustra. Kiedyś sądziła, że jeśli tylko zdoła zrozumieć te fakty, jej życie wróci do normy. Akurat.

Właściwie zadał jej bardzo mało pytań. Czy było w tym coś niezwykłego, czy też strach kazał jej oczekiwać czegoś gorszego?

- W porządku - rzekł w końcu przesłuchujący. Spojrzał na towarzysza, który tylko skinął głową. - To wszystko, pani Capra. Przepraszamy za kłopot.

- To wszystko? - słowa wyleciały z jej ust, zanim zdążyła je zatrzymać. Nie zdołała ukryć zdziwienia.

- To wszystko - potwierdził. Jego twarz wykrzywił grymas, który mógł być uśmiechem, a kiedy drugi mężczyzna oddawał Jamisi bagaże, Gueranin dodał: - Rzadko się zdarza, aby ludzie narzekali, że za mało ich gnębimy. Proszę, pani Capra.

Chociaż protestowała, że nie potrzebuje pomocy, uparł się, by zarzucić jej na ramię paski toreb. Jeden rzemień boleśnie uszczypnął ją w ramię i musiała go przekreślić, ale tylko skrzywiła się i zniosła to w milczeniu, z krzywym uśmiechem. W końcu ten mężczyzna chciał jej pomóc.

A potem wypuścili ją. Tak po prostu. Jakby była zwyczajną pasażerką, nie mającą niczego do ukrycia... Otworzyli drzwi i wypuścili ją, a nawet powiedzieli „do widzenia”, jakby to była towarzyska wizyta. Bardzo dziwne. Ruszyła w stronę bramki z napisem *KONTROLA PASZPORTOWA*, ale bliżej stojący Gueranin złapał ją za rękę i zatrzymał.

- Nie potrzeba - rzekł. - Już dokonaliśmy odprawy. Miłego pobytu w kosmosie.

Popatrzyła na kolejkę, a potem na niego. I znów na kolejkę.

- Wszystko już załatwione - zapewnił.

Wszędzie kręciły się dziesiątki urzędników. W ciągu kilku następnych godzin przez punkty kontrolne przejdą setki, a nawet tysiące pasażerów. Jeśli ktoś jej tu oczekiwał, będzie stał przy bramkach. I gdyby ktoś podszedł do niej w tym tłumie i zrobił cokolwiek, nikt by tego nie zauważył. Lub nie zwrócił uwagi. A gdyby tamci włamali się do sieci statku, mogliby nawet dokładnie obliczyć, kiedy i przez którą bramkę przejdzie, ponieważ każdy pasażer opuszczający statek był najpierw sprawdzany. Z łatwością mogli zastawić tutaj pułapkę. Polujący na Jamisę zapewne już tam byli, usiłując wypatrzeć ją w tłumie.

Już chciała rzucić się do ucieczki... ale powstrzymała się i zamiast tego ruszyła różnym krokiem. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, szczególnie kiedy prześladowcy mogą być tak bliska. Przechodząc bramką dla guerańskiego personelu, czekała, aż któryś z Innych

zaprotestuje, posadzając ją o paranoję. Jednak nikt tego nie zrobił. To był bardzo, bardzo zły znak.

Ci ludzie coś wiedzą, szepnęła Katlyn.

Cholerna racja! - przytaknął Derik. *Czemu więc pozwolili nam przejść, do cholery?*

No właśnie, czemu? Usiłowała znaleźć jakiś powód - i nagle przytłoczył ją ciężar tej potwornie skomplikowanej sytuacji. Tylko odsuwając od siebie te pytania, zdołała opanować rozbiegane myśli i pójść dalej. Miała mdłości, nie po podróży, ale wywołane ostatnimi przejściami. Muszę wydostać się stąd, dopóki jeszcze mogę, powiedziała sobie stanowczo. Muszę znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Piekło ją ramię, uciskane przez pasek torby. Poprawiła je, a potem kazała programowi zdrowotnemu uśmierzyć ból. Zachowując czujność, przechodziła przez jedną bramkę kontrolną za drugą. Maszyny pomrukiwały, sprawdzając, czy nie przenosi jednego z tuzina zakazanych towarów. Żadnych narkotyków, broni czy materiałów wybuchowych, pomyślała. Tylko kilkadziesiąt gramów procesora myślowego, który chemie wyrwałaby sobie z mózgu, gdyby tylko mogła, wraz z tuzinem obcych osobowości. Nic więcej.

Bramki nie protestowały, kiedy przez nie przechodziła.

Wyjście z pierścienia dokującego wiodło szerokim, krętym korytarzem, pełnym podróżnych reprezentujących rozmaite Warianty i zmierzających w różne strony. Tłum mijał ją z obojętnością, a każdy podróżny kierował się do innego wyjścia, do innej stacji. Tutaj nazywają je światami, przypomniała sobie. *Jakby to były planety*. Przeciwległą ścianę zajmowały ekrany wideo, a każdy ukazywał inną reklamę. ZRÓB Z NAMI PIERWSZY KROK W KOSMOSIE! - zachęcał jeden, a poniżej przewijały się pomarańczowe litery opisów wycieczek i edresów. TYSIĄC I JEDNA NOC CUDÓW - kusił inny, który proponował nie tylko prozaiczny edres, ale również odpowiednią ikonę. Nad głowami paliły się napisy 3D, przewijając się w nieruchomym powietrzu nad głowami pasażerów. Tego było dla niej po prostu za dużo, aż kręciło jej się w głowie, gdy próbowała to wszystko ogarnąć. Boże, czy ktoś naprawdę miał przeczytać wszystkie te napisy? Zamknęła na chwilę oczy, żeby zebrać myśli. Czy tak było na wszystkich stacjach? Znów zakręciło jej się w głowie i musiała chwycić się najbliższego ekranu. Napis na nim głosił: POKOJE ZASPOKAJAJĄCE NAJBARDZIEJ EGZOTYCZNE UPODOBANIA. Te słowa przeleciały przez jej pole widzenia...

Dokąd powinna teraz pójść? Co miała robić? Och, podczas podróży liniowcem przyszło jej do głowy kilka pomysłów - więcej, niż wymyśliłaby sama, gdyż większość Innych przez trzy lata spierała się o swój przyszły los - ale musiała to zrobić tu i teraz.

Znalazła się na nieznannej jej stacji, miliardy kilometrów od Ziemi, nie mając rodziny, przyjaciół, domu, pracy ani niczego. O Boże, od czego tu zacząć? Łzy nabiegły jej do oczu i próbowała je powstrzymać. Nie chciała wybuchnąć płaczem. Jamisę minęli czterej identycznie ubrani mężczyźni, zerknęli na nią i pospieszyli dalej. Nawet nie pamięta nazwy planety, na której występowała ta mutacja, chociaż uczyła się tego w średniej szkole. Zauważyła inne stworzenie, podobne do owada, oraz parę Wariantów z wężami wyrastającymi z ramion. Usiłowała ignorować ich i iść. Jej jedyną nadzieją było jak najszybsze oddalenie się od lądowiska, zanim nieprzyjaciele zorientują się, że jej tam nie ma. A w tym celu musiała iść dalej.

Minęła ponad dwadzieścia bramek, a przy każdej stał tłum ludzi i Wariantów, wysiadających, wsiadających, czy robiących coś jeszcze. Jedni szli, inni pełzali, jeszcze inni korzystali z różnego typu urządzeń przenoszących. Niektóre z tych ostatnich wyglądały na niezbędne, a nie kaprys mody, gdyż tkwiące w nich istoty sprawiały wrażenie niezdolnych do samodzielnego poruszania się. Raz czy dwa przystanęła, żeby przyjrzeć się któremuś, ale zaraz ruszała dalej, nie pozwalając sobie na to. Boże, oni wyglądali tak obco... Czy to dlatego, że tutaj było ich wielu, ten widok budził taki niepokój? Większość pasażerów liniowca stanowili prawdziwi ludzie i chociaż Warianci tam byli równie przerażający jak tutaj, zawsze ginęli pośród istot o znajomym wyglądzie. Tutaj nie. Minęła bramkę, która zapewne wiodła na jakąś planetę, gdyż wszyscy czekający przed nią ludzie reprezentowali ten sam typ budowy ciała. Długie kończyny okryte naturalnym pancerzem, bardziej podobne do owadzych odnóży niż ludzkich członków. Zmusiła się, by nie patrzeć i iść dalej. Jak daleko jest do najbliższego miejsca, gdzie będzie mogła opuścić dok i spróbować zgubić się w tłumie? Dopóki tkwi w tym wąskim korytarzu, wrogowie bez trudu mogą ją znaleźć.

Jeśli tu byli. Jeżeli przechwycony przez Justina list jednak do kogoś dotarł...

Możesz być tego pewna, rzekł szorstko Derik. Ten numer na cle nie był przypadkowy. Dzieje się coś, o czym nic nie wiemy, a to oznacza, że musimy wydostać się stąd naprawdę SZYBKO.

Jamisia przyznała mu rację. Tylko jak stąd uciec? Nie mogła przejść przez bramkę, nie podając kodu, gdyż do doków wpuszczano tylko pasażerów. Czy jest inne wyjście? Niespokojnie rozejrzała się wokół i ku swemu zdziwieniu z ulgą zobaczyła, że korytarz dalej wychodzi na placyk z licznymi budkami. Na straganach leżały powykładane artykuły spożywcze, narzędzia oraz wszelkie towary, jakich mogli potrzebować podróżni. Na widok jedzenia Jamisi zaburczało w brzuchu, ale najpierw miała ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Straganiarze mogli odpowiedzieć na jej pytania, poradzić, dokąd ma iść... Wtedy zauważyła sztyld.

USŁUGI UNTNETOWE, głosił jasnożłotymi literami, unoszącymi się nad zatłoczonym kioskiem. HEŁMY DLA KAŻDEGO RODZAJU PROCESORA. INTERFEJSY. CHIPY UCZĄCE. Dopchała się do lady, nie zważając na wyłożony towar, rozejrzała się za sprzedawcą. Był holograficzny, ale nie szkodzi. Teraz, kiedy wiedziała już, czego potrzebuje, wystarczy jej wideoekspedient.

- Potrzebne mi połączenie z uninetem - powiedziała, przetrząsając torbę w poszukiwaniu hełmu. - Dla... - Nie mogła odczytać drobnitkich liter, więc w końcu pokazała mu napis. Postać milczała, a przez ten czas kamery gdzieś zapisały, zmagazynowały obraz i zanalizowały znaki korporacji.

- Shido 9135 - rzekł w końcu. - Wspaniały model dla okołoziemskich światów. Jednakże do uninetu sugerowałbym nie tylko model Nagoni z interfejsem 476B, ale dodatkowy pakiet oprogramowania...

- Na razie tylko interfejs - przerwała mu. Sięgnęła po chip płatniczy i nagle zastygła, przerażona, uświadamiając sobie, co się może stać. A jeśli ktoś czekał, aż jej kod pojawi się na wykazie bankowym? Prędzej czy później będzie musiała za coś zapłacić, a w ten sposób najłatwiej ją znajdą. O Boże, co robić? Pogrzebała w torbie i znalazła na dnie garść żetonów gotówkowych. Jeśli Bóg da, to powinny wystarczyć. Wysypała je na ladę i pospiesznie przeliczyła. Stojący wokół klienci gapili się na nią, zdziwieni taką prymitywną transakcją. Sto. Dwieście. Wystarczy. Ponownie zebrała żetony i z mocno bijącym sercem wręczyła je ekspedientowi. Może jego program pozwala mu przyjmować żetony? Jeśli nie... to nie wiedziała, co robi.

Patrzył na nią przez chwilę. Wstrzymała oddech.

- Z ziemskiej korporacji - orzekł wreszcie. - Muszę poinformować cię, że wymiana będzie kosztowała dodatkowo dwanaście procent powyżej aktualnego kursu.

- W porządku. - Ucisk w gardle nieco zelżał. - Podaj tylko ostateczną sumę.

Było to prawie dokładnie tyle, ile miała. Po zakupie zostały jej tylko trzy żetony o niskich nominałach, które ledwie wystarczyłyby na lunch. Jeśli sprzedawcy żywności biorą żetony, w co wątpiła. Będzie musiała znaleźć kogoś, kto potrafi zmienić numer jej konta, i to szybko. Albo wynieść się stąd tak daleko, żeby nie dostrzegać za każdym rogiem czających się prześladowców.

Znalazła na placu mniej zatłoczony kąt i schroniła się w nim, żeby załadować oprogramowanie do hełmu. Trzęsły jej się dłonie i nie mogła nad tym zapanować. Boże, nie

tak wyobrażała sobie pierwsze połączenie z uninetem, nie przy użyciu takiego kiepskiego interfejsu. W końcu program załadował się i umieściła hełm na głowie. Małe ikony rozbłysły z aprobatą, potwierdzając nawiązanie kontaktu z procesorem myślowym w jej mózgu. Potem pojawił się oczekiwany napis GOTOWE i wyobraziła sobie ikonę, która uruchamiała program.

*** WITAMY UŻYTKOWNIKA INTERFEJSU ***

*** NAGONI 476B *** DLA OPTIMALNEGO DZIAŁANIA PROGRAMU, NAGONI CORPORATION POTRZEBUJE KILKU INFORMACJI DOTYCZĄCYCH DOTYCHCZASOWYCH DOŚWIADCZEŃ UŻYTKOWNIKA SIECI. BĘDĄ ONE WYKORZYSTANE...

Pieprzyć to! - wtrącił się Derik, ale trwało to tylko moment. Potem znikł i na jego miejsce wślizgnęła się Raven, przejmując kontrolę nie tylko nad wspólnym umysłem ale i nad procesorem myślowym. Z oszałamiającą szybkością mignęła kilkoma ikonami i hasłami, które podała procesorowi. Niektórych z nich Jamisia nigdy nie widziała.

...ALBO ZROBIĆ TO PÓŹNIEJ. KOMPLETNY WYKAZ PRODUKTÓW NAGONI CORPORATION MOŻNA UZYSKAĆ...

Teraz zakłęła Raven. Nie tak obrazowo, jak Derik, lecz w jej wykonaniu robiło to jeszcze większe wrażenie. Raven znała się na programowaniu lepiej od pozostałych. Jeśli ona nie mogła przyspieszyć działania interfejsu, to żadnemu z Innych też się to nie uda.

Niech to szlag, potrzebowali tylko zwykłej mapy stacji. W domu Jamisia już by ją miała. Dlaczego ziemskie hełmy nie spełniały standardu tak jak sprzęt ze wszystkich innych sektorów wszechświata?

*** WITAMY W UNINECIE ***

- Dobrze, dobrze.

Raven niecierpliwie błysnęła kilkoma obrazami, wiadomościami mającymi uspokoić przybyłych i oswoić ich z ogromem oraz niezwykłością elektronicznego tworu, którego częścią zaraz mieli się stać. Nie miała czasu na takie bzdury. W końcu dotarła do jedyne go napisu, który miał znaczenie: ZAREJESTRUJ SIĘ, WPROWADZAJĄC KOD TWOJEGO PROCESORA. Podała fałszywą specyfikację, jaką dostarczył jej nauczyciel: Hauck 9200, model 42A. Nie była to nazwa tego, jaki naprawdę miała w głowie, ale i tak robił wrażenie: zaledwie jedna osoba na dziesięć tysięcy mogła mieć nowego Haucka, a seria 42...

Cholera.

Cholera.

Cholera.

Jamisia usiłowała zakończyć program. Ten jednak już skontaktował się z rejestrującym oprogramowaniem sieci i przesłał dane, które mu podała. *CHOLERA!* Zaledwie jedna osoba na dziesięć tysięcy mogła mieć taki procesor myślowy, a jeśli wróg miał na jej temat jakieś informacje, to będzie wiedział, czego ma szukać. Mógł zhakować to oprogramowanie i zostawić w nim snifery, czy to takie trudne? Już wiedział, kiedy i gdzie przyleci jej statek. Łatwo mógł się domyślić, że zaraz po przylocie ona podłączy się do uninetu, a to targowisko było najbliżej...

Jamisia pobiegła. Gdzieś w głębi jej świadomości, wykorzystując część mocy procesora, Raven dalej szukała danych. Jamisia skupiła się na ucieczce, usiłując jak najszybciej oddalić się od targowiska. W głębi duszy wiedziała, że popełnia błąd, że, biegnąc, wyróżnia się z tłumu i naraża na jeszcze większe niebezpieczeństwo, ale nie mogła się powstrzymać. Nagle poczuła się osaczona, otoczona przez bezimiennych wrogów, a to przywołało jeszcze straszniejsze wspomnienia. Tego, jak leżała przysypana gruzem. Jak powietrze ze świstem uciekało jej z płuc przy każdym drżącym oddechu. Jak wiedziała, że jest w pułapce, w pułapce, z której nigdy nie zdoła się wydostać...

Ktoś złapał ją, chwycił za ramiona i zatrzymał. Przez moment nie zareagowała, gdy jej umysł przestawiał się z okropnej przeszłości na obecne zagrożenie. Potem Derik przejął kontrolę i prawie udało mu się wyrwać, lecz mimo marzeń o męskiej sile tkwił w drobnym i szczupłym ciele, wcale nie tak silnym. Ręce trzymały ją mocno.

- Spokojnie, dziewczyno, spokojnie! Chcę ci pomóc. Uspokój się.

Dyszając, usłuchała. Trzymający ją osobnik wyglądał jak prawdziwy człowiek, tylko skórę twarzy miał w skośne niebieskie pasy. Przez łzy przerażenia nie mogła dostrzec, czy był to efekt mutacji, czy też skutek użycia jakiegoś kosmetyku.

- Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Powiedz mi, co się stało.

- Ja... ja... - Znów odzyskała kontrolę nad swoim ciałem i spazmatycznie chwytiała powietrze. Co miała powiedzieć? Przecież nie mogła zaufać temu obcemu, który był świadkiem jej panicznej ucieczki. Jeden Bóg wie, kim on jest i co by zrobił, gdyby domyślił się prawdy. Mimo to potrzebowała pomocy. Sama nie zdoła uciec prześladowcom. - Muszę wydostać się z doku - wysapała. - Jak najszybciej.

Oby tylko pomógł jej w tym - to zupełnie by wystarczyło, nieważne gdzie by się znalazła.

- Szybko...

Zawahał się, a potem wyprostował i podszedł do najbliższej bramki. Wprawdzie i tak nie zdołałaby się wyrwać z silnego uścisku, ale na razie chemie poszła z nim.

- Nie mam... - zaczęła, ale uciszył ją psyknięciem. Kiedy doszli do bramki, przystanął na moment i Jamisia zrozumiała, że podaje przez hełm kod dostępu. PRZYJĘTY, potwierdził wyświetlacz. DRUGI KOD? Jamisia z dreszczem niepokoju uświadomiła sobie, że program pyta o jej kod. - Ja nie... - zaczęła i natychmiast zrozumiała, że mężczyzna znów połączył się z programem.

ZMIANA KODU PRZEZ KAPITANA, oznajmił w końcu wyświetlacz. Irysowe drzwi rozsunęły się.

Przeprowadził ją przez nie, mocno trzymając za rękę, i usłyszała syk zamykającej się grodzi. Znaleźli się w małym doku, w którym stał smukły prywatny statek, przygotowywany do lotu. Jego statek? Zerknęła na niego i zobaczyła, że lekko skinął głową. Jego.

Obejrzała się przez ramię. Brama była zamknięta i bez odpowiedniego kodu nikt przez nią nie przejdzie. Po raz pierwszy od zbyt wielu godzin Jamisia odrobinę się uspokoiła. Na razie jesteś bezpieczna, powiedziała sobie. Oczywiście, było to kruche bezpieczeństwo - w obecności obcych, w doku, który niebawem stanie otworem - lecz w porównaniu z tym, co przeżywała przed zaledwie kilkoma minutami, czuła się tu jak w niebie.

Pilot nadal trzymał jej ramię i puścił dopiero wtedy, kiedy przestała sapać i puls prawie wrócił do normy.

- A teraz - powiedział łagodnie i krzepiąco - może powiesz mi, o co tu Chodzi?

Zawahała się. Kusilo ją, by zaufać temu człowiekowi, wyjawić mu wszystkie sekrety, poprosić o pomoc... ale tylko głupiec by tak postąpił. Pospiesznie rozważyła kilka kłamstw, lecz żadne nie brzmiało dostatecznie wiarygodnie, by rozwiać jego podejrzenia. W końcu zdecydowała, że najlepiej będzie odłożyć to na później - może do czasu, aż ją stąd zabierze.

Zrobiła minę bezradnej dziewczynki i mruknęła:

- Nie mogę. Przykro mi. Nie mogę. Do licha, czasem to działało.

Jeśli chciał pytać ją dalej, to nie zdążył. Podszedł do nich inny mężczyzna, szczupły i w kombinezonie próżniowym.

- Nie ma czasu na panienki, Allo. - Kpiący uśmiech nieco zmiękczył jego kanciaste rysy. - Statek prawie gotowy do startu.

Gdy ruchem głowy wskazał statek, Jamisia zobaczyła jego mutację: pół tuzina opadających kaskadą z tyłu głowy macek, które drżały i wiły się, gdy mówił. Uczyła się o tych Wariantach i wiedziała, że slangową nazwą ich rodzinnej planety była Meduza, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak nazywała się naprawdę.

- Znalazłem ją biegnącą korytarzem, przerażoną jak wszyscy diabli. Mówi, że musi szybko wydostać się z doku, ale nie chce powiedzieć dlaczego.

Patrzyła, jak Meduzanin przetrawia ten fakt.

- Naprawdę? - rzekł w końcu, a do niej rzekł: - Dokąd chcesz się dostać?

Jamisia przygryzła wargę, zastanawiając się, co powiedzieć. W końcu zaryzykowała:

- To bez znaczenia. Uniósł brew.

- Masz pieniądze?

Kiwnęła głową, a potem odważyła się:

- Dość, by zapłacić za bilet.

- Ach! - Meduzanin zaśmiał się, a macki zatrzęsły się w rytm tego odgłosu. - Więc ona chce być naszą pasażerką, tak? A co na to nasz wspaniały kapitan?

Niebieskoskóry przyjrzał się jej. Miała nieprzyjemne wrażenie, że jego spojrzenie wnika do jej umysłu. W końcu rzekł:

- Mamy miejsce. Nie będzie to ani pierwszy, ani ostami raz, kiedy niespodziewanie bierzemy na pokład pasażera. - Milczał chwilę, przyglądając się Jamisi. - Chociaż nie wiem, czy chce się w to mieszać, nie wiedząc, w co dokładnie się pakuję.

Brama cicho zabręczała - ktoś próbował wejść. Jamisia nasłuchiwała z zapartym tchem, ale dźwięk się nie powtórzył. Ten, kto próbował wejść, nie miał kodu dostępu.

Poczuła, że któryś z Innych zajmuje jej miejsce, i choć raz wycofała się z prawdziwą ulgą. Ktoś przejął kontrolę nad jej ciałem, które powiedziało:

- Zapłacę podwójnie. Kapitan milczał. Czekala.

- To nie wystarczy - rzekł w końcu. - Nie wtedy, jeśli ściągniesz na nas kłopoty.

- Dla was to żaden problem.

- Ach tak? - Uniósł brew. - Ja jeszcze tego nie wiem, a ty? Odpowiedziała mu nieruchomym spojrzeniem.

- Podaj cenę.

Kapitan wytrzeszczył oczy. Zepchnięta w kąt Jamisia przeraziła się. Potem roześmiał się, głośno i wesoło.

- Ona mi się podoba, Sumi. Zaprogramuj dla niej koję, dobrze? Chyba mamy pasażerkę.

Tamten zawahał się.

- Jesteś pewny, że nie popełniasz błędu, szefie?

Kapitan uśmiechnął się i nie odpowiedział. Nastąpiła dziwna chwila ciszy, krótki moment, w którym umilkły wszelkie dźwięki. Potem Sumi nieznacznie kiwnął głową. Trzymając dłoń na ramieniu Jamisi, kapitan poprowadził ją naprzód, w stronę statku.

- Rozumiesz, że oczekuję wyjaśnień, kiedy...

- *Raven* - powiedziała szybko. Po raz pierwszy ktoś z Innych podał swoje imię obcemu. Jamisia zirytowała się.

- *Raven*. Teraz zostawię cię w spokoju, bo nie mamy czasu, ale potem spodziewam się wyczerpujących odpowiedzi.

- Później - odparła spokojnie - otrzymasz wyczerpującą odpowiedź.

Przez chwilę patrzył na nią ze zdumieniem, jak zdarzało się to ostatnio wielu ludziom - wyczuwając w niej jakąś zmianę, ale nie potrafiąc określić, na czym to polega - a potem skupił całą uwagę na statku.

- Słyszeliście, ona chce wydostać się z doku SZYBKO! - rzekł z uśmiechem. - A więc ruszajmy.

Jesteś pewna, że dobrze robisz? - zapytała Jamisia.

Nigdy niczego nie można być pewnym, odparła chłodno *Raven*. *Przynajmniej wydostaniemy się ze stacji. Nic nie jest tak niebezpieczne jak pozostanie tutaj*. I dodała łagodnie: *Odpreż się*.

Kiedy podeszli do statku, powitały ich obce głosy. Mówiące z akcentem pół tuzina różnych planet. Załoga wyglądała na zaskoczoną widokiem Jamisi. Czy to dlatego, że była Ziemianką, tak rzadko spotykaną w ich świecie, czy po prostu na widok obcej osoby? Niewątpliwie idący obok niej kapitan poinformował ich przez sieć statku o tym, co zaszło. Mówiono jej, że w pewnych okolicznościach szybka wymiana informacji może być równie skuteczna jak telepatia. Irytujące, wchodzić tak na statek, wiedząc, że przez cały czas wymieniają między sobą uwagi na jej temat. Kiedy uruchomi program interfejsu, może będzie mogła ich słyszeć.

- W porządku - powiedział kapitan. - Chcę odlecieć stąd w ciągu godziny. Tam, uruchom programy startowe. Calia, sprawdź, czy są załadowane nowe mapy. A ty, Sumi... - Zerknął na Jamisię i uśmiechnął się. - Pokaż naszej pasażerce pomieszczenia dla pasażerów, dobrze?

Wahała się tylko przez moment, a potem skinęła głową i poszła za Meduzaninem, zaledwie rzuciwszy okiem na milczącą teraz bramę.

Jestem bezpieczna, pomyślała. Przynajmniej przez jakiś czas. Potem weszła na pokład smukłego stateczku, aby uciec wrogom.

XI

Niech każdy rząd zapewni wszystkim dzieciom sprzęt potrzebny do przekazywania, obliczania i przetwarzania danych. Niech każdy rząd zadba o to, by bogaty i biedny, urodzony na planecie i w kosmosie, Ziemianin i Wariant, wszyscy mieli jednakowy dostęp do uninetu i jej zasobów. Niechaj korzystają z nich, a zobaczymy coś, czego jeszcze nigdy nie widziała ta galaktyka: czas prawdziwej równości, niebywałego rozkwitu oraz koncepcyjnych innowacji, jakie mają miejsce tylko wtedy, kiedy każda ludzka istota w pełni wykorzystuje swoje możliwości, przez cały czas.

„*Nowe horyzonty: społeczne konsekwencje rozwoju neuroinformatyki*”. (Archiwa historyczne, stacja Hellsgate).

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

Medycy przybyli w ciągu godziny, ale za późno. Feniks zbyt długo zwlekał z zawiadomieniem.

On też o tym wiedział. To najbardziej go dręczyło. Wiedział, że Pochodni coś się stało, i nic w tej sprawie nie zrobił. Facet zaczął więc się w konwulsjach, co powinno było ostrzec Feniksa. Tylko że jeśli ktoś dla rozrywki przechodzi przez firewale, zdarzają mu się różne rzeczy, no nie? Jakiś okruch wleci do twoich obwodów, a z nich do mózgu, i zanim się obejrzy, twój procesor myślowy ogłasza alarm przeciwwirusowy i wyłącza wszystko, czego nie potrzebuje, aby skupić wszystkie wysiłki na usunięciu zagrożenia. Czasem to oznacza, że parę części ciała na chwilę przestaje działać, co jest cholernie dziwne, ale kto z nas przynajmniej raz tego nie doświadczył?

Dlatego myślał, że o to chodzi. Pochodnia pracował tuż przy nim, kiedy go trzepnęło. Nagle prawa ręka zaczęła mu dygotać i wyglądało to piekielnie dziwnie, ale nie dziwniej od tego, co czasem się zdarzało. Kiedy surfujesz, nie korzystasz z takich rzeczy jak ramiona czy nogi, więc jeśli procesor potrzebuje trochę więcej mocy obliczeniowej, odcina obwody sterujące kończynami. Nie na tak długo, by wyrządzić jakąś krzywdę - czuwa nad tym program zdrowotny - ale wystarczy nawet nanosekunda, aby wygrzebać kilka neuronów tu i tam. Do licha, wszyscy to przerabiali. Feniks pamiętał, jak kiedyś dotarł bardzo głęboko do systemu bezpieczeństwa Hellsgate i wpadł w tarapaty. Toczył z tamtejszym komputerem wojnę nerwów i szybkości, w której liczyła się każda nanosekunda. Tak więc jego procesor wykorzystał znaczną część kory mózgowej do przetwarzania danych i na ponad pół godziny spieprzył mu dolną połowę ciała. Człowieku, ale chciało mu się łać, kiedy już było po wszystkim! Gdyby nie lewe oprogramowanie, które przeprowadziło kontrolę zdrowotną i stwierdziło, że wszystko z nim w porządku, pewnie by spanikował i wezwał medyków... bo

jak powiadają, czasem wdepniesz. W chwili, gdy wprowadzasz sobie pod czaszkę pierwszy lewy obwód i pozwalasz, by podłączył się do twego mózgu, dobrze wiesz, że możesz oczekiwać kłopotów.

Wtedy myślał, że tamten właśnie je ma. Drgawki. Obejrzał go raz i drugi, upewniając się, że nie zdarzyło się nic gorszego, ale Pochodnia sprawiał wrażenie przytomnego. W stopniu, w jakim mógł tak wyglądać ktoś, kto ma zamknięte oczy i lekko rzezi, ale Feniks nie przejął się tym, bo wiedział, że ten gościu właśnie tak pracuje. Kiedy Pochodnia skupiał się na robocie, dawał swojemu ciału wakacje, podczas gdy myślami swobodnie szybował wśród danych. A przynajmniej tak to wyglądało. Czasem przy hakowaniu musiał przypominać sobie, że twój umysł tak naprawdę nie rusza się z miejsca, po prostu cały uninet tak szybko ładuje ci do łba śmieci, że możesz poradzić sobie z nimi tylko dzięki tym niesamowitym i fantastycznym majakom, jakie kreuje mózg, aby dać ci złudzenie kontroli. Feniks nienawidził ich. Miał rezydentny program, którego jedynym zadaniem było kasowanie takich iluzji, gdy tylko się pojawiły, więc mógł hakować na trzeźwo i zimno. Natomiast Pochodnię rajcowały takie złudzenia. Miał taką teorię, że te niby przypadkowe wizje w rzeczywistości były wizualnymi hasłami dostępu do głębszych warstw świadomości, i regularnie je zapisywał w nadziei, że później je złamie. Nigdy jednak tego nie zrobił. Nie zdołał znaleźć klucza do tego szyfru, jeśli był to szyfr.

A teraz było już za późno.

Medyk pochylający się nad ciałem Pochodni w końcu wstał. Wokół leżały różne przyrządy elektroniczne, za pomocą których usiłowali go ożywić. Bez skutku. Po wyrazie twarzy leżącego było widać, że już po nim, że jego mózg wybrał o wiele ciekawszą opcję od realnego życia.

Potem medyk zwrócił się do Feniksa i zapytał:

- Ten facet to modzio?

Feniks przez chwilę tylko wytrzeszczał oczy. Czego spodziewał się ten idiota? Czyżby sądził, że ktoś odpowie twierdząco na takie pytanie? Wszelkie samodzielne modyfikacje były nielegalne jak cholera, a gdyby wiedzieli o połowie tego, co Pochodnia miał w mózgu, to pewni bardzo nieprzyjemni ludzie zaczęliby zadawać bardzo nieprzyjemne pytania.

Medyk przepaszająco uniósł ręce i powiedział:

- Człowieku, ja tylko próbuję mu pomóc.

- Nie mam pojęcia - odparł ostrożnie Feniks. - Dlaczego pytasz? Myślisz, że coś go usmażyło?

- Sądzę, że ma kompletnie schrzaniiony program zdrowotny. Próbowaliśmy wejść do jego logu, ale odczytujemy same bzdury. - Koleżanka zaczęła pakować elektroniczny sprzęt, którym próbowali ożywić Pochodnię. Starannie, och, jak starannie zwijała przewody, jakby jeden ciaśniejszy zwój mógł uniemożliwić sprawne działanie aparatury. W zagraconej melinie Feniksa wydawało się to całkowicie zbyt dużym wysiłkiem. - Możesz rzucić na to odrobinę światła?

Feniks równie niewinnym gestem rozłożył ręce.

- Hej, ledwie go znalazłem. Nie mówił mi, czym się zajmuje. - Potem nabrał tchu i starając się mówić mniej agresywnym tonem, odważył się spytać: - Mogę dostać kopię jego logu?

Medyk zmrużył oczy. Dziewczyna spojrzała na Feniksa.

- Jesteś jego krewnym?

Zawahał się tylko przez nanosekundę.

- Tak. Jedynym żyjącym. - A kiedy medyk nic nie mówił, dodał: - Kuzynem.

- Jak się nazywasz?

- Randol. Randol G. Harrington. Noszę takie same nazwisko. To krewniak ze strony ojca. - Domyślił się, że zdążyli zidentyfikować Pochodnię, więc nie zdradzał im niczego, o czym już nie wiedzieli. A kiedy spojrzeli na niego z wyraźnym niedowierzaniem, dodał: - Naprawdę.

- No cóż, panie Harrington, powiem panu coś. - Medyk postukał palcem w guzik na kołnierzu kurtki i drzwi rozsunęły się, wpuszczając dwóch ubranych na biało sanitariuszy toczących wózek. Medyk zerknął na ciało i zapewnił ich: - Jest czysty. - Potem znów spojrzał na Feniksa. - Zamierzamy zabrać go do laboratorium stacji i zobaczyć, co zdołamy odczytać. Może uda nam się stwierdzić przyczynę śmierci tego gościa.

Dwaj sanitariusze podnieśli ciało i umieścili je na wózku, po czym przypięli pasami.

- Kiedy to zrobimy, jeśli naprawdę jesteś jego krewnym, dopilnuję, żebyś otrzymał kopię całego jego logu. Włącznie z ostatnim zapisem.

Zrozumiał, że nic więcej nie uzyska, wykrzywił więc twarz w uśmiechu i skinął głową.

- Dzięki. Naprawdę jestem zobowiązany.

Oczywiście takie przysługi kosztują. Mignął ikoną dającą mu dostęp do jego najmniej nielegalnego konta i przygotował niezłą sumkę jako bakszysz. Medyk nie mrugnął okiem, kiedy procesor poinformował go o transferze - facet naprawdę był sprytny - a oprogramowanie Feniksa zgłosiło, że oferta została przyjęta. Doczepił trojana do następnej

wysłanej przez medyka wiadomości, domyślając się, że została skierowana do banku. Gdyby ten dupek nie zrobił tego, co obiecał, Feniks będzie mógł dobrać się do jego finansów. Nigdy nie zaszkodzi być przygotowanym.

Już po Pochodni. Ta myśl uderzyła go jak cios w brzuch. Patrząc, jak ładują ciało przyjaciela na samobieżny wózek, który wyjeżdża z pokoju, Feniks czuł głęboki żal i lekkie zdumienie. Czy to ten facet włamał się razem z nim do więziennej bazy danych stacji Dormia i pozmieniał numery kodowe akt wszystkich pensjonariuszy, całkowicie rozwalając system? Czy to ten gość włamał się do tajnych archiwów Synów Zatracenia, popełniając bluźnierstwo, za które (jak twierdzili Synowie) będzie na zawsze smażył się w piekle? A kiedy po raz czwarty lub piąty aresztowano Feniksa na Hellsgate, czy to on zhakował jego akta tak, że zanim sprawdzili odciski jego palców i rejestr, nie mieli żadnych podstaw, żeby go zatrzymać? Boże, ależ odstawiali numery. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak teraz będzie bez Pochodni. Najpierw wirus załatwił Chaos, potem odszedł Wojownik Śmierci, a teraz Pochodnia... Ostatni członek jego grupki właśnie wyjeżdżał na wózku, a Feniks nawet nie był w stanie spojrzeć na jego twarz. Miał w oczach łzy - prawdziwe, a nie gównianą namiastkę wyciskaną w razie potrzeby przez bioprogramy - i nie mógł skupić wzroku.

Musi dobrać się do tego logu. Musi dowiedzieć się, co załatwiło przyjaciela. Jeśli to ten sam wirus, który skasował Chaos, a potem Wojownika... no, wtedy ktoś za to zapłaci. A jeżeli to robota rządu, który w ten sposób zamierza pozbyć się modziów, jak twierdził Wojownik... no, wówczas cały wszechświat zatrzęsie się w posadach! Feniks za szybko stracił zbyt wielu przyjaciół, i przestało go obchodzić, co cholerny rząd myśli o jego metodach.

Drzwi zamknęły się z sykiem za medykami i wózkiem, pozostawiając go samego w ciemnym i ciasnym pomieszczeniu. Z westchnieniem oderwał się od tych niewesołych rozważań i zabrał się do pracy. Zanim pan Bakszysz wróci do laboratorium, z danych musi wynikać, że Bent Harrington naprawdę miał kuzyna imieniem Randol, a w tym celu Feniks musiał włamać się do Censusa, MedComu oraz innych baz zawierających informacje o drzewie genealogicznym Pochodni, żeby doczepić do niego swoją gałąź. Nie zaszkodzi też, jeśli szybko sporządzi testament i wprowadzi go do bazy, na wypadek gdyby jakiś głupek próbował zgłosić roszczenia do spadku. Godzina pracy, może dwie, jeśli będą kłopoty.

Zabierając się do roboty zastanawiał się, czy oddaliby mu zmodyfikowany procesor Pochodni.

Tak, na pewno. Możesz sobie pomarzyć, Feniks.

*

- Już w porządku, panie Devon. Jesteśmy gotowi.

Oczywiście, to fałszywe nazwisko. Kto podawałby prawdziwe? Próbuje kiwnąć głową, lecz nie pozwalają na to mocujące ją do stołu jarzma.

- Jeszcze raz, do akt... - Ręka lekarza znika z pola widzenia i słychać cichy trzask włączanego urządzenia. - Zdaje pan sobie sprawę z ryzyka? Nie chodzi o to, czy dojdzie do uszkodzenia, czy nie. Na pewno dojdzie. Pytanie tylko, które komórki zostaną uszkodzone i jak poważnie? Nie mogę dostać się do pańskiego procesora, nie ruszając szarej materii, a to zawsze jest ryzykowne. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

Jest półprzemyślny od leków.

- Rób pan swoje, dobrze?

Jednak skalpel nie wbija się w jego mózg. Medyk przemawia monotonnym głosem zapętlonej automatycznej sekretarki. Czy on myśli, że zapis tej rozmowy uratuje go, jeśli zostanie wytropiony przez gliniarzy z tej stacji? Jakby ich obchodziło to, czy modzio został ostrzeżony, czy nie.

Mimo wszystko narkotyk uspokoił Feniksa i stepił ostrze jego niecierpliwości. Dobra, myśli. Niech ci będzie. Pogadaj sobie.

- Przez chwilę odczuje pan wzrost ciśnienia. Nie da się tego uniknąć. Pańskie ciało dopiero po chwili zorientuje się, że ma teraz mniej miejsca dla płynu śródczaszkowego... jeśli wszystko dobrze pójdzie. Mózg noworodka przystosowuje się, a dorosłego... nie zawsze.

Och, tak. Zdaje sobie z tego sprawę lepiej niż ten medyk. Widział już, jak jednego z przyjaciół zabrali do kostnicy, ponieważ jego biokomputer ześwirował. Wpychasz sobie taki biosprzęt do głowy, a potem czekasz, ściskając kciuki, czy przestanie rosnąć we właściwej chwili, czy twój mózg zauważy jego obecność i przystosuje się, czy nie ujawnią się jakieś uszkodzenia spowodowane przez implantujących go lekarzy. Nie wspominając już o tym, czy okaże się kompatybilny z pozostałym złomem w twojej głowie i czy podłączy się do niego tak, jak powinien. Jeszcze gorsze są rozwiązania czysto sprzętowe, które implantuje się w skończonej postaci, co oznacza, że trzeba zrobić na nie miejsce pod czaszką. A mózg nie jest ładnie oznakowany i medyk nigdy nie ma pewności, co właściwie tnie.

Tylko jaką człowiek ma alternatywę? Iść przez życie z kupą złomu w głowie? Do diabła, może bogaci dostają przy narodzinach sprzęt, który wystarcza im na całe życie, ale to zupełnie inna historia. Wyrafinowana aparatura kontrolna i specjalne systemy monitorowania zapewniały, że każdy z tych małych szczęściarzy będzie miał bioobwód we właściwym miejscu. Nic dziwnego, że uważali to, co mieli w głowach, za doskonałe. Pewnie mieli rację. Tylko co z resztą populacji? Prawo gwarantowało każdemu dziecku implantację

procesora po urodzeniu, w razie potrzeby na koszt państwa, lecz nie wspominało o jakości sprzętu ani kwalifikacjach lekarzy, którzy wykonywali ten zabieg. Cholera, Feniks znalazł faceta, któremu umieszczono ziarno procesora w zagłębieniu kości czaszki. Procesor urósł o mikrometr, a potem napotkał ścianę kostną i stwierdził, że dalej nie może już rosnąć. Intelktualnie facet był w porządku, ale jego wewnętrzne obwody były w stanie przetworzyć najwyżej kiepskie wideo. Co miał robić taki gość, uśmiechnąć się i żyć z tym?

Nie ma mowy. Nie po to człowiek ma mózg. Może Bóg stworzył szare komórki do myślenia, ale rozumny człowiek wie, że zaplanował je jako interfejs biosprzętu. Czy Bóg potrafił posłać ludzkie myśli, by z szybkością światła przelatywały przez wszechświat? Czy On potrafił wczytać kopię starego dokumentu tak kruchego, że jego kart nie można było wystawić na działanie światła, wprowadzić do niego fragmenty nowego tekstu i skopiować tak stworzony produkt... a wszystko w mgnieniu oka? No cóż, może On potrafił, ale na pewno nie obdarzył swych dzieci takimi umiejętnościami. Dlatego ludzie musieli stworzyć je sami.

Krój szarą tkanę, myśli Feniks. Umieść te obwody, zapewnij im miejsce do wzrostu i zobaczymy, co mózg z nimi zrobi. Właściwie powinieneś też przymocować zawiasy do tej części mojej czaszki, którą odcinasz, bo można się założyć, że kiedy Sitech lub Omniware wymyślą coś nowego, każę to także zainstalować. W końcu ma się tylko jedno życie, no nie? Czemu więc marnować je na przestarzały sprzęt?

*

RAPORT KOŃCOWY W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIĄ BEN-TA HARRINGTONA, głosił napis.

Raport był sporządzony na prawdziwym plastikowym papierze. Mogłeś wziąć go w rękę, wepchnąć do kieszeni lub przekazać komuś, nie wchodząc do sieci. Widocznie władze stacji usiłowały rządzić w stylu albo... nie wiadomo co. Feniks wolał czytać w bezpiecznym zakątku swego mózgu, ale co tam. Ktoś gdzieś zdecydował, że kawałek papieru lepiej wyraża współczucie, i w ten sposób wysyłano zawiadomienia. Może to pocieszy rodzinę Pochodni.

PRAWDOPODOBNA PRZYCZYNA ŚMIERCI: AWARIA PROGRAMU ZDROWOTNEGO.

PRAWDOPODOBNA PRZYCZYNA AWARII PROGRAMU ZDROWOTNEGO: INFЕКCJA WIRUSOWA.

NIELEGALNE MODYFIKACJE PROCESORA MÓZGOWEGO OFIARY UNIEMOŻLIWIAJĄ DOKŁADNIEJSZĄ ANALIZĘ. RODZINA POWINNA W CIĄGU 24 GODZIN ZAWIADOMIĆ LABORATORIUM O ZAMIARZE PRZEPROWADZENIA PRYWATNEJ AUTOPSJI.

ZGODNIE Z PRZEPISAMI STACJI, NALEŻY UPEWNIĆ SIĘ, ŻE OSOBA PRZEPROWADZAJĄCA ANALIZĘ OPROGRAMOWANIA JEST ŚWIADOMA NIELEGALNYCH MODYFIKACJI PROCESORA OFIARY. NARUSZENIE TEGO PRAWA GROZI KARĄ GRZYWNY I/LUB WIEZIENIA.

Infekcja wirusowa. Awaria programu zdrowotnego.

Kurwa.

Poczuł dziwną pustkę w brzuchu, zimną, lepka i piekielnie nieprzyjemną. Ponieważ tuż przed śmiercią Pochodni zajmowali się pewnym wirusem. Chaos znalazła go w uninecie. Był ogromny, skomplikowany i niezwykle inteligentny. Niezwykła rzecz. Najpierw sama próbowała obejrzeć go z bliska i oberwała. Biedna Chaos. Była niezła w tym, co robiła, ale nigdy nie uważała. Polegała na intuicji, która podpowiadała jej, kiedy podjąć środki ostrożności, a kiedy nie. Najwyraźniej tym razem przeczucia ją zawiodły.

Rozesłali wiadomość o jej śmierci po witrynach modziów i tysiąc anonimowych przyjaciół z całego uninetu przysłało wyrazy współczucia lub żalu z powodu jej przedwczesnej śmierci. Cieszyła się wśród nich wielką popularnością, jaka należała się komuś, kto kiedyś sprawił, że komputery policji Hellsgate pokazywały uśmiechnięte żółte twarzązki za każdym razem, gdy poproszono je o zdjęcia podejrzanych. Człowieku, to był numer. A najlepsze było to, że kiedyś sypiała z facetem, który pracował dla tamtejszej policji, jakimś byłym hakerem, którego przekupili, by stworzył system zabezpieczający ich dane, więc zapewne dostałaby od niego hasło gwarantujące bezpieczny dostęp, gdyby go poprosiła... ale nie zrobiła tego. Chciała dostać się tam sama. Dlatego wszyscy tak ją uwielbiali.

Tak więc wysłali wiadomość o jej śmierci i otrzymali odpowiedzi, a wraz ze wszystkimi wyrazami żalu i współczucia przyszedł dziwny pakiecik z Lisalii. Wyglądało na to, że tamtejsi chłopcy złapali kilka plików z paskudnym wirusikiem, który był bardzo podobny do tego, nad którym pracowała Chaos. Feniks z kumplami przez tydzień wyrwali draniowi zęby, zanim zdołali go skopiować, ale w końcu uzyskali bezpieczną kopię, którą można było obejrzeć z bliska. Okazał się identyczny z tym, który załadowała - przynajmniej w najistotniejszych fragmentach. To był zabójca Chaos.

Feniks założyłby się, że Pochodnia też nad nim pracował. Może więc nie wyrwali draniowi wszystkich zębów. Może ten sukinsyn był w stanie się rozmnażać. Na samą myśl o tym Feniksa przeszedł zimny dreszcz nienawiści, jakiej jeszcze nigdy nie odczuwał. Jeśli właśnie to załatwiło Pochodnię... to ktoś za to zapłaci. Śmierć jednego modzia mogła być -

być może - przypadkowa, ale kolejne dwa takie przypadki świadczyły o tym, że ktoś wziął ich na cel. A tego nie można tolerować.

Czy to możliwe, że rząd rozpoczął tajną operację zmierzającą do wyeliminowania modziów? Tak uważał Pochodnia. Dla nikogo nie było tajemnicą, że zliftowani hakerzy są cierniem w boku wszystkich - od najwyższych władz Gildii po najmniejszego urzędasę. Prędzej czy później każdy z nich jakoś ucierpiał, czy to na skutek kawału, jakim było przełożenie ich prywatnej korespondencji na łacinę kuchenną, czy w wyniku działania subtelnego konia trojańskiego, który nagle wstrzymał całą pracę rządu. Takie historie były nieuniknione, jeśli miało się system informatyczny obejmujący wszystkich i wszystko. Większość problemów sprawiali młodzi, którzy sami nie wiedzieli, co czynią, usiłując dowieść swej męskości przez mieszanie w cudzych danych. Oczywiście, władze przeważnie ich chwytały i dawały po łapach. Wtedy większość z nich odpuszczała sobie. Pozostali próbowali znowu, tylko mądrzej, aż w końcu stawali się tak dobrzy, że już nie wpadali. No i dobrze, bo za takie rzeczy można dostać dożywocie. Dlatego Feniks był tak cholernie rad, kiedy zgarnęły go gliny, a Pochodnia zmienił jego akta. Gdyby się zorientowali, ile już zdążył narobić zamieszania, zapuszkowaliby go na długo.

Może więc za pomocą tego wirusa ktoś chciał wyrównać rachunki. Może ktoś ucierpiał na skutek hakerskiego żartu, którego nie uznał za zabawny i postanowił się zemścić. Pochodnia uważał, że to rząd wypuścił wirusa, który zabił Chaos. W ten sposób chcieli pokonać hakerów ich własną bronią. A jeśli miał rację?

To ktoś za to słono zapłaci, poprzysiągł w duchu Feniks..

Wszyscy hakerzy kierowali się swoistym kodeksem honorowym: niepisany, nie głoszony, ale przestrzegany. Nie krzywdzi się ludzi. Można brać na celownik ich interesy, ich własność, a nawet ich rządy - ale nie ich samych. Możesz zamknąć całe centrum handlowe Paradise i obserwować wywołaną tym panikę, ale nie wolno ci rozwalać szpitalnej bazy danych. Możesz wziąć na cel polityka prowadzącego kampanię przeciwko modziom i dodać do jego rachunku kilka tysięcy pozycji za seks-wideotelefon (zawiadamiając o tym dziennikarzy, rzecz jasna), ale nie robisz tego politykowi, od którego reputacji zależy fundusz na rzecz pomocy ofiarom jakiejś klęski żywiołowej. Możesz pogmerać w rachunku dyrektora banku, tak by pewnego dnia obudził się i odkrył, że wszystkie swoje pieniądze podarował Przyjaciołom Ziemi lub innej skrajnej grupie ekologów. Jednak nigdy, przenigdy, nie zabierasz pieniędzy potrzebnych na nakarmienie głodnego dziecka, zakup leków lub ratowanie ludzkiego życia w inny sposób. Tego po prostu się nie robi. Również podejmowane przez rząd próby rozprawienia się z hakerami - działania prowadzone nieustannie i bez

większych sukcesów - nie obejmowały najwyższego wymiaru kary. Był to rodzaj cichej umowy, przestrzeganej przez obie strony od początku ery elektroniki. Nie zabijaj.

Aż do tej pory.

Spojrzał na tę rzecz na ekranie, z nienawiścią i czułością, pragnąc rozłożyć ją na czynniki pierwsze, jak zwierzę instynktownie pragnie jedzenia i wody. Nie znośił pracować z monitorem, ale nie ma mowy, żeby załadował sobie to cholerstwo do głowy. Czy zrobili to Pochodnia i Chaos? Jego też kusilo. Bezpośrednio znacznie łatwiej manipulowało się kodem niż za pomocą takiego prymitywnego urządzenia. Czy przyjaciele Feniksa pewnego dnia mieli tego dość; uznali, że poradzą sobie z konsekwencjami i wpuścili do swoich umysłów potwora? Sprzęt modziów był szczególnie wrażliwy na takie ataki, gdyż brakowało mu zabezpieczeń, w jakie wyposażano legalne implanty. Tak jest, kiedy budujesz system kawałek po kawałku, a nie tworzysz od razu zamkniętej całości. Czyżby Chaos i Pochodnia doszli do wniosku, że poradzą sobie z unieszkodliwionym wirusem, i załadowali go do swoich umysłów tylko po to, by przekonać się, że wcale nie został unieszkodliwiony?

Zamierzał to sprawdzić. Zamierzał rozłożyć tego drania bit po bicie, jeśli będzie trzeba, wycisnąć z niego wszystkie sekrety, jak krew, aby dowiedzieć się, skąd się wzięło to świństwo. I niech Bóg ma w opiece federalnych, jeśli oni za tym stoją. Albo politycy. Czy ktokolwiek.

Destrukcyjny potencjał Feniksa i jemu podobnych nie ujawniał się w pełni od wielu pokoleń, od czasów terrorystycznego hakerstwa trzeciego wieku nowej ery. Niech Bóg ma w opiece tępaków, którzy zapomnieli o tamtej lekcji historii i myśleli, że tacy jak on będą siedzieć cicho i spokojnie patrzeć na próby eksterminacji. Czy oni naprawdę myślą, że modziowie powymierają jeden po drugim, nie próbując odnaleźć nieprzyjaciela i odpłacić mu pięknym za nadobne?

Akurat, kurwa. Jeśli hakerzy mają zginąć, to zabiorą ze sobą kosmos. Każdy, kto próbuje załatwić ich tym wirusem, powinien szybko poduczyć się historii.

Niech Bóg wam pomoże, jeśli Pochodnia miał rację.

XII

Dla rządzących zaufanie jest luksusem, a folgujący temu uczuciu tylko po to, aby zakosztować jego słodocy, poznają jego trucicielską moc.

GILDMISTRZ HARLAN NAGASAKI „Wspomnienia”

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

Prima dotarła do drzwi gabinetu Devlina i zapukała. Nie musiała (i w przypadku niektórych podwładnych nigdy tego nie robiła, co mobilizowało ich do pracy), lecz stanowisko Devlina obligowało do uprzejmości.

- Wejść.

Drzwi rozsunęły się, reagując na jego słowa. Kiedy weszła, zamknęły się, pozostawiając ją w półmroku. Większość pomieszczenia zajmował holograficzny ekran ukazujący jakąś dziwną gwiazdną mapę, będący jedynym źródłem oświetlenia. Rozpoznała ikony Ziemi i Guery na przeciwnych krańcach hologramu, z cienką siateczką lśniących nitok, łączących je z trzema lub czterema tuzinami leżących między nimi stacji. Był to duży obraz, z rodzaju tych, przez które można przechodzić, by spojrzeć z innej perspektywy. Devlin stał w samym jego środku. Skupił wzrok na cieniutkich białych nitkach, tak gęsto skupionych w jednym punkcie, że wyglądały jak kłębek splątanego jedwabiu. Potem uniósł głowę, zobaczył gościa i wyraźnie ucieszył się, że to ona, a nie jakiś niezdyscyplinowany podwładny.

- Światła do połowy mocy - rzekł głośno i w pomieszczeniu zrobiło się jaśniej. Uśmiechając się, ruszył do niej, przy czym hologram kładł barwny wzór na jego ciele; lecz po zmarszczonych brwiach i sztywno wyprostowanych ramionach poznała, że był, jest i jeszcze przez jakiś czas pozostanie spięty.

- Widzę, że pracujesz.

- Zawsze.

Obraz wydawał jej się chaosem świetlnych plam, lecz z pewnością miał jakiś sens. Devlin niczego nie robił chaotycznie.

- Co to takiego?

- Przebieg połączeń. Z twoimi wiernymi i lojalnymi podwładnymi, których jedynym celem jest ci służyć - odparł sucho. Wyciągnął rękę, pokazując jedną z najbardziej aktywnych ikon. - Delhi. - Potem inną, połączoną z poprzednią pękiem cienkich nitok. - Kent - I jeszcze jedną, nieco dalej. - Varsav. - A na Paradise: - Ra.

- Monitorujesz ich.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się ponuro. - Czy nie mówiłaś, że nawet nasi ludzie są podejrzani? Obserwuję ich tak samo, jak oni z pewnością obserwują mnie.

- Zapewne robiliby to, gdyby mieli taką możliwość - odparła z uśmiechem. - Wydaje mi się, że pod tym względem masz nad nimi lekką przewagę.

Nie uśmiechnął się w odpowiedzi, ale ten komplement wyraźnie go ucieszył.

- Tak też powinno być, nie uważasz? Boże, dopomóż nam, jeśli gildmistrzowie poznają kiedyś wszystkie moje sztuczki. - Ponownie popatrzył na hologram. - Mimo to Delhi ma kilku hakerów, z którymi wolałbym się nie mierzyć, zaś zabezpieczenia Varsava to istna pętla Moebiusa. A przynajmniej tak słyszałem - dodał pośpiesznie.

Podeszła do hologramu i przyjrzała mu się dokładnie. Z bliska zauważyła, że pozornie pustą przestrzeń między stacjami wypełniają jeszcze cieńsze nitki, pulsujące swoim własnym tajemnym rytmem. Wiedziała, że grubość każdej z nich ma znaczenie dla Devlina, tak samo jak jasność, rytm i czas trwania ich błysków - Inny programista być może przedstawiłby te dane w postaci szeregów liczb lub w innej, równie prozaicznej postaci. Devlin wolał bardziej abstrakcyjną formę, ukazującą zależności, jakich nie zdołałyby oddać zwykłe kolumny cyfr. To było jego siłą i dowodem inteligencji, która pozwoliła mu pokonać wielu rywali. Prima nie zawsze pojmowała jego poczynania, ale czy mogłaby polegać na programiście, którego praca byłaby dla niej zupełnie zrozumiała? On był programistą, ona nie. Spodziewała się tajemnic.

Oczywiście, jej poprzednik był zupełnie inny. Rządził Gildią żelazną ręką, *simba* pośród wielu innych *simba*. Taki brak subtelności w pewnych okolicznościach może być słabością. A wynajdywanie takich słabych punktów to jej specjalność. Właśnie dlatego była tutaj, a jej poprzednik... hm, odszedł. - I co nam to mówi? - zapytała.

- Delhi jest bardziej aktywna niż zwykle. Myślę, że pracuje nad czymś specjalnym, a znając ją, wiem, że trzeba pilnie się jej przyglądać.

W jego głosie usłyszała ton przestrogi i powiedziała głośno:

- Sądziysz, że ona jest niebezpieczna. Posłał jej bystre spojrzenie.

- Oni wszyscy są niebezpieczni, Alya. Najprawdopodobniej to jedno z nich zajęłoby twoje miejsce, gdyby coś ci się stało, i sądzę, że nie ma dnia, aby o tym nie myśleli. Gdyby na przykład zaatakował cię taki wirus...

Leciutko spochmurniała.

- Nie myśl, że nie zdaję sobie z tego sprawy, Dev. - Ruchem głowy wskazała hologram. - Mów dalej.

- Kent również zwiększył aktywność. Zaczął następnego dnia po waszym spotkaniu, jeszcze zanim wrócił na stację. On zawsze szybko reagował na każde niebezpieczeństwo, lecz w tym przypadku przeszedł sam siebie. Może zainspirowały go okoliczności tej sprawy. Wiesz, on nadal uważa się za kosmopilota. Niewątpliwie w tej sytuacji widzi się ich obrońcą... Tak więc jego aktywność jest zapewne związana z Lucyferem. Należy go obserwować, ale nie ma się czym martwić.

- Może - powiedziała cicho. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć mu co usłyszała, a jeśli tak, to jak to wyrazić. W końcu rzekła: - Sugerowano mi, że Kent może być... powiązany z tym wszystkim.

- Na jakiej podstawie?

- Na żadnej... na razie. Jednakże wykazano mi, że on miałby motyw. - Nie spuszczała go z oka i nastawiła procesor myślowy na rejestrację zachowania Devlina. Zapis nie był tak dokładny jak z kamery, ale nic lepszego nie uzyska. (Niech szlag trafi ten wirus, który zmusza ją by nawet ukochanego traktowała jak podejrzanego!). - Powiedziano, że jego rozczarowanie po wypadku...

Zapadła długa chwila ciszy. Z jego twarzy niczego nie mogła wyczytać. - Myślisz, że mógłby atakować innych kosmopilotów? Z zazdrości? Urazy? Czego?

Szeroko rozłożyła ręce.

- Na razie to tylko spekulacje. - Obserwowała go przez chwilę, patrząc na jego lekko zmarszczone brwi. Potem cicho spytała: - A co ty myślisz?

Zaczerpnął tchu i odpowiedział:

- Myślę... że to możliwe. Wszystko jest możliwe. - Na chwilę pograżył się we własnych myślach, a potem potrząsnął głową. - Dobrze, że poprosiliśmy o pomoc niezależnego eksperta. Tak, Kent może być winien. Tak samo jak ja. Jak każdy z nas. Nie uważasz jednak, że lepiej wytropić pochodzenie tego wirusa niż domyślać się, jakie motywy kierowały jego twórcą?

- Sądzę, że teraz musimy robić i jedno, i drugie - odparła ponuro. - Co prowadzi do następnego pytania, którego nie chciałam zadać w obecności innych: Czy jesteś pewny swoich ludzi?

- Oczywiście, że podejrzewam wszystkich. - Kąciki jego ust uniosły się w nikłym sardonicznym uśmiechu. - Tak samo jak twoich.

Tak, pomyślała, wszystkich. A najbardziej gildmistrzów, gdyż ci mieli powód - chcieli ją obalić. Kochanka, gdyż ten miał możliwość. Każdego programistę, pilota i sekretarza, gdyż Ziemia zapłaciłaby miliardy za tajemnice Gildii i ktoś mógł być na tyle chciwy, żeby zdradzić swoich. Komu mogła zaufać? Nikomu. A jednak musiała z kimś pracować, bo sama nie poradziłaby sobie z tym.

Boże, czasem nienawidziła tego zajęcia. Nie za to, czym było, ale kogo z niej robiło. Chciałaby rządzić Gildią i pozostać ludzką istotą. Przychodząc do kochanka, chciałaby zostawić obowiązki za drzwiami i cieszyć się jego towarzystwem bez paranoicznych podejrzeń związanych z pracą. Może kiedyś nauczy się tego. A tymczasem... No cóż, dobrze

czasami pomarzyć. On to rozumie. Kilku innych mężczyzn nie rozumiało i ci nie byli już częścią jej życia.

Weszła w środek hologramu i wyciągnęła szczupłą rękę do wiszącej w powietrzu ikony Delhi. Jakby mogła ją dotknąć.

- Jak sądzisz, czy oni służą sobie, czy Gildii?

- Zapewne i jedno, i drugie - rzekł sucho. - Czyż nie tak powinno być?

Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, lecz w jego głosie i zachowaniu nie dostrzegła przygany. Jak zawsze. Wiem, jak się tu znalazłaś, zdawała się mówić jego mina. Wiem, że deptałaś po trupach, żeby zająć to stanowisko. Jednak nie krytykował jej, lecz w pełni akceptował. Może nawet podziwiał. Gdyby musiał, zrobiłby to samo. Na szczęście awansował dzięki swoim umiejętnościom.

Jesteśmy tacy starzy, wszyscy. Władza pozbawia nas człowieczeństwa. To stara zasada, wypalona w naszych umysłach, i każda próba jej obejścia jest z góry skazana na porażkę. Devlin nie walczył o swoje stanowisko równie żąrcie jak niektórzy, lecz Alya tym bardziej go za to ceniła. Nadal miał w sobie tę iskrę człowieczeństwa, jaką ludzie gubili podczas wspinaczki na szczyt. W dniu, kiedy wyjawi mu kolejny plan działania i ujrzy w jego oczach zgrozę - w tym dniu zrozumie, że zaszła za daleko. Można rzec, iż był papierkiem lakmusowym jej człowieczeństwa. I chociażby z tej przyczyny był dla niej bezcenny.

- Hsing wkrótce będzie w domu - powiedział, zrećnie zmieniając temat. - Opracowałem prawdopodobny schemat jego działania i porównamy go z rzeczywistym, kiedy już wróci. Nie oczekuję żadnych niespodzianek. Będzie zbyt zajęty umacnianiem swej pozycji, żeby zajmować się czymś więcej. Znamy z grubsza jego powiązania. Nie spodziewam się widywać go zbyt często co najmniej przez kilka e-tygodni.

- A Masada?

Zamierzał coś powiedzieć, ale powstrzymał się.

- Devlin?

- Jesteś pewna tego człowieka? - zapytał cicho.

- Pewna, czy mogę mu ufać, czy pewna, że sobie poradzi?

- Tego i tego.

- No cóż...

Zawahała się. Jak dużo mogła mu powiedzieć? Owszem, w głębi serca czuła, że Devlin jest lojalny... ale wiedziała też, że lojalność to skomplikowana sprawa, a tylko martwi urzędnicy Gildii nie mają żadnych sekretów. W jakim stopniu ufała Devlinowi, ponieważ na

to zasługiwał, a w jakim dlatego, że po prostu musiała komuś zaufać? Wciąż dręczyło ją to pytanie.

Jednakże w tym przypadku nie miała większych wątpliwości. Ta sprawa wymagała niezależnego eksperta i Alya sama nalegała na jego zatrudnienie. Sam Devlin potwierdził, że spośród wszystkich kandydatów Masada jest najlepszy. To zupełnie naturalne, że teraz ma wątpliwości, gdy tamten lada chwila tu będzie. Takie uczucia czasem potrzebują ujścia, a Devlin na pewno nie mógł podzielić się nimi z personelem. Podejrzanym personelem.

Odparła krótko i cicho, wiedząc, że on w pełni zrozumie znaczenie tego słowa: - Nie.

- Podczas spotkania wydawałaś się bardzo pewna siebie.

- Na spotkaniach muszę być pewna siebie. To moja praca. - A kiedy nie odpowiedział, westchnęła i dodała: - Nie mam pewności, czy nas nie zawiedzie. Jestem prawie pewna, że jest dość ostrożny i nie wyjawia naszych tajemnic przypadkowo. Oczywiście, jego środowisko nie ma najmniejszych wątpliwości. On jest jednym z naszych najbardziej zaufanych konsultantów. Tylko że *im* niezbyt dobrze adaptują się do nowego środowiska. On nie zauważy wszystkich tych subtelnych oznak, jakie mogłyby ostrzec ciebie lub mnie, że nadchodzą kłopoty. A więc... czy można go kupić? Nie. Skorumpować? Wątpię. Podejść? - Nabrała tchu. - Być może. To ryzyko, jakie musimy podjąć. Miejmy nadzieję, że będzie warto.

Nic nie powiedział, ale podszedł do niej i stanął tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała. Kiedy nie odsunęła się - dając mu w ten sposób znak - wyciągnął rękę i uściśnął jej ramię. Przymknęła oczy, ciesząc się chwilą, po czym nakryła jego dłoń swoją.

- Niech Bóg pomoże temu, kto stworzył tego wirusa - szepnęła. W jej głosie słychać było nienawiść, zapiekłą i gwałtowną nienawiść, nie hamowaną przez konwenanse. Ceniła sobie to, że przy Devlinie mogła mówić szczerze. - Ponieważ ten drań będzie potrzebował boskiej pomocy, kiedy z nim skończę.

Przysunęła się do Devlina, który objął ją ramieniem. Przez jakiś czas w centrum władzy Gildii panowała głęboka cisza.

XIII

Zwolennicy koncepcji bezpośredniego interfejsu sieciowego nie biorą pod uwagę ceny, jaką będą musieli zań zapłacić, jego wpływu na poufność, bezpieczeństwo, oraz tysiąca innych czynników. Czy naprawdę chcecie, żeby maszyna w każdej chwili wiedziała, gdzie się znajdujecie? Czy naprawdę tworzącym i programującym takie urządzenia ludziom ufacie

wystarczająco, by wprowadzić ich dzieło do waszych mózgów? Czy nie zdajecie sobie sprawy z tego, że za każdym razem, gdy pozwalacie temu tworowi skontaktować się z waszym mózgiem, pozostawiacie ślad równie widoczny jak odcisk palca na szkle i każdy sprytny programista może go odszyfrować?

MAXWELL ONEGIN, „*Zastanów się*” (Archiwum stacji Hellsgate)

STATEK „EXETER”

Dopiero kiedy oddalili się od stacji - i krążących wokół niej statków - Allo w końcu wyciągnął się w fotelu, nabrał tchu i powiedział:

- No tak. Ta dziewczyna. Co o niej myślisz?

Sumi zerknął, żeby zobaczyć jego minę - zupełnie nieprzeniknioną - a potem znów zajął się swoją robotą.

- Na razie nie ma o czym myśleć, no nie? - Macki Meduzanina lekko zadrżały, usiłując wychwycić w powietrzu jakieś oznaki wskazujące na stan kapitańskiego umysłu. - Myślisz, że ona może być kimś ważnym?

- Myślę, że może być warta dużo pieniędzy. Znacznie więcej, niż sama mogłaby zapłacić. - Wydał polecenie programowi żywieniowemu: ikona wywołująca filiżankę mocnej herbaty. - Przed pojawieniem się tej dziewczyny Tam wychwycił jakieś ożywienie wśród służb ochrony. Ciekawy zbieg okoliczności, nie uważasz?

- To może mieć jakieś znaczenie - rzekł spokojnie Sumi. Nieznacznie skorygował pracę jednego z silników. Jego szczupłe palce błyskawicznie poruszały się na klawiaturze. Jak większość Meduzan, Sumi wolał ręcznie włączać ikony. - Albo żadnego. - Ponownie spojrzął na Allo. - Chcesz się założyć?

Drzwiczki automatu żywieniowego rozsunęły się, ukazując kubek parującego płynu. Mimo niskiego ciśnienia, które zabezpieczało większość zawartości przed rozlaniem, zapach przypraw i alkoholu szybko wypełnił małą kajutę. Allo wyjął napój z otworu i powoli upił łyk. Przed nim, na głównym ekranie, zatłoczone niebo stacji Reijik ustępowało miejsca spokojnej czerni pustej przestrzeni. Tyle że tak naprawdę nie była ona pusta. W każdej danej chwili przez ciemność przemykały miliardy transmisji, dokumentujących wszystko - od pierwszych słów wnuka po tajemnice zdolne obalać rządy. Jak klejnoty w mroku. Jeśli wycelowaleś receptory w odpowiednim kierunku, mogłeś nawet wylapać odbicia z innych węzłów, przekazy odskakujące od *ainniq*, jak kamień odbijający się od gładkiej tafli wody. Te transmisje były najcenniejsze. Bez nich węzły byłyby odizolowane jak planety i uninet po

prostu by nie istniał. Gdyby dane podróżowały latami od jednej stacji do drugiej, wszechświatowa łączność byłaby niemożliwa.

Ciepły napój rozgrzał Allo, a alkohol zaczął uspokajająco działać na jego nerwy. W luku statku znajdowała się taka ilość przemycanych narkotyków, że można by za nie kupić pół stacji, więc chciał jak najszybciej je wyładować. Zwykle ograniczał swoje „przedsięwzięcia” do mniej ryzykownych towarów, lecz ten interes był zbyt dobry, żeby z niego zrezygnować. A jeśli bez żadnych kłopotów wydostaną się z węzła Reijik, pomyślał ponuro, to będzie aż nazbyt piękne. Już pięć razy sprawdzali statek na obecność urządzeń lokalizacyjnych i nie znaleźli żadnego, lecz to wcale nie oznaczało, że ich tu nie ma. Już raz przekonał się o tym osobiście i musiał odsiedzieć dwa lata.

- Nie mam zamiaru - odparł w końcu. Obejrzał się na pracującego w pobliżu Tama, a przynajmniej jednego z nich, bo drugi zszedł ze służby i zaszył się w jakimś kącie, po czym zapytał: - Udało się rozszyfrować te transmisje?

Bliźniak energicznie potrząsnął łysą głową. Był niski i żyłasty, a poruszał się nerwowymi i gwałtownymi ruchami, charakterystycznymi dla małych stworzeń.

- Jeszcze nie, szefie. Nie zostały przesłane w zwykły sposób. Czuję, że to ściśle tajny materiał.

Ściśle tajne. Jeżeli tak - i jeśli poruszenie wśród służby ochrony było związane z ich pasażerką - to dziewczyna naprawdę mogła być sporo warta.

- A więc będą zaszyfrowane.

- Tego się spodziewam.

Złamanie szyfrów wymaga czasu. Jak długo mogą pozostać z takim ładunkiem w tym węźle, kusząc los? Może najlepiej będzie odlecieć jak najszybciej, a potem martwić się zawartością transmisji.

- W porządku. Daj mi znać, kiedy coś będziesz miał.

- Oczywiście.

Dopił herbatę, a potem wyrzucił kubek do niszcarki i podniósł się z profilowanego fotela pilota.

- Przewidujesz jakieś kłopoty? - zapytał Sumiego. Meduzanin pokręcił głową.

- Na razie żadnych problemów.

- Tam...

- Zawiadomię cię, gdy tylko czegoś się dowiem - obiecał Belial. Jego łysa głowa lśniła w blasku monitora, na którym pojawiały się i równie szybko znikwały rzędy cyfr.

- Dobrze. - Przez chwilę patrzył na nich, potem jeszcze raz spojrzął na ekran. Wszystko wyglądało normalnie. Kiwnął głową. - Pójdę sprawdzić, co porabia nasza pasażerka.

*

Była śliczna... a raczej byłaby, gdyby nie ostatnie przejścia, które pozbawiły twarz rumieńców i nadały skórze matowy, suchy wygląd. Jej włosy miały ciemnorudy kolor, ostatnio modny na Paradise, a były tak długie, sprężyste i miękkie, że jeśli to była peruka, to cholernie dobrze zrobiona. Ciało wydawało się dopiero rozkwitać - smukłe, ale nie bez zaokrągłeń we właściwych miejscach. Wielkie oczy, delikatny nos, wargi nie za cienkie i nie nazbyt pełne w stosunku do reszty twarzy. Podobała mu się. Chociaż Ziemianka do szpiku kości, dziewczyna była całkiem atrakcyjna. Zwykle nie zwracał uwagi na Ziemianki. Były obciążone takim balastem psychologicznym, że szkoda było na nie zachodu.

Poza tym ta była śmiertelnie przerażona. Nie miał co do tego wątpliwości, chociaż robiła, co mogła, żeby ukryć ten fakt. Ujrzał to na dnie jej oczu, kiedy zobaczyła go stojącego w progu, zanim zdążyła przybrać obojętną minę. Wygląd przestraszonego zwierzęcia, w każdej chwili oczekującego pościgu. Domyślał się, że tropią ją nie byle jacy myśliwi. Najwidoczniej jej paniczna ucieczka korytarzami doku była wszystkim tym, czego się domyślał, i nie tylko.

Taak, ta mała jest warta sporą sumkę, powiedział sobie. Pytanie tylko, kto zechce za nią zapłacić?

Przywitał ją skinieniem głowy i wszedł do kabiny. Umiał poruszać się z płynną gracją niewiniątka i przemawiać łagodnym głosem. Często wykorzystywał to w kontaktach z celnikami.

- Raven, tak?

Wyglądała na lekko zaskoczoną tym pytaniem i zawahała się, nim kiwnęła głową.

- Tak - szepnęła.

Ta zwłoka była dziwna, jakby dziewczyna nie знаła nawet swojego imienia. Albo nie pamiętała, jakie mu podała. To drugie jest bardziej prawdopodobne, pomyślał. Pseudonim to cholernie wyraźny znak, że coś jest nie tak. Coraz lepiej.

- Nazywam się Allonzo Porsha - powiedział, podając jej rękę. - Jestem pilotem i kapitanem tego statku, jak zapewne odgadłaś... - Nie odpowiedziała. Mierzyła go tymi wielkimi oczami. Były zdumiewająco niebieskie, tak intensywnie błękitne, że nie mógł to być ich naturalny kolor. Ziemianie nie mają takich oczu, no nie? - Dla przyjaciół i załogi „Allo”.

W końcu poruszyła się. Uścisnęła jego dłoń swoją wąską i ciepłą ręką, po czym szybko się cofnęła.

- Raven Capra - powiedziała cicho, obserwując go, czekając... na coś.

- Dokąd się udajesz, Raven?

Wzruszyła ramionami, a potem nerwowo rozejrzała się wokół. Miał wrażenie, że stara się na niego nie patrzeć. Żeby nie wyczytał czegoś z jej oczu?

- Dokądkolwiek - odparła. - Obojemie.

- Nie masz przyjaciół? - Nie odpowiedziała. - Rodziny? Pokręciła głową. Nie zamierzała dawać mu żadnych wskazówek.

W porządku, lisiczko, potrafię przeszukać bazy danych równie sprawnie jak każdy. A nawet lepiej, kiedy posadzę do tego Tama.

- Masz jednak pieniądze, by zapłacić za tę wycieczkę. Kiwnęła głową, a potem zrozumiała, że oczekiwał czegoś więcej.

- Moi rodzice byli bogaci.

Dziwnie było patrzeć, jak mówiła. Jakby sprawdzała wypowiedzane słowa, obserwując jego twarz, by zobaczyć jakie robią wrażenie.

- Teraz nie żyją. Wypadek korporacyjny. Ja... przyleciałam do moich krewnych, ale nie ma ich tu. Umarli, kiedy leciałam liniowcem.

Proste łgarstwo, tak niezręczne, że nawet nie kwestionował jego wiarygodności. Nie zareagował na nie i czekał minutę, lecz dziewczyna nie powiedziała nic więcej, nie podała żadnych innych faktów.

- Bardzo ci zależało, żeby opuścić stację.

Zobaczył, że przygryzła dolną wargę, ale nie odpowiedziała.

- Raven... Powiedziałem ci, że jeśli cię zabiorę, będę oczekiwał od ciebie wyjaśnień. Może załatwimy to od razu?

Nagle wstała i odeszła kilka kroków. Jej ruchy były zdecydowane, już nie lękliwe i nerwowe, lecz dziwnie agresywne. Zadziwiająca przemiana.

- Dowiesz się tego, co powinieneś wiedzieć - powiedziała ostro. - Są jednak pewne sprawy, które cię nie dotyczą. Nie pytaj mnie o nie.

Przez chwilę nic nie mówił. Atmosfera w pokoju zmieniła się - zaskakująco gwałtownie. Dziewczyna, która teraz tak wyzywająco na niego spoglądała, była zupełnie inną od tej, którą zaczął wypytywać. Co się stało? Zazwyczaj potrafił szybko przejrzeć każdego - człowieka, zajmujący się tym co on, musiał znać się na ludziach - lecz ta dziewczyna pozostawała dla niego zagadką.

Postanowił na razie zrezygnować z przesłuchania. Zawsze może podjąć je później. Nie pozwoli jej opuścić statku, dopóki z nią nie porozmawia.

- Mówiłaś, że możesz zapłacić za podróż.

W odpowiedzi wyjęła z wewnętrznej kieszonki pasa kartę kredytową. Na powierzchni chipa migotały hologramy, kosztowne ikonki, obiecujące mnóstwo korporacyjnych pieniędzy na dobrze zabezpieczonym koncie.

- Mam czym zapłacić. Wyciągnął rękę po chip.

- Kiedy będziemy na miejscu. Pokręcił głową.

- Teraz.

- To mój chip.

- A mój statek. Ja dyktuję warunki. - A kiedy nadal nie dała mu karty, rzekł ściszym i łagodniejszym głosem: - Posłuchaj, oddałem ci przysługę, zabierając cię na pokład, prawda? Może więc teraz ty okażesz trochę dobrej woli? Zobaczył, że zawahała się - i próbowała ukryć to wahanie. No tak, pomyślał, ten chip może narobić jej kłopotów. Dlaczego? Czekał.

- Nie w tym węźle - powiedziała w końcu.

Oczywiście. Jeśli ktoś jej szukał, to z pewnością będą czekali, aż spróbuje skorzystać z konta. Nie da się podróżować bez pieniędzy, a te można wybrać, tylko łącząc się z jakąś bazą danych. W chwili, gdy ten chip zgłosi się w uniecie, ścigający namierzą go.

Kimkolwiek są. I czegokolwiek chcą. Ile by nie zapłacili za to, żeby ją dostać...

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wykorzystać przewagi i uzyskać konkretniejsze informacje, lecz widząc wyraz jej twarzy, zrozumiał, że to mu się nie uda. Jeśli przedtem sprawiała wrażenie bezbronnej, to teraz z całą pewnością nie. Lepiej będzie zaczekać na inną okazję.

- W porządku - rzekł przyjaźnie. - Niech tak będzie. Wprowadźmy transakcję do logu, a sfinalizuję ją później. - Rozłożył ręce, starając się sprawiać wrażenie wyrozumiałego i rozsądnego. - Obiecuję, że nie dokonamy transferu, dopóki nie znajdziemy się w innym węźle.

Wahała się. Zobaczył, jak dręczące ją wątpliwości i lęk ustępują miejsca zmęczeniu... i nadziei. To jej słaby punkt, pomyślał. Jej zbroja była gruba, lecz daleka od doskonałości. Dziewczyna chciała komuś zaufać... komukolwiek.

Będzie mógł to wykorzystać.

- W porządku - powiedziała w końcu.

Z nieprzeniknioną miną pokazał jej najbliższe łącze. Dopiero kiedy odwróciła się, żeby z niego skorzystać, Allo mignął ikoną łączącą go z siecią statku, a przez nią z hełmem Tama.

ONA ZARAZ SIĘ PODŁĄCZY, przesłał wiadomość. KOPIUJ WSZYSTKO.

Nie wiedział, który z bliźniaków odpowie na wezwanie ani w jaki sposób zdecydują, który to zrobi. Sposób myślenia Beliala był dla niego zagadką - jak dla każdego zdrowego na umyśle człowieka. Znał tych bliźniaków już pięć lat i nadal nie potrafił ich rozróżnić po wyglądzie, zachowaniu czy sposobie myślenia. W przypadku dwóch nie było jeszcze tak źle, ale wiedział, że Beliale zazwyczaj rodzili się jako trojaczki, czworaczki, a nawet pięcioraczki i sześcioraczki. I wszyscy mieli nie tylko to samo imię, ale i ten sam wygląd. Jeden z najdziwniejszych tworów matki Natury... a ściślej mówiąc, ojca Hausmana.

Dziewczyna wsunęła cienki chip do gniazda. Widocznie nie włączyła opcji kontroli za pomocą hełmu, bo komputer zapytał:

- IDENTYFIKACJA GŁOSU? Zawahała się.

- Capra.

- POTWIERDZAM. TRANSAKCJA? Spojrzała na Allo.

- Dziesięć tysięcy - rzekł. Wystarczająco duża suma, by dziewczyna uznała, że dobrze płaci mu za usługi, a dostatecznie niska, by mogła podjąć ją na tę wymyślną kartę kredytową.

- Dziesięć tysięcy standardowych jednostek korporacyjnych - powiedziała komputerowi. Mówiła głośno, żeby słyszał ją Allo, bo w rzeczywistości transakcję umożliwiały ikonki w jej umyśle. - Przekazać...

Podał jej odpowiednie kody, a ona powtórzyła je: dobrze oprogramowana karta kredytowa nie zaakceptowałaby cudzego głosu. Sądząc po wyglądzie tej, Allo założyłby się, że była naprawdę dobrze zabezpieczona. Kimkolwiek jest teraz ta dziewczyna, kiedyś była bogata i z pewnością ten, który jej szukał, również nie należał do ubogich.

Kiedy transakcja została potwierdzona przez obie strony, Allo dodał do strumienia danych własne instrukcje, żeby dziewczyna słyszała, iż przelew ma dojść do skutku dopiero wtedy, kiedy statek opuści węzeł Reijik.

- Widzisz? - uspokajał ją, gdy komputer pokładowy potwierdził przyjęcie poleceń. - Tak jak obiecałem.

Kiwnęła głową, ale się nie uspokoiła. Zrozumiał, że w jego obecności już zawsze będzie się miała na baczności. Próbując ją przesłuchać, stał się symbolem władzy na tym statku, a zarazem ucieleśnieniem wszystkich jej obaw.

TAM? - przesłał siecią. CO MASZ?

Natychmiast otrzymał odpowiedź. Widocznie Belial czekał na to pytanie. CHIP WYSTAWIONY NA JAMISIEŃ CAPRĘ. ZAPROGRAMOWANY NA ZIEMI, NA STACJI LANSING, NIECO PONAD CZTERY LATA TEMU. NA OKO MAŁO UŻYWANY. NIE MOGĘ SPRAWDZIĆ KONTA BEZ POŁĄCZENIA Z UNINETEM, A Z TWOICH INSTRUKCJI WYNIKA, ŻE BYŁBY TO KIEPSKI POMYSŁ.

Spoglądała na niego podejrzliwie, wyczuwając coś, gdy czytał przesuwające się przed jego oczami słowa. Uśmiechnął się i manifestacyjnie skupił na niej wzrok.

- Teraz cię opuszczę, Raven. Po lewej stronie łóżka jest port komunikacyjny... - Wskazał go ręką, a kiedy dziewczyna obróciła się w tamtą stronę, szybko pomyślał: TAK, TO BYŁBY KIEPSKI POMYSŁ. Zanim odwróciła się z powrotem, już mignął ikoną, przerywając połączenie z Tamem, więc w jego oczach ujrzała tylko dobrze udawaną troskę. - Może trochę odpoczniesz? - zaproponował. - Wygląda, że to ci się przyda.

Spojrzała na łóżko, wyraźnie mając ochotę skorzystać z tej rady. Koja była skromna - typowa prycza z piankowym materacem - ale komuś strudzonemu ucieczką z pewnością wydawała się szczytem komfortu. A kapitan założyłby się, że ta dziewczyna uciekała już od dawna.

- Dokąd zmierzamy? - zapytała i dodała pospiesznie: - Chciałam spytać, dokąd leci ten statek.

- Mamy w tym węźle kilka spraw do załatwienia - odparł. Potem polecimy na stację Paradise. Możemy cię tam wysadzić, jeśli zechcesz, albo zawrzeć następną umowę.

- Paradise? - Lekko zmarszczyła brwi, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć. - Nie znam - powiedziała w końcu.

- To turystyczny węzeł. Spory ruch. Znajdziesz tam prawie każdą rasę i możesz skontaktować się z... kim tylko chcesz. To dobre miejsce, żeby zgubić się w tłumie - podsunął.

I sprzedać rzadki towar.

- To dobrze - szepnęła. Nagle wyglądała na bardzo, bardzo zmęczoną i znacznie starszą, niż była w rzeczywistości. A założyłby się, że jeszcze nie przekroczyła dwudziestki.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

W tym momencie miał lekkie poczucie winy. Jednak tylko przez chwilę. W jego fachu nie można sobie pozwolić na wyrzuty sumienia.

- Śpij dobrze - powiedział.

*

Możesz mu zaufać, Jamisio.

Diabła tam! Nie słuchaj tej...!

Musisz...

- Zamknijcie się, zamknijcie!

Zaledwie wyszeptała te słowa, a Verina natychmiast surowo ją upomniała:

Mc nie mów, nie wiadomo kto może cię usłyszeć.

Boże, jeżeli to potrwa dłużej, to naprawdę oszaleje.

Posłuchaj. To znów odezwała się Verina, zawsze spokojna, zawsze trzeźwo myśląca. *Wydostaliśmy się z tamtej stacji, a to najważniejsze. Ktokolwiek na nas tam czekał, teraz nie wie, gdzie nas szukać. Mamy szczęście, że ten statek zmienia węzły. To jeszcze bardziej zagmatwa ślad. Teraz mamy trochę czasu do namysłu... I musimy opracować jakiś długofalowy plan.*

Chcę obejrzeć sobie ten statek, upierała się Raven.

Później, powiedziała Verina. *Teraz postaraj się przerobić tę kartę kredytową, żeby nie można było jej tak łatwo wyśledzić.*

Z nich wszystkich Raven najlepiej знаła się na programowaniu.

Przecież to pieprzona karta kredytowa! - warknął Derik. *Ma się połączyć z pieprzonym kontem bankowym, a jeśli nie zdoła, to nie będzie forszy. Jak ci się zdaje, co Raven może z nią zrobić, wyczarować kredyty?*

Chciałbym to zobaczyć, szepnął jakiś dziecięcy głos.

Zamknijcie się, zamknijcie się, ZAMKNIJCIE! - Jamisia zakryła rękami uszy, jakby w ten sposób mogła uciszyć te głosy. *Posłuchajcie, Verina ma rację. Potrzebny nam plan. Zaraz.*

Zaskoczeni niezwykłą u niej stanowczością, pozostali zgodzili się z Jamisią.

Nie sądzę, by on uwierzył w naszą bajeczkę, powiedziała im. *Tak więc nadal będzie zadawał pytania albo każe to robić komuś innemu. Mam rację? Dlatego potrzebna nam historyjka, którą zaakceptuje.*

Zorientuje się, że to kłamstwo, ostrzegła Zusu. *Nie zdołamy go oszukać.*

Jamisia poczuła, że Derik się zjeżył. *Mów za siebie, kretynko!*

Katlyn, która zazwyczaj nie zabierała głosu w takich dyskusjach, jęknęła:

Hej, wy tam! Pamiętajcie o pracy zespołowej? Mamy działać RAZEM! Czy nie tak się umawialiśmy?

To uciszyło ich na chwilę. Dzięki Bogu. Cisza.

Posłuchajcie, powiedziała Katlyn. Potrzebny nam jakiś sprzymierzeniec. Ktoś, kto będzie dla nas pracował, kto ostrzeże nas o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Ponieważ z całą pewnością nie możemy nikomu zaufać i nie podoba mi się to, że jesteśmy tutaj bezradni.

„Przyjaciel”? - spytała podejrzliwie Zusu.

Derik nie hamował się.

Ja pieprzę!

Wiemy, jakiego „przyjaciela” masz na myśli, Katlyn.

Jamisia myślała o tym, że będzie musiała wycofać się i pozwolić, by Katlyn przejęła kontrolę, a potem patrzeć na jej zabawy z kimś z załogi statku. Ze zdziwieniem stwierdziła, że ta perspektywa nie budzi w niej takiego obrzydzenia jak dotychczas. Czyżby zaczynała się do tego przyzwyczajać? To była bardzo, bardzo niepokojąca myśl.

Czy ktoś ma lepszy pomysł? - zapytała Katlyn.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Raven niechętnie mruknęła:

Nie.

Kilku Innych po namyśle poszło w jej ślady. *Jamie?* - spytała Katlyn.

Jamisia była zdumiona. Jeszcze nigdy żaden Inny nie prosił o pozwolenie na przejęcie kontroli ani nie próbował uzyskać jej współpracy przy... no, przy niczym. Czy Katlyn naprawdę przejmowała się tym, że jej działania zirytują Jamisię? Jeżeli tak, to było coś zupełnie nowego. Nie wiedziała, jak na to zareagować.

Jeśli musimy to zrobić, pomyślała w końcu. Czowała, jak mocno bije jej serce, gdy umysł formował tę odpowiedź. Wyczuła, że jej stosunki z Innymi weszły na zupełnie nową płaszczyznę. Katlyn zrobiła pierwszy krok, pytając ją o zgodę, a teraz ona udowodniła, że może współdziałać z Innymi, a nie tylko niechętnie znosić ich obecność. *Ja... ufam ci.*

Nowe słowa. Nowe uczucia. Czowała, jak zapadają w jej umysł, gdzie wchłonęły je te obce jaźnie. Już nie obce. Chociaż jeszcze nie bliskie. Inne.

W porządku, powiedziała Katlyn. *Jeśli nadarzy się okazja, wykorzystam ją. Proponuję, żeby w międzyczasie pozostali jak najwięcej dowiedzieli się o tym statku. I z lekkim rozbawieniem dodała: Warianci, co? To będzie coś nowego.*

Jamisia wzdrygnęła się.

*

Sumi miał zaprzyjaźnić się z pasażerką. Oczywiście, to zadanie mogło przypaść w udziale każdemu z członków załogi, lecz Allo już zachował się trochę zbyt agresywnie, Tam-Tam pewnie przeraziłby biedną Ziemiankę, natomiast Calia żywiła zdecydowaną niechęć do wszystkich Ziemian, co mogło skomplikować sytuację. Tak więc padło na Sumiego.

Prawdę mówiąc, on też miał lekkie uprzedzenia i wiedział, że rozmawiając z nią, będzie musiał bardzo się starać, żeby ukryć nieprzyjemne uczucia. W końcu należała do rasy, która opuściła jego lud w godzinie największej potrzeby. Och, tak, rozumiał, że efekt Hausmana był przerażający i Ziemia nie była w stanie pogodzić się z nagłą ewolucją rodzaju ludzkiego na tysiąc różnych ras... Tylko czy z tego powodu trzeba było przerwać tak nagle wszystkie dostawy? Zgoda, żadne żywe stworzenia nie powinny być narażone na działanie efektu Hausmana, aby nie przekształciły się w potwory... ale przecież można było posłać statki kierowane przez roboty? Jego lud dopiero zdążył postawić pierwsze prymitywne domy, kiedy opadła kurtyna Izolacji. Nadal potrzebowali nasion, sadzonek i leków, żeby założona przez nich kolonia mogła przetrwać. Nigdy ich nie otrzymali. Pierwsza zima była ciężka, bardzo ciężka. To Ziemia uczyniła ją taką. Nieczuła Ziemia, która spisała na straty swoje chore dzieci, zamiast wspomagać je tak, jak mogła. Och, tak, Sumi nienawidził Ziemi równie gorąco jak każdy Wariant, tak samo, jeśli nie bardziej niż Calia... Tylko że tej dziewczyny jeszcze wtedy nie było na świecie. Nie miała z tym nic wspólnego, oprócz miejsca urodzenia. Dlatego starał się oddzielić uczucia, jakie żywił wobec Ziemi, od tego, co myślał o tej dziewczynie, i prawie mu się to udało.

Jeszcze jeden fakt przemawiał za tym, żeby to właśnie on próbował się z nią zaprzyjaźnić. Mutacja, jakiej ulegli jego ziomkowie, z czasem znacznie rozwinęła ich intuicję, dzięki której może zdoła przejrzeć tę Ziemiankę. Pamiętał, że kiedy ją zobaczył, wyczuł otaczającą ją kwaśną woń strachu, cząsteczki wydzielanych hormonów, unoszące się w powietrzu i wychwytywane przez wilgotną powierzchnię jego macek. Niewielu ludzi wiedziało, jak wyostrzony jest ten szczególny zmysł Meduzan i jak wiele może powiedzieć o stanie umysłu ich rozmówców. Allo wiedział. I właśnie dlatego przydzielał mu takie zadania, w których kluczem do sukcesu było zrozumienie cudzych emocji. Zazwyczaj to Sumi prowadził wymagające zręcznej dyplomacji rozmowy z celnikami i innymi urzędnikami. Teraz też miał wykorzystać te umiejętności.

Gdyby tylko ona nie była Ziemianką.

Drzwi do jej kabiny były zamknięte, więc podniósł rękę i zapukał.

- Kto... - zaczęła, ale zaraz uświadomiła sobie, że to nie ma żadnego znaczenia. - Otwórzcie się - poleciała i drzwi usłuchały.

Natychmiast zorientował się, że jej zapach był zupełnie inny niż przedtem. Nadal emanował z niej strach, lecz teraz mieszały się z nim także inne uczucia. Poczuł, że jego macki instynktownie przesuwały się do przodu, żeby lepiej łowić ten zapach i w tym momencie zobaczył wyraz jej twarzy. Ta Ziemianka nie była przyzwyczajona do Wariantów.

Zesztywniał i zmusił mięsiste wyrostki do wycofania się na tył głowy, gdzie własny zapach zagłuszał inne. W porządku. Będzie delikatny i oszczędzi jej widoku jego „deformacji”. W ten sposób okaże się bardziej wyrozumiały, pomyślał ponuro, niż kiedyś jej przodkowie.

- Przyszedłem sprawdzić, czy jest ci wygodnie - rzekł. Zobaczył, że rozwinęła ekran i coś czytała. Będzie musiał ostrzec Tama, żeby zablokował dostęp do ich prywatnych plików. Tak rzadko miewali na statku pasażerów, że zwykle nie przejmowali się tym.

Dziwnie było widzieć ją siedzącą tutaj i czytającą bez pomocy hełmu. Wyglądała tak, jakby zeszła ze starego obrazu. Słyszał, że Ziemianie często tak robią: korzystają ze swoich procesorów przy specjalnych okazjach, ponieważ jeszcze nie przywykli używać ich jak integralnej części swego mózgu. Bez namysłu mignął w swoim polu widzenia ikoną, która dawała mu dostęp do tego, co czytała dziewczyna. Ogólne informacje z biblioteki statku, głównie na temat stacji Paradise. Dobrze, to nic groźnego. Pospiesznie wysłał wiadomość do Tama, nakazując mu ograniczyć jej dostęp do bazy danych, a potem znów skupił całą uwagę na pasażerce. Zgodnie z zasadami kosmicznej etykiety nieuprzejmie jest prowadzić długie wewnętrzne dialogi w towarzystwie. Wprawdzie mało kto się tym przejmował, ale w obecności Ziemianki wołał przestrzegać zasad.

- Raczej tak - powiedziała. Potem uśmiechnęła się z wdzięcznością, jeśli nie z ulgą. - Bardzo dziękuję, że wzięliście mnie na pokład. Nie wiem, co bym inaczej zrobiła.

Dała mu okazję. A on z niej nie skorzystał. Ziemianka poczuje się pewniej, jeśli nie zacznie jej od razu wypytywać. Albo popełnił ten błąd a Sumi nie zamierzał go powtórzyć.

- Mówiłaś, że chcesz obejrzeć statek. Jeśli masz ochotę, mogę cię teraz oprowadzić.

Przez moment spoglądała na niego dziwnie nieobecny wzrokiem. Gdyby miała na głowie hełm, Sumi uznałby, że łączyła się z siecią. Jednak nie. Bardzo dziwne. Czy na Ziemi produkowano procesory, które mogły bezpośrednio logować się do sieci? Już kiedyś tego próbowano, z opłakanym skutkiem. Potrzebny jest jakiś rodzaj bramki, żeby odsiewać śmieci, inaczej pierwszy lepszy wyprodukowany przez jakiegoś nastolatka wirus wtargnie do twego mózgu i zacznie przedstawiać neurony. Tymczasem ona nie miała na głowie hełmu i najwyraźniej łączyła się z... czymś.

Czy to dlatego ją ścigali, z powodu tego, co miała w głowie? Cholera, zaklął w duchu, wyobrażając sobie gmatwaninę bioukładów i szarych komórek. Nie da się dobrać do jednego, nie uszkadzając drugiego. Jeśli tak, to na jej miejscu też bym uciekał.

Ona jednak w końcu powiedziała „Bardzo chętnie” i wzięła hełm, który leżał na składanym stoliku. Co oznaczało, że potrzebowała tego urządzenia. A więc nie na tym polegał jej sekret.

Pokazał jej kilka pomieszczeń frachtowca, które mógł zobaczyć obcy. Nie było tego wiele. Statek był niewielki, pomieszczenia ciasne, a większość z nich była teraz wypełniona skrzyniami z przemytem. Jeśli podczas zwiedzania zauważyła coś niezwykłego, to nie dała tego po sobie poznać. Wydawała się bardziej zainteresowana nim niż statkiem... Wysyłała tak przedziwną mieszaninę sygnałów, że nie był w stanie ich zinterpretować. Najwyraźniej obsesyjnie rozmyślała o jego mutacji i kilkakrotnie zauważył, że ukradkiem przyglądała się koronie dumnie sterczących macek. Wiedział, że ich falowanie niepokoi większość Ziemian, gdyż złowrogie skręty i niespodziewane machnięcia przypominają ruchy kociego ogona. Dzisiaj ułożył je w pióropusz - głównie po to, żeby nie opadały mu na twarz - więc sterczały na głowie jak pióra jakiegoś niezwykłego e-ptaka, wolno falując, jakby w podmuchach wiatru. W porządku, miała powody się gapić (przynajmniej z punktu widzenia Ziemianki), a nawet czuć lekką odrazę. Zważywszy na jej pochodzenie, spodziewał się tego drugiego. Mimo to stała tuż przy nim, bliżej, niż powinna, co uznał za dziwne. Czy to ziemski zwyczaj? Bardzo rzadko spotykał ludzi urodzonych na Ziemi, więc może wszyscy tak się zachowywali. Powiadano, że macierzysta planeta jest piekielnie przeludniona, więc może nie byli przyzwyczajeni, by mieć wokół siebie pustą przestrzeń. Dziewczyna nie stała tak blisko, żeby musiał się odsunąć lub ją o to poprosić, lecz trzymała się na granicy bezpiecznej odległości, jakby dokładnie wiedziała, gdzie przebiega ta niewidoczna linia. To było lekko niepokojące. W rezultacie przez cały czas zdawał sobie sprawę z jej obecności, nawet kiedy szła za nim. Dobrze, że nie znała zwyczajów Meduzan, inaczej po ruchach macek wyczułaby jego podniecenie.

Potem, kiedy dotarli na mostek, wszystko się zmieniło. Nagle jakby o nim zapomniała i odsunęła się, co było tak zaskakujące, że prawie odczuwalne. Z wyraźnym zaciekawieniem przechodziła od jednego panelu kontrolnego do drugiego, przystając tylko po to, by odczytać wskazania na ekranach, i mamroczać coś pod nosem. W takim zachowaniu nie było niczego niezwykłego, ale gwałtowność tej przemiany była... niesamowita.

W czasie całej tej wycieczki napotkali tylko Calię, która szybko mignęła do Sumiego: CZY TO ROZSĄDNE? Nie odpowiedział. Był zbyt zajęty. Obserwował Ziemiankę i próbował ją rozszyfrować. Chodząc po niewielkiej kabinie, wygłaszała uwagi na temat sprzętu:

- Macie tu komputer nawigacyjny Austina... to rzadko się zdarza na takim małym statku... Połączony ze wzmacniaczem 912EX

Microtechu... One właściwie nie są kompatybilne, prawda? Potrzebny jest specjalizowany interfejs... założę się, że daje piekielne przyspieszenie...

Nadal sypała technicznym żargonem, z czego rozumiał zaledwie połowę. Nawet Calia oderwała wzrok od konsoli i przesłała mu myśl.

INŻYNIER?

NIE WIEM - posłał jej w odpowiedzi, po czym sprawdził, czy podczas tej wycieczki dziewczyna pobierała jakieś informacje z sieci statku. Wychodząc z kabiny, włożyła hełm, więc mogła to zrobić. Jednak nie, nie korzystała z łącza. Te szczegółowe wiadomości miała w głowie.

Naprawdę była dziwna.

W końcu prawie przemocą wyciągnął ją ze sterówki, tak zainteresowało ją wszystko, co tam zobaczyła. Wydawało się, że prawie rozzłościła się na niego za to, że ją stamtąd wyprowadził... Mimo to, gdy tylko zeszli z mostka, odzyskała dobry humor. Jakby gniew też był tylko maską, którą zdjęła i natychmiast o niej zapomniała.

- Gdzie się uczyłaś? - zapytał. Właściwie nie oczekiwał szczerzej odpowiedzi - nikt z pracujących na tym statku nie rozmawiałby o takich sprawach z obcymi - ale miał nadzieję, że uchyli rąbka otaczającej ją tajemnicy.

Jednakże jej odpowiedź nic mu nie wyjaśniła. Ziemianka odwróciła się i z lekkim zdziwieniem spojrzała na niego tymi dziwnymi niebieskimi oczami, które po prostu musiały być sztuczne.

- Dużo czytam - odparła w końcu.

Ton jej głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie zamierzała powiedzieć nic więcej. Zakończywszy wycieczkę, zaprowadził ją z powrotem do kabiny. Ta była klitką, w której ledwie mieściło się łóżko, ale Sumi podejrzewał, że wielkość pokoju nie odgrywa żadnego znaczenia dla kogoś, kto usiłuje ująć pogoni. Calia przesłała mu wiadomość, że skopiowała do okrętowej bazy danych transmisje wysyłane ze stacji Reijik i właśnie usiłuje je rozszyfrować. Wkrótce dowiedzą się, jak wygląda sytuacja... oraz w jaki sposób ją wykorzystać. Sumi już od dwudziestu lat pracował z Allo i znał sposób rozumowania Castilianina. Wszystko, co brał na pokład, musiało przynosić zysk... włącznie z pasażerami.

Szkoda tej Ziemianki. Chociaż była tak obca, wydała mu się sympatyczna. Intrygowała go.

Pod drzwiami jej kabiny wymamrotał słowa uprzejmego pożegnania i chciał wrócić na mostek, gdzie czekała praca, lecz Ziemianka zatrzymała go, delikatnie kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Tak?

Chciała coś powiedzieć, ale bez słowa zamknęła usta.

- Raven?

Spojrzała na niego dziwnie, kiedy wymówił jej imię. Jakby go nie знаła. Przesunęła wyżej dłoń, lekko wygiętą, jak u tancerki. Po kilku sekundach jedna z ruchliwych macek dotknęła ręki dziewczyny. Smak jej skóry był odurzającą mieszaniną napięcia i kobiecości. Sumi nie wiedział, czy jest w stanie prawidłowo interpretować nastroje Ziemian, lecz miał wrażenie, iż jej skóra wydziela ledwie wyczuwalną woń seksualnego zainteresowania. Czy to możliwe? Powinien się wzdragać, gdyż w jego kręgach zdecydowanie nie uważano Ziemian za pożądaných partnerów seksualnych, lecz coś w jej zachowaniu sprawiało, że ta myśl była bardziej podniecająca niż odstręczająca. Poczuł, jak sztywniej mu macki, zmieszał się i szybko wydał polecenie programowi zdrowotnemu, który odciągnął dość krwi z tych niesfornych wyrostków, żeby odzyskały normalny wygląd.

Muszę uważać, pomyślał. Przecież nie chcę wystraszyć tej biednej Ziemiarki.

Kąciaki ust dziewczyny wygięły się w leciutkim, tajemniczym uśmiechu, świadczącym o tym, że być może przejrzała jego myśli, ale wcale się nie przelękła. Potem powoli zabrała dłoń z jego ramienia. Smukłe palce przesunęły się po materiale kombinezonu tak, że ledwie poczuł ich dotyk. Taki zwyczajny ruch, bynajmniej nie sugestywny, ale i tak serce zabiło mu mocniej. Kazał programowi zdrowotnemu zająć się i tym. Poczuł lekkie mrowienie w ramieniu, gdy zaszyty w jego ciele dozownik automatycznie wprowadził do krwiobiegu odpowiedni środek. Dzięki Bogu za zdobycze nowoczesnej medycyny. Będzie musiał się upewnić, że dozownik zawiera odpowiednią ilość środków uspokajających. Miał wrażenie, że będą mu potrzebne.

- Dziękuję - powiedziała cicho, prawie szeptem. - Za wycieczkę. Nie pozostało już nic do powiedzenia. Wymamrotał coś, co można by uznać za „nie ma za co”, a potem sztywno skłonił się i odszedł.

*

Dżdżownice. Właśnie do nich były najbardziej podobne: do wilgotnych, obrzydliwych dżdżownic, takich jak te, które badali w Earthbio 101. Pamiętała, jak nauczyciel zachęcał ją, żeby wyciągnęła rękę i dotknęła jednej, aby poznała ją wszystkimi zmysłami, a nie tylko dzięki wspomaganym komputerowo lekcjom. Stworzenie było zimne, lepkie i miękkie, galaretowate i obrzydliwe. Później pokazał jej obrazki kopulujących dżdżownic, spowitych żelatynowym kokonem, a ona wyobraziła sobie, że dotyka tego i zrobiło jej się niedobrze. Tylko dzięki szybkiej reakcji nauczyciela nie zwymiotowała na środku pokoju. Czy to wspomnienie mogło jej teraz pomóc? Wcale nie była tego pewna.

Jak w ogóle możesz myśleć o nim w taki sposób? - zapytała Katlyn. Jednocześnie szorując rękę, usiłując zmyć z niej wspomnienie kontaktu z wilgotnymi, odrażającymi mackami Sumiego. Na myśl o jakimkolwiek seksualnym kontakcie z tym Wariantem, o jego wilgotnych i wężowatych mackach dotykających jej nagiej skóry... Nagle przechyliła się za krawędź łóżka i zwymiotowała. Cała dygotała, jakby jej ciało usiłowało odepchnąć od siebie ten obraz. I żaden robot tego za nią nie posprząta. Sama będzie musiała to zrobić.

Jeszcze wiele musisz się nauczyć, mała - odpowiedziała Katlyn.

Boże, gdyby tylko Inni zostawili ją w spokoju. Chociaż na godzinę. Przez jedną cudowną godzinę być normalną ludzką istotą, jedną osobą, nie uwięzioną w ciele robiącym obrzydliwe rzeczy, ściągającym na nią niebezpieczeństwo i... i wszystko.

- Chcę być normalna - szepnęła. - Och, proszę, chcę po prostu wiedzieć, jak to jest...

Teraz jesteś normalna, pomyślała łagodnie Verina. *Inna już nie będziesz.*

A Derik dodał:

Przyzwyczaj się do tego, cholera!

Drżącymi rękami, z zamętem w myślach, pobrała ręcznik z podajnika i zaczęła powoli wycierać podłogę.

*

- Mam - oznajmił Tam.

Na głos Beliala Allo i Sumi oderwali wzrok od ekranów. Czekali na tę wiadomość.

- I co? - zapytał Allo.

- Popatrzcie sami.

W polu widzenia Sumiego pytająco zamigotała ikona ładowania. Odpowiedział twierdząco i okrętowa sieć zaczęła przekazywać tekst do jego procesora. Zamknął oczy, żeby wyraźniej widzieć dane.

Najpierw zobaczył zdjęcie. Ukazywało tę dziewczynę, którą mieli na pokładzie, chociaż młodszą i najwyraźniej tak dobrze sytuowaną, jak przypuszczał Allo. Sumi szybko oszacował, że jej formalny niskociężeniowy strój i dobrana biżuteria były warte około tysiąc korporacyjnych kredytów, jeśli metka projektanta nie zwielokrotniała tej kwoty. A założyłby się, że nie była to tania konfekcja.

Potem przewinął zaszyfrowany tekst. Tam zawsze dołączał do raportu kopię oryginału, pod tym względem był pedantyczny do przesady. Wreszcie zobaczył wiadomość. Była krótka i treściwa, a ponadto tak obiecująca, jak miał nadzieję Allo.

OBIEKT: JAMISIA SHIDO (MOŻE PODRÓŻOWAĆ POD PRZYBRANYM NAZWISKIEM), PODEJRZANA O TERRORYZM, POSZUKIWANA PRZEZ

KORPORACYJNĄ RADĘ ZIEMI W CELU PRZESŁUCHANIA W ZWIĄZKU ZE ZNISZCZENIEM OSIEDLA SHIDO.

ZNALEŹĆ I ZATRZYMAĆ.

SKONFISKOWAĆ WSZELKIE OPROGRAMOWANIE. W ŻADNYM WYPADKU NIE DOPUŚCIĆ NA KONTAKT OBIEKTU Z UNINETEM. PO ZATRZYMANIU NIEZWŁOCZNIE ZAWIADOMIĆ I OCZEKIWAĆ NA DALSZE INSTRUKCJE. DODATKOWE DANE PONIŻEJ.

- A więc - myślał głośno Allo - nasza mała pasażerka to terrorystka. Co o tym sądzisz, Sumi?

Meduzanin przez chwilę nie odpowiadał.

- Trudno uwierzyć - rzekł w końcu. - Chociaż to możliwe.

- Wszystko pasuje - zauważył Tam. - Gdyby terroryści chcieli kogoś zwerbować, szukaliby osoby o takim niewinnym wyglądzie, nie budzącej podejrzeń. Kogoś takiego jak ona. Nie uważacie?

- Ja uważam - odparł powoli Allo - że ktoś bardzo chce ją znaleźć. Myślę, że to piekielnie poważna sprawa, jeśli zniszczono ziemskie osiedle. I sądzę, że ktoś tam jest gotowy kłamać ile wlezie, żeby tylko ją złapać. - Spojrzał na Sumiego. - A ty?

Sumi nie odpowiedział od razu. Starał się odepchnąć od siebie wspomnienie tej dziewczyny, gdyż nie przystawało do obecnej rozmowy. Dotyk jej palców, smak skóry... Z trudem wyrzucił te obrazy z pamięci i spróbował obiektywnie ocenić sytuację.

- Wątpię, by ona była terrorystką - rzekł wreszcie. - To jedyne niewybaczalne przestępstwo w kosmosie... Kto udzieliłby jej schronienia, gdyby to wyszło na jaw? Ona nie wygląda na taką, która chciałaby podejmować takie ryzyko. Brak jej... - usiłował znaleźć właściwe słowo.

- Motywacji? - podsunął Allo.

- Odwagi? - poprawił Tam.

- Odporności - rzekł Sumi. Myślał o tym, jaka była bezbronna, a potem nagle zaabsorbowana urządzeniami sterowni, a w końcu uwodzicielska. - Terrorystką maskowałaby się lepiej niż ta dziewczyna. Prawdziwa terrorystką nie uciekałaby tak przez dok, obojętnie co by się działo. Miałaby przygotowaną znacznie lepszą bajeczkę niż ta, jaką nam opowiedziała, a ponadto wiedziałaby, jak bezpiecznie skorzystać z konta... albo jak poradzić sobie bez funduszy.

- Racja. - Allo w zadumie pokiwał głową. - A skoro tak, to podane tu informacje są zmyślone. I ten, kto wysłał tę wiadomość, jest cholernie pewny siebie... Ponieważ ktoś, kto ją

widział, mógłby zapomnieć podany adres i skontaktować się z prawdziwą Korporacyjną Radą Ziemi. Z tego wynika, że zdołali zabezpieczyć się przed taką ewentualnością.

- To oznacza kontakty na bardzo wysokim szczeblu - powiedział Tam.

- A także... - Allo zaczerpnął tchu - że ten, kto jej szuka, jest prawdopodobnie potężny, bogaty i gotowy na wszystko, żeby ją dopaść.

Pozwolił im przetrwać te słowa, a potem spytał:

- Są jakieś pytania? Nie było.

- W porządku. Sumi, miej na nią oko. Postaraj się zdobyć jej zaufanie, a może zdołasz wyciągnąć coś ciekawego. Musimy dowiedzieć się, kto jej szuka. I trzeba to zrobić bardzo ostrożnie. Przypilnuj jej, dopóki nie załatwimy naszych interesów, potem się nią zajmiemy.

- Allo, ja... Urwał. - Co?

- Nic - odparł cicho Sumi. Jego macki sztywno sterczały w poddańczej pozycji, niczego nie zdradzając. - Nieważne.

- Tam, spróbuj wytropić źródło tej transmisji. W międzyczasie ja pozbędę się tego gówna z ładowni, a jeśli będę zmuszony trochę obniżyć cenę, to trudno. Mamy teraz cenniejszy towar.

- Myślisz, że ona jest aż tyle warta? - zapytał Sumi.

Na chwilę zapadła cisza. Pilot zmrużył oczy, ponownie czytając wiadomość. Jasne litery przemykały na ciemnym tle żrenic.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości - odparł w końcu. - Pytanie tylko, dla kogo?

XIV

Boże chroń nas przed Ziemią, na której wszyscy ludzie są tacy sami. Boże, chroń nas przed kolonią, która ku temu dąży, lub cywilizacją uznającą to za normę. Dajcie mi tysiąc ludzi mówiących różnymi językami, wyznającymi różnych bogów i snujących różne marzenia, a stworzę z nich większy naród niż ten, jaki otrzymacie z dziesięciu tysięcy genżynierowanych duplikatów. Albowiem mój lud będzie miał w sobie zarzewie wielkości, zaś wasz będzie żył dla przyjemności, wielbił przeciętność i czerpał starannie modulowaną rozkosz z iluzji.

Królestwo chaosu: założenie guerańskiej kolonii

(Archiwa historyczne, stacja Hellsgate)

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

Dopiero na widok stacji tranzytowej Masada poczuł prawdziwy strach.

Potrafił ignorować takie uczucia - każdy *im* to potrafił. Walcząc przez całe życie z niesfornymi uczuciami, nauczył się wyłączać tę część świadomości, która sprawiała mu kłopot. Nieważne, że teraz te odchylenia korygował jego procesor, a on ledwie zdawał sobie z tego sprawę. Jako dorastający chłopiec robił to dostatecznie często, aby nadal pamiętać tę sztuczkę.

Dlatego był w stanie ignorować to uczucie, dopóki stacja tranzytowa nie znalazła się w polu widzenia. Kiedy gildmistrz Hsing przyszedł powiedzieć mu, że czas spakować sprzęt i przygotować się do przesiadki, nie zastanawiał się dlaczego. Gdy stałe wysokie ciśnienie statku zmieniło się w wywołujące mdłości pulsowanie kompensacyjnego hamowania, wprowadził do swego krwiobiegu kilka miligramów odpowiedniego środka i robił swoje, jakby nic się nie działo. Nawet kiedy z mostka przekazano instrukcje, co i gdzie robić, szykując się do opuszczenia statku, zdołał zamknąć tę informację w tym zakamarku umysłu, który nie był połączony z uczuciem strachu i bezsilności.

Teraz jednak... Teraz było to niemożliwe. Spoglądając na stacje Tiananmen - siedzibę władz Gildii, rządzących stąd wszystkimi zamieszkanymi przez ludzi światami - nie mógł dłużej ignorować konsekwencji wynikających z tego, gdzie się znalazł. Nawet nie z powodu samej stacji, lecz zmiany, jaka zaszła w zachowaniu towarzyszy podróży, w miarę jak się do niej zbliżali. Mimo swej ograniczonej wrażliwości *im* wyczuł tę zmianę... i oczywiście rozumiał jej przyczynę. Znaleźli się w zasięgu uninetu i większość pasażerów najwyraźniej już podłączyła się do sieci. Dzieci, które dotychczas biegały jak opętane, teraz cicho siedziały po kątach, zajęte swoimi ulubionymi grami. Dorośli szeptali w pustkę komentarze, gdy w ich mózgach pojawiały się sceny z ulubionych uninetowych dramatów. Ci, którzy spoglądali przez okna, robili to ze skupieniem, które zdradzało Masadzie, że ten widok przesłania przewijany w polu widzenia tekst z danymi na temat Tiananmen, ostatnie raporty ekonomiczne, a może po prostu pozdrowienia od czekających na nich bliskich.

Oczywiście, Guera miała własną sieć - jak wszystkie cywilizowane planety - a dzięki hełmom każdy odlatujący ku stacjom węzłowym transportowiec mógł przekazywać pasażerom dane i programy rozrywkowe. Jednakże, chociaż planetarna sieć Guery niewiele różniła się od łączącego wszystkie światy uninetu, wykorzystywano je w całkowicie odmienny sposób. Ponieważ uninet był czymś więcej niż źródłem danych i środkiem łączności. Łączył światy, przynosząc wiadomości przez *ainniq* z szybkością, która czyniła „odległość” pojęciem niemal bez znaczenia. Łączył cywilizacje, tworząc z baz danych tysiąca kolonii jedną ogromną świadomość, z której mógł korzystać każdy człowiek. Przenikał życie

codzienne w sposób, z jakiego przeciętny obywatel nawet nie zdawał sobie sprawy, tak że jedna luźno rzucona myśl nadana ze stacji Hellsgate, przeznaczona dla miejscowych słuchaczy, mogła wpłynąć na kursy akcji na Sanctuary, pięć węzłów dalej.

Krótko mówiąc, był to chaos. System tak rozległy, tak rozbudowany, że ludzkość nie była już w stanie dokładnie przewidzieć jego działania ani w pełni zrozumieć, czym naprawdę jest. Miał swoje własne pływy wydajności i skuteczności - tak jak ocean - a ludzie nie potrafili ich przewidzieć, tak samo jak mieszkaniec planety nie potrafi przepowiedzieć, czy za rok nadejdzie tornado. Według teorii Masady był to żywy twór, który - podobnie jak biologiczne systemy, których terminologię używano do jego opisywania - nie mógł już być kontrolowany przez człowieka, jedynie odżywiany, kierowany i faworyzowany. A w głębi serca ludzie zdawali sobie z tego sprawę. Wyczuwali, że łącząc się z uninetem, stają się kimś więcej niż ludźmi. Wiedzieli, że gry wideo, notowania giełdowe i grupy dyskusyjne są tylko trzeciorzędymi cechami stworzenia obdarzonego własnym sercem i duszą. Tworu, który równie dobrze mógł być żywą istotą, gdyż wszystkie jego systemy imitowały biologiczny byt.

Masada studiował go przez całe życie. Rozumiał go lepiej niż ktokolwiek.

I bał się go, jak diabli.

Ci ludzie na pokładzie widokowym byli mu teraz obcy, gdyż takimi czynił ich nie strumień napływających do ich mózgow informacji, lecz obojętność, z jaką je przyjmowali. Pozornie nadal prowadzono ożywione rozmowy, lecz zbyt wiele oczu miało nieobecny wyraz. Niedopowiedzenia wspierano zdaniem przesyłanymi z mózgu do mózgu, zmieniając mowę w pozorny bełkot. Jakiś nastolatek przeszedł przez salę, powarkując i wyzywająco pomrukując do wszystkich mijanych pasażerów. Widocznie był pod wpływem jakiegoś programu, który zmieniał całe otoczenie w wybrany przez niego sposób. Był to niesamowity świat, do tego stopnia, że wpływał nawet na tkwiącego w Masadzie iru, któremu Wszechświat zawsze wydawał się nieco dziwny. Utwierdzał uczonego w obawach wywołanych wyprawą w kosmos i zwiększał je tak, że profesor w końcu zwrócił się do programu zdrowotnego i kazał sobie wprowadzić do krwioobiegu sporą dawkę środka uspokajającego. W takim stanie nie mógłby pojawić się w głównej kwaterze Gildii. Nie brakowało tam *nantana*, a przynajmniej tuzin innych *kaja* mogło zrozumieć znaczenie każdego zająknięcia lub wahania. Jeśli od razu nie nabiorą dla niego szacunku, to jego praca będzie z góry skazana na niepowodzenie.

Z dreszczem lęku uświadomił sobie, o czym myśli. Czyżby teraz obawiał się *nantana*? Była to zupełnie nowa i wysoce niepokojąca myśl. W końcu *nantana* byli jego ziomkami i przestrzegali zasad postępowania rządzących życiem na Guerze. Ta podróż rzeczywiście go zmęczyła, jeśli uznał, że powinien się ich strzec.

Zaczerpnął tchu i zamknął oczy, wyobrażając sobie, że czuje sączący się do jego krwi strumyk środka uspokajającego. Mocno bijące serce już trochę się uciszyło, a program zdrowotny zmienił jaskrawoczerwony kolor ostrzeżeń na złocisty. „Tak”, powiedział mu Masada, gdy program zapytał czy skorygować poziom adrenaliny. „Tak”, znormalizować działanie hipokampa. „Tak. Tak. Tak”. Jak wyglądało życie w dawnych czasach, zanim nadeszły dni procesorów myślowych, programów zdrowotnych i świadomej kontroli nad własnym ciałem? Zadrżał na samą myśl. Przed ludzkością leżały przerażające możliwości, lecz za sobą pozostawiła jeszcze bardziej zatrważającą, prymitywną bezsilność. Pod pewnymi względami był to najlepszy moment w jej historii, gdyż umysł i maszyna pozostawały w idealnej równowadze. Niech Bóg pomoże ludzkiemu gatunkowi, jeśli coś znowu naruszy ten stan.

„Każdy żywy organizm wciąż się zmienia - napisał - A tych zmian nigdy nie można przewidzieć”.

Niezbyt pocieszająca myśl.

*

„Musisz nauczyć się za dużo nie myśleć - mówiła mu żona - Musisz nauczyć się po prostu być. Smakować życie i cieszyć się nim. Nie analizować. Życ”.

Niemożliwe.

Była nie mniej oddana pracy niż on, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. Różnica polegała na tym, iż myśli formułowała w muzyce, a nie w słowach; w nutach, a nie w kodzie dwójkowym. Kiedy siedziała, medytując w milczeniu, i żadne złe myśli nie zakłócały jej spokoju, całą duszą słuchała symfonii. W głowie dopasowywała nuty, tak jak on fakty. Nie mogłaby żyć w świecie pozbawionym muzyki, tak jak on nie wyobrażał sobie świata bez logiki.

Czy ją kochał? Guerańscy naukowcy nie byli pewni, czy *ku* może kochać. Miał po temu odpowiednie hormony. Czasem nawet w odpowiednich proporcjach. Program zdrowotny nie potrafił wykryć różnicy.

Takie subiektywne uczucia u *kul* Nikt nie wiedział, co o tym sądzić. Żaden *ku* nie rozumiał języka miłości dostatecznie dobrze, by potwierdzić lub zaprzeczyć.

Strasznie za nią tęsknił.

*

Oczywiście, Prima powitała go osobiście. Prywatnie. Zważywszy, że była *sknba*, takie zaproszenie było brzemiennie w społeczne implikacje. „To mój człowiek”, oznajmiała swoim podwładnym, równie zdecydowanie, jakby obsikała Masadę, żeby naznaczyć go swoim

zapachem. Nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Najmniej przejmował się swoim statusem. Wystarczyłoby mu, gdyby po prostu spotkali się z nim w doku i zaprowadzili do jego nowego laboratorium, zamiast w asyście gwardii honorowej eskortować do sali audiencyjnej. No cóż, tolerował jej potrzebę mówienia i rytuału, tak jak ona niewątpliwie znosiła jego dziwactwa. Guerańskie społeczeństwo było skomplikowaną pajęczyną takich stosunków, równie naturalnych dla nich wszystkich jak oddychanie.

Natomiast Devlin... to zupełnie inna sprawa.

Masada znał jego prace i żywił ogromny szacunek dla jego umiejętności. Wiedział też, jakie wymagania tamten stawiał swemu personelowi, i ze zdumieniem stwierdzał, że często bywały spełniane. Masada nie należał do tych, na których robi wrażenie stanowisko, bogactwo, pozycja społeczna czy jakiegokolwiek powierzchowne zalety obsesyjnie pożądane przez *nantana*, lecz Gaza wykazywał jedyną cechę, jaką uczony cenił: umiejętność myślenia. Ostatni program Gazy, nad którym profesor pracował, był wytworem prawdziwego geniuszu. Masada żałował, że później nie miał już okazji poznać następnych dzieł tego człowieka. Tamto zlecenie było ostatnim, jakie Masada otrzymał od Gildii, aż do chwili gdy Lucyfer podniósł swój paskudny łeb.

Teraz Gaza programował bardzo rzadko. Większość czasu zajmowało mu zarządzanie kilkusetosobowym personelem, który mu podlegał, jak również odpieranie tysięcy i jednego elektronicznych ataków, jakie każdego dnia przeprowadzano przeciwko Gildii. Większość tych prób przeprowadzali amatorzy, niedoświadczeni hakerzy opętani na punkcie własnej ważności, usiłujący podbudować swoje ego, włamując się do najlepiej strzeżonego serwera uninetowego. Niektóre były poważniejsze i wymagały wypuszczenia specjalizowanych antywirusów, a sporadycznie zmian w programach zabezpieczających. Nieliczne były tak destrukcyjne, że całe części sieci trzeba było wyłączać na kilka sekund i uruchamiać program wyszukująco-czyszczący, który sprawdzał podejrzane węzły, szukając źródła infekcji. I był jeszcze Lucyfer.

Masada wiedział, że Gaza i jego personel już od e-roku zajmowali się tym problemem. Wiedział też, iż poczynili niewielkie postępy. Ze względów bezpieczeństwa komunikaty przesyłane na statek były krótkie i ogólnikowe, ale nawet w nich wyrażało się rosnące zniechęcenie, zarówno Gazy, jak i jego ludzi. „Czekamy na pańskie świeże spojrzenie”, głosił ostatni komunikat „Mam nadzieję, że będę w stanie pomóc”, odpowiedział równie ostrożnie.

Drzwi na odległym końcu komnaty otworzyły się z sykiem i wszedł Devlin Gaza. Masada poznał go z hologramu: chudy, jasnoskóry, o wydatnym nosie i wyrazistych rysach, z krótko przystrzyżoną blond czupryną i zaskakująco czarnymi oczami. Miał na sobie

zwyczajny czarny kombinezon, lecz plakietka nad kieszonką wskazywała na przynależność do najwyższych władz Gildii, jakim był Wewnętrzny Krąg Primy. Takie połączenie prostoty i bezpretensjonalności spodobało się Masadzie. Ktoś przesądny mógłby powiedzieć, że dobrze wróżyło ich współpracy.

Gaza z nikłym uśmiechem skinał głową.

- Doktorze Masada, jesteśmy radzi, że w końcu pan tu dotarł.

Nie wyciągnął ręki ani w żaden inny sposób nie próbował nawiązać fizycznego kontaktu, niewątpliwie ze względu na *kaja* Masady. Nie podszedł nawet tak blisko, jak zrobiłby to ktoś inny. Podłoga komnaty była wyłożona dekoracyjnymi płytkami i programista postawił stopy dokładnie na środku dwóch z nich, pozornie nawet nie patrząc pod nogi. U kogoś innego Masada mógłby tego nie zauważyć, ale dostatecznie dużo czytał o Gazie, by poznać naturę jego mutacji i dostrzec jej odbicie w takich szczegółach. Oczywiście, dzięki temu Gaza stał się takim mistrzem w swoim zawodzie. Wszyscy guerańscy Warianci byli właśnie tacy - łączyli mrok i światło. Jin i jang. Rozkosz i ból.

- Spotkanie z panem to dla mnie zaszczyt.

Zakładając, że ta uwaga była szczerą - bo nawet gdyby było inaczej, nie zauważyłby tego - Masada odparł:

- Cała przyjemność po mojej stronie. - I na wypadek, gdyby ton jego głosu nie świadczył o prawdziwości tego stwierdzenia, dodał: - Od lat podziwiam pana pracę.

Tamten jakby trochę się odprężył. Czego oczekiwał? Rywalizacji? Konfrontacji?

- A ja pańską, doktorze Masada. Długo czekałem na spotkanie z człowiekiem, który opracował szczepionkę przeciw Hellsgate-909. Kiedy postanowiono zaprosić pana tutaj... No cóż, powiedzmy, że gdy już z tym skończymy, chciałbym usiąść i porozmawiać z panem na tematy zawodowe.

W kosmosie było zaledwie kilka osób, których pochwały mogły ucieszyć Masadę. Gaza był jedną z nich.

- To istotnie byłby dla mnie zaszczyt. - Słyszając ten komplement, lekko się zarumienił, ale kazał załatwić to programowi zdrowotnemu. Jakiegokolwiek biologiczne objawy emocji uważał za godne pogardy. - Mam kilka obliczeń, które chciałbym z panem sprawdzić, i symulacji, które... - Urwał, uświadamiając sobie, że w pośpiechu mógł pominąć jakieś istotne punkty protokołu. - Oczywiście, zakładając, że zaraz przystąpimy do pracy - dodał.

Gaza odpowiedział z nikłym uśmiechem, pełnym ukrytych znaczeń:

- Nasza praca jest najważniejsza, doktorze Masada. My tu jemy, pijemy i śpimy z Lucyferem. Pozwoli pan, że oprowadzę pana po stacji i powiem, co odkryliśmy w czasie, kiedy pan tu leciał. Obawiam się, że nie są to miłe wieści.

Prowadząc go przez szereg potrójnie zabezpieczonych drzwi do informatycznego serca Gildii, opowiedział Masadzie o najnowszych mutacjach. Powiedział mu o dwóch pilotach, którzy ucierpieli w wyniku działania wirusa, i kilku innych, którzy zostali uratowani w ostatniej chwili.

- To cholera mutuje szybciej, niż nasze oprogramowanie wytwarza przeciwciała, a każda kolejna generacja wydaje się bardziej zjadliwa. Wierzę, że jest tylko kwestią czasu, jak Lucyfer zaatakuje kogoś lub coś spoza Gildii... i niech Bóg ma nas w opiece, kiedy do tego dojdzie.

- Chaos na ulicach - mruknął Masada. Gaza ponuro kręcił głową.

- Obawiam się, że będzie gorzej. Chaos w kosmosie oznacza chaos w wiodących przezeń korytarzach, bez możliwości ucieczki. Raczej implozję niż eksplozję. Na planecie ma się czas na przeciwdziałanie czemuś takiemu, miejsce gdzie można mu pozwolić się rozwijać, a w najgorszym razie możliwość ucieczki. Tutaj tego nie ma. Tak więc dynamika wydarzeń ulega znacznemu wzmocnieniu. Panika to śmierć.

Ostami program zabezpieczający potwierdził tożsamość Gazy, a potem rozpoznał i zapisał cechy procesora Masady dla przyszłej identyfikacji.

- Myślę, że mamy niewiele czasu - rzekł programista Gildii, gdy w końcu srebrzyste drzwi rozsunęły się przed nimi. - Już zaczynają krążyć plotki o tym wirusie, a moi ludzie odnotowują sygnały, że cywile również zaczynają go szukać. Wirus jest tak dobrze zaprojektowany, że wątpię, by ktoś znalazł go przypadkiem, nie mając pojęcia o kodach, jakie ma infekować. Sami nie wykryliśmy go, zanim nie uszkodził mózgu kosmopilota. Mimo wszystko nigdy nie wiadomo. A wystarczyłby jeden...

- I możecie mieć przeciek - rzekł cicho Masada.

Gaza ostrzegawczo przyłożył palec do ust, nakazując milczenie.

Za srebrzystymi drzwiami znajdowała się równie lśniąca komnata, której ściany zasłaniały konsole i rzędy ekranów. Kilka osób w czarnych mundurach oderwało od nich wzrok i spojrzało na wchodzących. Wszyscy nosili identyczne srebrno-czarne czepki z krzyżującymi się układami elektronicznych obwodów, upodabniające ich do cyborgów. Na skinienie Gazy wstali i wyszli, odczekawszy tylko moment, by mignąć ikonami zapisującymi pracę, zamykającymi programy i odłączającymi od sieci. Dopiero kiedy wszyscy opuścili pracownię i drzwi zamknęły się za nimi, Gaza ponownie przemówił.

- Oto pańskie laboratorium, doktorze Masada. Odizolowane, zabezpieczone i niezależne od wszystkich innych systemów stacji. Mamy dla pana serwer Hauck 6700Z - linia Z jest obecnie eksperymentalna i ten model jest jednym z zaledwie pięciu istniejących jednostek - oraz wystarczającą moc, by jednocześnie pracować nad pięcioma milionami kopii wirusa. Z oczywistych względów nie może pan bezpośrednio załogować się stąd do uninetu, ale mamy trzystopniowy układ pomostowy, który może odbierać i gromadzić informacje tak, że nikt niepowołany nie zdoła dotrzeć do źródła pańskiego sygnału.

A więc nie będzie miał bezpośredniego dostępu do uninetu. Poczul, że ucisk w piersi jakby lekko zelżał... i nienawidził siebie za to. Co z niego za programista, jeśli boi się oprogramowania, które łączy wszystkie światy?

Przeszedł się po pomieszczeniu, oglądając po kolei każdy panel i komputer, z aprobatą kiwając głową.

- Zakładam, że wszystkie są sterylne?

- Przeważnie zupełnie nowe, a na wszelki wypadek pięciokrotnie czyszczone. Wszystkie załadowane do nich programy także są czyste i porównane z ich kopiami, znajdującymi się na odizolowanym komputerze w moim gabinecie. Próbkę wirusa są przechowywane oddzielnie - wskazał ręką na jedną z konsoli - więc będzie je pan musiał pobierać w tradycyjny sposób. - Kąciki jego ust uniosły się w słabym uśmiechu. - Wydawało nam się to znacznie bezpieczniejsze niż bezpośrednia transmisja.

- Racja - rzekł. Przypomniał sobie ostrzeżenie na pierwszej kopii wirusa, jaką otrzymał: *MATERIAŁ ZAKAŹNY KLASY A*. Co oznaczało, że ten program mógł zawirusować każdy inny, z jakim wszedł w kontakt, w sposób niekoniecznie zgodny z hierarchią i przewidywaniami. Tak więc każdy program, jaki miał styczność z Lucyferem, musiał być bit po bicie porównany z oryginałem, zanim został ponownie wypuszczony do uninetu. Albo po prostu zniszczony. Czasem, w przypadku wysoce zakaźnego materiału, lepsze było to drugie rozwiązanie. - A co z kopiami samego wirusa?

- Mamy tu zmagazynowane ponad trzydzieści tysięcy kopii, reprezentujące dwa tysiące siedemnaście wariantów. Ta kolekcja codziennie się wzbogaca o nowe zarodniki przesyłane ze wszystkich stacji Gildii w kosmosie. To cholerstwo rozmnaża się błyskawicznie - dodał sucho Devlin - co wcale nie ułatwia nam pracy.

Masada zmarszczył brwi, przetrawiając te informacje. Nie tego się spodziewał. Czyżby pomylił się w obliczeniach, czy też Gildia po prostu nie zdołała zebrać tylu okazów ile powinna? To ostatnie zdziwiłoby go, gdyż sugerowałoby, że Devlin Gaza działał

nieskutecznie. A Masada dostatecznie dobrze znał prace tego człowieka, by wiedzieć, że to do niego niepodobne.

- Znaleźliśmy coś, co wygląda na markery pokoleniowe - powiedział Gaza. - To znacznie uprościło proces selekcji.

- Dobrze - rzekł z aprobatą Masada. - Chętnie zobaczę, co zebraliście. Prawdę mówiąc, chciał natychmiast zabrać się do pracy. Tak naprawdę to już pracował, tylko jednym uchem słuchając relacji towarzyszącego mu Gazy, błędząc myślami w labiryncie informacji, jakie właśnie otrzymał. Musiał bardzo się starać, żeby zupełnie nie zapomnieć o obecności programisty, a mimo to nie dosłyszał kilku jego słów, gdy wydał polecenie najbliższemu terminalowi, który w odpowiedzi zaczął przewijać dane. 12.12.57. Zebrano 9 odmian z następujących stacji: Hellsgate, Etherea, New Hope (2), Anachron Nova...

- ...że mamy przeciek? - mówił Gaza.

Masada z trudem wrócił do rzeczywistości i spojrzał na niego, wyłączając strumień napływających do mózgu danych.

- Przepraszam?

- Jak bardzo jest pan pewny, że mamy przeciek?

- Postawiłbym na to całą moją karierę - odparł spokojnie Masada.

Chociaż rzadko udawało mu się coś wyczytać z wyrazu twarzy, reakcja Gazy okazała się niezbyt subtelna. Zmrużył czarne oczy, zmarszczył brwi, a cienkie wargi zacisnął w łatwo czytelnym grymasie. Ponieważ milczał przez kilka sekund, Masada wykorzystał ten czas, by porównać tę minę ze swoją bazą danych. W ciągu paru sekund jego prymitywne spostrzeżenia potwierdziły się. Gaza był spięty, poinformował go program, wrogo nastawiony i zapewne wściekły. Prawdopodobnie te negatywne uczucia nie były skierowane przeciw Masadzie, informował program, lecz motywowane w inny sposób.

No cóż, to miało sens. Czyż Gaza nie mógł uważać, że postawiłoby go to w złym świetle, gdyby któryś z jego podwładnych okazał się zdrajcą? I być może miał rację. Może ten człowiek, jeden z najpotężniejszych w kosmosie, mógł wszystko stracić na skutek przecieku w jego wydziale. To z pewnością tłumaczyło taką reakcję.

Ci ludzie obawiają się nie tylko wirusa, pojął Masada. Ta afera przyspieszy i złamie kilka karier, wyniesie na stanowiska i strąci z nich, na zawsze zmieni kosmiczną politykę. Po raz pierwszy od chwili podpisania umowy zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i poczuł się przytłoczony. Nic dziwnego, że potrzebowali człowieka z zewnątrz. Nic dziwnego, że do rozwiązania tego problemu potrzebny był ktoś spoza Gildii, kto dociekając prawdy, nie kierowałby się zapatrywaniami politycznymi, uprzedzeniami ani zwyczajną chęcią

zachowania stanowiska. On, jako jeden z nielicznych, nie mógł przy tym niczego stracić ani zyskać. Na całe szczęście, gdyż brakowało mu umiejętności rozróżniania takich skomplikowanych ludzkich motywów.

Oczywiście, oni dobrze o tym wiedzieli. Wybrali go starannie, z uwagi na wszystkie jego wady i zalety. Dopiero teraz w pełni zrozumiał motywy, jakimi się kierowali, i słuszność podjętej przez nich decyzji.

- Proszę mi to wyjaśnić - rzekł spokojnie Gaza.

Gdy tylko weszli do tego pomieszczenia, całą uwagę Masady zaabsorbował zgromadzony tam sprzęt oraz jego możliwości. Niedobrze. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w takich chwilach łatwo gubił wątek rozmowy, co ludzie często traktowali jako obrazę. Szybko mignął ikoną, przywołał program nadzorujący zmysły i nakazał mu obniżyć o kilka punktów ostrość widzenia. Sam napisał ten program i często go używał. Wszystko pociemniało, zszarzało i stało się lekko rozmazane. Teraz łatwiej było Masadzie skupić się na słowach Gazy i zignorować znajdujący się w tym pomieszczeniu sprzęt.

- Dokonałem regresji wirusa - wyjaśnił. Zobaczył, że Gaza ze zdumieniem unosi brwi, i nie zdołał całkiem ukryć uśmiechu dumy. Jakże rzadko miał przyjemność podyskutować o swej pracy z kimś, kto w pełni rozumiał jej złożony charakter! - Kiedy wyeliminowałem fałszywe tropy, uzyskałem kilka odmian wirusa w jego przybliżonej początkowej formie. Przeprowadziłem analizę porównawczą wspólnych elementów kodu, dzięki czemu mogłem odrzucić część z nich. Ostatecznie otrzymałem charakterystykę oryginalnego Lucyfera w jego początkowej postaci.

Gaza miał nieprzeniknioną minę.

- W jakim stopniu wiarygodna jest ta charakterystyka?

- Niektóre cechy są oczywiście bardziej prawdopodobne od innych. Przygotowałem dla pana szczegółowy raport, zawierający także obliczenia prawdopodobieństwa błędu dla każdej sekcji. Dołączyłem go do materiałów, które przekazałem Primie.

Gaza skinął głową.

- W porządku. Przejrzę go. Teraz proszę powiedzieć mi o przecieku. Masada zaczerpnął tchu, wiedząc, że zaraz powie coś, czego Devlin Gaza wołałby nie usłyszeć.

- Podczas testowania tysięcy proto wirusów odkryłem, że wszystkie ewoluujące zgodnie z założeniami mają jedną wspólną cechę. W jądrze ich programu wyszukującego znajduje się fragment kodu Gildii. Bardzo dobrze ukryty, prawie nie do rozszyfrowania... ale niewątpliwie jest to kod Gildii.

Gaza przez długą chwilę spoglądał na niego w milczeniu. W końcu rzekł cicho:

- Ten wirus miał wyszukiwać nasze programy i je kopiować. Na pewno stąd wzięły się te fragmenty. Z poprzednich ataków...

- Nie.

- Jest pan tego pewny?

- Tak. Wskazują na to wszystkie drogi regresji. Przykro mi to mówić, gdyż wiem, co z tego wynika... ale sądzę, że wniosek jest oczywisty. Być może ten wirus został stworzony poza Gildią, ale zaatakował jej pliki dzięki pomocy kogoś, kto ma dostęp do waszych najtajniejszych programów.

Gaza odwrócił się. Tylko to i na moment. Bez słów, gestów czy jakiegokolwiek znaku zdradzającego, co dzieje się w jego mózgu. Chociaż Masada i tak nie zdołałby zinterpretować takich oznak, może udałoby się to jego oprogramowaniu. W tej sytuacji nie wiedział, co myśleć.

- Jeśli to prawda... - rzekł dyrektor cichym, lecz napiętym głosem. - To mówimy o zdrajcy w łonie Gildii.

Masada milczał.

- Tylko dlaczego? Czemu miałyby ujawniać tylko jedną część kodu i nic więcej? Dlaczego nie miałyby dać wrogowi tego, czego ten najbardziej pragnie? Przecież to byłoby łatwiejsze.

- Zapewne - rzekł cicho Masada - ale może uważał, że w ten sposób nie wpadniemy na jego trop.

Gaza znowu na niego spojrzał.

- Może sądził, że nigdy nie dowiemy się, że to on przekazał te dane. Może czuł się bezpieczny, ukryty za swoim niesamowicie skomplikowanym wytworem. Wirus może gromadzić i przekazywać dane, więc nikt nie będzie winił jego... Ponieważ nikt nie zdoła dokonać regresji koniecznej do udowodnienia, że nie cały zawarty w Lucyferze kod Gildii został skradziony przez wirusa.

- Regresja takiego skomplikowanego wirusa jest teoretycznie niemożliwa - przypomniał mu Gaza.

Masada uśmiechnął się.

- Nie ma rzeczy niemożliwych dla kogoś, kto jest gotowy przebrnąć przez wystarczającą ilość danych, dyrektorze. Kto wie? Może gdyby podróż do stacji Tiananmen trwała krócej, nie udałoby mi się wyizolować tego fragmentu kodu. Może gdybyście przysyłali mi więcej nowych danych do obróbki, nie analizowałbym tak dokładnie mutantów i zaniechał prac nad regresją. Atak... wpadłem na trop. Analizę konsekwencji tego odkrycia

pozostawiam wam. Ja nie znam się na ludzkich motywacjach, mogę tylko powiedzieć, co widzę w kodzie. Resztą sami musicie się zająć.

- I zrobimy to - obiecał mu Gaza. Nawet Masada usłyszał złowrogi ton jego głosu. - Mój Boże, to równie dobrze może być ktoś z mojego personelu... - Gwałtownie potrząsnął głową. - Omawianie takiej możliwości to jedno, ale kiedy staje się ona rzeczywistością, to zupełnie co innego... Muszę rzucić okiem na pański raport.

- Sądzę, że uzna go pan za przekonujący.

- A co z samym kodem? Kto miał do niego dostęp?

- To fragment programu kosmopilota. Oczywiście, miał do niego dostęp pański personel i sama Prima. Może niektórzy gildmistrzowie. Z całą pewnością kosmopiloci. Być może paru innych, dopuszczonych do największych tajemnic, lecz takich jest naprawdę niewielu.

- A więc nie tylko mamy wśród nas zdrajcę - rzekł cicho Gaza - ale w dodatku wysoko postawionego.

Masada milczał. Nie zwykł mówić o tym, co jest oczywiste.

- Kto zrobiłby coś takiego swoim kolegom? Przecież ten wirus zabija kosmopilotów...

- Tylko jego późniejsza mutacja, dyrektorze. A przynajmniej tak mi powiedzieliście. Twórca Lucyfera mógł nie przewidzieć, że jego wirus przekształci się w tak śmiertelnośną postać.

Gaza napotkał jego spojrzenie. W oczach programisty płonął żar gwałtownych emocji, których Masada nawet nie próbował zinterpretować.

- Nie - powiedział z gniewem. - On wiedział. Każdy człowiek, który jest dostatecznie inteligentny, by stworzyć coś takiego, cholernie dobrze wie, w co może się zmienić taki wirus. Po prostu nie przejmował się tym. Ktoś zapłacił mu tyle pieniędzy, że nie przejmował się tym.

Nagle, niespodziewanie, z wściekłością uderzył w pobliską ścianę. Cios był silny: panel konsoli przesunął się o ułamek centymetra, a odgłos uderzenia odbił się echem od gładkich ścian pomieszczenia.

- Kiedy znajdę odpowiedzialnego - obiecał Gaza - rozerwę go własnymi rękami. Będzie cierpiał bardziej niż jakikolwiek człowiek, za zdradę Gildii i mnie. Natomiast ci, którzy go przekupili... Dopilnuję, żeby już nigdy nie znaleźli się w *ainniq*. Niech pozbawieni pomocy Gildii zgniją na ich pieprzonej ojczystej planecie, gdziekolwiek ona jest. Niech ich zrujnowane i opuszczone stacje będą przestrożą dla wszystkich innych, którzy myślą, że mogą bezkarnie atakować dzieci Hausmana.

- Nie sędę, by chodziło o kwestie efektu Hausmana... - zaczął Masada.

Urwał, widząc minę Gazy. Przez chwilę miał wrażenie, że gniew tamtego skieruje się przeciw niemu, a potem twarz dyrektora przybrała nieco łagodniejszy wyraz, napięte mięśnie rozluźniły się i rumieńce na jego twarzy zaczęły blednąć.

- Przepraszam - powiedział Gaza. - Rozumie pan, to ja odpowiadam za zabezpieczenie oprogramowania. Ten incydent... To tak, jakby ktoś przez całe życie wznosił i fortyfikował twierdzę na wypadek wojny, a potem jakiś drań otworzył bramy na oścież i wpuścił nieprzyjaciela do środka. - Nabrał tchu. - Musimy dowiedzieć się, kto to zrobił. To wszystko. Musimy odkryć, kto jest za to odpowiedzialny, i postarać się, żeby jego los stał się przestrogą dla wszystkich. Nikomu nie wolno bezkarnie atakować Gildii.

- Ja mogę tylko analizować kod - powiedział spokojnie Masada. - Kwestią motywów będą musieli zająć się inni.

- Oczywiście, doktorze Masada. Oczywiście.

Mówiąc to, Gaza zauważył przesunięty panel konsoli. Odstawała zaledwie o milimetr czy dwa, lecz najwyraźniej nawet to go niepokoiło. Sprawnie, ze skupieniem neurochirurga, chwycił moduł i ustawił go we właściwej pozycji. Idealnie równo z innymi poziomymi powierzchniami reszty sprzętu. Puścił moduł dopiero wtedy, kiedy umieścił go na miejscu, a potem jeszcze raz sprawdził, czy w ostatniej chwili nie zmienił jego położenia. Najwyraźniej nie.

- Ponownie przepraszam. Tak jak pan z pewnością irytował się brakiem najnowszych wiadomości podczas długiej podróży, my tu na Tiananmen czekaliśmy ponad rok na możliwość zasięgnięcia pańskiej rady. Proszę tylko powiedzieć, czego potrzeba panu do pracy, a natychmiast pan to otrzyma. Sprzęt, fundusze, personel, cokolwiek.

- Dziękuję, dyrektorze.

- Natomiast my... - Na chwilę zamknął oczy. - My musimy tylko odkryć, kto z najwyższych kręgów Gildii zdradził i dlaczego. To nie będzie łatwe, przyjacielu. - Rozejrzał się po pokoju, patrząc na kosztowną aparaturę i oprogramowanie przeznaczone do tego celu. - Znajdziemy go - obiecał.

Takiej obietnicy nikt nie ważyłby się kwestionować.

XV

BAKI RA

Czarna jak noc, czarna jak śmierć, bakira niepostrzeżenie przemyka w mroku, podążając za zapachem zdobyczy. Żaden teren nie jest dla niej zbyt niebezpieczny, żaden wróg tak groźny, aby ją odstraszyć.

Poluje, gdzie chce, i nikt nie zagrozi jej drogi. Jeśli ofiara umknie na terytorium oznakowane przez inne stworzenie, ona nie zwraca uwagi na te znaki. Podróżuje, gdzie chce, poluje, jak ma ochotę, i bez obawy czy skruchy odbiera łup innym.

Jest mroczną zabójczynią o twardym sercu i szponach, o czarnej duszy.

Jest głodem.

KAJA: „Kosmiczny przewodnik po guerańskim systemie społecznym”, tom II: Znaki duszy.

WĘZEL HARMONIJSKI STACJA TRIDAC

W sali posiedzeń było ciemno.

Na jej środku jarzył się hologram, niebiesko-brązowa kula Ziemi bez otoczki chmur. Stacje, osiedla i tysiące maleńkich satelitów orbitowały wokół niej jak chmura asteroid, każdy błyskający punkcikiem odbitego światła. Hologram był niewielki i niezbyt jasny, więc słabo rozświetlał mroczne pomieszczenie. Mimo to Miklas Tridac wyraźnie widział siedzącą dalej postać - cień wśród cieni.

Odkaszlnął, bardziej, by sprawdzić, czy wywoła to jakąś reakcję, niż z rzeczywistej potrzeby. Nie wywołało. W końcu odważył się:

- Chciałaś mnie widzieć?

Hologram zgasł. Kopułki projektora schowały się w stole konferencyjnym, którego blat znów stał się płaski. Zapaliło się słabe - bardzo słabe - światło, w którym zdołał dojrzeć postać siedzącej przy końcu stołu kobiety. Twarz miała skrytą w cieniu.

- Opowiedz mi o tej dziewczynie - rozkazała.

Zrobił krok naprzód, lecz koniec długiego stołu nie pozwolił mu podejść bliżej. Stało tam krzesło, przygotowane dla niego. Wolał na nim nie siadać.

- Zgubiliśmy ją.

Jeśli była zła, to nie okazywała tego. Pewnie, że nie, pomyślał. Nie zostaje się wiceprezydentem ziemskiej korporacji, okazując uczucia.

- Podaj szczegóły - zażądała cicho.

- Leciała liniowcem jako Jamisia Capra. Pod tym nazwiskiem przeszła przez posterunek kontrolny. Potem ją zgubiliśmy. - Wysłałam tam dość ludzi, by obstawili wszystkie punkty kontrolne.

- Gildia odprawiła ją poza kolejką. Skontrolowali ją oddzielnie i wypuścili, zanim zorientowaliśmy się, co zaszło.

Wyczuł, że narasta w niej gniew. Na niego, na Gildię czy na dziewczynę?

- A więc powinniśmy byli obstawić cały port. - Chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go gwałtownym machnięciem ręki. - Nauczka na przyszłość. Punkty odprawy to wąskie gardło i liczyliśmy na to. - Usłyszał, jak westchnęła, rozważając konsekwencje tych słów. - No cóż - powiedziała w końcu, lodowatym tonem. - A więc Gildia wie.

- Jak sądzisz, ile?

- Wiedzą, że ona jest ważna. Tylko to się liczy. Wiedzą, że muszą jej pilnować.

- Wypuścili ją.

Poczuł na sobie jej spojrzenie: chłodne, bezkompromisowe. Nieubłagane.

- Na to wygląda - przyznała. - Pewnie chcieli sprawdzić, dokąd się uda. Może nie są pewni, kim ona jest, i mają nadzieję, że się zdemaskuje.

- A czy my wiemy, kim ona jest? - zapytał.

Zapadła długa, długa chwila ciszy. Niewidzialne oczy wpatrywały się w niego i czuł je na sobie, niczym dotknięcie lodowatych palców. Nie zadajesz pytań Korporacji, jeśli cenisz swoją pracę. Jednakże on należał do tych nielicznych, którym ufała.

- Wiemy - odparła powoli - że przeprowadzono na niej eksperyment. Wiemy, że jeśli ten eksperyment się powiodł, to złamie monopol Gildii. I dlatego wiele ryzykowaliśmy, żeby ją złapać. - Potem zapadła długa chwila ciszy. Czy to prawda, że kierownictwo Korporacji może wpływać na programy zdrowotne podwładnych? Czuł, że dokładnie analizuje jego reakcję, i zastanawiał się, ile o nim wie. - Myślę, że to powinno ci wystarczyć. Bardziej szczegółowe informacje byłyby... niebezpieczne.

- Dziękuję za zaufanie.

- To nie jest kwestia zaufania. Musimy znaleźć tę dziewczynę. Ty kierujesz tymi poszukiwaniami. Musisz wiedzieć, o co toczy się gra i jak daleko gotowi jesteśmy się posunąć, aby osiągnąć cel.

Wstała i kiedy się poruszyła, na krótką chwilę światło ukazało jej twarz. Oczy i usta jak wykute z lodu, wydany nos, jasne włosy. W klapie przypięte jaskrawe logo korporacji - trzy splecione trójkąty z gwiazdą w środku, na złotym tle. Gwiazdą Ziemi.

- Znajdziesz ją - powiedziała. - Kropka. Nie obchodzi mnie, ile będziesz musiał wydać, nie dbam o to, kogo będziesz musiał wynająć. Zrób to.

- Ale...

- Ona gdzieś tam jest. Skorzysta z uninetu, wybierze pieniądze, będzie chodziła, rozmawiała i oddychała regenerowanym powietrzem - a robiąc to, zostawi ślad w jakiejś bazie danych. Znajdź. Jeśli nic lepszego nie przychodzi ci do głowy, to sprawdź wszystkie zapisy kamer bezpieczeństwa programem do rozpoznawania twarzy. Wynajmij kilku modziów, żeby wypuścili snifery do uninetu. Mówiono mi, że oni potrafią znaleźć każdego, jeśli tylko chcą. Zapłać im tyle, ile będzie trzeba. Tylko nic im nie mów. Nic. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Spodziewaj się, że Gildia podejmie podobne wysiłki. Obserwuj ich uważnie, gdyż oni mogą mieć dostęp do nieznanych nam danych. Sprawdzam wszystkie linie łączności, jakie mogę podsłuchiwać, i jeśli dowiem się czegoś istotnego, natychmiast cię zawiadomię. - Po chwili dodała: w międzyczasie pamiętaj, że potrzebujemy tej dziewczyny. Potrzebna nam jest żywa i zdrowa, abyśmy mogli sprawdzić, co zrobili Shido, i wyciągnąć z tego korzyści. Martwa na nic nam się nie przyda... i prawdopodobnie o tym wie. Natomiast co do Gildii - wątpię, by słyszeli coś więcej niż plotki o tym, co robili Shido. Teraz chcieliby ją złapać i sprawdzić, w jakim stopniu te pogłoski są prawdziwe... Jeśli jednak okaże się to niemożliwe, jeżeli będą zmuszeni wybierać między puszczeniem jej wolno a usunięciem ze sceny... Martwa nie będzie już dla nich zagrożeniem. A jeśli zaczną wymykać im się z rąk i wszystko będzie wskazywało na to, że może uciec im na dobre, to jest tylko kwestią czasu, zanim postanowią zakończyć tę zabawę, dopóki jest to dla nich korzystne. Martwa nikomu niczego nie zdradzi, a w ten sposób oni wygrają.

- Rozumiem.- Postaraj się. - Pochyliła się nad stołem, opierając urękawiczone dłonie o polerowany blat, ukazując logo korporacji na mankietach. - Staraj się pamiętać o tym, że to może okazać się naszym najważniejszym osiągnięciem od zakończenia Izolacji. Jeśli jest szansa - choćby najmniejsza - że dzięki tej dziewczynie możemy złamać monopol Gildii, musimy ją złapać. Kropka. Tu nie ma miejsca na niepowodzenie.

- Rozumiem.

Ponownie odchyliła się i wyprostowała. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i była imponującą postacią.

- Rób, co trzeba. Następnym razem spodziewam się lepszego raportu.

- Oczywiście.

Skłonił się i chciał odejść, lecz uniesioną ręką dała mu znać, że jeszcze nie skończyła.

- Są przepisy prawne, które ograniczają takie poszukiwania - powiedziała cicho. - Jeśli je przekroczysz...

Nie dokończyła, a mimo to doskonale ją zrozumiał. Nie daj się złapać.

Odcchrząknął - tym razem z konieczności.

- W takim wypadku, oczywiście, nie mogę liczyć na poparcie Korporacji.

- Oczywiście, że nie - odparła cicho. - Cieszę się, że to rozumiesz.

Ich rozmowa była rejestrowana i oboje o tym wiedzieli. Zastanawiał się, ile niezależnych urzędów zapisuje teraz każde słowo. Tylko nie te, które padły poprzednio.

- Widzisz, wszyscy musimy przestrzegać praw narzuconych przez Gildię. Dopóki utrzymują monopol na międzygwiazdny transport, są najwyższą władzą w kosmosie. Nie rób niczego, co mogłoby ich... zirytować.

W tym momencie poczuł dreszcz emocji, pierwszy, na jaki pozwolił sobie, od kiedy przydzielono mu to zadanie. Gdyby monopol Gildii w końcu został złamany, tak by nie mogła już narzucać swej woli wszystkim obywatelom kosmosu... Dobry Boże, cóż to byłaby za rewolucja! A jego korporacja znalazłaby się na szczycie...

- Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas, Miklasie. - Skinęła głową, chłodno i wyniośle.

- Informuj mnie o postępach.

- Oczywiście.

Skłonił się i wyszedł. Potrzebował nowego planu i może nowego sprzętu. Najwidoczniej poszukiwania nie skończą się dlatego, że dziewczyna znikła. I nie zakończą się, dopóki nie wpadnie w ręce Korporacji, albo zginie. A jeśli to on dostarczy ją firmie... Wtedy następnym razem to on może będzie siedział na drugim końcu stołu. Miklas Tridac, wydający rozkazy podwładnym.

Wychodząc, zobaczył, jak znów zapala się przed nią hologram Ziemi.

XVI

To, co obce, odpycha nas.

A także pociąga, fascynuje i podnieca.

Ile wojen w ciągu minionych wieków toczono z powodu tych dwóch sprzecznych odczuć?

DUAEN CORREN „*O naturze ludzkiej*”

STATEK „EXETER

W końcu wylądowali narkotyki na małej prywatnej stacji w odległym końcu węzła. Należała do jakiegoś miliardera, lecz Sumi podejrzewał, że człowiek, który podał im kody wejściowe, a później zapłacił za towar nie rejestrowanymi żetonami gotówkowymi, wcale nie

pracował dla tego rekina przemysłu. Dok wyglądał niesamowicie z tymi fantastycznymi, błyszczącymi wrotami śluzy powietrznej, wyglądającymi jak wyjęte z wesołego miasteczka i równie surrealistyczną architekturą. Kiedy jesteś bogaty, pomyślał Sumi, możesz żyć w takim otoczeniu, jakie ci się podoba. Czy nie dlatego tak wielu przedstawicieli finansowej elity Ziemi przeprowadziło się tutaj, kiedy rozpoczęto kolonizację kosmosu?

Za ładunek zaproponowano, im mniej niż połowę ceny, jaką mogliby uzyskać gdzie indziej, więc Allo zaczął się wahać. Sumi widział, jak kapitan stoi, milcząc i marszcząc brwi, niewątpliwie porównując sumę z ryzykiem, jakim byłoby pozostawienie towaru na pokładzie. W końcu niechętnie skinął głową i roboty stacji zaczęły wyładowywać skrzynie. Sumi pomyślał, że powinni ostrzec nabywcę, by później wykasował do czysta logi robotów, aby nie pozostał w nich ślad po rozładunku, bo chociaż ten człowiek udawał twardziela, nie wyglądał na zawodowego przemytnika i mógł nie zdawać sobie sprawy jakie to ważne. Jednak Allo spojrzał mu w oczy i zdecydowanie choć nieznacznie pokręcił głową. Ten człowiek wytargował cenę znacznie niższą od przyzwoitej. Jeśli był tak głupi, że nie wiedział, iż z powodu zwykłego zapisu w pamięci robota może zostać skazany, to niech zapłaci za swoją ignorancję.

Kazali Tamowi jeszcze raz sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, ale zgodnie z obietnicą wszystkie kamery zostały wyłączone na czas dostawy. Potem wystartowali, żeby zająć się następnym interesem.

Dziewczyną.

Oczywiście, to ona była prawdziwą przyczyną tej pospiesznej sprzedaży. Na Paradise Allo mógł uzyskać znacznie lepszą cenę za towar, ale Sumi znał kapitana i wiedział, że ten lubi jasne sytuacje, i dlatego nie chciał pakować się w zagadkową historię z dziewczyną, mając ładownie napchane kontrabandą, za którą wszyscy mogliby dostać dożywocie. Tak więc przystał na mniejszy zysk z jednego interesu, by skupić całą uwagę na drugim... a to wiele mówiło o tym, co myślał o przypuszczalnej wartości tej dziewczyny.

Dziewczyna...

Sumi nie mógł przestać o niej myśleć. Robił to nawet podczas rozładunku, kiedy całą uwagę powinien skupić na pracy i wypatrywaniu kłopotów. To było niepodobne do niego. Lubił kobiety i cieszył się nimi, kiedy pozwalały na to przerwy w podróży i zwyczajnie stacji, ale mało która zaszła mu pod skórę tak jak ta. Czy to przez te jej dziwne niebieskie oczy, lub coś w smaku jej skóry? A może otaczająca ją tajemnica, niezwykle zmiany nastroju, zagadkowa przeszłość? Albo dlatego (co byłoby naprawdę niepokojące), że była Ziemianką?

Pierwszą Ziemianką, która zareagowała na jego widok inaczej niż z obrzydzeniem, więc był po prostu ciekawy jak daleko sięga jej tolerancja?

Zadrzał i spróbował skupić się na ekranie, obserwując przesuwane się po nim cyfry, gdy stateczek znów leciał przez otwartą przestrzeń. Allo chciał, by jego pierwszy oficer był spokojny, godny zaufania i stanowczy. Nie spodobałoby mu się, że Sumi myślał teraz o dotyku miękkich palców Ziemianki i piżmowym zapachu jej skóry. Nie, wcale by mu się to nie spodobało. Wprowadzając dane następnego etapu podróży, Sumi czuł aktywność programu zdrowotnego, który sprawdzał jego organizm na oznaki podniecenia seksualnego, chemicznie likwidując wszelkie fantazje. Jednego był pewny: nie pozwoli, by Allo domyślił się, co mu chodzi po głowie. Kapitan pomyślałby... no, nie wiadomo co.

Coś gorszego niż prawda?

Tej nocy miał sny. Dziwne sny, w których seks łączył się z poczuciem winy i uprzedzeniami rasowymi, tworząc iście wybuchową mieszankę. Czyżby pociągała go jak zakazany owoc, budząc marzenia o pochwyceniu Ziemi w ramiona i zmuszeniu znienawidzonej rasy, by mu służyła? Zawsze śmiał się z tych, którzy tak mówili. Znał kilku takich, którzy regularnie kupowali sobie dziwki z Ziemi, żeby dać upust rasowej nienawiści. Zawsze spoglądał na nich z góry, uważając, że jest ponad to. Czyżby teraz upodobnił się do nich? Czyżby i jego trawił ten głód, zrodzona przed dwoma tysiącami lat uraza, czekająca, by ujawnić się w odpowiedniej chwili?

Jeśli tak, to był to jeszcze jeden powód, by niczego po sobie nie okazywać. Przecież ta biedna dziewczyna nie mogła odpowiadać za wszystkie niegodziwości Ziemi. Zdawał sobie z tego sprawę, nawet jeśli jego gruczoły były innego zdania. Lepiej nie igrać z takimi uczuciami. Lepiej skupić się na pracy, przełączyć program zdrowotny na automatyczne działanie i mieć nadzieję, że nikt nie zauważył jego wzburzenia. Tylko jeden skok do stacji Paradise i dziewczyna zniknie.

Nie mógł jednak przestać o niej myśleć.

*

Łóżko miało pasy, mocne plastikowe taśmy umocowane do jednego boku, które przeciągało się nad posłaniem i przypinało z drugiej strony do metalowej ramy. Jamisia spojrzęła na nie niechętnie, nerwowo, a potem znów na Calię.

- Na czas skoku - rzuciła niecierpliwie. Najwyraźniej zmęczyła się wyjaśnianiem tego Jamisi i wypluła te słowa z pogardą, jaką zwykle rezerwuje się dla idiotów. Arogancja doskonale pasowała do jej wysokiej, barczystej, szczupłej i muskularnej postaci, a gładkie pasiaste futro, jakie jej lud zawdzięczał efektowi Hausmana, jeszcze pogłębiało to wrażenie. -

Hełm uruchomi oprogramowanie, które cię uspi. W tym czasie chyba powinnaś pozostać na łóżku, no nie? - A kiedy Jamisia nie odpowiedziała, Calia warknęła: - A może wolisz spać z łóżka przy jakimś wstrząsie i złamać sobie jedną z tych ślicznych kosteczek? - Prychnęła z obrzydzeniem i odwróciła się do wyjścia z kabiny. - Rób, jak chcesz, dziewczyno. Tam przyjdzie później, by zaprogramować twój hełm. Jak dla mnie, możesz lecieć, stojąc na głowie.

Drzwi zasunęły się za nią z niemal obrażonym sykiem. Jamisia wpatrywała się w nie przez chwilę, a potem znów spojrzała na pasy przy łóżku. Tak, były tu z piekielnie dobrego powodu, lecz mimo to budziły w niej lęk. Czy też po prostu popadała w paranoję?

Do licha, zauważyła Raven, ona naprawdę nienawidzi Ziemi, no nie?

Jak oni wszyscy, odparła Verina. Ona tylko tego nie ukrywa.

Jakbyśmy mieli coś wspólnego z Izolacją, prychnął Denk. No dobra, nasi przodkowie byli dupkami. Teraz umarli i nie ma ich. Dlaczego obwiniać nas za ich błędy?

Ten „błąd” zabił miliony, a niektóre kolonie zepchnął do poziomu epoki kamienia łupanego. Verina, jak zawsze, przytaczała rozsądne argumenty, nawet omawiając tak ulotne kwestie jak uprzedzenia rasowe. Niektóre cywilizacje nadal płacą za tę pomyłkę. Nie wolno o tym zapominać.

Przecież my nie zrobiliśmy nic złego, powiedziała płacząco Zusu.

To nie ma znaczenia. Tożsamość jest dla nich kwestią genów, a nasze należą do rasy, którą ich zdradziła. Dla nich jesteście nieczyści i kalamy światy, które oni usiłovali ocalić.

Były powody... - zaczęła Raven.

Tak, przerwała Verina. Ziemskie powody. Spróbuj wyjaśnić je kolonistom, którzy przez dwieście lat głodowali, ponieważ Ziemia odcięła im dostawy. Spróbuj powiedzieć takim ludziom, że przez ten czas z najwyższym trudem walczyli o życie dlatego, że na ich macierzystej planecie wybuchły zamieszki i w celu powstrzymania fali paniki przywódcy Ziemi postanowili zerwać wszelkie kontakty z koloniami Hausmana, udając, że ich nie ma. Powiedz im to i zobaczysz, czy zrozumieją.

Zamilkła na chwilę, a potem kontynuowała znacznie spokojniejszym tonem:

Skąd oni mogą wiedzieć, jak to jest, kiedy dziesięciu miliardom ludzi stłoczonych na jednej planecie nagle odbierze się jedyną nadzieję ucieczki? Jak mogą pojąć mieszkańców takiego świata i drastyczne środki, po jakie czasem trzeba sięgnąć, żeby utrzymać masy w ryzach? Wiecie, że zamknięte w klatce szczury zagryzają się wzajemnie, jeśli jest ich zbyt wiele. Ziemia nie tak bardzo się od nich różni. Nasi przodkowie rozumieli to i wiedzieli, że kiedy po dwudziestu latach nadziei drzwi klatki ponownie się zatrzęsą, trzeba będzie za

to słono zapłacić. Rozumiecie, że wcale ich nie bronię... ale też nie możemy ich potępiać, nie pojmując ich świata.

Warianci wierzą, że są od nas lepsi, że w tych samych okolicznościach nie zwróciliby się przeciwko sobie, nie odcięliby się od swoich dzieci. Może... Podejrzewam jednak, że tylko dlatego, iż jeszcze nie znaleźli się w dostatecznie ciasnej klatce. Dla nich każdy Ziemianin jest chorym spadkobiercą genetycznego dziedzictwa przemocy i szaleństwa, od których oni uwolnili się dzięki swym cierpieniom. Nic dziwnego, że nas nienawidzą! To cud, że w ogóle wpuścili Ziemian do Kosmosu. Jestem pewna, że nie zrobiliby tego, gdyby nie zmusili ich do tego Gueranie. Większość Wariantów wolałaby zostawić nas, żebyśmy zgnili w naszym własnym układzie słonecznym.

Ja bardzo chętnie pozostałabym na Ziemi, jęknęła Zusu.

Łatwo ci mówić, warknął Derik. Wcale nie byliśmy na Ziemi, pamiętasz? A w osiedlach jest mnóstwo miejsca, od kiedy nikomu nie pozwalają rozmnażać się bez pozwolenia.

Ich słowa i obrazy wypełniły umysł Jamisi, atakując jej wyobraźnię tuzinem różnych głosów. Na tym polegał problem z Innymi, że kiedy kłócili się, a nawet tylko dyskutowali, czuła się jak pole bitwy.

- W porządku - mruknęła. - To bardzo interesujące, ale do niczego nie prowadzi. Może później zajrzemy do podręczników historii, dobrze? A teraz wróćmy do planów na najbliższą przyszłość.

Ku jej zdziwieniu wszyscy na to przystali. Po raz pierwszy. Przynajmniej wszyscy zdolni do myślenia. Nadal słyszała najbardziej przerażającego z nich wszystkich, tego płaczącego, którego stłumiony szloch stanowił tło wszystkich rozmów. Kiedy Inni po raz pierwszy dali znać o swej obecności, prawie go nie słyszała, lecz teraz jego ciche zawodzenie tworzyło irytujący akompaniament niemal każdej dyskusji. Nie chciała wiedzieć, co go przestraszyło. Naprawdę nie chciała wiedzieć, dlaczego jego obecność powoli stawała się coraz bardziej denerwująca. Usiłowała wyrzucić go z pamięci już tego dnia, kiedy ujrzała go w zaprogramowanym przez nauczyciela śnie - nagiego, drżącego i nieświadomego. Co się z nią stanie, jeśli kiedyś on przejmie kontrolę?

Zrobiła głęboki wdech, usiłując pozbyć się tego obrazu.

- Posłuchajcie, musimy zdecydować...

Przerwało jej ciche pukanie do drzwi. Wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy ten ktoś słyszał, jak szeptała do siebie. A jeśli tak, to czy uznają ją za szaloną lub jeszcze gorzej? W końcu odzyskała głos i zapytała: Kto tam?

- Sumi - padła odpowiedź.

Poczuła, że Katlyn z jedwabistą łatwością przejmując kontrolę nad jej ciałem, jak dłoń wsuwająca się do satynowej rękawiczki.

- Wejdz - powiedziała i Jamisia poczuła jej milczące zadowolenie z nadarzającej się okazji. Wielu Innych uważało, że Meduzanin już nie wróci, chociaż Katlyn upierała się przy swoim.

Drzwi rozsunęły się i stanął w progu. Po wyrazie jego oczu natychmiast poznała, że nie czuł się zbyt pewnie w jej obecności. Jamisi zrobiło się go żal, lecz Katlyn zapewniła ją, że to dobry znak, że mężczyźni zawsze się tak czują, kiedy kobieta nimi manipuluje. Jakby wyczuwali sens tej gry, lecz nie wiedzieli, jak ją przerwać.

Łatwiej ich kontrolować, kiedy są w takim stanie.

- Wejdz - zachęciła łagodnie. Takim tonem przemawiała do wystraszonego zwierzątka, wabiąc je obietnicą pieszczoty.

Przez chwilę stał w progu, a potem wszedł do kabiny. Zrobił tylko krok, co wyraźnie wskazywało na to, że chciał trzymać się z daleka.

- Allo kazał mi sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku przed skokiem. - A kiedy nie odpowiedziała, nerwowo przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i zapytał: - W porządku?

Katlyn spojrzała na niego tak, jakby nie była tego całkiem pewna, a potem zerknęła na pasy łóżka. Wystarczyło jedno spojrzenie: niepewne, przestraszone, kobiece. Odruchowo zrobił krok w jej kierunku, oddalając się od progu na tyle, by drzwi zamknęły się ze świstem. Katlyn uśmiechnęła się w duchu.

- Szykują się do skoku w *ainniq* - rzekł. - Nie ma się czym martwić, to standardowa procedura na prywatnym statku.

Łatwo nim manipulować, pomyślała Katlyn. Prawie zbyt łatwo. Gdyby stawka nie była tak wysoka, byłoby to po prostu nudne.

- A dokąd zmierzamy? - zapytała, starając się, by jej głos wyrażał niekłamana ciekawość, a zarazem niepewność. - Powiedziałeś *ainniq*, więc...

Nie dokończyła.

- Węzeł Paradise. - Zauważyła, że powiódł spojrzeniem po kabinie, notując w pamięci torbę, hełm, jasny ekran komputera... Wszystko prócz niej. - Ta stacja tranzytowa jest ważnym punktem komunikacyjnym. Możesz stamtąd porozumieć się z twoimi krewnymi.

Katlyn wzięła te słowa za dobrą monetę, lecz ton jego głosu obudził podejrzenia Veriny. Raven też poruszyła się niespokojnie. *Coś jest nie tak, Kat, pozwól mi z nim porozmawiać.*

Nie ma mowy.

Kat...

- Paradise - głośno rozmyślała Katlyn. Zrobiła krok w kierunku Sumiego, jeden maleńki kroczek, kiedy na nią nie patrzył. Och, mógł się cofnąć, kiedy to zauważy, lecz to byłoby zbyt oczywiste. Mężczyźni są najbardziej bezbronni, kiedy nie zdają sobie sprawy ze swoich motywów. - Słyszałam o tej stacji, nawet na Ziemi. Czy jest... - Ostrożnie wyszukiwała właściwe słowa. - Równie interesująca, jak podają w przewodnikach?

- Interesująca? - Chyba zauważył, że stanęła bliżej, ale nie odsunął się. - To dziwne określenie. Pewnie Ziemianie za taką ją uważają.

- A ty jakbyś ją opisał?

Nawet nie słuchała odpowiedzi, tylko mignęła obrazkami pobranymi z filmu porno. Postacie tańczyły jej przed oczami, gdy patrzyła, jak mówił. Kilku Innych z niesmakiem wycofało się w głąb umysłu Jamisi i nie chciało patrzeć. Derik zaklął cicho i umknął jak zawsze, gdy dziewczyny zbyt otwarcie okazywały swoje seksualne potrzeby. Katlyn nie miała nic przeciwko temu, bo i tak wolała robić to bez nich.

Mówił jej coś o Paradise. Nie słuchała, chociaż od czasu do czasu kiwała głową i nie odrywała od niego wzroku. Przypominała sobie wszystko, co kiedyś czytała o Meduzanach oraz ich dziwnym zmyśle postrzegania. Gdy na niego patrzyła, pornograficzne obrazy cienkim woalem przesłaniały jego postać. Często oglądała ten film, kiedy ktoś inny miał kontrolę nad tym ciałem, w samotności ciesząc się artystycznym wyuzdaniem, korzystając z zaprojektowanych specjalnie dla niej obwodów i podprogramów. Jednakże teraz nie tylko oglądała wideofilm, ale wspominała wszystkie inne podboje i łączyła je z własnymi fantazjami. Podniecająca mieszanka. Czowała, jak jej ciało zaczyna reagować, a skóra nagle staje się wrażliwa i ciepła od żywiej krążącej krwi. Sumi mówił coś o pozornym bezprawiu, panującym - w powszechnej opinii - na stacji Paradise, podczas gdy w rzeczywistości tamtejsza gildmistrzyni miała wszędzie swoje oczy i uszy, i nic nie uchodziło jej uwagi... A Katlyn przez cały czas kiwała głową i uśmiechała się do niego, podczas gdy rytm poruszających się w jej polu widzenia ciał budził podobny rytm w jej sercu. PRZYSPIESZONY PULS, ostrzegł program zdrowotny. SKORYGOWAĆ? Mignęła ikoną, każąc mu się zamknąć, i uśmiechnęła się.

A teraz... tak, miała rację. Meduzanin mógł nie zauważyć wizualnych sygnałów wysyłanych przez jej ciało, ale inne były równie silne i wyraźne. Szczególnie zapach pożądania, jaki unosił się z jej skóry, zbyt słaby dla ziemskiego zmysłu węchu, lecz doskonale wyczuwalny i kuszący dla Meduzanina.

Zająknął się, jakby stracił wątek. A może panowanie nad sobą? W głębi duszy czuła obecność Jamisi, zdziwionej wywołanym tą gierką przypiływem podniecenia i pomimo odrazy czającej się tuż za granicą oddzielającą jaźń Katlyn od jej myśli, przyglądającej się temu z niezdrowym zaciekawieniem.

- Słyszałam, że panują tam dość swobodne zwyczaje.

Stała teraz tak blisko niego, że wilgotne powierzchnie najbliższych macek wyczuwały powiew jej oddechu. Widziała, jak drżą i kurcząc się gwałtownie, smakują jej życie w tym leciutkim podmuchu. Sumi zrobił głęboki wdech i przez moment spoglądał gdzieś w dal. Wstrzymała oddech, domyślając się, że to decydująca chwila. Czy on pozwoli swemu ciału podążać za głosem instynktu, czy też zagłuszy go rozkazami dla programu zdrowotnego, odcinając dopływ hormonów? Serce biło jej mocno z emocji wywołanej tą grą oraz zwykłego podniecenia. Tacy mężczyźni to zwierzyna, na jaką chemie polowała.

Powoli i chrapliwie wypuścił powietrze z płuc i kolejne macki ześlizgnęły mu się na ramiona, usiłując nawiązać bliższy kontakt. Wydawały się bardziej czerwone, jakby nabrzmiałe świeżą krwią, i wiły się nieustannie, niespokojnie, niecierpliwie. Przeszedł ją dziwny i niepokojący dreszcz, znajomy, a zarazem nieznanym. Podświadomie wyczuwała przerażenie Jamisi, która zrozumiała, że to właśnie obcość Sumiego podniecała Katlyn. Czy ta biedaczka była w stanie to pojąć? Katlyn chciała poczuć na ustach smak Nieznanego, objąć Zakazane. Zastanawiała się, jak to jest, kiedy poczuje się na nagim ciele dotyk tych darów Hausmana? Czy miał inne, ukryte deformacje, które przy bliskim kontakcie można odkryć palcami, językiem lub wzrokiem? Och, to będzie coś niezwykłego, pomyślała.

- Tak mówią - szepnął ochryple. Nawet nie pamiętała już pytania, na jakie odpowiedział. Powoli uniosła rękę i dotknęła jego policzka - och, jakże delikatnie. Ten drobny gest przełamał ostatnie dzielące ich bariery. Tak jak chciała. Położył dłonie na jej ramionach - duże i silne dłonie - a potem przesunął je niżej i zaściśnął. Wyczuła, że jeszcze się zawahał, zanim uznał, że jej zachowanie naprawdę jest zaproszeniem. A może upewniał się, że na nie odpowie. Potem nachylił się, aż jego wargi napotkały jej usta, a ona w odpowiedzi objęła ramionami szerokie barki Sumiego. Pół tuzina ciepłych, wilgotnych macek zaczęło ślizgać się po jej dłoniach, wsuwać w rękawy kombinezonu i wyciągać do ciała. Było to jednocześnie obrzydliwe i niebywale podniecające, koktajl emocji niemal nie do zniesienia.

Nawet smak jego ust był dla niej obcy - mieszanina związków nie powstałych na Ziemi, lecz na jakiejś nieszczęsnej planecie, daleko w kosmosie. Poczła, jak wyzbył się ostatnich zahamowań, gdy przycisnął się do niej, i poczuła ostry zapach jego podniecenia. Ręce Sumiego przesunęły się na ramiona, żeby je popieścić, rozchyliły kołnierz kombinezonu...

Nagle poczuła ból - trwający tylko przez chwilę, przesywający, który zaraz minął. Drgnęła leciutko, lecz on zauważył to, cofnął się i spojrzał na nią. Prawą ręką ponownie, i nieco silniej, uściśnął jej ramię, z którego zdawał się promieniować ten ból. Tym razem z jej ust wyrwał się cichy jęk, gdy pod dotknięciem kciuka Sumiego poczuła ostry ból, jakby wbił tam igłę.

Przez chwilę spoglądał jej w oczy, jakby szukał w nich wyjaśnienia, a potem, nie otrzymawszy żadnego, sięgnął do kołnierza kombinezonu dziewczyny i odchylił go, odsłaniając nagie ramię. Zamek z przodu rozpiął się, odsłaniając różową, miękką pierś. Nie zwrócił na to uwagi. Całą uwagę skupił na czerwonej plamce, którą znalazł na skórze dziewczyny.

- Co to takiego? - zapytał.

- Nic. Skaleczyłam się. Jakies dwa dni temu. Nie ma się czym przejmować.

Uniosła rękę, zamierzając odsunąć jego dłoń, lecz w tej samej chwili nagłe ogarnęły ją wątpliwości.

Program zdrowotny powinien już to zagoić. Prawda?

Jego macki nagle stały się zimne i wycofały się. Obcy kochanek zniknął, a jego miejsce zajął człowiek aż nazbyt dobrze znający kosmiczne niebezpieczeństwa. I wyraźnie zaniepokojony tym, co zobaczył.

- Poczulaś ból? Jak to się stało?

- Czy to ważne? - odparła. A kiedy nie odpowiedział, w końcu wyjaśniła: - Przechodziłam przez posterunek kontrolny na stacji Reijik, kiedy ktoś podał mi bagaż i pomógł mi go podnieść. Pasek uszczypnął mnie w ramię i...

To powinno się już zagoić.

Przyłożył do tego miejsca kciuk i nacisnął. Pod wpływem ostrego bólu krzyknęła, zdziwiona.

- Cholera - wymamrotał. - Niech to szlag.

- Co? - pytała błagalnie. Teraz przeraziła się i tkwiący w niej Inni wychodzili z ukrycia, dodając swój strach do jej lęku. - Co to takiego?

- Coś, co powinno się było zagoić - mruknął. - Ale tak się nie stało. Masz program zdrowotny? Autonomiczny?

- Oczywiście - zdołała wykrztusić. Coraz bardziej obawiała się tego, do czego prowadziła ta rozmowa, i była już prawie gotowa znów oddać kontrolę nad ciałem Jamisi. Lub komukolwiek. Ona niezbyt dobrze radziła sobie w takich sytuacjach.

Przez moment spoglądał w pustkę i domyśliła się, że wysyła komuś wiadomość, przekazując szczegóły swego odkrycia.

- Co się stało? - spytała.

Nie odpowiedział, tylko zapytał:

- Kto z tobą wtedy był? - Niemal wyczuwała jego napięcie. - Kto ci pomógł?

- Nie znam ich nazwisk. Było ich dwóch, obaj z Gildii. Zaklął jeszcze głośniejszym w nieznanym jej języku. Roztrzęsiona, nie wiedziała, jak zareagować.

- Gildia! Tylko tego nam teraz trzeba.

Drzwi rozsunęły się, wpuszczając Calię z apteczką w rękę.

- Co jest?

- Myślę, że to jakiś implant. Popatrz.

Popchnął ku niej Katlyn, której rozpięty kombinezon nadal odsłaniał ramię. Calia zerknęła na jej na pół obnażoną pierś, przy czym po jej twarzy przemknął wzgardliwy grymas obejmujący Katlyn i Sumiego, po czym skupiła wzrok na zaczerwienieniu.

- Mówi, że skaleczyła się dwa dni temu.

Calia nacisnęła środek plamy ostrym paznokciem. Zaboląło.

- Skaleczenie powinno się już zagoić.

- Też tak sobie pomyślałem.

Rozmawiali chłodno i bezosobowo, jakby byli sami w kabinie. Albo jakby była kawałkiem mięsa na stole sekcyjnym i nie słyszała tego, co mówili.

- Co to takiego? - zapytała, bardziej chcąc zwrócić na siebie uwagę, niż aby uzyskać jakąś odpowiedź.

Oboje spojrzeli na nią. Oczy Calii były zimne i okrutne, lecz w spojrzeniu Sumiego dostrzegła cień współczucia. Uczepiła się tego.

- Sądzę, że to coś w tobie. Coś, co zostawili ci twoi przyjaciele z Gildii. Calia wyjmie to.

Kobieta odwróciła się, z trzaskiem otworzyła białe plastikowe pudełko, które przyniosła ze sobą, i położyła je na stoliczku.

- Posadź ją - rozkazał. Drzwi otworzyły się ponownie, gdy Sumi delikatnie popchnął ją i posadził na koi. Wszedł Allo i nie wyglądał na zadowolonego.

- Co się tu dzieje, do diabła? - zapytał.

- Być może mamy jednego pasażera za wiele - odparła Calia, wyciągając z walizki krótką srebrzystą rurkę.

- Implant - wyjaśnił Sumi, a potem dodał: - Może.

- Nie wiedziałam... - zaczęła Jamisia.

- Czyj? - zapytał Allo.

- Jeszcze nie wiemy. - Calia nastawiła pierścienie na końcu rurki i z zadowoleniem pokiwała głową. - Zaraz się dowiemy.

Katlyn znikła. Nawet Jamisia nie odzyskała pełnej kontroli. Jakaś Inna poruszyła się, chcąc przejąć ster, i Jamisia pozwoliła jej na to. Jeśli ktoś chce się tym zająć, to bardzo dobrze, bo ona nie ma na to najmniejszej ochoty.

- Nie wiedziałam - jęknęła Zusu.

- Przytrzymajcie ją - rozkazała Calia. W jej oczach mignęło coś jeszcze oprócz skupienia: może nienawiść? Satysfakcja z powodu tego, że Ziemianka znalazła się w takiej pozycji, przytrzymywana przez Warianta, podczas gdy ona, Calia, szykowała się do rozcięcia jej ciała? Nie powiedziała nic więcej, tylko stanęła przy Zusu i przycisnęła węższy koniec rurki do jej skóry, na samym środku czerwonej plamki... ale Zusu i tak czuła jej nienawiść.

Nagle coś wbiło się w jej ciało i krzyknęła. Sumi boleśnie zacisnął palce na jej ramionach, gdy srebrzysty język sondy wbił się w tkanki, kierowany jakimś niesłyszalnym sygnałem. Poczwała, jak wchodzi na centymetr lub dwa, jakby szukając czegoś, a potem rozległ się cichuteńki trzask i Calia mruknęła:

- Mam!

Wyciągnęła sondę, Zusu poczuła przeszywający ból w barku. USZKODZENIE LEWEGO MIĘŚNIA TRAPEZOIDALNEGO, ostrzegł program zdrowotny. ANALIZUJĘ... Wyłączyła komunikat, nie chcąc patrzeć na szczegóły, i cicho załkała. Zasłużyła sobie na to, bo nie uważała. Zasłużyła sobie na to, bo opuściła Ziemię...

A potem kobieta wyjęła rurkę, a z nią jeszcze coś - mały, zakrwawiony element zwisający z końca sondy. Był cienki jak włos i miał zaledwie centymetr długości. Spoglądająca na to Zusu miała wrażenie, że to coś wiło się, jak żywe, rozchylając i znów chowając ostre jak druty parasola końce. Na widok tego, co tkwiło w jej ciele, nagle zrobiło jej się niedobrze.

- To radiolokator - oznajmiła Calia. Sumi zaklął.

Allo rzekł rzeczowym, chłodnym i opanowanym, zupełnie pozbawionym emocji głosem:

- Gildia?

- Jeszcze nie wiem. Najpierw muszę to wyczyścić. - Calia uniosła drucik i w ostrym świetle był nieco lepiej widoczny. - Sądzę, że to biotech. Z pewnością, skoro ominął program zdrowotny. - Zerknęła na Zusu, a potem znów na Allo. - Ona naprawdę mogła nie wiedzieć o jego obecności.

- Co to takiego? - odważyła się spytać Zusu. Głos jej drżał. *Me rozplacz się przy tych ludziach. Nie. To byłoby niedobrze, niedobrze, niedobrze...*

- Radiolokator - powtórzył gniewnie Allo.

- Ktoś cię śledził - wyjaśnił Sumi. - Albo chciał móc to robić w przyszłości. Sądząc z tego, co mówisz, zapewne Gildia. Wprowadzili ci to pod skórę, pozorując wypadek. Za dzień lub dwa nie wiedziałabyś, że tam jest. Musiał jednak przenieść jakiś zarazek lub dwa, inaczej nie byłoby ani śladu jego obecności.

- Paskudne małe draństwo - zauważyła Calia. - I co z tym zrobimy?

Allo przyglądał się Zusu. Domyślała się, o co chciał ją zapytać, czuła, jak jest tego bliski. Dlaczego cię ścigają? Jednak nie było sensu pytać ją o to i może zdawał sobie z tego sprawę. W końcu odwrócił się i nie tylko wyłączył ją z dalszej rozmowy, ale zupełnie zapomniał o jej obecności.

- Zatrzymamy się na którejś ze stacji pośrednich i pozbędziemy się tego. Podrzucimy jakiemuś turyście, zmierzającemu donikąd. Do licha! - Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Mogli prześledzić naszą trasę aż do ostatniego postoju...

- Chcesz, żebym ich ostrzegł?

- Nie. Nie. Pewnie i tak nie zwrócili na to uwagi, skoro dziewczyna tam nie wysiadła. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Jeśli spytają, powiemy, że byliśmy tam z towarzyską wizytą. Każę Tamowi zajrzeć do akt właściciela stacji, na wypadek, gdybyśmy musieli opowiedzieć jakąś bajkę policji. Niech to szlag!

Groźnie marszcząc niebieską twarz, zwrócił się do Zusu. - Możesz nas bardzo drogo kosztować, Jamisio. Myślę, że powinnaś poważnie zastanowić się nad tym, czy nie lepiej wyjawić nam, co się dzieje.

Sumi chciał zaprotestować, ale Allo uciszył go machnięciem ręki.

- A przynajmniej to, co wiesz. Nie możemy cię ochronić, jeśli nie mamy pojęcia przed czym, no nie?

A wy chcecie to zrobić, tak? - prychnął Derik. *Chronić nas?*

Mówił suchym tonem, ale nie kontrolował jej ciała, więc ten sarkazm przeszedł niezauważony. Kontrolę miała Zusu, która cicho pojękiwała i podciągnęła kolana do piersi,

po czym objęła je ramionami. Jakby ktoś chciał uderzyć ją w brzuch, a ona obawiała się, że nie zniesie bólu. Tak właśnie się czuła.

- Ona nic nie wie - rzekł cicho Sumi.

Allo zacisnął usta w cienką linię, lecz w końcu kiwnął głową, akceptując takie wyjaśnienie.

- W porządku. Porozmawiamy później i zobaczymy, czy ona nie wie czegoś, co mogłoby rzucić trochę światła na tę sprawę. A teraz... Calia, wyczyść to, zidentyfikuj i przygotuj do transportu. I trzymaj w temperaturze ludzkiego ciała, na wypadek gdyby sprawdzali, czy nie został usunięty.

Kiwnęła głową i chciała wziąć radiolokator, lecz ten nastroszył kolce i rozmyśliła się.

- Zabiorę to do pracowni.

- Idź - zgodził się.

Popatrzył na Sumiego, a potem na dziewczynę. Po twarzy Zusu płynęły łzy, lśniąca strużki lęku, które wiele mówiły o stanie jej umysłu. Jeśli Allo zdał sobie sprawę z tego, że takie zachowanie zupełnie nie pasuje do dziewczyny, którą wzięli na pokład, to nie powiedział tego głośno.

- Mam z tobą mnóstwo kłopotów, Jamisio. - Wyglądało na to, że próbował mówić łagodnie, lecz napięcie w jego głosie zniweczyło ten wysiłek. Zusu jeszcze mocniej objęła się ramionami, kiedy usiadł obok niej. - Pomożesz nam rozwiązać tę zagadkę, prawda? W przeciwnym razie nie będziemy mogli cię obronić.

Kłamstwo było tak oczywiste, że nawet Zusu zrozumiała, co się za nim kryje... A niebezpieczeństwo tak realne, że nawet jej młody umysł, zwykle nieświadomy ludzkiej nieuczciwości, tym razem zareagował.

- Powiem wam wszystko, co wiem - szepnęła. - Ale naprawdę wszystko już powiedziałam Sumiemu.

Ku jej zdziwieniu, Allo chyba wziął to za dobrą monetę. Może sprawiły to łzy w jej oczach. Katlyn wyjaśniła, że niektórzy mężczyźni biorą je za oznakę szczerości. A może po prostu wzywały go obowiązki i nie widział sensu w wysłuchiwanie jej jęków.

Dobra robota, pochwaliła ją Verina. *Jeszcze wyjdziemy z tego... razem.*

Allo mruknął coś na pożegnanie i opuścił kabinę, zostawiając Zusu samą z Sumim. Meduzanin pocieszającym gestem położył dłoń na jej ramieniu, lecz kiedy zostali sami, znów ją zabrał.

- Przepraszam - szepnęła Zusu. Za to, że sprawiła mu kłopot, za oczywiste rozczarowanie, za wszystko. Wyrażała w ten sposób ogólne poczucie winy, a nie przepraszała za to, co zaszło, i miała nadzieję, że tak to zrozumiał.

Nie patrzył jej w oczy.

- Posłuchaj, przez tę aferę spędzimy jeszcze kilka godzin w węźle Reijik. Postaraj się wykorzystać ten czas na odpoczynek, dobrze? Calia dowie się, co to było i kto to zrobił. Potem może pomożesz nam dodać dwa do dwóch i zastanowimy się, co z tym zrobić.

Nie przeszedł do dalszej części przemowy i nie powiedział, że jej pomoże. Może to kłamstwo nie chciało przejść mu przez usta.

Jamisia skręcała się z obrzydzenia. Verina również. Tak samo jak większość Innych, którzy to obserwowali, tłocząc się wokół świadomości Zusu jak turyści przy luku widokowym.

- Przepraszam - szepnęła ponownie. Nie odpowiedział.

Bez słowa wstał z koi i podszedł do drzwi. Przez moment wydawało się, że odejdzie, nawet na nią nie patrząc, ale obejrzał się i w jego spojrzeniu było tyleż współczucia co niechęci.

- Wszystko będzie dobrze - rzucił, a potem podszedł tak blisko drzwi, że otworzyły się. W następnej chwili znikł i zasunęły się z powrotem, a ona - oni - zostali sami.

Teraz Jamisia mogłaby odebrać swoje ciało, ale Zusu jeszcze go potrzebowała. Jednego pragnęła bardziej niż czegokolwiek na świecie: rozładować nagromadzone uczucia. Frustrację, rozpacz i tysiąc innych emocji, z jakimi nie potrafiła się uporać. Inni mieli własne sposoby na takie sytuacje. Ona miała swój.

Inni zrozumieli. Inni jej współczuli. W końcu byli rodziną.

Pozwolili jej płakać.

XVII

Ponieważ Ziemią jest tym, kim jest, nie powinno nas dziwić, że pierwsze, co próbuje zrobić, wyruszając w kosmos, to stworzyć mury, bramy i granice stacji, żeby zamknąć w nich swoich braci. Czyż historia Ziemi nie jest opisem kolejnych prób Izolacji, a większości toczonych na ich udręczonej planecie wojen nie prowadzono w imię pęt rasowych lub kulturowych?

MARO TAL RAND „*Nowi Izolacjoniści*”

WĘZEL ADAMANTYŃSKI STACJA ADAMANTINE

Gildmistrz Anton Varsav był spokojny. To przerażało jego ludzi. Wiedział o tym. I cieszyło go to.

Znali go dostatecznie dobrze, by się niepokoić, kiedy niespokojne ruchy jego ciała ustawały, gdyż to świadczyło, iż jego umysł skupił się na czymś tak, że nie chciał rozpraszać się żadnymi innymi czynnościami. Wiedzieli, że kiedy słowa gładko i płynnie padają z ust Antona, jego procesor nie analizuje drobiazgowo faktów, nie szuka uchybień. I wiedzieli, że koncentruje się tylko w chwilach niebezpieczeństwa, konfliktów i zemsty. Dlatego obawiali się takich chwil.

Całkiem słusznie.

Przez ostatni e-tydzień przeszukiwał dane Izolacjonistów. Wypełniał umysł obrazami i argumentami dwóch najbardziej zniechęconych kolonii w cywilizowanym kosmosie. Przeglądał traktat za traktatem Nowego Frontu Terrańskiego, głoszącego naturalną wyższość zniechęconych przodków człowieka. Jak zawsze, miał ochotę chwycić ich i mocno potrząsnąć, pytając: „Dlaczego tu przybyliście, jeśli tak bardzo nienawidzicie przestrzeni Wariantów? Czemu nie zostaliście w domu, żeby w spokoju pielęgnować wasze barbarzyńskie geny?”. Natomiast jeśli chodzi o Nowych Aryjczyków, to wystarczyło na nich spojrzeć, żeby dostać mdłości. Nie tylko uważali Ziemię za lepszych od wszystkich innych ras, ale jeszcze wydzieliли spośród puli genetycznej swych ziomków pewien rzadko spotykany genotyp i uznali go za górujący nad pozostałymi. Patrząc na ich starannie wymodelowane rysy twarzy, identyczny kolor włosów, wzrost i budowę, widząc, jak stoją razem, na pozór piękni lecz toczeni rakiem nienawiści, łatwo było zrozumieć, jak chora musiała być stara Ziemia, na której zrodził się taki ruch.

Jakże musieli go nienawidzić, oni wszyscy. Jak musieli nienawidzić całą jego rasę, ale jego najbardziej. Obcego, który rządził ich węzłem, który narzucał im prawa Gildii i pysznił się swoją mutacją, jakby nie była deformacją, a czymś najzupełniej normalnym. Och, jak on ich nienawidził i marzył, by prawo Gildii pozwoliło mu zdusić życie na ich koloniach, na zawsze oczyścić wszechświat z tego śmiecia.

Jednak prawo było prawem, a on przysiągł go przestrzegać. Dopóki oni nie złamią prawa.

Miał nadzieję, że to zrobili. Nocami modlił się, żeby tak było. Marzył, że udowodni, iż to oni stworzyli Lucyfera i będzie mógł zemścić się na nich za tę potworną zbrodnię. Starłby ich kolonie na proch, a potem paczkowałby go i sprzedawał turystom, żeby do każdego zakątka kosmosu dotarła wiadomość: Tacy jak wy nie są tu mile widziani.

I tak będzie.

Zrobił wszystko, co mu kazano, i znacznie więcej. W sieci swego węzła umieścił tyle programów szpiegowskich, że nikt nie zdołałby kupić biletu na prom, nie natykając się na jeden z nich. Przechwytywał, analizował i śledził pocztę obu tych stacji, a nawet korespondencję przesyłaną na nie przez przyzwoitych obywateli. Było to gigantyczne przedsięwzięcie. Ktoś inny wpadłby w rozpacz, gdyby musiał je nadzorować. Kogoś innego przytłoczyłyby potworne ilości danych, nie dające się uporządkować, przejrzeć i ocenić. Dla niego było to tylko intelektualne ćwiczenie, trudniejsze od innych, lecz bynajmniej nie przerażające, a kolejne elementy śledztwa układały się w jego mózgu jak fragmenty łamigłówki.

Na tym polegał jego szczególny, rzadko ujawniany talent, który zawdzięczał efektowi Hausmana. Przystępując do pracy nad tym problemem, czuł się jak człowiek rozciągający długo nieużywane mięśnie i cieszył się tym uczuciem. Inni zauważali tylko to, że chodził swobodniejszym krokiem, nie poruszał nieustannie rękami i nie zmagał się tak z programami korygującymi słownictwo, kiedy chciał coś powiedzieć. Oczywiście ci, którzy od dawna dla niego pracowali, rozumieli, co to oznacza. I wiedzieli, czego się bać. Widział to w ich oczach, gdy mijali go na korytarzach stacji, pospiesznie umykając ze wzrokiem... lecz nie dość szybko.

Bali się go.

Dobrze.

Dzień za dniem przeglądał dane, podając swoim ludziom kluczowe słowa i frazy do poszukiwań, nigdy nie zdradzając im dosyć informacji, by wiedzieli dokładnie, czego i dlaczego szukają. W przeciwieństwie do Ra i wielu innych nigdy nie ufał swoim hakerom. Nigdy nie zapominał o tym, że ten sam talent, dzięki któremu byli tak cenni, jednocześnie czynił ich nieprzewidywalnymi i niejedyn gildmistrz stracił swoje stanowisko za sprawą niezadowolonego pracownika mającego dostęp do jego poufnych plików. Jak wielu przed nim, przekonał się, że do odkrywania tajemnic nie wystarczy wynająć zwyczajnych programistów, lecz potrzebne są umysły głodne każdej wiedzy. Jednakże w przeciwieństwie do swych poprzedników nie zamierzał popełnić błędu, uznając ich za lojalnych, ani pozwolić, by mu zaszkadzili.

Kazał im przeglądać te masy danych w poszukiwaniu kluczowych słów i eliminować miliony listów, które nie zawierały niczego interesującego. Tymczasem jego zwykli programiści tworzyli dla pozostałej korespondencji programy sortujące, które miały szukać w niej ledwie dostrzegalnego śladu wrogiego spisku. Ten ślad tam będzie. Był tego pewny. A

jeśli go nie znajdą, zawsze może go stworzyć. Jaką władzę złożyła w jego ręce Prima! Czy ona o tym wie? Czy myśli w takich kategoriach? Wystarczyłby najmniejszy ślad Lucyfera, a mógłby wysłać armie na stację Destiny. I nie swoich żołnierzy, lecz armię samej Gildii, żądną zemsty, gotową przykładowo ukarać izolacjonistów.

Zniszczyć jedną stację, za zbrodnię, jaką było wypuszczenie Lucyfera. Inne trzęsłyby się ze strachu przez tysiące lat, gdy pył ich sąsiadki bez końca krążyłby w układzie jako ostrzeżenie. Takiej nauczki sam nigdy nie mógłby im dać.

Byli winni. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. A nawet jeśli nie... tak naprawdę nie miało to znaczenia, prawda? Gildia chciała zobaczyć tylko wyniki analizy danych oraz to, co z nich wynika. A to było jego zadanie. Jak dokładnie sprawdzaliby jego raport? Jak niewiele trudu wymagałoby dodanie kilku faktów, które na zawsze przypieczętowałyby los izolacjonistów?

Przywołał obraz Primy i zasalutował jej. Po twarzy przemknął mu nikły uśmiech. Dziękuję ci, pomyślał pod jej adresem. Za wszystko.

Władza była takim słodkim eliksirem.

*

Ambasador Nowego Frontu Terrańskiego, zgodnie z przewidywaniami, był wrogo usposobiony. Oni zawsze byli wrogo nastawieni. Uważali za afront konieczność oddychania tym samym powietrzem co Wariant i okazywali to sposobem mówienia, zachowaniem i wyrazem twarzy.

- Naruszono przestrzeń kosmiczną naszej stacji.

Varsav rozpoczął spotkanie siedząc, ale zaraz wstał i zaczął przechadzać się po kabinie. To oni tak na niego działali, ci izolacjoniści, odbierając nawet stymulowany przez program zdrowotny spokój i doprowadzając do takiego bezsensownego marnowania energii. Boże, jak on ich nienawidził.

- Naruszono, powiada pan. - Tak.

Prychnął, mając nadzieję, że robi to z należytą pogardą.

- Przez kogo? Turystów? Kombajn? Jakiś biedny transportowiec, który zszedł z kursu i przeleciał milion mil od granicy waszej przestrzeni?

Wysłuchiwał już takich skarg i załatwiał je zgodnie z przepisami, ale to wcale nie oznaczało, że musiał je lubić. Albo chociaż udawać, że to lubi.

Tamten miał w oczach gniew, ale na razie trzymał go w ryzach.

- Kapsuła.

- Kapsuła? - Przystanął i spojrzął na gościa. Czy jego głos wyrażał takie niedowierzanie, jakie czuł? - I osobiście przybył pan do mojego biura, ponieważ ta kapsuła, ten maleńki obiekt... przeleciał, w jakiej odległości? Miliona mil od waszej stacji? Dwóch milionów?

Ambasador odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

- Sześć tysięcy.

Sześć tysięcy mil. Coś podobnego. To rzeczywiście naruszenie prawa, pomyślał Varsav, a nie kolejny przykład izolacjonistycznej paranoi. Niezwykłe.

- Kapsuła, mówi pan.

Tamten podał mu arkusz plastiku. Varsav wziął go od niego i oparł się chęci nawiązania fizycznego kontaktu. Jeden Bóg wie, co tamten by wtedy zrobił. Zapewne po powrocie do domu kazałby sobie usunąć skórę z ręki, w obawie przed jakąś okropną infekcją. A może po prostu zabiliby go po powrocie, żeby nie skaził stacji. Do licha, ależ go kusiło... jednak jakoś oparł się pokusie. Obowiązek przede wszystkim. Może następnym razem, obiecał sobie w duchu.

Rzucił okiem na zapisaną kartę plastiku i zmarszczył brwi. To nie wyglądało dobrze. A nawet całkiem kiepsko. Ktoś naprawdę wtargnął do kosmicznej przestrzeni stacji Frontu, a to oznaczało, że Varsav powinien coś zrobić. Prawo jest prawem.

- Kiedy to było? Ambasador zawahał się.

- Prawie dwa ziemskie dni temu. Varsav prychnął drwiąco.

- I co teraz mam zrobić? Wytropić intruza?

Och, już widział, jak stracili te dwa dni, podczas gdy intruz spokojnie poleciał sobie do domu. Zwołali naradę lub dwie, żeby omówić sposób postępowania wobec takiego zagrożenia, a potem jeszcze kilka innych posiedzeń, na których dyskutowali, czy warto posyłać jednego ze swoich w przestrzeń kontrolowaną przez Wariantów, po czym rozpoczęła się długa dyskusja, kogo wysłać... Gdyby kiedyś wybuchła wojna między Ziemią a jej zmutowanymi potomkami, a ta stacja była typowym przykładem kompetencji Ziemian, to dzieci Hausmana nie miały żadnych powodów do obaw.

Wiedział jednak, że to nieprawda. To Ziemianie wymyślili terroryzm jako strategię wojenną i gdyby wrogie uczucia między Ziemią a jej potomkami kiedyś przerodziły się w otwarty konflikt, Varsav nie wątpił, że wykorzystaliby wszelkie dostępne im środki. Podczas gdy Warianci uważali, że terroryzm jest niedopuszczalny w jakichkolwiek okolicznościach... Takie nastawienie było skutkiem wychowania na stacjach kosmicznych, gdzie jedna starannie zaplanowana eksplozja mogła pozbawić życia miliony. Byłaby to paskudna wojna, pomyślał.-

Oczekujemy, że będziecie bronić świętości naszej przestrzeni. Zgodnie z podpisanym przez was traktatem.

Przez moment nie odpowiadał. Jego palce, dotykające powierzchni stojącego obok biurka posągu, zacisnęły się kurczowo.

- Bardzo dobrze - rzekł w końcu. - Ma pan rację. Wasza przestrzeń została naruszona. Czy ta... kapsuła w jakikolwiek sposób uszkodziła waszą stację?

- Nie.

- Czy zakłóciła łączność? - Nie.

- Czy stwierdziliście, że w jakikolwiek inny sposób zakłóciła działanie waszej stacji i życie obywateli?

Twarz gościa wykrzywiła wściekłość.

- Mogła nas szpiegować. Przechwytywać transmitowane dane. Zrobić pół tuzina innych rzeczy, o których nigdy się nie dowiemy. Odkrycie tego to wasz obowiązek, czyż nie?

Varsav wbił paznokcie w drewno, pozostawiając ślady, które dołączyły do dziesiątków wcześniejszych.

- Próbowaliście ją śledzić? Ustalić jej trajektorię?

- Zrobiliśmy co w naszej mocy - odparł niechętnie tamten. - Wyniki są tutaj.

Ton jego głosu świadczył, że niewiele osiągnęli. Trudno się dziwić. Może i mieli sprzęt mogący śledzić obiekty w przestrzeni Gildii, ale wątpił, by używali go dostatecznie często, aby nabrać wprawy.

- Bardzo dobrze. Skoro tak pan twierdzi. Zbadam tę sprawę. - I dorzucił: - Czy to wszystko?

Tamten nabrał tchu, najwyraźniej z trudem powstrzymując chęć wyrzucenia z siebie tego, co naprawdę myślał. To byłoby całkiem miłe, pomyślał Varsav. Wtedy on mógłby wyłączyć swoje programy korygujące i odpowiedzieć ambasadorowi takim językiem, jakiego pragnął użyć. To mogło być... interesujące.

Tamten jednak wycofał się. Patrząc na Varsava jak czujny pies, wymamrotał:

- Tak, to wszystko. - I dodał: - W załączeniu, adres, na jaki należy przesłać raport.

- Oczywiście.

Zerknął na notę i skinieniem głowy potwierdził, że przyjmuje to do wiadomości. Tamten spojrział na niego z wściekłością, ale nie znalazł konkretnego powodu do dalszej konfrontacji, więc ze zmarszczonymi brwiami opuścił pokój, jak warczący pies zmuszony do odwrotu.

Varsav najchętniej wpakowałby ten przeklęty raport do niszcarki, razem z terrańskimi izolacjonistami, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Front miał wszelkie prawo zestrzelić każdego intruza, który znalazł się tak blisko stacji. Varsav był pewny, że nie zrobili tego bynajmniej nie dlatego, że zlitowali się nad pasażerem kapsuły, lecz po prostu nie mieli wycelowanych dział we właściwym kierunku i w odpowiedniej chwili. No cóż, z pewnością już naprawili ten błąd. Tymczasem, jako gildmistrz powinien dziękować losowi, że ma na głowie spóźnioną o dwa dni skargę na zabłąkaną kapsułę, a nie tłumy dziennikarzy nagabujących go z powodu jakiegoś niewinnego turysty, który zabłądził i został zestrzelony przez ekstremistów, co kiedyś miało miejsce w pobliżu stacji Destiny i miał nadzieję, że już nigdy się nie powtórzy.

Gdyby można ustanowić prawo, zgodnie z którym w kosmos mogą polecieć tylko cywilizowani ludzie...

Z westchnieniem wezwał adiutanta i wręczył mu arkusz z danymi. Zobaczymy, co uda się odkryć dwa dni po fakcie. Podejrzał, że kapsuła odleciała już daleko, zapewne na jakąś stację, a może do innego węzła. Dwa dni to w kosmosie długi okres czasu. No cóż, trzeba spróbować. A potem przesłać raport Frontowi, który będzie protestował i narzekał... krótko mówiąc, biznes jak zwykle. Stacje terrańskich izolacjonistów były paskudne i piekielnie niebezpieczne, ale przewidywalne. Natomiast kapsuła... Prawdopodobnie leciał nią jakiś znikowany nastolatek. „Przydzwonił stacji” - tak to nazywali. Każde pokolenie ma swoje idiotyzmy, a obecne zdawało się lubować w zuchwałym naruszaniu prawa. Trzeba sprawdzić zapisy z kanałów edukacyjnych i zobaczyć, za co ostatnio aresztuje się młodych ludzi. Może powinno się dodać wykład lub dwa na temat: „Dlaczego nie powinienem drażnić izolacjonistów”. Albo jeszcze lepiej, pomyślał ponuro: „Jak nie popełniać głupstw i przeżyć okres dojrzewania”.

Może ten wykład powinien być obowiązkowy dla wszystkich niedoszłych hakerów. Niektórym z nich bardzo by się przydał.

*

Wiadomość przyszła, kiedy nie pełnił służby. Nic nie szkodzi. Nie miał nic przeciwko temu, żeby go budzono z ważnego powodu. Postukał w interkom i wymamrotał:

- Co jest?

- Kazał pan natychmiast meldować, jeśli znajdziemy coś w materiale ze stacji Frontu - usłyszał ochryply głos. Mówił dyrektor działu programowania i jego głos wyraźnie zdradzał zmęczenie wielogodzinną pracą. - Myślę, że coś mamy.

Słyszając to, natychmiast wytrzeźwiał i włożył hełm. Magnetyczne styki trafiły na miejsca i w polu widzenia ujrzał początkowe ikony. Zalogował się i powiedział:

- Pokażcie mi, co macie.

Zaraz odebrał przekaz, który wyświetlił się w jego polu widzenia. Zamknął oczy, żeby lepiej widzieć.

BĘDĄ KŁOPOTY. WRÓG SZUKA DZIECI. WYŚLAĆ WSZYSTKIE DO DOMU.
LUX AETERNA.

Natychmiast odechciało mu się spać. Raz po raz zaciskał dłonie na kocu, czytając tę wiadomość. Do licha, wyglądała obiecująco.

- Skąd to macie? - zapytał.

- Wysłał ją główny komputer Frontu.

- Czy wiecie do kogo?

- Mamy kody - odparł po krótkim wahaniu dyrektor. - Pracujemy nad tym. Sądziłem, że zechce pan to natychmiast zobaczyć.

- Racja. Chciałem. Dziękuję.

Jezu, przyłapali na czymś tych drani, nareszcie! Czy chodziło o Lucyfera? Podpis wyraźnie to sugerował. A jeśli tak... Zaczerpnął tchu, czując ogarniającą go euforię. Widział dwóch pilotów zabitych przez to świństwo. Jeden z nich umarł w jego ramionach, szamocząc się w plastostalowych więzach, które nie pozwalały, by rozszarpał sobie gardło. Varsav poprzysiągł zemstę twórcy Lucyfera, niezależnie od tego, co zamierzała z nim zrobić Gildia. Zginęli jego ludzie, kosmopiloci będący pod jego opieką, za których on był odpowiedzialny. Ten, kto ich zaatakował, rzucił wyzwanie jemu.

A teraz być może znaleźli sposób, żeby załatwić tego drania.

Ponownie przeczytał wiadomość. Miała zdecydowanie konspiracyjny ton. I pojawiła się w odpowiedzi na poszukiwania Lucyfera... Zerknął na datę i czas, sprawdzając, kiedy ją wysłano. Ze względu na ogrom danych, jakie musieli sprawdzać jego ludzie, mogło to być kilka godzin temu. A nawet dni.

Spojrzał na datę transmisji. Rzeczywiście, jakiś czas temu. Prawie dwa dni. Dostatecznie długo, by trop wystygł... Jeśli w ogóle zdołaliby za nim pójść. Front na pewno nie pozwoliłby im zajrzeć do komputerów stacji bez nakazu Primy, a nawet z nim - nie bez oporu.

Dwa dni...

Męczyła go jakaś myśl. Usiłował ją ignorować i ponownie skupić się na rozmyślaniach, jak przyjemnie byłoby udowodnić, że izolacjoniści byli zamieszani w aferę Lucyfera. A jeśli to oni go stworzyli? I gdyby znalazł na to dowód? Albo... go spreparował?

Dwa dni.

Usiłował nie pamiętać o człowieku, który zaledwie dwie godziny wcześniej stał w jego gabinecie, składając skargę na pogwałcenie przestrzeni stacji Frontu. Usiłował ignorować ten fakt, ponieważ nie miał on żadnego związku z...

Czy naprawdę?

Ze zduszonym jękiem mignął ikoną i wywołał swoją skrzynkę pocztową. Skarga Frontu była tam, czekała na włączenie do akt. Przeczytał ją ponownie, szukając informacji, kiedy doszło do naruszenia przestrzeni kosmicznej.

Potem wywołał przechwyconą przez jego ludzi wiadomość.

I głośno zaklął.

- Sir?

Uderzył interkom tak mocno, że nie tylko go wyłączył, ale wyrwał przycisk z obudowy. A także mignął ikoną wyłączającą korektory mowy i bluznął potokiem wulgarnych i wściekłych przekleństw, dając upust trawiącej go nienawiści.

Później znów mógł trzeźwo myśleć.

Kapsuła znalazła się w przestrzeni stacji mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nadano wiadomość. Nie dokładnie w tym samym. Związek między tymi wydarzeniami nie był oczywisty. Gdyby go teraz zignorował i w przesłanym Primie raporcie wspomniał tylko o przejętym liście, nikt nie mógłby tego kwestionować. Nie ulegało wątpliwości, że Front był zamieszany w jakieś brudne sprawy, prawda? Czy to nie wystarczy? Do diabła, był prawie gotowy spreparować jakiś fałszywy dowód, żeby tylko narobić tym draniom kłopotów. Czy tak trudno byłoby mu teraz nie wspomnieć o tym, że ten pozornie obciążający dokument może być w jakiś sposób powiązany z naruszeniem ich przestrzeni kosmicznej?

Chciał, żeby ten list został wysłany przez Front. W głębi serca wiedział, że tak było.

A jeśli nie?

Wstał z łóżka i zaczął przechadzać się po kabinie. Czasem łatwiej mu się myślało, kiedy jego ciało mogło się swobodnie poruszać. Mijając lustro, dostrzegł w nim swoje odbicie. Dziwnie było widzieć siebie bez munduru. Był na wskroś członkiem Gildii, zawsze i wszędzie, więc nie mając jej emblematu, czuł się podwójnie nagi.

Jeśli skłamię... nie, nie nazywaj tego kłamstwem, powiedział sobie, nazwij to twórczym przeoczeniem... Wtedy nie będzie dalszego śledztwa.

I prawdziwy twórca Lucyfera nigdy nie zostanie zdemaskowany.

Przypomnił sobie pilota, który umierał w jego ramionach, przypomniał sobie, jak poprzysiął wówczas, że choćby miał to być ostami czyn w jego życiu, dopilnuje, by twórcę wirusa spotkała sprawiedliwa kara. Nienawidził go nawet bardziej niż Frontu, gdyż ten ostatni był zaledwie irytującą plamą w przestrzeni jego węzła, podczas gdy twórca wirusa... zabił jego ludzi. Ludzi, za których Varsav był osobiście odpowiedzialny. Ten wirus przeniknął do węzła adamantyńskiego i na jego oczach zaatakował kosmopilotów. To był osobisty afront i nie można o tym zapomnieć.

Jeśli teraz doprowadzi do zamknięcia śledztwa, sugerując Gildii, że znalazł winowajców... Ta zniewaga nigdy nie zostanie pomszczona. Który wróg był gorszy? Który stanowił większe zagrożenie dla Gildii? Dlaczego Bóg obdarzył go taką władzą tylko po to, by nie pozwolić mu z niej skorzystać?

Przystanął przed lustrem i patrzył w nie, wodząc wzrokiem po swoim odbiciu. Wiedział, czego wymaga od niego obowiązek. A także, czego domaga się jego serce.

Nie nazywaj tego sumieniem. Nie, sumienie to za mało. Nazwij to... zemstą.

Z jękiem żalu wywołał pusty ekran notatnika i zaczął zapisywać polecenia dla swoich ludzi.

XVIII

TANJI

Tanji nie boi się. Strach jest dla istot, które są samotne. Tanji nigdy nie jest sam.

Kiedy jest słaby, podtrzymują go inni. Kiedy jest silny, to on ich podtrzymuje. Przyływy i odpływy niezależności są dla niego równie naturalne jak pulsowanie krwi w jego żyłach.

Wspólnota jest bezpieczeństwem.

Samotność jest strachem.

Izolacja jest śmiercią.

KAJA: „Kosmiczny przewodnik po guerańskim systemie społecznym”, tom II: Znaki duszy.

STATEK „EXETER

Wszystko się zmieniło.

Allo, Sumi i wszyscy inni nadal zwracali się do niej uprzejmie, a nawet podejmowali pozornie spontaniczne próby zaprzyjaźnienia się z nią między wszystkimi tymi pytaniami, jakie jej zadawali - na większość których nie mogła, albo nie chciała odpowiedzieć - ale teraz nie wydawały się one szczerze. Czy to dlatego, że oni się zmienili, czy też ona nie potrafiła już ich zaakceptować? A jeśli to ostatnie, to dlaczego?

Oczywiście, wiedziała, kiedy to się zaczęło. W chwili, gdy Calia wyjęła sondę z jej ramienia, w chwili, gdy w kabinie padły słowa „radiolokator Gildii”, w nich wszystkich zaszła jakaś nieuchwytna, trudna do określenia zmiana. Jej relacje z nimi również uległy zmianie, chociaż nie umiałyby wyjaśnić, pod jakim względem. Słowa, spojrzenia i gesty były te same, lecz zmieniły się związane z nimi emocje. Brakowało jej punktu odniesienia, aby zdefiniować tę zmianę czy choćby ją zrozumieć. Ale jedno było pewne.

Powinna coś zrobić. I to szybko.

Derik powiedział to pierwszy, jak zawsze kategorycznym i agresywnym tonem. Verina przytaknęła mu, zwiększając wagę tej myśli. W końcu zgodziło się nawet dziecko, co było przejawem rzadkiej zgodności zdań. Tylko Zusu powstrzymała się od wypowiedzi... lecz Zusu tak obawiała się konsekwencji wszelkich działań, że wolała kulić się w ciemnym zakamarku ich wspólnego mózgu, przerażona tym, co mogą zrobić jej pozostali. Tak więc w takich sprawach trudno było liczyć na jej radę.

Teraz nie wystarczy być czujną, ostrzegały głosy. Jamisia powinna podjąć działania, przeanalizować sytuację i zdecydować, w jaki sposób zamierzają opanować. Już pozwoliła, by wróg wygnał ją z domu i ograniczył jej ruchy na liniowcu, a teraz pozwalała mu kontrolować się i tutaj. Trzeba z tym skończyć. Jeśli na to pozwoli, ten niewidzialny, bezimienny wróg, którego cień wisiał nad nią jak całun, zapanuje nad całym jej życiem, aż w końcu zażąda w ofierze i tego. Nie można na to pozwolić.

Musi nad tym zapanować.

Musi coś zrobić...

Tylko co?

Niełatwo było jej się przestawić. Przez całe życie zawsze polegała na innych i była z tego zadowolona. Najpierw sześć lat cudownego dzieciństwa z rodzicami, a potem, po ich śmierci, opieka korporacji Shido. Była zadowolona, wiodąc życie nastolatki w tym przyjemnym otoczeniu, bawiąc się z rówieśnikami w przekonaniu, że firma zawsze będzie się o nią troszczyć. Przekonana, że nic złego nie może się zdarzyć.

Niestety, myliła się. Zdarzyło się coś bardzo złego.

I teraz musiała się z tym uporać.

Kazała monitorowi pokazać srebrzysty ekran, który posłużył jej jako funkcjonalne, chociaż trochę zamglone lustro. Przejrzała się w nim. Już nie było dla niej zagadką, dlaczego widywała w lustrach obce twarze. Teraz cisnęły się w jej wyobraźni, jak widma. To zjawisko nadal było szokujące, ale już jej nie przerażało. Nie, pomyślała, wyciągając rękę i dotykając smukłym palcem ekranu. Nie jestem sama. Z pomocą wszystkich tych jaźni na pewno wymyśli jakiś plan działania. A przynajmniej jakiś sposób na to, by odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Chyba już czas, prawda?

Najwyższy czas, przytaknął Derik.

Allo powiedział, że minie kilka dni, zanim będą mogli wykonać skok. Zanim powierzy swój statek - i Jamisę - w ręce Gildii, chciał mieć pewność, że ich radiolokator znajduje się bardzo, bardzo daleko. Powiedział jej, że Tam niepostrzeżenie podrzucił go jakiejś turystce, mocno zbudowanej kobiecie z którejś z planet o wysokim ciężeniu. Na krótki czas zatrzymali się na jednej z hotelowych stacji i Tam wtedy to zrobił. Belial zajął ją rozmową, ustalając jej plan podróży - i niewielki poziom inteligencji - podczas gdy jego bliźniak włamał się do jej logu i stwierdził, że idealnie nadaje się do ich celów. Miała odwiedzić pięć różnych stacji w węźle Reijik - przyjemna wycieczka po kurortach i centrach turystycznych, z jakich sływał ten węzeł przestrzeni. Doskonale. To oznaczało, że radiolokator i jego obecna nosicielka nie wpadną w ręce Gildii co najmniej przez e-miesiąc, tak więc minie sporo czasu, zanim ktoś się zorientuje, iż ten kosztowny aparacik znajduje się w niewłaściwym ciele. Do tego czasu kobieta będzie odwiedzać stację za stacją, jakby robiła to uciekinierka, co nie powinno obudzić podejrzeń śledzących ją komputerów.

A to wszystko oznaczało, że Jamisi na razie nic nie grozi.

Przynajmniej ze strony Gildii.

Ze strony załogi stateczku nie słyszała żadnych grózb, ale wiedziała, że wisiały w powietrzu. Słyszała szepty i choć nie była w stanie rozróżnić słów, zdawała sobie sprawę z tego, że zapowiadają kłopoty. Zdania urwane w połowie, gdy wchodziła do kabiny, tak znacząco, że nie mogła tego nie zauważyć. Załoga statku rozmawiała z nią tak jak przedtem, lecz ich słowa nie miały już znaczenia. Wydawało się, że grają na zwłokę. Czekać... na co?

Może gdzieś była na to odpowiedź. Albo... albo wszystko to tylko sobie wyobraziła. Co było całkiem prawdopodobne. A jeśli ci ludzie nie mieli żadnych złych zamiarów i tylko paranoiczny lęk jednego z Innych kazał jej sądzić, że jest inaczej? Ich niepokoje niepostrzeżenie oddziaływały na jej świadomość, a nie wszystkie były usprawiedliwione. Ten, który wciąż płakał, cierpiał na silną paranoję i kiedy czasami myśli stykały się, Jamisia kulila się pod ciężarem jego przerażenia. Czyżby to on był odpowiedzialny za jej obawy?

Czyżby źle oceniła tych ludzi? Jak mogła być pewna swoich własnych myśli, skoro do jej umysłu nieustannie cisnęła się świadomość kilku innych osób?

Me bądź idiotką, warknął Derik. Oni coś knują. Dowiedz się co.

W końcu przekonała ją niezwykła jednomyślność Innych. Od kiedy ich знаła, rzadko zgadzali się w jakiegokolwiek sprawie. A tym razem byli zgodni. *Coś jest nie tak*, ostrzegał wewnętrzny głos i oczami duszy widziała tuzin kiwających głowami postaci. Nikt się nie spierał, nawet dzieci. To było cholernie przekonujące.

Czas odzyskać kontrolę nad własnym życiem, pomyślała ponuro. A potem dodała, zanim ktoś zdążył ją poprawić: *Naszym życiem.*

Miała nadzieję, że to okaże się łatwiejsze, niż sądziła.

*

Tam przyszedł do niej pięć godzin przed planowanym przybyciem na stację tranzytową. Był szorstkim człowieczkiem, który rzadko na nią spoglądał, o palcach najeżonych specjalistycznymi narzędziami, które nosił jak sztuczne paznokcie na czubkach cienkich, bladych palców.

- Przyszedłem zająć się twoim hełmem - powiedział. Obrzucił spojrzeniem kabinę, przez moment patrzył na nią i znów odwrócił wzrok. - Przygotować cię. Na *ainniq*.

Zawahała się, ale podała mu hełm, pytając:

- A co dokładnie chcesz zrobić?

- Zaprogramować go.

Zręcznymi palcami otworzył obudowę hełmu i podłączył coś krystalicznie lśniącego w środku z metalowym pręcikiem umocowanym na jego wskazującym palcu. Jeśli hełm jakoś na to zareagował, to najwyraźniej w sposób zadowalający technika. Tam zatrzasnął obudowę, włożył go sobie na głowę i zamknął oczy. Widziała, jak jego gałki oczne poruszają się tam i z powrotem pod zaciśniętymi powiekami, gdy przeglądał dane. Zdawał się nie pamiętać o jej obecności, podróżując przez jakąś komputerową krainę. Czekala w milczeniu. W końcu zdjął z głowy półksiężycowaty hełm i oddał jej.

- W porządku, gotowe. Usiłując ukryć lęk, zapytała:

- Co z nim zrobiłeś?

Po jego twarzy przemknął grymas irytacji i zobaczyła, że przez moment spoglądał w dal, niewątpliwie prowadząc jakąś wewnętrzną rozmowę. Może wyjaśniał bliźniakowi, że ta dziewczyna z Ziemi robi mu trudności i zatrzymuje go dłużej, niż przypuszczał?

- Przeprogramowałem go na czas przestoju.

Raven zachęciła ją do dalszych pytań i Jamisia posłusznie zapytała:

- A co dokładnie?

Zmarszczył brwi. Miał do tego wszelkie prawo. Każde dziecko powinno wiedzieć, co oznacza czas przestoju, i rozumieć, dlaczego przeprogramował jej hełm. Raven jednak chciała usłyszeć jego odpowiedź na to pytanie, a Jamisia nie była w nastroju, by się z nią spierać.

- Wejdziemy w *ainniq* - powiedział. Mówił krótko i zwięźle, jak komputer podający komunikaty w hali odlotów. - Nasz statek ma status C, co oznacza, że możemy pozostać na pokładzie, kiedy wezmą go na hol, ale Gildia wymaga, by podczas przejścia wszyscy pasażerowie byli uspieni lub przynajmniej oszołomieni środkami uspokajającymi.

- A wiedzieliby, gdyby tak nie było? Najwyraźniej zaskoczyła go tym pytaniem.

- Podobno mają program sprawdzający aktywność fal beta. Może i nie. Tylko czy chciałabyś ryzykować? Wiedząc, że każdy naruszający prawa Gildii może na zawsze stracić dostęp do *ainniq*! To bardzo surowa kara. - Potrząsnął głową. Najwyraźniej nie wierzył, że ktoś zechciałby tak ryzykować - I tak niczego byś nie zobaczyła. Podczas lotu statek będzie zamknięty w luku.

Udawiała naiwną.

- A na co zaprogramowałeś mój hełm?

- Na fale teta. To najlepsze wyjście i skorzystają z niego wszyscy prócz kapitana. Środki uspokajające źle wpływają na program zdrowotny, a ich skutki nie ustępują zbyt szybko. - Zmierzył ją bystrym, drapieżnym spojrzeniem. - Nigdy przedtem nie leciałaś przez *ainniq*!

- Raz. Z Ziemi na Reijik. Przespałam cały lot.

- Tak jest najlepiej. Wierz mi. Na większości statków wszyscy zasypiają. Potrzebne jest specjalne zezwolenie, żeby tego uniknąć.

- Allo ma takie zezwolenie?

Zawahał się tylko przez ułamek sekundy, a potem kiwnął głową. Założyłaby się, że to potwierdzenie było co najmniej w połowie kłamstwem. Czy Allo ukradł to zezwolenie? Podrobił je? Nagle w myślach dodała dwa do dwóch i zrozumiała, czym zajmuje się załoga tego statku. Domyśliłaby się tego prędzej, gdyby przezornie nie trzymali jej z daleka podczas wyładunku. Teraz wiele fragmentów łamigłówni nagle ułożyło się w wyraźny, zrozumiały obraz.

- Oczywiście - mruknęła. To jasne, że przemytnicy mieli takie zezwolenie. Z pewnością woleli nie zapadać w sen podczas transportu. Była gotowa założyć się, że Allo nie podda się działaniu środków uspokajających, chociaż nie wiedziała, jak ominie kontrolę

przedstawicieli Gildii. Odniosła wrażenie, że gildziarze kontrolują wszystko bardzo dokładnie. - Dobrze się zabezpiecza, prawda?

Natychmiast pożałowała ostrego tonu, jakim powiedziała te słowa, ale Tam chyba nie zwrócił na to uwagi.

- Stara się - przytaknął. - No nic, według lokalnego czasu zostało nam pięć godzin do przejścia. Sądzę, że ostatnie ostrzeżenie otrzymamy mniej więcej pół godziny wcześniej. Do tego czasu powinnaś przygotować się na stan nieważkości, na wszelki wypadek. Potem połóż się, zapnij pasy i uruchom program zdrowotny... Zanim się obejrzysz, będziesz na Paradise.

Odrzucił się, by wyjść, lecz ona jeszcze miała pytania.

- Dlaczego oni to robią? - zapytała. - Dlaczego każą nam spać? Czy tak bardzo obawiają się, że moglibyśmy... właściwie co?

Obrócił się i wytrzeszczył oczy, wyraźnie zdumiony ogromem jej niewiedzy. Niemal słyszała słowa: „Czy na Ziemi niczego was nie ucza?”.

- W *ainniq* są drapieżcy - odparł w końcu. - O tym chyba wiesz? Stwory, które wyrwą ci duszę z ciała i pożrą ją na lunch. - Kiwnęła głową. - No cóż, podobno przyciągają je niektóre typy aktywności mózgu, tak jak zapach krwi przyciąga ziemskie rekiny. Oczywiście, Gildia tego nie potwierdza. Nie zamierzają ujawniać nam niczego, co dzieje się w *ainniq*. - Przez moment w jego oczach pojawił się błysk nienawiści, nieskrywanej przez konwenanse. Jak większość Wariantów, nie lubił Gildii. - Mówiono mi, że usypiają nas na czas przejścia głównie dlatego, by nie wyczuły nas te potwory. To samo dotyczy programu uspokajającego. Nie wygasa fal mózgowych, ale obniża ich aktywność. Albo maskuje.

- Przecież kosmopilot jest przytomny - zauważyła. - Musi być, żeby kierować statkiem. Prawda?

- Tak - odparł. - I może dlatego nie wszystkim statkom udaje się przejść. - Wrogi błysk znikł z jego oczu, lecz nie całkiem.

- Rozumiesz, to wszystko tylko pogłoski. Gildia nie zamierza dzielić się z nami swoimi tajemnicami. Wiemy tylko, że oni mogą przeprowadzić statek przez *ainniq*, a nikt inny tego nie potrafi. Czy coś poza tym ma jakieś znaczenie? Każą nam spać, więc śpimy. - Na moment zamknął oczy, zapewne sprawdzając czas.

- Przejście o 7.28 czasu standardowego - powiedział. - Do tej chwili uruchom program, dobrze?

Potem spojrzał na nią - naprawdę na nią, nie obok lub przez nią, jak dotychczas - i chyba dopiero teraz pojął, jak gwałtowna była ta jego krótka przemowa. Wzrok znów mu się zamglił, gdy nawiązał jakiś wewnętrzny dialog, po czym rzekł:

- Posłuchaj, ten program obudzi cię najdalej godzinę po przejściu. Nie ma się czym przejmować. Naprawdę.

Nie ma się czym przejmować.

Te słowa wcale jej nie uspokoiły. Za ledwie zamknęły się za nim drzwi, a już pół tuzina głosów w jej głowie ostrzegało ją przed niebezpieczeństwem takiej sytuacji, opisując, co Allo i gildziarze mogli jej zrobić, kiedy będzie uśpiona i bezbronna. Lekko drżącą ręką podniosła hełm. Czy było w nim teraz coś jeszcze oprócz programu, o którym mówił Tam? Skąd mogła wiedzieć? Raven najlepiej z nich wszystkich знаła się na programowaniu, ale nawet ona nie była ekspertem. Jak miała się dowiedzieć, co zrobił Tam, i zmienić program? Zaciśnęła palce na cienkim plastiku i w jej duszy zaczął rodzić się zimny strach. Ta sytuacja ją przerastała. Wszystkie głosy rozbrzmiewające w jej głowie nie potrafiły udzielić żadnej sensownej rady. Z tego, co słyszała, wynikało, że Tam był programistą przyzwyczajonym do łamania prawa. Czy zwykły człowiek mógł odkryć, co zrobił z hełmem, i wykasować te zmiany? Strach zmienił się w zimną rozpacz, która niczym pięść uderzyła jej serce, i Jamisia kurczowo zaciśnęła dłoń na hełmie, jakby, zgniatając go, mogła pozbyć się wszystkich problemów. Poczula, jak w jej jaźni budzi się jeden z Innych, jak jego świadomość wynurza się niczym rozpaczliwie walczący o łyk powietrza pływak... Zusu? Me, błagała, *nie, nie teraz, muszę to przemyśleć, pozwólcie mi, proszę.*

A wtedy pojawił się jeszcze ktoś. Jak ognisty płomień eksplodował przez warstwy jej świadomości, odpychając Innych, którzy weszli mu w drogę. Zusu ledwie spojrzała na niego i uciekła, przerażona. Jamisia chciałaby zrobić to samo. Od kiedy poznała Innych, żaden z nich nigdy nie był równie wściekły. Furia tego nowo przybyłego była tak straszna, tak oszałamiająco gwałtowna, że dopiero kiedy opanował wszystkie jej zmysły, uświadomiła sobie, kim jest.

Pieprzyć to wszystko! - warknął Derik. Gniew szalał w nim jak wichur, poryw zniechęcenia i wściekłości, skierowany przeciw nim wszystkim. *To nazywacie działaniem? Te bzdury? Ja wam pokażę działanie!*

Jamisia z przerażeniem ujrzała, że jej własna dłoń ujmując hełm i z całej siły ciska nim o podłogę. Plastikowa obudowa z głośnym trzaskiem uderzyła o pokład i odbiła się od niego. Elastyczny plastik i niskie ciśnienie na statku w połączeniu z siłą uderzenia sprawiły, że hełm poszybował w powietrzu. Potem ponownie opadł na podłogę, a on mocno przydepnął go nogą, łamiąc delikatne obwody...

Nie!!! Wyłoniła się i ponownie przejęła kontrolę nad swoim ciałem, chcąc go powstrzymać. A przynajmniej próbowała. On jednak trzymał ją w żelaznym uścisku i nie miał zamiaru ustąpić.

- Trzymaj się z daleka! - warknął. - Robię to, co trzeba zrobić!

Unióś nogę, zamierzając rozgnieść hełm, ale pozbawiła go równowagi na tyle, że chybił o kilka centymetrów. Zaklął pod nosem, odepchnął ją i ponownie unióś nogę. Tym razem jednak Jamisia nie była osamotniona w swych wysiłkach. Pomogła jej Verina i Raven, a po chwili nawet Katlyn i Zusu. Nigdy dotychczas nie próbowały razem przejąć kontroli nad jej ciałem, a już na pewno nie wbrew woli jednego z nich. Do licha, ależ był silny! Ogarnięty szałem, był silniejszy niż wszyscy pozostali razem wzięci. W końcu taka już jego natura. To on szalał z wściekłości, kiedy lekarze wszczepiali Jamisi bolesne wspomnienia. On grał rolę mściciela, obrońcy. Inni nigdy nie pozwalali mu wyładowywać tego gniewu w chwilach, kiedy mogło im to zaszkodzić... aż do tej pory.

Deriku! To przemówiła Verina, głos rozsądku. *Nie bądź idiotą! Jeśli zniszczysz hełm, zorientują się, że wiemy, nie rozumiesz?*

Zawahał się. W nagłej ciszy Zusu jęknęła: *Ja nie chcę lecieć do ainniq bez hełmu...*

Zamknij się! - powiedziało jej tuzin głosów.

Deriku?

Ledwie mógł coś dojrzeć przez wszystkie wiadomości, jakie program zdrowotny wyświetlił w jego polu widzenia. Mignął ikoną zamykającą ten przeklęty program i nie odpowiadał nikomu, dopóki nie znikł ostatni czerwony komunikat ostrzegawczy.

- *Tak?*

Po pierwsze, nie mów głośno. Wiesz, że zapewne jesteśmy obserwowani. Ogranicz się do wewnętrznych wypowiedzi.

Nabrał tchu. Nadal wrzał z gniewu. Jamisia trzymała się w bezpiecznej odległości, obawiając się, że mógłby ją wchłonać. Zusu kuliła się w kącie, przerażona.

Deriku...

Tak. Boże, jak on nie lubił przyznawać im racji. Przekłete dziewczyny! Z groźnym warknięciem postawił nogę na podłodze, dobre pięć centymetrów od leżącego tam hełmu. Czuł je wszystkie w sobie, spięte, gotowe znowu z nim walczyć, jeśli spróbuje zrobić coś głupiego. Niech je diabli!

W porządku, powiedziała Verina, głos rozsądku. *Teraz posłuchaj mnie. Nie włożymy hełmu, jeśli jesteś temu przeciwny. Dobrze? Tylko że jeśli go rozbijesz, dowiedzą się - na*

pewno mogą to jakoś stwierdzić - a z całą pewnością zauważą to później. Prawda? Tak więc zostaw go w spokoju. A kiedy minęła minuta i nie odpowiadał, zachęciła łagodnie: Deriku?

Taaak, warknął. Rozumiem.

Zusu zaczęła płakać. Zawtórowało jej jedno z dzieci, a potem drugie. Połączenie ich łez, furii Derika i własnego strachu tworzyło okropną mieszankę i Jamisia wiedziała, że gdyby w tym momencie miała kontrolę nad własnym ciałem, to na pewno by zwymiotowała.

Śłuchajcie, rzekł stanowczo Derik. Widać było, że z trudem powstrzymuje się, by nie powiedzieć tego na głos. Milczenie nie przychodziło mu łatwo. Już nie uszkodzę hełmu, w porządku? Jednak nie założymy go na czas przejścia ani w ogóle. Pieprzyć tych drani! Bóg wie, co z nim zrobili. Dlatego wybijcie sobie z głowy drzemkę. Zrobimy to z otwartymi oczami i tyle! Rozumiecie, dziewczyny?

Odpowiedziała mu cisza. Rozważono protest i nie wyrażono go. Oczywiście, wszyscy mieli wątpliwości. Zignorował je.

W końcu jedno z dzieci mruknęło: A co ze smokami, Deriku?

Niech szlag trafi smoki, odparł. Jeśli nas dostaną, to przynajmniej umrzemy, walcząc.

One pożerają duszę... - zaczął ktoś inny.

Z gniewnym okrzykiem rzucił hełmem o ścianę. Urządzenie odbiło się od niej i upadło na łóżko, grzechocząc, jakby coś się w nim odłamało. *Pieprzyć smoki, pieprzyć ten statek, pieprzyć wszystkich i wszystko, co na nim jest! Mówiliście, że chcecie coś zrobić, no nie? A nie tylko siedzieć i czekać, gdy inni ludzie kontrolują wasze życie. Prawda? PRAWDA?*

Minęła sekunda. Kilka głosów niepewnie potwierdziło.

A więc dobrze. Przejmuję dowodzenie. Jeśli ktoś z was czuje się w tym lepszy, może ze mną walczyć. Mam dość waszego głędzenia, rozumiecie? Dlatego teraz ja rządzę, a wy macie słuchać. Zrozumiano?

Tym razem minęło kilka sekund, zanim otrzymał potwierdzenie. A i wtedy udzielili mu go z namysłem, ostrożnie. Było oczywiste, że pozostali nie byli zadowoleni z tego, co zrobił... i równie oczywiste, że sami nie chcieli przejąć dowodzenia. Nawet Jamisia znalazła dziwną pociechę w jego gniewie, jakby wyrażał emocje, które zbyt długo tłumila.. Tak, niech na jakiś czas przejmie kontrolę. Poczwała ulgę. Wprawdzie przerażał ją i nie ufała jego umiejętności oceny sytuacji, ale Verina na pewno będzie go czujnie obserwować, a tymczasem...

Tymczasem ona będzie mogła odpocząć. Odprężyć się. Wyłączyć. Czyż nie to robili czasem pozostali, kiedy nie chcieli się w coś angażować? Miło byłoby przez jakiś czas niczym się nie martwić i nie mieć do czynienia ze zmartwieniami Innych. Jak oni to robią?

Verina tłumaczyła jej kiedyś. Coś o wyłączaniu się, odcinaniu bodźców czuciowych, tak by pozostały tylko myśli... nazywała to rodzajem snu. Czasem potrzebujesz go, jeśli bez przerwy masz w głowie tuzin głosów.

Tu, szepnął łagodny głos. Pokażę ci.

Ujęła dłoń. I poszła w ciemność.

Spokój.

*

Zapinając kombinezon, Derik usłyszał pukanie do drzwi. Zaskoczony, przez chwilę nie mógł trafić w dziurkę, a potem zacisnął zęby i przepchnął przez nią mały plastikowy krążek. Lepiej, by nikt nie zobaczył go niekompletnie ubranego. To zepsułoby wszystko.

- Wejść - mruknął.

Deriku, jeśli chcesz, któraś z nas...

Odpieprzcie się, burknął. Do wszystkich. Zdołał uśmiechnąć się do Sumiego, jednocześnie myśląc pod adresem Innych: Dzięki za zaufanie.

- Zbliżamy się do stacji tranzytowej - powiedział Sumi. - Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Zobaczył, że Meduzanin spogląda na jego ciało i usiadł na łóżku. W ten sposób tamten miał mniej do oglądania.

- Nic mi nie jest. Dziękuję.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie. - A kiedy ta odpowiedź okazała się niewystarczająca, odparł z cieplejszym o kilka stopni uśmiechem: - Naprawdę.

Deriku, to ci nie wychodzi - ostrzegła Katlyn. Może ja ci pomogę.

Nie przestając się uśmiechać, odpowiedział jej przecząco. Nie ma mowy, żeby dzielił się z dziewczyną. Którąkolwiek dziewczyną. A poza tym, co Kat chciała zrobić? Podniecić go tak, żeby nawiązał fizyczny kontakt? I co potem? *Stawka jest za wysoka na takie zabawy, warknął. Sam to załatwię.*

- To dobrze. - Przez chwilę Sumi tylko spoglądał na nią - może usiłując określić te nieuchwytną zmianę lub pogodzić się z nią - a potem ruchem głowy wskazał leżący obok hełm. - Trzydzieści minut do zanurzenia. Lepiej to włożyć. Zdobył się jakoś na czarujący uśmiech i podniósł hełm.

- Dziękuję. - Potem wstydliwie spuścił wzrok, robiąc zmieszana minę. - Sumi, jestem trochę spięta, to wszystko. Po skoku będzie dobrze i...

Pozwolił mu domyślić się reszty.

- Nie ma sprawy.

Sumi wyraźnie się uspokoił. Cokolwiek miał tu zrobić, najwyraźniej wykonał polecenie. Derik mógł sobie wyobrazić, co powiedział kapitan: „Masz jej włożyć ten cholerny hełm, choćby przemocą. Upewnij się, że ma go na głowie”.

Nie, niczego takiego nie powiedział. Tylko idiota poleciałby przez *ainniq*, nie dając się uspić i narażając wszystkich na niebezpieczeństwo. Ta Ziemianka nie jest przecież taka głupia. Prawda?

Jedno z dzieci prychnęło.

Sumi zaczekał, aż włożyła hełm na głowę (a więc może jednak o to chodziło), a potem skinął głową na pożegnanie i zostawił dziewczynę samą.

Me *samą*, pomyślał z satysfakcją Derik. *Nigdy samą*.

Raven nadal sortowała akta, które pobrał z biblioteki statku. Miała własne oprogramowanie, które to robiło, więc nikomu nie przeszkadzała. Verina i Katlyn oglądały wideofilm o życiu na Paradise. W polu widzenia widział migoczące obrazy, ale nic nie mógł na to poradzić. Nawet ich oprogramowanie nie odcinało całkowicie wideościeżek. Tak więc, po latach chowania się w różnych zakamarkach mózgu Jamisi, wreszcie nauczyli się wspólnie egzystować. On też to teraz robił, ignorując podejmowane przez pół tuzina innych osobowości wysiłki, które być może okażą się niezwykle przydatne, jeśli uda im się opuścić ten statek.

Z westchnieniem mignął ikonami, które na kilka następnych godzin blokowały dostęp do jego mózgu, zarówno oprogramowaniu hełmu, jak wszelkiemu innemu. Raven pokazała mu, jak odłączyć procesor hełmu - wciąż działającego, chociaż najwyraźniej lekko uszkodzonego - ale mimo to nie zamierzał ryzykować. Podejrzewał, że manipulujący przy tym urządzeniu Tam zastawił jakąś pułapkę i zamierzał pokrzyżować mu plany.

Smoki znajdują nas, szepnęło jakieś dziecko. I pożrą.

Zignorował to.

Kiedy przyszedł czas, położył się na koi i zatrzasnął klamry pasów, przypinając się do niej. Najpierw kostki, potem kolana, a później pierś. Kiedy je zamykał, kurczyły się trochę, zaciskając się na jego ciele. Jakby bez nich miał wypaść z łóżka. Wszystkie przedmioty, które poupychał po kieszeniach, sterczały przez materiał i musiał wić się przez chwilę, zanim wepchnięte do kieszeni na udzie buty przestały uwierać go w nogę.

Chyba Sumi nie zauważył tych wypchanych kieszeni? Derik miał nadzieję, że nie. To pokrzyżowałoby mu plany. Niech diabli wezmą te pasy...

Jamisia przesłała mu obraz tego wyściełanego kokonu, w którym umieścili ją, kiedy po raz pierwszy leciała przez *ainniq*. A także siniaków, jakie później miała na ciele i tych, jakie widziała u innych.

Wzruszył ramionami.

Tak więc był on, tylko on i to kobiece ciało z mocno bijącym sercem. Program zdrowotny prosił, żeby pozwolił mu coś zrobić, cokolwiek, a przynajmniej skorygować tętno i zmniejszyć poziom adrenaliny. Później potrzebowałby tego, lecz teraz tylko go irytowało. *Jak tylko pasy się odepną, masz się wyłączyć.* Upewnił się, że program zdrowotny zrozumiał polecenie, a potem spróbował się odprężyć. Okazało się to jednak niemożliwe. Tak wiele zależało od tej rozgrywki, a związane z nią ryzyko było ogromne. A jeśli żyjące w *ainniq* stworzy rzeczywiście potrafiły zwęszyć ludzkie myśli, lub usłyszeć je, albo jakoś wyczuć? Wiedział, że w przeszłości statki wychodziły z *ainniq* całe, lecz z martwymi załogami. Teraz nie zdarzało się to często, ale takie niebezpieczeństwo zawsze istniało. A jeśli jego zachowanie przechylili szalę i doprowadzi do katastrofy?

Cholera. Zażądał kilku kropli środka uspokajającego. Złościło go to, że tak bardzo się denerwuje. Dziewczyny często się bały, takie już są, ale on? Ładny dawał im przykład.

Potem statek lekko zadrżał i Derik każdym zakończeniem nerwowym poczuł ten ledwie słyszalny ruch. Domyślił się, że coś chwyciło stateczek i teraz wciągało go do wnętrza transportowca Gildii. Jeśli tak, to wszyscy na pokładzie powinni teraz być pogrążeni we śnie albo odurzeni. Zastanawiał się, na ile przytomny jest Allo i czy zechce sprawdzić odczyty hełmu pasażerki. Zapewne nie. Miał teraz inne zmartwienia... taki jak dwugodzinny pobyt w rękach znieprawionych gildziarzy, którzy natychmiast aresztowaliby go, gdyby znali choć połowiczną prawdę o jego interesach.

Gildia nas szuka, szepnął ktoś. Dlaczego?

Potem będzie czas, aby się dowiedzieć, odparł. *Na Paradise.*

Statek ponownie zadygotał i tym razem Derik usłyszał, jak coś trze o kadłub - cichy zgrzyt, od którego przeszły go ciarki. Wsunął ręce pod pasy i czekał. W oddali usłyszał jakiś szcęk, bardziej wyczuwalny niż słyszalny, a także chyba ludzkie głosy. Czy gildziarze byli tak blisko, czy też mówili przez jakiś system nagłaśniający? Potem zrozumiał, że te dźwięki pochodzą z wnętrza stateczku, gdyż w luku, do którego załadowano statek Allo, nie ma powietrza. Nie było potrzebne. W razie jakichś kłopotów podczas lotu i tak nie mogliby się ewakuować. W *ainniq* można było tylko żyć lub umrzeć i kropka. Nie było żadnych pośrednich możliwości.

Lepiej, by taka śmierć przyszła we śnie, pomyślał ponuro.

Potem zapadła długa chwila ciszy i strach ścisnął mu gardło, gdy zrozumiał, że są gotowi do drogi. WIĘCEJ ŚRODKA USPOKAJAJĄCEGO? - spytał program zdrowotny. Derik kazał mu się odpięprzyć. Wystarczy. Kiedy dolecą na Paradise, musi mieć trzeźwą głowę, żeby w razie potrzeby przechrzyć Allo. A jeśli to oznacza, że będzie musiał odbyć tę podróż z mocno bijącym sercem, to trudno.

Statek zadrżał.

Derik wstrzymał oddech.

Statek poruszył się. Było to dziwne uczucie, nie takie, jakie zazwyczaj towarzyszyło lotom w przestrzeni. Gdyby statek leciał samodzielnie, miałby własne pole grawitacyjne kompensujące wysokie ciśnienie, co wcale nie oznaczało, że nie odczuwałoby się przyspieszenia, ale byłoby... no, inaczej. Teraz Derik czuł się jak na Ziemi, gdzie ciśnienie było czymś normalnym. A przynajmniej tak twierdziła Jamisia. Tylko ona pamiętała to uczucie.

Czuł zimną kulę podchodzącą mu do gardła, gdy transportowiec zmierzał ku *ainniq*. Czy poczuje, kiedy tam wlecą? Czy wyczuje smoki, tak jak one podobno wyczuwają jego? Zaczął narastać w nim strach na myśl o tym, że leży tu związany, podczas gdy wokół krążą najgorsi drapieżcy we wszechświecie, ale nie pozwolił działać programowi zdrowotnemu i gdy ten zaprotestował kolejny raz, Derik po prostu go wyłączył. Nie chodziło już o bezpieczeństwo czy zdrowy rozsądek, lecz o zwyczajną męską dumę. Przecież nie mógł zarzucać dziewczynom tchórzostwa, a potem sam zachowywać się jak dziecko, no nie? Gdy statek ponownie zadygotał, Derik zacisnął zęby i poczuł dziwną pustkę w brzuchu. To było takie niesamowite. Zupełnie nie jak podczas zwykłego lotu... Przejście trwało wieki.

Tak, był pewien, że wyczuwa coś, co krążyło wokół statku. Może tylko mu się tak wydawało, ale to bynajmniej nie ułatwiało sytuacji. Co gorsza, czuł każdy wstrząs statku, gdy kosmopilot wykonywał jeden skomplikowany manewr za drugim. Raz miał wrażenie, że coś dotknęło jego duszy - coś zimniejszego od najgłębszych otchłani kosmosu i tak okropnego, że dreszcz przeszedł mu po plecach. Przez moment myślał, że jest zgubiony, że nazbyt zaryzykował i będzie musiał za to zapłacić. Jednak ta chwila minęła równie szybko, jak przyszła. Czy naprawdę wyczuł jakąś formę życia *ainniq*, czy też był to figiel jego wybujałej wyobraźni? Po twarzy spływały mu strużki potu, zbierając się na syntetycznym materacu. A jeśli wchodzącego w *ainniq* człowieka strach pozbawiał zmysłów? Może to dlatego wszystkich usypiano? Pewnie dlatego nikomu nie pozwalano inaczej wyruszyć w tę podróż. Statkiem potężnie szarpnęło, tak mocno, że przytrzymujące Derika pasy mocno wbiły mu się w ciało. *To był błąd, załkał ktoś. Zusu?*

- Cicho! - warknął, czując, że wzbiera w nim kolejna fala mdłości. Do diabła, musieli być przytomni, musieli pozostać przytomni, przestać narzekać i uporać się z tym. Kolejny wstrząs sprawił, że żołądek podszedł mu do gardła i Derik przełknął ślinę. Statek będzie leciał prosto, jeśli to możliwe, więc każda zmiana kursu oznaczała, że coś tam jest. Prawda? A szereg gwałtownych zmian kierunku i szybkości, jaki odczuwał teraz, mógł oznaczać tylko jedno...

Zamknął oczy i próbował nie myśleć o tym, co ich ścigało. Czy te stwory polowały stadami? Czy cieszyły się pościgiem? Czy były inteligentne, czy też po prostu wygłodniałe i szybkie?

Niektóre statki nie przechodzą. Jedno z dzieci już płakało. Może to rzeczywiście był błąd.

Zamknął oczy i zaczął liczyć wstecz od dziesięciu tysięcy... W ten sposób, jeśli nie będzie się spieszył, powinien mieć zajęcie aż do Paradise. Teraz płakały wszystkie dzieci. Chciałby je przepędzić. Żałował, że nie może wrzasnąć na nie, jak zwykle, żeby się zamknęły w cholere, ale sam był zbyt wystraszony, by to zrobić. Był bezradny i wiedział o tym.

Dziewięć tysięcy...

Osiem tysięcy...

Siedem...

Po gwałtownym szarpnięciu nastąpił równie gwałtowny skręt. Coś musiało być blisko, bardzo blisko. Serce biło Derikowi tak mocno, że dziwił się, iż nie połamało mu żeber. Zlany potem, zmusił swój umysł do liczenia, wyobrażając sobie poszczególne liczby. Sześć tysięcy, pięćset dziewięćdziesiąt dwa... Jak radzili sobie z tym kosmopiloci? Skąd brali tyle siły, żeby przez dwie godziny uciekać przed potworami i nie ześwirować? A wiedział, że dla gildziarzy był to krótki lot. Niektóre podróże trwały ponad pięć godzin. Jak ludzki mózg może to wytrzymać?

Oni już nie są ludźmi, odparł ktoś. *Verina? Napęd Hausmana zmienił ich mózgi tak, że mogą żyć w tej przestrzeni. Dlatego są nam potrzebni do kosmicznych podróży, gdyż żaden „prawdziwy człowiek” tego nie potrafi.*

Przełknął coś gorącego i paskudnego, po czym znów zaczął liczyć. Minęła wieczność, mierzona w sekundach, cuchnąca strachem. Kiedy w końcu usłyszał zgrzyt mechanizmu dokującego o kadłub, o mało się nie posikał. Co, zważywszy na fakt, iż był w kobiecym ciele, byłoby naprawdę kłopotliwe.

Zaczekał, aż statek znieruchomieje i zapadnie cisza, a potem zaczął rozpinać klamry pasów. Mokry kombinezon i bielizna kleiły mu się do ciała, ale prawie tego nie zauważył.

Cholera, miał nadzieję, że jego domysły są słuszne i ponownie znaleźli się w zwykłej przestrzeni, bo jeśli nie, to zaraz zrobi coś bardzo głupiego.

Podszedł do drzwi, nasłuchiwał chwilę, a potem je otworzył. Wyczuł, że dwie lub trzy dziewczyny obejrzały się, żalując wszystkiego, co zostawiały w kabinie. Pamiątki miłych chwil, nastoletnich wspomnień niemal zbyt cennych, by się z nimi rozstać... Do diabła, pomyślał, przecież wiecie, dlaczego musimy je tu zostawić. Dyskutowali o tym bez końca, aż w końcu zgodzili się wszyscy poza dziećmi. Gdyby ludzie Allo zobaczyli, że niczego tu nie ma, zrozumieliby, że starannie zaplanowała ucieczkę. Natomiast jeśli przyjdą tu i zobaczą rzeczy osobiste Jarhisi oraz torby wyglądające na pełne, wówczas będą szukali dziewczyny uciekającej w panice, bez zmiany odzieży i w ogóle. A to ogromna różnica.

Tak trzeba, mruknął do kogoś szczególnie ponurego. Zaufajcie mi, dobrze?

Statek był pusty. Czyżby załoga jeszcze się nie obudziła? Poruszał się ostrożnie i cicho, starając się pamiętać o tym, że jest krąglejszy niż kiedyś i nie zdoła przecisnąć się przez niektóre wąskie przejścia. Te pierwsze minuty były najniebezpieczniejsze, lecz przygotował się na to. Teraz bicie serca mobilizowało go, a nie osłabiało, a adrenalina niczym silny narkotyk pobudzała mózg. Dziewczyny nie dałyby sobie z tym rady, powtarzał sobie, tylko ja to potrafię. Miło było pomyśleć, że jest im tak potrzebny. Cieszył się tym przez chwilę, aż któraś z Innych ochrzaniła go i kazała wziąć się do roboty. *Pieprz się*, odparł, ale bez przekonania. Ponieważ miała rację, niech ją diabli. Nie czas na zabawę.

Usłyszał jakieś dźwięki na mostku. Podkraść się bliżej i wydało mu się, że poznaje głos Allo. W porządku, to ma sens, ten facet powinien nadal być przytomny. W końcu musiał wprowadzić statek do doku, bo transportowiec Gildii nie przeniesie go tam. Derik wyteżał słuch, ale nic nie słyszał. Widocznie pilot wydawał polecenia przez hełm. No dobrze, teraz wystarczy tylko zaczekać...

Usłyszał jakiś szmer na końcu korytarza. Zaskoczony, wcisnął się do wnęki technicznej opodal sterowni i wstrzymał oddech. Kroki zbliżały się nieco niepewnie. Modlił się, żeby ten człowiek nie spojrzał w prawo, idąc korytarzem. Bo jeśli tak...

To wszystko skończone, biadała Zusu.

Akurat! - warknął. Wtedy będziemy walczyć!

Jednak idący skręcił parę metrów przed nim w lewo, kierując się na mostek. Derik dostrzegł różowe macki, zwisające bezwładnie w otępieniu wywołanym wymuszonym snem. Oprócz niego nie pojawił się nikt więcej, co było całkiem logiczne. Tylko ci, którzy byli potrzebni, przyspieszali proces budzenia, gdyż byli potem osłabieni i zdezorientowani. Pozostali się nie spieszyli. Na razie plan Derika się sprawdzał.

- Tam? - usłyszał głos Allo. - Calia?
- Zbudzi się za dziesięć minut.
- A dziewczyna?
- Tam mówił, że dopiero za dwie godziny. Masz sporo czasu.
- Jesteś optymistą.
- Wcale nie. Po prostu cię znam. Ktoś zachichotał.

Derik ostrożnie poszedł korytarzem do głównego wjazdu. Była tam śluza powietrzna, otwarta na oścież, kiedy wchodził na pokład, lecz teraz zamknięta i chroniąca statek przed próżnią. Musiałby zaczekać, aż ją otworzą, inaczej by go złapali, zanim zdążyłby wyjść. Nie tędy droga.

Bicie serca było jak werbel, jak podkład dźwiękowy, jak muzyka. Miał niesamowite wrażenie, że to wideofilm, a nie życie. Przygodowy film. Miał nadzieję, że nie będzie w nim krwawych scen.

Czekał.

Obok drzwi znajdował się ekran widokowy. Derik patrzył, jak podchodzili do stacji - Boże, jaka była wielka - i wstrzymał oddech, gdy Allo z Sumim minęli główny dok i skierowali się ku jednemu z bocznych. W porządku, na to również był przygotowany. Było ich sześć, rozmieszczonych jak elektrony w dawnym modelu atomu, w regularnych odstępach wokół stacji. Zaczekał, aż statek skieruje się ku jednemu z nich, a potem upewnił się, że Raven zobaczyła widniejący tam symbol. Daj Boże, żeby zrobiła, co do niej należy, gdyż niebawem będą musieli na niej polegać. Tego planu nie zdoła zrealizować jedna osoba.

Stateczek podszedł do otwartego doku, okolonego mrugającymi światłami. Na mostku słyhać było ludzkie głosy. Zdaje się, że Allo rozmawiał z kontrolerem lotów na Paradise, lecz Derik nie mógł zrozumieć poszczególnych słów. Nieważne. Wkrótce zacumują, a wtedy będzie mógł uciec.

Otwór doku był wąski, niewiele większy od statku. Najwidoczniej nie zmierzali do takiego obszernego pomieszczenia jak poprzednio, lecz znacznie mniejszego. W końcu powietrze kosztuje. Pojawił się wysięgnik, który chwycił stateczek, przywierając doń magnetycznymi przyssawkami. Silniki wyłączyły się, gdy mechaniczne ramię przejęło ich rolę. Derik odważył się nabrać tchu i wolno wypuścić powietrze z płuc. Na razie dobrze. Wchodzili w rozjaśniane błyskami światła mrok, jakby znaleźli się w wesołym miasteczku. Gdyby nie grożące mu niebezpieczeństwo, może bawiłby go ten widok, ale teraz nie odrywał wzroku od napisu nad śluzą. **UWAGA! - ostrzegał komputer. ŚLUZA ZAMKNIĘTA. WYRÓWNAĆ CIŚNIENIE PRZED OTWARCIEM WEWNĘTRZNYCH DRZWI.**

A potem nagle zatrzymali się. Coś z głuchym łoskotem uderzyło o burtę statku, który lekko zadrżał i znieruchomiał. Derik wstrzymał oddech. Czy teraz otworzą śluzę, czy też zostawia ją zamkniętą do czasu, aż będzie im potrzebna? W tym drugim przypadku musiałby zaryzykować i samemu ją uruchomić. Odczekał chwilę, wyciągnął rękę do panelu kontrolnego i... kazał sobie jeszcze poczekać. To nie pora na popełnianie głupstw.

Jeszcze ktoś obudził się i zmierzał w stronę sterówki. Derik usłyszał zbliżające się kroki. Do licha. Myślał, że będzie miał więcej czasu. A jeśli naprawdę będzie musiał walczyć?

Drgnął, słysząc głośny syk. Czerwony napis nad śluzą zmienił kolor na żółty, a potem zielony. Zamek wewnętrznych drzwi otworzył się z głośnym trzaskiem. Derik wahał się tylko przez chwilę. Ludzie na mostku rozmawiali teraz głośniejsze i chyba jeden z nich zmierzał w stronę śluzy. Nie mając odpowiednich kodów, Derik nie mógł tak szybko otworzyć drzwi śluzy. Z bijącym sercem skoczył do pobliskiego tunelu technicznego i wcisnął ciało w wąski otwór, aż wysokie obcasy butów wbiły mu się w uda.

To była Calia. Trzeba pecha, żeby trafić akurat na tę, która najbardziej nienawidziła Ziemiaków. Podeszła, sprawdziła zamek, otworzyła drzwi i weszła do śluzy. Po chwili usłyszał pomruk silnika i korytarz zalało ostre światło. Na zewnątrz nie słyszał żadnych głosów, co oznaczało, że prawdopodobnie znaleźli się w pomieszczeniu tranzytowym, gdyż w głównym doku panowałby większy ruch.

Stwierdził, że nadal wstrzymuje oddech, gdy Calia odeszła w stronę sterówki. Gdy tylko znikła mu z oczu, wygramolił się z kryjówki. W porządku, jeśli zrobi to jak należy, jeszcze przez godzinę lub dłużej nie zauważą jego zniknięcia...

Zrobił to jak należy.

Tylko że Calia zawróciła.

Widocznie zostawiła coś w śluzie, zapomniała coś zrobić albo... No, w każdym razie odwróciła się w chwili, gdy wyszedł z kryjówki. Usłyszał, jak sapnęła i zakłęta pod nosem, w chwili gdy dotarł do wyjścia. Cholera! Czy miała broń? Czy do niego strzeliła? Jednym susem przesadził próg i znalazł się w połowie zejściówki. Dzięki Bogu, w doku panowało niskie ciśnienie.

Na końcu komory ujrzał kilkumetrowy korytarzyk zakończony irysowymi drzwiami. Był przekonany, że otworzą się automatycznie, kiedy podejdzie do nich z tej strony. Tak, był gotów postawić na to swoje życie. Starał się nie myśleć o gorączkowych komunikatach, przelatujących teraz w sieci statku, ani o tym, że tamci dwaj mężczyźni są więksi, silniejsi i

zapewne szybsi od ciała, w jakim teraz tkwił. Niech to szlag, przecież robił co mógł! Za plecami słyszał nadbiegającą Calię. Rzucił się w stronę drzwi...

A one się otworzyły! Otwarły się przed nim i przeskoczył przez nie. Calia była na tyle daleko, że zamknęły się ponownie - zapewne przystanęła na moment, żeby zameldować kapitanowi o jego ucieczce - co dało mu tak potrzebną przewagę. Wpadłszy na jakiegoś turystę, który z pewnością się tego nie spodziewał, Denk wyhamował i skręcił w bok. Pobiegl. Pędził, jakby od tego zależało jego życie. Uciekał, jakby był głupią dziewczuchą, która myślała, że to ją uratuje, głupią Ziemianką, która nie wie, że w ten sposób rzuca się w oczy...

W porządku, drzwi znów się otwierały - słyszał to. Niech im będzie. Skręcił w boczny korytarz i znikł ścigającym z oczu, zanim któreś z nich zdążyło go zauważyć. Pewnie jakiś turysta pokaże, dokąd uciekł... Ale dopiero kiedy przestaną się złościć i zechcą pomóc tamtym, a to zajmie im kilka sekund.

Gdzie to jest? - zapytał Raven.

Pokazała mu fragment planu stacji. Załadowała go do pamięci, kiedy lecieli statkiem. Dzięki temu nie będą uciekać na oślep. Pospiesznie skręcił w następne przejście, modląc się, by tamci nie byli dostatecznie blisko i nie zorientowali się, dokąd zmierza. Wystarczyzaledwie kilkadziesiąt metrów, a będzie wolny.

Może.

Przechoinnie gapili się na niego, gdy przebiegał obok. Trudno, nic na to nie poradzi. *Gdzie to jest?* - ponownie spytał Raven. *Gdzie jest najbliższa?*

Podziała mu kierunek i skoczył tam, minął róg i przestał biec. Teraz szedł żwawym krokiem, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Minął drzwi pierwszej toalety, przeklinając zaświetlony nad nimi napis „ZAJĘTA”. Druga była wolna i zapukał w drzwi, jakby siedział za nimi człowiek mogący to usłyszeć i otworzyć je szybciej. Drzwi powoli się rozsunęły. Wcisnął się do środka i uderzył dłonią w zamek, żałując, że siłą woli nie może przyspieszyć jego działania. Nie mogli zauważyć, że tu wszedł, inaczej wszystko stracone...

Gdy tylko drzwi się zamknęły, zaczął się rozbierać. Zdjął ciężki kombinezon wraz z zawartością kieszeni. Spódniczka z błyszczącego materiału, którą miał pod spodem, rozprostowała się z metalicznym szelestem, podobnie jak krótka bluzka. Kopnięciem zrzucił z nóg buty i wyjął z kieszeni pantofle. Do tej pory na pewno zorientowali się, że go zgubili, i już zadają pytania... Czy będą pilnowali toalet? Skryją się za rogiem, żeby niepostrzeżenie obserwować wychodzących? Toalet było co najmniej kilkanaście, więc nie będą wiedzieli, w której siedzi, dopóki nie wyjdzie. Powinien opuścić to miejsce, zanim sprawdzą jedną po drugiej.

Zawinał buty w kombinezon i wepchnął wszystko do minimalizowanej torby, którą zabrał ze sobą. Zostały jeszcze włosy. Wyjął nóż i otworzył go z trzaskiem, starając się nie patrzeć w lustro, bo wtedy któraś z dziewczyn na pewno wściekłaby się i zaczęła narzekać. Ciął na oślep, pozbywając się gęstych miedzianych pukli. *Włosy odrosną. Rób swoje.* Niszczarka była otwarta i wrzucał do niej jedną garść włosów po drugiej. Słyszał, jak z sykiem dezintegrowała dumę Jamie. Nikt nie powiedział słowa. Widocznie wszyscy zdawali sobie sprawę, jakie to ważne. To dobrze. W końcu musiał spojrzeć w lustro, żeby dokończyć dzieła.

Były krótkie, nastroszone i zdecydowanie nierówne. Doskonale. Za ostatni żeton kupił trochę wody i przyglądał resztki włosów. Zmoczone, stały się ciemnobrązowe, mniej rzucały się w oczy i sterczały jak pióropusz. Świetnie. Zawahał się, usiłując ocenić, ile stracił na to czasu. Ile kabin opróżniło się do tej pory, a ile pozostało do pilnowania? Jeśli wyjdzie z ostatniej, jego wygląd nie będzie odgrywał żadnej roli, i tak zwrócą na niego uwagę. Sięgnął do torebki po niewielki pojemniczek srebrnego pudru...

I Katlyn przejęła kontrolę. *Piękne dzięki, ale to już nie jest robota dla mężczyzny.* Dwoma pociągnięciami palca rozsmarowała srebrzysty puder na czole, dokładnie tak, by pasowało to do jej stroju. Wsunęła stopy w niskociężeniowe buciki - same paseczki z bardzo, bardzo wysokimi obcasami, jakich żadna rozsądna dziewczyna nie włożyłaby przy normalnym ciążeniu - po czym otworzyła drzwi.

Nikt na nią nie czekał.

A przynajmniej nikogo nie zauważyła.

Ruszyła naprzód z niedbałą arogancją kobiety, która nie ma niczego do ukrycia, wtapiając się w tłum wypełniających korytarz turystów. Na ramieniu miała torebkę z całym swoim skromnym dobytkiem. Jej spódniczka była z lśniącej metalicznie siatki, zaprojektowana na wysokie ciążenie, więc podciągnęła ją trochę w pasie, tak by jej skraj nie sięgał nawet do połowy ud. Panujące w doku ciążenie było dostatecznie niskie, by skraj spódniczki unosił się przy każdym kroku, kusząc obietnicą odsłonięcia ukrytych pod nią skarbów. Podobnie jak obcisła bluzeczka, poruszająca się przy każdym zalotnym kroku, podkreślająca wypukłość piersi. Katlyn uśmiechnęła się, wpadając w odpowiedni rytm. Nikt nie będzie patrzył na jej twarz, to pewne. Boże, jak ona lubiła te ubrania do wysokiej grawitacji.

Nie rozglądała się za Allo i jego załogą. Nie patrzyła na nikogo. Szukała punktów orientacyjnych i starała się pamiętać o tym, że jest kimś i ma tu gdzieś swoje miejsce. Gdyby popatrzyli jej w oczy, pewnie by ją poznali, lecz była gotowa się założyć, że tego nie zrobią.

Na pewno myśleli, że nadal przed nimi ucieka, ukrywa się gdzieś albo robi coś innego, wyglądając tak jak poprzednio, ubrana w ten głupi kombinezon. Do tej pory na pewno przeszukali jej kabinę na statku i zobaczyli, że zostawiła tam bagaż i ubrania, a nie mieli pojęcia, że coś zabrała ze sobą. Tylko to co niezbędne. Najważniejsze, by sądzili, że uciekła pod wpływem nagłego impulsu, nie przemyślawszy tego. Wtedy będą szukali przerażonego zwierzęcia i nie znajdą jej, ponieważ Katlyn nie działała w panice.

Wszystko starannie zaplanowała.

Wszędzie było pełno turystów - a może mieszkańców Paradise - wśród których jej ekstrawagancki strój prawie nie rzucał się w oczy. Na to liczyła. Raven pobrała z biblioteki różne rodzaje informacji o Paradise, które starannie przestudiowały z Katlyn, zanim wybrały ten kostium. Odziana w ten sposób nie powinna wyróżniać się wśród wystrzałowo ubranych tłumów na stacji... A przynajmniej taką miała nadzieję.

Na razie wszystko szło po jej myśli.

Minęły ją dwie kobiety ubrane tylko w body: jedno pomalowane w tężowe smugi, a drugie w wielkie, wytrzeszczone oczy. Inna nosiła fryzurę z syntetycznych piór (które musiały kosztować fortunę), opadających jej kaskadą na ramiona i piersi w minimalnym ustępstwie na rzecz przepisów o przestrzeganiu moralności publicznej. Jakaś istota o sześciu piersiach trzymała się za ręce z trzymetrowym stworzeniem, które wokół bioder było owinięte czymś żywym... Katlyn wołała nie przyglądać się temu zbyt dokładnie. Gromadka maleńkich kobiet, sięgających jej do pasa, przebiegła korytarzem, podzwaniając kryształowymi diademami. W porównaniu z tym tłumem ludzi i Wariantów stacja Reijik wydawała się pustynią. Tutaj wszystko wyglądało kolorowo, jasno i krzykliwie. Włącznie z Katlyn.

Potem skręciła za róg i ujrzała Allo.

O mało nie przystanęła, nie zawróciła tam, skąd przyszła, ale powstrzymała ten odruch. Oni oczekiwali takiego zachowania. I nie wiadomo, czy jeden ze ścigających nie szedł tuż za nią. Z mocno bijącym sercem wmieszała się w tłum, myśląc, czy jej przebranie jest wystarczająco dobre. Wiedziała, że nie wytrzyma dokładniejszych oględzin, miała tylko nadzieję, że pozwoli jej zyskać na czasie i wmieszać się w tłum. Przystanęła przed wystawą z artykułami spożywczymi, starając się wyglądać na głodną, a potem odwróciła się plecami do Allo. Liczyła na to, że nie będą się spodziewali, iż tak szybko i tak bardzo zmieniła swój wygląd. W przeciwnym razie, jeśli będą przyglądali się twarzom mijających ich ludzi, to przebranie w niczym jej nie pomoże.

Przeniósłszy ciężar ciała z nogi na nogę, pochyliła się nieco, jakby oglądała coś na dolnej półce. Wiedziała, że jej sukienka jest za krótka na takie manewry. Wyczuła, że paru

turystów przystanęło za nią, i usłyszała ich wesołe szepty. Mężczyźni. Byli tacy zabawni, tak przewidywalni. Mogli przejść obok tuzina nagich kobiet i nie zwrócić na nie uwagi, ale pokażcie im strój, który może coś odsłonić, a zaraz zaczną się gapić. Zapewne było to związane z ewolucją, przetrwaniem najsilniejszych i tak dalej, może z czasów, gdy odziana w futra kobieta mogła ukrywać pod nim banana lub dwa, podczas gdy goła nie miała żadnego. Zachichotała pod nosem i nachyliła się jeszcze bardziej, ciesząc się tą grą. Szkoda, że nie może kupić nic do jedzenia, ale ostami żeton wydała na wodę, a nie miała możliwości teraz posłużyć się kartą kredytową. Ani hełmem. Właściwie niczym poza mózgiem.

Odczekała chwilę i odwróciła się z westchnieniem - *wcale nie jestem głodna* - ukradkiem szukając wzrokiem Allo. Nie było go tam. Ciężar spadł jej z piersi i musiała sobie przypomnieć: *Uważaj. On nadal może być w pobliżu*. Mimo wszystko był to dobry znak. Czasem człowiekowi tego potrzeba.

Ruszyła przed siebie. Dalej, jak najdalej, słuchając poleceń Raven, potwierdzanych przez zgodę wszystkich Innych. Szła swobodnym krokiem, sugerującym pożądaną swobodę, bogactwo, a nie zdradzającym obawy i trosk. Mijani mężczyźni uśmiechali się do niej. Niektóre kobiety także, jak również kilka stworzeń o nieokreślonej płci. Odpowiadała im uśmiechem. *Jestem zrodzoną do przyjemności mieszkanką tej cudownej stacji, z której uroków korzystam*. Trzy korytarze, pięć, dziesięć, aż wreszcie się rozluźniła. Nie mogli śledzić jej aż tutaj. I nie mogli zwrócić się o pomoc do władz, gdyż prowadzone przez nich interesy wykluczały takie kontakty.

W końcu skręciła w boczny korytarz, od którego odchodziły rury metra. W tym stroju będzie to niezwykła podróż, ale trudno: nie mogła się tu przebierać. Zdjęła pantofelki, a potem weszła w owalny otwór i odepchnęła się nogami. Był to publiczny pasaż, mieszczący kilka pasów ruchu w obu kierunkach. Podróżni uśmiechali się, chichotali lub potrząsali głowami, kiedy ich mijała. No cóż, tak to jest, kiedy w stanie nieważkości nosisz ciuchy do wysokiego ciężenia. Miała nadzieję, że podoba im się ten pokaz. Ona cieszyła się ich zaszokowanymi minami i była gotowa się założyć, że i oni nie byliby później w stanie podać jej rysopisu, gdyby ktoś ich o to pytał. Och, miała czerwone majtki? To chyba był błąd, jak mogła wybrać taki jaskrawy kolor?

Rura połączyła się z rondem, z którego można było dotrzeć do centrum stacji. Raven przygotowała wszystkie potrzebne do tej podróży plany i jeden po drugim pokazywała je Katlyn. Boże, jaka była zmęczona: podróż, napięcie i niewygodne buty na wysokich obcasach zupełnie pozbawiły ją sił. Była także głodna i żałowała, że nie może sobie kupić czegoś do jedzenia. Wyszła z metra obok centrum handlowego, w którym było pełno smakowitości, ale

brak gotówki uniemożliwił jej jakiegokolwiek zakupy. Przynajmniej dopóki nie upora się z problemami finansowymi.

Przez chwilę tylko stała na środku pasażu, usiłując ogarnąć to, co się z nią działo. Mijali ją ludzie: dorośli, dzieci. Warianci. Wszyscy dokądś zmierzali, wszyscy coś robili. To zamieszanie mogło ją oszołomić, ale nie. Oszołomiło ją coś innego.

Udało się.

Uciekła nieprzyjaciołom. Nie wiedzieli, gdzie się podziała. Jeśli dobrze to rozegrała, Gildia też nie znała jej miejsca pobytu... częściowo dzięki Allo i jego załodze. Jeden Bóg wie, dlaczego Gueranie chcieli ją dopaść, ale na razie nie musiała tego wiedzieć. Zagubiła się w milionowym tłumie i jeśli będzie ostrożna, już nie wpadną na jej ślad.

Pewnie, nie miała żywności i przyjaciół, pieniędzy, schronienia ani żadnej z tysiąca rzeczy potrzebnych do przetrwania. Jednak te można z czasem zdobyć. Bezpieczeństwa - nie. A ono było najważniejsze.

I zdołała je sobie zapewnić.

Zmęczona, głodna, poprosiła Raven o plan następnego etapu ucieczki i ruszyła naprzód. Od celu dzieliło ją zaledwie sześć kilometrów marszu, a taką odległość jeszcze mogła przebyć. Kiedy wydostanie się z dzielnicy handlowej, zdejmie buty - wtedy łatwiej będzie jej iść. Wtedy już wszystko będzie dobrze. W panującym na stacji wysokim ciśnieniu ciężko się szło na wysokich obcasach.

Bezpieczna. Była bezpieczna. To słowo miało dziwny smak, gdy wypowiedziała je szeptem, aby wydało się bardziej realne. Była bezpieczna, panowała nad sytuacją i po raz pierwszy od opuszczenia liniowca nabrała przekonania, że jakoś uda jej się wybrnąć z opresji. To było zupełnie nowe uczucie i dziwnie krzepiące. Może, przy odrobinie wysiłku, uda się je podtrzymać.

Z westchnieniem rezygnacji i burczącym z głodu brzuchem, poszła w kierunku mniej zasobnych dzielnic stacji.

XIX

Każde nowe osiągnięcie techniki wydaje się podsycać u młodych ludzi skłonność do czynienia szkód. Urządzenia, które nam wydają się znaczącymi udogodnieniami, dla nich są jedynie nowymi i wspaniałymi zabawkami, a ich niszczenie jest zaledwie jednym ze sposobów sprawdzania buntowniczego ducha w walce z nakazami Władzy.

HAROLD RUTHEFORD, ESQ. „Zagrożenia postępu: ostrzeżenie przed nowymi aparatami telefonicznymi i innymi nowoczesnymi urządzeniami” (Archiwa historyczne, stacja Hellsgate)

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

Sen. Feniks ledwie go pamiętał. To coś, co robisz, kiedy twoich myśli nie zaprzęta nieustannie wirus, tak? Coś, co robisz, kiedy nie masz żadnego pilnego zajęcia.

Jeśli w ogóle bywają takie chwile. Jeżeli kiedyś będą.

Wpadł w obsesję, ale trudno. Skłonność do manii jest uwarunkowana genetycznie i ma ją każdy haker. Swoją mógł mierzyć liczbą pogniecionych opakowań po racjach żywnościowych, które zalegały wokół jego biurka. Papierki po batonikach „Energiee!”, zmięte koperty po „Lo-Munch”, kartony po jakimś paskudnym bezalkoholowym napoju, do którego zdążył się przyzwyczaić, ze słomkami sterzcącymi z nich jak szypułki oczne Veridianina. Nie pamiętał, kiedy je pochłonał, ale to było normalne. Jedzenie stanowiło dlań paliwo, nic więcej, a w takich chwilach jak ta nie zwracał na nie uwagi, tak samo jak na skompresowane paliwo tankowane do kapsuły.

Wirus był wszystkim.

Teraz Feniks pojął, dlaczego Chaos miała obsesję na tym punkcie. Zrozumiał nawet, dlaczego wpuściła go sobie do głowy, tak samo jak zrobił to Pochodnia. Na szczęście. Czasami wyciągał rękę do monitora, jakby mógł dotknąć tego wirusa, chcąc przesunąć wirtualnymi palcami po jego powierzchni, pragnąc go zwijać, obracać i przesuwac tak, jak można to robić tylko w myślach, żeby rozpracować zasadę jego działania. Jednakże byłoby to zwyczajnym samobójstwem. Już rozesłał wiadomość do innych stacji, opisując, co potrafi ten wirus, i ostrzegając, by nikt nigdy, w żadnym wypadku, nie ładował sobie tego świństwa do głowy. Czy mógł popełnić bład, przed którym wszystkich przestrzegac?

Mimo to chciał. Tak bardzo tego pragnacł.

Z westchnieniem sięgnacł po najbliższej stojący kartonik napoju i cicho zaklacł, gdy ten okazał się pusty. W takich chwilach irytowacł go, że musi przejść pięć kroków dzielących biurko od chłodziarki. Wziacł inny z półki nad biurkiem i z trudem wstał. Zdrętwiacł mięśnie protestowacł, gdy przeszedł przez ciasny pokoik i otworzył drzwi chłodziarki. Wystarczy pięć sekund, żeby napój nadał się do picia, więc wstawił karton do środka i pozwolił urządzeniu działać. Pięć sekund. W tym czasie zdążyłbyś przesłać wiadomość na Hellsgate. Mógłbyś nacisnąć klawisz uruchamiający kaskadę niszczących programów i obserwować ich działanie.

Albo poczuć w głowie ukąszenie obcego wirusa i pojąć, że jesteś zgubiony, wpaść w panikę, czując, jak twój umysł powoli wyłącza się, zdążyć wyobrazić sobie końcowy rezultat...

Pięć sekund to w jego świecie długi okres czasu. Nienawidził go marnować.

Wziął kartonik, który wyskoczył z chłodziarki, potrząsnął nim, by wyrównać temperaturę płynu, a potem przedziurawił go i pociągnął łyk. Pojemnik zawierał mieszaninę cukru i środka stymulującego, zamaskowaną dodatkiem syntetycznego barwnika i jakiegoś okropnego środka smakowego. Miał paskudny smak, ale przyjemnie chłodził język. Feniks wypił napój, zmiął kartonik w dłoni i rzucił do niszczarki. Chybił. Nic dziwnego. Całą uwagę znów skupił na ekranie monitora i czającym się tam potworze. Może czas wypróbować jedną z testujących sekwencji napisanych przez Chaos...

Wzór nagle znikł z ekranu, a jego miejsce zajął biały prostokąt.

Kurwa.

Gapił się przez kilka sekund, czekając, aż znów się pojawi. Kiedy zajmujesz się takim nielegalnym głównem, czasem zdarzają się niespodzianki. Nawet raz uderzył w bok monitora, sprawdzając, czy w ten stary jak świat sposób nie uda się przywrócić obrazu.

Nic.

Klnąc pod nosem, mignął ikoną uruchamiającą procesor myślowy i zaczął wydawać polecenia mające ożywić system. Ktoś w nim gmerał, to było jasne, i lepiej, żeby nie był to nikt ze swoich. A raczej, pomyślał ponuro, lepiej, żeby to był kumpel, bo jeśli ktoś obcy dobierał się do jego systemu, to ten ktoś zaraz pożegna się ze swoim...

Na środku ekranu pojawiły się cyfry. Najpierw 10, potem 9, później 8... Oczywiście: Obserwował to odliczanie z mieszaniną irytacji i zniechęcenia. Niech to szlag, ten żartowniś naprawdę spieprzył mu system. Jedyną rzeczą gorszą od wojny między hakerami a rządem były porachunki między hakerami.

W końcu zobaczył 0. Cyfra zmieniła się w obłoczek czarnego dymu, ten w słup, a ten z kolei w gęstą chmurę w kształcie grzyba, która zasłoniła cały ekran...

I przynajmniej dawała odpowiedź na pytanie, kto to.

Zamigotał ikonami, wysyłając wiadomość.

PIEPRZĘ CIĘ, CZŁOWIEKU.

Chmura znikła i na jej miejscu pojawił się napis:

CZY JA WIDZĘ MONITOR? CO JEST, TERAZ PROGRAMUJESZ DLA DINOZAUROW?

W odpowiedzi zamigotał:

NIE, TYLKO WYSYŁAM WIRUSY TYM, KTÓRZY MNIE WKURZAJĄ.

OOCH, ALE SIĘ BOOOJĘ!

Mimo woli uśmiechnął się. Trudno, naprawdę trudno było gniewać się na Atoma. Ten gość był nadzwyczaj denerwujący, ale prawie należał do grona Feniksa. W każdym razie działał na ich terenie. Teraz jednak Feniks miał na tapecie tego wirusa i niezbyt mu się podobało, że ktoś wchodzi mu do systemu, w którym tkwi to świństwo.

MASZ JAKĄŚ SPRAWĘ?

SPRAWĘ? TAAK. SPRAWĘ... - Na ekranie pokazała się zmarszczona w namyśle twarz. - TAK SĄDZĘ...

PRZESTAŃ BELKOTAĆ, CZŁOWIEKU.

OCH, MAMY ZŁY HUMOR. NUDZIMY SIĘ? ZNAJDĘ KOGOŚ INNEGO...

AKURAT. O CO CHODZI?

Zapadła długa cisza. Znał Atoma dostatecznie dobrze, by wiedzieć, co to oznacza. Ta sprawa naprawdę mogła być ważna. Nachylił się do ekranu.

COŚ Z ZIELONEGO KRĘGU DOKUJĄCEGO. TWOJA BROCHA. Zmarszczył brwi. To jeden z wewnętrznych doków, przyjmujący mniejsze statki. Głównie lokalny ruch, kapsuły z licznych osiedli Paradise, mniejsze transporty z pobliskich stacji... oraz niewielkie statki, które chciały przybić tu niepostrzeżenie. Celnicy bacznie pilnowali tego doku, ale nie dość dobrze. Powszechnie wiadomo, że połowa przemycanych towarów przechodzi właśnie tamtędy. A więc jeśli działo się tam coś, co było dostatecznie interesujące, by haker zawiadomił Feniksa... na tyle ciekawe, by łamać zabezpieczenia jego systemu i wyświetlać komunikat na ekranie... może warto poświęcić minutę, żeby o tym posłuchać. A nawet więcej niż minutę, jeśli to duża rzecz.

CO TAKIEGO?

W jego polu widzenia rozbłysły liczby, urywki kodu, polecenia. W połowie uświadomił sobie, że nie włączył zapisu, i natychmiast to zrobił, przeklinając się w duchu.

WOLNIEJ, DOBRZE? A W OGÓLE, CO TO ZA BZDETY?

NIE POZNAJESZ? WSTYDŹ SIĘ. Twarz na ekranie pokazała mu język. TO ZIEMSKI KOD DLA CHOLERNIE WAŻNYCH RZECZY, OT CO. POJAWIŁ SIĘ NA KARCIE KREDYTOWEJ.

Na karcie? Ponownie przewinał ostami fragment kodu i zeszywniał, widząc, do czego prowadzi.

SKĄD TO MASZ?

OD DZIEWCZYNY Z WĘZŁA REJLIK. CHYBA JEST TU NOWA. PŁACI MI PIĘĆ TYSIĘCY ZA PRZEROBIECIE KARTY DO SWOBODNEGO POBIERANIA. SZACUJĘ SZANSE NA 50 %. WIEM, ŻE TO TWOJA SPECJALNOŚĆ.

Zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

MÓGŁBYM TO ZROBIĆ.

OOO. NAPRAWDĘ? MOŻE TO DLATEGO Z TOBĄ GADAM?

Zignorował ten sarkazm. GDZIE TERAZ JESTEŚ?

95 BAY WEST, 36 C. Oczywiście, ten adres był fikcyjny - nigdy nie wiadomo, kiedy psy są na podsłuchu. Prawdziwy adres był zawarty w przesłanym kodzie, obok markera; Feniks odszuka go później. PRZYJDZIESZ?

MOŻE.

POSPIESZ SIĘ. TO GORĄCY TOWAR.

KARTA CZY DZIEWCZYNA? TAK.

Potem twarz znikła z ekranu, słowa również, a ich miejsce ponownie zajął powoli i statecznie tańczący wirus. Feniks obserwował go przez chwilę, a potem zaklął pod nosem. Wiedział, że połknął haczyk, i to głęboko. Jakie to podobne do Atoma, żeby niczego mu nie ujawnić, podając tylko tyle informacji, by rozbudzić jego ciekawość, a za mało, by mógł ocenić ewentualne ryzyko - lub korzyści. Niech to szlag, facet mieszka prawie na drugim końcu stacji. Nie mógł po prostu przesłać wszystkich informacji jak normalny człowiek?

Z westchnieniem zapisał wyniki pracy, wziął plecak i polecił procesorowi zdekodować otrzymany adres. Lepiej, żeby to było coś ważnego.

*

Do miejsca zamieszkania Atoma trzeba było jechać trzema ruchomymi chodnikami i dwa razy metrem, a potem jeszcze przejść pieszo cholerny kawał drogi. Albo przelecieć taksówką z doku do doku, jeśli miało się pieniądze. Oto największy problem surfera. Pracuje się z ludźmi, którzy równie dobrze mogą mieszkać pół węzła dalej, i nie ma sprawy, dopóki nie zechcesz na przykład pójść z nimi na lunch... Wtedy zaczynają się schody. Ruszył w stronę taksówki, a wtedy włączył się program zdrowotny, przypominając mu, że ostatnio ma tak mało ruchu, iż może choć raz - tylko raz - mógłby zrobić coś dla siebie i przespacerować się trochę. Nie bardzo mógł protestować, bo sam go zaprogramował, więc z krzywym uśmiechem poszedł piechotą na koniec Paradise. Dobrze, że facet mieszka na tej samej stacji. Dzięki Ci, Boże, za drobne przejawy Twej łaski.

Miejsce, którego adres mu przysłano, znajdowało się w samej stacji, w pobliżu jednego z ogromnych centrów handlowych, oblepiających Paradise jak lukier ciastko.

Ktokolwiek przyszedł do Atoma z zielonego doku, przebył długą drogę. Feniks pojechał zatłoczonym metrem na właściwy poziom, a potem przedarł się przez wielotysięczną chmurę miejscowych i stutysięczny tłum turystów, którzy wybrali się na zakupy. Każdy mieszkaniec Paradise był przyzwyczajony do takiego ścisku i zapchanych linii komunikacyjnych. Feniks znalazł się kiedyś w centralnej sterowni stacji - oczywiście nielegalnie - i sam się przekonał, ile sprzętu przeznaczono wyłącznie do obsługi turystów. Rzecz jasna, dlatego Paradise utrzymało się na powierzchni, podczas gdy kilkaset rywalizujących z nią stacji poszło na dno - zostały pociągnięte tam własnym ciężarem. Władze Paradise wiedziały, że dane są życiodajną krwią każdej stacji, i dbały o to, by bezładna paplanina miliona gości nie zapchała kanałów potrzebnych do prowadzenia interesów. Feniks mignął ikoną przełączającą go na prywatny kanał i natychmiast poczuł znaczące przyspieszenie pracy. Jedna nano-sekunda zamiast dwóch. Każdy haker mógłby to wyczuć.

GDZIE JESTEŚ, DO CHOLERY? - przesłał.

Po krótkiej zwłoce - widocznie Atom pracował nad czymś, gdyż inaczej zawsze trzymał kanał łączności otwarty - przysłała odpowiedź. A GDZIE TY JESTEŚ, DO CHOLERY?

Spojrzał wokół, na okoliczne sklepy, na migoczące nad nimi hologramy reklam, na odległe migotanie drogowaskazu. NA BULWARZE MATA HARI, PRZY JAKIMŚ CENTRUM HANDLOWYM.

PRZY MATA HARI JEST PIĘĆ CENTRÓW HANDLOWYCH.

Zaklął obrazowo pod nosem i poszukał bardziej pomocnego znaku, usiłując dostrzec coś wśród setek migoczących ogłoszeń, współzawodniczących ze sobą w powietrzu nad pasażem. Robiąc to, usłyszał, jak ktoś opodał piszczy z radości na widok startujących z dachu pobliskiego budynku holorakiet, które na kilka irytujących sekund oślepiły wszystkich patrzących. ZWYCIĘZCA-ZWYCIĘZCA - ZWYCIĘZCA - zamigotało nad głowami, topiąc w blasku wszystko inne. Policja już ruszyła strzec sklepów, przed którymi spadną rakiety... Oczywiście, później trzeba im będzie zapłacić za tę ochronę, ale tego należało oczekiwać. Inaczej nie przetrwałoby się tutaj pięciu minut i nie miało takiej forsy na koncie.

W końcu przesłał tamtemu obraz centrum i miał nadzieję, że Atom je rozpozna. Najwidoczniej tak się stało.

TO FORUM CEZARA. DOBRZE, JESTEŚ BLISKO. Z TEGO MIEJSCA KIERUJ SIĘ NA ZACHÓD... TU.

Linia po linii w głowie Feniksa pojawiła się mapa, co oznaczało, że Atom tworzył ją dla niego, a nie przysyłał gotowego obrazu. Feniks ikoną potwierdził odbiór, przymknął oczy, by zredukować liczbę bodźców wizualnych, i ruszył wskazaną trasą.

Wcale się nie zdziwił, gdy niebawem minął ciąg sklepów dla turystów i domów gry, po czym wszedł w labirynt ukrytych za nimi wąskich zaułków. Wokół uwijały się roboty z namalowanym na pancerzach znakiem tarczy, gwarantującym, że tylko złodziej-samobójca mógłby próbować się do nich włamać. Wszyscy obywatele ogromnej stacji - biedni, bogaci i zupełnie przeciętni - wiedzieli, że lepiej nie wtrącać się do spraw Mamy Ra. Jeśli zobaczyłeś jej znak na towarze, automatycznie stawał się nietykalny. Co oznaczało, oczywiście, że te małe tarcze ze znakiem Gildii były sporo warte... W końcu facetka musi jakoś zarabiać, no nie? Stacja Paradise była wystarczająco duża, żeby każdy znalazł tu coś dla siebie, a jej wdzięczni mieszkańcy dobrze pilnowali porządku.

Roboty przejeżdżały obok, dostarczając rzadkie artykuły do tylnych drzwi restauracji, drogocenne kamienie legalnym i nielegalnym jubilerom... i tak dalej. Feniks zszedł na bok, robiąc im miejsce, żeby nie musiały zwalniać i go omijać. Był to przejaw szacunku wobec rządzącej tu kobiety. A dlaczego nie? Paradise rzeczywiście była rajem dla modziów, a on odwiedził już dostatecznie dużo nieprzyjemnych miejsc, żeby to docenić.

Wąskie i nisko sklepienie przejście wyprowadziło go na otwartą przestrzeń, którą niegdyś wykorzystywano jako magazyn i z pewnością nie zaprojektowano pod zbiorowisko mieszkalnych kontenerów, jakie od tego czasu tu upchnięto. Wolał nawet nie domyślać się, do czego służą niektóre z nich. Prawdę mówiąc, to miejsce niewiele różniło się od jego ulicy, lecz założyłby się, że tutaj, tak blisko turystycznego centrum, ubijano znacznie bardziej podejrzane interesy.

Mapa wskazała mu drzwi po lewej i zgasła, gdy przycisnął dłoń do zamka. Ten widocznie został zaprogramowany na linie papilarne Feniksa, gdyż otworzył się, zanim ktokolwiek wewnątrz zdążyłby go dotknąć.

- Cześć, Feniks. - Rytualny uścisk ciepłej dłoni zaprosił go do ciemnego i zagraconego pomieszczenia. Feniks domyślił się, iż jest to raczej pracownia niż dom, a w dodatku na pewno nie należąca do Atoma. Wokół było za dużo gratów będących własnością hakera, a z kontaktów sieciowych Feniks wiedział, że ten facet żyje, oddycha i karmi się uninetem, i pewnie nawet o nim śni. Dotychczas kilkakrotnie spotykał się z Atomem i zawsze w takich miejscach jak to, pełnych cudzych rzeczy. Może ten gość wcale nie ma domu, zastanawiał się Feniks. Całkiem możliwe. Lista oczekujących na mieszkania na stacji Paradise miała kilometr długości, a jeśli ktoś musiał, to bez trudu mógł obywać się tu bez własnego. Szczególnie, jeśli

miął wielu znajomych... albo oddawał ludziom takie przysługi, że wcale nie potrzebował przyjaciół.

- O co chodzi?

Atom z tajemniczym uśmiechem wskazał na tylne drzwi. Był blady, półprzezroczysty jak włókna optyczne biegnące z pomieszczenia centralnego komputera stacji. Niemal można było dostrzec niebieskie żyłki pulsujące mu pod oczami oraz na szyi. Nie dla tego chłopca solaria.

- Jest w drugim pokoju. Zaraz ci ją przedstawię. Co myślisz o tym materiale, który ci wysłałem?

- Cholernie wrednie zabezpieczony. To było na jej karcie?

- Na samym wejściu. Jeszcze nie widziałeś tego, co jest dalej. - Zerknął na koniec pokoju, gdzie czekały na nich zamknięte drzwi. - Nie sądzę, żeby ona o tym wiedziała. Co oznacza... Cholera! Ktoś zaprogramował to i nic jej nie powiedział?

- Może karta jest kradziona.

Powiedział to niedbałym tonem, gdyż nie obchodziło go, czy tak jest, czy nie. Kradzież mogła trochę skomplikować sprawę, ale nigdy nie była czynnikiem decydującym, czy podejmie się zadania. Zostawiał to politykom, którzy muszą udawać, że mają zasady.

- Nie sądzę. Chociaż nie mam żadnego dowodu, tylko przeczucie. - Atom sięgnął po stojący na stole kartonik napoju i wysączył zawartość do ostatniej kropli. Opakowanie wyglądało tak, jakby stało tu już od dłuższego czasu. - Nie wygląda mi na taką.

- Och, od kiedy tak się znasz na kobietach? - Feniks uśmiechnął się.

- Zobacysz. Mówię ci.

- A jak cię znalazła?

- Przez lombard w zielonym. Niezłe posunięcie. Napomknęła, że potrzebuje pomocy przy dość niezwykłym programie, kogoś elastycznego, potrafiącego zająć się sprzętem, który był, no... trochę zmodyfikowany. Taki, jaki można znaleźć w jednym z tych sklepów. - Uśmiechnął się. - Nie sądzę, żeby wiedziała, jaką wagę ma tutaj to słowo... W każdym razie Petroy skontaktował ją ze mną.

- Cholera, ona może być glina.

- Petroy tak nie uważa, a ja mu wierzę. Ponadto, działała ostrożnie, mówię to po fakcie. Wcale nie powiedziała wprost, czego chce, tylko dała do zrozumienia, że potrzebuje... jednego z nas. Sami domyślili się, kogo.

- I przysłali ją tutaj? No, no. Strasznie dyskretni z nich faceci.

- Mało masz z nimi do czynienia. A ja tak. Czasem narają człowiekowi ciekawy interes... Hej, niektórzy z nas muszą zarabiać na życie, wiesz? Jak myślisz, w jaki sposób znajdują klientów?

Klientów. Jezu, a to dobre. Widocznie Atom dostrzegł jego rozbawienie, bo lekko poczerwieniał.

- Hej, niektórzy z nas prowadzą interesy, wiesz?

Feniks uniósł w pokojowym geście rękę. Jeśli Atom chce tak nazywać swoje sieciowe gierki, to niech mu będzie. Każdy z nich miał własną nazwę na to, co robili. Feniks figurował w książce adresowej jako *konsultant techniczny*.

- A więc ona wie, że ci pomagam?

- Hm... tak jakby...

- Czyli nie. W porządku. I co ma sobie pomyśleć na mój widok? Przechodziłem obok i wpadłem powiedzieć „cześć”? I, och, może przypadkiem masz tu jakieś dobrze zabezpieczone karty kredytowe, na które mógłbym rzucić okiem, skoro już tu jestem?

- Taak, mniej więcej.

- Jezu. - Ze zdumieniem pokręcił głową. - Niezły z ciebie numer. W porządku, pokaż mi to.

- Nie chcesz...?

Przez chwilę gapił się na niego. Potem zrozumiał, że Atom ma rację. Jasne, że najpierw chciał zobaczyć dziewczynę. Ze zwykłej grzeczności, no nie?

- Pewnie.

Była w drugim pokoju - siedziała z kartonikiem napoju w ręce. Wstała, kiedy weszli, z niezręczną uprzejmością, która wiele mówiła o jej braku doświadczenia w takich sytuacjach. Czegokolwiek chciała od modziów, było zupełnie oczywiste, że jeszcze nigdy tego nie robiła. Założyłyby się, że nigdy nie miała do czynienia z takimi jak on.

- Hej, Kandro, to mój przyjaciel. Fe... Michał.

Atom skrzywił się w uśmiechu, wywołanym własną niezręcznością i szybko przedstawił gościa jego prawdziwym imieniem, a nie sieciowym pseudonimem. Ten nie był tajemnicą w ich kręgach, ale też nie należało go wyjawiać każdemu obcemu. KARTA JEST WYSTAWIONA NA JAMISIEŃ CAPRĘ, przesłał Feniksowi. Ten wzruszył ramionami. Jeśli wolała występować pod przybranym nazwiskiem, to jej sprawa. On sam używał kilku - włącznie z obecnym - a z przynajmniej kilku musiał zrezygnować, ponieważ były notowane przez policję. Oto cena za brak rozważności w młodości.

Do licha, Atom miał rację co do tej dziewczyny. Była smukła, długonoga i ubrana w strój odpowiedni przy wysokiej grawitacji, który niewiele ukrywał. Materiałem była metalowa siatka z mnóstwem dziurek i Feniks z trudem oderwał wzrok od biustu dziewczyny, gdzie prymitywny męski instynkt kazał mu szukać różowych koniuszków piersi. Dziwna reakcja u kogoś, kto przez cały dzień mógł gapić się na nagie kobiety w łaźni, ale czasem mózg wysyła prymitywne sygnały, które nie mają nic wspólnego z logiką. Dlatego Feniks wolał życie komputerowych obwodów.

Przeniósł wzrok na jej twarz i stwierdził, że naprawdę jest śliczna. Tylko koszmarnie ostrzyżona. Naprawdę koszmarnie. Zastanawiał się, na którym świecie taka fryzura jest w modzie. Założyłby się, że dziewczyna ma piękne oczy. Gdyby tylko starła to srebrne świństwo, przez które trudno było skupić na nich wzrok. Dziwne, ale resztę twarzy miała nie umalowaną. Nie wiadomo dlaczego wydało mu się to... dziwne.

- Michał jest w tym dobry - mówił Atom.

Widział, że była lekko zdenerwowana. Pewnie jeszcze nigdy nie robiła czegoś takiego. Może obawiała się, że dwaj nieznajomi faceci wykorzystają sytuację i... tak, pewnie. Chciało mu się śmiać. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że na widok tej dziewczyny właśnie takie myśli przychodziły człowiekowi do głowy. Atom miał rację, pomyślał Feniks. To gorący towar.

- Czy masz coś przeciwko temu, że rzucę na to okiem? Zawahała się, a potem potrząsnęła głową. Z triumfalną miną Atom podał Feniksowi kartę.

- Chciałaby podjąć pieniądze tak, aby transakcja nie została odnotowana - powiedział.

Ton jego głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, że wątpi, czy te pieniądze należą do niej... co rozumiało się samo przez się. Ruchem głowy wskazał kąt pokoju, gdzie Feniks mógł zasiąść do pracy. W przeciwieństwie do reszty pomieszczenia to miejsce było czyste: biurko bez szuflad, z poukładanymi na blacie przyrządami niezbędnymi do nielegalnego programowania. Feniks zignorował te śmieci i załadował zawartość chipa prosto do swojej głowy, zakładając, że ma tam dość programów zabezpieczających, które poradzą sobie ze wszystkim, co mogło być na karcie. TYLKO IKONY, rozkazał procesorowi, który od tej chwili miał wykonywać wyłącznie jego polecenia i nie ładować żadnego obcego programu. Zapewne to samo próbowała zrobić z feralnym wirusem Chaos, a także Wojownik. Zazwyczaj zabezpieczenia spełniały swoją rolę, a on zwykle przyjmował to za pewnik, lecz pamiętając o śmierci przyjaciół, poczuł lekkie zdenerwowanie, gdy w polu widzenia zobaczył przewijający się program zabezpieczający kartę. Niech to szlag, nie możesz pozwolić, żeby tak cię wzięło. W przeciwnym razie przez cały czas będziesz siedział za monitorem, a tak nie

da się pracować. Równie dobrze mógłby zgłosić się do centrum recyklingu i oszczędzić sobie cierpień.

Poszedł do kąta, usiadł w wytartym fotelu obitym imitacją skóry, zamknął oczy i uruchomił program. W oddali słyszał głos Atoma rozmawiającego z dziewczyną oraz jej odpowiedzi, których udzielała przyciszonym głosem, starając się nie przeszkadzać. Atom nie przejmował się tym. On wiedział, że kiedy Feniks pracuje nad czymś, cała przeklęta stacja mogłaby zwalić mu się na łeb, a on nawet by tego nie zauważył.

Karta rzeczywiście była dobrze zabezpieczona. Każdy, kto próbowałby skorzystać z niej bez upoważnienia - nawet całkiem niezły haker - z pewnością wpadłby w taką czy inną pułapkę. Feniks też o mało nie ugrzązł w zawilej pętli haseł i odpowiedzi. Od czasu do czasu potrzebował jakiejś informacji, ale nie przerywał pracy, tylko wysyłał zapytanie do Atoma, który przekazywał mu odpowiedź dziewczyny. Raz sama musiała mu coś przysłać: własną ikonę wbudowaną w program. Szczególnie interesująca była część rozpoznawania mowy, z sekcją identyfikacji intonacji dziesięć razy bardziej rozbudowaną i skomplikowaną od jakiegokolwiek, jaką dotychczas napotkał. Nie rozumiał jej przeznaczenia, ale była dobrze zrobiona. Jak cały program zabezpieczający. Ktokolwiek zaprogramował tę kartę, znał się na swojej robocie i minęło ponad pół godziny, zanim Feniks poczuł się na tyle pewnie, by przejść do następnej części zadania.

Atom zostawił mu swoje notatki i Feniks je pobrał. Pierwszy problem polegał na tym, że pieniądze znajdowały się na Ziemi, co oznaczało, że należało dokonać transferu do banku na jakiejś stacji, a potem dopiero je pobrać. Zważywszy na długi czas transmisji do tego odległego końca galaktyki, taka operacja zajęłaby trzy miesiące. Dlatego tego rodzaju transakcje były zabezpieczone dziesięciokrotnie lepiej od tych, jakie przeprowadzano w kosmosie, a które można było potwierdzać i weryfikować w ciągu paru sekund. W porządku, z tym jakoś sobie poradzi. Karta była zaprogramowana na Pierwszy Bank Zjednoczonej Ziemi, który najwidoczniej miał swoją filię na stacji tranzytowej Gildii. No, to musiało kosztować sporo szmalu. Zajrzał tam i pokręcił się trochę, sprawdzając, czy bank nie jest zabezpieczony lepiej niż zwykle. Faktycznie był - i to znacznie lepiej - ale nie najnowszym softem, lecz programami z czasów dinozaurów, dublującymi swoje funkcje, niechlujnymi i obszernymi, które najwidoczniej dodawano przez wieki, nigdy nie porządkując. No, oto cała Ziemia. Zazwyczaj pracując z poślizgiem, był potrójnie ostrożny, ponieważ oznaczało to kilkusekundowe opóźnienie, wystarczające, by cię namierzyli, ale te programy nie były dostatecznie czujne, żeby to wykorzystać.

Kiedy uznał, że już uzyskał ogólny obraz sytuacji, i kazał swoim łamaczom hasel zabrać się do wypróbowywania kombinacji kilku serwerów, do których chciał uzyskać dostęp, postanowił sam rzucić okiem na to konto. Zabezpieczenia nie dopuszczą go tam bez sporego nakładu pracy, ale może uda mu się zebrać dość informacji, żeby wyrobić sobie pogląd na ich skuteczność. Wszedł tam, nie korzystając z karty dziewczyny, lecz kradnąc potrzebne dane i korzystając z dziury w systemie. Tak było bezpieczniej. Znalazł automatyczny program księgujący, który pozwalał mu podglądać wysokość kont bez możliwości ich zmiany. Na razie wystarczy. Podał numer konta dziewczyny.

I wszystkie moduły alarmowe, od bioobwodów w mózgu, przez splecione z nimi nerwy, po prymitywny instynkt nakazujący odwrócić się i uciec, włączyły się równocześnie. Ufał swoim przeczuciom na tyle, by wiedzieć, że nadciąga coś paskudnego, i najszybciej, jak mógł, przerwał kontakt, kasując wszystkie kody, które zebrał po drodze. Nawet to nie wystarczało i w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Opóźnienie oznaczało, że to coś działało już od kilku sekund i tylko dlatego, że przybywało z innego węzła, miał czas, by się uratować.

Połączył się przez węzeł Reijik, na wszelki wypadek. Teraz przerwał to połączenie. Robiąc to, już wyczuwał wężącego, potężnego snifera, który podążał jego tropem. Feniks o mało nie nadział się na niego, pospiesznie wymazując wszystkie ślady swojej obecności. Był ostrożny, zawsze był ostrożny, ale wiedział też, że jeszcze nie zrobił niczego, co mogło wywołać taką reakcję, a więc... Cóż, może był trochę zbyt pewny siebie. Tylko troszeczkę. Czuł, że jego ciało siedzi sztywno wyprostowane w fotelu i gdzieś w oddali słyszał głos Atoma, który pytał: „Co się stało, F.?”. Nie odpowiedział. Potrzebował każdego neuronu, by myśleć równie szybko jak tropiący go program i wyprzedzać go o krok.

W końcu uwięził go w pętli logicznej na Reijik. Po minucie lub dwóch snifer zorientuje się i uwolni, ale to dawało Feniksowi czas do manewru. Zostawił ślad wiodący do jednego z publicznych portali, a stamtąd wysłał tysiąc fałszywych tropów, które będą odnawiać się samoczynnie, dopóki coś ich nie wychwyci. Niech snifer przez jakiś czas ma zajęcie. Feniks, nie żałując czasu, starannie zatarł za sobą wszystkie ślady, potem wykasował ścieżkę z zapisem operacji kasowania, i tak dalej, aż kamień spadł mu z piersi i znów mógł swobodnie oddychać. Niech to szlag, niewiele brakowało.

- Nic mi nie jest - wyrzęził. Nie wiedząc, czy upłynęła godzina, czy zaledwie kilka minut, od chwili gdy Atom zadał mu pytanie. Gardło miał suche jak kreda. - Daj mi coś do picia, dobrze?

Jego procesor skopiował część kodu tego, co go pochwyliło. Teraz ostrożnie obejrzał ten program. Zabezpieczenie, oczywiście, ale nie z rodzaju tych używanych przez

bankowców. Gotów był się założyć, że nie miało nic wspólnego z bankiem, ale zostało umieszczone przez kogoś z zewnątrz. I był to jeden z najbardziej agresywnych sniferów, jakie kiedykolwiek widział.

Masz paskudnych wrogów, dziewczyno.

W końcu pozwolił, by tekst znikł z jego pola widzenia, i znów otworzył oczy. Były suche i latały mu przed nimi czarne plamki. Najwyraźniej zacieranie śladów zajęło mu sporo czasu. Atom stał obok z napojem. Feniks wyciągnął rękę i z wdzięcznością wziął kartonik. W środku był jakiś ciepły, czerwony i paskudny płyn, który jednak zwilżył mu język i przeczyścił gardło.

- To konto masz otoczone całym tłumem programów - rzekł w końcu. - Zabezpieczenia bankowe nie są z nich najgorsze. Łamałem lepsze. Ktoś jednak obserwuje wszystkie transakcje dokonywane na twoim koncie i ktokolwiek to robi, umieścił tam naprawdę paskudne rzeczy. Cholernie paskudne.

Dziewczyna na chwilę zamknęła oczy, przetrawiając tę wiadomość, a potem wyciągnęła się w fotelu. Nagle zaczęła sprawiać wrażenie zmęczonej i zniechęconej. Czyżby pomyślała, że jej nie pomogą tylko dlatego, że to trudne zadanie?

Potem coś się zmieniło. To było dziwne, jakby przeszedł ją dreszcz i obudził w niej zupełnie nowe uczucia. A także nową osobę: twardszą, bardziej zdecydowaną i znacznie mniej bezbronną. Otworzyła oczy i przez moment miał wrażenie, że widzi kogoś innego. Zupełnie obcego.

Opanowanym i chłodnym tonem powiedziała:

- A więc te pieniądze są niedostępne.

- Tego nie powiedziałem.

Nie odrywała od niego wzroku, wyczekującego, pełnego nadziei. Jej oczy miały przedziwny kolor, jasnobłękitny, niewiarygodny. Zapewne sztuczny, pomyślał. Potem przez moment wydawały się spoglądać w dal... Oczywista oznaka wewnętrznego dialogu. A przecież nie miała na głowie hełmu, więc to niemożliwe. A może?

„Nie ma rzeczy niemożliwych”, szepnął mu cichy głos.

Czyżby była bezpośrednio podłączona do sieci i nie potrzebowała hełmu czy interfejsu? Nie był pewny, czy podoba mu się ta myśl. Nie bez powodu nikt nie podłączał się bezpośrednio do sieci. Prawdę mówiąc, nie robiono tego z tysiąca różnych powodów, których listę otwierały i zamykały wirusy mogące sfajczyć mózg. Na samą myśl o podejmowaniu takiego ryzyka - i tym, co mogło wtedy dziać się w jej głowie - nawet modziowi robiło się słabo.

Jednakże to doskonale tłumaczyłoby, dlaczego ktoś ją ściga.

- Mogę zdobyć dla ciebie te pieniądze - powiedział. A potem dodał z uśmiechem: - Zapewne mogę nawet zdobyć twoje pieniądze. - No dobra, lubił się chwalić. Który haker nie ma ego? - Pytanie tylko: co będzie potem? Jeśli masz na karku kogoś, kto tak dobrze potrafi tropić, to jest tylko kwestią czasu, kiedy znów wpadnie na twój ślad. - Popatrzył w te błękitne oczy i wytrzymał ich spojrzenie. - Może mógłbym ci pomóc...

Nie dokończył, pozwalając, by sama dopowiedziała sobie resztę.

- A co byś za to chciał?

- Więcej informacji.

- Jakich?

Teraz albo nigdy, pomyślał. Jak dużo mu wyjawić?

- Kto cię ściga?

Kąciki jej ust uniosły się w nikłym uśmiechu, smutnym i znużonym.

- Przykro mi. Nie wiem.

- Czy wiesz dlaczego?

Pokręciła głową. Nie był w stanie orzec, czy mówiła prawdę. Wcale by się nie dziwił, gdyby skłamała. W końcu był dla niej obcym człowiekiem. Do licha, równie dobrze mógł być jednym z tej bandy, która ją ścigała. Dziwił się, że w ogóle mu zaufała.

„Nie miała wyboru”, szepnął wewnętrzny głos. „Bez pieniędzy, z zablokowanym kontem i Bóg wie jakimi zastawionymi na nią pułapkami... Ona cię potrzebuje, albo kogoś takiego jak ty. I dobrze o tym wie”.

A jeśli chcieli czegoś, co miała w głowie? Jezu. Nawet nie chciał o tym myśleć. Ponownie dostrzegł to chwilowe skupienie i zastanowił się nad jego przyczyną. Takie subtelne, takie szybkie. Wątpił, by przeciętny gość to zauważył. Czy w jej głowie naprawdę działo się coś dziwnego, czy też po prostu uruchamiała jakiś program? Do diabła, równie dobrze program zdrowotny mógł zalecać jej lunch, a ona kazała mu się odpieprzyć.

MODZIO? - przesłał Atomowi.

NIE SĄDZĘ - przyszła odpowiedź.

MASZ INNE BŁYSKOTLIWE POMYSŁY?

Atom nieznacznie wzruszył ramionami. Widocznie też nie potrafił jej rozgryźć. Grzebanie przy tego rodzaju programach zabezpieczających to dla modzia ryzykowna zabawa. Podwójnie ryzykowna, jeśli nie wie, co robi i dlaczego. Kiedy ostatnim razem Feniks widział taki paskudny program, ten chciał go dopaść. I o mało co, a by mu się to udało. Feniks nadal miewał koszmarne sny o nim.

Jeśli jednak w jej głowie tkwiła jakaś technologiczna tajemnica, to mógł ją rozwiązać tylko w jeden sposób. Co oznaczało, że właściwie nie miał innego wyjścia.

MASZ COŚ PRZECIWKO TEMU, ŻE JĄ PRZEJMĘ? - zapytał Atoma.

Pole widzenia wypełniła mu żółta, smutnie wykrzywiona twarz.

DO DIABŁA, TAK PRZYPUSZCZAŁEM. CZŁOWIEKU, JESTEŚ RÓWNIEM PRZEWIDYWALNY JAK GÓWNO. - Twarz znikła, zastąpiona przez zaciśniętą pięść z uniesionym w górę kciukiem. PRÓBUJ.

Ponownie skupił uwagę na dziewczynie.

- Bez tych informacji trudno mi będzie coś zrobić - rzekł. Wzruszyła ramionami i powiedziała ze szczerym żalem:

- Przykro mi. Naprawdę nic nie wiem. - Potem jej oczy znów przybrały ten bezbronny wyraz - który wydawał się nagle pojawiać i znikać, jakby ktoś naciskał przełącznik w jej mózgu - i zapytała bardzo łagodnie: - Możesz mi pomóc?

NAPRAWDĘ TAKI PASKUDNY? - zapytał Atom. ISTNE GÓWNO, przesłał mu Feniks. I GORZEJ. JEŚLI JĄ PRZEJMIESZ, TO CHCĘ WIEDZIEĆ O WSZYSTKIM.

OCZYWIŚCIE.

- Obiecała mi pięć tysięcy - rzekł głośno Atom. Dziewczyna spojrzała na Feniksa. Pytająco.

- Jeśli dobierzemy się do pieniędzy - powiedział z uśmiechem - zapłacisz piątkę.

Powiedział to na użytek dziewczyny, żeby nie domyśliła się, że chodzi tu o wiele więcej niż o zwyczajną transakcję. Atom tak samo jak on potrafił zgarnąć tyle szmalu, ile potrzebował. To była lekcja numer jeden w podręczniku modzia. Tylko że Atom bywał czasem leniwy. Może chciał, by te pieniądze po prostu spadły mu z nieba, żeby mieć czas na coś innego. Atom był dumny ze swojej umiejętności wymykania się glinom - jak oni wszyscy

- ale nie prowokował ich bez potrzeby. Nie upajał się ryzykiem związanym z balansowaniem na ostrzu noża między kłopotami i triumfem.

A Feniks - tak. On to uwielbiał. Wymykanie się glinom to wspinała rozrywka, a jeśli coś gorszego od nich przybyło na Paradise i ścigało tę dziewczynę... Takemu wyzwaniu nie potrafił się oprzeć. Atom o tym wiedział. Pewnie dlatego w ogóle go wezwał. Z pewnością dlatego zgodził się oddać mu teraz dziewczynę i zadowolić się relacjami z drugiej ręki. Może w ten sposób nie będzie się tak dobrze bawił, niż gdyby zajął się tym osobiście, ale w ciągu kilku ostatnich e-miesięcy troje hakerów z Paradise poszło do reprocessowania, wołał więc zachować ostrożność.

Feniks nie miał tego rodzaju oporów. Nie bez powodu wybrał taki pseudonim, legendarnego ziemskiego ptaka, który ginął w płomieniach tylko po to, by na nowo powstać z popiołów. Opowieść dziewczyny sugerowała niezły pożar. A on chciał się dowiedzieć, co płonie.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

Zaledwie to powiedział, a zrozumiał, jaka będzie odpowiedź. I dlaczego dziewczyna wygląda na taką zmęczoną. To było cholernie głupie pytanie, Feniks. Mimo to czekał, ciekawy, jak ona sobie z tym poradzi.

Ku jego zdziwieniu odpowiedziała z nikłym uśmiechem:

- No, jeszcze nie znalazłam kwatery... ale jeśli możesz mi polecić jakiś hotel, w którym nie trzeba płacić, to pewnie w nim zamieszkać.

Właśnie wtedy stwierdził, że ta dziewczyna mu się podoba. A ściśle mówiąc, wtedy uświadomił sobie, że ona jest realną osobą, a nie tylko informatycznym problemem do rozwiązania. Dla jego mentalności modzia był to piekielny przeskok i nieczęsto mu się zdarzał. Zazwyczaj nie uważał za ludzi tych, których mózg nie był bezpośrednio połączony z hełmem.

- Mam wolny pokój - powiedział jej. - Chaos korzystala z...

- Zaczerpnął tchu, usiłując przełknąć kulę, która nagle stanęła mu w gardle. - Przyjaciółka. Często u mnie mieszkała. Trochę tam ciasno - ostrzegł.

- W porządku.

Znów ten słaby uśmiech.- Atom?

- Nie mam nic przeciwko temu.

PRZYGARNIASZ WSZYSTKIE ŚLICZNOTKI?

Zaczerwienił się. Naprawdę się zaczerwienił. Była to najdziwniejsza rzecz, jaka mu się przydarzyła, jemu, który karmił się dziwactwami. Skąd się wzięła taka reakcja? Od kiedy miało dla niego znaczenie, czy klientka jest śliczna, czy nie?

„To ma się już nie powtórzyć”, powiedział programowi zdrowotnemu, własnym narzeczem symboli i skrótów. „Nigdy. Masz tego dopilnować”.

- Dziękuję wam - powiedziała. Jej głos był taki łagodny i słodki. Przepojony wdzięcznością. Jaki skrywała sekret? Jak nazywał się płonący w niej ogień, ku któremu niosły Feniksa elektroniczne skrzydła? Jej głos i zachowanie nie zdradzały tego, lecz to nigdy go nie powstrzymywało. - Bardzo dziękuję.

Nie spłonę, obiecał sobie Feniks. Tym razem będę uważał.

Nie przesłał tej myśli Atomowi. Facet tylko by się obśmiał i przypomniał mu, co zdarzyło się na Hellsgate. I na Lampadzie IV. Oraz na... no cóż, w paru innych miejscach. Fatalne wypadki, miejsca, których nigdy nie zapomni. Nie ma czegoś takiego jak studia hakerskie, więc człowiek musi uczyć się na błędach.

No tak. Czasem się wdepnie, no nie?

XX

Każda nowa technologia rodzi nowe formy przestępstw, wymagających innowacyjnych zabezpieczeń. Na tym opiera się dynamika postępu: nie na marzeniach, nie na ideałach, lecz na podejmowanych przez przestępców próbach zagarnięcia cudzej własności i determinacji, z jaką inni próbują im to uniemożliwić.

DR AMY LAN „*Nowe wspaniałe bitwy*”

WĘZEL REIJIKAŃSKI STATEK „WAYWARD”

MAYDAY... MAYDAY...

We wszystkich oczach czerwono migotała budząca lęk ikona kosmicznego alarmu. Kapitan „Waywarda” zmniejszył kontrast wiadomości, żeby dojrzeć szczegóły.

Pogotowie medyczne... awaria programów... potrzebna pomoc... pogotowie...

- Frachtowiec - powiedział pilot. - Szóstej klasy. Prywatny. Jeśli pan chce, sprawdzę jego numer.

- Nie teraz.

Szkarłatne litery pulsowały mu w polu widzenia. Do diabła, dlaczego akurat teraz? Mieli za dużo pracy, żeby się zatrzymywać. Przewozili spory pakiet danych do przesłania uninetem i kapitan nie miał ochoty zatrzymywać się z jakiegokolwiek powodu.

Tylko że w kosmosie nie zostawia się potrzebujących bez pomocy. Nawet gdyby szef stacji nie rozwaliał ci za to łba, to Gildia prawdopodobnie cisnęłaby cię bez skafandra w *ainniq*. Wobec takiej perspektywy kwestie czasu czy bezpieczeństwa miały drugorzędne znaczenie.

- Wywołaj ich - rozkazał.

Ikona alarmu błysnęła jeszcze dwukrotnie i zgasła. Przez chwilę palił się tylko jej widmowy ślad na siatkówce, gdy wysyłano wiadomość. Po kilku sekundach pilot zameldował:

- Mówią, że pluskwa w programie usmażyła procesor oficera i część podstawowego oprogramowania. Nie mogą ustabilizować uszkodzeń. Proszą o chwilowy dostęp do naszych programów medycznych, żeby go zamrozić.

Kapitan przygryzł dolną wargę, rozważając to. Udzielanie pomocy obcym to jedno. Natomiast wpuszczanie ich na statek i pozwolenie, by podłączyli się do sieci... To mu się nie podobało. Miał w tej sieci sporo ściśle tajnych danych i wolałby trzymać obcych jak najdalej od niej.

Cholera. Przecież nie miał wyboru.

- W porządku - rzekł. Wcale mu się to nie podobało. - Zaaranżujcie spotkanie. Powiedzcie im, że weźmiemy na pokład pacjenta i jednego członka załogi. Ograniczony dostęp do oprogramowania medycznego. Frank, zajmij się tym i pozamykaj wszystkie inne programy. Mają zostać zamknięte tak dokładnie, żeby nawet hakerzy z samego piekła nie zdołali się do nich włamać. - Frank chciał zaprotestować, ale uciszył go machnięciem ręki. - Tak, wiem, ale możemy chociaż udawać, no nie? Jezu.

Doprawdy, że też musiało się to zdarzyć akurat teraz.

Pilot zmienił pierwotny kurs, obracając statek w stronę źródła sygnału o pomoc. Zamigotał ikonami, obliczając odległość, i mruknął coś pod nosem. Niech to szlag, stracą mnóstwo czasu. Zaufania, jakim go darzono, nie zdobył dzięki lekceważeniu terminów i wcale nie cieszyła go perspektywa opóźnionego przylotu na stację tranzytową. Tylko co mógł na to poradzić? Cywilizacja ma swoje prawa. Nie można zostawić ludzi bez pomocy, no nie?

No, pewnie można, ale Gildia da ci za to popalić.

Wywołał dane statku i nie znalazł niczego szczególnego. Prywatny frachtowiec z licencją kosmiczną, zapewne przewożący przesyłki kurierskie dla dużych firm. Mnóstwo takich kręciło się w przestrzeni. Czasem ci faceci dysponowali skromnymi środkami finansowymi, co oznaczało, że nie było ich stać na zapasowe oprogramowanie, w jakie był wyposażony jego statek. No dobrze. Frank wydzielił programy medyczne i pozwolił im z nich skorzystać, a kiedy odleca, pięciokrotnie sprawdził sieć okrętową, żeby upewnić się, że niczego nie zostawili. Kapitan „Waywarda” mógł mieć dobre serce - a przynajmniej poczucie obowiązku - nie był jednak głupi.

W polu widzenia błysnęły mu współrzędne, zbyt szybko, by zdążył je odczytać - to tylko pilot potwierdzał otrzymany rozkaz. Kapitan skinął głową, a potem zerknął na sufit, gdzie elektroniczne przekaźniki przesyłały sygnał z jego mózgu do sieci okrętowej i z powrotem. Te też trzeba wyłączyć, pomyślał. Tamci nie mogą mieć dostępu do ich systemu. Do licha, to nie będzie łatwe.

Statek nie znajdował się tak daleko, jak obawiał się tego kapitan, co było pocieszające. Miał standardową służbę powietrzną i mechanizm dokujący, więc po zetknięciu się obu statków połączono je w zaledwie dziesięć minut. Dość szybko, ale kapitan zastanawiał się, jak znosi to ranny.

Potem drzwi otworzyły się z sykiem i do służby wjechały samobieżne nosze. Leżał na nich mały łysy humanoid, który wił się i szarpał mocując go do wózka pasy. Powinni byli podać mu środki uspokajające, pomyślał kapitan. A może to zrobili, ale niewiele pomogły. W drzwiach pojawiły się jeszcze dwie postacie, jedna malutka, a druga standardowego ziemskiego wzrostu, chociaż o niebieskiej twarzy. Kapitan otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale wyższy gość przemówił pierwszy, wyciągając rękę do rytualnego uścisku.

- Allonzo Porsha, kapitan. Jestem wdzięczny za pomoc. - Potem szybko zabrał rękę, a wózek niecierpliwie zapiszczał. - Gdzie mamy go umieścić?

Kapitan odzyskał głos.

- Zezwoliłem na wejście dwóch osób. Włącznie z rannym. Może spowodowały to jego słowa, a może zbieg okoliczności, lecz w tej samej chwili drugi gość, niski i łysy Wariant podobny do tego na wózku, boleśnie jęknął i rzucił się na leżące na noszach ciało. Do licha, ależ byli podobni. Ten widok oraz niski wzrost i łyse czaszki wszystko wyjaśniały.

- To Belial - rzekł Porsha.

- Taak. - Nie podobało mu się to, ale znał kosmiczne zwyczaje. Ci dwaj bliźniaczo podobni Warianci podobno byli jedną istotą, chociaż kapitan nie miał pojęcia, jak to jest możliwe. Już chciał im powiedzieć, że nic go to nie obchodzi, ale zrezygnował, czując się trochę głupio. Omawianie problemu tożsamości Beliali byłoby jak spieranie się w centrum handlowym, czy zgodnie ze specyfikacją zakupiony garnitur powinien być jedno-, dwu - czy też trzyczęściowy. Nigdy nie wygrasz.

- W porządku. W porządku. Chodźcie.

Odczekał, aż drzwi zostaną ponownie zamknięte i zablokowane - nie zamierzał ryzykować - po czym skinął na Franka, by zaprowadził gości do medycznej konsoli na rufie statku. Sam obserwował obcych z tyłu. Czy był przesadnie ostrożny? W kosmosie rzadko spotykało się piratów, ale znał faceta, który kiedyś został przez nich napadnięty właśnie w taki sposób. Kiedy wedrą się na pokład, niewiele już można zrobić.

W polu widzenia zamigotała mu ikonka, ostrzegając o braku połączenia sieciowego. Dobrze, to oznaczało, że załoga wykonała rozkaz. Doskonale. Czegokolwiek chcieli ci dwaj - ci trzej - nie zdołają teraz przetrząsnąć okrętowej bazy danych.

Jednak wyglądało na to, że temu małemu naprawdę coś dolega. Albo był piekielnie dobrym aktorem. Frank pomógł Porshy podłączyć rannego do konsoli za pomocą przewodu, co powinno ominąć wszelkie uszkodzenia hełmu, a potem czujnie przyglądał się, jak niebieskoskóry wprowadza różne poprawki. Frank skinął głową. On też to obserwował i z pewnością wszystko rejestrował. Gdyby w trakcie tych czynności coś było nie tak, w razie jakiegokolwiek próby włamania się przez komputer medyczny do sieci okrętowej zauważyliby niebezpieczeństwo, zanim doszłoby do uszkodzeń.

Nagle Belial na noszach krzyknął i zaczął rzucać się w agonii. Jego bliźniak skoczył mu na pomoc, ale Porsha odepchnął go na bok. Trochę zbyt brutalnie, pomyślał kapitan. Tak jakby już od dłuższego czasu miał dość zdrowego bliźniaka, ale skoro tak mu przeszkadzał, to czemu zabrał go ze sobą? W następnej chwili kapitan przypomniał sobie, na czym polega ten szczególnie rodzaj mutacji, i ze zrozumieniem ponuro kiwnął głową. Nie można rozdzielić Beliali, nie siłą. Lepiej nawet tego nie próbować. Co innego, jeśli sami zechcą się rozdzielić - to się czasem zdarzało - ale jeżeli postanowiły być razem i ktoś próbował je odseparować... No cóż, to jakby kazać człowiekowi, żeby pozbył się ręki czy nogi i nie zastanowił się nad tym. A przynajmniej tak mówiono mu na studiach. Ludzkość miała teraz tyle różnych odmian, że trudno było wszystkie spamiętać.

W końcu ranny bliźniak znieruchomiał na wózku, najwidoczniej zapadając w sen. Jego brat pojękiwał w kącie pokoju, a Porsha nie zwracał na niego uwagi. Razem z Frankiem w milczeniu manipulowali siecią, pomagając rannemu: Porsha robił swoje, a Frank bacznie obserwował każdy jego ruch w cyberprzestrzeni. W końcu Porsha kiwnął głową i zdjął hełm. Kapitan nie dostrzegł żadnej zauważalnej zmiany w wyglądzie rannego, chociaż kiedy dokładnie mu się przyjrzał, Belial wydał mu się mniej blady.

W porządku. A więc to nie był podstęp. I wszystko to nie zajęło im dużo czasu. Może dopisze im szczęście i do końca rejsu obejdzie się bez dalszych niespodzianek.

- Proszę posłuchać - rzekł niebieskoskóry - nie wiem, jak mam dziękować...

- Nie ma za co - rzucił szorstko kapitan. Wymogi uprzejmości. - Cieszę się, że mogliśmy mu pomóc.

- Nie, naprawdę, jestem winien...

- To drobiazg - rzekł. I widząc, że tamtemu to nie wystarcza, powtórzył z naciskiem: - Drobiazg.

W ten sposób przynajmniej uciął rozmowę. I dobrze. Kapitan miał obowiązek pomóc podróżnemu w potrzebie, ale wcale nie musiał sterczeć tu i gawędzić z obcym człowiekiem, zapominając o pracy. Był uprzejmy, ale nawet uprzejmość ma jakieś granice.

Odprowadził gości do śluzy powietrznej, otworzył ją i wpuścił ich do środka. Widział, że jego ludzie byli przygotowani na kłopoty: chowali za plecami broń i bacznie obserwowali odchodzących. Jednak ci nie sprawiali żadnych kłopotów. Najwidoczniej ich wizyta miała zupełnie niewinny charakter. Po prostu ktoś z załogi potrzebował pomocy. Mimo wszystko...

- Sprawdź to - powiedział Frankowi. - Sprawdź wszystko. Masz dokładnie przeszukać system komputera medycznego. Jeśli stwierdzisz jakąkolwiek próbę włamania, choćby jeden wykonany test haseł dostępu, natychmiast zameldujesz mi i przejrzymy system bit po bicie, dopóki nie upewnimy się, że jest czysty.

Nie zamierzał tolerować jakiegoś wirusa na swoim statku, to pewne. Ani przeoczyć próby skopiowania danych, jakie przewoził. Zapewne ta wizyta był dokładnie tym, na co wyglądała... ale w tym interesie nie można być zbyt ostrożnym.

*

Stary piracki przesąd ostrzegał przed liczeniem zdobyczy, dopóki ktoś może cię usłyszeć. Oczywiście, w przestrzeni kosmicznej była to raczej abstrakcyjna koncepcja i jeden Bóg wie, skąd się wzięła, lecz zwyczaj nadal nakazywał oddalić się spory kawałek od ofiary, zanim zacznie się drwić z jej głupoty.

Która w tym wypadku była potworna.

- Tam?

- Bez problemu - powiedział mu Belial. - W miejscu, w którym stałem podczas zabiegu, pod konsolą. Nikt na mnie nie patrzył, więc dobrze go ukryłem. Z pewnością nie znajdą go przypadkiem.

- Wspaniale.

Pozostaną w bezpiecznej odległości od „Waywarda”, lecz nie tak dużej, by transmisja niskiej mocy nie zdołała dotrzeć na jego pokład. Za kilka godzin Calia wyśle kody, które uruchomią ukryty nadajnik, a za jego pośrednictwem Tam podłączy się do wewnętrznej sieci statku. Wówczas będzie mógł z nią robić, co zechce, długo po tym, jak ludzie na pokładzie „Waywarda” przestaną szukać śladów wtargnięcia do systemu.

Takiej sztuczki nie można wykorzystywać za często, ale jeśli się uda, to dzięki niej wykradną cenne dane, zanim ktokolwiek się zorientuje. Jeżeli dopisze im szczęście, to nikt się o tym nie dowie. Czasem im dopisywało.

- Allo, odebrałem sygnał - zameldował Sumi. - Wygląda na celników.

To słowo jak zimny podmuch zmroziło radosną atmosferę. Allo natychmiast stracił dobry humor.

- Czego chcą?

Sumi zamknął oczy, żeby lepiej widzieć wiadomość. Macki drgały mu lekko, kiedy czytał.

- Wejść na pokład - odparł w końcu.

Te słowa przez chwilę zawisły w powietrzu, zapowiadając kłopoty. Nieraz bywało, że ekipa celników zatrzymywała i przeszukiwała przelatujące w pobliżu statki. Przemysłowcy przeważnie starali się przed przybyciem na stację węzłową wyładować towar w prywatnych dokach, więc tylko w taki sposób można ich było przyłapać. Mimo wszystko, to dość niezwykle. W dodatku teraz? Dziwny zbieg okoliczności.

Allo przygryzł dolną wargę, zastanawiając się nad tym. W końcu zapytał:

- Jak uważasz?

Sumi odpowiedział po krótkim namyśle.

- Jeśli ich nie wpuścimy, będziemy mieli kłopoty. Sam wiesz.

Owszem, wiedział. Nie powinno tak być, ale było. W kosmosie uważano cię za winnego, jeśli nie dowiodłeś swojej niewinności, chociaż prawo głosiło co innego. Na stacji mógłby się opierać. W kosmosie nie miał z kim dyskutować.

I nie zapominaj, że oni mają broń, pomyślał. Nie pozwól, by zauważyli, że my też.

- Calia?

- Nie mamy niczego trefnego na pokładzie - odparła spokojnie. - Wyczyściłeś ładownie po tej ostatniej dostawie narkotyków. A nie przewoziliśmy niczego, co zostawia ślady.

- I mamy legalne dokumenty przewozowe - dodał Sumi. - Jak zawsze.

Boże, nienawidził tego. Najchętniej kazałby im się odczepić i wracać, skąd przylecieli... A oni może nawet by usłuchali, jeśli nie mieli nakazu. Miałby prawo odmówić im wstępu na pokład. Tyle że mógłby się założyć, iż czekali by na niego na następnej stacji, na następnej i jeszcze jednej. Gdyby Allo i jego załoga prowadzili legalne interesy, byłby to tylko kłopot, ale tak... I Bóg wie, że - jak powiedziała Calia - statek jeszcze nigdy nie był bardziej czysty niż teraz.

- Tam, chcę, by nasze programy...

- Wymazać z banku - dokończył Belial. - Już to zrobiłem. Miał dobrą załogę. Umieeli myśleć, umieli szybko działać i przede wszystkim umieli kłamać. Sumi najlepiej. Allo pozwoli Meduzaninowi zająć się ekipą celników. W ten sposób poświęci im akurat tyle uwagi, na ile zasługiwała taka wizyta - nie za mało i nie za dużo. Takie niuanse są bardzo ważne.

- Sprawdź ich tożsamość - powiedział w końcu.

Sumi zamknął oczy i zaczął wymieniać kody z odległym statkiem. Po chwili skinął głową.

- Zgadza się - oznajmił. - Wydaje się, że to naprawdę celnicy. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Z nieprzyjacielem łatwiej byłoby się uporać.

- W porządku - mruknął. W swoim głosie usłyszał zniechęcenie. - Powiedz im, że mogą wejść.

Sumi spojrzał na niego. Allo kiwnął głową. Znali się tak dobrze, że rozumieli się bez słów i przesłanych wiadomości. W końcu miewali już takie wizyty. Allo nienawidził ich, ale nie były dla niego niczym nowym.

Statek celników potrzebował pół godziny, żeby do nich dolecieć, i prawie drugie tyle, by zadokować. Allo pieniał się w duchu, ale wiedział, o co chodzi. Prawo zakazywało przeprowadzania rewizji bez nakazu. Jeśli jednak wykonałby jakikolwiek ruch, który można by uznać za stawianie oporu, tamci nie potrzebowaliby nakazu. Gdyby udało im się go sprowokować do jakiegoś nieprzemyślanego działania, byłoby to im bardzo na rękę.

Nienawidził tych gier. Co nie przeszkadzało, by zwykle je wygrywał.

Urzednicy, którzy weszli na statek, byli ubrani w czysty skafandry. Allo założyłby się, że niedawno wrócili z urlopu na jakiejś rozrywkowej stacji. Na uniformach mieli lokalne insygnia, których nie rozpoznał, lecz sama liczba tych ozdób świadczyła o wysokiej randze. Nie był pewny, czy to dobrze, czy źle.

- Allonzo Porsha?

- Tak.

- Czy to pański statek?

Powstrzymał się od złośliwego komentarza i odparł krótko: - Tak.

Jakby już nie znali danych właściciela. Przedstawili się. On przedstawił im załogę. Goście spoglądali w dal, porównując nazwiska z jakąś listą, jaką mieli w głowach. Potem ich dowódca poprosił o pokazanie statku i Sumi ruszył, by ich poprowadzić...

I nagle w ich rękach pojawiła się broń, tak błyskawicznie, że Allo nie zdążył zareagować. Zanim wyciągnął swoją, spowiła go chmura kwaśnego gazu, który palił oczy i gardło, oślepiając i wywołując gwałtowny atak kaszlu. Do diabła! Oślepiony, zgięty w pół, usiłując pozbyć się trucizny, którą wciągnął w płuca, nie odważył się strzelać w obawie, że trafi swoich ludzi. Jezu Chryste! Miał nadzieję, że Sumi i pozostali jakoś opanują sytuację, bo sam nic nie widział. Próbował połączyć się z siecią statku, żeby przynajmniej zobaczyć obraz z którejś z kamer, ale chmura trucizny wywołała tak silne spazmy, że nie zdołał wyobrazić sobie ikon. Z jękiem bólu upadł na podłogę i w tym momencie coś mocno ukuło go w ramię.

Program zdrowotny przesłał mu jakieś zamazane ostrzeżenie, zapewne o nowej truciznie wprowadzonej do jego organizmu. Niech to szlag! Niech to szlag! Muszę to zwalczyć... Ukłucie zmieniło się w pieczenie całej klatki piersiowej i drgawki. Słyszał wokół odgłosy walki, trzask elektrycznych wyładowań, ciche syknięcia strzałek... lecz nawet te dźwięki były niewyraźne, jakby jego mózg już nie przyjmował informacji. Czy wstrzyknęli mu truciznę? A może coś gorszego? Słyszał krzyki, łoskot i zduszone przekleństwa załogi. Jezu Chryste, co to za faceci?

Rozległ się głośny huk i wszystko ucichło, a potem ktoś szarpnął go za rękaw, podnosząc i ciągnąc. Pod wpływem szarpnięcia zaczął wymiotować. Poczuł na języku kwaśny smak, jakby to coś, co mu wstrzyknęli, zupełnie rozstroiło wszystkie funkcje jego organizmu. Wytrącili mu broń z ręki i powlekli do doku, gdzie czekał ich statek. Po drodze potknął się o coś. Czyjeś ciało? Depcząc wilgotne macki leżącego, napastnicy wepchnęli go do śluzu powietrznej. Zostawiał za sobą krwawy ślad, jak ślimak zostawia śluz. Czy ktoś z jego załogi został przy życiu? Próbował ich zawołać, ale gardło zatykała mu kula zółci i wymiocin. Rozpaczliwie usiłował odkaszląć, żeby złapać oddech.

A wtedy ktoś mocno uderzył go w tył głowy.

Zapadła ciemność.

*

Dźwięki. Rozmyte barwy, powoli nabierające kształtu. Jasne, zbyt jasne światła. Usiłował odwrócić głowę. Nie zdołał. Blokada ośrodka ruchowego. A może był sparaliżowany?

Zamrugnął, usiłując skupić wzrok. Coś przed nim poruszyło się, w towarzystwie innych kształtów. Ludzie?

- Ocknął się - usłyszał czyjś szorstki głos.

W następnej chwili Allo poczuł ukłucie w rękę i syk aerozolu. Coś chwyciło jego serce i mocno ścisnęło. Program zdrowotny, który powinien zaprotestować, milczał. Allo spróbował go wywołać. Daremnie. Ucisk odrobinę zelżał, ale serce przy każdym uderzeniu wydawało się z ogromną siłą tłuc o żebra. Odrobinę rozjaśniło mu się w głowie, gdy zaczął działać środek, który mu podali. Allo podejrzewał, że byłoby lepiej, gdyby nie odzyskał przytomności.- Pobudka - rzekł męski głos, chrapliwy i zimny. Nozdrza Allo owiał chłodny podmuch i ostry zapach gwałtownie przywrócił mu przytomność.

Duży pokój. Prawie pusty. Dwaj mężczyźni. Stoją. On siedzi. Związany. A może wyłączony od szyi w dół, jak niepotrzebny program. Światło skierowane w twarz, oślepiające.

Coś brzęczało mu w głowie - czyżby procesor reagował tak na obce polecenia? Spróbował potrząsnąć głową, by zrzucić helm, ale ten - oczywiście - był dobrze przymocowany.

Nagle ból, potworny ból, przeszył każdy nerw jego ciała. Nie taki, jaki wywołuje rana, nie zlokalizowany. Miał wrażenie, że krew nagle zaczęła mu wrzeć, topiąc otaczające żyły ciała i rozpuszczając skórę. Żar, klucie, miażdżenie i szarpanie, oraz wszystkie inne słowa, jakie kojarzą się z bólem. Wszystko naraz.

Nie wrzasnął, ale tylko dlatego, że nie zdążył. Trwało to zaledwie sekundę - mniej niż sekundę - i minęło.

Z trudem łapał oddech, dygocząc. Pokój wirował wokół niego, a oszołomiony umysł nie był w stanie pojąć tego, co widział.

- Bardzo dobrze, panie Dietrich - usłyszał czyjś ostry głos. Światła przybliżyły się. Teraz dostrzegł szczegóły, pokój i ludzi, lecz mózg nadal nie potrafił ująć tego w sensowną myśl.

W końcu uświadomił sobie, że walczy o życie, i spróbował coś powiedzieć.

- Słuchajcie, jeśli czegoś chcecie...

Znow ból. Nanosekundy cierpienia. Kiedy się skończyły, nie mógł oddychać i serce ścisnęło mu opaski z rozżarzonego metalu.

- Mam włączyć program zdrowotny? - spytał mężczyzna w końcu pomieszczenia.

- Nie. Jeszcze nie.

O Jezu. Niech to będzie zły sen. Prawdziwy koszmar z rodzaju tych, z których można się zbudzić.

- No, panie Porsha. Chcemy zadać panu kilka pytań. I jak już zapewne się pan domyśla, będzie... znacznie przyjemniej, jeśli okaże pan skłonność do współpracy.

Usiłował zebrać siły, lecz wspomnienie tego bólu wystarczyło, by zaczął drżeć. Cała odwaga, na jaką mógłby się zdobyć, była niczym wobec tego wspomnienia.

- Widzę, że pan rozumie.

Krótką przerwą, wystarczającą, by w jego mózgu pojawiły się przerażające obrazy. Ciało Sumiego na podłodze. Czyjaś krew pod nogami. Trujący dym unoszący się w powietrzu.

Przed oczami pojawiła mu się twarz. Jasnoskóra, wyrazista, o bystrych szarych oczach. Ziemianin, zanotował Allo w tej części umysłu, która jeszcze była zdolna do racjonalnego myślenia.

- Porozmawiajmy o węźle Reijik. Reijik? Dlaczego Reijik? Tam przecież... Cholera.

Narkotyki. Cholera.

- O czym? - szepnął, grając na czas. Jezu. Miał umrzeć.

Próbował szarpnąć więzy. Ciało nie usłuchało go. Program, który wprowadzili do jego procesora, wyłączył wszystko od szyi w dół.

- Stacja Casalza. Pamięta pan?

Te słowa potwierdziły jego najgorsze obawy. Frederico Casalz był właścicielem stacji, którą wykorzystali do przeladunku narkotyków. Niech to szlag, ten jego bezmyślny, pieprzony idiota dał się złapać i wyśpiewał wszystko...

Przeszywający ból, trwający krócej niż uderzenie serca, przerwał mu te rozmyślenia.

- Casalz.

- Tak - jęknął, nienawidząc się za tę słabość i strach. Jak można walczyć z impulsami bólu wprowadzanymi bezpośrednio do układu nerwowego? - Tak. Pamiętam.

- Przewoziliście tam coś. Co?

Przez chwilę nie odpowiadał, łudząc się, że może jeszcze wybierać. Potem dłoń mężczyzny wykonała nieznaczny gest i wszechświat zmienił się w otchłań bólu. Tym razem na dłużej. Prawie na sekundę. Dla uwięzionego w nim była to wieczność.

- Co? - pytał głoś.

Czyżby wkroczył na terytorium jakiegoś narkotykowego króla? Sprzedał towar należący do kogoś innego? Czy też po prostu aż tak zirytował celników? Wątpił w tę ostatnią możliwość. Celnicy zwykle nie stosują tortur, żeby wydobyć z podejrzanych potrzebne informacje.

Zobaczył, że dłoń tamtego znów się poruszyła i zrozumiał, że nie ma wyjścia. Albo odpowie od razu, albo wydobędą z niego prawdę, pobudzając zakończenia nerwowe. Tak czy inaczej, nie zdoła utrzymać tego w tajemnicy.

- *Sana* - rzekł ochryple. - To była *sana*.

Paskudny narkotyk. Jeśli naprawdę byli celnikami, to nie będą zachwyceni.

- Załoga wiedziała?

Czy jeszcze żyli? Sumi, Calia i Tam... Czy przesłuchiowano ich tak samo, odkrywając wszystkie sekrety? Przynajmniej spróbuje ich uratować.

- Nie. Nie. Wiedzieli tylko, że mamy ładunek... ale nie mieli pojęcia jaki. - Usiłował mówić z przekonaniem. - Nie mówię im o wszystkim. Tak jest bezpieczniej.

Zobaczył, że mężczyzna unosi dłoń i przygotował się na ból. Jednak tamten nie dokończył gestu. Stalowe taśmy ściskające pierś Allo odrobinę się rozluźniły.

- Lepiej nie okłamuj mnie, Porsha.

- Nie kłamie. Przysięgam.

- Kto był wtedy na statku?

Zawahał się. Trochę za długo. Kiedy fala bólu zalała go i odpłynęła, ledwie mógł oddychać.

- Lekka fibrylacja - ostrzegł głos z końca pomieszczenia. - Skorygować?

Allo napotkał spojrzenie szarych oczu i zrozumiał, co w nich zobaczył. Śmierć. W najlepszym wypadku, jeśli okaże się skłonny do współpracy. Jeżeli nie... Czy zniesie minutę takiego bólu? Dziesięć? Godzinę?

Nic dziwnego, że ta metoda została zakazana na wszystkich cywilizowanych stacjach.

Niewielka pociecha.

- Porsha?

Jakie to miało znaczenie? Jego załoga, jego przyjaciele, byli na tym statku. W najgorszym razie martwi, w najlepszym pojmani. A może na odwrót? Jakie znaczenie miały ich nazwiska?

- Sumi Ireta - powiedział powoli. - Calia Donnelly. Tam-Tam.

- Czy to wszyscy? Wytrzeszczył oczy.

- Czy to wszyscy?

- Moja załoga - zaczął. - Ja...

Ból. Rzeki, oceany, płonące żywym ogniem galaktyki bólu.

- Spróbujmy jeszcze raz - rzekł spokojnie tamten. - Kto jeszcze był wtedy na statku?

Nagle jakby rozjaśniło mu się w głowie. Zrozumiał. Ta dziewczyna...

- Puśćcie moją załogę - szepnął. - Oni nic nie wiedzą. Przesłuchujący obejrzał się. Oślepiiony strumieniem światła Allo nie widział, na co tamten patrzy. W końcu znów spojrzał na przemytnika.

- W porządku. Powiedz nam to, co chcemy wiedzieć, a my nie... przesłuchamy innych.

Kłamał? Skąd Allo mógł to wiedzieć? Może jego przyjaciele już nie żyli albo siedzieli w takich pokojach jak ten, a obce oprogramowanie zawładnęło komórkami ich mózgów, budząc pierwotny strach przed cierpieniem?

- Ich życie i twoja śmierć - powiedział cicho mężczyzna. - Albo coś znacznie, znacznie gorszego dla was wszystkich. - Obejrzał się na niewidoczną postać, która kierowała urządzeniem stymulującym ból. Porsha skrzywił się. Tym razem jednak nic nie poczuł. Mężczyzna znowu na niego spojrzał. - Wybieraj.

- Była z nami dziewczyna - szepnął.

Czuł, że po tych słowach coś się zmieniło. Powiedział im coś, co chcieli usłyszeć. W porównaniu z tą informacją ludzkie życie było dla nich niczym.

- Opowiedz nam o niej.

Przez chwilę próbował zastanawiać się, jak najlepiej odpowiedzieć, jak wykorzystać ten moment. Przeszywający ból przypomniawszy mu, że nie jest i nie będzie panem sytuacji.

- Opowiedz nam o niej.

- Nazywała się Jamisia Capra. Kazała mówić na siebie Raven. Uciekała przed czymś - nie wiem przed czym! - dodał pospiesznie. Mężczyzna zmarszczył brwi. Widocznie sądził, że przesłuchiwany próbuje kręcić. Jezu Chryste, pomyślał Porsha, nie znoś więcej bólu. Każdy oddech przychodził mu z trudem, a ciężar spoczywający na piersi wydawał się coraz większy. Nie wytrzymam.

Głos na końcu pokoju ostrzegł cicho:- Ciśnienie krwi na poziomie krytycznym. Szarooki patrzył na Porszę.

- Biegła przez doki i wzięliśmy ją na pokład. Nic więcej nie wiem, przysięgam! Poznaliśmy jej nazwisko z karty kredytowej i mieliśmy zamiar śledzić ją na następnej stacji.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Z trudem zbierał myśli. Miał dziwną pustkę w głowie i nie mógł się wysłowić. - Ktoś jej szukał. Dla kogoś... była... dużo warta...

Szare oczy spojrzały na koniec pokoju.

- On nie wie - zawyrokował głos.

Brakowało mu tchu. Nie mógł go zaczerpnąć. Coś za mocno ścisnęło mu pierś.

- Gdzie ona jest? - zapytał przesłuchujący.

Gdzie...? Usiłował pomyśleć... musiał myśleć, inaczej ten ból wróci...

- Nie wiem. - Ledwie wystarczało mu tchu, by cokolwiek powiedzieć. - Zgubiliśmy ją... na Paradise.

Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że powiedział coś, co tamten chciał usłyszeć. Dobrze. Dobrze. Może teraz ból nie wróci. Pierś paliła go żywym ogniem, a każdy kolejny oddech przychodził z większym trudem od poprzedniego. Szumiało mu w uszach i miał dziwne wrażenie, że oddala się od wszystkich i wszystkiego... nawet od własnego ciała.

Niewidoczny człowiek powiedział coś - Porsha nie zrozumiał co - i wyszedł z cienia. Allo nie znał go, ale rozpoznał insygnia na jego kurtce. Znał je aż za dobrze. Jak każdy pilot.

Znak Gildii.

Potem nareszcie porwała go rycząca ciemność i uniosła tam, gdzie ból nie mógł go już osiągnąć.

PROGNOZA UNINETOWA W Pięciu Węzłach przetwarzanie będzie dziś spowolnione, w wyniku obciążenia wywołanego wczorajszym krachem na giełdzie Hellsgate. Klienci mogą oczekiwać opóźnień dostaw, transakcji bankowych i analiz rynkowych. Zaleca się wykorzystanie procedur redundancyjnych.

Przypominamy o konieczności wykonywania kopii zapasowych, szczególnie w rejonach o dużym nasileniu ruchu i w ośrodkach turystycznych. Sieć Northstar, w skład której wchodzi jedno z najlepszych hoteli na Salvation, zgłosiła zaginięcie danych dotyczących rezerwacji dokonanych w filii na Aires. Jeśli w ciągu ostatnich dwunastu godzin zarezerwowaliście miejsca w hotelu za pośrednictwem tego biura, powinniście sprawdzić, czy wasze dane dotarły do głównego banku danych.

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

Miał za mało zarodników.

Doktor Masada przejrzał te dane, pięć razy, dziesięć, a potem sto. Pomimo to wyniki były niedokładne. Nie pozwalały dostrzec tego, co z pewnością tam było.

Z westchnieniem wyciągnął się na fotelu i zamknął oczy, zmęczoną dłonią pocierając bolącą głowę. Program zdrowotny zauważył zmianę pozycji i wykorzystał to, by przypomnieć, że dziś jeszcze zdecydowanie nie zaspokoił zapotrzebowania na kalorie, a i poprzedni dzień zakończył z deficytem. Masada już miał go wyłączyć - po raz czwarty tego dnia - ale potem zawahał się i pomyślał: czemu nie? Powinien oderwać się od tego przeklętego ekranu i jeszcze bardziej irytujących danych, jakie na nim widniały.

Człowiek nie został stworzony do tego, by przez cały dzień wpatrywać się w ekran. Wielogodzinne manipulowanie danymi w ten niewygodny sposób tak zmęczyło Masadę, że prawie miał ochotę załadować sobie Lucyfera do głowy, żeby bezpośrednio zająć się tym przeklętym wirusem.

Prawie.

Powstrzymał tę chęć.

Z westchnieniem wyobraził sobie ikonki zamykające programy i zapisujące dane. Używał zestawu pięciu dobrze zabezpieczonych ikon, niewielkich i bardzo skomplikowanych symboli, które nie tylko trzeba było sobie wyobrazić, ale też odpowiednio obracać. Prawdopodobieństwo, że ktoś zdołałby złamać takie zabezpieczenie, było bliskie zera i Masada wcale się tego nie obawiał.

Aczkolwiek teoretycznie ktoś mógł tego dokonać. Nie ma zabezpieczeń, których nikt nie zdoła złamać. Kto wiedział o tym lepiej od Kio Masady, który napisał książkę o zabezpieczaniu danych?

W pobliżu było kilku członków Gildii: dwaj *nantana*, troje *natsiq*, oraz *yuki*. Sami programiści, dumnie noszący na lewej piersi emblemat departamentu Gazy. Gdyby byli tu sami, Masada zapewne podszedłby do tego ostatniego, tylko po to, żeby usłyszeć czyjś głos - czasem nawet *im* tego potrzebuje - ale zniechęcała go bliskość pozostałych i ich beztrudne śmiechy. Jakże brakowało mu równych rzędów studenckich głów, miłego bezpieczeństwa rytuału nauczania: ludzkiego towarzystwa, pozbawionego stresów osobistych kontaktów. Nie po raz pierwszy od chwili przybycia tutaj poczuł lekkie oszołomienie, jakby nagle został przeniesiony na ostry szczyt góry, kilometry nad zamieszkaną przez innych ziemią. Program zdrowotny błysnął pytająco, a Masada zezwolił mu działać i uregulować poziom odpowiednich neurohormonów, lecz z doświadczenia wiedział, że sama mechaniczna korekta nie wyeliminuje tego uczucia. Było ono częścią tego, kim był, a także ceną, jaką płacił za swój szczególny dar.

Zamówił kanapkę z jakimś miejscowym syntetycznym mięsem, marynowanym „a la Paradise” - cokolwiek to oznaczało. Sandwiczem oraz filiżanką herbaty chwilowo zaspokoił głód. Kiedy jadł, program zdrowotny szybko przetworzył dane i poinformował go, że do dziennej normy pozostało mu jeszcze 1237 kalorii. Masada zamówił jeszcze napój, tłusty i pienisty, który obniżył ten wynik do 829. Na razie wystarczy.

Rozmyślał o Lucyferze.

Przez cały ostatni e-tydzień szukał go osobiście. Oczywiście, Gaza przygotował mu doskonały materiał do badań wstępnych, zbierając próbki każdego pokolenia tego przekłętego wirusa - a przynajmniej każdego znanego pokolenia - ale już po pierwszym dniu przeglądania tych danych Masada zorientował się, że potrzebuje znacznie więcej informacji, niż zdołał zgromadzić Gaza. Być może intuicyjnie wyczuł, że te obliczenia są błędne, i zaczął szukać prawidłowego wyniku.

Stworzył kilka programów filtrujących i rozesłał je po wszystkich węzłach, co było nudnym i wyczerpującym zajęciem, szczególnie że nie miał bezpośredniego połączenia z uninetem.

Porozsyłał napisane przez siebie snifery, zaopatrzone w wyizolowane z kodu Lucyfera sekwencje zapisu do pamięci. A potem czekał, studiując najświeższe i najniebezpieczniejsze mutacje, podczas gdy jego oprogramowanie przetrząsało sieć w poszukiwaniu zarodników wirusa.

A tych było za mało. Za mało.

Wiedział, z dokładnością do jednego pokolenia, ile razy dotychczas powielił się Lucyfer. Znał parametry takich replikacji. Wiedział - wiedział! - jakiego rzędu liczbą wyraża się obecnie populacja wirusa. A ta liczba była co najmniej dziesięciokrotnie większa od ustalonej.

Te brakujące zarodniki musiały gdzieś być, był tego pewny. Tylko gdzie? I - co ważniejsze - dlaczego nie krążyły w uninecie, prowadząc swoją niszczycielską działalność?

Kiedy wypił herbatę i jego program zdrowotny upewnił się, że w najbliższym czasie nie może oczekiwać dopływu następnych kalorii, Masada powoli podszedł do trzystopniowo zabezpieczonej stacji roboczej, obracając w myślach wyniki. Większość programistów uznałaby, że jest szalony, skupiając się na tej jednej niezgodności, ale nie Gaza. Umysł dyrektora był podobny do umysłu Masady, uporządkowany i precyzyjny, a na uzyskanych przez niego wynikach można było polegać. Kiedy Masada powiedział Gazie, iż uzyskane przez niego wyniki nie zgadzają się z rzeczywistością, tamten nie zapytał - co mógłby uczynić Hsing - czy Masada nie pomylił się w obliczeniach. Spytał po prostu: „Czego panu potrzeba?”, a potem to dostarczył.

Dobrze jest pracować dla człowieka, który nie wątpi w twoje umiejętności. Nawet w przypadku Gildii Masada rzadko miał taką przyjemność. Gaza wydawał się całkowicie pewny tego, że profesor rozwiąże tę zagadkę. Masada chciałby podzielać to przekonanie.

Spokojnie, Masada. Odpowiedź gdzieś tam jest. Musisz tylko wymyślić sposób, jak ją znaleźć.

Zniechęcony fiaskiem wszystkich zastosowanych metod poszukiwań, w końcu rozesłał do wszystkich węzłów specjalną wersję wirusa, z zaszytymi kodami naprowadzającymi. Było to ryzykowne posunięcie, gdyż wypuszczanie do sieci kolejnych kopii Lucyfera zwiększało zagrożenie, chociaż dołożył wszelkich starań, aby te wersje były nieszkodliwe i niezdolne do reprodukcji, nie dało się tego jednak uniknąć. Wszystkie zastosowane dotychczas metody zawiodły, a pozostający na wolności Lucyfer z każdą godziną płodził nowe i groźniejsze zarodniki. Lada dzień mogła powstać postać, która zaatakuje cywilów, a wtedy... No cóż, mówiąc słowami Gazy, będzie piekło.

Właściwie piekło będzie wtedy, kiedy tę historię zwietrzą dziennikarze. Masada dziwił się, że jeszcze do tego nie doszło. Chociaż dlaczego miałyby dojść? Twórca Lucyfera zadał sobie wiele trudu, aby jego program pozostał tajemnicą. Nikt w Gildii nie mógł w żaden sposób skorzystać na ujawnieniu istnienia wirusa. Tak więc ta historia nie trafiła do środków przekazu... na razie.

Jeden skromny powód do zadowolenia.

Zastanawiał się, czy twórca Lucyfera wie, że Gildia go szuka. Niewątpliwie domyśla się tego. Każdy zdrowy na umyśle programista musiał brać to pod uwagę. Z pewnością podjął jakieś przeciwdziałania, uruchomił programy mające zatrzeć ślady lub je poplątać... No cóż, do tej pory to mu się udawało. Jeśli Masada ma ustalić miejsce pochodzenia tego przeklętego wirusa, to będzie musiał spojrzeć na tę sprawę pod innym kątem, jakiego twórca Lucyfera nie dostrzegł, znaleźć jakieś dane, których tamten nie ukrył.

Na przykład liczebność wirusa?

Może?

Ponownie wyłączył monitor, nienawidząc związanych z nim ograniczeń, po czym zaczął obserwować kod, który w odpowiedzi na wydane w myślach polecenie przewijał się po powierzchni ekranu. Za każdym razem, kiedy myślał, że już zrozumiał zasadę działania Lucyfera, ten zaskakiwał go następną mutacją. Teraz rozumiał, dlaczego Gaza był taki spięty, i udzieliło mu się to uczucie.

W porządku. Sprawdź liczebność.

Wysłał opatrzone prywatną ikonką żądanie do węzłowego banku danych Gildii, aby przesłano mu wszystkie zebrane dane. Taki sposób pracy był irytujący, ale konieczny. Bezpośredni kontakt z internetem oznaczałby, że gdyby twórca Lucyfera zorientował się, iż jest ścigany, mógłby dotrzeć do Masady, wykorzystując wysyłane przez niego sygnały. Nie można tak ryzykować, nie w starciu z takim zręcznym i bezwzględny programistą. W ten sposób, nawet jeśli programy śledzące Masady zostałyby wykryte, można by się z nich dowiedzieć jedynie tego, że składowały dane dla jakiegoś procesora na stacji Tiananmen. A to zupełnie co innego, niż gdyby jakiś haker dobrał się do twojej głowy.

Zaczęły napływać dane. Wyniki filtrowania z Hellsgate, Reijik, Salvation. Wszystkie za niskie. Nadal. Potem trochę prywatnej poczty od różnych oficerów Gildii, do których zwrócił się z pytaniami. Większość w dyplomatyczny sposób odpowiadała „nie wiem”. Zdumiewało go, że ludzie tak zależni od internetu mogą tak niewiele wiedzieć o jego działaniu. Gildmistrzynie Delhi zapraszała go na swoją stację, gdyby uznał, że to pomoże mu w poszukiwaniach, Varsav również. Kent jeszcze nie odpowiedział na pytanie o uwarunkowania kosmopilota. W poczcie był mały, zapieczętowany pakiecik, który Masada otworzył i...

Był tam.

Na chwilę Masadzie zaparło dech. Jego własny kod. Program naprowadzający przyniósł łup. Masada powoli wypuścił powietrze z płuc, a potem wydał polecenie przeniesienia programu na ekran, na którym mógł obserwować rozwijającą się wiadomość.

Przygotował kilka tysięcy okrojonych wersji wirusa, zbyt słabych, by mogły wyrządzić jakieś szkody, dodając do nich sekwencję mającą raportować mu wszelkie próby ingerencji w program. Każdy program gromadzący takie zarodniki wywołałby taką reakcję i Tiananmen natychmiast odebrałaby sygnał, że tam a tam z uninetu pobrano zarodnik Lucyfera.

I tak też się stało.

Masada zastanawiał się, czy powinien zameldować o tym Gazie, czy poczekać, aż dowie się więcej. W końcu mógł to być tylko zbieg okoliczności. Może jakiś program przeciwwirusowy krążył sobie po sieci i natrafił na zarodnik. Albo sporządzona przez Masadę kopia Lucyfera trafiła do systemu, którego zabezpieczenia przeglądały każdy przychodzący materiał i ją uwięziły.

Może.

A może wróg był tam i właśnie się ujawnił.

Masada poczuł uniesienie, przyływ euforii, jaka innym ludziom towarzyszy w chwilach miłosnych uniesień lub objawień religijnych. U *im* był to niezwykle rzadki stan psychiczny, który na dobrą minutę lub dwie zupełnie go oszołomił. Potem z pedantyczną precyzją zagłębił się w cenny kod i zaczął wydobywać zawartą w nim wiadomość.

Coś rzeczywiście złapało tę kopię wirusa. A ta natychmiast zareagowała, przesyłając Masadzie sygnał, nie dokonując żadnej analizy zagrożenia. Nie szkodzi. Teraz liczyło się tylko to, że mógł dowiedzieć się, gdzie znikł zarodnik, i odszukać program, który go przechwycił.

Wywołał program lokalizujący i wprowadził informacje przekazane przez zarodnik. Przez długą jak wieczność sekundę lokalizator przeszukiwał swoje pliki. Potem wyświetlił tekst:

WĘZEL: SALVATION

STACJA: AIRES

SYSTEM: NORTHSTAR HOTELS, INC.

PODSYSTEM: REZERWACJA MIEJSC

Przez minutę spoglądał w milczeniu na te słowa. Sieć hoteli? Może *nantana*, mający instynktowne wycucie takich spraw, mógłby zrozumieć tę informację. On nie był w stanie. Na szczęście to nie jego robota. Kiedy potwierdzi, że zarodniki znikają w trzewiach komputerów Northstar, i wręczy te starannie przygotowane dane Gazie, Gildia rozstrzygnie kwestie motywów i działań, po czym określi kierunek dalszych poszukiwań. To było ich zadanie, do którego dar Hausmana dobrze przygotował ich umysły.

Sieć hoteli?

No dobrze, to wcale nie oznacza, że Northstar ponosi winę, tylko że program przechwytyjący siedzi w ich maszynie. Jakiś pracownik mógł wykorzystać ich system. Zarząd mógł odsprzedać czas dostępu jakiejś innej firmie. Haker mógł włamać się do systemu. To pierwszy krok w kierunku znalezienia wroga, zaledwie pierwszy krok, a trop może okazać się długi i kręty, i równie dobrze wieść przez wszystkie węzły w kosmosie.

Chciał pójść za nim sam.

Przez długą chwilę siedział przed milczącą maszyną, rozważając tę myśl. Co go do tego skłaniało? Duma? Ciekawość? A może... nuda? Zbyt wiele dni spędzonych na spoglądaniu w ekran, bez możliwości zanurzenia się w ocean danych uninetu?

Jeśli zdecyduje się ruszyć tym tropem, będzie musiał podłączyć się do uninetu - to oczywiste. Inaczej nie da się tego zrobić. A to oznaczało wpuszczenie do głowy tej bestii, tej żywej istoty tak niepodobnej do innych, że żaden człowiek nie miał szans jej pojąć. Przyływy danych, których żaden człowiek nie był w stanie kontrolować. Pragnienia, choroby, napięcia i konflikty...

Zgasił ekran i odwrócił się od niego, zamykając oczy. Drżały mu ręce. Dane pozostały w jego polu widzenia, dopóki ich także nie zgasił. A wtedy zapadła ciemność.

Kiedyś musisz to zrobić.

To tylko dane. Nadawał temu inne nazwy, zwał to *żywym*, w nadziei zrozumienia, i używał języka życia, by nauczyć innych pisać odpowiednie programy... To jednak wcale nie oznaczało, że uninet naprawdę żyje. Jak sądzisz, co ci zrobi, jeśli się do niego podłączysz - pożre cię?

W milczeniu, nie zastanawiając się już nad tym, wstał i przeciągnął się. Rytualny gest, pozwalający mu skupić się na pracy mięśni, a nie przemykających przez mózg myślach. Czasem wyłączał się w taki sposób, kiedy był bardzo zmęczony... lub przestraszony.

Nie ma się czego bać. Dobrze o tym wiesz. To tylko dane. Prawda?

*

Przyszła do niego we śnie, taka jaką ją zapamiętał. Ubrana w niebieską szatę, jak zwykle. Idealnie upięte, gładkie czarne włosy. Starannie uczesane, jak zawsze.

Patrzył na nią, gdy przez chwilę grała na klawiaturze, zdając sobie sprawę z tego, że ona nie żyje, ale dziwnie nieporuszony tym faktem. Grała fugę Bacha i na jakiś czas zagubił się w kaskadach dźwięków. Dane. To wszystko dane. Cały świat był danymi, kodami i funkcjami ułożonymi w tysiące rozmaitych instrukcji. Nawet żywe ciało można było opisać tym samym prostym kodem, jeśli tylko zgłębiłeś je dostatecznie.

Zanim zauważył, że wstała, usłyszał szelest szaty. Uniósł głowę i spojrział prosto w jej czarne, dziwnie łagodne oczy.

- A miłość? - zapytała. - Czym jest miłość?

Uśmiechnął się.- Danymi serca.

- A pragnienie?

Te cudowne oczy. Nigdy ich nie zapomni.

- Danymi duszy.

- A strach?

Nie znalazł odpowiedzi.

Wtedy pocałowała go w czubek nosa i natychmiast zaczęła znikać. Jej różowe wargi zmieniły się we fraktalowe wzory światła i cienia, skóra w kolumny chemicznych wzorów, a czarne oczy zastąpiła chmura błyszczących pikseli.

A strach?

*

Oczywiście, nie mógł zrobić tego w pracowni. To pomieszczenie celowo zostało pozbawione dostępu do uninetu, aby zapobiec nieszczęśliwym wypadkom. Tak więc powinien zrobić to... gdzie? Wszystkie miejsca na Tiananmen były mu równie obce. Każdy *hu* potrzebował miesięcy, aby oswoić się z nowym otoczeniem, a on był tu zaledwie jeden e-tydzień. Żadne miejsce nie będzie dogodne, i tyle. Musiał po prostu wybierać między zrobieniem tego w obecności innych lub nie, nic poza tym.

Tak naprawdę nie miał wyboru.

Zamknął się w swojej kabinie, małej, lecz wygodnie urządzonej, na głównym poziomie stacji. Kiedy zamykał drzwi, program zdrowotny uprzejmie poinformował go, że trzęsą mu się ręce. Jakby o tym nie wiedział.

Przez chwilę tylko stał, wpatrując się w przestrzeń. Potem metodycznie, z rozmysłem, usiadł przy biurku i spojrział na umocowany pod sufitem przekaźnik, który prześle jego sygnał galaktyce. Taka niepozorna rzecz. Trudno uwierzyć, że taki prosty mechanizm może udostępnić tak ogromny twór.

Wychodząc z pracowni, Masada odmchowym gestem mieszkańca planety zdjął hełm. Teraz ponownie włożył go na głowę, na umieszczone w czaszce styki. Usłyszał ciche brzęczenie, gdy zadziały mocujące magnesy, zapobiegające przesunięciu hełmu podczas pracy. Wydawało mu się, że czuje ciepło rozgrzewających się styków, co oczywiście było bzdurą: mózg nie miał własnych narządów czuciowych. Odgarnął z oczu kosmyk włosów, rozwichrzonych przez metalową opaskę.

A potem... nic już nie zostało do zrobienia. Nie mógł dłużej zwlekać. Zrobisz to teraz albo nigdy.

Zamknawszy oczy, wyobraził sobie ikonę przygotowującą mózg do interfejsu. Wydawało mu się, że słyszy cichy szum hełmu, który zaczął wysyłać sygnały potrzebne do pierwszego połączenia z uninetem. Stwierdził, że spocły mu się dłonie, i wytarł je o koszulę. A przecież nie miał powodu do obaw. Była to po prostu większa odmiana systemu istniejącego na każdej cywilizowanej planecie i pracował z takim na co dzień. I co z tego, że zawierała historię i dziwactwa tysiąca różnych kultur. I co z tego, że była usiana sekundowymi opóźnieniami, podczas których sygnał podążał przez *ainniq* do sąsiedniego węzła... albo nawet kilkuminutowymi, jeśli musiał wykonać kilka takich przejść. I co z tego, że przechodzące przez przestrzeń sygnały bywały przechwytywane przez piratów i zmieniane, niszczone lub wykradane, gdyż dane były najcenniejszą monetą tej technologicznej ery. I co z tego, jeśli w rezultacie powstawał system tak dynamiczny i nieobliczalny jak żywa istota, który był raczej obsługiwany niż kontrolowany. Masada wiedział, jak działa uninet. Napisał o nim książkę. Galaktyka czekała, aż nauczy ją rozumieć tę istotę.

NA LINII, poinformował go hełm.

Drżąc tylko troszkę, wszedł do systemu. Jedna po drugiej błyskały ikony bramek, znaki Gildii, które musiał zneutralizować, zanim zdoła bezpośrednio połączyć się z uninetem. Podał im niezbędne hasła. Program inicjalizujący próbował podłączyć go do wirtualnego systemu kontroli, który ukazywał możliwości jako drzwi, przez które należało przejść, lecz Masada natychmiast go wyłączył. Takie sztuczki były dobre dla tych, których umysły nie są w stanie przetwarzać czystego kodu.

W końcu w polu widzenia ujrzał ikonę uninetu, potwierdzającą połączenie. Zacerpnął tchu, przejrzał swój zbiór programów śledzących w czasie rzeczywistym, sprawdzając, czy są gotowe do działania, po czym zażądał połączenia ze stacją Aires.

Niepokojąco długa, kilkusekundowa zwłoka sprawiła, że serce podeszło mu do gardła. To nic. Tylko opóźnienie. Nie zwracaj na to uwagi. Trudno oczekiwać, że kontakt z odległą o pół galaktyki stacją nawiąże się równie szybko jak z serwerem znajdującym się na tej samej planecie. Mimo to przez ten czas rozgorączkowana wyobraźnia Masady pracowała na pełnych obrotach, tak że w końcu kazał programowi zdrowotnemu, aby wpuścił mu do krwiobiegu kilka kropli środka uspokajającego, który okiełzna galopujące serce. Spróbuj nie myśleć o tym, co tam jest. Ucisk w piersi lekko zelżał, gdy Masada ujrzał ikonę dostępową Aires. To tylko ogromna sieć, łącząca wszystkie inne w całej galaktyce. Teoretycznie niczym nie różniącą się od tej, którą wykorzystujesz do badań w domu.

Wiedział jednak, że to nieprawda. Tamta była cichą i mało uczęszczaną biblioteką w porównaniu z tym szaleństwem ludzkiej aktywności. Na Guerze można było poszukać potrzebnego źródła, znaleźć je, po czym się wycofać. W uniecie badacza atakowały setki współzawodniczących programów, przygniatał ogrom przeszukiwanych danych, zalewały gry, reklamy i nielegalne ogłoszenia, tworząc bezładny chór niemal uniemożliwiający pracę. Większość ludzi korzystała ze specjalizowanych interfejsów, które prowadziły ich przez ten labirynt, ale nie wtedy, kiedy trzeba było studiować kod. Albo jeśli ktoś wołał przetwarzać kod, tak jak Masada.

Odrzucił dwie propozycje wirtualnego menu przedstawiającego interesujące miejsca na Aires, ofertę rozmaitych artykułów produkowanych na stacji i jedną szczególnie agresywną reklamę nowego wideofilmu, która towarzyszyła mu przez kilka denerwujących minut, zanim zdołał ją zgubić. Takie rzeczy były zakazane na Guerze, gdzie sieć była pilnie kontrolowana. O ile wiedział, były zakazane na każdej cywilizowanej planecie, jak również na krążących wokół nich stacjach i statkach. Tylko tutaj, w kosmosie, przestrzeń sieciowa była dostępna dla wszystkich.

Już rozbolała go głowa.

Znalazł stosunkowo spokojne połączenie z głównym komputerem Northstar i za pomocą zmagazynowanego w hełmie łamacza haseł wślizgnął się do systemu. Tam strumień danych był nieco spokojniejszy, węższy i łatwiejszy do nawigacji. Oczywiście. Żadna firma nie mogła pozwolić sobie na takie zamieszanie, jakie panowało na publicznych kanałach.

Przez pewien czas rozglądał się wokół, unikając kilku programów zabezpieczających, które chciały go obwąchać. Nic wyrafinowanego, zwykle wykrywacze wirusów i innych intruzów. Wiedział, jakie podać im hasła, żeby odeszły w przekonaniu, że nic się nie stało. Na razie szło dobrze.

Nic dziwnego, że uninet był rajem dla hakerów. Jeśli te programy reprezentowały typowy poziom sieciowych zabezpieczeń, to należało się dziwić, że hakerstwo nie stanowiło tu poważniejszego problemu. Masada przywykł do zabezpieczeń Gildii, gigabajtów obronnego oprogramowania, regularnie aktualizowanego. Te prymitywne snifery... Tak łatwo było im się wymknąć, a gdyby chciał, bez trudu mógłby pochwycić któregoś i przeprogramować go do swoich celów. Och, dość dobrze zabezpieczały system przed wirusami i wychwytywały zdecydowaną większość intruzów, szczególnie nie mających należytej wiedzy o zabezpieczeniach sieciowych... ale nie powstrzymałyby prawdziwego hakera. Ci, którzy regularnie atakowali pliki Gildii, wtargnęliby do tego systemu w mgnieniu oka.

Zapewne dlatego usiłovali wdrzeć się do serwerów Gildii, pomyślał Masada. Bo jakie wyzwanie czekało ich tutaj?

Dziwne, lecz w miarę, jak zbliżał się do rezerwacji, zaczął napotykać pofragmentowane pliki. Dziwnie poszatkowane, jakby w jakiś sposób wycięto z nich kawałki kodu. Obejrzał sobie dokładnie kilka z nich i skopiował je, żeby przyjrzeć się im później, ale nie dostrzegł żadnej prawidłowości. Bardzo dziwne. Programy działające w tej sekcji również wyglądały na uszkodzone, gdyż pracowały wolniej, niż powinny. Masada zauważył, że jeden z nich robi coś, co można by porównać do chodzenia w kółko, wypływając ten sam zestaw bezsensownych danych. Naprawdę bardzo dziwne. Czyżby kopie Lucyfera, które tutaj znikły, zdołały jakoś uszkodzić system Northstar? Jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

Nagle poczuł, że jego programy naprowadzające zaczęły działać szybciej. Instynktownie spowolnił je. Oczywiście, znał to zjawisko - pływy uninetu cieszyły się złą sławą wśród programistów - i był gotów ustabilizować sygnał za pomocą kilku przygotowanych w tym celu programów. Mimo wszystko poczuł zimny dreszcz lęku, uświadamiając sobie ogrom otaczającego go tworu. Programy spowolniły bieg, ale i tak znalazł się bliżej sekcji rezerwacji, niż zamierzał. Spróbował się wycofać...

I sygnał utknął. Jedno menu za drugim otwierało się przed nim jak rozkwitający kwiat, zapraszając go do działu rezerwacji miejsc. On jednak jeszcze nie zamierzał tam wejść. Zawiesił działanie programu i pospiesznie przejrzał kod. Nie wydał żadnego polecenia, które odsyłało go do działu rezerwacji. Niesamowite. Program kotwiczący wyszukał stabilny fragment kodu i przytwierdził się do niego. Stał w miejscu. Menu zapraszające do dokonania rezerwacji migotało przed nim zachęcająco.

Co tu się dzieje, do diabła?

Powoli i ostrożnie przejrzał otaczające go dane. Powinny to być nieruchome szeregi liczb związanych z księgowością, koordynat przekazywanych wiadomości i dokonywanych przelewów. Tymczasem niektóre z nich sprawiały wrażenie, że powoli zmiernają do działu rezerwacji. W ich gąszczu trudno było orzec, co wywoływało to zjawisko, ale pospiesznie skopiował kilka próbek do późniejszego sprawdzenia. Może to jakieś dziwactwo lokalnej sieci, do którego przywykli użytkownicy, nigdy jednak nie widział czegoś podobnego. Popatrzył na dane wychodzące z rezerwacji, sprawdzając, czy zmiernają tam, dokąd powinny być wysłane.

Nie dostrzegł żadnych.

Żadnych.

Z dreszczem emocji pojął, że nie natknął się na jakąś pospolitą anomalie, lecz coś, co zostało celowo stworzone, i to zapewne nie przez programistów Northstar. Niewątpliwie właśnie to schwytało jego wirusa, tak jak teraz łapało każdy program, który znalazł się zbyt blisko. Martwa strefa, do której dane wchodziły, lecz której nie mogły opuścić.

Wykorzystywał takie strefy w swoich własnych badaniach, wyłącznie na uniwersyteckich maszynach, odłączonych od ważnych systemów konsumenckich. Założyłby się, że ten, kto zrobił to na tym serwerze, nie był pracownikiem Northstar.

Z jednej strony ta myśl była zniechęcająca, gdyż oznaczała, że zniknięcie wirusa mogło być czysto przypadkowe, nie związane z jego śmiertelnościami przeznaczeniem. Z drugiej to odkrycie obudziło ciekawość Masady, który uznał, iż są spore szanse, że intruz jest hakerem. Wysłał program, który prowokował odpowiedź tego typu ludzi.

Krótki programik, wpuszczony do systemu. Oczywiście, strumień danych pochwylił go i uniósł w kierunku sekcji rezerwacji. Niebawem przeszedł przez bramkę i został połknięty przez martwą strefę, gdzie Masada nie mógł go już śledzić.

Jedna sekunda. Dwie.

„Ciekawość jest życiodajnym płynem hakera - napisał kiedyś - i należy ją wykorzystywać, aby nim manipulować. To, czego nie uczynią z szacunku dla autorytetów, czy nawet dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa, zrobią, jeśli podsycić ich głód wiadomości. Nowe dane, nowe techniki, eksploracja nieznanymi obszarów wiedzy - oto pieniądze, jakim można ich kupić, oto przynęta, jaką można ich skusić i łańcuchy, jakimi można ich spętać”.

Trzy sekundy.

Nie mógł zaobserwować momentu, w którym jego wiadomość dotrze do adresata. Zawierała tylko jedno słowo, które na jedną sekundę przesłoni wszystkie inne obrazy. „Cześć.” Nic więcej. Jedno słowo, lecz przekazujące wiele informacji: „Jestem tu. Obserwuję cię. Wiem, co robisz. Chcesz wiedzieć, kim jestem?”.

Jeśli w tej martwej strefie siedział haker, Masada był gotów się założyć, że zareaguje na tę zachętę.

Cztery sekundy. Pięć.

Program kotwiczący wykazał zmianę parametrów. Strumień danych podążających do sekcji rezerwacji zwolnił bieg i znieruchomiał.

Sześć.

Coś dotknęło go - delikatnie, subtelnie i szybko. Nie dość szybko. W momencie bezpośredniego kontaktu mogły zadziałać programy czasu rzeczywistego. Masada uchwycił sygnał i zaczął podążać do jego źródła. Opóźnienie wywołane przejściem przez sieć nie

zdołało go powstrzymać, chociaż trochę dezorientowało. Dzięki Bogu, jego zwierzyna także znajdowała się na obcym terenie, więc mieli równe szanse.

Podążył za sygnałem przez cały węzeł, przez *ainniq* i do następnej stacji. Po drodze napotykał kawałki kodów, niczym kamienie rzucone pod nogi, ale jakoś udało mu się je ominąć, nie tracąc czasu. Kolejny węzeł, kolejny skok, następny grad przeszkód. Cel usiłował po prostu uciec, ale to mu się nie uda. Masada podążył za nim do głównego komputera stacji tranzytowej...

Gdzie ujrzał setki ścieżek. A nawet tysiące identycznych tropów, wiodących w różne strony.

Niech to szlag!

Nie było wątpliwości, że ta pułapka została przygotowana znacznie wcześniej. Tylko dlatego cel zaryzykował kontakt, wiedząc, że jego drogę ucieczki maskuje tyle rozgałęzień, że nikt nie zdoła go wytropić.

Według wszelkich hakerskich reguł Masada stracił trop. Nie mógł już dłużej śledzić sygnału w czasie rzeczywistym, a zanim sprawdzi pół tuzina tych dróg, haker zdąży się odłączyć i zatrzeć wszystkie ślady. Z pewnością już myślał, że jest bezpieczny i gratulował sobie udanej ucieczki.

Za wcześnie.

W ten sam metodyczny sposób, w jaki kiedyś dokonał regresji Lucyfera, Masada uruchomił teraz programy analizujące wszystkie drogi. Był gotów się założyć, że miały zahamować przepływ danych, spowalniając działanie programów, które mogłyby próbować śmiałego pościgu. Oczywiście, wszystkie prócz jednej: ta będzie szeroko otwarta, jak myślała dziura zapewniająca schronienie. W końcu dowie się, która to z bramek, a jego snifery odszukają po drugiej stronie ślad hakera. W końcu, dzięki systematycznej pracy, a nie szybkości czy pomysłowości, te snifery dotrą do końca tropu i odkryją, skąd został wysłany sygnał.

W ten sposób nie otrzyma nazwiska hakera ani żadnej informacji o nim. Jednak dowie się, z której działa stacja i z jakiego systemu wychodzi do uninetu. To będzie początek.

Uruchomiwszy snifery, cofnął się tropem własnego sygnału na stację Aires, do miejsca gdzie znajdowała się martwa strefa. Już jej tam nie było. W sekcji rezerwacji pozostała masa uwięzionych programów, uszkodzonych i z trudem wracających na miejsce. Pospiesznie przeszukał ten obszar, szukając związku... i znalazł go. Kod Lucyfera. Odnalezienie go nie zabrało mu wiele czasu. Wirus był unieruchomiony i ulokowany w samym środku martwej strefy. Masada wywołał sekwencję naprowadzającą, by upewnić się,

że to naprawdę jeden z zagubionych zarodników. Zwykła formalność. A przynajmniej tak myślał.

Brak reakcji.

Przez lata świetlne kosmicznej próżni, przez ogrom synaps ludzkiego mózgu, spoglądał na aż nazbyt dobrze znany mu kod. To nie była okrojona przez niego wersja Lucyfera. To był inny okaz. Prawdziwy. A widząc sposób, w jaki wirus został umieszczony w środku martwej strefy, Masada był gotowy założyć się, że cel pracował nad tym programem, umieszczonym w serwerze Northstar.

Z bijącym sercem otoczył śmiertelny wirus tak gęstą siecią kodu, że nawet to nie mogło się z niej wymknąć. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko, nie zabezpieczony ochronnym interfejsem. Nie mógł jednak wycofać się i zostawić go tutaj. W każdej chwili mogły zadziałać zabezpieczenia Northstar, naprawiając uszkodzone ścieżki, usuwając resztki.

Powoli, ostrożnie, mocno trzymając zabójcę, wycofał się tą samą drogą, jaką wtargnął. Przez potworny chaos uninetu, który ludzie nazywali domem. Przez rozległe połączenie własnego strachu, który oblewał zimnym potem sztywno siedzące przy biurku ciało, przyklejając hełm i włosy do czaszki.

Ostrożnie, jakby przenosił bombę, przeładował wyniesiony zarodnik i szybko zabezpieczył go na czystym chipie. Program zdrowotny kazał mu coś zjeść i wypić, oraz wykapać się. Masada zignorował go i ruszył do swojej pracowni, gdzie mógł spokojnie zbadać zawartość chipa.

Pięć godzin później wiedział już, że wirus został zmieniony, w dodatku nie przez Gildię.

Po sześciu godzinach jeden z jego sniferów wrócił i powiedział mu, skąd przybył ten okaz.

PARADISE.

Jest ironią losu, iż jedno z najstraszliwszych cierpień, jakie może stać się udziałem człowieka, jest związane z podbojem gwiazd. Co za pech, że usiłując zapanować nad swoim przeznaczeniem, człowiek prawie zniszczył genetyczny wzór, który obiecywał mu wolność. Jakim zastanawiającym świadectwem naszej kultury jest fakt, iż tylko tutaj, na Guerze, dostrzeżono, rozwinięto i w końcu należycie wykorzystano tę zdolność.

GILDMISTRZYNI ARIANNE BERLIN

XXII

„Strażnicy przeznaczenia” - przemówienie wygłoszone na 421. Konferencji Gildmistrzów, węzeł guerański, stacja Tiananmen.

WĘZEŁ PROSPERYTYJSKI STACJA PROSPERITY

Zewnętrzny świat gildmistrza lana Kenta był cichy. Taki cichy. Świat renderowany w odcieniach szarości, spokojny wszechświat uporządkowanych kształtów i emocji. Zacisze szare korytarze pełne miękkich cieni. Okna perłowej mgły. Ludzkie ciała przedstawione w odcieniach gliny i popiołu, bez śladu rumieńca, chorobliwej żółci czy innych barw życia. A za tym wyblakłym światem zawsze był strumyk sączących się do krwi chemikaliów. Jeśli dobrze się wsłuchał, niemal mógł usłyszeć plusk tych środków uspokajających, z miarową dokładnością atomowego zegara dawkowanych do jego krwi. Preparaty rozcieńczające jego rozpacz, aż stała się stłumiona i bezbarwna, jak reszta jego świata.

Wejście do jego domu miało imponującą wielkość i z pewnością było ładnie zaprojektowane. Nie potrafił tego ocenić. Fachowcy nie powiedzieli mu, jakie wybrali kolory, a on ich nie spytał. Te słowa nic dla niego nie oznaczały. Chociaż pręciki i słupki jego oczu działały prawidłowo, chociaż nerwy optyczne sprawnie przesyłały sygnały, znikła ta część jego mózgu, która mogła je zinterpretować. Wystarczył jeden moment. Jedna awaria sprzętu, jedna sekunda kontaktu z układem nerwowym, oślepiający błysk parzącego światła, a potem powolny powrót do przytomności... i piekła.

Masz szczęście, powiedzieli mu. Uszkodzenia objęły tylko proces postrzegania, a i to niewielką jego część. Miałeś szczęście, wielkie szczęście. Mogłeś utracić zdolność ruchu i zostać kaleką. Albo rozum. Mogłeś go postradać. Wtedy spędziłbyś resztę życia jako warzywo, nie wiedząc nawet, kim jesteś. Tak jest lepiej, mówili mu, znacznie lepiej. Sam się przekonasz.

Głupcy!

„Strzeż się smoków ziejących czerwienią”, ostrzegały go własne notatki. Wspomnienia z *ainniq*, zapisane w lepszych czasach. Teraz nawet nie mógł ich czytać, nie czując skurczów żołądka, kłującego bólu w sercu... i mrowienia w ramieniu, gdy zaszyty tam dozownik kosmopilota dawkował następną porcję środka uspokajającego. Czym była czerwień? Potrafił przytoczyć jej definicję, wyliczyć skojarzenia - żar, gniew, żądza, przemoc - lecz była to podręcznikowa wiedza. Dla niego te słowa równie dobrze mogły być w obcym języku.

Barwy.

W kosmosie można przeżyć bez barw. Można manewrować bez nich, można rozpoznawać zagrożenie, można żyć z dnia na dzień, nie zostając pożartym przez potwory. Można żyć w szarości i pracować, a potem zakończyć szare życie, umierając naturalną śmiercią.

Lecz nie w *ainniq*.

- Sir?

Oderwał się od tego, co robił, dając w ten sposób znać, że zauważył przybycie sekretarza. Chezare Arbela od dawna przywykł i przystosował się do spokojnego sposobu bycia Kenta. Dlatego nigdy nie okazywał, że mu się spieszy, nawet jeśli tak było, a także w żadnym razie nie zdradzał niepokoju. Jakby nawiązał jakiś osmotyczny kontakt z gildmistrzem, w wyniku czego działające na Kenta środki wnikały również do jego krwiobiegu. Inni uważali to za niepokojące i Kent wiedział, że nerwowo plotkowali o tym, kiedy nie słyszał. Był zadowolony, że ma podwładnego, który tak dobrze wyczuwa jego nastroje, nawet jeśli były chemicznie stymulowane. Nawet jego syndrom zaakceptował obecność tego człowieka, co było niezwykle, gdyż nie tłumiona przez strumień środków uspokajających psychoza kazała mu uważać każdego żywego człowieka za wroga.

Chociaż było to nawet przyjemne. Uczciwie, kiedy mógł spojrzeć na mrok swej duszy, nie zasłonięty maską czy pozą. Zwykł mówić, że pilotowanie było jego zaworem bezpieczeństwa, gdyż tylko w ten sposób mógł uwalniać tkwiącego w nim potwora. Wspomnienie tamtych chwil było przerażające, ale też podniecające. Pozwolić wymuszonemu spokojowi zejść na drugi plan, wysliznąć się z narzuconego przez procesor myślowy jarzma konformizmu... To było upajające. Było w tym życie, równie prymitywne i niebezpieczne jak u zarania dziejów. Człowiek jako umykająca drapieżcom ofiara. Człowiek jako zwycięzca, uchodzący cało. Niewiarygodne poczucie triumfu, gdy twój kosmolot przedarł się przez powierzchnię *ainniq*, a smoki kłapały paszczami tuż za nim...

Co miał teraz zamiast tamtych chwil? Papierkową robotę. Administrowanie. Sporadyczne misje dyplomatyczne, przydzielane ze względu na jego wymuszony chemicznie spokój. Nie tego pragnął w głębi duszy. Nie tego pożywał.

- O co chodzi, Che?

- Najnowszy raport o Lidze, sir.

Sekretarz położył przed nim chip. Kent z westchnieniem podniósł kartę i załadował do swojego hełmu. Dane przewinęły mu się przed oczami. Przejrzał je pobieżnie, upewniając się, że wszystko jest w porządku. Było. Może trochę mniej danych niż zwykle, ale nie alarmującego. Przynajmniej nie na pierwszy rzut oka.

- Nic niezwykłego?

- Nie, sir.

Taka strata czasu. Cała ta obserwacja Ligi Hausmana w nadziei, że sabotażysta Gildii jest... No, to śmieszne. Pewnie, ich stacja teoretycznie była ostoją izolacjonistów, tak więc automatycznie znalazła się na czele listy podejrzanych Primi, ale jak można przypuszczać, że mieli coś wspólnego z Lucyferem? Liga skupiała same dzieci Hausmana, uważające, iż kosmos powinien należeć tylko do nich. Ich izolacjonizm przejawiał się tylko w tym, że nie wpuszczali do swojej przestrzeni żadnych Ziemian, urodzonych na Ziemi czy gdzie indziej. Zniszczenie opartego na *ainniq* transportu uderzyłoby Wariantów znacznie dotkliwiej niż Ziemian, więc po co mieliby tworzyć coś takiego jak Lucyfer? Owszem, byli ekstremistami, ale nie głupcami.

- W porządku. Dziękuję, Che. Obserwujcie dalej.

Na razie wszystko w porządku. Czas przypomnieć sobie o istnieniu innych wrogów, prawdziwych, których powinien się wystrzegać. Nie obcych, nie sabotażystów, lecz mężczyzn i kobiet noszących ten sam znak Gildii, jaki on miał na piersi. Nominalnie byli jego sprzymierzeńcami, lecz żaden gildmistrz nie był tak naiwny, by wierzyć, iż to przymierze jest czymś więcej niż symbolicznym gestem. A przynajmniej żaden z tych, którzy wspięli się na tak wysoki szczebel w hierarchii Gildii.

Dzięki Lucyferowi w tym miesiącu ich rywalizacja była jeszcze bardziej zażarta niż zwykle. Prima wybrała pięcioro najbardziej zaufanych gildmistrzów i w ten sposób określiła ich pole bitwy. Kent nie wątpił, że każdy z nich natychmiast zaatakowałby go, gdyby tylko miał po temu okazję. Nawet Ra. Łagodna, przyjazna hedonistka. Ufał jej najmniej ze wszystkich, gdyż z własnego doświadczenia wiedział, jaki potwór mógł czaić się za taką przyjemną fasadą. Tych, którzy wydają się być poza wszelkimi podejrzeniami, należy najpilniej obserwować.

Jak wszyscy gildmistrzowie, miał własny zastęp ekspertów od komunikacji, którzy obserwowali zaszyfrowane transmisje rywali. Od czasu konferencji z Prima podwoili wysiłki, nie tylko szukając źródła Lucyfera, ale bacznie obserwując innych szukających. Dostatecznie dobrze znał Delhi, by wiedzieć, że uwielbiała takie sytuacje, gdyż wąż najskuteczniej atakuje wtedy, kiedy uda mu się odwrócić uwagę ofiary. Rzecz jasna, miał w jej węzle szpiegów i automatyczne kamery szpiegowskie, a nawet kilku piratów, których potajemnie opłacał, żeby wspierali jego bardziej legalne wysiłki. Poświęcał jej więcej uwagi niż pozostałym gildmistrzom, gdyż była naprawdę niebezpieczna i tylko głupiec mógłby jej nie doceniać. Varsav był podstępny, lecz nie otwarcie wrogi, a Hsing od powrotu z Guery skupił się

wyłącznie na wewnętrznych sprawach. Pomimo to Kent przejrzał i jego dane, szukając w wykresach transmisji jakiejś zmiany, wskazującej na to, że dzieje się coś niezwykłego. Na przykład gwałtownego wzrostu częstotliwości rozmów, takiego jak ten, który przed e-miesiącem zwrócił jego uwagę na węzeł Delhi. Ta kobieta realizowała jakiś szeroko zakrojony plan i polityczny instynkt samozachowawczy nakazywał mu dowiedzieć się, o co jej chodzi.

Był w połowie raportu o aktywności Delhi, kiedy coś go zaniepokoiło.

Na moment wyłączył dopływ danych, tak że znów ujrzał tylko szary świat, po czym spróbował określić, co też właściwie go poruszyło, wywołując podświadomy niepokój. Coś związane z przebiegiem tych poszukiwań, znaczenie jakiegoś gwałtownego wzrostu komunikacji...

A może... brak takowego?

Bardzo powoli i spokojnie załadował ponownie do hełmu chip Ligi. I przejrzał zestawienia przygotowane przez jego ludzi. Żadnego wzrostu aktywności... raczej wprost przeciwnie. Czy to ma jakieś znaczenie? Mignął ikonką łączącą go z domowym komputerem, wydał polecenia, by wyekstrahowano potrzebne mu informacje i zczekał kilka sekund, aż system je przetrawi. Później w polu widzenia ujrzał przewijające się nowe dane - zapis częstotliwości transmisji Ligi podczas kilku minionych e-miesięcy. Te dane zawsze były charakterystycznie jednorodne, zgodne z profilem aktywnej stacji, prowadzącej rozliczne interesy z wieloma innymi.

Nie teraz.

Zmarszczył brwi i mignął ikoną, przywołując sekretarza. Ar-bela musiał być w pobliżu, gdyż niemal natychmiast zapukał do drzwi.

- Wejść.

Sekretarz był lekko zdumiony. Nic dziwnego, zważywszy, że Kent miał swoje niezmiennie nawyki i przyzwyczajenia, a to zachowanie zupełnie do nich nie przystawało.

- Sir?

- Te pliki o Lidze, które mi dałeś. Raport komunikacyjny. Czy był kompletny?

Arbela leciutko zmarszczył brwi.

- To ten sam raport, jaki otrzymuje pan codziennie.

- Jesteś pewny? Niczego nie pominięto? Jest absolutnie, całkowicie kompletny?

- Tak jest, sir. Mogę sprawdzić, jeśli pan chce.

- Proszę, zrób to. Arbela zawahał się.

- Sir, czy mogę...

Kent wstał, wyłączając obraz dziwnych danych.

- Powiedzmy, że obecnie Liga jest... dziwnie spokojna. To niezwykle. Jeszcze nie wiem co to oznacza, ale nie wątpię, że to ważne.

Do licha, mógł podać sto - a nawet tysiąc - powodów nagłego wzrostu aktywności, ale nie jej obniżenia. Jak to wyjaśnić?

Może nie chodzi o Lucyfera, pomyślał, ale na pewno coś się tam dzieje.- Potwierdź mi te dane - polecił Arbela. - A potem zacznijcie dokładniej badać transmisje Ligi. Chcę wiedzieć, dlaczego tak nagle ucichli. Chętnie wysłucham wszelkich sugestii. To bardzo dziwne. - Pokręcił głową. - Czy mamy informatorów na ich stacji?

Arbela zawahał się.

- Tak, sir. O ile pamiętam, dwóch. Mam się z nimi skontaktować?

- Jeszcze nie. To zbyt ryzykowne. Najpierw zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas analiza danych, żebyśmy wiedzieli o co pytać. - Skrzywił się i lekko drgnął, gdy mrowienie ramienia oznajmiło mu, że dozownik znów wprowadził mu do krwiobiegu środek uspokajający. - To może być coś całkiem niewinnego, ale chcę żebyście to sprawdzili. Rozumiesz?

- Tak jest, sir. Oczywiście, sir.

Zdecydowanym gestem odprawił sekretarza. Che jest dobrym pracownikiem i znajdzie dane, jeśli one tam są. A Kent miał w Lidze swoich szpiegów, którzy pomogą mu, jeśli będzie trzeba przeprowadzić prawdziwe dochodzenie. Miał szpiegów we wszystkich liczących się miejscach, nawet u samej Delhi. Jak inaczej można kontrolować wrogów i mieć pewność co do przyjaciół?

Z westchnieniem ponownie wywołał dane Ligi, po czym zaczął dokładnie je przeglądać.

*

Chezare Arbela przeszedł szybko przez dom gildmistrza, migając rozkazy. Wydawał polecenia programistom Kenta, jego analitykom, ludziom projektującym i obsługującym urządzenia szpiegowskie, wszystkim. Każdy z nich miał odegrać swoją rolę, a Arbela miał dyrygować tymi wysiłkami tak, żeby były nie tylko skuteczne, ale też idealnie współgrały z pozostałymi.

Oczywiście, wykona to zadanie. To jego praca. Był w niej doskonały i dlatego Kent go zatrudniał.

PRZYSŁAĆ MI KURIERA, polecił.

Jakże gildmistrz musiał cenić Arbelę, który wiernie służył mu przez tyle lat. Jak zadowolony musiał być Kent z tego, że może polegać na takim zdolnym i inteligentnym człowieku, jednym z tych, którzy we wszystkim stanowili przedłużenie jego woli.

Kurier spotkał go w sekretariacie. Wyglądał jak chłopiec o pospolitej twarzy wypranej z wszelkich uczuć. Rzecz jasna jego młodzieńczy wiek był efektem chirurgii plastycznej, a beznamiętny wyraz twarzy świadectwem profesjonalizmu. Żywi kurierzy nie mieli żadnej wartości, jeśli wyróżniali się w tłumie. Arbela założyłby się, że tego nie zauważyłyby nawet sokole oczy personelu Delhi.

Arbela wyjął z kieszeni przygotowany kilka tygodni wcześniej chip i patrzył, jak chłopak załadował dane do swego procesora. Piraci mogli przechwycić transmisję ze stacji, lecz nie byli w stanie wyłowić z milionów podróźnych tego, który w komórkach mózgu przenosi ważną wiadomość. Stosunkowo prosty program pozwalał kurierowi składować informacje w mózgu, nie dając mu do nich dostępu, dzięki czemu bezpiecznie można było mu je powierzyć. A nawet gdyby ta wiadomość została przejęta, Arbela wiedział, że nie zdoła jej odszyfrować nikt poza tą jedną osobą, dla której była przeznaczona.

Wyobraził sobie słowa, które pojawiają się przed jej oczami, krwawoczerwone litery na czarnym jak sam kosmos tle.

WODY ZACZYNAJĄ SIĘ BURZYĆ. KONIECZNE DZIAŁANIE.

- Ruszaj - rozkazał. Kurier usłuchał. Program Arbela poda mu w drodze dalsze instrukcje.

Teraz, pomyślał Arbela, gra zaczęła się naprawdę.

XXIII

Dopóki nie zrozumiecie sposobu myślenia nieprzyjaciela - tak dobrze, by móc uchodzić za jednego z nich - nigdy nie zdołacie go powstrzymać.

DR KIO MASADA

„Wróg wśród nas”

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

To, co zdarzyło się w Northstar, wkurzyło Feniksa.

Nie chodziło o to, że nigdy nie został przyłapany. Po prostu... ten facet wyciął mu taki dziwny numer. Był za sprytny jak na gościa z ochrony, oni nie myśleli w ten sposób. Czyżby... haker?

Kilka programów ubezpieczających wróciło i zgłosiło się. Czasem kazał im to robić, żeby dowiedzieć się, kto go śledzi i jak daleko dotarł. Było to ryzykowne, gdyż powracając do niego, mogły zostać wytropione, lecz kazał im to robić długo po fakcie, kiedy ochrona przestała już go szukać. I oczywiście, zostawił odpowiednie zabezpieczenia... Chociaż teraz zastanawiał się, czy ten facet nie zdołał się przez nie przedrzeć. Do licha, był taki szybki!

Na wszelki wypadek sprawdził wracające programy i aż usiadł ze zdumienia, nie wierząc własnym oczom. A potem zaryzykował i ponownie włamał się do Northstar - od jego ostatniej wizyty wzmocnili zabezpieczenia, więc zajęło mu to prawie pięć minut - żeby zobaczyć, co zostało z bramek, które rozstawił. I sprawdzić, kto usiłował przez nie przejść.

Każda została sprawdzona. Co do jednej.

Przez ten sam program.

No, gdyby powiedziano mu, że ktoś dotarł do dwudziestu lub trzydziestu, odparłby, że tego się spodziewał. Większość facetów spróbowałaby tyłu podejść, zanim zrozumieliby, że liczba bramek po prostu wyklucza znalezienie właściwej. Gdyby powiedziano Feniksowi, że jakiś gość sprawdził sto lub więcej, aby znaleźć tę, która do niego prowadzi... No cóż, może mógłby tego dokonać, gdyby był dostatecznie wytrwały, chociaż większość facetów zrezygnowałaby, pojmując, że już nie dopadną go w czasie rzeczywistym. Ale wszystkie bramki? Statystycznie rzecz biorąc, oznaczało to, że nawet kiedy prześladowca znalazł furtkę, którą umknął Feniks, nie pognął za nim, tylko najpierw sprawdził wszystkie pozostałe. Co za dziwne posunięcie. Czy ludzie z ochrony działali w taki sposób, wiedząc, że trop już dawno ostygł?

Chyba że gość nie był dostatecznie sprytny, by znaleźć bramkę, którą uciekł Feniks.

Taak, akurat.

Trochę go to zdenerwowało. Wystarczająco, by wzmocnił zabezpieczenia własnego systemu i wysłał kilka sniferów na poszukiwanie sygnatury sprzętowej tego jegomościa. Znalazł ją w kodzie jednej z bramek - którą zupełnie niedawno wyposażył w taką opcję - i sam nie wiedział, co myśleć o tym, co zobaczył. Cieszyć się, że umknął komuś, kto korzystał z eksperymentalnego modelu Sonroya? Czy jeszcze bardziej się niepokoić z powodu tego, że interesuje się nim ktoś, kto ma dostęp do tak potężnego sprzętu?

W porządku, niech snifery poszukają faceta. A na razie Feniks poważnie martwił się tym, że musiał zostawić w serwerze North-star kopię wirusa. Nie śmiał zaraz tam wrócić i odszukać go, w obawie że prześladowca czeka na takie posunięcie, ale zajrzał tam następnego dnia, żeby zabrać kopię. Niestety. Znikła z cybernetycznego horyzontu i mógł tylko przeklinać stratę długich godzin, jakie poświęcił, żeby mieć pewność, iż to świństwo nie

wymknie się na wolność. On, Feniks, należący do ścisłej czołówki najlepszych hakerów w uninecie, wypuścił do sieci następną kopię tego cholerstwa. Gdyby dowiedzieli się o tym jego kumple-modziowie, obdarli by go żywcem ze skóry i usmażyli mu mózg. A on nawet by nie protestował.

- Cześć.

Niespodziewane przerwanie ciszy wyrwało go z zadumy i zawieszony w powietrzu kod znikł, zastąpiony przez błyszczącą klepsydę. To nie w stylu Chaos, żeby przerywać mu, kiedy pracuje. Odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos... i przypomniał sobie, że to nie Chaos. Jasne, że nie. Chaos umarła, zabita przez ten sam wirus, którego kopia dopiero co wymknęła mu się z rąk. To ktoś inny.

- Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać.

To ta dziewczyna od Atoma.

Jak łagodnie wyglądała, w porównaniu z wczorajszym dniem. Widocznie we śnie straciła całą pewność siebie. Przyciągnął fotel i przysunął do niej. Miała na sobie koszulę, którą dał jej poprzedniego wieczoru - luźny ciuch z kolekcji Chaos. Zaraz jednak przypomniał sobie, że tak naprawdę nie była to własność Chaos, która pożyczyła ją od niego kilka miesięcy temu. Na tę dziewczynę była zdecydowanie zbyt obszerna, a te zdziwione niebieskie oczy w połączeniu z fałdami cudzej koszuli składały się na niewypowiedzianie dziecinny wygląd.

W jakiś dziwny sposób dziewczyna wyglądała jeszcze atrakcyjniej niż poprzedniego dnia. Musiał odchrząknąć, zanim zdołał wykrztusić:

- Hm, masz ochotę na śniadanie?

Z powątpiewaniem rozejrzała się po ciasnym pokoju, w którym leżały resztki co najmniej pięciu poprzednich śniadań. Zauważył, że jej sterczące włosy przypląszczyły się we śnie i dopiero teraz było widać, jak fatalnie są obcięte. Chyba że na jakiejś planecie uważano taką strzechę za ostami krzyk mody. Jezu, wyglądały tak, jakby ktoś dobrał się do nich z sekatorem.

Pomyśl, Feniks. Ona się ukrywa. Chce zmienić wygląd. Może zrobiła to sama?

No cóż, na takiej stacji jak Hellsgate nikogo by to nie obeszło, ale na Paradise ludzie nadążali za najnowszą modą na tyle, żeby zauważać takie pomyłki. A założyłby się, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła ta dziewczyna, to rzucać się w oczy. Będzie musiał szybko zabrać ją do dobrego fryzjera, a przynajmniej do kogoś, kto potrafi coś z tym zrobić.

Trzeba znaleźć chwilę czasu. Snifery powinny wkrótce wrócić.

Objęła się ramionami z widocznym wahaniem, które nie powinno go poruszyć, ale poruszyło.

- Tak. Byłoby mi miło.

W jej głosie usłyszał głód, dość wyraźny, kiedy się wsłuchał. To dziwne, że wcześniej o nic nie poprosiła... A może i nie takie dziwne. Pewnie nie chciała nadużywać jego nieoczekiwanej gościnności, która spadła jej jak z nieba.

- Na co masz ochotę?

- A co masz? - odparła po chwili wahania.

Wstał z fotela i przeszedł wąską ścieżką biegnącą między stołami ze sprzętem do lodówki. Otworzył ją i zaczął głośno czytać etykiety stojących na półkach opakowań. Większość zawierała soki, napoje i tym podobne rzeczy, ale znalazł kilka w miarę pożywnych. Przeważnie pozostałych po Chaos. Napisy na tych odczytał powoli, mając nadzieję, że dziewczynie coś przypadnie do gustu. Wyglądała tak, jakby przydało jej się coś pożywnego.

Wybrała paczkę sztucznej jajecznicy, a on po krótkim namyśle zdecydował się na to samo. Wstawił opakowanie na trzydzieści sekund do mikrofalówki i w tym czasie poszukał czystych talerzy. Zwykle jadł prosto z opakowania, ale tym razem nie mógł: miał gościa. W końcu znalazł tylko jeden talerz, do którego nie przywarło nic brązowego i zaschniętego, więc swój wstawił do czyszczarki i odczekał pięć sekund, żeby drgania usunęły zaschnięte resztki. Maszyna i mikrofalówka jednocześnie zakończyły pracę. Zręcznie podał jajecznicę na stół, a potem ochłodził kartonik soku dla dziewczyny, która zasiadła w starym fotelu Chaos.

Boże, ależ była śliczna. Teraz jeszcze bardziej. Budziła czysto seksualny pociąg, który trafiał prosto w podbrzusze, omijając mózg. Wraz z jej bezbronnym wyglądem tworzyło to zabójczą mieszankę. Chciał jej pomóc, bronić i nakarmić mnóstwem pożywnych rzeczy, aż znikną cienie pod jej oczami, a na policzki wrócą rumieńce. Stwierdził, że o mało znów się nie zaczerwienił, i pospiesznie wrócił do pracy. Zobaczył, że kilka sniferów zameldowało się z powrotem, ale nie mógł sprawdzić, co przyniosły, bo nie chciał logować się na dłużej. Mając gościa w domu, byłoby to niegrzeczne.

Jakby kiedykolwiek się tym przejmował. Jezu.

W milczeniu zabrał się za jajecznicę, a ona jadła swoją ze znacznie większym zapalem. Kiedy skończyła, zaproponował jej dokładkę. Zawahała się i nie trzeba było być ekspertem, żeby zrozumieć, iż starała się opanować głód, nie chcąc nadużywać jego gościnności. Tak więc przygotował jej i podał drugą porcję. Ta była z czekoladowymi pałeczkami. Dziwnie na nie popatrzyła, ale mimo to zjadła wszystko. Sposób, w jaki trzymała

widelec, świadczył o tym, że wychowała się gdzieś, gdzie przestrzegano dobrych manier przy stole. Przez chwilę zawstydził się panującego w mieszkaniu bałaganu, ale zaraz pomyślał: pieprzyć to, ona jest zbiegiem, a ja udzieliłem jej schronienia, więc lepiej niech nie narzeka.

- No tak, Jamisio. - Odkasznął kilkakrotnie, zanim wypowiedział słowa, które utknęły mu w gardle. - Rozumiem, że masz problem nie tylko z pieniędzmi.

Spojrzenie szeroko otwartych niebieskich oczu przywarło do niego i... co? Właściwie nie było w nich strachu. Kryło się tam coś innego, nie będącego zagubionym dzieckiem, lecz kimś starannie poszukującym ukrytego znaczenia w każdym usłyszonym słowie. Niesamowite. Oczywiście zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu: odczytał je wcześniej z jej karty kredytowej. Rzucił je mimochodem, żeby zobaczyć, jak zareaguje, ale nie wyglądała na zaskoczoną. Tak jakby było jej obojętnie, jak ją nazywają.

- Może - powiedziała spokojnie.

- Ten program przyczepiony do twojego konta szukał nie tylko ciebie, ale każdego, kto chciałby czegoś się o tobie dowiedzieć. - Zamilkł na chwilę, wpatrując się w te niebieskie oczy. - Jeśli tu chodzi o narkotyki albo o czarny rynek, chemie nakarmię cię i postawię na nogi, ale potem będziesz musiała odejść.

- A jeśli nie o to chodzi?

Jeżeli nie... Czy zostanie u niego? Jakoś nie miał ochoty zadawać sobie tego pytania.

- Jesteś na stacji Paradise i chociaż pewnie o tym nie wiesz, niektóre... rzeczy są tu bardzo niepopularne.

Krótko mówiąc, Mama Ra pozwala nam na wiele, pod warunkiem, że nie pozwalamy sobie za dużo wobec niej.

- No wiesz... wcale nie podejrzewam, że siedzisz w narkotykach...

- Nie siedzę - zapewniła. Odstawiła pusty talerz, z którego wyjadła wszystko do czysta, a potem się wyprostowała. Jej łagodne spojrzenie nagle stało się... jakby twardsze. Bardziej stanowcze. Zastanawiała się chwilę, spoglądając w dal, jakby konferowała z kimś w sieci. A przecież nie mogła, nie bez hełmu. Niemożliwe. Prawda?

- Chodzi o szpiegostwo - powiedziała cicho. - Przemysłowe. Jest w to zamieszana ziemską korporacją. - Po krótkiej przerwie dodała: - Mój ojciec... prowadził badania. Umarł przed ich ukończeniem. Kilku jego rywali uważa, że ja znam wyniki.

Rzecz jasna, musiał zadać to pytanie.

- A znasz?

Zawahała się, i w końcu odparła: - Nie.

Jednakże zabrzmiało to tak, jakby sama nie była tego pewna. Szpiegostwo przemysłowe. Jezu. To wyjaśniało poziom zabezpieczeń, na jakie natknął się na tamtej ziemskiej stacji. I oznaczało, że będą jej szukać i szukać, bez końca. Niewątpliwie już setki programów przetrząsały uninet w poszukiwaniu jej śladów i takie proste sposoby, jak obcięcie włosów czy zmiana nazwiska, z całą pewnością ich nie powstrzymają. Ziemskie korporacje cieszyły się w kosmosie złą sławą, zarówno z powodu nadmiernie scentralizowanej struktury, jak i całkowitego braku szacunku do tamtejszego prawa. Niedawno słyszał, że jedna z korporacji wysadziła w powietrze stację konkurencji, z ludźmi i całym sprzętem. Gdyby to zdarzyło się w kosmosie, agresorzy natychmiast dostaliby nauczkę, nie tylko od Gildii, ale i od każdej innej stacji znajdującej się w pobliżu. Czegoś takiego nie można tolerować, nigdy. Tymczasem Ziemia sprawiała wrażenie, że uważa takie rzeczy za zupełnie normalne. Przeróżające.

Tak więc teraz jakaś ziemaska korporacja zapewne wykorzystywała wszystkie dostępne środki, żeby znaleźć tę dziewczynę. Puszczą na wszystkie stacje snifery identyfikacyjne i masę innego śmiecia. Paskudne, naprawdę paskudne programy, z którymi ona na pewno nie poradzi sobie sama. I mogą go zabić, jeśli będzie jej pomagał. Nie powinieneś się w to mieszać, powiedział sobie, skoro za to, co masz w głowie, mogliby dać ci dożywocie.

A jednak...

Jezu, to byłoby wyzwanie. Czymś takim pewnie przez jakiś czas nie można by się pochwalić, ale gdyby kiedyś... Taak, to było tego warte. W tym wszechświecie takie powody do chwały to cenny towar. Warto zaryzykować.

I ta dziewczyna. Trudno odmówić takiej dziewczynie.

Robisz się miękki na stare lata, Feniks.

Odepchnął od siebie tę myśl, jakby strząsał paproch z ekranu monitora. Nie czas na wahania.

- Posłuchaj, ja... hm... mogę ci pomóc. Już puściłem w uninecie program, który ma coś sprawdzić. Zaraz przyjrzymy się temu i zobaczymy, kto węszy na stacji.

- Mogę zapłacić... - zaczęła. Potem zaczerwieniła się i spuściła wzrok. - Przepraszam, to z przyzwyczajenia. Oczywiście, nie mogę...

- A przynajmniej nie bez pieniędzy, które dla ciebie ukradnę. Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się i wziął od niej talerz. - Narodowe zadłużenie Frisi i tak było spore, więc nikt nie zauważy kilku dodatkowych sum. Nie przejmuj się.

Błysk w jej oku powiedział mu, że ucieszył ją, rozbawił i wzbudził tuzin innych ciepłych uczuć. Kobiety rzadko tak reagowały. Większość z nich nie przywiązywała wagi do

tego, co potrafił zrobić dzięki obwodom, jakie miał w głowie - i jak wykorzystywał swój mózg.

W polu widzenia dostrzegł czerwony błysk. Wracał snifer. Feniks przez chwilę stał nieruchomo, przyjmując ikonę i przeglądając kod.

- Co się stało? - zapytała.

- Jeden z moich sniferów coś znalazł. Szybko.

Uciszył ją gestem i zamknął oczy, żeby lepiej widzieć. Tak, to jeden z wywiadowców przyniósł coś, co miało większy kod niż on. Ścisłe tajne gównno, prosto z kamer stacji. Feniks namacał fotel i ciężko opadł nań, skupiając całą uwagę na obcym programie.

Ten był czysty i gładki, cuchnął programowaniem wyuczonym w szkole lub podczas wspinaczki po szczeblach korporacyjnej kariery. Rzecz jasna, Feniks natychmiast zrozumiał jego przeznaczenie. Właśnie coś takiego spodziewał się znaleźć, skoro dziewczyna miała tak potężnych wrogów.

- To program rozpoznawania twarzy - powiedział, nie otwierając oczu. - Szuka... - Przejrzał kod, przekładając w myślach bity na piksele, a potem dokończył: - Ciebie.

- Co to oznacza? - spytała nerwowo. Miała po temu powody. To nie było amatorskie posunięcie.

- To oznacza, że ten programik kręci się po stacyjnej sieci i podłącza do wszystkich kamer bezpieczeństwa. A potem wyszukuje i sprawdza osoby, których rysopis pokrywa się z twoim w najważniejszych punktach, takich jak wzrost, płeć, mutacja... - Zaczekał, aż zaprotestuje, ale nie zrobiła tego. Większość znanych mu Ziemian protestowałaby. - Potem redukuje liczbę kandydatów, stosując inne kryteria, i powtarza te czynności, aż w końcu porównuje zarejestrowaną przez kamerę twarz z tą, jaką ma w pliku... Szuka głównie struktury kostnej i tym podobnych cech, które niełatwo zmienić.

- I znalazłby mnie? Wśród tylu mieszkańców stacji?

- Tylko gdybyś przeszła przed którąś z kamer. A nawet wtedy zajęłoby mu to dobrą chwilę. I dałby tylko procentowe zestawienie, jeśli w danym dniu na stacji było wiele Ziemianek o podobnym wyglądzie. Ten program nie daje szybkich wyników - dodał ostrzegawczo - a więc ktoś jest gotowy poświęcić sporo czasu, żeby cię wysledzić. O ile wiem, tego rodzaju snifery, wykorzystywane przez policję, w osiemdziesięciu procentach przypadków spełniają swoje zadanie, jeśli cel nie zaszyje się na jakiejś prywatnej stacji. A także... - Nie zdołał ukryć uśmiechu. Popisywał się. - Jeśli nikt ich nie spieprzy.

- Potrafisz to zrobić? - Wyczuł, że przysunęła się bliżej. - Chcę powiedzieć...

- Spieprzyć taki program? To proste. - Już przeprogramował snifera, odcinając fragment jego kodu i zastępując go poleceniami własnego autorstwa. - Kiedy skończę, nie zauważyłby cię, nawet gdybyś podeszła i uśmiechnęła się do kamery. - Zamilkł na chwilę, zmagając się ze szczególnie trudnym fragmentem. - A potem... jak wszystko dobrze pójdzie... będzie kręcił się po stacji, niczego nie znajdując, ale wyglądając zupełnie normalnie, tak by jego twórca uważał, że wszystko jest w porządku, po prostu ciebie tu nie ma.

Już nic nie mówiła, ale wiedział, że go obserwuje. Szkoda, że to nie wygląda efektowniej, pomyślał. Mógłby na przykład potrzasać rękami lub całym ciałem, przy czym każdy ruch oznaczałby jakiś sukces. W ten sposób programowanie stałoby się tańcem, którego by nie rozumiała, ale przynajmniej mogłaby obserwować. A kiedy tak leżał wygodnie wyciągnięty w fotelu, dla niej równie dobrze mógł drzemać.

Podczas gdy ciężko pracował.

Takie snifery jak ten są najeżone procedurami zabezpieczającymi, które trzeba bardzo ostrożnie ominąć, żeby podłożyć swój kod. Jeden błąd i drań zacznie wysyłać ostrzegawcze sygnały do domu. Feniks już odizolował go tak, że takie sygnały nie opuściłyby jego systemu, ale i tak musiał uważać. Nigdy nie wiadomo, kiedy taki zainfekuje ci maszynę, żeby później uciec. Ze zdziwieniem stwierdził, że snifer łatwo dał się rozbroić. Dobrze napisany, ale bynajmniej nie oryginalny czy szczególnie niebezpieczny. Żadne wyzwanie dla kogoś, kto zdobywał szlify na najnowocześniejszych systemach zabezpieczeń.

Wreszcie skończył. Sprawdził jeszcze raz, upewniając się, że wszystko wygląda jak należy, a potem otworzył system i wypuścił ptaszka. Ten będzie krążył po stacyjnej sieci, udając, że robi swoje, lecz w rzeczywistości niczego i nikomu nie będzie raportował. I dopóki nie przyjrzesz mu się bardzo dokładnie, będzie wyglądał normalnie. Dobra robota, pochwalił się w duchu. Ponownie wywołał swoje snifery i zaczął je sprawdzać, chcąc mieć pewność, że wszystko jest w porządku...

Niestety, nie było.

- Feniks?

Na końcu jednego z jego własnych sniferów tkwił maleńki program, którego o mało nie przeoczył. Krótki, zgrabny, skuteczny... i doczepiony do jego własnego kodu maszynowego.

Ktoś próbował go namierzyć. Znaleźli jego program i podążyli jego tropem. Cholera.

- Dobrze się czujesz?

Pospiesznie unieszkodliwił intruza, szczelnie otaczając go procedurami bezpieczeństwa, żeby drań nie mógł się ruszyć, a potem dodając następny poziom zabezpieczeń.

- Świetnie - wymamrotał. - Po prostu świetnie.

Ktoś próbował go namierzyć i prawie mu się to udało. Feniks był tak zajęty popisywaniem się przed dziewczyną, że o mało nie przeoczył pluskwy. Jezu. To do niego niepodobne. Pokręcił głową i wyłączył procesor myślowy, migocząc ikonami, które zawieszały wszelką pracę. Był nieostrożny, a to ściąga kłopoty. Haker nie może sobie pozwalać na nieostrożność. Szczególnie haker mający w głowie tyle czarnorynkowych gratów, że gdyby gliny zajrzały mu do mózgu, to dostałby dożywocie.

Taki haker jak on.

- Feniks?

W jej głosie usłyszał strach.

- To tylko szum informacyjny - zapewnił. Jej wyraz twarzy świadczył o tym, że domyśliła się, iż chodzi o coś więcej. Do licha, nigdy nie umiał kłamać. - Posłuchaj, mam coś do zrobienia... ale nie stąd. Muszę wyjść na jakiś czas.

Wyciągnęła rękę i zaraz ją cofnęła. Widocznie wyczuła, że nie zdoła go powstrzymać ani wymyślić żadnego dobrego powodu, żeby mu towarzyszyć.

- Posłuchaj - rzekł. - Jesteś tu bezpieczna. Dopóki nie zalogujesz się do sieci, nikt nie zdoła cię znaleźć. A ja szybko wrócę, obiecuję.

Zawahał się, a potem wziął kartkę papieru i zanotował na niej numer.

- To numer Atoma, dobrze? Gdybym długo nie wracał i gdybyś zaczęła się denerwować, możesz się z nim skontaktować. Jednak ja zaraz wrócę. Zobaczysz.

Wyglądała na nieprzekonaną, ale wzięła od niego kartkę i złożyła.

- Wszystko będzie dobrze. Naprawdę.

Wiedział, że mu nie uwierzyła. On sam sobie nie wierzył. Tylko co mógł jej powiedzieć?

Pospiesznie opuścił małe mieszkanie, migając ikonami wywołującymi plan stacji Paradise.

*

„Nie ukrywa się ziarnka piasku, zamykając je w sejfie, lecz umieszcza się je na plaży i każe ludziom szukać”. Ktoś powiedział to na starym ziemskim wideofilmie, który oglądał jako dzieciak, i teraz przypomniał mu się ten cytat. Oczywiście, z początku nie miał pojęcia,

czym jest piasek, ale krótka wizyta w bibliotecznej bazie danych dostarczyła mu dość informacji, żeby zrozumieć sens tego powiedzenia. Spodobało mu się.

Rozmyślał o tym teraz, jadąc metrem do odległego centrum handlowego, opanowując chęć pogrzebania w programach, jakie miał zmagazynowane w hełmie. Później. Później. Dopóki nie oddali się od domu, nie może sobie pozwolić na logowanie do uninetu.

W końcu dotarł do swego wybranego azylu - centrum handlowego w jednym z wewnętrznych pierścieni. Na tym poziomie nie było tłumu turystów, co oznaczało, że ciągnęli tu miejscowi, próbując uciec przed stadami obcych. W wybranej przez niego sekcji było co najmniej tysiąc osób, spacerujących, rozmawiających, posilających się i robiących zakupy... Albo po prostu włóczących się, co jest ulubioną rozrywką młodych.

Oczywiście, roiło się tu od kołowatych i świrtów, oraz ich niezliczonych odmian i kombinacji. Ostatnio widywało się ich w każdym publicznym miejscu. Zauważył siedzącą przed sklepem kobietę o szklistym spojrzeniu, uśmiechającą się z zadowoleniem wywołanym jakimś programem szczęścia, który bez końca wykonywał się w jej głowie. Chichoty i rumieńce trzymającej się za ręce pary świadczyły o tym, że oboje puścili sobie w pętli jakiś pornograficzny soft. I byli też miłośnicy fantasy z ich najnowocześniejszymi programami wirtualnymi, przekładającymi rzeczywistość na wybrany przez użytkownika wariant. Jeden przemknął koło niego na wrotkach, machnąwszy wyimaginowanym mieczem na jakiegoś wyimaginowanego wroga, który przypadkiem wcielił się we Fryzjanina w średnim wieku. Inny lubieżnie uśmiechał się do wszystkich mijanych kobiet, gdy program w jego głowie zastępował ich ubrania wyidealizowanymi, nagimi kształtami. A może przyklejał im uśmiechy na pośladkach. Trudno powiedzieć, co teraz rajcowało dzieciaki. Kiedy Feniks był młody - naprawdę młody - w modzie były wirtualne kawałki z Ziemi, programy zastępujące prozaiczną rzeczywistość starymi wideofilmami. Najbardziej lubił sztafaż science fiction - niesamowite obce krajobrazy, pełne istot tak różniących się od człowieka, że ich istnienia nie tłumaczył nawet efekt Hausmana. Kupiwszy sandwicza w kiosku, można było przeżyć ekscytującą przygodę dyplomaty na obcej planecie, gdy kęs nagle ożywał w ustach, a jakieś wężopodobne stworzenie czujnie obserwowało, czy odważy się to wypluć. Oczywiście, inni goście nie mogli zrozumieć, dlaczego, jedząc kanapkę, niektórzy robią takie miny... a może jednak. W końcu istnienie wirtów nie było tajemnicą, chociaż zostały stworzone do prywatnego użytku. Dorośli wykorzystywali je zgodnie z przeznaczeniem, ale dzieci to zupełnie co innego. Które pokolenie nie lubiło szokować starszych? Czy był jakiś świat, na którym dorośli nie kręciliby głowami, zirytowani zachowaniem młodzieży, nad którą nie potrafili zapanować?

W końcu dotarł do miejsca, które mniej przyciągało kupujących i w rezultacie zgromadziło większą niż przeciętnie liczbę świrtów. Na końcu korytarza kilku z nich oddawało się jakiejś grupowej fantazji, która w końcu ściągnie na nich uwagę policji. Teoretycznie, takim zabawom nie wolno było oddawać się w miejscach publicznych, ale za plecami policji wciąż łamano ten zakaz. Feniks kupił sobie napój i szedł wolno, sącząc pienistą zieloną ciecz i dostosowując krok do obowiązującego tutaj tempa ruchu. Dobry haker potrafi jednocześnie maszerować i pracować. On był dobry. Wystarczyło znaleźć miejsce, gdzie nikt nie zwróci uwagi na jego szkliste spojrzenie, a to centrum zdecydowanie takim było.

Zwolnwszy kroku, wodząc dłonią po sklepowej witrynie, całą uwagę skupił na swoim procesorze i wywołał program, który nieco wcześniej tak go zaniepokoił. Powoli, ostrożnie, odpakował go i obejrzał. Paskudny programik, snifer nastawiony na markę i model jego procesora. Nie na helm, zauważył Feniks, co byłoby normalną procedurą poszukiwawczą, dającą łatwiejszy dostęp do informacji. Każdy choć odrobinę utalentowany programista mógł wytropić helm. Tymczasem ten drań nastawił program na procesor myślowy, którego nie da się zmienić, kupując nowy interfejs. Ponadto znalazł jego kody dołączone do snifera, wbił w nie pazurki i wjechał na nim aż do głowy Feniksa.

Niedobrze.

Na razie nie wyrządził żadnej szkody, ale to wcale nie oznaczało, że wkrótce nie zacznie. Wydawało się, że miał tylko zlokalizować Feniksa i zawiadomić kogoś, że znalazł cel... co na razie Feniks mu uniemożliwił. Teraz chciał sprawdzić, czy zdoła się dowiedzieć, skąd pochodzi program i kto zdobył specyfikację jego procesora myślowego.

Usiadł przy stoliku w mocno zatłoczonej knajpce i z opakowaniem napoju w ręce wygodnie wyciągnął się na wąskim krześle. Tutaj, w tym publicznym miejscu, sama liczba klientów pomoże mu zniknąć w tłumie, jeśli nieprzyjaciel spróbuje go namierzyć.

Nieprzyjaciel. Jezu. Posłuchajcie no tylko. To brzmi, jakby znów puścił jeden z tych wirtów, robiąc szpiegów ze sklepikarzy i zastępując prozę życia nastolatka ekscytującymi szpiegowskimi intrygami.

Jednak dziewczyna była rzeczywistością. Tak samo jak ci, którzy ją ścigali. Może tym razem, jak nigdy, życie dorównało wirtom.

Przymknął powieki tak, by nieco przysłonić pole widzenia, a jednocześnie nie rzucać się w oczy. Masz wyglądać na leniwego gościa, który przyszedł tu wypić drinka i podrzemać. Tymczasem w myślach zaczął rozbierać to małe paskudztwo, kawałek po kawałku analizując kod snifera, sprawdzając, jak działa. Snifer niemal natychmiast próbował wysłać sygnał, ale

nic nie szkodzi. Feniks podjął odpowiednie kroki i ta wiadomość do nikogo nie dotrze. Ostrożnie dobrał się do programiku, szukając linii kodu kierującej sygnał do właściciela. Tego właśnie chciał się dowiedzieć. Musiał to wiedzieć, jeśli zamierzał wygrać w tej grze w kotka i myszkę.

Nagle kod znikł mu z oczu. Feniks zdrewniał, spodziewając się kłopotów - ale najwidoczniej uruchomił jakiś program graficzny, zaszyty w sekwencji naprowadzającej. Błyszczące gwiazdy nagle wypełniły mu pole widzenia, a potem zebrały się w świecący margines wzdłuż brzegów. Feniks zdawał sobie sprawę z tego, że może to być pułapka, mająca odwrócić jego uwagę, ale był tak piekielnie zaciekawiony, że nie mógł tego wyłączyć. Powoli, na środku czarnego pola pojawił się obraz: niewyraźny zarys stacji tranzytowej, otoczonej przez pół tuzina ogromnych pierścieni. Paradise. Co to jest, do diabła, jakaś reklama? No, to byłoby wspaniale, tyle zachodu i strachu, przez jakiś idiotyczny program reklamowy, który uczeplił się...

Nagle zobaczył adres. Tak po prostu. Białe litery na czarnym tle: jasny, prosty napis, łatwy do odczytania. Zaraz zgasł. Przez kilka sekund w polu widzenia pozostał jego ślad, a potem i on znikł. Stacja i gwiazdy również, pozostawiając tylko ciemność.

Co do cho...?

Snifer uległ samozniszczeniu, jego kody rozpadły się na bezsensowne fragmenty, zanim Feniks zdołał powstrzymać ten proces. Widocznie spełnił swoje zadanie, wyświetlając tę scenkę, a teraz nie miał zamiaru dawać mu okazji do analizowania kodu. Feniks otworzył oczy, zamrugał, pociągnął łyk - ciepłego już - napoju i próbował znaleźć jakiś sens tego, co przed chwilą widział. Ten facet napisał program, który miał znaleźć Feniksa, prawda? Snifer znalazł go i spróbował wysłać wiadomość o jego miejscu pobytu. Czyżby to miało tylko maskować tę trzysekundową sekwencję, którą odegrał w jego głowie? Czyżby taki był jego prawdziwy cel?

Cholera. To robiło się coraz dziwniejsze.

Wiedział, że nie powinien sprawdzać tego adresu. Robiąc to, postąpiłby co najmniej zuchwale. Z drugiej strony, jak mógł oprzeć się pokusie? Programista, który napisał ten program, był dobry, piekielnie dobry, a ponadto wiedział, że Feniks również jest dobry, i szanował to. Przewidział, że haker zauważy jego programik, zneutralizuje go i rozbierze, żeby sprawdzić, co kryje się w środku. Było w tym wyraźne Wyzwanie: jeśli nie jesteś tak dobry, żeby znaleźć tę notatkę, to nie jesteś wart mojego czasu.

Jak modzio mógł oprzeć się takiemu wyzwaniu?

Jednakże powinien wzmocnić zabezpieczenia. Na kilka minut wyłączył działanie programów hakerskich, pozwalając, by reklamy bezmyślnie przepływały przez jego pole widzenia, gdy szedł do najbliższego przystanku metra. Innym razem mógłby je pozmienić, tak dla zabawy, pozbawiając modelki ubrań, domalowując im wąsy i odsyłając do producenta. Teraz był zbyt zajęty na takie zabawy.

Facet, który wysłał snifera... Czy sam był hakerem? Świadczył o tym sposób, w jaki wysłał zaproszenie, lecz z drugiej strony jego zachowanie przemawiało przeciwko temu. Na razie Feniks nie był w stanie rozstrzygnąć tej kwestii. Nieważne, sprawa i tak z pewnością była godna uwagi.

Wsiadł do ekspresowego metra jadącego na górne poziomy. Było mnóstwo wolnych miejsc, więc wyciągnął się na trzech fotelach, wyraźnie dając w ten sposób do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano. Spojrzał na kopułki przekaźników w suficie, które mogły przesłać sygnał hełmu do najbliższego komputera. Przy takiej szybkości, z jaką pomszało się metro, oznaczało to zmianę procesora uninetowego co kilka minut. Jeśli ktoś go śledzi, to straci mnóstwo czasu na tropienie sygnału, a w tej grze czas był wszystkim.

W końcu, upewniwszy się, że na razie jest bezpieczny, zamknął oczy i wywołał podany mu adres.

Oczywiście, nie połączył się z nim bezpośrednio. Zbyt łatwo mógłby wpaść w pułapkę, okazując się za słabym przeciwnikiem nadawcy zaproszenia. Połączył się ze stacją Tiananmen, gdzie skorzystał z tylnych drzwi w systemie działu sprzedaży tamtejszej firmy budowlanej. Stamtąd przeskoczył na procesor edukacyjny (dzięki uprzejmości Uniwersytetu Rajastar), gdzie ukrył swoją obecność wśród morza prac studenckich, jednocześnie sprawdzając ścieżki dostępu do potrzebnych mu danych. Na razie wszystko szło dobrze.

Zastanawiał się, czy ten gość go obserwuje. Zapewne wszystkie wiodące do niego drogi obstawił sniferami, a Feniks je uruchomił. Nawet jeśli tak, to jeszcze żadnego nie zauważył. Do licha, ten gość jest niezły. Co to za jeden?

Szykował się, by ruszyć naprzód i może przesłać wiadomość pod podany adres, gdy tamten uprzedził go.

Nagle Feniksowi pociemniało w oczach. Był tak spięty, że w tym momencie serce prawie przestało mu bić. Zanim zdążył zareagować, ujrzał obraz. Jasne skrzydła, czerwone płomienie, potężny ptak nurkujący w szkarłatno-pomarańczowy ogień. Jego syryfbol, feniks.

To było po prostu niesamowite. Spróbował odzyskać kontrolę i wywołał jeden ze swoich programów, chcąc zlikwidować ten obraz, lecz za każdym razem, gdy próbował

podjąć pracę, otrzymywał następną kopię ptaka. Jakby został otoczony przez całe ich stado i przy każdym ruchu jakiś stawał mu na drodze.

Przez chwilę siedział, wstrząśnięty. Potem sam posłał obraz.

KIM JESTEŚ, DO CHOLERY?

Ptaki znikły. Na ich miejscu pojawiły się słowa:

TYM, KTÓRY SZUKA.

Nie zapytał czego. Byłoby to nazbyt oczywiste. Tylko amator zadaje oczywiste pytania. I tylko amator na nie odpowiada. Zastanawiał się przez chwilę, a potem zamigotał: MOŻE MOGĘ POMÓC. Wstrzymał oddech, czekając.

Pojawiła się przed nim kapsułka z danymi. Zawahał się, wiedząc, że nie powinien ryzykować... jednak ciekawość zwyciężyła. Tak jak zapewne tamten przewidział. Feniks na wszelki wypadek wywołał program przeciwwirusowy, po czym złamał kod otaczający przesyłkę...

I zobaczył, co było w środku.

Zamknął ją z powrotem, najszybciej jak mógł. Teraz dopiero serce zaczęło mu walić jak młotem. Dosłownie. Nie było niczego równie przerażającego jak dopuścić tego wirusa tak blisko, nie wiedząc, czy jest to wersja zneutralizowana, czy nie. Kurwa! Pospiesznie doczepił do przesyłki kilka dodatkowych programów zabezpieczających, żeby mieć pewność, iż pozostanie szczelnie zamknięta, a potem, z braku lepszego pomysłu, mignął:

NORTHSTAR.

TAK.

Cholera! Cholera!

DLACZEGO? - pojawiło się przed nim.

Dobrze, przemyśl to sobie. Jeśli to on zaprojektował tego przekłętą wirusa, to chce wiedzieć, dlaczego przy nim grzebiez. Na to nie ma bezpiecznej odpowiedzi. Z drugiej strony, gdyby naprawdę był jego autorem, to mógł ci podesłać kopię, która już byłaby w twojej głowie, wyszukując potrzebne mu dane. Prawda? To paskudztwo miało wyszukiwać dane, więc czemu nie miałyby go użyć? Nagle zdał sobie sprawę jaki był nieostrożny, otwierając w ten sposób pakiet danych. Nic jednak się nie stało, prawda? To coś mówiło o facecie, który je przysłał. W porządku, wiele przemawia za tym, że to prawdopodobnie nie on jest odpowiedzialny za stworzenie tego wirusa... i obaj o tym wiecie. Racja? Więc do czego jest mu on potrzebny? I ja?

Nie dostaje się takich danych, nie oferując czegoś w zamian. Zastanawiał się kilka sekund, rozważając różne możliwości. W końcu oczami duszy sformował słowa:

ZABIŁ PRZYJACIÓŁ.

Wysłał je. Nie było odpowiedzi. Po chwili dodał: A TY?

Długie oczekiwanie. W końcu: ZABIŁ.

Po raz pierwszy od kilku minut Feniks poczuł, że może swobodnie oddychać.

SZUKASZ GO? - zapytał.

Ponownie odpowiedź przyszła dopiero po dłuższej chwili. Nie trzeba było geniuszu, żeby domyślić się dlaczego. Jeśli facet był szczery i naprawdę polował na wirusa, to przed dalszą rozmową musiał upewnić się, że Feniks mówi prawdę. Teraz przeglądał zapisy wszystkiego, co zostało powiedziane i co widział na Northstar, żeby ocenić to okiem hakera. Ponieważ, tak, ten facet musiał być hakerem. Nie było innej możliwości. Można nauczyć dobrego programistę śledzenia wirusów i tym podobnych rzeczy, ale nie da się wyuczyć ich związanej z tym kultury. W chwili, gdy Feniks zobaczył otaczające go ptaki, zrozumiał, że tamten musi być jednym z nich.

SZUKAM JEGO TWÓRCY.

Feniks zaczerpnął tchu i odpowiedział:

JA TEŻ. - Potem dodał: - INNI RÓWNIEŻ.

ZNASZ ICH?

Czy to pułapka?

ICH WYNIKI. NIE WIEM KIM SĄ.

Właściwie mówił prawdę. Połowę ludzi, z którymi rozmawiał przez sieć, znał tylko z pseudonimów. W ten sposób wyraźnie dawał teraz rozmówcy do zrozumienia, że nie otrzyma od niego żadnych informacji o innych hakerach tropiących wirusa.

MOŻE POWINNIŚMY PORÓWNAĆ NOTATKI.

MOŻE. - Podejmował duże ryzyko, ale co tam, jeśli ten gość miał o wirusie jakieś wiadomości, których kumple Feniksa nie zdołali wygrzebać, to warto zaryzykować. Widział stojącą przed nim Chaos, jak żywą, błagającą go wzrokiem, by znalazł jej zabójcę, ukarał go i nie pozwolił, by inni modziowie padli ofiarą wirusa. - NIE TU. ZBYT NIEBEZPIECZNIE.

ZGODA. TYLKO OSOBIŚCIE.

Zaszokowany, gapił się na te słowa, nie wierząc własnym oczom. Czy ten facet oszalał? Nagle Feniks ponownie zweryfikował przebieg tej rozmowy i zaczął się zastanawiać, z kim jest połączony. Żaden haker nie zaproponowałby czegoś takiego. Hakerzy czasem przez całe życie nie spotykali się ze sobą inaczej jak na elektronicznym forum. Czy ten gość myśli, że Feniks zamierza wystawić na niebezpieczeństwo swoje ciało? I tak się wychylił, łącząc się

z kimś nieznanym, ale z pewnością nie wejdzie do gabinetu obcego faceta, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

NIE MA MOWY - wysłał. I przygotował się do zerwania połączenia, gdyby tamten spróbował wyciąć mu jakiś brzydki kawał.

ZROBISZ TO - zapewnił go tamten. - SAM WYBIERZESZ MIEJSCE. DOWIESZ SIĘ KIEDY. - I podpisał pod spodem, jak list: MASADA. Co do jas...

Sygnal znikł. Spróbował za nim podążyć, ale szybko zrozumiał, że to mu się nie uda. Tak więc przywołał z powrotem ostami obraz, ten irytujący podpis, który tak wiele obiecywał i tak mało wyjaśniał.

Masada?

Ten Masada? Kto Masada, który napisał jedyny szanowany przez wszystkich podręcznik z zakresu bezpieczeństwa sieci komputerowych? Który sprawiał tyle kłopotu Feniksowi i jego kumplom właśnie dlatego, że tak dobrze ich rozumiał? Który tak dobrze zaprojektował zabezpieczenia Gildii, że próba ich pokonania była obecnie hakerskim świadectwem dojrzałości? Ten Masada?

Nie może być. Cholera. To byłoby jak... Jakbyś pogadał sobie w sieci z Panem Bogiem, który na zakończenie zostawił ci swój adres. Niemożliwe.

Tylko kto ośmielił się posługiwać jego nazwiskiem?

Jeszcze przez chwilę przeglądał pobliskie dane, mając nadzieję znaleźć jakiś ślad, jakąś informację. Kimkolwiek jednak był ten gość, pracował czysto: każdy znaleziony przez Feniksa trop kończył się ślepo, pętlą odsyłającą go na początek.

W końcu Feniks zrozumiał, że nie znajdzie niczego użytecznego, i zrezygnował z dalszych poszukiwań. Mignął ikoną czyszczącą pole widzenia i znów zobaczył tylko realny świat. Martwy świat, jak powiadali niektórzy z jego znajomych. Ludzie. Pakunki. Wnętrze metra. Zamglone widoki na zewnątrz, stacyjki niewarte zatrzymywania się.

Masada. Tak. Akurat.

XXIV

W seksie nie chodzi o seks. W seksie chodzi o władzę.

Rozkosze ciała są zaledwie dodatkiem dla tego, kto naprawdę rozumie tę grę.

SHARON GREER „*Dynamiczny człowiek*”

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

Czekała na Feniksa, kiedy wrócił do mieszkania. Oczywiście. A dokąd miałyby pójść? Wcale nie była tak pewna jak on, że teraz, kiedy zneutralizował program rozpoznawania twarzy, jest bezpieczna na stacji, a ponadto, czy miała jakieś sprawy, którymi musiałaby się zająć? Na razie wyglądało, że najbezpieczniej będzie pozostać tutaj, w mieszkaniu mężczyzny, który najwyraźniej uważał ją za tajemniczą i pociągającą. Gdyby tylko zdołała wzbudzić w nim trwalsze uczucie! Co się stanie, kiedy on rozwiąże wszystkie jej tajemnice i zainteresuje się innymi, ciekawszymi? Wtedy znów byłaby zdana na siebie, a to nie byłoby dobre. Nie, jeśli Feniks nauczył ją czegoś w ciągu tych kilku godzin, jakie spędzili razem, to tego, że potrzebowała hakera, by przeżyć. Nie potrafiłaby bezpiecznie podróżować po tej dżungli danych, jaką był uninet, pełen podążających jej tropem drapieżników o zakrwawionych pazurach.

Obawiała się dnia, w którym Feniks zacznie zadawać jej pytania. Bała się tej chwili, gdy on się przekona, że ona naprawdę - naprawdę - sama nie zna odpowiedzi i nie może udzielić mu więcej informacji. Czy wtedy ją opuści? Uzna, że intrygująca zagadka jej obecności nie jest warta ryzyka związanego z ukrywaniem uciekiniarki? Zdenerwuje go jej odmowa podzielenia się sekretami, nie wierzy, że ona sama nie wie, kto i dlaczego ją ściga?

Z tym mogła sobie poradzić. Był mężczyzną, a mężczyznami można manipulować. Można ich oplatać pajęczyną uczuć tak delikatnych, że nawet ich nie zauważą, a jednak na tyle mocnych, że nie zdołają jej zerwać. Oczywiście, trudno dokonać czegoś takiego w pośpiechu... ale to tylko czyniło z takiej próby większe wyzwanie. Wszyscy Inni by je podjęli, choć zapewne spieraliby się godzinami o to, jak mu sprostać.

W końcu to Katlyn powiedziała im, co należy zrobić. Katlyn poczyniła wszystkie przygotowania i z zapartym tchem czekała, jak on zareaguje. Inni tłoczyli się na skraju jej świadomości, jak dzieci na seansie wideofilmu, walcząc o lepsze miejsca. Był tam nawet Derik, co ją zdziwiło. Zwykle kiedy przejmowała kontrolę nad ciałem, chował się w mroku, nadąsany.

To nie jest takie łatwe, powiedział jej.

Nie jest? Uśmiechnęła się. Tylko popatrz.

Potem drzwi rozsunęły się i haker wreszcie wrócił do domu. Wysoki i trochę chudy, z grzywą jasnych włosów opadających na czoło i roztargnionym spojrzeniem. Całkiem przystojny, oceniła, chociaż prosty krój ubrania i niedbały sposób, w jaki je nosił, dowodziły, że nie przywiązywał wagi do swojego wyglądu. Mogła trafić gorzej.

W pierwszej chwili zdawał się jej nie zauważać, pogrążony w rozmyślaniach. Podejrzewała, że był to jego normalny stan.

- Jamisio, przepraszam, że nie było mnie tak długo. Musiałem...

Urwał w połowie zdania. Zobaczył wnętrze mieszkania. Najwyraźniej mimo wyrafinowanego procesora myślowego nie był w stanie ogarnąć tej wizji.

Katlyn rozejrzała się po niewielkiej przestrzeni, mając nadzieję, że robi to z czarującą niewinnością.

- Chciałam ci się jakoś odwdzińczyć za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

No właśnie: dodaj lekkie drzenie głosu i dolnej wargi, sugerujące obawę, że to mu się nie spodoba. Nie mogła sobie teraz pozwolić na irytowanie hakera, gdyż jej los spoczywał w jego rękach.

Zaraz mi się cofnie, ostrzegł Derik.

Zaczekaj z tym, aż przyjdzie twoja kolej, ucięła.

Feniks wszedł do mieszkania i chodził po nim jak we śnie. Właściwie przemiana nie była aż tak drastyczna, lecz widocznie tak niespodziewana, że zabrakło mu słów. Podeszedł do stołu, na którym uprzednio stała sterta brudnych talerzy - teraz umytych i schowanych, tak samo jak inne naczynia - i dotknął go palcem, jakby nagle przypomniał sobie, że owszem, blat miał ten kolor, chociaż od jak dawna go nie widział?

Nie chodziło tylko o porządek. Och, nie. Katlyn nie była głupia. Dobrze znała zasady tej gry i rozgrywała ją finezyjnie. Była sama przez pół dnia na obcej i wrogiej stacji, rozumiała więc, że musi zapewnić sobie opiekę tego człowieka.

Jest na nas zły, biadolila Zusu.

Cii.

Feniks jak w transie krążył po mieszkaniu. Przystanął przy jednym czy dwóch miejscach, gdzie znajdowały się szczególnie cenne rzeczy - na przykład jego biurko ze wszystkimi elektronicznymi gadżetami - i zobaczyła, że otworzył usta, jakby chciał ją skrytykować. Jednak jego najcenniejsze skarby były nietknięte. Każdy przewód, każdy chip, każdy hełm, leżały dokładnie w tym miejscu, w którym je zostawił. Zrobiła porządek wokół nich, omijając jego święte miejsca, sprząając otaczający je bałagan z takim pietyzmem i wyczuciem, że nie miał powodu do protestu.

Oczywiście, wiedział. W głębi duszy, gdzie mężczyźni rzadko zagląдают, dobrze wiedział, co się stało. Widziała, jak ta myśl ciśnie mu się na usta, usiłując oblec się w słowa. Jednak mężczyźni nie znają takich słów. Mężczyźni są przeznaczeni do konfrontacji i pewników, i nie potrafią poradzić sobie z subtelnymi odcieniami aluzji oraz intuicji. Kiedy w końcu postanowił zignorować ostrzeżenie, widziała po jego minie, że nie potrafi pojąć zasad tej gry.

- Po... posprzątałaś tu.

Robiąc niepewną minę, przygryzła dolną wargę. Dobrze reagował na jej bezradność, więc starała się to wykorzystać.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Byłam tu tak długo, a mieszkanie... - Zdołała się zaczerwienić, jakby zakłopotana. - Chyba tego potrzebowało.

Długo cienie było, a ja oznakowałam twoje terytorium, nie tak zuchwale, byś mógł zaprotestować, i nie tak subtelnie, abyś mógł to zignorować. Czy teraz czujesz tu moją obecność? Wszędzie, gdzie spojrzysz, wszędzie, gdzie się ruszysz.

A kiedy nic nie powiedział, podsunęła:

- Staralam się nie ruszać niczego ważnego...- Nie. Nie ruszyłaś. Nie ruszyłaś niczego ważnego. - Potrząsnął głową, jakby odpędzał niesforne myśli, i w końcu, w typowo męskiej reakcji, na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Wspaniale. Dzięki.

Rozpromieniła się, pokrzepiona pochwałą. Ćwiczyła tę minę przez całe popołudnie, co teraz przyniosło zamierzony efekt.

To wcale nie jest trudne, pożaliła się Innym.

Przestań narzekać, powiedziała jej Raven. A Derik dodał: *Me każdy może być Wariantem.*

Opadł na fotel przy biurku. Najwyraźniej był kompletnie wyczerpany. Nie mogłaby wymyślić lepszej okazji, nawet gdyby próbowała. Powoli podeszła do niego, gdy rozcierał sobie kark. Był spięty. Dobrze.

- Czy zrobiłeś to, co zamierzałeś?

Zaczął kląć, a potem urwał, jakby skrępowany jej obecnością. To było zabawne, gdyż w myślach słyszała znacznie gorsze rzeczy. Derik już dawno przyzwyczyił ich wszystkich do takiego języka.

- Tak jakby. Ja... - Lekko drgnął, gdy położyła dłonie na jego ramionach - delikatnie, och, jak delikatnie - i zaczęła masować napięte mięśnie. - Ach. No cóż... Znalazłem osobę, której szukałem. Chociaż jeszcze nie wiem, kto to taki. Podał mi nazwisko. - Z zamkniętymi oczami poddał się delikatnemu, rozluźniającemu masażowi. - Rzecz jasna, nie jego prawdziwe nazwisko.

- Skąd wiesz?

- Powiedział, że nazywa się Masada. - Zaśmiał się.

- Masada?

- Sławny teoretyk uninetu. Pewnie o nim nie słyszałaś... Och, ale dobrze. - Masując mięśnie jego barków, zobaczyła, że wygodniej wyciągnął się w fotelu. - Kimkolwiek jest, to niesamowity facet. Na pewno jednak to nie Masada.

Zapadła cisza - minuty rozciągane i wygładzane jej palcami na jego ciele. Cienki materiał koszuli ślizgał się po jego jasnej skórze. W końcu wsunęła dłonie pod koszulę, dotykając bezpośrednio ciała. Drgnął, kiedy to zrobiła. Powoli, powoli...

Oczywiście, musiał coś mówić. Milczenie było zbyt intymne.

- To naprawdę miłe, co zrobiłaś z mieszkaniem; że je wysprzątałaś.

Palce dziewczyny ześlizgnęły się na jego pierś, gdy pochyliła się tak, że czuł na plecach ciepło jej ciała. Poczwała, że zadrżał, i zrozumiała, że zdawał sobie sprawę z tego, jak była blisko.

- Tyle dla mnie zrobiłaś - powiedziała cicho. Delikatnie gładząc jego pierś, czując, jak się porusza, jaki jest podniecony i rozkojarzony jej zabiegami. Dobrze. Mężczyzn najłatwiej kontrolować, kiedy są wytrąceni z równowagi. Z tym szło jej doskonale.

W końcu wstał z fotela i zrobił dwa kroki naprzód, aby znaleźć się poza jej zasięgiem. *Spodziewałam się tego*, zapewniła pozostałych. To było częścią gry. Czwała, że Jamisia obserwuje ją z podziwem. Znakomicie, ta dziewczyna kiedyś musi się czegoś nauczyć.

- Ja... hm... nie ma sprawy, chemie pomogłem... Manipulował przy jakimś urządzeniu na biurku, obracając je tak i owak, jakby próbował znaleźć sobie jakieś pilne zajęcie. Nie przysunęła się do niego, lecz spokojnie czekała. Jeśli spłoszysz zwierzynę, ta czmychnie, a wtedy łowy trzeba będzie zacząć od początku. W normalnych okolicznościach całkiem niezła perspektywa, ale teraz nie miała czasu na takie długie zabawy.

W końcu spojrzał na nią. Na to czekała. Patrząc mu w oczy, ponownie ruszyła naprzód - powoli, spokojnie, a co najważniejsze, bez słów. Chciał coś powiedzieć. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem jego ust, nakazując mu milczeć.

Nie, mój słodki, tego nie da się wyrazić słowami, więc nawet nie próbuj. Co chcesz powiedzieć? Że nie rozumiesz co się dzieje i dlaczego? Że powinienesz zaprotestować, lecz pożądanie jest o wiele silniejsze? Że jesteś przyzwyczajony do zimnych danych, które można systematyzować, analizować - kontrolować - lecz chemia ludzkich stosunków to całkiem coś innego?

Mój słodki hakerze, to tylko sen. Śliczna, młoda, spowita mgłą tajemnicy dziewczyna wpada ci w ramiona, a wiem, że jej pragniesz. Widziałam to już wczoraj. Nie znasz jej imienia ani historii, lecz być może w jej głowie tkwi coś, co warto odkryć, a to pociąga cię bardziej niż wszystkie ślicznotki Paradise, prawda? Ciepłe i chętne ciało, kryjące mroczne

sekrety technologii, to dla takich jak ty najsilniejszy miłosny eliksir. Czy możesz mu się oprzeć? Czy masz po temu powód?

Widocznie nie miał, gdyż nie próbował się odsunąć, kiedy do niego podeszła. Nie musiała dotykać go ani w inny sposób prowokować, by wziął ją w ramiona. Jeszcze usiłował coś powiedzieć, ale znów powstrzymała go, tym razem długim pocałunkiem.

To sen. Tylko sen. Słowa zmieniają go w rzeczywistość. Cii.

Zapewne są tacy mężczyźni, którzy potrafiliby się temu oprzeć, rozmyślała. Chociaż nigdy takiego nie spotkała. Wszyscy jej mężczyźni postępowali zgodnie z przewidywaniami, od początku do końca.

Ten nie był wyjątkiem.

XXV

Ludu Ziemi. Wróciliśmy do was.

Przez obce krainy nieznaną waszej nauce, mimo niebezpieczeństw bardziej przerażających, niż możecie sobie wyobrazić, przez trzy lata powolnej podróży, jakie dzielią Terre od najbliższego punktu tranzytowego. Przybyliśmy powiedzieć wam, że człowiek ponownie sięgnął gwiazd. I proponujemy wam udział w jego triumfie.

Nie zrozumcie źle tej wieści ani mnie. Moja rasa jest jedną z nielicznych, które wciąż mają zewnętrzną postać naszych przodków. Wszystkie mutacje Hausmana, których tak się obawialiście, stały się rzeczywistością. Galaktyka jest pełna nieznanymi wam stworzeń, a one zwą siebie ludźmi. Mój lud, Gueranie, postanowił odnaleźć ich wszystkich, każdą zagubioną i samotną kolonię, aby sprowadzić ich na łono ludzkości. A teraz składamy tę propozycję i wam. Porzućcie izolację i ruszcie do gwiazd. Zabierzemy was tam i pokażemy, jak możecie dzielić z nami galaktykę.

Jeśli jednak zechcecie pozostać tu w samotności, ta oferta nigdy nie zostanie ponowiona. Moja załoga i ja poświęciliśmy sześć lat naszego życia, aby przybyć tutaj i wypowiedzieć te słowa. Jeśli nas odepchniecie, nie będzie drugiej szansy.

Co do dzieci Hausmana, to jeśli się do nas przyłączycie, spróbujecie zaakceptować je takimi, jakimi są.

A oni, ze swej strony, spróbują wam przebaczyć.

Wybierajcie.

STARSZY KOMANDOR HARIMAN ALEXANDRIA *w telewizyjnym przemówieniu do Ziemi*

(archiwa historyczne stacji Hellsgate)

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

Drzwi zabrzęczały, informując Masadę, że ma gościa. Niezbyt ucieszyła go ta wizyta, ale kiedy nie jest się u siebie, trzeba znosić takie sytuacje. Na Guerze mechanizm zamka jasno dałby do zrozumienia, że gospodarz pracuje i nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano.

- Kto tam? - zapytał.

Odpowiedział mu nieznajomy głos, którego właściciel podawał się za wysłannika Gildii. Bardzo dobrze. Masada kazał zamkowi otworzyć się i mechanizm zrobił to: gruba płyta przesunęła się na bok, ukazując mężczyznę z wyhaftowanym na mundurze emblematem Gildii.

- Przybyłem poinformować, że ma pan gościa - oznajmił sztywno oficer. - Gildmistrza Antona Varsava.

Varsav? Gildmistrz? Dlaczego ktoś taki chciał go odwiedzić? Żaden powód nie przychodził mu do głowy... Chyba że Varsav odkrył coś, czego nie chciał przesyłać normalnymi kanałami.

Jeśli tak, to warto tego wysłuchać.

Szybko mignął ikoną, zatrzymując wszelkie zadania, i wstał. Po kilku godzinach wpatrywania się w pustkę i komputerowy kod od tego nagłego ruchu zakręciło mu się w głowie.

- Proszę mu przekazać, że spotkamy się w pierwszym pomieszczeniu recepcyjnym.

Oficer uklonił się i odszedł. Pomimo podniecenia Masada powoli i starannie pozamykał wszystkie programy oraz dwukrotnie sprawdził oprogramowanie zabezpieczające. Czy właściwie to rozumiał? Aż nazbyt łatwo mógł źle zinterpretować obcy protokół, a obowiązujące w kosmosie zwyczaje Gildii były mu zupełnie obce. Mimo wszystko tę sytuację trudno było źle zinterpretować Gildmistrzowie nie odbywali takich podróży bez powodu.

Droga do recepcji nie zajęła mu wiele czasu, tym bardziej że szedł żwawym krokiem. Varsav już tam czekał. Był posepnym, postawnym mężczyzną, odzianym w długą guerańską szatę, której rozcięcia odsłaniały bardziej dopasowany i elegancki strój. Czarnymi oczami niespokojnie wodził po pomieszczeniu, chłonąc wszystko, a jego dłonie równie nerwowo dotykały najbliższego mebla, jakby upewniając się, że jest trwałe. Nosił *kaja*, który był głównie *natsiq*, lecz z wplecionymi weń elementami niespokojnego *shru*. Przez chwilę spoglądał na twarz Masady, czytając namalowaną na niej wiadomość, a potem rzekł krótko, nie podając mu ręki:

- Anton Varsav, gildmistrz węzła adamantyńskiego. Masada również nie próbował nawiązać fizycznego kontaktu.

Mimowolne ruchu *shru* działały mu na nerwy. Podawanie ręki takiemu człowiekowi nie wchodziło w grę.

- Kio Masada, specjalista od ochrony danych... obecnie na służbie Gildii.

Varsav rozejrzał się, zauważył kilka krzeseł ustawionych wokół stołu i wskazał na nie. Usiedli naprzeciw siebie. Mówiąc, Varsav przesunął dłonią po krawędziach najbliższego krzesła. Ze względu na *kaja* Masady - a może również i swój - od razu przeszedł do rzeczy.

- Mam tu przejęty przez moich ludzi komunikat, który został wysłany z jednej ze stacji w moim węzle. To stacja izolacjonistów, terrańskich ekstremistów... - Prychnął z wyraźną wzdrganą i wyjął z wewnętrznej kieszeni cienki arkusz plastiku. - Wysłano go do ziemskiej stacji tranzytowej.

Masada wziął od niego kartkę, rozwinął i rzucił okiem na kody międzygwiazdowego pisma, odczytując krótką wiadomość.

BĘDĄ KŁOPOTY. WRÓG SZUKA DZIECI. WYSLAĆ WSZYSTKIE DO DOMU.
LUX AETERNA.

Zmarszczył brwi, ponownie przeczytał te słowa, a potem jeszcze raz i znowu. Miał aż za wiele pytań i trudno mu było wybrać pierwsze.

Zniecierpliwiony przydługim milczeniem, Varsav podsunął:

- Musieliśmy przetrząsnąć każdy pieprzony kawałek przechodzącej przez mój węzeł poczty, żeby to zdobyć. Moi programiści z pewnością mnie przeklinają... tak jak ja przeklinam ten przeklęty plan. - Wskazał palcem na list. - No? Co pan o tym myśli?

- Myślę... - Masada zaczerpnął tchu. - Być może tego szukaliśmy. Trudno powiedzieć przy tak krótkim tekście. - Ponownie przeczytał wiadomość. - „Lux aeterna”?

- Wieczyste światło. Według terrańskiej mitologii Lucyfer był aniołem światła. Te słowa mieściły się w jednym z kryteriów poszukiwań.

„Wróg szuka dzieci...”.

- To może odnosić się do tego, co teraz robię - rzekł cicho. - A jeśli tak... - Ponuro kręcił głową. - Oznaczałoby to, że ktoś ujawnia bardzo poufne informacje. - Spojrzał na Varsava. - Mówi pan, że to przesłano na Ziemię.

- Nie. Na terrańską stację tranzytową. Sprawdziłem koordynaty. Miało dotrzeć do ziemskiej skrzynki pocztowej. - Przeszył Masadę spojrzeniem czarnych oczu. Ich nagły bezruch sprawiał niepokojące wrażenie. - Stacja, która to wysłała, mogła spiskować z Ziemią, nie uważa pan? Najpierw chcieli wykraść nasze tajemnice, a potem zabić naszych pilotów.

Nienawidzą nas tak bardzo, że są do tego zdolni. Cholera, mają witrynę uninetową, w której praktycznie namawiają „prawdziwych ludzi”, żeby nas pozabijali. A nawet udzielają instrukcji, jak to zrobić.

Masada skinął głową. To miało sens. Motywy i winowajcy podani jak na tacy. Ten list był w najlepszym razie wątlą poszlaką, lecz w takiej grze jak ta zapewne nie będzie innych. Będzie musiał nad tym popracować i sprawdzić, czy uda się zweryfikować, hipotezę Varsava. Wyglądził dłonią leżącą na stole list i rzekł:

- Zaczniemy od zbadania tej skrzynki pocztowej...

Varsav nieoczekiwanie wyciągnął rękę i położył dłoń na dłoni Masady. Ten niespodziewany kontakt fizyczny był dla profesora szokiem.

- To nie wszystko - rzucił ostro przybyły. Masada zabrał rękę, nic nie mówiąc.

Varsav wyjął z kieszeni drugą kartkę plastiku i położył ją na stole przed profesorem. Masada spojrział na nią i natychmiast rozpoznał komputerową analizę źródła sygnału. Długie linie kodu, określające, gdzie została napisana ta wiadomość, na jakiej maszynie, jak, gdzie oraz w jaki sposób została nadana. Zerknął na nagłówek, sprawdzając, czy numer seryjny zgadza się z tym na liście. Zgadzał się. Tak samo jak ukryty wewnątrz licznik, mający ujawnić, czy manipulowano tekstem. Nie robiono tego.

W końcu spojrział na Varsava, czekając na dalsze wskazówki, czego właściwie ma szukać.

- Nie widzi pan? - Nie trzeba było wrażliwości *nantana*, aby usłyszeć w jego głosie nieprzyjazne nutki. - Myślałem, że to pańska specjalność.

- To dowodzi, że ta wiadomość została nadana ze stacji Nowego Frontu Terrańskiego - zakładam, że tak się to nazywa - skąd podążyła do miejsca, w którym ją przejęliście. - Ponownie spojrział na Varsava. - Tego nie można podrobić, gildmistrzu. Edres na liście, owszem. Sygnaturę miejsca pochodzenia też. Dostatecznie zręczny informatyk może nawet zmienić kody potwierdzające, tak że plik będzie wyglądał na spójny. Jednak sygnały źródłowe, niewidoczne dla wysyłającego... Jeśli potrafiliście je prześledzić, to wiecie, że nie da się ich sfalszować. Określają każdą fazę podróży tej wiadomości, od chwili nadania do momentu przejęcia. Nie da się ich zmienić.

Varsav gwałtownie potarł rękami blat stołu.

- Maszyna, człowieku. To co ją wysłało. Spójrz na to. Tak zrobił.

- Sonroya, model XSE 200+. - Przerwał, aż nazbyt dobrze zdając sobie sprawę, że nie dostrzega tego, co pokazywał mu Varsav. - To jeden z najlepszych przenośnych komputerów. Zakładam, że twórca Lucyfera dysponował sprzętem co najmniej tej klasy, o ile nie...

- Nie widzisz! - Varsav z irytacją chwycił kartkę i pomachał nią przed nosem Masady.
- Sonroya. To fryzyjska firma, od początku do końca. Należąca do Wariantów. - Przerwał i gwałtownie wciągnął powietrze. - Teraz pan rozumie? Na tej stacji są terrańscy ekstremiści! Nienawidzą oddychać tym samym powietrzem co Warianci. Denerwuje ich myśl, że w promieniu dziesięciu milionów kilometrów znajduje się coś, czego choćby dotknął Wariant. Chce mi pan powiedzieć, że przesłali taką tajną wiadomość, używając maszyny skonstruowanej przez Wariantów? Ja tak nie sądzę.

Na moment zapadła cisza. Długa i ciężka cisza, w której zawisły te słowa, czekające na komentarz.

W końcu Masada przerwał milczenie:

- Chce pan powiedzieć, że ta wiadomość wcale nie została wysłana przez Front.

- Cholerna racja. - Z miną, która być może zdradzała satysfakcję, ponownie opadł na krzesło. - Teraz pan widzi.

- Jednak... - Ponownie spojrzął na kody. - W porządku. Zostało wysłane z tej stacji. Co wcale nie oznacza, że sygnał nie mógł wyjść z obcego urządzenia i...

- Sprawdziliśmy to dokładnie - niecierpliwie przerwał mu Varsav. - Kilka godzin wcześniej ich przestrzeń naruszyła autokapsuła. Dziesięć do jednego, że wysłała sygnał, który został odbity od stacji i w ten sposób uzyskał identyfikator. Próbowaliśmy dopaść kapsułę, żeby potwierdzić tę teorię i może dotrzeć do źródła, ale to cholerstwo poleciało prosto do najbliższego kombajnu i rozwalilo się na kawałki o duży meteoryt. Celowo. Zebraliśmy wszystkie szczątki, ale na żadnym nie znaleźliśmy sygnatury producenta.

- Frisia? Pokręcił głową.

- Jak sam pan powiedział, Sonroya robi najlepsze komputery przenośne. Każdy mógł kupić taki sprzęt i wysłać w przestrzeń komunikat. Każdy. - Niespokojnie i z irytacją pocierał dłoń o dłoń. - Jak więc mamy dowiedzieć się, kim był? I dlaczego chciał zrzucić winę na Front?

Masada nie znał się na ludzkich motywacjach, ale miał wrażenie, że tym razem odpowiedź sama się narzucała.

- Proponuję - rzekł cicho - żebyśmy najpierw przyjrzeni się tej ziemskiej stacji tranzytowej.

- I sprawdzili, do kogo wysłano wiadomość?

- Między innymi.

„Wróg szuka dzieci. Wysłać wszystkie do domu”.

W jego umyśle wszystko zaczęło się teraz układać: niejasne poszlaki i podejrzenia krystalizowały się w wyraźne plany konkretnych działań. Ludzkie motywy to nie jego specjalność i gildmistrzowie wiedzieli o tym. Wynajęli go, zdając sobie z tego sprawę. Miał tropić szlaki danych, a nie emocje. Ten list był dobrym śladem.

- Zabiorę go do mojej pracowni i sprawdzę, co uda nam się z niego wyciągnąć...

A wtedy będziecie mogli zbudować wspaniałą teorię spiskową i wykorzystać ten dowód, by pochwycić winnych.

Boże, jak się cieszył, że to nie on jest odpowiedzialny za tę część śledztwa.

Chciał wstać, lecz Varsav ponownie wyciągnął rękę i chwycił go za ramię. Miał ponurą minę i nawet Masada widział w jego oczach gniew, palący i nieskrywany.

- Przeznaczyli ją dla mnie, rozumie pan? Wiedzieli, że nienawidzę tej stacji i natychmiast skorzystam z okazji, aby ją załatwić. Przypuszczali, że jeśli podsuną mi potrzebny dowód, nie będę mu się przyglądał zbyt dokładnie, ale po prostu skieruję podejrzenia w ich stronę, a wszystko, czego dowiemy się o Froncie, posłuży... ich celom.

Łagodnie lecz stanowczo Masada uwolnił rękę.

- A więc mamy szczęście, że jest pan rozsądnym człowiekiem, nie kierującym się emocjami.

Przez chwilę miał wrażenie, że Varsav spogląda na niego z nienawiścią. Potem, niespodziewanie, gildmistrz roześmiał się.

- Taak - mruknął. - Wielkie szczęście. - Wstał. - Chodźmy, chcę przy tym być, kiedy będzie pan to sprawdzał.

*

Trudno było pracować w towarzystwie Varsava. W końcu Masada znalazł taką pozycję i takie ustawienie sensorów, przy których nie odczuwał obecności ruchliwego, nerwowego gildmistrza. Dzięki Bogu za oprogramowanie sensorów. Niech Varsav przygląda mu się, jeśli chce. Zobaczy tylko Masadę siedzącego w profilowanym fotelu, wpatzonego w monitor, może pomrukującego coś od czasu do czasu, gdy napotka szczególnie irytujący fragment kodu, spowalniający pracę.

Tym razem połączenie z uninetem nie wywołało takiego szoku, gdyż monitor dał mu poczucie dystansu, ale i tak było denerwujące.

Jak ci ludzie żyli z taką siecią, nękani przez reklamy, „darmowe” oferty i ikony przenoszące ich bez pytania do innych witryn, gdy tylko zwrócili na nie uwagę? Poruszanie się w niej przypominało tor przeszkód. Może po pewnym czasie człowiek uczył się wyłączać takie rzeczy... albo kupował programy, które go w tym wyręczały. Masada doszedł do

wniosku, że będzie musiał napisać sobie taki, zanim zabierze się do intensywnej pracy w sieci, chociaż podejrzewał, że te natrętne programy poradzą sobie ze wszystkim, co zdoła napędce stworzyć. Reklama: najgorszy drapieźnik.

Tęsknił za prostotą guerańskiej sieci, która robiła tylko to, co jej kazano, i nic poza tym. Kiedy ci ludzie zapomnieli, że głównym zadaniem sieci jest ułatwianie porozumiewania się, a nie utrudnianie?

Ostrożnie połączył się przez uninet ze stacją tranzytową obsługującą Ziemię. Nie była to duża stacja, z dość prozaiczną sferą danych. Ziemia nie zachęcała turystów do wizyt i większość korzystających ze stacji przesiadała się tu na kosmoloty mające przenieść ich do innych miejsc. W rezultacie nie było tam gorączkowej aktywności, jaką widziało się na innych stacjach, ani zamieszania, w którym awanturnicy, szpiedzy przemysłowi i hakerzy o zmodyfikowanych mózgach toczyli tajną wojnę o każdy fragment kodu, a za każdym legalnym programem ciągnął się rój szczątków zabitych wirusów.

W uninetowych kategoriach panował tu spokój. Szkoda, że Masada nie mógł odprężyć się i skorzystać z okazji. Jeśli jednak ślad naprawdę wiódł do twórcy Lucyfera lub w jakikolwiek sposób się z nim wiązał, odpoczynek był ostatnią rzeczą, na jaką mógł sobie teraz pozwolić. Jeden Bóg wie, na co za chwilę natrafi.

Bez problemu wszedł głównym portalem do systemu, chociaż trwało to niezwykle długo. Od jak dawna Ziemia nie aktualizowała swoich programów sieciowych? Działy tak wolno, że prawie wyobraził sobie starożytnego programistę z notesem, długopisem i linijką, ręcznie wprowadzającego dane. Jednocześnie zabezpieczenia bardzo łatwo dawały się obejść. Oczywiście, pomagał w tym fakt, że planeta była zbyt oddalona od stacji tranzytowej, żeby utrzymać połączenie w czasie rzeczywistym. Wiadomości przeważnie przychodziły w postaci niewielkich pakietów na stację, gdzie czekały na jedną z okresowych transmisji na planetę. To minimalizowało potrzebne zabezpieczenia, a pozostałe nie przedstawiały poważniejszego problemu dla kogoś o umiejętnościach Masady. Przynajmniej na pozór. Omijając trzeciego czy czwartego snifera, nagle doszedł do wniosku, że może wszystko idzie mu zbyt gładko. Czyżby ktoś chciał, żeby Masada tu wszedł?

Wiedząc, że to może być pułapka, ale nie widząc innego sposobu uzyskania potrzebnych informacji, podążał dalej.

Skrzynka pocztowa była zamkniętym systemem, który przyjmował korespondencję, a potem szczelnie się zamykał. W normalnych warunkach nie dało się do niego wejść i poszperać, ponieważ nie wypuszczał sygnału informującego hakera, co tam jest. Masada musiał rozebrać fragment oprogramowania portalu, co zajęło mu chwilę. Ten program był

zabezpieczony lepiej od innych, jak przystało na skrzynkę służącą do przekazywania cennych danych. Masada uznał to za potwierdzenie, że zmierza we właściwym kierunku.

Pracując nad portalem, słyszał kroki kręcącego się po pokoju Varsava. Programista wiedziałby, że nie ma sensu poganiać profesora, ale gildmistrz najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Słyszając, jak tamten mamrocze coś pod nosem, Masada na moment stracił koncentrację i o mało nie pozwolił, by portal ponownie się zamknął. Przekłete oprogramowanie korygujące! Mignął ikoną wyłączającą zmysł słuchu, żeby nie rozpraszały go te odgłosy, po czym wrócił do pracy. Przypominało to sekcję: rozcinał przedmiot badań, odsłaniając kolejne warstwy tkanek, aby dostać się do serca. Jedynym problemem było to, że obiekt próbował zasklepić ranę, a umieszczone na jego powierzchni sensory przy każdym nacięciu mogły włączyć alarm.

Wreszcie przeszedł. Odczekał kilka sekund, sprawdzając, czy jego wtargnięcie nie wywoła jakiejś reakcji, ale nic się nie stało. Już odłączył receptory swojego procesora myślowego, a teraz skontrolował je ponownie, aby mieć pewność, że naprawdę są wyłączone. Nie zamierzał wkraczać z mózgiem otwartym na oścież na teren, który mógł być kontrolowany przez projektanta Lucyfera.

Licznik powiadomił go, że w skrzynce pocztowej znajduje się prawie milion pakietów danych, czekających na przesłanie na Ziemię. Niewątpliwie zostałyby już wysłane, gdyby dotarła tu wiadomość nadana ze stacji Nowego Frontu Terrańskiego. Mimo to wkrótce nadchodził czas regularnej transmisji, więc Masada powinien jak najszybciej zebrać potrzebne dane, gdyż potem nie będzie już okazji.

Tylko od czego zacząć, przy tak ogromnej ilości danych? Włączył skanowanie pakietów, ogólne przeszukiwanie na podstawie długości pliku, typu szyfrowania i pochodzenia. Był to równie dobry punkt wyjścia jak każdy inny. Być może znajdzie w ten sposób coś ciekawego.

Stwierdził, że wiadomości przychodziły z rozmaitych miejsc, licznych większych i mniejszych stacji rozsianych po całym kosmosie. To na nic.

Żadna z nich nie była zaszyfrowana. To niezwykle.

A ponadto... wszystkie miały tę samą długość.

Serce zaczęło mu szybciej bić, kiedy przeczytał ostatnie liczby. Wydawało mu się, że już wie, czym są te pakiety danych, ale na razie powstrzymał się od wyciągania wniosków. Jeszcze nie. Ponownie sprawdził, czy jego programy analityczne działają prawidłowo (działały), a w uzyskanych wynikach nie ma żadnego błędu (nie było). Wszystkie segmenty kodu miały prawie identyczną długość, a różnice między nimi były tak niewielkie, że

pomijalne. W końcu ostrożnie złamał jedną z wiadomości, tak ostrożnie, jakby spodziewał się, że coś z niej na niego skoczy.

Bo też tak mogło się stać, pomyślał. Dosłownie.

Widocznie jego zachowanie w jakiś sposób zasygnalizowało Varsavowi, że poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Masada wyczuł, że gildmistrz stanął mu za plecami, nie dotykając go, lecz dostatecznie blisko, by czuć jego obecność. Może coś mówił, ale Masada tego nie słyszał. Teraz, kiedy zajmował się najniebezpieczniejszym programem, jaki kiedykolwiek krążył w cywilizowanych światach, nie miał czasu na pogawędkę.

Lucyfer.

Ponownie zamknął pierwszy pakiet i zajął się następnym. I jeszcze jednym. Były tutaj, wszystkie zaginione zarodniki, w wystarczającej ilości, by wyjaśnić niezgodność w obliczeniach. Wersje Lucyfera z każdego pokolenia, spokojnie czekające na przesłanie na Ziemię. Na spotkanie z ich twórcą? Ta myśl mroziła krew w żyłach. Chciał uzyskać ich kopie, ale jeszcze nie śmiał ich zrobić. Te zarodniki były zaopatrzone w bardzo czułe i różnorodne procedury samozniszczenia. Pamiętał, ile godzin stracił, zanim udało mu się po raz pierwszy skopiować Lucyfera, i ile kopii zniszczył w trakcie prób. Nie chciał zostawiać tu żadnych śladów, nawet w postaci jednego uszkodzonego zarodnika. Ktokolwiek stworzył tego wirusa, doskonale wiedział, co robi, i będzie szukał śladów takich manipulacji.

Tylko silna wola pozwoliła mu wycofać się ze skrzynki pocztowej. Programy portalu zamknęły się, gdy tylko je uwolnił, a Masada pozostał w systemie jeszcze przez chwilę, upewniając się, że nie widać żadnych śladów jego ingerencji. Chociaż program zdrowotny informował go o niebezpiecznie podwyższonym ciśnieniu, a sam niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że trzęsą mu się ręce, to nie był właściwy moment na popełnianie błędów.

Lucyfer.

Masada wrócił po swoich śladach do następnego węzła, daleko od ziemskiej stacji tranzytowej, a potem w końcu się wylogował. Myśli przelatywały mu przez głowę z oszałamiającą szybkością. W gardle mu zaschło, jakby od wielu godzin nic nie pił. Może tak było. Miał wrażenie, że minęły lata.

- I co?

Z trudem dobył głos.

- To Lucyfer. Wszystkie te informacje, które - jak przewidywałem - będą potrzebne jego twórcy, spakowane w pakiety i przygotowane do wysłania na Ziemię. Wszystkie jego „dzieci”.

- Na Ziemię - syknął Varsav. - Tak.

- To oznacza... - Ocienione przez zmarszczone brwi, czarne oczy wpatrywały się w Masadę. - To diabelstwo pochodzi z Ziemi?

- Na to wygląda - odparł cicho profesor. Varsav głośno wypuścił powietrze z płuc.

- A zatem...

Nie dokończył. Nie musiał nic mówić. Wnioski były... oczywiste.

- Być może to tylko jedna firma - podsunął Masada. - Któraś z wielkich ziemskich korporacji, działająca na własną rękę.

- Może - rzekł z ponurą miną Varsav. - Albo kilka razem. Za zgodą Ziemi. To się już zdarzało. Albo nawet... któraś z rządowych organizacji samej Ziemi.

Nie musieli mówić o tym, co by to oznaczało. Nawet Varsav, który najwyraźniej lubił mówić o rzeczach oczywistych. Ta myśl była zbyt straszna, by oblekać ją w słowa.

W końcu gildmistrz zapytał:

- Pan powie o tym Gazie, czy ja mam to zrobić?

- To moja praca - odparł spokojnie Masada. - Ja się tym zajmę. Najpierw należy zebrać więcej danych. Trzeba być pewnym, całkowicie pewnym, zanim komuś o tym powie.

Pewnym czego? Że te zarodniki mają być wysłane na Ziemię? Że dokładnie tak, jak przewidziałeś, są próbkami zebranymi przez twórcę Lucyfera, który sam nie może obserwować ewolucji wirusa w kosmosie?

W tym momencie los wszechświata zdawał się spoczywać na barkach Masady. Był to potworny ciężar.

- Sam mu powiem - szepnął.

XXVI

Wszystkie dane pozostawiają ślad.

Poszukiwania danych zostawiają ślad.

Kasowanie danych pozostawia ślad.

Brak danych, w pewnych okolicznościach, może być najwyraźniejszym śladem.

DR KIO MASADA „*Wróg wśród nas*”

WĘZEL REIJIKAŃSKI STACJA TRIDAC

Sala konferencyjna była zasłana pozostałościami po niedawnej naradzie: srebrzystymi puszkami po czarnej kawie, pogniecionymi i pustymi oraz poukładanymi na kupki, już

niepotrzebnymi wydrukami komputerowymi. Od ciemnej powierzchni stołu wyraźnie odcinał się purpurowa końcówka pozostawionego przez kogoś laserowego pisaka.

Stała przy końcu stołu, pogrążona w myślach. Wszedł cicho i czekał, aż go zauważy. Kiedy minął jakiś czas i tak się nie stało, odkasznął i zrobił krok naprzód, stając za jednym z profilowanych foteli.

Minęła jeszcze chwila, zanim skupiła na nim wzrok, wyłączwszy oprogramowanie swojego procesora i ponownie zwróciwszy uwagę na otoczenie.

- Miklas.

Skłonił się w odpowiedzi na to powitanie.

- Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Czy masz wieści o naszych... poszukiwaniach?

Kiwnął głową i chciał coś powiedzieć, lecz uciszyła go gestem.

- Zamknij drzwi. Zrobił to.

Zwróciła twarz ku kopułce przekaźnika i przez kilka sekund spoglądała na nią w milczeniu. Niewątpliwie przesyłała kody wyłączające zainstalowane w tym pomieszczeniu kamery. Na myśl o tym zimny dreszcz przebiegł mu po krzyżu. Jeśli ta sprawa była tak tajna nawet tu, w jej królestwie, to jaka nagroda czekała tego, który zakończy ją sukcesem?

W końcu kobieta ponownie odwróciła się do niego i skinęła głową.

- Złóż raport.

- Wiemy, gdzie jest dziewczyna.

Zabłyśły jej oczy - jedyny ślad życia w kamiennej twarzy.

- Jesteś pewny? Kiwnął głową.

- Mów.

- Stworzyłem program rozpoznawania twarzy, mający ją odszukać, i rozesłałem go po większych stacjach tranzytowych. Oprócz trzech wszystkie pozostałe kopie zdołały przedrzeć się przez zabezpieczenia i podłączyć do kamer systemu bezpieczeństwa.

- I znalazł ją? - W jej głosie słychać było niedowierzanie. - Tak szybko? To dość... niezwykle szczęście.

Chociaż obiecywał sobie, że nie będzie się chwalił, mimo woli wyprężył się z dumy i rzekł:

- To nie była kwestia szczęścia. Wcale nie liczyłem, że zdoła ją znaleźć.

Milczała, czekając.

- Wysłałem trzydzieści cztery kopie programu. Wczoraj sprawdziłem wszystkie. Trzydzieści trzy są niezmienione.

- A ostatnia?

- Przerobiona, w dodatku przez zręcznego programistę. Chociaż na pierwszy rzut oka wyglądała identycznie, kluczowa część kodu rozpoznającego została zmieniona. - I dodał po krótkiej przerwie: - Tak więc, nawet gdyby ten program natrafił na dziewczynę, nie zdołałby jej zidentyfikować. Ta dziewczyna nie jest głupia. Wymknęła się ziemskiej służbie bezpieczeństwa na Reijik i wiemy, że Gildia też ją ściga. Na razie jeszcze jej nie złapali. Najwidoczniej ona wie, co robi, i nawiązała odpowiednie kontakty. To nie ulega wątpliwości. Nikt nie zdoła zniknąć bez śladu w kosmosie. Zbyt wiele informacji pozostawia na co dzień w różnych bazach danych. Fakt, że nie możemy jej znaleźć, wskazuje na to, że ktoś jej pomaga. Ktoś bardzo zręczny. - Milczał chwilę. - Wydawało się pewne, że zechcą unieszkodliwić każdy program, który będzie jej szukał. Dlatego wysłałem te snifery. Prawdopodobieństwo tego, że rzeczywiście zdołają ją wytropić, było w najlepszym razie niewielkie... Jednak szanse na to, że ona odkryje ten program i zmieni go, wydawały się całkiem spore. Z podanym przeze mnie skutkiem.

Wydeła cienkie wargi, rozważając tę myśl. Potem powoli skinęła głową.

- Tak. Dobrze się spisałeś.

Wyprężył się, słysząc tę nieoczekiwaną pochwałę.

- Gdzie ona jest?

- Na stacji Paradise. I będziemy wiedzieli, kiedy ją opuści, gdyż to samo powtórzy się gdzie indziej.

- To duża stacja. Uśmiechnął się krzywo.

- Teraz jednak wiemy, kogo szukać. Nie dziewczyny, ale hakera. Kogoś, kto zatrze każdy pozostawiony przez nią ślad... a robiąc to, zostawi dla nas znaki. Za każdym razem, gdy wymknie się z naszych pułapek, będę wiedział, jak ulepszyć następną. Każda będzie wymagała innej reakcji, a tę da się wyśledzić. Znajdziemy ją.

Przez długą chwilę spoglądała na niego w milczeniu. Chociaż był pewny swego, poczuł się nieswojo.

- W porządku - rzekła w końcu. - Dobra robota. I dodała:

- Tylko pamiętaj, Miklasie. Chodzi nie tylko o to, by ją schwytać, ale także zrobić to, zanim znajdzie ją Gildia.

- Oczywiście. - Pochylił głowę, dostatecznie nisko, by ukryć triumfalny uśmiech. - Obiecuję.

Starożytni mówili, że wiedza jest potęgą. O ileż prawdziwsze jest to teraz, kiedy minimalna liczba informacji może otworzyć drzwi do skarbcza pełnego tajemnic.

SORTEY-6

„*O ludzkiej potędze*”

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

Chociaż nikt by tego nie zauważył, Kio Masada był w ponurym nastroju, kiedy poprosił o spotkanie z Gazą i Prima. *Iru* jest zamknięty w sobie i inne *kaja* rzadko mogą coś wywnioskować z jego zachowania. Wczoraj był milczący, spokojny i ubrany na czarno. Dziś też był milczący, spokojny i odziany na czarno. Wczoraj ścigał informatyczne widmo w ogromnym i fascynującym wszechświecie. Dziś dźwigał na ramionach przytłaczający ciężar wszechświata i wiedział, że jego słowa mogą być skazującym wyrokiem dla winnej lub niewinnej planety. Co było prawdą?

Prima zaproponowała spotkanie w małej sali konferencyjnej w wewnętrznym kręgu stacji. To mu odpowiadało. Czuł się nieswojo we wszystkich tutejszych pomieszczeniach, oprócz pracowni, w której teraz spędzał tyle czasu. A jednak nawet te kabiny były znajome w porównaniu z tymi, w jakich niebawem mógł się znaleźć. Przynajmniej ta stacja była zamieszkaana głównie przez Guerań, przeważnie należących do Gildii. On wywodził się z ich rasy i kultury, więc - przynajmniej teoretycznie - powinien umieć z nimi rozmawiać. Na innych stacjach będzie zupełnie inaczej. Chociaż jednak lękał się chwili, kiedy będzie musiał opuścić Tiananmen, wiedział, że wkrótce może to być konieczne. Niektórych rozmów nie da się przeprowadzić inaczej jak w cztery oczy.

Prima była ubrana w formalny strój, co świadczyło o tym, że zaraz po spotkaniu miała załatwiać jakieś urzędowe sprawy. Zastanawiał się, czy po tym, co jej powie, gildmistrzynie odwoła następne spotkanie. Devlin Gaza ubrał się nieco mniej uroczyście. Nagle Masada uświadomił sobie, że w ciągu kilku ostatnich dni rządził widywał programistę. Czy w ten sposób okazywał zaufanie do profesora, uważając, że Masada bez nadzoru poradzi sobie z zadaniem? Zabawne, że zdarzyło się to teraz, kiedy Masada chemie podzieliłby się swymi odkryciami z innym człowiekiem, wymieniłby z nim poglądy, co pomogłoby mu powiązać fakty w logiczną całość. Ludzkie spiski nie były jego specjalnością.

Oczywiście oni o tym wiedzieli. Bardzo możliwe, że właśnie dlatego pozostawili go ostatnio samego. Liczyli na jego obiektywizm.

Gaza wywołał system bezpieczeństwa pomieszczenia i poinstruował go słowami, żeby pozostali wiedzieli, co robi. Włączył tłumienie dźwięków, polecił filtrować dane i

przygotował kamery do pracy na jego rozkaz. Zerknął na Prime, która nieznacznie pokręciła głową. Kamery pozostały wyłączone, spoglądając na stół szklanymi oczkami, zinnymi i ślepymi.

- Cóż, doktorze Masada. - Prima położyła urękawiczone dłonie na stole i splotła palce. Na mankietach miała wyhaftowane emblematy Gildii. - Rozumiem, że chce pan o czymś zameldować?

Zaczerpnął tchu i przez chwilę nie patrzył na nich, tylko zbierał myśli, przygotowując się. Trudno byłoby wytrzymać jej spojrzenie, więc nawet nie próbował. Po prostu powiedział cicho:

- Być może odkryłem, skąd pochodzi Lucyfer. Zauważył, że wstrzymała oddech, a kątem oka zobaczył, że Gaza zesztyniał.

- Być może - podkreślił profesor.

- Oczywiście - powiedziała łagodnie, a Gaza zachęcił: - Proszę nam o tym opowiedzieć.

- Jak dyrektor wie - rzekł, nadal na niego nie patrząc - od początku zakładałem, że twórca wirusa zechce go obserwować i być może ulepszać w miarę jego ewolucji. To sugerowało istnienie jakiejś kolekcji, a może nawet adresu powrotnego, zaszytego w wirusie. Kiedy tu przybyłem i odkryłem, że znaczna ilość zarodników Lucyfera gdzieś znikła, ten fakt wydawał się potwierdzać tę teorię. Zarodniki zostały usunięte z uninetu albo gdzieś zgromadzone, w celu ich zbadania.

- Sposób, w jaki profesor do tego doszedł, robi wrażenie - rzekł cicho Gaza. W jego głosie Masada słyszał dziwną nutę. Czyżby zazdrość? To dyrektor powinien wygłaszać tę przemowę, nie człowiek z zewnątrz.

Masada spojrzał na rozmówców, wiedząc, że w ten sposób nada swoim słowom większą wagę.

- Znalazłem to miejsce.

- Gdzie? - spytała Prima.

Teraz. Powiedz te słowa. Wydadaj wyrok na świat winien tej zbrodni.

- W węźle Ziemi. Na stacji tranzytowej.

Jak zawsze, w jego słowach nie było cienia emocji, lecz te nie były potrzebne. Sama nazwa, w tym kontekście, zabrzmiała jak krzyk. Ujrzał, że oboje zdrętwieli po usłyszeniu tych słów, i przeklinał swoją nieumiejętność czytania wyrazów twarzy. Czy byli bardziej zdziwieni, przerażeni... czy zadowoleni? Wielu Gueran uważało Ziemię za wroga i z głębokim zadowoleniem przyjęliby dowody jej winy. On musiał być obiektywny, oni nie.

- Zgromadzono je w skrzynce pocztowej, przygotowane do przesłania na planetę. Było ich ponad milion. - I dodał: - Zdezaktywowanych.

- Ziemia! - mruknął Gaza. - Powinniśmy wiedzieć... Prima uniosła urękawiczoną dłoń, uciszając go.

- Zdezaktywowanych, mówi pan? - Tak.

- A więc teraz wiemy, jak to zrobić. Jak unieszkodliwić wirusa. Tak?

- Jeszcze nie, Primo. Jednak wkrótce będziemy wiedzieli. Zdołałem kilkakrotnie odwiedzić tę skrzynkę pocztową przed wysyłką i zebrałem kilka kopii najbardziej niebezpiecznych okazów. Jeśli porównamy je z aktywnymi kopiami tej samej generacji, powinniśmy znaleźć sposób ich dezaktywacji.

- To nasz najważniejszy cel - oznajmiła. - Polowanie na twórcę wirusa może zaczekać. Lucyfer nadal zabija.

- Z całym szacunkiem - rzekł spokojnie Gaza - jeśli pozwolimy, by trop ostygł, możemy zgubić...

- Te dwa cele nie wykluczają się wzajemnie - powiedział im Masada. Dlaczego ludzie nie potrafią trzymać się tematu rozmowy, tylko nieustannie wdają się w różne dywagacje? Chciał podzielić się z nimi informacjami i wszystko wyjaśnić. Wolałby, żeby pozostawili mu głos i nie przerywali. - Dyrektor Gaza ma kopie niemal każdej mutacji wirusa. Porównanie ich nie wymaga mojego osobistego udziału. Dobry program automatycznie przeprowadzi wstępne rozpoznanie. W międzyczasie ja ruszę tropem wirusa. - A po krótkim milczeniu dodał: - Jeszcze nie wiem, skąd wziął się Lucyfer, ale dobrze wiem, dokąd zmierzał.

- Wie pan, dokąd zostały wysłane zdezaktywowane zarodniki? - zapytała Prima.

Wydawało mu się to oczywiste, ale z szacunku dla jej stanowiska odpowiedział: - Tak. I stąd ten ciężar wszechświata, jaki teraz trzymam na barkach...

- Na Ziemię? - zapytał Gaza. Masada skinął głową.

- Na Ziemię. - A potem wypowiedział słowa, które jeszcze przez eony miały odbijać się echem w historii. Były to najważniejsze, słowa jakie kiedykolwiek wypowiedział, i czuł ich wagę, gdy padały z jego ust. - FSB.

Prima westchnęła.

- Federalna Służba Bezpieczeństwa?

- Jest pan pewny? - pytał Gaza. - Całkowicie pewny? Masada kiwnął głową.

Prima ciężko opadła na fotel. Gaza mruknął pod nosem coś, co brzmiało jak przekleństwo.

Nie była to jakaś przypadkowa akcja, kolejny ruch w wiecznej wojnie między ziemskimi korporacjami. Ani poroniony eksperyment jakiegoś samodzielnego badacza, który miał nadzieję zdobyć sławę kosztem Gueran. Ten wirus pochodził z Ziemi, z kręgów najwyższych władz, wypuszczony przez tych samych ludzi, którzy odpowiadali za działania macierzystej planety jako rozsądnego członka galaktycznej społeczności.

Ziemia zdradziła Guereę. Ziemia.

Złamała traktat z Gildią.

Naraziła na niebezpieczeństwo całą ludzkość. Wszystkie swe dzieci.

- Czy jest pan pewny? - naciskała lodowatym tonem Prima. - Nie może być żadnych wątpliwości, jeśli mamy podjąć odpowiednie działania.

Masada wyjął z hełmu chip i przesunął go po stole do Gazy.

- Niech pan sam to obejrzy. Są tu wszystkie dane. Kody transferowe dla skrzynki pocztowej, zakodowane szyfrem FSB. Nawet obejrzałem przebieg transferu, żeby mieć pewność, iż zostały przesłane zgodnie z tym kodem, do tego adresata. Nie ma wątpliwości, najmniejszej. Jeden milion zarodników Lucyfera, przesłanych oficjalnymi kanałami do FSB, na Ziemię. Natomiast co do tego, do kogo one tam trafiają... Żałuję, ale tego nie zdołamy się dowiedzieć.

Zmarszczyła brwi.

- Nie można... - Zerknęła na Gazę, szukając właściwego słowa. - Nie możecie podążyć śladem transmisji? Zobaczyć, do kogo prowadzi?

Gaza pokręcił głową.

- Dwumiesięczne opóźnienie sygnału. Nie da się sprawdzić w czasie rzeczywistym. Ziemia jest po prostu za daleko. - Postukał chipem o blat stołu, zaciskając wargi w cienką linię. - To wystarczy. Zupełnie wystarczy.

Masada doskonale mógł sobie wyobrazić, jak czuł się programista. Oto wróg, który zakaził jego najlepiej strzeżone programy, szpiegował jego największe sekrety i zabijał kosmopilotów, których dyrektor przysiągł chronić. Teraz, po raz pierwszy, poznał jego imię i nawet Masada słyszał nienawiść w głosie Gazy. Oczywiście, na winnych spadnie zemsta. Straszliwa zemsta. Echo okropności, na jakie Ziemia niegdyś skazała ich wszystkich, a z których społeczeństwa Wariantów do tej pory nie zdołały w pełni się otrząsnąć.

Galaktyczna izolacja. I tym razem nie będzie guerańskiej ekspedycji badawczej, która przyleci z pomocą.

Masada nie chciał o tym myśleć. Zbyt wiele miał do zrobienia. A poza tym, jeśli pozwoli sobie na uczuciowy stosunek do tej sprawy... Nie, nie może sobie na to pozwolić.

Tak więc splótł dłonie na stole i przeszedł do następnej kwestii.

- Oczywiście, to tylko jeden koniec tropu.

Gaza rzucił przez zaciśnięte zęby:

- Lucyfer wraca do domu, na Ziemię. To sugeruje, że stamtąd pochodzi. Tak?

- Może. - Masada nie lubił takich spekulacji i wiedział, że tak wyczuleni *kaja* jak oni potrafią wyczytać to z jego twarzy. - Na razie nie mamy na to dowodu. A nawet gdybyśmy go znaleźli, to być może jest w to zamieszany ktoś jeszcze. Znaleźliśmy tę skrzynkę pocztową, ponieważ gildmistrz Varsav przejął tę wiadomość w swoim węźle. Wyglądało na to, że została wysłana w jednej ze stacji zamieszkałych przez terrańskich ekstremistów, o ile wiem nazywanych Nowym Frontem Terrańskim.

- Dranie! - mruknął Gaza, lecz Prima ostrzegawczo położyła dłoń na jego ramieniu.

- Wyglądało? - zapytała.

- Sygnał rzeczywiście pochodził z tej stacji. Co sugeruje, że Nowy Front Terrański działa w porozumieniu z Ziemią. Jedyne problem w tym, że... Gildmistrz Varsav uważa, iż sygnał nie pochodził z ich stacji.

Gazie na moment zaparło dech. Przemówił z najwyższym trudem:

- Zakładam, że sprawdziliście pochodzenie wiadomości. Sygnały źródłowe. Czy tak? No więc jak, zostało wysłane z ich stacji czy nie?

- Zostało. Jednak Varsav twierdzi, że nie pochodziło stamtąd. Wydaje się dostatecznie dobrze znać tych ludzi, aby umieć to osądzić.

- Na podstawie jakich dowodów? - zapytał Gaza. Prima uciszyła go niecierpliwym gestem.

- Co chce nam pan powiedzieć? Że ktoś usiłuje ich obciążyć? Zrzucić na nich winę?

- Tak twierdzi Varsav.

- A pan? - zapytał ostro Gaza. - W co pan wierzy?

- Ja wierzę tylko w dane, dyrektorze. Wiedzieliście o tym, kiedy mnie zatrudniliście. Potrzebuję więcej danych, żeby to stwierdzić. Wiemy, dokąd wiedzie ten ślad, i znamy przypuszczalne miejsce pochodzenia Lucyfera, ale to nie wystarczy. Pozostaje jeszcze ktoś, kto zdradza tajemnice Gildii.

- Nadal pan tak uważa? - naciskała Prima.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Tego wirusa po prostu nie można było napisać, nie dysponując kodem źródłowym programu Gildii. Może twórca miał nadzieję, że uda mu się ukryć ten fakt tak dobrze, iż nikt tego nie zauważy... ale nie zdołał. Ukaranie

Ziemi bez odnalezienia tej osoby narażałoby Gildię na dalsze ataki. Szczególnie, gdyby twórca Lucyfera nie był obecny na Ziemi w chwili podjęcia działań odwetowych.

- Pozostałby w kosmosie, skazany na naszą obecność. Sfrustrowany, wściekły, odcięty od macierzystego świata. Zechciałby pomścić swoją planetę i miałby na to całe życie.

- Właśnie. A jeśli w Gildii nadal jest ktoś skłonny sprzedać mu kod - z jakichkolwiek pobudek - to ten programista mógłby stworzyć coś znacznie gorszego niż Lucyfer. Coś nie mającego tylko zakradać się i szpiegować, ale po prostu niszczyć.

- W porządku. - Skinęła głową. - Dobrze się pan spisał, doktorze Masada. Dziękuję panu. Gildia panu dziękuje. Czego jeszcze pan od nas potrzebuje?

Pokręcił głową.

- Niczego poza tym, co już otrzymałem. Być może wyruszę w podróż. Wygląda na to, że są również inni, którzy tropią Lucyfera. Mogą mieć dostęp do danych, których ja nie posiadam. Zupełnie innych danych.

- Z Gildii? - spytał Gaza.

Masada spojrzał mu prosto w oczy. Rzadko to czynił i wiedział, że to dodaje wagi jego słowom.

- Nie. Nie z Gildii. Prima syknęła.

- Doktorze Masada...

- Pamiętam o konieczności zachowania tajemnicy. - Teraz spojrzał jej w oczy. - Wiedziecie, że będę ostrożny.

- Kim on jest? - zapytał Gaza. Masada potrząsnął głową.

- Nie. Żadnych nazwisk. Nie chcę, żebyście próbowali kogokolwiek śledzić. Moglibyście ich spłoszyć.

Prima uśmiechnęła się mimo woli.

- To zabrzmiało tak, jakby chodziło o jakieś dzikie zwierzę. Umykające przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa.

Nieprzeniknioną zwykle twarz Masady rozpromienił uśmiech. - Tak. Właśnie tak. O to chodzi. - Z wdzięcznością uklonił się jej. - Dziękuję ci za metaforę, Primo Cairo. Będę o niej pamiętał, pisząc następną książkę. Doskonale porównanie.

- Mam nadzieję, że szybko wpadnie pan na ślad - rzekł ponuro Gaza. - Zanim ten, którego szukamy, zorientuje się i zniszczy wszystkie potrzebne nam dowody.

Uśmiech znikł z twarzy Masady równie szybko, jak się na niej pojawił.

- Tak, oczywiście. Ma pan całkowitą rację, dyrektorze. To wyścig z czasem, prawda? - Ukłonił się Gazie, z ponurą miną, wyrażającą zupełnie inne uczucie. - Spróbuję działać... skutecznie.

XXVIII

Nawet w tym świecie błyskawicznej łączności i sprawnego przepływu danych starożytny sposoby kontaktów międzyludzkich nadal odgrywają duże znaczenie.

SORTEY-6

„O ludzkiej potędze”

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

W kasynie „Royale” było tłoczno.

Bogaci Warianci wszelkiego rodzaju tłoczyli się wokół stołów gry, ubrani w najbardziej eleganckie stroje. Cenna biżuteria błyszczała na szyjach, ramionach czy mackach. Kelnerzy niestrudzenie uwijali się w tłumie, podając klientom drinki lub narkotyki. Zasłony z czerwonego aksamitu odsłaniały spoglądające na majestat kosmosu okna, za którymi wisiały stale widoczne dwa sztuczne księżycy, w pełni swego blasku.

W takim otoczeniu nawet obecność kogoś takiego jak Sonondra Ra mogła przez chwilę pozostać niezauważona. Gdyby nie delikatny *kaja* na twarzy, można by wziąć ją za Ziemiankę, gdyż jej skąpy strój odsłaniał znacznie więcej, niż kiedykolwiek ukazywały Gueranki. Jednak było to tylko pierwsze wrażenie. Bliższe oględziny ujawniały siatkę wysadzanych klejnotami sensorów osadzonych w jej miedzianej skórze, połączonych nitkami tak cienkimi, że bardziej wyczuwalnymi niż widzialnymi. I - oczywiście - jej oczy. Kiedy się je mijają, znikają wszelkie wątpliwości kim jest. Nikt nie potrafiłby ich zapomnieć.

Przeszła spokojnie przez wielkie frontowe drzwi kasyna i z królewską gracją skinęła głową obsłudze. Kilku najbliższych stojących graczy zauważyło jej wejście i obdarzyło ją ukłonem, dygnięciem lub inną, specyficzną dla danego podgatunku formą powitania. Odpowiedziała jedynie uśmiechem, lecz to zupełnie wystarczyło. Kości zagrzechotały w metalowych kubkach. Plastikowe karty upadły z trzaskiem na jeden stół, potem na drugi. Holograficzny homunkulus uległ serii losowo generowanych mutacji, podczas gdy gracze obstawiali ostateczny rezultat.

Szybko przeszła przez główny hol, łopocząc diamentowo czarną, jedwabną suknią. W połowie drogi przystanąła przy stole do shimini, na którym w pozornym nieładzie tańczyły

żyroskopowe figurki. Siedział tam mężczyzna, Ziemianin, który właśnie pieczętował kciukiem swoją ostatnią wygraną, kiedy Sonondra Ra delikatnie dotknęła jego ramienia, dając mu znać, że tu jest. Tylko tyle. Zaczekała, aż obejrzał się i ją zobaczył, a potem poszła dalej, jakby nic się nie stało. Minęła grającego na automatach Yina, bacznie obserwowanego przez strażników, gotowych udaremnić mu każdą próbę przystąpienia do jakiejkolwiek gry wymagającej myślenia. Minęła Sauryjczyka, którego błyszczące łuski były wysadzone drogocennymi kamieniami, tworzącymi niezwykle ekstrawagancki wzór. I sześcioraczki Beliala, które grały ze sobą w pokera.

Weszła po schodach na końcu sali, a następnie do elegancko urządzonego pomieszczenia na ich szczycie. Gdyby chciała, przez umieszczoną tam lustrzaną szybę mogła obserwować salę gry. Nie miała na to ochoty i wyłączyła obraz.

Po chwili pojawił się Ziemianin. Gestem tak starym jak świat - a przynajmniej jego cywilizowane części, gdyż tylko te się liczą - ujął jej dłoń i uniósł do ust, składając na niej pocałunek, który zapowiadał bliższy kontakt. W odpowiedzi lekko uściśniła jego dłoń i mruknęła:

- Rozumiem, że wygrywasz?

- Moje kasyno. Mam prawo.

Pokazała w uśmiechu olśniewająco białe zęby, pokryte mgiełką macicy perłowej.

- Jesteś podstępny, Sergieju.

- A ty, Madame Ra, jesteś uosobieniem przewrotności. - Z uśmiechem cofnął się o krok i założył ręce na piersi. - Czym mogę ci dzisiaj służyć? Czy też tylko przyszłaś zawstydzić nas wszystkich twą urodą i przypomnieć, że Ziemia nie ma już monopolu na wszystko co piękne?

- Jak zawsze złotousty.

- To mój zawód. Jak zawsze.

- Powiedziałabym, że z takimi zdolnościami potrafiłbyś wykręcić się od federalnego więzienia.

- Bo też tak było. O czym dobrze wiesz. - Skłonił się i lekko drwiący uśmiech wygładził jego przystojną twarz. - Jakie to szczęście, że znalazłem opiekunkę, która pozwoliła takiej nędznej kreaturze jak ja otworzyć interes na jej stacji.

- Jakie to szczęście, że twój interes jest uczciwy. - I dodała z uśmiechem: - Przeważnie.

Zaśmiał się, wesoło i sztucznie.

- A więc czym mogę ci służyć, gildmistrzynie mego serca? Oprócz moich osobistych zabiegów, które lepiej nazwać uwielbieniem niż usługami?

- Obawiam się, że możesz przeceniać twoje umiejętności.

- Nie sędzę - odparł z uśmiechem. - Może ty ich nie doceniasz? Zaśmiała się cicho.

- Dziś potrzebuję czegoś słodsze niż miłość, mój drogi. I trudniejszego do znalezienia.

- A cóż to takiego?

- Informacje.

- Ach. Rozumiem. O czym?

- Powiedzmy... o ziemskich sprawach? Ze smutkiem pokręcił głową.

- Moja królowo, tak oślepiasz nas twą urodą, że jesteśmy gotowi zdradzić dla ciebie nawet naszą rasę. Jakież to okrutne.

- Nonsens. Pozwalam ci otworzyć lokal w atrakcyjnym miejscu, powstrzymuję policję przed przypominaniem ci o przepisach, o których... zapomniałeś, a także obsypuję cię politycznymi zaszczytami. - Przesunęła po jego brodzie długim ciemnym palcem, zakończonym srebrzystym paznokciem. - Myślę, że to więcej warte niż uroda.

- Trudny wybór - rzekł.

- A ponadto nie jesteś Ziemianinem. Nie w ziemskim rozumieniu tego słowa. Urodzony i wychowany w kosmosie, nie zdradzasz najmniejszej ochoty, by stanąć na świętej powierzchni macierzystej planety.

- Słyszałem, że powietrze jest tam bardzo zanieczyszczone.

- A ja słyszę, że robisz interesy z tymi, którzy nim oddychają.

- Gdyby tak było, trzymałbym to w tajemnicy.- Ach, Siergieju, tajemnice są takie... nudne. - Zamrugła. Gęste rzęsy przesłoniły mozaikowate klejnoty, którego chwili znów zabłyśły w przyćmionym świetle pokoju. - Nie uważasz?

- To, co ciebie interesuje, nie może mnie nudzić, moja bogini. - Przysunął się do niej o krok. Jej receptory zmieniły kolory ubrania mężczyzny w pieszczotę, a ciepło ciała na feerie barw. - Czego sobie życzysz? Wiesz, że niczego nie potrafię ci odmówić.

Uniosła dłoń, trzymając go na odległość wyciągniętej ręki. Przez chwilę.

- Korporacje - powiedziała łagodnie. - Są tutaj i łamią moje zabezpieczenia. Wciąż usuwam ich irytujące programiki z kamer bezpieczeństwa, a celnicy zatrzymali statek pełen rozmaitych części, które wyglądają tak, jakby można z nich złożyć broń. I co najdziwniejsze, wszystko to zdaje się pochodzić z Ziemi. - Przeszyła go spojrzeniem swych sztucznych oczu. - Pomyślałam, że możesz znać powód.

Wyraz jego twarzy zmienił się ledwie dostrzegalnie - ciepły uśmiech ochłodził o stopień, najwyżej dwa. Nie cofnął się, ale przestał napierać na jej dłoń.

- To niezła odpowiedź - oceniła. - Wymowna.

- Niewiele wiem.

- Jeszcze nie jestem pewna, czy w to wierzę... ale mów.

- Stojąca za tym firma nazywa się Tridac. To ziemską korporacją, jedna z bardziej agresywnych.

- Rekin wśród rekinów, jak mówią. Skinął głową.

- Czy wiesz, że rekiny zabijają się jeszcze w łonie matki? - Błysnęła klejnotami oczu. - Zawsze zastanawiałam się, czy nie powinniśmy uczynić tego stworzenia symbolem Gildii, zamiast *natsiq*. Może jednak ono lepiej pasuje do ziemskiej polityki niż do nas. - Kiwnęła głową. - Proszę, mów dalej.

- Podobno ta firma usiłuje teraz przejąć coś, co należało do korporacji Shido. Ta została wysadzona z siodła - w dosłownym znaczeniu tego słowa. Korporacyjne prawa Ziemi nie są łagodne. A to coś, czego szukają, znajduje się gdzieś w kosmosie.

- Istotnie? Czy to coś przypadkiem nie trafiło na moją stację?

- Zdaje się, że tak uważa Tridac.

- I może przybrało postać młodej Ziemiarki? Pytam tylko dlatego, że przechwyciliśmy kilka sniferów szukających takiej osoby. Prawdę mówiąc, więcej niż kilka.

- Nic o tym nie wiem, Madame Ra. - Jego ciemne oczy rozblęskły. - Twoje źródła informacji są lepsze od moich.

- Och, nie jestem pewna - odparła z uśmiechem. - Są jednak... inne. Na przykład, moje źródła meldują, że kilka tygodni temu w węzle Reijik Gildia zgubiła ślad takiej osoby. To interesujący zbieg okoliczności, prawda? Jedna młoda dziewczyna i tyle ważnych osób, które uganiają się za nią. Zapewne nie masz pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, hm?

- Niestety, obawiam się, że przeceniasz jakość moich kontaktów. Czy ja mógłbym mieć wgląd w sekrety Gildii? Nie sądzę.

- Powiesz mi jednak, jakie plotki krążą na ten temat na Ziemi. Wiem, że słyszysz każde słowo przenoszone tamtejszą pocztą pantoflową. I rejestrujesz. I wykorzystujesz.

Z żartobliwą pokorą rozłożył ręce.

- Pochlebiasz mi.

- Nonsens. Ja tylko... - Postukała smukłym palcem w bok diamentowego oka. - Bacznie obserwuję.

- Oczywiście. - Skłonił się, przyznając jej rację. - Mówi się, że Shido eksperymentowali z czymś, co miało zapewnić im dostęp do *ainniq*. Pełny dostęp. To coś pozwoliłoby Ziemianom mieć własnych pilotów i złamać monopol Guery.

Syknęła.

- Och, to byłoby... niedobrze.

- Zależnie od tego, w co się inwestuje, Madame. Słyszę, że w tej chwili akcje Tridac stoją całkiem nieźle. W poniedziałek kupiłem ich trochę.

- Są rzeczy ważniejsze niż pieniądze, Siergieju.

- Nie, moja królowo, tu się mylisz. Nie ma niczego cenniejszego od pieniędzy... ponieważ wszystko można kupić. Jediną kwestią jest cena.

- A jaka jest twoja cena? - spytała łagodnie. - Za co można kupić twoją lojalność?

Zrobił krok naprzód i wziął ją w ramiona. Gdy przesunął dłońmi po nagich plecach Sonondry, przyciągając ją do siebie, jego palce dotknęły twardych wypukłości receptorów. Całowali się długo i bynajmniej nie niewinnie, a kiedy skończyli, przytulił ją do siebie, wsunawszy dłonie przez rozcięcia sukni na wysokości talii.

- Już mi zapłacono - powiedział. - Teraz nie można mnie kupić.

- Jakie to szczęście - zamruczała. - Dla mnie. Pogładziła dłonią jego długie czarne włosy, gęste i jedwabiste.

Jej receptory przetłumaczyły bodźce na odczucia, które nawet nie miały nazwy.

- Potrzebuję więcej informacji, Siergieju. Ty masz kontakty. Będziesz moimi uszami. Chcę wiedzieć, kim ona jest, gdzie jest, kto próbuje ją złapać, w jaki sposób i kiedy.

- Nie mogę odpowiadać za poczynania Gildii - ostrzegł.

- Gildię zostaw mnie. Ci nędzni gildmistrzowie, próbujący na mojej stacji grać w szachy z losem! Pożałują, że choćby spojrzeli na to co moje. Ty tylko dowiedz się, co zamierza Ziemianie, a ja zajmę się resztą. - Pocałowała go czule. - Tak? - Potem pocałowała go ponownie, znacznie namiętniej, gorącym pocałunkiem zapowiadającym nadchodzącą rozkosz. - Tak?

Odpowiedział jej. Choć nie słowami.

Czasem milczenie jest daleko bardziej wiążącą obietnicą.

XXIX

Weźcie niemal nieskończenie wielką bazę danych. Podłączcie do niej sto miliardów ludzkich mózgów, młodych i starych, wykształconych i nie, Ziemian i Wariantów. Dajcie im

dostęp do wszystkiego, pozwólcie sieci oddziaływać na nie, wchłaniać ich motywacje, dążenia, pragnienia, a nawet ich szaleństwo.

Myślicie, że zdołacie przewidzieć rezultat? Myślicie, że zdołacie nad tym zapanować?
Nie sądzę.

DR KIO MASADA „*Czynnik Pigmaliona*”

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

Atom był ostatnią osobą, z którą Feniks spodziewał się porozmawiać przez wideo. Przysięgłby, że ten facet nawet nie ma pojęcia, gdzie wetknął potrzebne do tego oprogramowanie, nie mówiąc już o umiejętności jego użycia. Tymczasem był tam, śliczne wyraźne holo z niezłym dźwiękiem, z rodzaju obrazków, jakie można wysłać do domu, do mamusi. Jeśli w ogóle rozmawiasz z mamusią.

- Cholera, człowieku, nie zgadniesz, co się stało - oznajmił Atom.

Feniks zgasił linie kodu, nad którym pracował, a który niczym jakiś dziwny *kaja* nałożył się na twarz Atoma.

- Domyślam się, że to duża rzecz, jeśli mogę oglądać twoją twarz. I muszę dodać, że to urocza twarzyczka.

Dodał mu diabelskie rogi i dwa guziki zamiast oczu. Za plecami usłyszał stłumiony śmiech dziewczyny.

- Mówię poważnie, człowieku. - Atom zmrużył oczy, jakby patrzył na coś, a potem pokręcił głową. Zmiany znikły i przez chwilę na miejscu postaci pojawiła się pięść ze sterzącym palcem. - Bez żartów, stary, mówię poważnie. Zgadnij, kto przybył na tę pieprzoną stację?

Zwykle lubił pogadać z Atomem, ale w tym momencie nie był w nastroju do zabaw. Znalazł kilka nowych śladów wirusa, które wiodły w różne strony, a poza tym była tu dziewczyna i... no... była tu dziewczyna. Zdumiewające, jak trudno czasem skupić się na programowaniu.

- Ty mi to powiedz, Atom. Postać melodramatycznie wyprężyła pierś, odczekała chwilę, by maksymalnie zirytować rozmówcę, a potem oznajmiła:

- Kio Masada.

Feniks poczuł, że opadła mu szczęka. Myślał, że tak reagują tylko postacie z książek. Tymczasem nie był w stanie zamknąć ust.

- Feniks?

Dziewczyna usłyszała dosyć, by podejść i stanąć obok niego, nie tak blisko wideokamery, żeby Atom mógł ją zobaczyć, lecz dostatecznie blisko, by Feniks wyczuwał jej obecność. W końcu zdołał wykrztusić:

- Żartujesz.

- Nie, człowieku, przysięgam. Przybył dzisiaj publicznym transportem, pod - uważaj - fałszywym nazwiskiem. Gdybym akurat nie przeglądał tych danych, nawet bym się nie zorientował. A tak, ty i ja jesteśmy chyba jedynymi, którzy o tym wiedzą, chociaż ten stan rzeczy pewnie długo nie potrwa. Jezu Chryste, jak myślisz, po co tu przybył? W dodatku w tajemnicy? Chciałem powiedzieć o tym naszym, ale trochę się boję, że go stratuja. Nie wiem, czy padną przed nim na kolana i oddadzą mu cześć, czy rozedrą go na kawałki, żeby zobaczyć co ma w środku, ale na pewno coś zrobią.

Ja wiem, po co tu przybył, pomyślał Feniks. Jeszcze nie mógł w to uwierzyć, ale wiedział.

- Raczej to drugie - rzekł. Zdobył się na uśmiech. - Wiesz, krążą wieści, że on jest modziem.

- Tak, już lecę wierzyć. Gueranie nie grzebią w swoich głowach, pamiętasz? Sądziłem, że ten facet nigdy nie opuszcza planety; czy nie mówili kiedyś o tym w wiadomościach? Jak sądzisz, co on tu robi?

- Nie mam pojęcia - zdołał wykrztusić Feniks. - A jak myślisz? TYLKO OSOBIŚCIE, przekazał mu nieznajomy haker. SAM

WYBIERZESZ MIEJSCE. DOWIESZ SIĘ KIEDY.

Przyleciał tu incognito. Fałszywa tożsamość, niedokładnie chroniona. Tylko modziowie wiedzieli, że tu jest. Co było do przewidzenia.

Cholera!

Niejasno zdał sobie sprawę, że nie usłyszał ostatnich słów Atoma. Zważywszy na wagę otrzymanej wiadomości, wcale nie był pewien, czy to coś pomoże, jeśli rozmówca powtórzy ostatnie zdanie.

- Hmm, Atom... posłuchaj, bardzo ci dziękuję... Mam coś do zrobienia...

Holograficzna postać przechyliła głowę, przyglądając się Feniksowi.

- Zamierzasz tam pójść?

Przez sekundę zastanawiał się, czy skłamać. Nie miało to większego znaczenia, gdyż Atom zawsze wiedział, kiedy Feniks kłamie, lecz chodziło o to, co w ten sposób mu przekaże. Na przykład, że w tej chwili nie zamierza o tym dyskutować.

- Nie.

Postać spoglądała na niego przez chwilę, a potem kiwnęła głową. Trzeba przyznać Atomowi, że wiedział, kiedy się wycofać.

- W porządku. Doskonale. Bo gdybyś chciał zrobić coś głupiego, na przykład niepokoić go, czekałaby cię długa wycieczka. Zatrzymał się w „Waterfall” w czerwonym sektorze, pokój 1214. Nie pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Oczywiście, nie wybierasz się tam.

- Nie, oczywiście, że nie. To... to byłoby niemądre. - Otarł czoło i ze zdumieniem przekonał się, że było spocone. - Dzięki, Atom. Ja... hm... masz u mnie dług.

- Było miło, chłopie. Odbiorę go w danych, jak zwykle. Hologram znikł. Wideokamera pomruczała jeszcze chwilę i zapadła w zwykłe milczenie.

Masada. Tutaj.

Jezu...

- Michał?

TYLKO OSOBIŚCIE.

Potrząsnął głową i zdołał spojrzeć na Jamisę. Miała swoje rzeczy, ale wolała nosić jedną z jego koszul.

- Co się stało? - zapytała. TYLKO OSOBIŚCIE.

- To ten facet, z którym skontaktowałem się tamtej nocy. Ten, o którym mówiłem, że nie może być tym, za kogo się podaje. - Pokręcił głową, jakby usiłując przerwać łańcuch myśli. - To jednak on. I chce się ze mną spotkać. Osobiście.

Przy tych słowach w jej oczach pojawił się lęk i Feniks odruchowo wyciągnął rękę, żeby uspokoić dziewczynę.

- Cii, wszystko w porządku, to nie ma nic wspólnego z tobą.

Jak ona to robiła, że raz była pewna siebie, raz zupełnie bezbronna, a potem... no, taka jak zeszłej nocy? A wszystko w mgnieniu oka, jakby nagle stawała się zupełnie inną kobietą? Była niesamowita, to pewne.

Nie żeby miał coś przeciwko temu. Była ładna, lubiła go, a jej mózg skrywał mnóstwo tajemnic. Trudno powiedzieć, co pociągało go w niej najbardziej.

A gdzie tam. Wcale nietrudno.

Objął ją ramieniem i rzekł:

- Posiedź tutaj. Ja niedługo wrócę.

Spojrzała na niego tymi niebieskimi oczami, które teraz przybrały lekko oskarżycielski wyraz.

- Powiedział, że to długa wycieczka. Uch. Do licha. No i masz.

- Nie chcę zostać sama.

- Myślę, że wychodzenie stąd to kiepski pomysł.

- Dlaczego? Mówiłeś, że załatwiłeś snifery.

- Te, które znalazłem - przypomniał. - Jeden Bóg wie, czy nie ma ich więcej.

- Wolę zaryzykować, wychodząc z tobą, niż siedzieć tu sama, mając nadzieję, że nie paskudnego nie wytropi mnie podczas twojej nieobecności. Pomyśl o tym, Michał. Wyobraź sobie, jak to jest. Siedzieć godzinami, nie mając nic do roboty, bo gdybym tylko podłączyła się do sieci, choćby po ty, by zamówić jedzenie, coś mogłoby mnie wytropić. Nie sądzisz, że przy tobie będę bezpieczniejsza? Bo gdyby, Boże broń, coś się stało, przynajmniej wiedziałbyś o tym i mógłbyś coś zrobić. Choćby dlatego, że... znasz to miejsce lepiej niż ja. - W jej stanowczym głosie pojawiły się łagodniejsze nutki, które trafiły wprost do serca, pokonując wszystkie linie męskiej obrony. Do licha, była w tym dobra. Zdawał sobie z tego sprawę, a mimo to nie potrafił się przed tym obronić. - Nie chcę zostać tu sama. A jeśli coś się stanie? Nawet byś o tym nie wiedział. Wróciłbyś, a mnie by... nie było.

Musiła wygrać. Wiedział to. Nigdy nie potrafił radzić sobie z kobietami, a ta zdecydowanie owinęła go sobie wokół paluszka. Jezu, kiedy do tego doszło? Przecież znał ją zaledwie kilka dni. Wolałby myśleć, że nie wszystkie szare komórki miał ulokowane poniżej pasa.

- W porządku - rzekł cicho. - Tylko że to spotkanie w delikatnych sprawach, więc musisz...

Pocałowała go. Zapomniał, co chciał powiedzieć. A, do licha z tym...

*

Właściwie nie wiedziała, dlaczego chciała z nim pójść.

Tak, była bezpieczniejsza w jego mieszkaniu. Każdy trzeźwo myślący człowiek musiałby to przyznać. I jeszcze nie zgłupiała tak, żeby opuszczać bezpieczną kryjówkę z obawy przed samotnością. Takie rzeczy zdarzały się w kiepskich wideofilmach, nie w prawdziwym życiu. A przynajmniej nie w jej życiu.

Które teraz właśnie przypominało kiepski wideofilm, no nie?

Może to przez te sny, które miewała ostatnio? Nie takie jak dawniej, równie dokładne i zaprogramowane. Jednak w jakiś nieokreślony sposób wydawały się podobne do tych będących dziełem jej nauczyciela i za każdym razem, gdy się budziła, miała wrażenie, że powinna je zrozumieć, ponieważ w nadchodzących dniach będą miały ogromne znaczenie.

Problem polegał na tym, że były bardzo chaotyczne i na jawie nie potrafiła ich zanalizować. Jeden był przypadkowym zlepkiem obrazów z jakiejś planety - lód, woda i

dziwne pływające stworzenia podobne do ryb, ale pokryte futrem. Te zwierzęta wyglądały znajomo, jakby widziała je w jakiejś książce lub na wideofilmie, ale nie potrafiła znaleźć dla nich żadnej nazwy ani powodu, dla jakiego miałyby być dla niej ważne. Kilka innych snów wypełniały postacie Gueran: o pomalowanych twarzach, w czarnych szatach, groźne i władcze. Przedziwne, lecz w tych snach nie bała się ich, tylko chciała się do nich zbliżyć, jakby mieli coś, czego chciała. W jednym śnie człowiek o pomalowanej twarzy próbował coś jej powiedzieć, ale nie mogła zrozumieć jego słów. W innym wszystko wyglądało normalnie, lecz w oddali słychać było przeraźliwy wrzask, jakby ktoś wył z przerażenia. Podbiegła do jednego z Gueran - noszącego mundur oficera Gildii - i poprosiła, żeby położył temu kres.- To się nigdy nie kończy - odparł i dodał: - Nie chcemy, żeby się skończyło. Prawda?

I były też sny o płaczącym. Zawsze ten sam obraz nagiej i bezradnej postaci, skulonej na ziemi, otoczonej przez tych, w których teraz rozpoznawała Innych. Najbardziej przerażające było to, że za każdym razem biegła do miejsca, gdzie powinien leżeć, przerażona, że może go tam nie zastać. Dlaczego chciała, żeby tam był? Co oznaczałaby jego nieobecność? Chociaż bardzo się starała, nie mogła utkać z tych obrazów sensownej wiadomości. Może żadnej nie zawierały? Może strach zaczął odbierać jej zmysły i zalewał mózg oderwanymi strzępami danych, nadziei i obaw oraz zniekształconymi wspomnieniami, walczącymi o dostęp do jej procesora?

Boże. Procesor. Zaczynała wpadać w styl Michała. Jaki miał hakerski pseudonim, Feniks? Zabawne, że opiekował się nią człowiek o dwóch tożsamościach. Jakże właściwe.

Kiedy w nocy leżała w jego ramionach, próbował coś z niej wyciągnąć, a ona bardzo chciała podać mu kilka faktów, choćby jakąś fantastyczną teorię, którą mógłby obalić. Podejrzewała, że on jest jedyną osobą mogącą pomóc jej zrozumieć to, co kryje się w jej głowie. Zbyt długo jednak chowała wszystko w tajemnicy i weszło jej to w zwyczaj. Nawet te skąpe informacje, jakie teraz posiadała - przekazana przez nauczyciela charakterystyka jej procesora - nie chciały przejść jej przez gardło, chociaż bardzo się starała.

Biedny haker. Leżał skulony przy kobiecie swych marzeń i nawet o tym nie wiedział. Jaka była moc obliczeniowa jej procesora? Dziesięciokrotnie większa od najlepszego procesora myślowego, stukrotnie, a może tysiąckrotnie? Nie pamiętała dokładnie, co powiedział o tym nauczyciel. Teraz jednak знаła powód. Och, tak. Przeciętny procesor nie mógłby obsłużyć tuzina odrębnych osobowości, często wyrażających jednocześnie przeciwstawne życzenia. Przygotowali ją do tego. Zrobili to celowo.

Gdyby tylko wiedziała dlaczego.

Przynajmniej jesteście tu bezpieczni, jęknęła Zusu. Nawet Derik sprawiał wrażenie znacznie spokojniejszego, co było zdumiewające, jeśli wziąć pod uwagę, co Katlyn robiła z ich ciałem. A Verina, zawsze praktyczna, stwierdziła: *Posłuchaj, przynajmniej mamy kilka dni, żeby się pozbierać, kogoś, kto pomaga nam się ukryć, i czas do namysłu. O nic więcej nie możemy prosić.*

Czy tak? Czy jej życie już zawsze będzie tak wyglądało - kilka skradzionych godzin bezpieczeństwa?

Musi być coś więcej. Musi być jakiś powód tego wszystkiego. Te sny były kluczem. Sny pełne symboli Gildii, pełne Gueran.

Oczywiście, że musiała pójść z Michałem. Dopiero kiedy stanie twarzą w twarz z Gueraninem, będzie mogła stawić czoło ukrytym w jej głowie tajemnicom... A teraz nadarzała się po temu okazja.

Kiedy opuszczali ciasne mieszkanie miała nieprzyjemne przeczucie, że już nigdy tutaj nie wróci.

*

Czerwony sektor znajdował się bardzo daleko od mieszkania Michała, ale większość drogi przelecieli korytarzem powietrznym wewnątrz pierścienia, podziwiając niezwykle widoki. Feniks patrzył, jak Jamisia chłonęła je wzrokiem. Nad ich głowami przemykały złote pierścienie, oświetlone różnymi surrealistycznymi wzorami światła doków, a wszystko na tle dekoracyjnego tła gwiazd, liczniejszych tu niż w większości innych węzłów. Oczywiście na Ziemi nigdy nie widziała czegoś takiego. Macierzysty świat leżał dalej od centrum galaktyki niż inne zamieszkane węzły przestrzeni, a jego niebo było puste i monotonne w porównaniu z tym spektaklem. Z pewnością ten widok wydawał się jej nierzeczywisty. Tutaj nie było planety. Nie było słońca. Tylko mnóstwo będących dziełem człowieka konstrukcji - orbitujących, przelatujących lub po prostu wiszących w ciemności, lecz oprócz kilku sztucznych księżyców orbitujących wokół turystycznego pierścienia, nie przypominających żadnych znanych jej urządzeń. Taka była cena *airmiq*, która oferowała ludzkości swobodny dostęp do gwiazd za cenę wyrzeczenia się rodzimej planety.

Zastanawiał się, czy Jamisi brakuje ziemi pod nogami i grawitacji wywołanej działaniem masy, a nie generatora. Mówiono, że to zupełnie inne wrażenie, chociaż obie jednakowo pozwalały utrzymać pionową pozycję. Wiedział, że we wczesnych latach drugiej ery gwiazdnej ludzie strasznie tęsknili za macierzystymi planetami, co wydawało mu się wręcz niewiarygodne. Nawet zakładając, że wideofilmy o katastrofalnych warunkach życia na planetach były w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przesadą, to i tak działały tam

straszne rzeczy. Powodzie, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, huragany, susze, burze piaskowe... Cholera, jak w tych warunkach ludzie w ogóle mieli czas coś robić? I oczywiście nie dało się tam kontrolować atmosfery, zmieniać zawartości tlenu czy innych czynników niezbędnych do cywilizowanego życia. To zdumiewające, że w takim środowisku ludzkość stworzyła technologie umożliwiające podbój gwiazd.

Czerwony sektor był elegancką dzielnicą w wewnętrznym pierścieniu turystycznym, a „Waterfall” był nowoczesnym i bajeranckim hotelem. Wchodziło się do niego przez wielki tunel wirującej wody, utrzymywanej w powietrzu przez strumień powietrza, siatkę grawitacyjną i Bóg wie czym jeszcze. Wyglądało to jak zdjęcie oka cyklonu - ta ściana wirującej wody, tworząca spieniony cylinder. W innym miejscu i czasie zrobiliby to na nim wrażenie, ale tu i teraz nie mógł myśleć o niczym i nikim poza Masadą i wirusem. Jamisi najwyraźniej bardzo się to spodobało, więc zaproponował, żeby została w holu i rozejrzała się, kiedy on pójdzie na spotkanie... ale nie chciała.

- Zanudzisz się - ostrzegł. - To będzie techniczna rozmowa.

Uparła się. Powiedziała, że pragnie tam pójść.

Chciałby, żeby kierowało nią coś więcej niż strach.

Kiedy w końcu dotarli do pokoju, zawahał się. Z dziwną niechęcią myślał o dotknięciu dłonią drzwi, jakby te miały uznać, że jest niegodny wejść do środka. Och, daj spokój, Feniks, nie bądź idiotą. Przecież wiesz, że on jest tylko człowiekiem. Dotknął płytki zamka i mechaniczny głos poprosił go o podanie nazwiska. Zawahał się, a potem powiedział bardzo cicho: Feniks. Otworzyły się.

Ujrzał przestronny apartament pełen stosów wydruków i rzędów chipów, wśród których stał najbardziej kosztowny przenośny komputer, jaki dotychczas widział. Poczł ukłucie zazdrości, lecz zaraz zapomniał o wszystkim, gdy postać na końcu pokoju wstała i podeszła do niego.

Masada.

Był podobny i niepodobny do osoby ze zdjęć. Miał ciemniejszą skórę i nie był tak wysoki. *Kaja* na jego twarzy był surowy, złożony z kanciastych linii, które nadawały jego obliczu groźny wyraz. Feniks raczej wyczuł, niż zauważył, że Jamisia cofnęła się o krok. Z pewnością po raz pierwszy znalazła się tak blisko Gueranina. Niewątpliwie do ich twarzy trzeba się przyzwyczać.

- Doktor Masada? - Zawahał się, a potem wyciągnął rękę. Gueranin był dostatecznie blisko, by ją uściskać, lecz nie zrobił tego i Feniks poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. - Ja, hm... chcę powiedzieć...

- Spodziewałem się ciebie - rzekł profesor. Zerknął na Jamisę i Feniks szybko zareagował:

- Ona jest ze mną. Wszystko w porządku.

Czarne oczy spojrzały na niego, oszacowały i oceniły.

- Zważywszy na charakter tej sprawy, nic nie jest w porządku, ale na razie to akceptuję. Ręczysz za nią?

Nie był pewien, co to właściwie oznacza, ale skinął głową.

- No dobrze. Na razie.

Wskazał im stół konferencyjny na końcu pokoju. Jamisia posłała Feniksowi pytające spojrzenie, którego nie potrafił zinterpretować, ale odpowiedziała sobie sama i poszła w przeciwną stronę, aby usiąść na sofie przy drzwiach do sypialni. Nadal obecna, lecz dyskretnie trzymająca się na uboczu. To było dobre posunięcie i Feniks nieco się odprężył, po raz pierwszy, od kiedy Atom wyskoczył z tą bombową wiadomością.

Zajął miejsce naprzeciwko Masady, przyglądając mu się, chłonąc jego widok. Profesor nie odwzajemnił spojrzenia - jego wzrok rzadko zatrzymywał się na Feniksie czy Jamisi. Ten brak kontaktu był niepokojący.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział Masada, chłodno i bez uśmiechu. - Postaram się przedstawić sprawę jak najzwięźlej. Poluję na Lucyfera. Moi zleceniodawcy chcą złapać jego twórcę...

- Lucyfera?

Masada zamrugał, jakby z trudem kojarzył. W końcu rzekł:

- To nazwa tego wirusa.

- Ach. Rozumiem. - Feniks uśmiechnął się. - Przepraszam. Nie znałem tej nazwy. W moich kręgach nazywamy go parszywym skurwysynem. A czasem skurwielem, żeby było krócej.

Na twarzy Masady pojawił się cień uśmiechu, który nadał jej krzepiąco ludzki wyraz.

- Przyznaję, że to odpowiednie nazwy. No nic, pozwól, że będę kontynuował. - Milczał chwilę, jakby coś sprawdzał. - Poluję na Lucyfera. Moi zleceniodawcy chcą, by jego twórca został zdemaskowany, aresztowany i surowo ukarany za terroryzm międzywęzłowy. - Spojrzał na Feniksa. - Czy masz coś przeciwko temu?

Czy pytał go jako hakera? Cholera, przecież to świństwo zabija hakerów.

- To brzmi całkiem przyjemnie. Naprawdę przyjemnie.

- Podążając jednym czy drugim tropem, kilkakrotnie odkryłem twoją sygnaturę. To bardzo niebezpieczna gra, Feniksie. Ktoś inny mógłby uznać to za dowód, że jesteś w to zamieszany.

Gniew ścisnął Feniksowi gardło i dał się słyszeć w jego głosie.

- Posłuchaj, to draństwo zabiło moich przyjaciół. Jeśli myślisz, że mam z tym coś wspólnego, to możesz... - Nagle dotarł do niego sens słów profesora i Feniks urwał w połowie zdania. - Znalazłeś mój podpis? Gdzie? Zatarłem wszystkie ślady poza tym jednym w Norfhstar.

- Owszem - rzekł Masada. - Wiem, że tak sądzisz. Dopiero wtedy Feniks w pełni uświadomił sobie, z kim mówi.

Dopiero wtedy przypomniał sobie, że ten człowiek nie jest jakimś teoretykiem sieciowym po doktoracie, lecz facetem, którego sposób myślenia był klasą samą dla siebie w całej galaktyce. Większość modziów byłaby gotowa popełnić morderstwo, byle tylko usiąść z nim przy jednym stole, nie mówiąc już o dyskutowaniu o najbardziej zaawansowanym wirusie programowym, jaki kiedykolwiek znalazł się w uninecie.

Gniew przeszedł w podziw i odebrał mu mowę.

- Mam wrażenie - rzekł spokojnie Masada - a raczej domyślam się, że ty i twoi koledzy również tropicie tego wirusa.

- Próbuujemy - zdołał wykrztusić.

- Domyślam się też, zważywszy na specyfikę waszego korzystania z sieci, że mogliście zdobyć informacje, jakich ja sam nie zdołałem uzyskać.

Na twarzy Feniksa powoli pojawił się uśmiech.

- Chcesz powiedzieć... że potrzebne ci moje dane.

Masada nic nie powiedział.

- A co dla mnie?

- Podaj cenę.

- Znasz moją cenę.

Masada spojrzał na niego. Nic więcej, tylko patrzył przez bardzo długą chwilę. Jeden Bóg wie, co działo się w jego głowie, lecz Feniks założyłby się, że chodziło o kwestie bezpieczeństwa i zaufania. Modziowie nie są znani z umiejętności dochowywania sekretów. Chciał powiedzieć coś w rodzaju: „Przyjmę każde warunki, byle odpłacić temu draniowi”, ale zabrzmiałoby to kulawo, jak kwestia z kiepskiego wideofilmu. I wcale nie był pewien, czy Masada mu uwierzy.

Profesor spojrział na dziewczynę. Zrozumiała i bez słowa przeszła do sypialni. Drzwi zamknęły się za nią z sykiem. Wtedy profesor popatrzył na Feniksa i powiedział:

- Chce tego Gildia.

Feniks miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Te trzy słowa były potwierdzeniem umowy wystawionej na jego nazwisko.

- Dlaczego? - odważył się zapytać. Masada pokręcił głową.

- Nie. Tego nie wolno mi wyjawiać. - Nigdy?

Spojrzenie czarnych oczu przywarło do jego twarzy.

- Nigdy.

Kropka. Możesz się zgodzić lub odejść.

- Teraz należę do zespołu.

Masada przyglądał mu się jeszcze chwilę, a potem odwrócił wzrok.

- W takim stopniu, w jakim może outsider.

Od innego człowieka nie przyjąłby takich warunków. Jednak od Kio Masady... Poczł uniesienie, gdy w pełni uświadomił sobie wagę zawartej umowy i fakt, że będzie pracował z tym człowiekiem, nie mówiąc już o dzieleniu się poufnymi informacjami - być może - co pozwoli mu pomścić śmierć Chaos i Pochodni.

- A więc dobrze. Zgoda. Co chcesz wiedzieć?

- Gdzie znalazłeś wirusa? Kto jeszcze nad nim pracuje? Nie potrzebuję twojej analizy kodu - sam ją przeprowadziłem - ale wszystko poza tym. Dane uzyskane przez modziów.- To mnóstwo informacji. Masada milczał.

- Dobrze. Dobrze. Mogę je podać.

- Na razie najważniejsze fakty. Gdzie najwcześniej uaktywnił się wirus?

- To łatwe pytanie. W węźle prosperityjskim. Prawie cztery lata temu tamtejsi modziowie coś znaleźli. Wtedy nie wiedzieli co to takiego, ale teraz twierdzą, że było bardzo podobne do tego... Lucyfera. Tylko fragment programu replikującego, widocznie puszczonego do przetestowania. Przypomnieli sobie o tym, kiedy zacząłem rozsyłać próbki.

- Czy jego schemat wyglądał tak samo? Feniks zamrugał.

- Hm?

Masada przez moment tylko na niego patrzył, a potem powiedział:

- Nie sporządziłeś schematu.

Feniks poczuł się tak, jakby przyłapano go na czymś nieprzyzwoitym.

- No... nie.

Masada sięgnął do stojącej za nim szafki i zaczął grzebać w stercie wydruków. Ten, którego szukał, znajdował się na samym dnie. Profesor wyjął go i położył na stole. Feniks wziął wydruk i obejrzał.

- Jasna cholera. To jego schemat?

- Zgadza się.

- To przecież...!

Podwójna helisa. Symbol życia. Feniks pokręcił głową.

- Człowieku, ten facet to wariat.

Usta profesora rozciągnęły się w nikłym uśmiechu.

- Na Guerze rzadko używamy tego słowa. Może jednak w tym przypadku jest odpowiednie.

Chciał zapytać, dlaczego ten gość to zrobił, co chciał przez to uzyskać. Wirus szukał informacji, ale o czym? Jednak nie mógł zadać tego pytania. Na razie. Nie wątpił, że z czasem zdobędzie zaufanie Masady, który dopuści go do tych sekretów, lecz to rrrze zdarzy się szybko i z pewnością nie będzie łatwe.

I nie będzie mógł się tym chęścić. To naprawdę go gryzło.

Masada zadawał mu pytania, mnóstwo pytań. Feniks starał się jak najlepiej na nie odpowiadać. Nie chodziło o problemy programowania, raczej o plotki krążące wśród modziów. Feniks nie wiedział, jakich rozmówca szuka informacji, więc mówił mu wszystko, co wiedział. Masadę szczególnie zainteresowała wiadomość o śmierci modziów - najwyraźniej był nią naprawdę zaskoczony.

- Lucyfer nie miał zabijać postronnych - powiedział. Postronnych? Feniks już miał o to zapytać, ale mina Masady ostrzegła go, że ponownie wkroczył na niebezpieczny teren, na którym nikomu nie można ufać, nawet jemu. Co miała oznaczać ta uwaga? Postronnych spoza Gildii? Czyżby wirus miał zabijać gildziarzy? Ze zdumieniem spojrzął na Masadę, ale nie próbował wymówić tych słów. Profesor nigdy w życiu nie potwierdziłby czegoś takiego, nawet gdyby to było prawdą.

- Prawdopodobnie nie mógł przewidzieć, jak dokonane w podeszłym wieku modyfikacje procesora myślowego wpłyną na działanie podstawowego programu - rzekł Masada. - Może coś spowodowało, że wirus uznał...

Zamilkł i głęboko się zamyślił. Niemal było słychać szelest danych w jego głowie. Nie wyjawiał jednak już żadnych innych tajemnic.

- Dobrze - oznajmił w końcu. - Bardzo mi pomogłeś... tak jak przypuszczałem. Chciałbym porozmawiać z twoimi kolegami z Prosperity. Czy to możliwe?

Feniks przygryzł dolną wargę, zastanawiając się.

- Może? Dla ciebie wszystko jest możliwe. Są bardzo ostrożni. Musiałbyś tam polecieć.

- To rozumie się samo przez się. Żadna z tych informacji nie może „przejść przez sieć. To rozkaz Gildii. - Kącki ust Masady uniosły się w uśmiechu. - Ostatnio sporo podróżuję.

- Zdziwiłem się, że opuściłeś Guereę - odważył się Feniks.

- Nie bardziej niż ja. - Wstał, dając sygnał do zakończenia rozmowy. - Będę w kontakcie. W międzyczasie, gdybyś chciał się ze mną porozumieć, to przez główną kwaterę Gildii na tej stacji.

Feniks niezgrabnie wstał. Nie miał pojęcia, jak się pożegnać. Masada z pewnością nie życzył sobie ściskania rąk i wciąż umykał spojrzeniem w bok, co sprawiało wrażenie, że duchem już był gdzie indziej.

- To był dla mnie... zaszczyt. - Dęta gadka, ale co można powiedzieć idolowi wszystkich modziów? - Naprawdę.

Znów ten nikły uśmiech.

- Dziękuję. - Zerknął na wciąż zamknięte drzwi sypialni. - Mam nadzieję, że twojej przyjaciółki nie zirytowało długie oczekiwanie.

- Nic jej nie będzie.

Masada spojrzał mu prosto w oczy.

- Kiedy to wszystko się skończy, dam ci kody dezaktywujące Feniksa. Możesz je rozesłać po uniesieniu równie szybko jak ja... A myślę, że tobie sprawi to większą przyjemność.

Dezaktywujące...? Dostałby kody? On, Feniks, załatwiłby Lucyfera? W jego kręgach na czymś takim powstają legendy. Więcej niż godziwa zapłata za milczenie.

Bo też nią było. Swoistą zapłatą. Ten człowiek znał go na wylot.

Podszedł do drzwi sypialni, po Jamisę. Miał nadzieję, że nie gniewała się o to, iż nie mogła wziąć udziału w rozmowie, ale ostrzegął ją, że tak może się zdarzyć. Czy zrozumiałaby coś z ich rozmowy, gdyby słuchała? Trzeba wymyślić coś, co powie jej o tym spotkaniu, ponieważ wiedział, że go zapyta, a nie chciał zbywać jej kłamstwami... nie teraz. Nie na tym jednak polegał problem. Czekало go coś znacznie gorszego i nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzi.

Co do cholery powie Atomowi?

*

Zielone pola. Czysta woda. Błękitne niebo z sierpem jednego księżyca.

Ona zna to miejsce. Pamięta.

Pospiesznie przechodzi obok drzew, których nazwy nigdyś recytowała nauczycielowi, próbując odnaleźć miejsce, gdzie kiedyś spotkała Innych. Musi znaleźć je szybko, zanim on zdąży odejść.

Czy może odejść?

Rozgląda się wokół, szukając punktów orientacyjnych. Tam. Tam.

Zaczyna biec i wszystko wygląda coraz bardziej znajomo. Jej stopy uderzają z cichym pluskiem o mokrą trawę. Ziemia, Ziemia, to jest Ziemia. On powinien tu być.. Szuka go wszędzie, a kiedy nie znajduje, zaczyna wpadać w panikę. A jeśli odszedł? Co ona wtedy pocznie? Ze strachu serce zaczyna jej bić coraz mocniej. On musi tu być...

Nagle dostrzega skuloną postać, leżącą na ziemi kilka metrów dalej. Ulga zapiera jej dech. Podchodzi do niego, a w miarę, jak się zbliża, błękitne niebo ciemnieje i zrywa się wiatr, niosący lodowaty powiew zimy. Nic nie szkodzi. On nadal tu jest i wciąż jest cały, a tylko to się liczy.

Jego nagie ciało drży i jest spocone. Wyczuwa bijące od niego fale strachu, przerażenia tak potwornego, że żaden ludzki umysł nie zdoła go znieść. On jednak to znosi. Jest silny, bardzo silny, nie tak jak Derik, ale wytrzymałszy. Oprócz niej nikt tego nie dostrzega.

Kłęką przy płaczącym i wyciąga do niego rękę. Nie dotyka go, nie tym razem. Nauczyła się już, że on obawia się tego kontaktu bardziej niż cegokolwiek i kiedy ostatni raz próbowała go dotknąć, dostał ataku. Tak więc tylko czeka na jego reakcję, a mokra trawa ziębi jej kolana.

On porusza się.

Wyciąga rękę, ściskając kępki trawy, spazmatycznymi ruchami wrywając z ziemi zielone łodyżki. Ona wstrzymuje oddech, obawiając się przysunąć czy cofnąć, czując, jak krucha jest ta chwila. Jego ręka przysuwa się jeszcze bliżej jej dłoni, palce powoli rozchylają się, opuchnięte stawy zginają się z trudem...

I dotyka ją. Ciało przy ciele. Elektryzujący kontakt.

I patrzy na nią.

Czarne oczy, puste jak sama próżnia. Łzy jak krew spływają mu po policzkach. Czarne linie wijące się na jego twarzy, prymitywny wzór przypominający... - Jamie?

Zaskoczona, zgubiła obraz. Minęła minuta, zanim przypomniała sobie, gdzie jest i czyje oczy spoglądają na nią z wyraźną troską.- Dobrze się czujesz?

- Jasne. - Zdołała się uśmiechnąć. - Po prostu zasnęłam, czekając na ciebie.

Tylko że nie spała, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Była przytomna, ale... gdzie indziej.

Oszołomiona, pozwoliła, by Feniks pomógł jej wstać. Ten sen przyszedł jakby w odpowiedzi na jej wezwanie. Czy mogłaby to powtórzyć? Czy w jej mózgu tkwił jeszcze jakiś wprowadzony przez nauczyciela program, usiłujący się wydostać? Do licha, tak mało brakowało, a dowiedziałby się czegoś. Z westchnieniem pozwoliła, by Feniks wyprowadził ją z pokoju, i skinęła na pożegnanie głową temu dziwnemu i trochę niepokojącemu człowiekowi, którego odwiedzili. Feniks był wyraźnie podekscytowany spotkaniem. To dobrze: w drodze do domu nie zauważy jej roztargnienia.

Gueranie są kluczem do zagadki, pomyślała. Tylko co ja mogę o nich wiedzieć?

*

Kiedy w końcu dotarli do mieszkania Feniksa, było późno i oboje czuli zmęczenie. Jamie przez całą drogę toczyła wewnętrzną i bardzo denerwującą dyskusję. Większość Innych nie wiedziała wiele więcej od niej, a inni podejrzanie milczeli. Czy to możliwe, że ktoś z nich znał prawdę i nie chciał jej powiedzieć? Jeśli tak, to chyba się wścieknie, kiedy wreszcie się dowie. Jak to jest wściekać się na kogoś w twojej własnej głowie? Inni robili to przez cały czas, ale ona nigdy nie brała w tym udziału.

Sen jednocześnie przestraszył ją i wprowadził w euforię. Gdyby tylko potrafiła wywoływać takie obrazy i badać ich sens, byłoby wspaniale. Natomiast jeśli zaczęła samoistnie nawiedzać ją na jawie, będzie miała poważny problem. Już dostatecznie trudno było jej iść przez życie, mając kilka różnych osobowości. Gdyby w dodatku musiała walczyć z majakami, aby dostrzec rzeczywistość, mogłoby to okazać się zadaniem przekraczającym jej możliwości.

W końcu znaleźli się w wąskim korytarzu wiodącym do mieszkania Feniksa. Miała tylko nadzieję, że kiedy znajdą się w środku, Katlyn nie zechce zacieśniać łączących ich więzów, ponieważ była śmiertelnie zmęczona. Zaczekała, aż Feniks otworzy drzwi, i uśmiechnęła się słabo, kiedy wpuścił ją do środka. Może zaraz pójda spać i przyśni jej się coś użyteczniejszego.

Weszła do ciasnego mieszkanka, mijając stosy chipów, przewodów i różnych elektronicznych urządzeń, wokół których tak ostrożnie sprzątała - wydawało się, że całe wieki temu.

Nie, ostrzegł głos. Coś jest nie tak.

Raven? - spytała zaskoczona.

Stół. Wygląda nie tak.

Spojrzała uważniej na stertę elektroniki na środku blatu. Z trudem przypominała sobie, jak wyglądało to poprzednio, ale jakoś jej się udało. Zanim zabrała się do sprzątania, długo i uważnie przyglądała się wszystkiemu, usiłując ocenić, które przedmioty są dla niego ważne, a które nie. No tak, tam powinien leżeć stosik chipów, a na skraju stołu jeszcze kilka...

Nic nie powiedziała, tylko wyciągnęła rękę do Feniksa. Był dostatecznie blisko i chwyciła go za ramię. Ostrzegawczym spojrzeniem kazała mu milczeć i ruchem głowy wskazała stół. Czy zauważył? Najwidoczniej tak, bo nagle zeszywniał i czujnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Z wyrazu jego twarzy poznała, że dostrzegł również inne zmiany. Ktoś tu był, ruszał jego rzeczy, i może nawet coś zabrał. A to oznaczało że nieproszeni goście chcieli czegoś, co miał Feniks. Albo ona.

Co znów oznaczało, że mogli tu wrócić, jeśli jeszcze tego nie znaleźli.

Drzwi do sypialni były zamknięte. Nie przypominała sobie, żeby je zamknęła.

Serce zamarło jej w piersi. Zerknęła na Feniksa, na drzwi i znów na niego. Miał obojętną minę, ale wiedziała, że robi to tylko dla niej, bo krew odpłynęła mu z twarzy. Chwycił Jamisę za ramię i mocno uściśnął w niemym ostrzeżeniu. Potem uśmiechnął się z przymusem i rzekł:

- Wiesz co? Zapomnieliśmy kupić czegoś do jedzenia. Nic tu nie mam. Może gdzieś skoczmy? Kilka korytarzy stąd jest niezła jadłodajnia. Weźmiemy coś na wynos i zjemy tu.-
Niezły pomysł - zdołała wykrztusić.

Szybko ruszyli do drzwi. Może za szybko. A może ten ktoś czający się w sypialni nie miał cierpliwości czekać aż wrócą.

Drzwi sypialni otworzyły się z sykiem.

Coś małego śmignęło w kierunku Jamisi i zadrasnęło jej ramię, gdy gwałtownie szarpnęła się w bok. ALARM! - ostrzegł program zdrowotny jasnoczerwonymi literami. OBCA SUBSTANCJA W WARSTWIE EPIDERMALNEJ. Nie było czasu, by na to odpowiedzieć. Feniks wyciągnął ją za drzwi tak energicznie, że prawie straciła równowagę. Ktoś biegł ku nim, lecz drzwi z sykiem zamknęły się tak szybko, że nie zdążyła zobaczyć kto. Feniks przez kilka sekund spoglądał na drzwi, w skupieniu marszcząc brwi. Domyśliła się, że wszedł do oprogramowania zamka i zablokował go.

- To ich zatrzyma na chwilę - mruknął w końcu. Kiedy chwycił ją za rękę i odciągał od drzwi, już słyszała w środku syk jakiegoś narzędzia lub broni, którą napastnicy usiłowali je sforsować.

Pobiegli. Jednym korytarzem, a potem drugim, skręcając pozornie przypadkowo. Raz Jamisia usłyszała w oddali stek przekleństw i odgadła, że prześladowcy rozbili drzwi. Może przewaga, jaką zyskali dzięki sztuczce Feniksa z zablokowaniem zamka, pozwoli im uciec.

- Tędy! - syknął Feniks, złapał ją za ramię i pociągnął w lewo z taką siłą, że o mało jej nie przewrócił. Czy nie widział, że ledwie trzymała się na nogach? Cokolwiek wstrzyknęli jej w ramię, teraz uderzało jej do głowy i z trudem mogła zebrać myśli. Czy te pospieszne kroki przed nimi zapowiadały następnych przeciwników? Oczywiście, pomyślała. Nie zastawia się takiej zasadzki, nie odcinając dróg ucieczki. Co oznaczało, że nie ma stąd wyjścia. Tamci na pewno obstawili wszystkie korytarze.

Powróciły wspomnienia innej ucieczki, trzy lata wcześniej, tunelami osiedla Shido, wibrującymi od wstrząsających satelitą eksplozji. Potknęła się i Feniks musiał pomóc jej wstać. Ledwie czuła uścisk jego dłoni. Odgłosy pościgu zbliżały się. O Boże, już po nas...

A wtedy on zatrzymał się przed ścianą i znieruchomiał, zaledwie na moment. Płyta maskująca otwór tunelu technicznego odsunęła się na bok.

- Wchodź! - rozkazał, zupełnie niepotrzebnie. Wpadła do środka przez wąskie przejście i rozfągnęła się jak długa na twardej podłodze. Feniks wskoczył za nią i zamknął drzwi. Potem oboje wstrzymali oddech, gdy stłumione kroki za ścianą przybliżyły się i oddaliły, nie cichnąc ani na chwilę.

- To nie zatrzyma ich na długo - zdołała wyszeptać. Słowa miały dziwny smak, a jej język był dziwnie opuchnięty.

- Też tak myślę. Zawsze jednak zyskamy trochę czasu.

Czekał, aż dziewczyna wstanie; próbowała to zrobić, naprawdę próbowała, lecz ciało przestało jej słuchać. W końcu podniósł ją i obejmując w pół - co przyszło mu z trudem, gdyż był znacznie wyższy - ruszył naprzód. Potykała się, ale jakoś szła. Za wolno. Wprowadzony do jej organizmu narkotyk działał szybko i silnie. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma.

Kiedy prześladowcy zorientują się, że ścigani wymknęli się z potrzasku, i domyśla, którzy uciekli?

Nagle Feniks zamarł i zauważyła, że myślami przeniósł się gdzie indziej. Tylko na chwilę, a potem wrócił do niej.

- Atom spróbuje zamknąć wszystkie włazy, żeby nie mogli tu wejść. Jeśli mu się uda, będziemy bezpieczni. - Spojrzał na nią. - Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się słabo i skłamała.

- Jasne.

Pomógł jej iść wąskim tunelem konserwacyjnym, przez labirynt rur, kabli i przedmiotów, których przeznaczenia nawet nie chciała się domyślać. Wyglądało, że Feniks zna drogę, ale pewnie miał w głowie plan tego miejsca. Ona z trudem szła, nie mówiąc już o myśleniu. Od narkotyku zdrętwiał jej bark, a przy każdym oddechu czuła złowrogie klucie w płucach. Czy ta toksyna miała ją zabić, czy tylko obezwładnić? Program zdrowotny migotał ostrzegawczo i pytał o instrukcje, ale nie mogła zebrać myśli, żeby mu je podać.

- Cholera! - zaklął nagle Feniks.

- Cooo?

- Atom mówi, że włamali się do systemu i usiłują znaleźć nas skanerem termowizyjnym. Niech to szlag! No cóż, przynajmniej wiemy, że to nie ludzie Ra, bo ci nie musieliby włamywać się do systemu. Mieliby kody dostępu. - Uśmiechnął się ponuro. - Prawdę mówiąc, wolałbym, żeby to była ona. - Możesz coś na to poradzić?

- Atom usiłuje to wyłączyć. Jednak mówi, że to wygląda na działanie zbiorowe i trudno mu się z tym uporać w pojedynkę.

- A nie możesz mu pomóc? Spojrzał na nią z lekkim rozbawieniem.

- Nie teraz, kiedy uciekam przed tymi facetami. Nawet moje możliwości mają pewne granice. - Przytrzymał ramię Jamisi, obejmujące jego szyję. - Miejmy nadzieję, że pamięta wszystko, czego go nauczyłem.

Światła awaryjne, pomarańczowe lampki rozmieszczone w regularnych odstępach na ścianie, nagle zgasły. Potem znów się zapaliły. Zgasły. Znowu się włączyły. Pozostały zapalone.

- Michał...

- System wariuje, to wszystko. Zbyt wielu ludzi w nim grzebie

- rzucił niedbale, ale w jego głosie słychać było niepokój. - Chodź.

Usiłował zmusić ją do biegu, ale zdołała tylko chwiejnie iść naprzód. Nie czuła już prawej strony ciała, tylko łomot serca, tłukącego się z potworną siłą w klatce piersiowej. Wkrótce straci przytomność albo umrze od trucizny, i co on wtedy zrobi? Może gdyby ją zostawił, byłby bezpieczny. Była przekonana, że tamtym chodziło o nią, nie o niego. Jeśli ją zostawi, czy Jamisia ocknie się na sali operacyjnej, poddawana sekcji? Czy w ogóle się obudzi?

Nagle Feniks zeszytywniał. Uniosła głowę, wypatrując niebezpieczeństwa, ale w tunelu nie dostrzegła nikogo. Czy otrzymał jakąś złą wiadomość? A może ktoś włamał się do jego mózgu, przeprowadzając bezpośredni atak? Czytała, że to możliwe.

Popatrzył na nią i rzekł:

- Ludzie Ra wchodzą do akcji.
- To dobrze czy źle? - zdołała wykrztusić.
- Dobrze. Tak sędzę.

Zawahał się, sprawdzając mapę, a potem zmienił kierunek marszu.

- Jej ludzie zauważyli włamanie do systemu i tropią źródło. Dostrzegli, że ktoś jest w tunelach. Atom uważa, że nie wiedzą, kim jesteśmy. Ra podejrzewa, że coś się dzieje, i zmobilizowała ludzi.

- Jamisia potknęła się i musiał zmienić chwyt, żeby mocniej ją przytrzymać. - Wiesz, ona zatrudnia kilku najlepszych hakerów w branży, samą elitę... A poza tym... Nie będzie zadowolona z tego, że oddział uderzeniowy wtargnął do jej miasta, obojętnie kim oni są i czego chcą. - Spojrzał na Jamisę. - Może u niej będziemy bezpieczni. Chyba że i przed Gildią masz coś do ukrycia.

Łzy napłynęły jej do oczu i nie była nawet w stanie zamrunąć, żeby je powstrzymać.

- Nie wiem - szepnęła. - Nie wiem, dlaczego oni...

Tylko tyle zdołała wykrztusić. Nogi ostatecznie odmówiły jej posłuszeństwa i zawisła na szyi Feniksa. Pomarańczowe lampki migotały w jej polu widzenia, podobne do ławicy śmigających w wodzie rybek.

- Dobra, dziewczyno. Idziemy.

Poczuła uderzenie w brzuch, kiedy przerzucił ją sobie przez ramię. Jej stopy oderwały się od podłogi i przez moment myślała, że zwymiotuje, tak zakręciło jej się w głowie. Potem tylko leżała bezwładnie, przytulona ramionami i torsem do jego pleców. Miała nadzieję, iż Feniksowi wystarczy sił, żeby donieść ją tam, dokąd zmierzał.

Dokąd?

Czuła, jak chwieje się pod jej ciężarem, usiłując biec. Nie ważyła dużo, ale on nie był atletą. Może powinien zejść niżej, na poziomy o zmniejszonym ciężeniu, gdzie jej ciężar byłby mniejszy. Oczywiście, prześladowcy na pewno się tego spodziewali i czekali tam na nich... Kiedy biegł, na przemian traciła i odzyskiwała przytomność, rytmicznie objając się o jego plecy. Będą czekać na nich wszędzie...

Nagle Feniks stanął. Delikatnie położył ją na podłodze. Zamglonymi oczami zobaczyła następne drzwi, większe od tych, którymi weszli. Obok nich znajdowała się skrzynka kontrolna, którą Feniks otworzył. Biedaczysko, był cały zlany potem z wysiłku i drżały mu ręce, kiedy naciskał klawisze skomplikowanego panelu.

- Atom mówi, że oni są tutaj, w tym sektorze. Jeśli uda mi się do nich dotrzeć, może udzieli nam azylu.

Wydawało jej się, że w tunelu za nimi słyszy echo zbliżających się kroków. Stłumione kroki i pobrzękiwania.

- Będziemy bezpieczni.

Bezpieczni? Przecież Gildia też ją tropiła. On o tym nie wiedział. Nie powiedziała mu o radiolokatorze w ramieniu. Próbowала powiedzieć to teraz, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa.- Jeśli to naprawdę wiadomość od Atoma - mruknął. - Oczywiście, zawsze istnieje możliwość, że przejęli połączenie i czekają tam na nas. - Obejrzał się. Widocznie i on słyszał te głosy. - Tylko że i tak nie mamy innego wyjścia.

Drzwi otworzyły się. Wziął ją w ramiona i przeniósł przez próg, na publiczny korytarz. Ktoś biegł w ich stronę, widocznie zaalarmowany dźwiękiem otwierających się drzwi lub sygnałem jakiegoś czujnika. Umundurowani ludzie. Wielu. Nie mogła dostrzec szczegółów, ale zauważyła, że wszyscy mieli broń. I wszyscy celowali do niej i do Feniksa.

.Jesteśmy bezpieczni?" - chciała zapytać, ale z jej ust wydostał się tylko cichy jęk.

Usłyszała, że Feniks coś do nich mówi, ale nie zrozumiała słów. Żaden dźwięk nie mógł się przedrzeć przez szum w uszach i opary narkotyku, spowijające jej mózg.

Tamci nie opuścili broni. Ktoś rzucił ostry rozkaz i ruszyli naprzód...

Zapadała w ciemność. Wraz ze światłami, dźwiękami, wszystkim. Próbowала się opierać, chwycić ostami promyk światła, jaki jeszcze widziała, ale narkotyk był zbyt silny.

Zrób coś, żebyśmy byli bezpieczni, Feniksie. Proszę.

XXX

Jak możecie mówić o ludzkiej duszy, wy, którzy porzuciliście ją tak dawno temu? Czy myślicie, że jeśli wstawiacie gen tu czy tam albo nieznacznie poprawiacie chemizm, nie zmieniacie tego, kim i czym ostatecznie jest człowiek?

My, Gueranie, wolimy duszę w jej naturalnej postaci. Czerpiemy siłę z naszych słabości, mądrość z jej wad, oraz radość z jej niedoskonałości. Podczas gdy wy, patrząc na nas, widzicie tylko chorobę, brzemię, którego należy się pozbyć, my dostrzegamy niewykorzystany potencjał ludzkich możliwości.

I cieszymy się tym, i nie zamierzamy za to przeproszać.

DR ALEX ROME „*Uświęcona dusza*”

WĘZEL PROSPERYTYJSKI STACJA PROSPERITY

To był długi dzień, Ian Kent czuł jego ciężar na ramionach, gdy dotarł do głównej bramy swego domu. Nienawidził dni, kiedy musiał grać rolę zarządcy tego węzła. Czuł się wtedy jak mały biurokrata, a to z kolei przypominało mu, kim był przedtem i co stracił.

Programy zabezpieczające powitały go, sprawdziły ciało, hełm i mózg. Widocznie był sobą, bo brama się otworzyła. Chciałby być tego równie pewny.

Znużonym krokiem przeszedł przez hol, odpinając zatrzask spinający pod szyją długi płaszcz. Około południa poziom środków uspokajających we krwi stał się dokuczliwy, otepiający do tego stopnia, że w końcu musiał zmniejszyć dawkowanie, żeby trochę popracować. Zrobił to kilka godzin temu i teraz ból zaczął dawać mu się we znaki. Tyle bólu. Idąc po schodach, zaciskał dłoń na poręczy, usiłując skupić się na tym doznaniu, a nie na własnych myślach. Może gdyby zdecydował się na implant... Nie, nie mógł znieść myśli o tym, że ktoś miałby grzebać mu w mózgu, nawet dokonując tak prostego zabiegu. Już i tak był kaleką. Nie będzie ryzykował. Dozownik w ramieniu wystarczy, wszyscy kosmopiloci polegali na tym urządzeniu. Jeśli to nie zdoła go uspokoić, to po prostu nie będzie spokojny.

Dziś wieczorem pójdzie do swego gabinetu.

Zdjął długi płaszcz, który był symbolem jego rangi, i wysłał go do czyszczenia. Pod nim nosił inny, dopasowany strój, nieco podobny do roboczego kombinezonu kosmopilota. Bywały dni, kiedy noszenie tego ubioru sprawiało mu przykrość, ale nie mógł się od tego powstrzymać. Był jego częścią, jak druga skóra, istotną częścią jego osobowości. Przystanął w kuchni, żeby wziąć coś do jedzenia - szarawe ciasto oblepiające bezbarwne mięso, ale nawet nie zainteresował się, co to takiego - i zaczął żuć machinalnie, podchodząc do drzwi gabinetu, migocząc ikoną klucza.

Przeszedł... Wkroczył do pokoju i usłyszał syk zamykających się drzwi. Na środku gabinetu stała konsola artysty - owalne biurko z osadzoną w nim klawiaturą oraz fotel z pełnym hełmem. Wokół znajdowały się obrazy. Abstrakcyjne obrazy we wszystkich odcieniach szarości. Niektóre były ostrymi, poszarpanymi kompozycjami pozałamywanych płaszczyzn, poszarpanych krawędzi i linii bez początku czy końca. Niektóre wyglądały złowrogo i groźnie, złożone ze zwojów i pętli zdających się pulsować na tle mglistego tła. Większość była połączeniem tych elementów, kształtów i tekstur wymieszanych w pozornie przypadkowy sposób, tworzących sztukę, która była dziwnie złowieszczą, rozkojarzoną... może nawet szaloną? Czy nie tego słowa używano na starożytniej Ziemi na określenie stanu umysłu człowieka, który stracił kontakt z rzeczywistością innych ludzi? Czy on, Ian Alexander Kent, był szalony?

Z westchnieniem spojrział na te niepokojące obrazy, niechętnie potrząsając głową. Były nieudane, co do jednego. Tego, co pragnął wyrazić, nie uda się ująć w żadną formę artystycznego przekazu. Tej wizji, którą utracił, której jego uszkodzony mózg nawet już nie potrafił nazwać... Tęsknił za *ainniq*, marzył o tym, by stworzyć sobie choćby jego namiastkę, kącik, w którym mógłby się na chwilę zaszyć. Lecz nie udawało mu się to. Inni kosmopiloti też tego próbowali, lecz nawet posługując się barwami, nie zdołali oddać strasznego, przerażającego piękna *ainniq*. Jak mogło się to udać jemu, mającemu tylko okaleczony mózg i odcienie szarości?

Przez chwilę myślał o samobójstwie. Tylko przez chwilę. Na skraju pola widzenia zamigotały słowa ostrzeżenia od programu zdrowotnego: POZIOM SEROTONINY OBNIŻA SIĘ. SKORYGOWAĆ? Zawahał się. Domyślną odpowiedzią było „tak”, więc jeśli nic nie zrobi, zupełnie nic, w ciągu dziesięciu sekund dozownik wpuści mu do krwiobiegu odpowiedni środek, który wyrówna stężenie neurohormonu. Taka była rola tego skomplikowanego urządzenia wykorzystywanego przez wszystkich kosmopilotów poza *ainniq*.

Jesteśmy obcymi, pomyślał. Te słowa miały ponury smak, złowrogi lecz nawet przyjemny. Mamy ludzkie ciała, ale potrzebujemy leków i programów, które czynią nas ludźmi. Tylko w *ainniq* możemy się bez nich obejść i być sobą.

Dziś wieczorem chciał być sobą. Choć przez moment.

Nabrawszy tchu, wyobraził sobie ikonę przeczenia: „nie”. Program zdrowotny wycofał się, jego komunikat zgasł. Niech mózg chociaż raz robi to, do czego stworzyła go natura. Tej decyzji towarzyszył dreszcz strachu, lecz nawet to uczucie było mile widziane. Strach był częścią świata kosmopilota, strach tak potworny, że inni ludzie nie mogliby go znieść... lecz bez tego lęku podróże międzygwiazdne nie byłyby możliwe, więc i on był cenny.

Strzeż się smoków ziejących czerwienią.

Usiadł w rzeźbionym fotelu przed konsolą, kładąc na niej ręce. Oczami duszy ujrzał ikony dające mu dostęp do programów medycznych i w końcu wywołał harmonogram dozowania specyfików. Oto syndrom kosmopilota, sprowadzony do wykazu leków. Wprowadź ten środek do krwiobiegu, a stłumi strach; stymuluj te neurony, a te części mózgu, które wyłączyłyby się, pozostaną aktywne. Przejrzał ponad sto instrukcji dotyczących leków, programów, monitorowania i kontroli - oprogramowanie i sprzęt pozwalające zachować zdrowe zmysły.

Była tam jedna procedura, która wyłączała to wszystko, uruchamiana ikoną nigdy nie używaną poza *ainniq*. Jeden sekretny symbol, używany tuż przed przejściem. Kent zamknął oczy, a kiedy ujrzał tylko ciemność, wyobraził sobie ten płonący znak.

JESTEŚ PEWNY? - zapytał po krótkiej przerwie program zdrowotny. Bursztynowe słowa, równie jasne jak ikona.

Wahał się tylko przez moment. TAK, mignął w odpowiedzi. JESTEM PEWNY.

Wiedział, że przez kilka sekund nic nie poczuje. Długimi palcami przebierał po klawiszach konsoli, przygotowując arkusz plasteksu pod nową kompozycję. Zauważył, że trzęsą mu się ręce. Czy już się zaczęło? Czy już to czuł? Klawisze pod jego palcami były jak pulpit kontrolny transportowca - specjalnie tak je zaprojektował - i na chwilę zapomniał o tym, gdzie jest. Spojrzał w górę i wyobraził sobie, że patrzy przez bezmiar bezpiecznego kosmosu i wąski otwór *ainniq*... Tutaj nie miało znaczenia, że nie rozróżniał barw, gdyż otaczające go niebo było czarne jak węgiel, gwiazdy migotały srebrzyście, a blade pasmo *ainniq* było prawie niewidoczne. Dopiero kiedy znajdzie się blisko, bardzo blisko, wygląd *ainniq* ulegnie zmianie. Trzeba będzie wprowadzić statek w szczelinę światła, w ranę powstałą przy narodzinach wszechświata, gdy fale uderzeniowe potwornej eksplozji rozdarły kosmiczną materię...

Westchnął, nie odrywając rąk od klawiatury. Chaotyczne czarno-szare wzory pojawiły się na leżącym przed nim arkuszu plasteksu, w odpowiedzi na wypełniające jego mózg emocje, odzwierciedlające majaki światła i ciemności. Wiedział, że nie panuje nad programem artystycznym tak, jak powinien, lecz jego dłonie wydawały się teraz żyć własnym życiem i nie mógł nad nimi zapanować. Serce coraz mocniej biło mu w piersi, a program zdrowotny migał ostrzegawczo na skraju pola widzenia. Te słowa były bełkotem w nieznanym mu języku. Co robiły w jego głowie? Kto je tam umieścił? Liczył się tylko *ainniq*, musiał być w *ainniq*... tylko tam będzie bezpieczny.

Przesuwając dłonie po klawiaturze, którą wyczuwał, lecz nie widział, ustawił statek na odpowiedniej pozycji. Czuł rosnące przerażenie, jednak jeszcze powstrzymywane przez umieszczone w jego mózgu oprogramowanie. Dopiero kiedy wejdzie w *ainniq*, jego syndrom kosmopilota ujawni się z całą mocą.

Pragnął tego. I bał się. Wiedział, czym jest naprawdę - chorobą tak okropną, że nawet guerańskie społeczeństwo, zwykle tolerujące wszelkie rodzaje psychicznych mutacji, zwalczało ją lekami i programami, aż niczym dzika bestia skuliła się w kącie mózgu, pokonana, ale nigdy nie ujarzmiona. I poddawała się tylko na chwilę. Przychodził moment, kiedy zobaczy przed sobą bezmiar *ainniq*, ogromną ranę świata jarzącą się nieziemskim

blaskiem... I ujrzy ten sekretny wszechświat w całej jego chwale, a wówczas zadziałają programy przejścia - syndrom z rykiem ożyje w jego mózgu, pożerając zdrowe zmysły, wypełniając żyły wrzącym przerażeniem...

Jęknął, odchylając się na fotelu. Co oni wiedzą o tej chwili, ci głupcy rządzący Gildią? Cóż wiedzą o tych pierwotnych odruchach, które wtedy biorą górę, gdy cywilizowane myśli ustępują pod naporem zwykłego instynktu samozachowawczego? Kiedy wszechświat ryczy tysiącem głosów i migocze błyskami światła, a on wślizguje się w *ainniq*, jak chirurg wbijający w ciało laserowy skalpel...

Potrzebuję tego, pomyślał. Pot wystąpił mu na czoło, gorące krople spłynęły po twarzy i zadrżał.

Tak bardzo tego potrzebuję.

Minęły lata od ostatniego przejścia... a może nie? Nagle nie był tego pewny. Czy nie w zeszłym e-tygodniu przeprowadził przez *ainniq* konwój frachtowców? To wspomnienie było dziwnie ulotne, nieuchwytnie - nie potrafił go umiejscowić w czasie. A e-miesiąc wcześniej szereg kapsuł pasażerskich... Dlaczego drżą mu dłonie? Dlaczego odczuwa taką straszną chęć poddania się syndromowi, jak najszybciej, zanim ktoś zdoła go powstrzymać?

Szumiało mu w uszach, jakby tysiąc głosów wrzeszczało jednocześnie. Dobrze znał ten dźwięk, wiedział, jaką zmianę poprzedzały. Gdzie jest *ainniq*? Czujnym spojrzeniem omiótł przestrzeń, chcąc umiejscowić szczelinę. Gdzieś w oddali program artystyczny wychwycił jego emocje, przetłumaczył je na cyfrowy format i naniósł na przygotowany arkusz plasteksu. Gorąca szarość, lodowata szarość i szarość płynącej krwi...

ALARM - wyświetlił program zdrowotny - NARUSZENIE PROCEDUR PROGRAMU OCHRONNEGO - ALARM - NARUSZENIE PROCEDUR PROGRAMU OCHRONNEGO -

Jest. Jak skaza w kryształach, strzaskane płaszczyzny przestrzeni stykające się świetlistymi krawędziami. Nie dało się tego dostrzec, dopóki nie podleciało się blisko, a wtedy nagle rozpościerał się przed tobą, ten welon światła widoczny jedynie pod pewnym kątem...

ALARM - NARUSZENIE PROCEDUR PROGRAMU OCHRONNEGO -

Nagle nie mógł złapać tchu. Jęknął, gdy jego stateczek zajął pozycję do przejścia w *ainniq*. Jakby żelazna obręcz ścisnęła mu pierś. Plamki przed oczami...Przestrzeń otworzyła się przed nim. Potwory runęły naprzód z rykiem, który wstrząsał gwiazdami - smoki *ainniq*, teraz uwolnione do zwykłego świata, ziejąc kolorami wściekłości i głodu, jakich nie było w stanie rozróżnić ludzkie oko. Poczul ich głód, gdy *sana* mknęły ku niemu, mroźne i żarłoczne

jak sama przestrzeń. Tysiące i setki tysięcy potworów wylewały się przez szczelinę jak demony z piekieł, mutując w locie, zmieniając się z każdą chwilą...

Nagle nie miał klawiatury pod palcami. Ani hełmu na głowie. Był nagi w ciemności, bez powietrza, którym mógłby oddychać, a lodowato zimna próżnia wlewała mu się do płuc. W panice usiłował zrozumieć, co się dzieje, lecz myśli nie chciały ułożyć się w logiczny ciąg. Kryształły osiadały mu na wargach i we Włosach, a para oddechu zamarzała, osypując się deszczem gwiazd. A wokół gromadziły się *sana*. Teraz nie tylko wygłodniałe, lecz niewypowiedzianie złośliwe. Krążyły wokół niego, drwiąc, mszcząc się za te wszystkie lata, przez które je pokonywał. *Gdzie twój statek, człowieczku? Uciekaj do twoich kapsuł, no już. Uciekać? Jak można uciec przed czymś, czego nie widać? Niewidomy człowiek jest bezsilny.*

Potem pierwszy dotknął go i zaczął szarpać ciało - nie, nie ciało, lecz samą duszę - miażdżąc, gniotąc, rozdzierając granice jego osobowości, aż życie zaczęło wyciekać w mrok. A wtedy zaczęły się pożywiać...

ALARM

ALARM

AWARIA PROGRAMU ZDROWOTNEGO BIOSYSTEMY WYŁĄCZONE...jego duszą.

Wiedziałaś, że wygramy, Kent, prawda? Prawda?

XXXI

OTTA

Inni pracują, aby przeżyć. *Otta* pracuje dla rozrywki.

Inni jedzą, ponieważ są głodni. *Otta* je dla przyjemności.

Inni lubią odganiać samotność. *Otta* uwielbia dzielić się radością.

Jedni gardzą nim, inni mu zazdroszczą, lecz jedno jest prawdą dla wszystkich innych *kaja*: ci, którzy nie mają natury *otta* i nie przyłączą się do jego zabaw, nigdy nie zdołają go w pełni zrozumieć.

KAJA: „*Kosmiczny przewodnik po guerańskim systemie społecznym*”, tom II: *Znaki duszy*.

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

Jamisia obudziła się w laboratorium. Lśniące wyświetlacze, zmieniające się hologramy, umalowane twarze... Dopiero po chwili w pełni odzyskała kontrolę nad swoim

ciałem i przez chwilę myślała, że przejmie je jeden z Innych. Nie była to jednak odpowiednia chwila na wymianę dusz i tak też im powiedziała. Nie teraz, kiedy pojawiające się i znikające z jej pola widzenia twarze nosiły znaki Gildii.

Znaki Gildii? Przestraszona tą myślą, przez moment wejrzała w siebie.

Skąd ja to wiem?

Nie wiesz, powiedziała jej Raven. Ja to wiem. Znalazłam przewodnik na temat kaja, który pewnie załadowano ci na Ziemi. Streszczę ci go, kiedy znajdziesz chwilę czasu.

Dzięki Bogu, że inne jej osobowości jakoś funkcjonowały. W przeciwieństwie do tej należącej do Jamisi Shido.

- Kandro? - powiedziała kobieta o pomalowanej twarzy. - Kandro, musisz z nami porozmawiać. Powiedz nam, jak się czujesz.

Przez chwilę myślała, że kobieta mówi do kogoś innego. Potem przypomniała sobie fałszywe nazwisko, jakim posługiwała się na Paradise, a które ani na chwilę nie zwiódło Feniksa. Widocznie podał im je zamiast prawdziwego. Spryciarz.

- Nic... - Chciała odpowiedzieć, ale zrobiło jej się niedobrze. Przez moment z najwyższym trudem powstrzymywała mdłości. - Nic mi nie jest - wykrztusiła.

Trudno było coś wyczytać z tej pomalowanej twarzy, ale wydało jej się, że dostrzega na niej ulgę.- W porządku, ośrodek mowy funkcjonuje.

Poczuła, że jakiś mechanizm uwalnia jej ramiona, nogi i tors. Wielka półokrągła pokrywa wycofała się znad jej ciała i z cichym pomrukiem schowała się w łożu gdzieś poniżej nóg.

- Na razie wygląda to nieźle. Sądzę, że nie doszło do uszkodzeń narządów.

Ujrzała pływającą we mgle twarz Feniksa i zdołała zapytać:

- Co?

- Trucizna działająca na układ nerwowy - odparł z ponurą miną. - Mająca trwale cię obezwładnić, pozostawiając nietknięte tylko szare komórki mózgu i utrzymujące je przy życiu ciało. Przynajmniej tak sądzimy.

- Być może starannie dobrali dawkę - sprostowała Gueranka. - Stężenie toksyny w twojej krwi nie pozwala stwierdzić, czy miała wywołać trwały paraliż, czy tylko czasowo obezwładnić.

Te słowa brzmiały nieprzekonująco i Jamisia podejrzewała, że Feniks był znacznie bliższy prawdy. Na samą myśl poczuła się jeszcze gorzej. Czy jest lepszy sposób na wydobycie tajemnic z czyjejś głowy niż pozbawienie jej żyjącego ciała? Jedyłą gorszą od

niewoli rzeczą, jaka mogła ją spotkać, było uwięzienie w pojemniku i odżywianie przez rurki do czasu, aż zechcieliby z nią porozmawiać.

- No, dziewczyno. - Silne dłonie chwyciły ją za ramiona, a czyjaś ręka wsunęła się pod plecy. - Spróbuj usiąść. Pomożemy ci.

Zrobiła to i pokój zawirował jej przed oczami. Ukryła twarz w dłoniach, walcząc z mdłościami. W następnej chwili ktoś podał jej woreczek, z którego szybko skorzystała.

- Dobrze, dobrze. Należało się tego spodziewać. Teraz już będzie dobrze. - Ktoś inny podał jej wilgotny ręcznik, którym otarła sobie twarz. Teraz poczuła się trochę lepiej, jakby, opróżniony żołądek, pozbyła się reszty trucizny. - Naprawdę ci się udało. Gdyby pocisk wbił się ułamek centymetra głębiej, wprowadziłby tyle trucizny, że twój organizm nie zdołałby się z nią uporać.

- Dzięki - zdołała wykrztusić. A potem dodała ze słabym uśmiechem: - Chyba miałam... szczęście.

Zobaczyła, że w pomieszczeniu, które wyglądało na salę operacyjną, było co najmniej kilku Gueran. Nad łóżkiem, na którym leżała, wisiały rozmaite urządzenia, jak...

*...krzyczeć, krzyczeć, a ból nigdy się nie kończy, i strach, i samotność, tutaj! Jestem tu!
Wracaj do mnie, słyszę cię, wracaj!*

- Co się dzieje? - To Feniks. - Co się stało?

*...wspomnienia, wspomnienia, sucho gorąco ból umieram samotność gdzie gdzie
gdzie... Chodź tu! Słyszysz! Nie zostawiaj mnie tu!*

Zdołała wydobyć z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk. Lekarka wróciła do Jamisi i przyłożyła jej do głowy coś zimnego. W polu widzenia zatańczyły iskry, tym bardziej przerażające, że za nimi pojawiały się widmowe obrazy.

Potrzebuję wspomnień - potrzebuję strachu - spróbuj jeszcze raz...

NIEEE

- Kandro? Kandro? - to znów ta kobieta. Kogo ona woła? Nie ma w niej nikogo takiego. Wiele, wiele imion, ale nie to. - Kandro, chcę żebyś spojrziała na światło. Jest tuż przed tobą. Skup wzrok na świetle.

- Zaczyna się atak - usłyszała męski głos. - Prawy zespół mnemoniczny...

POTRZEBUJĘ STRACHU POTRZEBUJĘ STRACHU POTRZEBUJĘ STRACHU

Coś zasyczało przy jej szyi. Znów zawirowało w głowie, a potem ostry ból przeszył jej kark. Światło wypełniło oczy i oślepiło ją.

- O, Boże. - Krzyczące głosy w jej głowie przycichły, lecz nadal słyszała je w oddali, jak szepczące echo bólu. - Co to było?

- Stan pacjentki ustabilizowany - ponownie usłyszała męski głos.

- Powinnaś zostać tu jeszcze trochę - powiedziała kobieta. - Musimy mieć pewność, że nie będzie nawrotów.

- Nie. - Spojrzała na aparaturę medyczną. To te urządzenia przywołały jakieś głęboko ukryte w podświadomości wspomnienie. Musi się stąd wydostać, inaczej ono powróci. - Nie. Nie mogę tu zostać.

W uszach narastało wycie. Wiedziała kto to. Ból obudził jego.

Feniks pomógł jej zejść ze stołu. Lekarze nadal ją namawiali, żeby została, ale ich nie słuchała. Zusu płakała, bojąc się, że źli ludzie zaraz przyjdą i zabiorą ich. Napomnienia nic nie dawały. W końcu Jamisia szepnęła „Przestań!”, dostatecznie głośno, by wszyscy obecni w pokoju spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Nawet Feniks. Łzy popłynęły jej z oczu, wywołane lękiem, zmęczeniem i straszliwą samotnością. Nikomu nie mogła powierzyć prawdy, nawet jemu. I nigdy nie będzie mogła. Była samotna w realnym świecie i nigdy, przenigdy sama w swojej głowie. Nie była w stanie poradzić sobie z tym. Nie miała siły...

Zrozumiała, do czego prowadzi i od kogo pochodzi ta myśl. Rzuciła ostro: *Zusu! Wynoś się z mojej głowy, już! Nie masz tu nic do roboty.*

Miała wrażenie, jakby ktoś nadał się odszedł, i znów była w stanie zebrać myśli.

- Gdzie jesteśmy? - szepnęła do Feniksa.

- Na stacji Paradise. W głównej kwaterze Gildii. - Wyraz jego twarzy zdradzał podniecenie, a jednocześnie zdenerwowanie wywołane tym faktem. - Przejęli nas ludzie Ra. Lekarze powiedzieli, że wymagasz natychmiastowej pomocy, więc ona ma spotkać się z nami później. Kiedy poczujesz się na siłach.

- Ra?

- Tak.

Och, to niedobrze, bardzo niedobrze. Jeśli gildmistrzynie zamierza spotkać się z nimi osobiście, to oznacza, że uważa ich za bardzo ważnych, a więc coś o nich wie. Jamisia westchnęła. Ilu jeszcze ludzi wie o niej różne ważne rzeczy, podczas gdy ona sama wie tak niewiele?

Była zmęczona ucieczką. A poza tym to i tak nic nie dawało. Jej prześladowcy nie rezygnowali, nie wrócili do domu, nie dali się zwieść. A przynajmniej nie na długo. Ile jeszcze czasu zdoła przetrwać w kosmosie, bez domu, rodziny i stacji, która by ją broniała? Rozpacz wezbrała w niej z obezwładniającą siłą.

Odejdź, Zusu. Tamta jednak już siedziała w kącie jej umysłu, dygocząc. To przygnębienie było uczuciem Jamisi.

- W porządku - zdołała powiedzieć. Zdjęła nogi ze stołu i postawiła je na podłodze. Lekko się ugiwały, ale utrzymały jej ciężar. - W porządku. Tylko wyprowadź mnie stąd, dobrze? Musimy poczekać gdzie indziej. Gdziekolwiek.

Kiedy lekarka wyprowadzała ją z sali, Jamisia wciąż słyszała ten przeraźliwy krzyk.

- Moi goście - powiedziała gildmistrzynie - zwykle przybywają w mniej... dramatycznych okolicznościach.

Była uderzająco piękną kobietą, a osadzone w jej skórze klejnoty jeszcze bardziej podkreślały niezwykłą i olśniewającą urodę. A jednak miała w sobie znacznie więcej niż tylko urodę, coś co sprawiało, że jej widok zapierał dech w piersi. Wysoka i dobrze zbudowana, o ciemnoczerwonej skórze, miała na sobie skąpy strój złożony z dwóch długich pasów materiału, z przodu i z tyłu, połączonych na bokach cienkimi łańcuszkami. Kiedy stała nieruchomo, mężczyźni pożąдали jej. Gdy szła, jej płynne ruchy miały w sobie tyle seksu, że niemal czuło się go w powietrzu. I oczywiście jej *kaja*. Groźny i dziwnie pociągający, złożony z cienkich linii kojarzących się z jakimiś pradawnymi prymitywnymi kulturami, obcymi zwyczajami i tajemnicami.

Zanim pozwoliła gościom powiedzieć choć słowo, kazała im podać jedzenie i picie. Jamisia i Feniks ochoczo skorzystali z poczęstunku. Od dawna nic nie jedli, a rozpaczliwa ucieczka pochłonęła ostatnie rezerwy ich energii.

W końcu przyszedł czas, by odpowiedzieć na pytania. Jamisia obawiała się tej chwili. Tak bardzo chciała ufać tej kobiecie... Czy dlatego, że czuła, iż Ra jest godna zaufania, czy po prostu rozpaczliwie chciała się komuś zwierzyć?

Wiesz, że nasze tajemnice mają związek z Gildią, powiedziała Raven. Bez ich pomocy nigdy nie dowiemy się, o co chodzi.

- Opowiedz mi o tych, którzy cię ścigali - zachęciła gildmistrzynie.

Lepiej nie wiedzieć, jęknęła Zusu. Jamisia westchnęła.

- Bardzo bym chciała. - Miała nadzieję, że Ra usłyszy w jej głosie szczerą nutę. - Wiem tylko to, co już powiedział wam Michał. Wróciliśmy do jego mieszkania, a oni zaczęli do nas strzelać. Uciekliśmy. Trafiliśmy do twoich strażników.

Ra cmoknęła cicho i powiedziała raczej z rozbawieniem niż z urazą:

*

- Moja droga, więcej dowiedziałam się, spoglądając w ekran. Twój przyjaciel - ruchem głowy wskazała Feniksa - ma wielu kolegów, a ci przez pewien czas dość swobodnie poczynali sobie z systemem operacyjnym mojej stacji. - Zerknęła na Feniksa. - Chyba nie sądziłeś, że się o tym nie dowiem? Wiesz, że dla Gildii pracują najlepsi hakerzy.

- Najlepsi guerańscy hakerzy - poprawił. Zaśmiała się cicho.

- Nie zawsze. Czasem znajdujemy... nieoszlifowany diament. Prawda? Jak wiesz, w Gildii panuje ostra rywalizacja. W dzisiejszych czasach nie można awansować bez wirtualnej armii informatycznych wojowników, a jeśli ktoś dysponuje lepszą niż ty, to wcale nie awansujesz. Czy zaszlibyśmy daleko, gdybyśmy zatrudniali wyłącznie guerańskich hakerów? Nasza pula genowa jest za mała. Nie ma ich zbyt wielu.

- Pozwalasz, by pracowali dla ciebie ludzie z zewnątrz? - spytał ze szczerym niedowierzaniem Feniks.

Uśmiechnęła się. Jej równe zęby zabłyśły wszystkimi barwami tęczy.

- Niektórzy - odparła słodko. - Inni... czasami. Jednak dość o tym. - Znow zwróciła się do Jamisi. - Ściga cię mnóstwo ludzi, moja droga. Z pewnością zorientowałaś się już, że sama nie zdołasz im ująć. Cóż, jeśli chcesz, w każdej chwili możesz opuścić mój dom, ale nie sądzę, żebyś zdołała daleko uciec, zanim znow wpadną na twój ślad. A do kogo wtedy uciekniesz? Ja mogę udzielić ci schronienia, ale nie zrobię tego, nie wiedząc, kogo chronię i dlaczego ta osoba potrzebuje ochrony.

Jamisia zerknęła na Feniksa, szukając jakiejś wskazówki, lecz on najwidoczniej nie mógł jej pomóc. Czyżby już nadszedł czas, by komuś zaufać? Czy odważy się na to? Uciekała od tak dawna, że już zapomniała co to bezpieczeństwo. A przynajmniej tak jej się wydawało.

W końcu przemogło zwykle zmęczenie i pewność, że jeśli stąd wyjdzie, to znow będzie musiała uciekać. Nie mogła tego robić wiecznie, nie bez nadziei, że kiedyś się to skończy. Uciekać, uciekać, uciekać, aż cię złapią - i co wtedy?

Nie ma innego wyjścia, przytaknęła Verina. A Raven zachęciła: Wiesz, że potrzebujesz Gildii, żeby rozwikłać tę zagadkę. Czy będziesz miała lepszą okazję, by skorzystać z ich pomocy? Nawet Zusu, zdrętwiała ze strachu, zdołała wymamrotać: Ona wydaje się miła. Może naprawdę nam pomoże.

Może tak, a może nie... W każdym razie nie było teraz innego wyjścia.

- Nazywam się Jamisia Capra... - zaczęła.

- Och nie, moja droga - przerwała jej z uśmiechem Ra, lekko karcącym głosem. - Nazywasz się Jamisia Shido i uciekałaś z Ziemi ponad trzy lata temu, kiedy Tridac Enterprises wysadziła w powietrze wasze osiedle. Od tej pory podróżowałaś pod przybranym nazwiskiem i uciekałaś tyłu wrogom, że nawet nie potrafiłabyś ich zliczyć. Tridac uważa, że znasz tajemnice, które dałyby Ziemi władzę nad *ainniq* i pozwoliły im złamać monopol Gildii. - Diamentowe oczy skrzyły się. - Może zaczniemy od tego i zaoszczędzimy trochę czasu?

Odebrało jej mowę. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć... I znow je zamknęła.

- Nie wiedziałaś o tym? - spytała Ra. Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

- *O ainniq!* - Popatrzyła na Feniksa. Był równie zdziwiony jak ona. - Ja... nie. Nie wiedziałam. Nikt mi nie powiedział.

- Niezwykłe. Ścigają cię z taką ilością broni, że wystarczyłoby do rozpoczęcia galaktycznej wojny, a ty nawet nie wiesz dlaczego. - Sięgnęła po puchar ciemnoczerwonego wina i wysączyła je, zanim znów przemówiła. - Może powiesz mi, co wiesz, Jamisio Shido, i zobaczymy co dalej. Dobrze?

Ponownie spojrzała na Feniksa, który zastanowił się, a potem rzekł cicho:

- Wybór należy do ciebie. Ja nie mam pojęcia, o co chodzi. *Ra jednak wydaje się wiedzieć*, zauważyła Verina. *Zaufać jej?* - spytała Katlyn.

Teraz już nie ma odwrotu, przypomniał Derik. *Chyba że chcesz sama sobie radzić.* Zusu jęknęła ze zgrozy.

- Dobrze - powiedziała w końcu Jamisia. - Uprzedzam, że niewiele wiem. Już mówię.

I opowiedziała im o tamtej okropnej nocy, kiedy obudził ją nauczyciel, i co jej wtedy powiedział - najdokładniej, jak potrafiła powtórzyć po trzech latach - a robiąc to, dotykała naszyjnika na szyi. Oczywiście, nie powiedziała im o głosach, które okazały się Innymi. To było zbyt osobiste. I... pomyśleliby, że zwariowała. Ponieważ tak było, w starożytnym sensie tego słowa. Wiedziała o tym. Była szalona. I obawiała się tego, co nastąpi, kiedy dowiedzą się o tym inni.

Przez cały ten czas Feniks spoglądał na nią ze zdumieniem. Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy, ale czuła na sobie jego palący wzrok. Kiedy wreszcie skończyła, zapadła cisza, w której miedzianokóra Gueranka przetrawiała te informacje.

- A więc - rzekła - ten sekret, który chcą ci wydrzeć. Nie wiesz, na czym polega?

Jamisia zawahała się. Musiała przełamać jeszcze tę ostatnią wewnętrzną barierę. W jakim stopniu mogła zaufać tej kobiecie? Była aż nazbyt świadoma tego, iż przyjazne zachowanie Ra mogło być tylko fasadą. Po uzyskaniu potrzebnych informacji gildmistrzynie może przestać udawać współczującą zbawczynię i zmienić się we wroga.

Jak sama zauważyłaś, pomyślała spokojnie Verina, *nie masz dokąd uciec.*

Skończ z tym, zachęcała Raven. *Tak czy inaczej. Zakończ grę.*

Większość Innych zdawała się z nią zgadzać. Derik wściekał się na swoją bezsilność, a Zusu jęczała w ciemności ze strachu, lecz pozostali byli zgodni. Przynajmniej raz.

W końcu zaczerpnęła tchu i wydusiła z siebie:

- Powiedział mi: „Oni chcą twojego mózgu i wszystkiego, co w nim jest”.

Kątem oka dostrzegła zdziwienie na twarzy Feniksa - może zaskoczonego tym, że to powiedziała - ale nie śmiała spojrzeć na niego. Teraz obserwowała twarz Ra i usiłowała coś z niej wyczytać.

Jednak nawet jeśli gildmistrzynie nagle postanowiła ją uwięzić lub poddać sekcji, czy zrobić z nią cokolwiek, niczym tego nie okazała. Z niezmaconym spokojem zapytała po prostu:

- To wszystko, co wiesz?

- Tak. - Poczuła, że łyzy nabiegają jej do oczu i zamrugowała, chcąc je powstrzymać. - Przysięgam.

- A czy chcesz dowiedzieć się, o co w tym chodzi?

To pytanie ją zaskoczyło.

- No... tak. Oczywiście. Tylko... jak?

- Zaczniemy od twojego mózgu, moja droga. To proste. - Widocznie zauważyła, że Jamisia się wzdrygnęła, bo roześmiała się perliście. - Nie obawiaj się. Tak się składa, że właśnie przebywa u mnie z wizytą jeden z czołowych ekspertów w dziedzinie programowania. Zobaczmy, co wykażą nieinwazyjne badania, zanim zaczniesz trząść się ze strachu przed laserem chirurga.

- Doktor Masada? - zapytał Feniks.

- Tak. - Przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie, jakby te słowa rozpały w niej nową iskrę zainteresowania. - Kio Masada. Przybył tutaj w sprawach Gildii, ale jestem pewna, że uda mi się go przekonać, by poświęcił nam kilka chwil. Szczególnie jeśli jesteś tak ważna dla Gildii, jak każą nam wierzyć pogłoski.

Zawahala się.

- A jeśli to nie jest kwestia procesora?

- Zawsze istnieje taka możliwość - przyznała Ra. - Gdyby jednak tak było, to dlaczego Shido zadaliby sobie tyle trudu, żeby to ukryć? Nie, w twojej głowie kryje się przynajmniej jeden sekret, moja droga. Zobaczmy, czy nie uda nam się go odkryć bez jej otwierania, dobrze?

*

Spotkali Masadę w sali operacyjnej. Nie wyglądał na zdziwionego ich widokiem, choć z jego pomalowanej, nieruchomej twarzy trudno było wyczytać jakiegokolwiek uczucia. Jediną reakcją było coś w rodzaju uśmiechu, z jakim spojrział na Feniksa i powiedział:

- Powinienem był wiedzieć, że kobieta, którą przyprowadziłeś na spotkanie okaże się kimś ważniejszym, niż się zdaje.

Już samo wejście do sali było dla Jamisi ogromnym przeżyciem i musiała zmobilizować całą siłę woli wszystkich Innych, żeby pokonać strach i przejść przez próg. Najwyraźniej sala operacyjna budziła w niej jakieś wspomnienia - z całą pewnością niedobre. Cienie zapomnianych obaw przemykały jej w głowie, gdy szła za Ra i Feniksem przez salę. Słyszała też odbijające się echem wrzaski Innych, protestujących przeciw... czemu?

Mieli tam maszynę, do której chcieli ją podłączyć - coś, czym mieli przeskanować jej mózg. Na sam widok tego urządzenia zaczęła drżeć i z najwyższym trudem opanowała chęć ucieczki. Ten aparat był dla niej obcy i nieznamy, lecz jakaś głęboko ukryta część jej świadomości знаła go aż nazbyt dobrze i było to niepokojące wspomnienie. Odczuwała przemożną chęć, by odwrócić się i uciec, ale co by się wtedy stało? Utraciłaby sympatię tych ludzi, i co wtedy? A jeśli w żaden inny sposób nie można rozwiązać tej zagadki?

Spojrzała na Ra, na tego dziwnego doktora, na Feniksa, i pomyślała: Czy znaję kiedyś ludzi, którym będę mogła bardziej zaufać? Tak więc pozwoliła się podłączyć do tej dziwnej maszyny i zapiąć pas unieruchamiający głowę. Kiedy włączyli aparat, ogarnęła ją fala strachu i Jamisia wyciągnęła rękę, ujęła czyjaś dłoń i ucisnęła ją tak mocno, jakby chciała skruszyć kości. Feniks zaakceptował ból i został przy dziewczynie, wyczuwając, jakie to dla niej trudne. Co on tam wiedział! Głowa pękała jej od wrzasków, przed którymi nie mogła uciec. Boże, jak długo trzeba będzie to znosić? Mogła zapytać, czy to badanie potrwa kilka minut, czy godzin, bo teraz na pewno nie zdoła nic powiedzieć.

...ośrodku bólu - bezpośrednia stymulacja - trzeba kontrolować! - dostroić - spróbuj jeszcze raz...

- Dobrze się czujesz? - spytał ktoś. Zdołała kiwnąć głową - konieczne kłamstwo.

Nie! Nie zostawiaj mnie! Wracaj, wracaj... W końcu ją uwolnili.

- Dzięki Bogu - szepnęła i osunęła się w ramiona Feniksa, wdzięczna za wsparcie. Czowała na sobie pytające spojrzenia Ra i Masady, ale wiedziała, że nie odważy się odezwać. Jak mogła im wyjaśnić, że to „nieinwazyjne” badanie mogło zupełnie wytrącić z równowagi jej kruchą i niezrównoważoną psychikę?

Potem pojawił się obraz i strach ustąpił miejsca zdumieniu.

Przed nimi obracał się powoli holograficzny obraz jej mózgu, odwzorowany w całej jego skomplikowanej chwale. Otaczająca go twarz była zaledwie słabym konturem i w następnej chwili znikła. To samo stało się z kośćmi czaszki. Sam mózg był zlepkiem cieni, których kontrastowość Masada kilkakrotnie zwiększył, zanim uzyskał zadowalający go efekt.

- Teraz dobrze - mruknął. - Zobaczmy, co tu mamy. Cienkie linie elektronicznych połączeń nagle zapłonęły szkarłatem, ukazując wzór jej procesora...

Usłyszała westchnienie Ra. Feniks mruknął pod nosem coś w rodzaju „jasna cholera”. Nawet Masada, niewzruszony Masada, wyglądał na szczerze zdumionego.

Wyglądało to tak, jakby jej mózg składał się głównie z bioobwodów, a nie szarych komórek. Nie był to tylko jeden procesor, wepchnięty w przestrzeń komorową, i siateczka odchodzących od niego połączeń, lecz pół tuzina skupisk bioobwodów ulokowanych, niczym pająk, tuż pod czaszką. Jeden był wepchnięty głęboko w fałd kory mózgowej, inny zagnieżdżony przy układzie limbicznym, i jeszcze jeden, i jeszcze. Wyglądało na to, że w każdym wolnym milimetrze miejsca umieszczono jakieś układy. Pokrywała je sieć tak skomplikowanych połączeń, że cały mózg wyglądał jak przeciętny przez sito. Widząc to, Jamisia była zdumiona, że w ogóle potrafi myśleć.

W końcu Masada obrócił się do niej.

- Kiedy zostałaś zmodyfikowana?

- Co? - Feniks odwrócił się od obrazu i spojrzał na nią. - Jesteś modziem?

- Ja... nie wiem. - Była zbита z tropu. Modyfikacje dokonane po okresie niemowlęctwa były niebezpieczne, nielegalne i niemal nie zdarzały się na Ziemi. - Nie pamiętam... - Nie zdołała nawet dokończyć zdania. To było zbyt niewiarygodne. - Jest pan pewny?

Masada odwrócił się z powrotem do obrazu.

- Ten procesor w przestrzeni komorowej to standardowy implant umieszczany przy narodzinach. Pozostałe wyglądają na wprowadzone później. Powiedziałbym, że ten system rozbudowywano co najmniej dwa lub trzy razy. Prawdopodobnie w dzieciństwie. To wyjaśniałoby lokalizację. - Ponownie spojrzał na Jamisję. - Masz piekielne szczęście, że twój mózg w ogóle funkcjonuje - rzekł bez cienia krytycyzmu, jedynie stwierdzając fakt. - Ktokolwiek to zrobił... bardzo ryzykował.

Shido. Ukochani Shido, jej przybrana rodzina. To oni jej to zrobili. Po co? Czy tylko po to, żeby dać wszystkim tym osobowościom odpowiednią moc obliczeniową? Teraz rozumiała, że było to konieczne, jeśli miała skutecznie działać. Poświęcili tyle czasu, pieniędzy, tak starali się zachować to w tajemnicy... Nie mogła w to uwierzyć. W końcu podeszła do hologramu i wyciągnęła rękę, jakby mogła go dotknąć. Czerwona pajęczyna bioobwodów naznaczyła grzbiet jej dłoni plamkami niby-krwi.

- A więc to tak. - Jamisia zastanawiała się, czy wyglądała na tak wstrząśniętą, jak była.

- To... jest to? O to im chodzi?

- Och, nie. - Masada założył ręce na piersi, spoglądając na hologram. Ten powoli obracał się przed nim, a warstwy kory rozchylały się jak płatki kwiatu, ukazując jedno skupisko bioobwodów za drugim. - Obawiam się, że to tylko szereg implantów. Bardzo

ryzykowna kombinacja, która przy najmniejszym błędzie mogła spowodować upośledzenie funkcji mózgu, ale nic poza tym. Bez twojej osoby ten sprzęt byłby bezwartościowy. Natomiast zachodzi pytanie, do czego to wszystko było im potrzebne?

Oczywiście, nie mogła wyznać im prawdy. Powiedzieć, że być może zrobili to ze względu na niezwyklej stan jej jaźni, złożonej z dwunastu lub więcej osobowości, podłączonych do tego samego procesora. Tylko czemu Shido zadali sobie tyle trudu? Dlaczego mieliby tak dogadzać Innym, jeśli nie w jakimś konkretnym celu?

Teraz wiedziała więcej niż kiedykolwiek, ale była bardziej zagubiona niż przedtem. Gdzie był klucz do tego wszystkiego, jeden brakujący kawałek całej łamigłówki?

Chciała coś powiedzieć, lecz Ra uciszyła ją gestem. Gildmistrzynie milczała przez chwilę, przyjmując jakiś komunikat. Wiadomość? Potem westchnęła i po chwili wyszeptwała:

- O mój Boże. Kiedy? Jak?

Znów zamilkła. Wreszcie przerwała połączenie, powoli opuściła rękę i zaczerpnęła tchu.

- Mistrzynie Ra? - powiedział Masada.

Obróciła się do niego i patrzyła przez chwilę. Z jej sztucznych oczu i pomalowanej twarzy niczego nie dało się wyczytać. Chyba dopiero po minucie odzyskała głos.

- Ian Kent nie żyje - oznajmiła.

XXXII

Gdyż dopóki Ziemianie są wśród nas, dopóki musimy tracić czas i energię na tolerowanie ich ignorancji, buty i pokrętnego systemu prawnego, w ich galaktyce zawsze będziemy tylko obywatelami drugiej klasy. A oni zawsze będą niepożądanymi intruzami w naszej.

Czy nie byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby nasze drogi się rozeszły?

(Wyjątek z tekstu propagandowego Ligi Hausmana, autor nieznan)

WĘZEL PROSPERYTYJSKI STACJA PROSPERITY

Masada zabrał się jednym z kosmolotów Ra do *ainniq*, a stamtąd do węzła prosperytyjskiego. Haker poleciał z nim, żeby zebrać dane od swoich kolegów, podczas gdy Masada badał nowy trop. Feniks nie był zbyt zadowolony, że musiał spać podczas przejścia - widocznie miał nadzieję, że na prywatnym statku Gildii uniknie tej konieczności - ale

kosmopilot należał. Należał do tego rodzaju nawigatorów, którzy ujarzmiли swój syndrom za pomocą skomplikowanych rytuałów ochronnych i najwidoczniej zastosowana przez niego formuła wymagała, żeby wszyscy nie-Gueranie na pokładzie byli nieprzytomni podczas przejścia. Oczywiście Masada nie spierał się z nim. Nikt nigdy nie spierał się z kosmopilotem. Gdyby powiedział, że statek ma być pomalowany na czerwono, a wszyscy pasażerowie muszą rozebrać się do naga i nosić żywe ptaki na głowach... też nikt by nie narzekał, nie spierał się, tylko robił to, czego chciał kosmopilot. Ponieważ to kosmopilot musiał sam stawić czoło swemu syndromowi i uciec przed najgroźniejszymi drapieżnikami w znanej galaktyce, a jeśli takie żądania miały mu w tym pomóc, to były skromną ceną za bezpieczeństwo.

Gildia rzadko teraz traciła statki, lecz od czasu do czasu nadal się to zdarzało. Statek wracał ze wszystkimi pasażerami żywymi, ale pozbawionymi zdrowych zmysłów. Czasem po prostu znikał i nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, czy kosmopilot nie poradził sobie ze swoim syndromem, czy też nie zdołał uciec łowcom.

A teraz ta historia z Kentem. Był kosmopilot, przyzwyczajony do śmiertelności syndromu i surrealistycznego wszechświata, do jakiego dawał mu dostęp. Pilot w mgnieniu oka pozbawiony swoich zdolności, rozgoryczony i skazany przez swe kalectwo na dożywotnie latanie wyłącznie w zwykłej przestrzeni. Kent nie miał umiejętności potrzebnych do stworzenia Lucyfera, ale mogli mu w tym pomóc inni. Czy znenawidził kosmopilotów tak, by atakować ich w ten sposób, zazdroszcząc im władzy i wolności, które na zawsze utracił? Tak uważał Devlin Gaza. Powiedział, że Kent był jednym z najbardziej podejrzanych w kręgach Gildii. Prima stwierdziła tylko, że nie wyobraża sobie, by Kent skrzywdził swoich kolegów... ale nie zaprzeczyła, że miał po temu powody. Syndrom kosmopilota z definicji powodował zaburzenia umysłowe, a chociaż leki i programy mogły wziąć go w karby, nie były w stanie w pełni go zlikwidować. Syndrom potrzebował wrogów, inaczej żywił się sam sobą, to znany fakt. Czy w świecie, w którym nie było potworów, przed którymi trzeba uciekać, Kent stworzył swoje własne?

Na te wszystkie pytania mieli odpowiedzieć inni, nie on.

I jeszcze ta dziewczyna.

Feniks uparł się, żeby ją zabrać. Ra nalegała, żeby dziewczyna została razem z nim na terenie należącym do Gildii i przydzieliła Jamisi kilku prywatnych strażników, którzy mieli dbać o jej bezpieczeństwo. Masada wiedział, że gildmistrzynie troszczy się o tę parę w nadziei, że ich poczynania pozwolą odkryć tajemnicę, ale osobiście w to wątpił. Na szczęście to nie była jego sprawa. Obiecał Ra, że będzie obserwował Jamisię i złoży raport o wszystkim, co

zauważy, lecz wątpił, by jego natura *tu* pozwoliła mu wejrzeć w ewidentnie zachwianą psychikę dziewczyny.

Może miała w sobie odrobinę syndromu. Może echo tej strasznej choroby w jakiś sposób przetrwało długie lata eugenicznych zabiegów. Jeśli tak, to nie stanowiła żadnego zagrożenia dla Gildii. Jeżeli chodziła i rozmawiała jak normalna Ziemianka bez baterii leków i programów medycznych utrzymujących ją przy zdrowych zmysłach, to nie mogła być kosmopilotem, teraz ani nigdy. A na pewno nie miała dozownika, chociaż mogła mieć odpowiednie oprogramowanie. Ra to sprawdziła.

Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie. Przez ostatnie e-miesiące był zajęty Lucyferem, a teraz tak cieszył się na myśl o nowych informacjach, jakie obiecał mu Feniks, że nie mógł wykrzesać z siebie zainteresowania skomplikowanymi intrygami Ziemi. Od setek lat macierzysta planeta marzyła, żeby mieć własnych kosmopilotów. I od setek lat nie mogła zrealizować tego marzenia. Może udałoby jej się to, gdyby Lucyfer spełnił swoje zadanie, lecz wirus został wykryty i niebawem zostanie zneutralizowany. Ziemia będzie musiała opracować nowy plan złamania tajemnic Gildii.

Oczywiście, nie zdoła wprowadzić go w życie. Kiedy związek między Ziemią i Lucyferem zostanie udowodniony ponad wszelką wątpliwość, jej stacja tranzytowa zostanie zdemontowana, a planeta pozostawiona własnemu losowi. Niech duszą się w sosie swojego przeludnienia, rozmyślając o tym, że sami ściągnęli na siebie to nieszczęście. Masada wiedział, że w kosmosie były miliardy istot, które ucieszą się z upadku Ziemi i przez nadchodzące wieki będą obchodzić dzień jej izolacji jak narodowe święto. Podejrzewał, że Gaza też do nich należy.

A on znajdzie się na kartach historii jako detektyw, który do tego doprowadził. Dziwny rodzaj sławy. Wcale nie był pewny, czy to mu się podoba.

*

Ciało leżało na podłodze gabinetu... a raczej hologram tego ciała. Nawet w tej postaci był to okropny widok. Nie ulegało wątpliwości, że cokolwiek zabiło Kenta, zrobiło to, zadając ból. Oczy miał szeroko otwarte i wytrzeszczone, jakby jego ciało usiłowało wydusić je z oczodołów. Palce tak mocno wbił w podłogę, że drzazgi weszły mu pod paznokcie, zmieniając je w krwawą masę. A twarz... Ta uosabiała maskę strachu, w której otwory oczu były ogniskami przerażenia.

Masada przez dłuższą chwilę klęczał przy ciele, uważnie mu się przyglądając. Nie był kryminologiem ani znawcą ludzkich zachowań. Mimo to zamierzał dokładnie przejrzeć zapis zgonu, a wszystko, co teraz zauważy, może mu później pomóc zinterpretować te dane.

Szeroko otwarte oczy zdawały się na niego patrzeć. Oczy udręczonego człowieka, który w końcu odnalazł spokój. Jaka rolę odgrywał w tej aferze Kent? Jak miał się do tego raport Feniksa, według którego Lucyfer po raz pierwszy został przetestowany w tym węźle przestrzeni? Czy gildmistrz był z tym jakoś związany?

- Co pan o tym myśli? - zapytał Gaza.

- Umarł męczeńską śmiercią. - Masada rozejrzał się wokół: po otaczających go dziełach sztuki, dziwnych obrazach w różnych odcieniach szarości. Powykęcane i połamane obiekty, które zdawały się wciąż zmieniać kształt. Na jednym z nich ujrzał rozbryzg czerwieni i mimo woli zadał sobie pytanie: co też działo się w umyśle człowieka, który zostawił ten ślad? Nie mogąc rozróżnić barw, ocenić ich odcienia, mimo wszystko dodał je do swoich osobistych wizji. Dlaczego? - Po życiu pełnym udręki. Co było przyczyną śmierci?

- Zatrzymanie krążenia, poprzedzone awarią programu zdrowotnego. Nadal pracuję nad odcyfrowaniem zapisu zgonu, ale wygląda na to, że zabezpieczenia syndromu zostały wyłączone.

- Czy mógł zrobić to sam?

- Prawdę mówiąc, tak wynika z logu. Jednak system powinien ponownie włączyć się przy pierwszych oznakach kłopotów. Tak się nie stało. - Ruchem głowy wskazał hologram. - We krwi miał tyle adrenaliny, że zabezpieczenia powinny włączyć się dziesięć razy.

Masada obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

- To znajomy schemat.

- Mówi pan o Lucyferze?

- Tak.

- Szukałem. Ani śladu wirusa w oprogramowaniu kosmopilota. Kazałem przejrzeć program zdrowotny. Jeśli znajdzie się w nim jakiś wirus, nawet nie Lucyfer...

- Można będzie uznać, że ci sami sprawcy, którzy stworzyli Lucyfera, zabili Kenta.

- Właśnie.

- A pańskim zdaniem tak było?

- Nie. Nie tym razem. Sadzę, że mamy do czynienia ze zwyczajnym morderstwem.

- Dlaczego pan tak twierdzi?

- Ze względu na chronologię wydarzeń, doktorze Masada - odparł z ponurą miną Gaza. - Niech pan pomyśli. Właśnie odkryliśmy pochodzenie Lucyfera i być może spisek terrańskich izolacjonistów. Z pewnością tak jak to zaplanowano. Ktokolwiek wysłał tę wiadomość ze stacji Frontu, zapewne sądził, że na tym wszystko się skończy. Tymczasem tak się nie stało. Te posunięcia zostały zdemaskowane i poszukiwania są kontynuowane. Dlatego

teraz zniszczono kluczowy dowód, zawarty w mózgu Kenta. Przewidziałem to. Widzę dwa możliwe powody tego morderstwa. Zaczniemy od założenia, że Kent wyjawiał fragment kodu kosmopilota jakiemuś terrańskiemu spiskowcowi, do czego skłoniło go rozgoryczenie wywołane stanem zdrowia. Nie przypuszczał, że zostanie przyłapany. Tymczasem pan przybył z Guery i powiedział nam, że mamy w naszych szeregach zdrajcę, którego pan szuka. Śledztwo zaczęło zataczać coraz ciasniejsze kręgi i w końcu mogło udowodnić mu zdradę. Kent nie był lojalny wobec Ziemi - wprost przeciwnie. Po prostu wykorzystał ją do swoich celów. Teraz, aby się ratować, wysłał wiadomość od Frontu, ujawniając nam ich powiązanie z Ziemią, abyśmy mieli kogo obwinić. W ten sposób chciał odwrócić uwagę od siebie. Gdyby udało mu się obciążyć Front, poszukiwania by się zakończyły. Zakładam, że tak wyglądała sytuacja. W tym miejscu widzę dwie możliwości. Albo Ziemia dowiedziała się o jego zdradzie i zemściła się - wskazał na replikę zwłok - albo twórca Lucyfera zorientował się, że zbyt blisko zbliżyliśmy się do prawdy, i postanowił zatrzeć swoje ślady. Lepiej zabić Kenta niż ryzykować, że ten zacznie mówić.

- Zakłada pan winę Kenta.

- Sądzę, że to oczywiste. Rzecz jasna, mamy zapis jego zgonu i wszystko, co udało się uratować z jego oprogramowania. Możemy dokładnie to zbadać i poszukać dowodu. Jednak nie wątpię, że go znajdziemy.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać. Chezare Arbela, sekretarz Kenta.

- Dyrektorze, zakończyliśmy skanowanie, które kazał nam pan wykonać. Ponadto skopiowaliśmy dla pana zapis zgonu. W biurze gildmistrza uruchomiłem dla pana wideołącze.

- Dobrze. Dziękuję. - Gaza wygładził płaszcz, najpierw z prawej, potem z lewej strony. Idealnie równo. - Chodźmy, rzućmy na to okiem i zobaczymy, czy znajdziemy coś na potwierdzenie mojej teorii. - Zaczekał, aż Masada po raz ostami rzuci okiem na ciało, a potem poprowadził go w kierunku biura. - Przy okazji, słyszałem, że ma pan towarzystwo.

Dopiero po chwili zrozumiał, co Gaza ma na myśli.

- Hakera ze stacji Paradise i jego dziewczynę. On ma w tym węzle przyjaciół, którzy mogą dostarczyć nam cenne dane. Arbela załatwił mu transport. Ona tymczasem czeka w galerii Kenta, gdzie strażnicy dopilnują, żeby nikomu nie weszła w drogę. Nie ma się czym martwić.

- Jakiego rodzaju dane?

Masada zawahał się. Nie chciał przedstawiać niekompletnych i fragmentarycznych informacji. Wolałby poczekać na powrót Feniksa i dopiero wtedy złożyć pełny raport. Jednak pytanie zostało zadane zbyt bezpośrednio, żeby odmówić.

- On i jego przyjaciele już od pewnego czasu tropili Lucyfera... chociaż, rzecz jasna, nie wiedzieli, czym jest. Podobno ślady wirusa znaleziono w tym węźle już cztery czy pięć lat temu. Co może wskazywać na to, że jego twórca przebywa tutaj albo był tutaj wtedy. Lub ma tu kontakty, poprzez które mógł wypuścić wirusa, żeby go przetestować.

Gaza obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

- Jeśli Kent był winny, to chyba mógł to zrobić? Masada pokręcił głową.

- Kent nie miał potrzebnej wiedzy. Może i był zdrajcą, ale nie programistą. A ten, kto sprawdzał działanie wirusa musiał się na tym znać. Nie, w tę sprawę jest zamieszany jeszcze ktoś i ten haker może to udowodnić. A może nawet dostarczy poszlaki, dzięki którym ustalimy tożsamość współnika.

Na chwilę zapadła cisza. Gaza wskazał na drzwi biura Kenta.

- Chce pan znaleźć ich wszystkich, prawda? Każdą osobę, która miała coś wspólnego z wirusem?

- Czy nie na tym polega moje zadanie?

Pomieszczenie było mroczne i mimo sporych rozmiarów wywoływało klaustrofobię. Ciemne okładki wideoksiążek i jeszcze ciemniejsze meble świadczyły o nastroju jego właściciela. Był to wewnętrzny pokój bez okien i ekranu widokowego. Żadnych widoków kosmosu, które mogłyby kusić łana Kenta. Żadnych wspomnień *ainniq*, mogących go dręczyć.

Arbela czekał na nich. Wskazał ustawiony na biurku monitor.

- Skanowanie wykryło coś - powiedział. - Wyizolowałem to. A tu jest zapis zgonu.

Wyciągnął rękę. Masada sięgnął po chip, lecz Gaza go uprzedził. Profesor był tym lekko zaskoczony. Do tej pory Gaza jemu pozostawiał wszystkie sprawy związane ze zbieraniem danych.

To chyba skutki napięcia, pomyślał.

Ustawili krzesła przed monitorem i Gaza przejął kontrolę nad wyświetlaczem. Powoli przewijał długi kod, od czasu do czasu zatrzymując obraz, kiedy Masada chciał lepiej przyjrzeć się jakiemuś fragmentowi.

To był wirus.

- Cień Lucyfera - stwierdził Masada.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Ten sam styl programowania. Założyłbym się, że stworzył to ten sam człowiek.

Gaza przeszył go wzrokiem.

- Skąd może pan mieć pewność?

- Styl programowania jest jak odcisk palca. Czasem znaki szczególne mogą być niewyraźne, ale zawsze tam są. Niewielkie fragmenty kodu, charakterystyczne dla danego programisty. Przejdźmy do następnej sekcji. - Zaczekał, aż na ekranie pojawi się pożądaný fragment. - Studiowałem Lucyfera przez sześć miesięcy, dyrektorze. Znam go tak, jakbym sam go napisał. A mój talent polega na umiejętności wizualizacji abstraktów - to dar mojego *kaja*. Proszę wierzyć, tego wirusa stworzył ten sam programista. O... tutaj. - Kod zastygł na ekranie. - Właśnie tu. - Poczytał chwilę, a potem zaklął pod nosem. - Oto pański wirus, dyrektorze. Doczepił się do programów zabezpieczających i je obezwładnił. Kiedy u Kenta uaktywnił się syndrom, cały system został wyłączony. W dozowniku miał dość leków, by zapanować nad syndromem, ale program zdrowotny nie był w stanie go uruchomić i urządzenie nie wprowadziło żadnego środka do krwi.

- A więc to było morderstwo. Masada nic nie powiedział.

- Tak więc moja teoria wygląda prawdopodobnie - rozważał Gaza.

- Owszem.

- No cóż. - Programista usiadł na krześle i niecierpliwie bębnił palcami po stole. Miał ponurą minę. - Przynajmniej nie musimy się już martwić o przeciek w Gildii. Ten problem został rozwiązany. - Wyciągnął rękę i wyprostował ekran monitora, tak by jego dolna krawędź była ustawiona równoległe do krawędzi stołu. - Powinniśmy wrócić i złożyć raport Primie. Na pewno zechce to usłyszeć.

- Proszę to zrobić. Ja muszę jeszcze wysłuchać chłopaka.

- Czy to ma teraz jakieś znaczenie? Mamy zdrajcę i znamy źródło wirusa.

- Być może. Wolałbym być pewny. Jak pan wie, na kilka pytań jeszcze nie znamy odpowiedzi. Chciałbym rozwiązać wszelkie wątpliwości, zanim przedstawię Primie moje sprawozdanie.

Gaza wytrzeszczył oczy.

- Uparty z pana człowiek, prawda? Masada odparł z nikłym uśmiechem:

- Oczywiście, dyrektorze. Wiedział pan o tym, kiedy mnie pan zatrudnił.

- Nie, doktorze Masada. Najwyraźniej nie doceniłem pana. - Założył ręce na piersi i odchylił się na krześle. Wyglądał na odprężonego, lecz nadal bacznie przyglądał się Masadzie. - Obiecuję, że już nigdy nie popełnię tego błędu.

*

Zostawili Jamisę w ogromnym pokoju pełnym obrazów i kazali jej poczekać na powrót strażników. Widocznie gildmistrz w wolnych chwilach zajmował się malarstwem, bo

prawie wszystkie obrazy były jego dziełem. A przynajmniej tak powiedzieli jej strażnicy, zanim odeszli.

Wzdrygnęła się na myśl o tym, jaki człowiek mógł je namalować. Nie były to tylko abstrakcyjne obrazy, nic tak zwyczajnego. Surrealistyczne pejzaże, głęboko niepokojące, pochodzące z innego świata zniekształconej rzeczywistości. Były odpychające, a zarazem fascynujące i nie mogła oderwać od nich oczu. Szczególnie jeden przyciągał jej uwagę - zbiór poszarpanych kształtów, które wydawały się poruszać, gdy na nie patrzyła. Czy przedstawiały coś konkretnego, czy też były tylko przypadkowym dziełem udręczonego umysłu?

Poczuła, że w jej podświadomości budzi się coś zimnego i mrocznego. Zastanawiała się, czy to jeden z Innych. Żaden z nich jednak nie działał na nią w taki sposób, nawet wtedy, gdy najbardziej się ich obawiała. Bardzo nieprzyjemne uczucie, a chociaż starała się powiedzieć niepożądanemu gościowi, żeby wrócił tam, skąd przyszedł, on stawał się coraz bardziej natarczywy. Co się dzieje? Dlaczego Inni jej nie pomagają?

Nerwowo chciała odejść od obrazu, domyślając się, że ten niesamowity pejzaż ma z tym jakiś związek. Nie mogła. Jej nogi nie chciały się poruszać. Paskudne wrażenie, jakby nie tylko stopy przywarły jej do podłogi, ale... jakby jej ciało nie należało już do niej. Czuła się dziwnie od niego oderwana, jakby było zaledwie skorupą jej duszy, a nie należało już do niej i nie reagowało na jej polecenia. Obecność Innych wyczuwała teraz jakby z oddali. Ich głosy trzepotały w jej głowie jak owady, lecz nie wydawały się teraz jej częścią. Usiłowała im coś powiedzieć, lecz nie zdołała sformułować słów.

Co się z nią działo?

Może chodzi o ciało, pomyślała. Może Inni chcą go dla siebie. Może od początku o to im chodziło. Nagle wszystko stało się jasne i przerażające. A więc na to czekali przez te długie miesiące. Dlatego zaprzyjaźnili się z nią i wciąż jej pomagali. Chcieli zdobyć jej zaufanie. Zamierzali przyzwyczaić ją do ich obecności, aby nie zorientowała się, kiedy wykonają decydujący ruch.

Teraz zrozumiała ich poczynania, będące częścią długofalowego planu. To dlatego przez te wszystkie lata w osiedlu nigdy się z nią nie kontaktowali. Mieli nadzieję, że poradzą sobie z nią i zajmą jej miejsce, zanim ktoś zauważy. Oczywiście, nie było to możliwe w kosmosie, gdzie musieli pomóc jej przetrwać, żeby utrzymać przy życiu ciało. Nie chodziło im o jej dobro, tylko o ciało. Teraz widziała to jasno. Gdyby nie uciekła z Ziemi, nigdy nie poznałaby prawdy...

Czy można walczyć z wrogami, którzy mieszkają w twojej głowie? Przypomniła sobie, jak Verina nauczyła ją kryć się w ciemności, odcinając wszystkie bodźce przesyłane

przez zmysły. Teraz pojęła, o co chodziło! Ćwiczyli ją. Uczyli, jak ma się poddać. Tak by, kiedy w końcu zamkną ją tam, gdzie nigdy nie dochodzi światło i nie budzi się żadna myśl, nie zdołała się wyrwać na wolność. Tam mogłaby krzyczeć do woli, a nikt nigdy by jej nie usłyszał.

Potrzebowała Feniksa. Gdzie on jest? Obróciła się do drzwi, chciała pobiec i go poszukać, ale przypomniała sobie coś. Feniks był jej. Katlyn uwiodła go i pociągała za sznurki; Jamisia zrozumiała teraz, że nawet i to było częścią ich planu. Nie miała do kogo się zwrócić, żadnego sprzymierzeńca, któremu mogłaby zaufać. Odizolowali ją od świata, a teraz kiedy znikła i przejęli jej ciało, nikt tego nie zauważy.

Strach spadł na nią z miażdżącą siłą, niemal namacalnym ciężarem, czarnym i przytłaczającym. Czowała, że zapada weń, tonie, wciągając w płuca gęste zimne przerażenie zamiast powietrza. Czowała czekających w niej Innych, gotowych z powrotem zepchnąć ją w duszącą ciemność, gdyby zdołała się z niej wyrwać. Tym razem wszyscy chcieli tego samego. Przez całe lata czekali, spiskowali, przygotowywali się na ten dzień. Chciała krzyknąć, lecz oczywiście jej ciało nie wydało dźwięku: oni już je opanowali i nigdy go jej nie zwrócą.

Nie! - krzyknęła bezgłośnie, rzucając im wyzwanie. *Nie wrócę tam! Nie oddam go wam!* Myślami walczyła z ciemnością, lecz uwięzione w niej ciało nie chciało nawet drgnąć. *Nie pozwolę się zabić...*

Dość tego! - powiedział Derik. *Zaraz z tym skończę.* Ciemność.

*

- Michał Andres, Devlin Gaza, dyrektor działu programowania Gildii *Ainniq*. Pan Andres jest... wolnym strzelcem.

Feniks poznał po minie Gazy, że ten dobrze rozumie znaczenie tych słów i nie aprobuje tego.

- Doktor Masada mówi, że ma pan dla nas jakieś informacje. Feniks nerwowo odchrząknął. W towarzystwie Masady czuł się dość swobodnie, ponieważ w pewien sposób dobrze go znał, lecz teraz było inaczej. Nie wiedział, jak znaleźć się w tej sytuacji. Devlin Gaza był jednym z dwóch lub trzech najpotężniejszych ludzi w kosmosie i chociaż Feniks gardził urzędasami, doskonale zdawał sobie sprawę, jaką władzę ma ten facet. Ponadto był dobry w tym, co robił. Oczywiście, nie tak dobry jak Masada - z tym nikt nie mógł się równać. Mimo to dobry: sprawny programista, chociaż konserwatywnie wykształcony. A ponieważ szacunek Feniksa można było zdobyć jedynie dzięki umiejętności programowania, taka ocena bardzo wiele mówiła.

- Taak. Spotkałem się tu z kilkoma przyjaciółmi, którzy pracują na tej stacji. - Niezręcznie było mu to wyjaśniać, nie posługując się slangiem modziów, więc z namysłem dobierał słowa. - Po pierwsze, powiedzieli, że owszem, pamiętają takie kawałki wirusowego kodu sprzed paru lat. Śmieć - to jeden z moich przyjaciół - miał kopie kilku z nich. - Z kieszeni kurtki wyjął mały chip. - Tu są wszystkie i parę innych złapanych przez moich kumpli. Przy każdym jest notatka, kiedy i gdzie został znaleziony.

Podał go Masadzie, lecz Devlin ubiegł profesora. Feniks nie miał pewności - trudno było wyczytać coś z tej pomalowanej twarzy - ale wydało mu się, że Masada był lekko zaskoczony.

- Pierwsze pliki znaleziono prawie pięć lat temu - ciągnął Feniks. - Widocznie ktoś testował niektóre części Lucyfera, oprócz tej, która pieprzy ludziom mózgi... przepraszam za wyrażenie, wpływa na procesor myślowy. Pewnie chciał sprawdzić działanie modułu replikującego i tym podobne rzeczy.

Do licha, dlaczego w obecności Gazy tak uważa na każde słowo? Przy Masadzie czuł się swobodnie.

- Pięć lat... to by się zgadzało - myślał głośno profesor.

- Sądzi pan, że ktoś tak długo pracował nad tym wirusem? - spytał Gaza.

- Och, tak. Lucyfer to arcydzieło. Twórca mógł wypuścić go znacznie wcześniej, gdyby nie był perfekcjonistą. Ponieważ jednak najwidoczniej nim jest, potrzebował tyle czasu, aby przetestować i doszlifować kod. I zabezpieczyć się przed schwyтaniem. - Obdarzył Feniksa skąpym uśmiechem. - Najwidoczniej jednak nie wziął pod uwagę, że mogą go odkryć... hobbisci.

- Mam przyjaciela, który często... hm... korzysta z baz Ligi Hausmana - rzekł Feniks. Zauważył, że Gaza sposepniał. Cholera, czy będą kłopoty jeśli przyzna się do kontaktów z hakerami? Z tego, co Masada mówił o tej operacji, wynikało, że Gaza powinien zaakceptować tę sytuację, lecz teraz profesor unikał jak zarazy tego słowa na „h”, a Gaza sprawiał wrażenie, że wolałby wypchnąć go w próżnię niż słuchać o „amatorskich” próbach dochodzenia. Wśród urzędasów zawsze można spotkać ludzi o ciasnych horyzontach. I zawsze może się zdarzyć, że najpierw będą ci kadzić, żeby dowiedzieć się tego, co ich interesuje, a potem wpakują do pierdła na kilka e-lat. Gdyby nie Masada, Feniks ni cholery nie rozmawiałby z takim Gazą, a już na pewno nie wyjawiałby mu, co robią modziowie z Preservation. I wcale nie był pewny, czy w ogóle powinien o tym mówić.

Trzeba załatwić Lucyfera, powiedział sobie, inaczej znów zaczną umierać modziowie. Możesz zaufać Masadzie. Tylko jemu. On cię nie zawiedzie.

- Mój przyjaciel twierdzi, że zaobserwował ożywioną łączność między Ligą a tą stacją. Zaszifrowane wiadomości. Ścisłe tajne. Uważa, że szły prosto do biura gildmistrza.

Gaza gwałtownie wciągnął powietrze, ale nic nie powiedział. Na chwilę zapadła cisza. Bez wątplenia obaj Gueranie zastanawiali się, jak kontynuować rozmowę, nie zdradzając Feniksowi czegoś, o czym nie powinien wiedzieć.

- Liga Hausmana nienawidzi Ziemi - rzekł w końcu Masada. - Chcą odciąć Ziemię od *ainniq*. Głoszą taką potrzebę od lat.

Gaza milczał.

- Może zmęczyli się czekaniem. Może postanowili wziąć sprawy w swoje ręce i wymusić decyzję.

Znów zapadła cisza. Feniks wyczuwał, że nie powiedziano wielu rzeczy. Chciałby znać te tajemnice. Nawet ten przełomy kontakt z Gildią pozwolił mu zrozumieć, że toczyli grę na znacznie wyższym poziomie niż jakakolwiek, w której uczestniczył. To obudziło w nim głód, jakiego nie czuł od chwili, gdy gliny na Hellsgate oznajmiły, że mają bazę danych całkowicie odporną na wszelkie próby włamania. Chciał do niej wejść.

- Sądzę - powiedział powoli Gaza - że mamy wiele do omówienia. Wróćmy na Tiananmen, gdzie jest bezpieczniej. Dobrze, doktorze Masada?

Może Feniks źle odczytał minę profesora, ale miał wrażenie, że ta decyzja również zaskoczyła Masadę.

- Jak pan sobie życzy.

- Niech pan poleci statkiem Ra na Paradise i odstawi tego młodego człowieka do domu. - Zerknął na Feniksa. Trudno było wyczuć, czy spojrzał na niego z niechętnym szacunkiem, czy tylko z irytacją. Feniks był przyzwyczajony do obu, więc tylko odpowiedział mu uśmiechem. - Spotkamy się na Tiananmen. Razem złożymy raport Primie.

- Jeśli Liga Hausmana jest w to zamieszana... Gaza przerwał mu, ostrzegawczo unosząc rękę.

- Później. Nie tu. Kent najwyraźniej związał się z wrogami Gildii. Sądzę, że nie powinniśmy rozmawiać w jego domu. Kto wie, czy nie ma tu podsłuchu?

Masada skinął głową, przyznając mu rację.

- Tymczasem ja sprawdzę... czy nie uda mi się znaleźć dziennika korespondencji w którymś z komputerów. Może znajdę dowody, jakich dotychczas wcale nie szukaliśmy. - Miał ponurą minę. - Jeśli to, co mówi pan Andres, jest prawdą, to mamy do czynienia z zupełnie nową sytuacją. Znacznie bardziej skomplikowaną. Postąpilibyśmy nierozsądnie, pochopnie wydając sąd - ostrzegł.

- Oczywiście.

Gaza skinął głową Feniksowi.

- Dziękuję za pomoc. Doktor Masada dopilnuje, żeby dotarł pan do domu.

- Jasne. - Jakbym był jakąś pieprzoną maskotką, którą trzeba dostarczyć właścicielowi. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Zdołał przywołać na usta sztuczny uśmiech, który znikł natychmiast, gdy tylko za Gazą zamknęły się drzwi.

- Cholera!

Masada stanął za nim. Po chwili położył dłoń na ramieniu Feniksa i uściśnął je. Tylko przez sekundę.

- Jeśli Prima cię nie wynagrodzi, ja to zrobię.

- Nagroda? Cholera, nie o to mi chodzi. Przecież wiesz.

- Kiedy będzie po wszystkim, powiem ci tyle, ile będę mógł. - A potem, ku jego zdumieniu, Masada zachichotał. - To oczywiste, że on nie zamierza ci zaufać, Feniksie. A ty byś sobie zaufał?

Prychnął, a potem się uśmiechnął.

- Do diabła, nie.

- No to w porządku. Idź po swoją przyjaciółkę. Ja zajmę się statkiem.

*

Siedziała na podłodze galerii. Wyglądała naprawdę kiepsko: przekrwione oczy i blada twarz, zupełnie pozbawiona życia. Nie wiedział, co powiedzieć. Serce ścisnęło mu się na jej widok, ale nie miał pojęcia, jak jej pomóc.

Z trudem podniosła się i podeszła do niego. A potem, bez słowa, wpadła mu w ramiona i zaczęła... nie, właściwie nie płakała. Nie roniła łez i nie wydawała żadnych odgłosów, jakie kojarzą się z płaczem. Tylko długo, bardzo długo, drżała w jego objęciach, szlochając bezgłośnie.

- Wszystko będzie dobrze - szeptał. - Obiecuję. Będzie dobrze.

Chciałby wiedzieć, jak tego dokonać.

*

Devlin Gaza odprowadził ich do doku. Powiedział, że uprzejmość nakazuje mu upewnić się, iż goście Sonondry Ra bezpiecznie opuścili stację.

Zamienił parę słów z Masadą, lecz względy bezpieczeństwa nie pozwoliły im poruszyć żadnych istotnych spraw.

- Spotkamy się później - obiecał.

Na pokład wszedł kosmopilot, za nim pilot, a potem para młodych ludzi, otoczona przez strażników Ra. Gaza uklonił się na pożegnanie hakerowi, kurtuazyjnym gestem bez cienia serdeczności. Denerwujący młody człowiek.

Zamknięto luki, włączono silniki i z głuchym pulsującym rykiem statek wycofał się z doku. Arbela podszedł do Gazy i stanął obok. Razem obserwowali na ekranie widokowym majestatyczny balet stacji i statku, który powoli zajmował odpowiednią pozycję. Dziobem do *ainniq*. Do domu.

Gaza spojrział na Arbelę, a potem znów na ekran. Miał ponurą minę.

- Ta gra stała się zbyt skomplikowana - rzekł cicho. - Czas usunąć z planszy kilka pionków.

XXXIII

Jedyną rzeczą bardziej irytującą od klęski jest nie sama klęska, ale sukces rywała.

SORTEY-6

„O ludzkiej potędze”

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

Obraz projektora holograficznego powoli przybierał kolor i kształt, w miarę jak komputery Gildii dekodowały zaszyfrowaną wiadomość. W całej okazałości pojawił się dopiero po minucie, co dało Primie czas na odłożenie przeglądanych właśnie raportów i przygotowanie się na to, co wyglądało na urzędową rozmowę.

Światła i barwy ułożyły się w postać zamkniętej w plastostalowym pancerzu kobiety, ubranej w formalny strój Gildii. Kilka sekund po tym, jak obraz się ustabilizował, kobieta skłoniła się, na co z trudem pozwolił jej mechaniczny egzoskielet.

Prima odpowiedziała skinieniem głowy, witając rozmówczynię.

- Chandras Delhi.

Nastąpiło wyraźnie zauważalne opóźnienie, gdy sygnał został zaszyfrowany, przesłany przez pięć węzłów i rozszyfrowany na drugim końcu. Minęło kilka sekund.

- Moja Primo. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Bynajmniej. Zawsze jesteś mile widziana. Co słychać w twoim węźle?

- Duży ruch, jak zawsze. Mój zespół poszukiwawczy znalazł następny system do eksploatacji, niecałe trzy miesiące lotu stąd. Już szykują kombajny. To powinno znacząco obniżyć koszty materiałów budowlanych.

- Nadal się rozbudowujesz?

- Otrzymałam dwa podania osadnicze z Frisi i jedno z Beliala. Oba uzasadnione. Jeśli znajdziemy kolejny system z zasobamirudy; będziemy w stanie ich przyjąć. - I po krótkiej przerwie do dała: - Otrzymałam również jedno podanie od terrańskiej korporacji, ale zamierzam je odrzucić.

Ton jej głosu ostrzegł Alyę, że ta ostatnia uwaga nie była pozbawiona znaczenia, lecz dotyczyła sedna sprawy.

- Uważaj - ostrzegła Prima. - Mają prawo osiedlać się w kosmosie. Jeśli zamierzasz odmówić im go, musisz mieć uzasadnione powody.

- Jak najbardziej - zapewniła Delhi. - Widzisz, ta korporacja usiłowała znaleźć kogoś w kosmosie. Młodą dziewczynę. Może o niej słyszałaś. Jamisia Capra.

Twarz Primy nie zdradzała żadnych uczuć.

- Wygląda na to, że ta dziewczyna opuściła Ziemię, zabierając ze sobą jakąś tajemnicę. Coś, co miało złamać monopol Gildii i oddać Ziemi władzę nad gwiazdami.

- Istotnie. Od lat słucham takich opowieści. Wybacz, ale jestem sceptycznie nastawiona.

Delhi zmarszczyła brwi. Najwyraźniej wiedziała, że ludzie Alyi śledzili dziewczynę, ale jeśli Prima nie wspominała o tym, to rozmówczynie nie mogła jej o to zapytać.

- Gdyby taka osoba naprawdę istniała - rzekła w końcu Delhi - mogłaby być prawdziwym zagrożeniem dla Gildii.

- Gdybym uznała, że ktoś stanowi zagrożenie dla Gildii - zapewniła ją Alya - szybko pożegnałby się z życiem.

- Może uznałabyś, że warto zaryzykować, śledzić ją i dowiedzieć się, kto jeszcze się nią interesuje.

- Możliwe - odparła spokojnie. - A dlaczego miałyby cię to niepokoić?

- Nie niepokoiłabym się, dopóki ta osoba byłaby w kosmosie. Gdyby jednak wpadła w ręce kogoś, kto mógłby ją wykorzystać do własnych celów...

Zapadło długie milczenie. Dłuższe, niż uzasadniało to opóźnienie transmisji przechodzącej z jednego biura do drugiego.

- Na przykład? - zachęciła Alya.

Delhi zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

- Może jakiś gildmistrz.

- Któryś z pozostałych?

- Oczywiście.

- Gdyż u ciebie nie byłaby zagrożeniem dla nikogo. W twoich rękach byłaby bezpieczna.

- Oczywiście.

- Jednak w czyichś innych... Uważasz, że to zupełnie co innego.

Delhi spochmumiała.

- U kogoś mniej oddanego Gildii. U osoby, której zamiłowanie do niebezpiecznych gier mogłoby narazić na niebezpieczeństwo nas wszystkich.

- Kogoś z moich gildmistrzów? Z pewnością mogę mieć zaufanie do nich wszystkich.

- Do ich lojalności, Primo. Nie nieomylności.

- Ach. Rozumiem.

- Mówię tylko o niektórych, rzecz jasna. Nielicznych.

- I sądzisz, że gdyby dziewczyna wpadła w ręce jednego z nich, byłoby to groźne dla Gildii.

- Samo jej istnienie jest dla nas zagrożeniem. Możemy je tolerować przez chwilę, by sprawdzić, kto ją ściga, ale nie za długo. Kiedy znajdzie się w naszych rękach, będzie bezużyteczna, gdyż żadna ziemską korporacja nie odważy się napaść na własność Gildii.

- Słuszna uwaga - przyznała Prima. - Twierdzisz więc, że gdyby taka dziewczyna wpadła w ręce gildmistrza - nie rozumiejącego tak dobrze jak ty niuansów tej delikatnej sytuacji - powinna zostać niezwłocznie zabita, aby w przyszłości nie stała się dla nas zagrożeniem.

- Tak, moja Primo. Właśnie tak sądzę.

- Istotnie. - Postarała się, by wyraz jej twarzy nie zdradzał, co o tym myśli, i powiedziała obojętnym tonem: - Na szczęście na razie nie znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Gdyby jednak do tego doszło, będę pamiętała, co mi powiedziałaś.

- To dla mnie zaszczyt.

- Twoje rady są zawsze mile widziane, gildmistrzyni. Zawsze.

Nawet wtedy gdy nie mówisz tego, co myślisz.

Zakończyły rozmowę rytualną wymianą uprzejmości, co dłużyło się w nieskończoność z powodu opóźnienia transmisji. Potem hologram znikł, pozostawiając Primę samą.

Myślisz, że nie wiem, czego chcesz, Chandras Delhi?

Ponownie wzięła raport i położyła go przed sobą. Był to najnowszy z kilkuset dokumentów analizujących poczynania Jamisi Shido, jej historię i potencjalne zagrożenie, jakim była dla Gildii.

Chciałaś wykorzystać ją do własnych celów i bezgranicznie cię irytuje fakt, że przejął ją ktoś inny. Tak więc, zamiast zostawić ją w rękach Ra lub oddać mi, chciałybyś ją zabić. Usunąć pionek z planszy, żeby nikt go nie wykorzystał. To w twoim stylu, prawda? Kontrolować wszystko, co się da, a resztę niszczyć.

Spojrzała na raport opisujący przybycie Jamisi do siedziby Ra na Paradise i rozpaczliwe wysiłki terrańskiej korporacji, która usiłowała ją schwytać.

Oczywiście, rozmyślała, to wcale nie oznacza, że w tym przypadku nie masz racji, prawda?

XXXIV

Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwie obcą istotę, Ziemianinie, to spójrz na siebie. Zjrzyj w tę warstwę świadomości, która powstała, zanim zacząłeś mówić lub chodzić, i zobacz, czy wygląda tak znajomo dla twojego współczesnego, cywilizowanego ja. Popatrz na te części duszy, które kryją się przed światłem, na dziwactwa i okropności twoich obaw, na wewnętrzne sprzeczności będące podwaliną ludzkiej osobowości. Tam znajdziesz prawdziwie obcą istotę, niemal niepojętą, i równie zadziwiającą swym potencjałem, co przerażającą skłonnościami do samozagłady.

TYE CHIVAL

„O byciu człowiekiem

KOSMOLOT „DIONYSUS”

Jamisia miała wrażenie, że mózg wyszorowano jej drucianą szczotką.

Starła się niczego nie dać po sobie poznać, gdy Feniks pomógł jej usadowić się w fotelu, lecz okazało się to niemożliwe. W jej mózgu znalazło się coś, co nie powinno się tam znaleźć, a teraz, kiedy zniknęło, pozostawiło ziejącą ranę. A najgorsze było to, że musiała badać ją myślami, drażniąc, sprawdzając, czy boli.

Co wydarzyło się w galerii?

- Dobrze się czujesz? - zapytał Feniks.

Wyraz jego twarzy świadczył, że bardzo chciał pomóc Jamisi, ale nie wiedział, od czego zacząć. Ona też nie wiedziała, co mu powiedzieć. „Po prostu bądź przy mnie. Nie chcę zostać sama”. Czowała jednak, że podczas tamtego epizodu w galerii nawet obecność dziesięciu tysięcy mocno kochających ją ludzi nie miałyby żadnego znaczenia. Wtedy była sama, zupełnie sama i nawet Inni nie mogli jej pomóc. Kompletna izolacja - we własnej głowie.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go i zdobyła się na wymuszony uśmiech.

Po raz ostatni sprawdził mocujące ją do fotela pasy, a potem sam zaczął się przypinać. Pilot znów nalegał, żeby przespali podróż przez *ainniq*. Za pierwszym razem rozczarowała się, gdyż chciała zobaczyć *ainniq* od środka. Teraz była wyczerpana i czekała na sztucznie indukowaną fazę teta. To będzie lżejszy sen, łatwiej kontrolowany, raczej sugerowany niż narzucony przez oprogramowanie w jej hełmie.

Z westchnieniem zamknęła oczy i wyciągnęła się wygodnie. Poczowała pomruk silników statku, uspokajające wibracje miękkiego fotela. Ujrzała ikonę, potwierdziła i niemal natychmiast poczuła przyjemne rozkojarzenie wywołane zapadaniem w sen, gdy program statku zaczął kierować ją ku głębszym warstwom nieświadomości.

SEN 99.000

START

Pole jest teraz ciemniejsze niż kiedykolwiek i nadciągają burzowe chmury. Światło razi w oczy i pada pod ostrym kątem, rzucając wyraziste cienie na trawę.

Coś jest nie tak. Tylko co?

Wszyscy Inni są tam z nią i teraz, kiedy spogląda na ich twarze, widzi, że są podobne do niej. Nawet męska twarz Derika, nawet ciemnoskóra Raven. Nie jest to kwestia kształtu czy koloru, lecz czegoś znacznie subtelniejszego. Jakby w każdym z nich wyczuwała duszę i rozpoznawała jako pokrewną swojej.

Nauczyciel podchodzi do grupy. W jego oczach widzi napięcie. Mówi jej:

- Miałem nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

- O co chodzi? - Jego zachowanie budzi w niej lęk. - Co się dzieje?

On potrząsa głową.

- Och, Jamie. Zrobiłem, co mogłem, żeby cię chronić. Nawet nie wiesz ile. Nie masz pojęcia, ile programów umieściłem w twojej głowie, usiłując odwlec ten dzień. - Wzdycha. - Jednak jesteś taka, jaką cię uczynili. A teraz objawiło się najgorsze. Trudno.

Czarne chmury gęstnieją. Najdalsze drzewa znikają w mglistej szarości, zasłonięte przez ścianę deszczu.

- Powiem ci, co wiem - zaczyna. - I musisz zrozumieć, że to wszystko, co wiem. Nie należałem do zespołu, który zaprojektował twoją psychikę, i nie byłem jednym z tych, którzy wdrożyli ten projekt. Od czasu do czasu pomagałem im. Pisałem raporty o tobie, żeby wiedzieli, czy ich wysiłki przynoszą jakieś owoce. Znałem część prawdy, gdyż tego wymagało moje zajęcie. Jednak mówili mi tylko to, co musieli. I mieli rację, prawda? Gdyż w końcu ich zdradziłem.

- Uratowałeś mi życie - mówi mu cicho.

Oczywiście, on jest tylko programem. Zapisem człowieka, który kiedyś się nią opiekował. Jego plik ma ograniczony zapas danych. Nie ma mowy o żadnych uczuciach. Zapewne nawet nie może udawać, że je ma, gdyż w chwili zapisu nie wydawało się to ważne, tak więc zestaw nie zawiera odpowiednich grymasów twarzy.

Pomimo to wydaje jej się, że jest poruszony.

- Ainniq jest kluczem do międzygwiazdowego handlu - mówi jej. - Tymczasem my, Ziemianie, niewiele o nim wiemy. Guera celowo utrzymuje to w tajemnicy, tak by wszystkie zamieszkane przez ludzi światy były zależne od niej. To najdoskonalszy monopol, jaki zna ludzkość. Moi pracodawcy - a twoi stwórcy - chcieli złamać ten monopol. Wiemy, że każdy pilot potrafi lecieć w ainniq. Nie w tym leży problem. Od czasu do czasu ziemscy poszukiwacze przygód próbują tego i czasem - bardzo rzadko - któryś z nich przeżywa taką próbę. Od nich wiemy, że ainniq daje dostęp do wszechświata tak obcego, że ludzki umysł nie jest w stanie w pełni go ogarnąć. Mózg nadaje mu barwy, formę, ruchy, a czasem również inne odczucia, lecz z raportów tych nielicznych ocalałych wiemy, że każdy odbiera go inaczej i w sposób kompletnie chaotyczny.

Rzecz jasna, ona zna większość tych faktów - wchodziły w zakres kursu podstawowego. Być może chce jej powiedzieć coś, czego ona nie wie, tak więc nie przerywa mu.

- W tym wszechświecie są drapieżniki. Gueranie nazwali je sana - potworami głębin. W slangu kosmopilotów nazywa się je smokami. Nie wiemy, czym są, jak się poruszają ani nawet czym się żywią. Być może Gildia już to wie, ale nie zdradzi tego ludziom z zewnątrz. Rzecz w tym, iż... najwidoczniej jesteśmy dla nich żerem. Przez ainniq bezpiecznie mogą przelecieć tylko ci piloci, którzy potrafią ich unikać. Pozostali są pożerani w czasie przejścia. Nie stanowiłoby to żadnego problemu, gdyby ich świat był podobny do naszego. Lecz nie jest. Nasze maszyny są tam bezużyteczne. Nasze najlepsze czujniki nie potrafią odróżnić sana od krajobrazu, a zwykły ludzki mózg również tego nie potrafi. Są dla nas niewidzialne, Jamisio. - Delikatnie, ze smutkiem, ujmuję dłonią jej brodę. - Ina tym właśnie polega twoja rola.

Wieje coraz zimniejszy wiatr. Ona czuje to wyraźnie, tak jak zapadającą ciemność. Nie potrzebuje uczonych wywodów, by zrozumieć, że ten krajobraz odzwierciedla jej nastrój - to jest oczywiste. To niebo ma kolor strachu.

Nie chce tego słuchać, myśli.

A wewnętrzny głos szepce: Musisz.

- *Widzisz, jest pewien stan, który pozwala ludzkim istotom widzieć w ainniq... lecz niszczy ich dusze w inny sposób. Ty znasz to uczucie, prawda? Wiem, że znasz, gdyż takie doznanie wyzwoliło ten sen. Nosisz w sobie nasiona tej choroby, a ja miałem nadzieję, że ona nigdy się nie ujawni... Jeśli jednak śniesz taki sen, to ten proces już się zaczął.*

- *Chcesz powiedzieć... - Nie jest w stanie dokończyć. Słowa więzną jej w gardle i nie może ich wykrztusić. Czy to, co stało się w galerii, to...? Przypomina sobie sny, powracający obraz zagubionego, wyjącego ze strachu... Pobieгла go znaleźć... Czy to on...? O mój Boże...*

- *Widzę, że rozumiesz.*

Niebo ciemnieje, a ona czuje na ciele lodowate ukąszenia wiatru. Z nieba kapią krople deszczu, które padają na jej głowę i ramiona - denerwujące i nieznane wrażenie. W głębi duszy czuje rosnącą pewność, że wie, co on zamierza jej powiedzieć, i nigdy, nigdy nie chce tego usłyszeć. Jednak to sen, nad którym nie ma kontroli.

- *Ceną gwiazd jest szaleństwo, Jamisio. Ziemia wiedziała o tym od lat. Natomiast nie mieli pojęcia, jak nad nim zapanować, tak by ujawniało się tylko w ainniq. Dlatego ci to zrobili. Podzielili cię na oddzielne osobowości, korzystając z jedynej znanej im metody. Umysł nadal pozostaje dla nas zagadką, która nie ma łatwych rozwiązań. Przykro mi, Jamie. Przykro mi, że cierpiałaś. To był jedyne znany im sposób.*

Teraz wracają jej fragmenty wspomnień. Zagubione i przerażone dziecko, przysypane tonami gruzu. Opuszczone. Ból i strach, dzień po dniu, bez możliwości ucieczki. Zanim ją odkopali, było za późno - szaleństwo już odcisnęło swe piętno w jej młodym i podatnym mózgu. Zbadali ją zaraz po tym, jak została uratowana, i znali ryzyko. Powinni leczyć ją i uzdrowić. Tymczasem Shido wykorzystali jej ciało i duszę, podsycając w niej mrok. Aż jej młody umysł zaadaptował się i podzielił, raz po raz.

- *Myśleli, że w ten sposób nad tym zapanują - mówi nauczyciel. - Sądzieli, że jeśli ograniczą szaleństwo do jednej osobowości, której pozwolą dochodzić do głosu tylko w razie potrzeby, uzyskają kosmopilota. To dlatego nauczono cię... nauczono Raven pilotować statek, żeby w razie potrzeby mogła służyć pomocą techniczną. Chorego w żaden sposób nie można było niczego nauczyć.*

Jamisia myśli o płaczącym i drży. Czy właśnie on zajął jej miejsce w galerii? Ta poraniona dusza, uwięziona w wiecznym koszmarze?

- *I co się stało? - pyta. W swoim głosie słyszy histeryczną nutę i zastanawia się, czy program-nauczyciel rozumie, co się z nią dzieje. Czy zaprogramował go na takie rzeczy? - Powiedziałaś, że nie udało się. Co poszło nie tak? Powiedz!*

- Znasz odpowiedź na to pytanie, Jamisio. Rozdział nie jest dostatecznie silny. Choroba przesącza się z jego jaźni w twoją. Poczulaś to już, prawda?

- Tak - szepcze.

- On jest silniejszy, niż przypuszczali, a twój opór słabszy. Co oznacza, że nie możesz sobie pozwolić na dokończenie eksperymentu. Dotychczas pozostałaś dominującą osobowością, ponieważ innym odpowiada taka umowa, ale on nic nie wie o żadnych umowach. Jeśli pozwolisz mu przejąć kontrolę, może już nigdy jej nie oddać.

Ona chowa twarz w dłoniach, drżąc. Wspomina, co zdarzyło się w galerii, jaka była wtedy przerażona, że Inni przejmą jej ciało, jak walczyła, żeby temu zapobiec... Jeśli to było tylko odbicie jego szaleństwa, to co się stanie, kiedy ono ujawni się w pełni? Pamięta zmagania z Denkiem, kiedy zniszczył hełm, jak trudno było odebrać mu panowanie nad ciałem, nawet z pomocą wszystkich Innych. Co się stanie, jeśli kontrolę przejmie płaczący?

- Miałem nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie - mówi nauczyciel.

Niebo jest już prawie czarne, a błyski światła złowieszczo przecinają chmury. Jamisia usiłuje odzyskać głos, precyzyjnie przecisnąć słowa przez kulę strachu, która uwięzi ją w gardle...

...i krzyk przecina ciemność. Przerażliwy, przeszywający dźwięk, który niesie się przez noc, wstrząsając samą istotą snu. Postać nauczyciela na moment znika, a potem znów się pojawia. Co...?

Następny krzyk rozlega się za pierwszym. Odgłos zrodzony z bólu i strachu. Ona drży, gdy Inni zaczynają migotać i znikać, gdy nauczyciel rozpada się w wir binarnego chaosu. Jego postać formuje się ponownie, lecz tym razem rysy twarzy są pomieszane i poruszają się jak w kalejdoskopie, szukając prawidłowego ułożenia. Do diabła, co się dzieje?

Nagle ogarnia ją strach. Musi wiedzieć, gdzie jest ON. Ten, który jest powodem tego wszystkiego, którego szaleństwo może ogarnąć ją, jeśli kiedyś wypuści go na wolność.

Biegnie. Ona biegnie. Pod migoczącym światłami niebem, przez krainę usianą wrzaskami. Gdzie się znajduje? Musi wiedzieć. On popatrzył na nią kiedyś i jego spojrzenie było niemal rozumne, a ona dotknęła jego ręki! Ziemią wstrząsa głuchy pomruk i trawa zaczyna rozpląwać się w kod. Nie! Nie! Jeszcze nie! Ona musi go znaleźć...

PRZERWANIE SNU

POMINIĘCIE PROGRAMU ZDROWOTNEGO

SEKWENCJA TETA ZAKOŃCZONA

POMINIĘCIE PROGRAMU ZDROWOTNEGO

ROZPOCZĘCIE FAZY BETA

CZUWANIE

Przestała śnić. Obudziła się.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, gdzie jest. Minęła następna chwila, zanim zrozumiała, że chociaż nadal znajduje się w kabinie pasażerskiej kosmolotu, teraz jest w niej sama. Feniks znikł, a rozpięte pasy, którymi uprzednio był przypięty do fotela, teraz zwisały, lekko się kołysząc. Zanim zdążyła się poruszyć - czy choćby zebrać myśli - usłyszała kolejny krzyk, przeraźliwy i pełen udręki dźwięk, który urwał się, jak ucięty nożem. To działo się naprawdę.

Drżącymi rękami odpięła pasy fotela i szybko wstała. Czy statek jest już w *ainniq*. W przedziale pasażerskim nie było okien, więc nie mogła tego stwierdzić. Zawahała się, a potem ruszyła do miejsca, z którego dobiegał krzyk. Słyszała napływające stamtąd głosy, lecz nie mogła rozróżnić słów. Czy był tam Feniks i Gueranie? Co się stało?

Drzwi na mostek były otwarte i kiedy w nich stanęła, zobaczyła znajdujących się w środku ludzi. Masada siedział przy konsoli pilota, wpatrując się w nią ze skupieniem świadczącym o tym, że przez jego hełm przepływały ogromne ilości danych. Feniks i dwaj towarzyszący mu strażnicy klęczeli na podłodze przy ciele Gueranina. Po drugiej stronie ciała pochylał się pilot, który sprawdzał coś jakimś aparatem. Pod czarnymi liniami *kaja* twarzy leżącego była biała jak kreda.

- Mogę spróbować przejąć kontrolę nad jego programem zdrowotnym - mówił Feniks.
- To może pomóc.

- Za późno - pilot ponuro potrząsnął głową. - Już nie żyje.

W górze, na głównym ekranie widokowym, cienka żyłka światła pulsowała na tle hebanowego nieba. Wyglądała tak samo jak *ainniq* widziany w pobliżu Ziemi, lecz znacznie bliższy i o wiele jaśniejszy. Jamisia widziała teraz przelatujące tam i z powrotem wzdłuż krawędzi szczeliny rozbłyski, podobne do błyskawic z przerwanego snu. Wzdłuż całej długości szczeliny gromadziły się tęczowe barwy i, skrząc, zderzały się ze sobą. Wyglądało to dziwnie i bardzo pięknie... a w tych okolicznościach nadzwyczaj groźnie.

W końcu odważyła się zapytać:

- Co się stało?

Zauważywszy obecność Jamisi, Feniks wstał i podszedł do niej. Miał niewyraźną minę.

- Kosmopilot nie żyje - powiedział. Objął ją ramieniem i przycisnął do siebie, pocieszając w ten sposób nie tylko ją, ale i siebie. Poczowała, że lekko drżał. - Tak więc wdepnęliśmy w gówno.- Mało powiedziane - mruknął pilot. - To sabotaż i w dodatku cholernie sprawnie dokonany. Załatwili nas na cacy, bez dwóch zdań. Kosmopilot padł, gdy

tylko podłączył się do konsoli. System nawigacyjny jest zablokowany, nie mam do niego dostępu. Doktor Masada usiłuje obejść blokadę, żebyśmy przynajmniej mogli manewrować.

Masada wyciągnął rękę do panelu kontrolnego i nacisnął jakiś klawisz. Po chwili zaklął pod nosem.

- Nie. To też jest zablokowane.

W oczach pilota Jamisia widziała strach.

- Musisz włożyć hełm, zanim wejdziemy w *ainniq*. Zauważyła, że *ainniq* jest już znacznie bliżej. Mogła dostrzec welony lśniącego wokół brzegów światła, wpadającego w czerni przestrzeni. Lecieli prosto w szczelinę.

- Wszystkie drogi zablokowane - mruknął Masada.

- Proszę próbować dalej - rzekł pilot. Usiadł przed pulpitem i próbował coś zrobić. Zaklął, gdy statek nie zareagował na polecenia. - Została niecała minuta.

- Do czego? - szepnęła Jamisia.

Feniks ruchem głowy wskazał ekran, na którym szybko powiększała się szczelina *ainniq*.

- Kurs został ustalony. Jeśli doktor Masada nie zdoła obejść uszkodzonych programów nawigacyjnych, wlecimy tam.

- Bez kosmopilota - dodał jeden ze strażników. W jego głosie usłyszała lęk.

Pożarcie przez *sana* podobno było najstraszliwszym rodzajem śmierci.

TRZYDZIEŚCI SEKUND DO PRZEJŚCIA, oznajmił komputer.

- W porządku - mruknął Masada. Całą uwagę skupiał na próbie naprawienia uszkodzonego oprogramowania i najwyraźniej te komentarze wygłaszał sam do siebie, nie do słuchaczy. - Ale tu mamy problem.

Sabotaż. Chcieli zabić ją, Masadę czy Feniksa? A może wszystkich troje? Wyglądałoby to na przypadkową śmierć, bez żadnych obciążających dowodów. Statek wlatuje w *ainniq*. I nigdy nie wylatuje. Czasem tak bywa.

DWADZIEŚCIA SEKUND DO PRZEJŚCIA.

Uszkodzenie komputera. Proste i czyste. Pewnie odcięli także system łączności. Statek zniknie, nie zostawiając po sobie żadnego śladu w uninecie. I nikt nigdy się nie dowie, co naprawdę się stało.

- Doktorze Masada - rzekł pilot. - Muszę mieć kontrolę, zanim wejdziemy w *ainniq*.

- Przeszkadzając mi - padła odpowiedź - niczego nie będzie pan miał.

Teraz ekran jarzył się blaskiem, a czerń nieba wycofała się aż na jego skraj. Pośród tej jasności lśniły i kołysały się cienie, sugerujące niewidoczne postacie, nieznanego niebezpieczeństwa.

- Czy mogę pomóc? - zaproponował Feniks. Masada gwałtownie pokręcił głową.

- To kod Gildii. Nie mogę dać ci do niego dostępu.

- Nawet jeśli przez to wszyscy zginieją? DZIESIĘĆ SEKUND DO PRZEJŚCIA.

- Nie bądź głupi. Nawet ty nie włamiesz się w dziesięć sekund do obcego systemu. - Pokręcił głową. - Ktokolwiek to zrobił, znał się na tej robocie. Przewidział wszystko, co spróbuję zrobić, żeby odzyskać kontrolę. Niech to szlag...

Ekran wypełniły wijące się barwy, kształty, pasy i ruchliwe cienie, zbyt szybkie, by nadażyć za nimi wzrokiem. Bliżej, coraz bliżej...

- Hełm! - krzyknął pilot. Jamisia słyszała panikę w jego głosie, gdy szczelina *ainniq* płynęła im naprzeciw, żeby pochłonąć statek.

PRZEJŚCIE - oznajmił komputer.

Nagle wokół nich ożyły wszystkie ekrany, rozmieszczone na całym mostku. 360 stopni oślepiającego blasku, otaczającego ich koszmarną poświatą. Czy Jamisi przywidziało się, czy też wyczuła tam coś - jasne, głodne i zmierzające do uszkodzonego statku? Przypomniało jej się niemiłe uczucie, z jakim spoglądała na obrazy Kenta. Patrząc na *ainniq*, czuła się tak samo, tylko tysiąc razy gorzej. Czy właśnie to próbował namalować?

To było piękne. I straszne. Przedstawiało chaos, kompletny chaos i nie można było nawet skupić na nim myśli, gdyż groziło to natychmiastową utratą zmysłów. Odwróciła się i spojrzała na tylne ekrany, ukazujące przestrzeń za nimi. Nie dostrzegła ani śladu otworu, przez który wlecieli, i żadnych znaków wskazujących drogę. Jakie punkty orientacyjne mogły istnieć w takim miejscu, gdzie wszystko było ruchome? Zagubili się, nieodwołalnie. I wiedziała, że jest tylko kwestią czasu, kiedy dostrzeże ich jeden z drapieżników tego królestwa. Może już za kilka sekund.

Mogłabyś odnaleźć drogę, odpowiedział wewnętrzny głos.

Ogromny cień zaczął sunąć w kierunku statku. Pilot zauważył go i skulił się na fotelu.

- O, Jezu.

Gdy to coś przybliżyło się, Feniks mocniej przycisnął do siebie Jamisę, która poczuła, że serce coraz mocniej łomocze jej w piersi. Program zdrowotny wyświetlał ostrzeżenie za ostrzeżeniem i w końcu go wyłączyła. Jakże miało znaczenie, jak szybko bije jej serce, kiedy za chwilę jej dusza zostanie wyrwana z ciała?

Ciemność spowiła statek i przez moment wszystkie ekrany zapłonęły krwawoczerwonym światłem... A potem przeszła obok, albo przez nich, i została wchłonięta przez szaleństwo barw.

Nie smok. W każdym razie nie prawdziwy. Nic.

Możesz zobaczyć prawdziwe smoki, Jamisio. Jeśli tylko zechcesz.

Nie, odpowiedziała w myśli. *Me mogę. Tylko on to potrafi.* Myśl o tym, żeby choć na chwilę oddać choremu panowanie nad jej ciałem, była przerażająca. Nie chciała brać jej pod uwagę. Po prostu nie mogła.

- W porządku - rzekł Masada. - Uruchomiłem systemy wspomagania. Zawsze to coś.

- I co z tego? Możemy teraz robić uniki przed czymś, czego nie widzimy? - Pilot wskazał na ekran. Krople potu perliły mu się na czole i spływały po twarzy, rozmazując *kaja*.

- Potrafi nas pan stąd wyprowadzić?

Ja potrafię, pomyślała Raven. *Moglibyśmy zrobić to razem.*

Tak, odpowiedziała jej Jamisia, *a potem umrę. To ciało będzie żyło, ale ja umrę na zawsze. Nie!*

Wyczuła, że za statkiem znów coś się pojawiło, i obróciła się na pięcie, żeby spojrzeć na ekran. Ujrzała wir nakładających się na siebie barw i odcieni, wizualny sztorm, w którym na żadnym punkcie nie dało się skupić wzroku dłużej niż przez sekundę. Chociaż nie mogła niczego dostrzec, czuła, że coś tam jest. Coś, co było bardzo głośne, bardzo silne i bardzo szybkie. Czuła, jak się zbliża, smakując dusze ludzi na statku, ich jaźń...

- Ja mogę pilotować - szepnęła.

Tylko Feniks ją usłyszał, a i on jej nie zrozumiał.

- Nie tego nam potrzeba.

W jego głosie usłyszała strach, zimny i przeszywający, w ogóle niepodobny do znanego jej Feniksa. On przywykł do niebezpieczeństw atakujących go przez sieć delikatnych obwodów i zagrażających jego neuronom, a nie do niewidzialnych demonów, chcących wyrwać mu duszę.

Mówiono, że to najgorszy z możliwych rodzajów śmierci. Czy obawiała się go bardziej niż tego, co tkwiło w niej? Zaczepnęła tchu i starając się nie okazywać strachu, powtórzyła głośnie:

- Ja mogę pilotować. - A kiedy nadal nikt nie odpowiedział, dodała prawie gniewnie: - Ja je widzę, do cholery!

- Jesteś Ziemią - warknął pilot.

- Nawet nie wiesz, co to oznacza - rzekł Masada. Potem zamknął oczy, skupiając się na czymś. - Niewiele brakuje...

- Wiem, co to oznacza - powiedziała. A gdy nie zareagowali, powiedziała z uporem: - To choroba. Pozwala ci widzieć *sana*, ale niszczy wszystkie myśli. Zgadza się?

Pilot odwrócił się i wytrzeszczył oczy. Masada też.

Łowca był blisko, bardzo blisko. Czują go. Nie było czasu do stracenia. Dlaczego ci ludzie tego nie rozumieją?

- Ja ją mam - powiedział im. Rozwścieczyło ją, że teraz, kiedy w końcu postanowiła zaryzykować dla nich życie, oni byli za głupi, żeby to zrozumieć. - Mam tę chorobę. Mogę je dostrzec.

Wreszcie Masada pojął sens jej słów.

- Odejdźcie - rzekł, odprowadzając strażników. Wskazał na Feniksa. - I zabierzcie go ze sobą.

Haker chciał zaprotestować, lecz strażnik chwycił go za ramię i pociągnął za sobą.

- Nie należysz do Gildii - powiedział hackerowi Masada. - To dla twojego dobra.

Drzwi z sykiem zamknęły się za ostatnim strażnikiem, pozostawiając na mostku Jamisę, Masadę i pilota. *Boże, co ja robię, to szaleństwo...Me ma innego sposobu*, szepnęła Raven, a Verina dodała: *Inaczej umrzemy*.

Jesteśmy z tobą, obiecała Katlyn. *Wszyscy*, potwierdził Derik. Oprócz jednego...

- Jak? - zapytał pilot. - Jak to możliwe? Obrzuciła go gniewnym i przestraszonym spojrzeniem.

- Czy to ważne? Jeśli mówię, że je widzę, czy ma znaczenie w jaki sposób?

- Nie czas na kłótnie. - Głos Masady był chłodny i spokojny, stanowił idealny kontrpunkt strachu pilota i rosnącej paniki Jamisi. - Jeśli mówi prawdę, to mamy szansę. Jeśli nie - umrzemy. A jeżeli czegoś zaraz nie zrobimy, to na pewno zginie. - Zmierzył ją spojrzeniem czarnych oczu. - Później będzie czas na zadawanie pytań.

- Oczywiście - szepnęła. *Boże, pomóż mi, proszę...*

Sięgnęła w głąb swojej duszy, aż do najciemniejszego miejsca, w którym skulił się najmłodszy z Innych, w jednym z tych mrocznych zakamarków, w których krył się przed pozostałymi. W głąb, do miejsc tak sekretnych, że prawie nie wiedziała o ich istnieniu.

Jamisio. Ujrzała ikonę. *Użyj tego*.

Mignęła potwierdzenie i w jej polu widzenia zaczęły przewijać się dane. Widziała linię za linią nieznanego kodu, bez jednej identyfikującej go ikony.

- Nie wiem, co to jest... - zaczęła protestować, lecz w myślach usłyszała spokojny głos Raven: *Ja wiem. To kod pilota. Zaufaj mi. Ktoś znów zaczął coś do niej mówić, ale go uciszyła.* - Wszystko w porządku.

Raven była do tego przygotowana. Raven wiedziała.

Czując ściskanie w dołku, ponownie się skoncentrowała. Niejasno uświadamiała sobie, że Raven wydaje polecenia komputerowi statku, pozwalając, by połączył ją przez hełm, ale wydawało się to dziać w innym wszechświecie. W innym świecie, zamieszkanym przez dusze niepodobne do jej własnej.

Ona biegnie po mokrej od deszczu trawie, nawołując go. Czy on ma jakieś imię? Czy odpowie na wołanie? Deszcz pada tak mocno, że prawie nic nie widać. A przecież musi go znaleźć!

Niebo jest czarne od burzowych chmur i siecze ją lodowatymi kroplami. Wiatr jest tak silny, że zwala ją z nóg i przewraca na błotnistą ziemię. Nie! Musi biec dalej! Podnosi się z ziemi, a błoto ścieka z jej rąk i kolan. On zawsze tutaj był, ilekroć tu przychodziła. Teraz też musi być!

Nawołuje go, lecz narastający wiatr ją zagłusza.

- Weź je! - krzyczy. - Weź! Jest twoje! Potrzebuje cię bardziej niż mnie...!

Łzy spływają jej po twarzy i natychmiast zostają zmyte przez deszcz. Łzy strachu, czy zapamiętanego bólu? Chwiejnie kroczy naprzód, kierując się ku pobliskiemu wzniesieniu, gdzie słaby blask gwiazd przedarł się przez chmury i ukazał coś leżącego na ziemi. Podchodzi bliżej i widzi go, skulonego na boku, drżącego z przerażenia. Dochodzi do niego i osuwa się na kolana, szlochając z przerażenia.

- Chodź - zachęca. Wiatr porywa jej słowa. - Chodź, potrzebujemy cię. - A po chwili wahania wyrzuca z siebie: - Ja cię potrzebuję.

Błada twarz unosi się, puste oczy napotykają jej spojrzenie. W tych oczach jest tyle bólu, tyle strasznego cierpienia! Z trudem powstrzymuje chęć odwrócenia głowy, ratowania się.

- Chodź - szepce. - Chodź ze mną.

Czuje, jak pustka jego duszy wciągają i wsysa. Ze wszystkich sił stara się z tym nie walczyć. Czy kiedyś uważała się za samotną? Nie rozumiała, czym jest samotność!

Nauczyciel staje nad nią. Słyszy, jak próbuje ją ostrzec. To na nic, na nic. Nadciągają sana, nie słyszysz? Te smoki żywią się ludzkimi duszami, a ja mam ich tyle...

Czy oni nie wiedzieli, że jej obecność na statku zwabi smoki? Nie rozumieli, że bogactwo dusz w jej ciele będzie zbyt smakowitym kąskiem, by oprzeć się pokusie?

- Chcą mnie dopaść! - wykrzyknął. Teraz widział, jak otaczają go, ukryte za eksplozjami barw. Ich ciała czerwono żarzyły się głodem i jeden z nich już pędził, pozostawiając za sobą złocisty ślad - iskry ponurej nienawiści, pokrywające jego ciało...

- Jest tam! - wrzasnął. Smok leciał tak szybko, tak szybko. Jak mogli go nie zauważyć? On widział wszystkie kolory zbierające się przed nim, rozproszone po jego przejściu, czuł napór jego umysłu na swoje myśli. Ten stwór był coraz lepiej widoczny, coraz wyraźniej odcinał się od tła. Te błękitne kształty były jego częścią, a ten złoty pozwalał mu się poruszać. Teraz z tyłu pojawiało się ich coraz więcej, a każdy miał inną barwę i kształt...

- Teraz! - wrzasnął. - Leć!

I wszystko to było żywe, zauważył, wszystko tam miało swoją świadomość, swój głód. Krajobraz, który jeszcze przed chwilą wydawał się chaosem, teraz objawił się tym, czym naprawdę był: tętniącą zabójczym i wygłodniałym życiem dżunglą. Jak człowiek mógł w niej przeżyć? Była obca, zbyt obca. To nie miejsce dla ludzi.

Ujrzał przed sobą nawigacyjne menu, które pojawiło się i znikło. Teraz ona, ta ciemnoskóra, przejęła kontrolę nad statkiem, przekładając jego wizje na manewry. A jeśli się pomyli? Albo jeśli zechce rzucić go na pastwę *sana*, aby nasyciły swój głód i zostawiły ją w spokoju? Na mostku byli dwaj mężczyźni... A jeśli zechcą wyrzucić go przez luk, żeby się uratować? Zobaczył, że jeden z nich robi krok ku niemu, i cofnął się, aż uderzył plecami o awaryjne drzwi.

- Trzymaj się z daleka! - wrzasnął. - Zostaw mnie!

Gdzie one są? - spytał głos w jego myślach. *Patrz!*

System statku przesyłał obrazy prosto do jego głowy. Teraz widział smoki wszędzie wokół, szereg za szeregiem, zmieniające kolory i kształty, śmigające czerwonymi jęzorami głodu spośród chmur nienawiści. Statek pod jego stopami nagle drgnął, rzucając go na kolana. Na moment wszystko zawirowało mu w oczach. Zgubieni, zgubieni, wszyscy byli zgubieni! Czy sądzili, że uda im się uciec przed takimi stworami? *Sana* były wszędzie, prawie niewidzialne, zawsze głodne... Z jękiem pozwolił, by jego umysł znów wypełniły obrazy, żeby je odszukać. Tam, tam był jeden, powoli zmierzał do statku, zmieniając barwy! Uciekać od niego, szybko! A tamten... Tamten potrafi wyczuć siatkę grawitacyjną, więc wyłączcie ją, natychmiast!

Teraz zbierały się w stado i wiedział, że są inteligentne, wiedzą o jego obecności i chcą go zniszczyć. Statek już nie miał dla nich znaczenia. To on, on był ich wrogiem i przeciw niemu kierowała się ich wściekłość. Stado zebrało się za statkiem i zaczęło się zbliżać. Krzyknął ostrzegawczo i poczuł, że statek w odpowiedzi pomknął naprzód. Słyszał

śmiej ścigających go smoków, stworów z barwy i cienia, zakładających się o to, jak długo uda mu się uciekać, i opowiadających, co zrobią z jego duszą, kiedy go złapią. Szybciej, trzeba lecieć szybciej! Chmury srebra i szkarłatu rozstępowały się, ukazując srebrzyste i szkarłatne stwory. Jeden z przeciągłym rykiem runął w kierunku statku, płonąć złościście z głodu. Szybki manewr wyprowadził statek z jego zasięgu i zgubił napastnika we wrzącej chmurze pomarańczowej mgły.

Tam, z przodu. Co to jest? Cienka czarna linia, prawie ukryta za ognistymi obłokami. Co to takiego? Ktoś coś do niego mówił, lecz on już nie rozumiał ich języka. Stał się czymś innym, nie umiejącym mówić, stworzeniem złożonym z szybkości, strachu i milczących wizji. W chwilę później ona umieściła w jego głowie te same słowa i zrozumiał je, ponieważ była w nim.

To ainniq. Podążaj wzdłuż niego. Nie możesz bezpiecznie go opuścić, dopóki nie znajdziemy węzła.

Podążać? Czy ciemnoskóra nie rozumie, że smoki wiedzą, dokąd zamierza się udać, że zbierają się przy *ainniq*, czekając, aż statek tam dotrze? A więc jednak nie była jego sprzymierzeńcem, tylko służką smoków. Zostali oszukani, wszyscy zostali oszukani...

Zimny jęzor liznął jego mózg. Obcy, złowrogi. Głodny. Jęknął i wydał statkowi instrukcje, usiłując uciec. *Sana* poleciał za nim, rozciągając swoje ciało na wiele kilometrów, przez tysiące odcieni światła. Kierując statkiem, czuł go w swojej głowie - ostre zęby szarpiące substancję jego jaźni, usiłujące oderwać ją od ciała.

Nagle - jest. Wprost przed nimi. Miejsce, gdzie zbiegały się dwa *ainniq*, tworzące pewny znak w tym królestwie chaosu. Poczul, że statek gwałtownie przyspiesza, i musiał krzyknąć. Nie, tam czekają *sana*, nie wolno lecieć tam prosto! Gwałtowne przyspieszenie pozostawiło w tyle tego, który za nimi leciał. Tam, widzisz to stado łowców? Omiń ich. Zwiększ prędkość. Ponownie włącz siatkę grawitacyjną, to zbije je z tropu. Teraz skieruj się prosto na ten punkt, gdzie zbiegają się czarne jak noc linie, do węzła...

Usłyszał gniewny ryk smoków, gdy wylecieli z *ainniq*. Wściekłość, paląca wściekłość, buchała za nimi ze szczeliny, depcząc im po piętach, gdy wpadli w bezpieczne objęcia czarnej nocy. Uciekł im. Tym razem. Będą jednak czekać na jego powrót. Teraz musi uciec tamtym.

Dwaj mężczyźni obserwowali go. Nosili ludzkie ciała, lecz byli dla niego nie mniej obcy niż *sana*. I równie niebezpieczni. Zechcą, by wrócił w ciemność, w ten duszny mrok, gdzie kryły się strachy, a niewidzialne potwory pełzały po jego ciele. Nie wróci tam. Nigdy tam nie wróci...

Jeden z mężczyzn zaczął się do niego zbliżać. On wrzasnął, żeby nie podchodził. Do kabiny weszli dwaj inni z bronią w rękę, więc widzisz, miał rację, miał rację! Po prostu wykorzystali go, żeby uciec smokom, a teraz zamierzali się go pozbyć... Kiedy podeszli, szarpał się i walczył zaciekle, drapiąc i gryząc, usiłując się wyrwać... Potem usłyszał syk automatycznej strzykawki i nagle opuściły go siły.

- Dranie! - wrzasnął. - Dranie! Uratowałem was! Dranie...

Potem gniew zmienił się w ciemność, a strach w sen. Wymuszony sen, lecz przynoszący spokój. Głębszy niż jakikolwiek dotychczas.

Masada spoglądał na ciało dziewczyny, pokryte plamami krwi i pianą, po zacieklej walce z guerańskimi strażnikami. Zostawili ją tam, gdzie upadła, kiedy upewnili się, że jest nieprzytomna.

Powoli, ostrożnie, pochylił się i wziął ją w ramiona. Była szczupła i bardzo lekka. Jak taka niepozorna osóbką mogła stawiać tak zażarty opór? Musiała być bardzo przerażona i strach dodał jej sił.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał pilota.

- W węźle harmonijskim. Za chwilę nawiążę łączność ze stacją tranzytową. - Drżącą dłonią otarł pot z czoła. - Jezu, to był lot.

Będzie musiał dopilnować, żeby dziewczyna się nie obudziła, dopóki nie zajmą się nią guerańscy lekarze. Ci znali się na syndromie i nie pozwolą, by pożarł ją żywcem. Do tego czasu sen będzie dla niej błogosławieństwem.

Zastanawiał się, czy Gildia ją zabije. Prawdopodobnie tak. Cokolwiek zrobili Ziemianie, żeby obdarzyć ją umiejętnościami kosmopilota, powinno na zawsze zostać tajemnicą. Biedna dziewczyna. Przejść przez *ainniq* i zginąć z tego powodu... To niesprawiedliwe, lecz politycznie konieczne, a on był dostatecznie mądrym człowiekiem, by wiedzieć, że czasem to drugie jest ważniejsze od pierwszego.

Kiedy upewnił się, że dziewczyna zapadła w głęboki i spokojny sen, przekazał ją jednemu ze strażników.

- Umieście ją w kabinie pilota - rozkazał. Jeśli właściciel miał jakieś obiekcje, to nie zamierzał ich słuchać. Uratowała życie im wszystkim i dopóki nie zostanie skazana na śmierć przez Gildię, miała prawo być dobrze traktowana. - I umyć ją.

Strażnik chciał coś powiedzieć - pewnie, że to nie należy do jego obowiązków - lecz zmienił zdanie na widok groźnie zmarszczonych brwi Masady. Profesor też nie zamierzał tego słuchać.

Prawdę mówiąc, on również miał nerwy w strzępach. Gdyby nie był tak pochłonięty problemem programów nawigacyjnych, zapewne zwróciłby uwagę na to, co działo się w *ainniq* a to miałyby katastrofalne skutki. Jego natura *iru* i tak przeszła ciężkie chwile, zanim oswoiła się z nowym, choć zupełnie zwyczajnym otoczeniem. Wiedział, że nie poradziłby sobie z tym piekielnym światem, który właśnie opuścili.

Z przyjemnością wróć do domu, pomyślał. Napiszę książkę lub dwie o *ainniq* oraz o kosmosie i będę szczęśliwy, jeśli żadnego z nich już nigdy nie ujrzę na oczy.

Był wyczerpany i najchętniej by się położył, ale wiedział, że najpierw musi sprawdzić statek i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Sabotaż, który pozbawił ich pilota i systemu nawigacyjnego, został dokonany niezwykle skutecznie, i nie chciał nagle odkryć następnej takiej niespodzianki. Nie zniósłby drugiej takiej wycieczki.

Jednak wszystkie systemy statku działały bez zarzutu, a strażnicy Ra byli cali i zdrowi, chociaż wstrząśnięci. Pilot zameldował, że wszystkie odblokowane przez Masadę programy działają. W końcu poszedł do kabiny pilota, żeby sprawdzić, jak się ma dziewczyna. Na wszelki wypadek. Oczywiście, ona nie ocknie się i nie odpowie na jego pytania. Mimo to z zadowoleniem stwierdził, że zmyto krew z jej twarzy, a podarte ubranie ułożono tak, by zasłaniało ciało.

Feniks też tam był, ale nie siedział przy niej. Tkwił przy zapasowej konsoli pilota, całkowicie zaabsorbowany programowaniem. Masada zauważył to od razu - i natychmiast zrozumiał, co to oznacza. Wyprowadzili go z mostka i zamknęli tutaj, a on skorzystał z okazji i włamał się do systemu statku.

- Ty głupcze! - wybuchnął Masada, dając upust nagromadzonej w ciągu kilku godzin złości.

Feniks spojrzał na niego. Miał dziwną minę, bynajmniej nie zdradzającą przestachu, jakiego oczekiwał Masada. Ani skruchy. Można by sądzić, że przyłapany na włamaniu do bazy danych kosmolotu powinien zareagować tak albo inaczej, broniąc się, okazując wrogość lub pokorę. Masada gniewnie podszedł do konsoli, migając ikoną, która nie pozwoliłaby Feniksowi wyjść z systemu, zanim profesor zobaczy, nad czym pracował. Tymczasem haker nawet tego nie próbował. Wyglądał na oszołomionego. Pewnie dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co go czeka.

Za takie poważne przestępstwo wymierzą mu karę śmierci. A w najlepszym razie wyczyszczenia mózgu. Gildia nie zniesie tego, że ktoś poznał jej kody, a już na pewno nie haker zamieszany w jej sprawy. Masada mógłby wybronić go od lżejszych zarzutów, ale tego... Tego może nie da się naprawić.

Spojrzał na ekran i zobaczył segment kodu bezpieczeństwa. Niedobrze, bardzo niedobrze. Głupi chłopak. W niektórych sprawach z Gildią nie ma żartów, i ta była jedną z nich.

Feniks spojrzał na niego i powiedział bardzo cicho:

- Kto to napisał?

To pytanie zaskoczyło Masadę. - Co?

- Kto to napisał? - Wskazał na widoczny na ekranie segment, który zaczął się przewijać, gdy haker wydał w myśli odpowiednie polecenie. - Kto to programował?

Profesor przyjrzał się dokładniej. Znał ten program, jeden z tych, które pomagały redagować na zlecenie Gildii. Usiłował przypomnieć sobie, kto go napisał.

- Dlaczego pytasz?

Feniks przez chwilę nie odpowiadał. Patrzył na leżącą na łóżku Jamisję. Potem rzekł:

- To ten sam facet. -. Jaki facet?

- Od Lucyfera. To ten sam programista.

- Jesteś pewny?

- W taki sam sposób wykorzystuje pamięć. Ma taki sam... nie wiem jak to nazwać, może najlepszym słowem byłby rytm? Sposób ułożenia. Uwierz mi, spędziłem tyle czasu, patrząc na kod Lucyfera, że poznałbym go wszędzie. - Zaśmiał się krótko, bez cienia humoru. - Założę się, że jeśli sporządzisz schemat tego draństwa, to też będzie śliczny.

Masada przez kilka sekund gapił się na Feniksa. Potem pochylił się nad konsolą, żeby wydać polecenia kopiujące kod. Feniks powstrzymał go i podał mu mały czarny chip.

- Już to zrobiłem. Myślałem, że ci się przyda.

Zaczął coś mówić, lecz nagle przypomniał sobie, czyj to program. I nie zdołał już wypowiedzieć tych słów. Zupełnie odebrało mu mowę.

Widocznie wyraz jego twarzy zdradził to zdumienie, bo Feniks powiedział cicho:

- Znasz go.

- Wiem, kto to napisał. Muszę zobaczyć więcej niż jedną próbkę, żeby mieć pewność.

Devlin Gaza.

Och tak, dyrektor spełniał wszystkie kryteria. Włącznie z tym, co zawsze podkreślał Masada... że twórca Lucyfera z pewnością zapewnił sobie dostęp do następnych generacji wirusa. A czy był na to lepszy sposób niż wykorzystanie całej siatki bezpieczeństwa Gildii? Czy można spokojniej badać wirusa, niż robiąc to na rozkaz Primy?

Jeśli ma być przesłuchany, to trzeba będzie zachować najwyższą ostrożność. On jest bardzo sprytny... a Prima nie zechce uwierzyć w jego winę. Trzeba będzie dostarczyć jej niepodważalny dowód.

- Jednak uważasz, że wiesz, kim on jest - naciskał Feniks. Masada nie odpowiedział, chociaż w jego mózgu kłębił się rój myśli, które usiłował uporządkować.

- Hej, jeśli pomogłem, to chcę wiedzieć, co się dzieje. Profesor przyłożył palec do ust Feniksa, nakazując mu milczenie.

- Dowiesz się we właściwym czasie. Może zostaniesz tym, który oznajmi wszystkim modziom, że twórca Lucyfera został surowo ukarany. Jeśli zechcesz, możesz nawet przypisać sobie całą zasługę. Tylko nie teraz. Ponieważ teraz... potrzebne mi twoje milczenie. Wiem, że nie leży to w twoim zwyczaju, więc potraktuj to jako wyzwanie.

Czy to Devlin Gaza uszkodził statek? Na pewno miał do niego dostęp... i motyw.

Jeśli tak, to teraz sądzi, że zginęli.

Masada musi powstrzymać pilota, zanim ten nawiąże łączność i powiadomi kogoś, że tak się nie stało.

Wyciągnął rękę i chwycił hełm Feniksa. Zrobił to tak niespodziewanie, że haker krzyknął, kiedy zerwał mu go z głowy.

- Na razie jesteś odłączony - rzekł. - Uważaj to za cenę sławy. - Feniks zaczął gniewnie protestować, ale Masada go uciszył. - Chcesz wziąć w tym udział? A więc przez kilka dni musisz być martwy dla świata. Wybieraj.

Namyślał się tylko kilka sekund. Przecież nie miał innego wyjścia i Masada dobrze o tym wiedział.

Załatwiwszy tę sprawę, wyszedł porozmawiać z pilotem.

XXXV

Sposób, w jaki człowiek kłamie, może czasem więcej powiedzieć o jego charakterze, niż gdyby mówił prawdę.

C.J. AMBERLEIGH „*Sztuka dochodzenia*”

WĘZEL GUERAŃSKI STACJA TIANANMEN

- Ach, wejdź, Devlinie.

Wszedł do sali konferencyjnej i zobaczył, że oprócz nich nie ma w niej nikogo. Podszedł do Primy i pocałował ją w policzek. Czy wydała mu się zimna? Miała nadzieję, że

nie. Na razie nie miała jeszcze powodu, by chłodno go traktować. Nie potępia się pochopnie kochanka. Z drugiej strony, jeśli obiecano dowód... trzeba się przygotować.

- Sprawy urzędowe? - zapytał.

- Tak. Mam kilka pytań. Usiądź, proszę.

Zajął miejsce dokładnie naprzeciwko niej, z drugiej strony stołu, i nappełnił szklanę wodą ze stojącej przed nim karafki. Uprzejmie zaproponował ją Primie, a kiedy odmówiła, postawił szklanę przed sobą, idealnie pośrodku.

- Devlinie, ja... muszę zapytać cię o kilka spraw związanych z twoją pracą.

- Pytaj.

- Trzeba to zapisać. - I dodała natychmiast: - Zweryfikować. Spochmurniał. Czy to poczucie winy? Czy tylko uzasadniony niepokój mężczyzny, którego kochanka właśnie poprosiła, by dowiódł swej uczciwości?

Jeśli jest niewinny, naprawdę niewinny, to mogę zepsuć nasz związek tak, że już nie da się go naprawić.

Nie miała wyboru. To był jej obowiązek.

Miała nadzieję, że jest niewinny. Modliła się, żeby jej przebaczył.

- Czy mogę spytać o co chodzi?

Zawahała się.

- Wolałabym odpowiedzieć na to podczas weryfikacji. Proszę, Dev. - Uśmiechnęła się i miała nadzieję, że jej słowa zabrzmiały szczerze. - Zrób mi przyjemność.

Zrobił taką minę, jakby zamierzał zaprotestować, ale potem szeroko rozłożył ręce.

- Jesteś moją Prima. Twoje słowo jest prawem.

Mignęła ikoną, wzywając technika. Ten cichy i zręczny mężczyzna szybko rozstawił sprzęt potrzebny do weryfikacji i zapisu wyników. Devlin sprawiał wrażenie chętnego do współpracy... Chociaż uprzedzono ją, że tak będzie. Jeśli jest niewinny, powiedziano jej, badanie to udowodni. Jeżeli jest winny, to jego umiejętności pozwolą mu na manipulowanie procesem weryfikacji, który wykaże jego niewinność.

„Tylko tak możemy mu to udowodnić”, powiedział jej Masada.

Przykro mi, Dev. Tak mi przykro.

Po kilku minutach wszystko było gotowe i na ekranie technika pojawił się odczyt programu zdrowotnego Devlina. Teoretycznie było to bezpośrednie połączenie, a dane były przekazywane, zanim badany obiekt uzyskał do nich dostęp. Teoretycznie.

Zaczęła zadawać mu proste pytania, na które już знаła odpowiedzi. Rozumiał powód i nie okazywał zniecierpliwienia. Takiemu badaniu często poddawano personel Gildii

podejrzany o naruszenie przepisów bezpieczeństwa. To prawda, że Devlin był przyzwyczajony do siedzenia przy monitorze, ale przynajmniej wiedział, o co chodzi.

Natomiast nie miał pojęcia, że wszystkie dane są przesyłane do Masady, który obserwował przebieg przesłuchania przez zamontowane w tym pomieszczeniu kamery. Nie wiedział też, że profesorowi pomaga haker z Paradise, gdyż - jak ujął to Masada: „Gaza zna mój styl i wie jak się przed nim bronić”. Nie domyślał się, że Prima była z nimi połączona. Teraz mignęła do Masady: JESTEŚCIE GOTOWI? I zaczęła na potwierdzenie, zanim przeszła do ważniejszych pytań.

- Linia odniesienia ustalona - rzekł technik. Niewątpliwie porównał ją z poprzednimi zapisami, uzyskując biologiczny portret Devlina Gazy, będący prawie idealnym odwzorowaniem normalnego stanu.

Oczywiście, wiedzieli również, jak wygląda wykres jego reakcji na stres. Wszyscy pracownicy Gildii przechodzili takie testy, zanim zostali zatrudnieni, i Devlin Gaza nie był wyjątkiem.

W końcu powiedziała:

- Chcę zadać ci kilka pytań o Lucyfera.

LEKKI STRES, przesłał technik. Cóż, pytanie zaskoczyło Devlina. Uzasadnione zdenerwowanie.

- Czy kiedykolwiek widziałeś tego wirusa, zanim doniesiono mi o jego istnieniu?

- Nie - odparł.

Po krótkiej chwili w jej polu widzenia pojawił się napis: ZWERYFIKOWANO.

Zgodnie z oczekiwaniami.

- Czy wiesz o Lucyferze coś, o czym mi nie zameldowałeś? Zawahał się, potem rzekł z nikłym uśmiechem:

- Może kilka teoretycznych hipotez, którymi nie chciałem zaprzętać ci głowy, ale jeśli chodzi ci o to, czy coś przed tobą ukrywam, to odpowiedź brzmi „nie”.

ZWERYFIKOWANO.

- Czy mogę spytać, o co chodzi?

Uniosła rękę, jakby chciała odepchnąć to pytanie.

- Później. Kiedy skończymy.

Spojrzała mu w oczy i nagle ścisnęło się jej serce. Czy to ostatni raz patrzę na ciebie jak na kochanka? Czy po dzisiejszym dniu staniesz się dla mnie przestępcą?

Proszę, okaż się niewinny. Proszę.

- Powiedz mi, co myślałeś, kiedy po raz pierwszy opisano ci Lucyfera.

Milczał chwilę, usiłując sobie przypomnieć. Dobrze. To pytanie dawało czas Masadzie, który razem ze swoim protegowanym miał wykorzystać łącze weryfikacyjne, żeby włamać się do wewnętrznego oprogramowania Devlina. Szukając czegoś, co - jeśli zostanie tam znalezione - będzie niepodważalnym dowodem winy.

Zadała jeszcze kilka pytań, w tym samym celu. Mijały minuty. Obserwowała jego twarz, wodząc wzrokiem po rysach, które tak kochała.

Nagle na ich tle ujrzała napis.

WESZLIŚMY.

Jakie to dziwne, rozmawiać z człowiekiem, podczas gdy inni grzebią w jego głowie. Jakie to... przygnębiające.

Zaczekała, aż skończy odpowiadać na ostatnie pytanie, a potem nabrała tchu, szykując się do prawdziwej próby.

- Devlinie... czy utrzymujesz kontakty z kimś należącym do Ligi Hausmana?

Spojrzał jej prosto w oczy i odpowiedział: - Nie.

ZWERYFIKOWANO - zasygnalizował jej technik. A sekundę później otrzymała wiadomość od Masady: ZMIENIA REAKCJE PROGRAMU.

Na moment serce zamarło jej w piersi. Dzięki Bogu, że sama nie jest podłączona do tego urządzenia. W jej sytuacji ujawnienie stresu mogłoby mieć katastrofalne skutki.

A on nie wykazywał śladu wzburzenia, najmniejszego. Oczywiście. Masada przewidział, że tak będzie.

„Człowiek, który stworzył takiego wirusa nigdy nie poddałby się procedurze weryfikacji”, powiedział. „Gdzieś umieści łąkę, specjalny program zmieniający wyniki odczytów na takie, jakich sobie życzy. Przesłuchuj go powoli, a ja poszukam tego programu”.

Jeden niewielki plik świadczący o winie. Za mało, by go skazać - do tego potrzeba bardziej obciążających dowodów - lecz wystarczający, by postawić przed sądem. Wystarczający, żeby zrozumiała, że nadszedł czas, by usunąć z jej życia tego mężczyznę, który zdobył jej serce, a potem zawiódł zaufanie.

Dlaczego? - pytała go w duchu. Dlaczego zrobiłeś to nam, Gildii, twoim kolegom? Myślałam, że wierzysz w to samo co ja. Myślałam, że podzielasz moje marzenia.

- Czy kiedykolwiek podjąłeś jakieś działania mogące zagrozić statusowi Ziemi?

Odniosła wrażenie, że w jego oczach dostrzegła błysk niepokoju. Zrozumienia. Czyżby jej pytania zdradziły cel tego przesłuchania? Jeśli tak, to właśnie tego chciała.

ZWERYFIKOWANO - oznajmił technik.

Och, mój kochany, mój kochany, coraz bardziej oddalasz się ode mnie z każdym słowem, każdą myślą...

NIE MA ŻADNYCH WĄTPLIWOŚCI, przesłał Masada. PRAWDOPODOBNIENIE PROGRAM WERYFIKUJĄCY NAWET NIE JEST POŁĄCZONY Z JEGO PROGRAMEM ZDROWOTNYM. PODAJE TWOJEMU TECHNIKOWI WCZEŚNIEJ PRZYGOTOWANE REAKCJE. WŁAŚNIE KOPIUJĘ DOWODY.

Zadała jeszcze kilka pytań, każde bardziej niewinne od poprzedniego. Grała na zwłokę, czekając na następny sygnał Masady. Kiedy Devlin poprosił o chwilę przerwy, by napić się wody, uprzejmie nie ponagliła go. Została jeszcze jedna próba, która ponad wszelką wątpliwość wykaże, czy Devlin korzystał z programów fałszujących wyniki weryfikacji. Prosta próba, bardzo tradycyjna, można by nawet powiedzieć, że prymitywna. Czasem takie lubiła najbardziej.

Otrzymała sygnał. GOTOWE, przesłał jej Masada. Programy obronne Devlina zostały skopiowane. Później spokojnie zostaną sprawdzone na obecność obciążających dowodów.

Odczekała jeszcze kilka minut, a potem powiedziała:

- Jest tu jeszcze ktoś, kto chce ci zadać kilka pytań.

Drzwi za nią otworzyły się i wszedł Masada. Nie odrywała wzroku od twarzy Devlina. Zbladł.

Nie zmienił wyrazu twarzy, tylko nieznacznie zmarszczył brwi. Żadnego zdziwienia, oprócz lekkiego drgnienia kąćków ust. Jednak Devlin był typowym *nantana* i doskonale potrafił skrywać swoje uczucia.

Ona też była *nantana* i równie dobrze umiała je odczytać.

Ty sukinsynu, pomyślała. Sądziłeś, że on nie żyje.

Tylko jeden człowiek mógł tak myśleć.

Spojrzała na technika.

- Jaka była reakcja na wejście profesora?

Pokazał jej ekran. Płaska, idealnie płaska linia. Biosystem nie wykazywał najmniejszego śladu odzwierciedlającego zaskoczenie na twarzy Devlina. Nawet ktoś, kto tak jak ona nie znał się na programowaniu, mógł stwierdzić, że program weryfikacyjny był karmiony fałszywymi danymi. Takie poruszenie i żadnej szpilki, która pokazywałaby je na wykresie.

Mój biedny, głupi, zdradziecki kochanku.

Skinęła na Masadę, który zostawił otwarte drzwi. Na zewnątrz stali czterej uzbrojeni strażnicy.

- Na razie żadnych pytań więcej - powiedziała cicho. Czuła ucisk w kąciku oka i miała nadzieję, że nie rozplacze się przy wszystkich. Była Prima Gildii *Ainniq* i oczekiwano od niej siły charakteru. Niezależnie od okoliczności. - Żadnych pytań aż do procesu.

Wyszła, zanim Devlin zdążył coś powiedzieć.

XXXVI

Czasem jedynym sposobem ratowania życia jest zabójstwo.

J. XAVIER MONROY

„Jaka jest cena przeznaczenia?”

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

Miklas Tridac był w kiepskim humorze.

Upłynął już prawie e-tydzień od dnia, w którym ta dziewczyna wymknęła się jego ludziom. Upokarzające niepowodzenie. Dwie grupy dobrze wyszkolonych agentów i pół miliona kosztów operacji, a ona zdołała uciec. Jedna dziewczyna, od niedawna przebywająca w kosmosie, przeciwko dwóm tuzinom jego najlepszych ludzi.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Oczywiście, to wszystko przez Ra. Od pierwszego dnia była jak wrzód na tyłku. Najpierw skonfiskowała transport broni, potem jej celnicy nękali jego agentów, a teraz... teraz miała dziewczynę. Tridac była potęgą i dysponowała niemal nieograniczonymi środkami, ale nawet taka korporacja nie mogła zaatakować siedziby przedstawicielki Gildii.

Co nie będzie miało żadnego znaczenia, kiedy złoży raport Korporacja nie przyjmowała do wiadomości żadnych usprawiedliwień.

Już miał wywołać dzienne sprawozdanie wywiadu - otrzymał go z rozbiciem na godziny, w postaci szczegółowej analizy sytuacyjnej i zestawienia faktów mogących wpłynąć na dalsze poczynania dziewczyny - kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść - zawołał i pomyślał: lepiej żeby to była dobra wiadomość.

Weszła Dhera, jedna z jego przybocznych, i chociaż jej zawsze nieruchoma twarz niczego nie zdradzała, biła od niej pewność siebie. Podeszła do siedzącego Miklasa i położyła przed nim na biurku arkusz plastiku. Zauważył nagłówek komunikatu wydanego przez biuro gildmistrzyni, jeden z tysięcy, jakie jego ludzie skanowali różnymi nielegalnymi metodami. Ten najwyraźniej został podpisany przez samą Sonondrę Ra.

MOJA PRIMO

ZGODNIE Z TWOIMI POLECENIAMI WYPUSZCZAM DZIEWCZYNĘ, KTÓRA POPROSIŁA O ŚRODEK TRANSPORTU. PRZYDZIELIŁAM JEJ STATEK, NA CZAS NIEOKREŚLONY.

RACZ ZAUWAŻYĆ, IŻ NIE UWAŻAM TAKIEGO ROZWIĄZANIA ZA ROZSĄDNE. WCALE NIE JESTEM PEWNA, CZY CI, KTÓRZY JĄ ŚCIGALI, ZREZYGNOWALI Z DALSZEGO POŚCIGU. MAM DOWODY ICH NIEUSTANNEJ OBECNOŚCI NA MOJEJ STACJI. NALEGAM, ABYŚ PONOWNIE PRZEMYŚLAŁA TĘ DECYZJĘ, A JEŚLI NIE ŻYCZYSZ SOBIE, BY DZIEWCZYNA POZOSTAŁA W MOIM WĘZLE, UDZIEL JEJ SCHRONIENIA W INNYM.

RACHUNEK ZA KORZYSTANIE ZE STATKU ZOSTANIE PRZESŁANY DO TWOJEGO BIURA.

SONONDRA RA WĘZEL PARADISE

Przeczytał to trzy razy, zanim zareagował. Upewniając się. Ciesząc się tą chwilą.

- Czy to możliwe, by ona wiedziała, że przejęliśmy tę wiadomość?

- Nie, sir. Spojrzał na nią.

- Jesteście pewni?

- Całkowicie, sir. Podjęliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności. Służba bezpieczeństwa Ra nie zareagowała w żaden sposób, nawet nie wysłali sondy śledzącej sygnał.

Pozwolił sobie na uśmiech. Nieznaczny, nie triumfalny - na to było jeszcze za wcześnie - ale pełen satysfakcji.

- W porządku. Dobrze się spisałaś. Teraz chcę wiedzieć, jakim poleci statkiem, a także znać czas i miejsce odlotu. I chcę mieć całkowitą pewność, że Ra nic nie wie o naszych poczynaniach. Macie niezwłocznie mnie zawiadomić, gdybyście zauważyli najmniejszy ślad aktywności jej służby bezpieczeństwa.

- Rozumiem, sir.

Dziewczyna opuszcza stację Paradise. W dodatku odlatuje sama, a Tridac dowie się skąd i kiedy. Taka wiadomość uzasadniała wezwanie kolejnego zespołu agentów, specjalistów od przechwytywania statków. Kilka godzin po opuszczeniu stacji Ra dziewczyna znajdzie się w jego rękach.

Dopiero teraz pozwolił sobie na szeroki uśmiech i pospieszył wydać odpowiednie rozkazy.

*

Statek był mały i odleciał z publicznego portu, zapewne dlatego, że Ra spodziewała się, iż jej prywatny dok będzie obserwowany. Ubrani po cywilnemu strażnicy odprowadzili Jamisę Shido na pokład, po czym zaczekali, aż otrzyma instrukcje lotu, wycofa stateczek z doku i odleci w mrok.

Tak zameldowali Miklasowi agenci. Donieśli także, że oprócz niej na pokładzie nie ma nikogo, co świadczyło, że dziewczyna umie pilotować. Doskonale. Oznaczało to również, że nawet gdyby statek był uzbrojony, to z trudem będzie mogła się bronić - do skutecznego odpierania ataków podczas ucieczki potrzebny był przynajmniej jeden, nie obciążony innymi zadaniami, członek załogi. Jeśli będą deptać jej po piętach, nie będzie miała czasu, żeby podjąć jakieś działania przeciwko nim.

Kiedy jego statek wychodził z doku, Miklas zaczerpnął tchu i starał się powstrzymać radość. Dziewczyna jeszcze nie była w jego rękach... ale wkrótce będzie, a kiedy dostarczy ją zarządowi, należycie nagrodzą go za tę przysługę. Może pewnego dnia sam zasiądzie w tym dostojnym gronie.

- Mam ją na ekranie - poinformował go pilot.

W przestrzeni panował tłok: transportowce, frachtowce, jachty i kapsuły wykonywały skomplikowane manewry, podchodząc do stacji lub ją opuszczając. Na razie nie mogli nawet zbliżyć się do statku dziewczyny, nie mówiąc o ściganiu go. Zanim Miklas skończyłby wydawać rozkazy, kontrola ruchu już nasłałaby na nich policję.

- Śledzić z daleka - rozkazał. - Zmieniać kurs.

Oddalała się od *ainniq*, lecąc w kierunku słabiej zamieszanego sektora. Doskonale, pomyślał Miklas. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to natknięcie się podczas pościgu na jakiś statek wycieczkowy. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Miejmy nadzieję, że widząc identyfikator Federalnej Służby Bezpieczeństwa, dziewczyna uzna, że wszystko jest w najlepszym porządku, i podda się bez walki. Jednak podczas tej operacji spotkało go już zbyt wiele przykrych niespodzianek i wcale nie był pewny, że tym razem obejdzie się bez żadnej. Korporacja Tridac nie chciała słyszeć o kolejnej porażce.

Wysłał sygnał do czekających statków, ustalając miejsce spotkania. W tym sektorze znajdowała się stacja przemysłowa, którą mogli wykorzystać jako osłonę, a niedaleko niej kombajn. Ludzie Miklasa ukryją tam ponad tuzin statków i będą gotowi przyjść mu z pomocą, gdy tylko ich wezwie.

Opuściła już przestrzeń stacji Paradise i minęła sektor turystyczny. Ostatnie kolorowe statki-kasyna pozostały w tyle, potem kilka satelit-hoteli, aż w końcu znaleźli się w otwartej

międzygwiazdnej przestrzeni. Na razie dziewczyna niczego nie zauważyła. Albo po prostu uznała, że nie ma powodu przejmować się statkiem Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Wydał rozkaz, by podlecieć bliżej i pomyślał: przykro mi cię rozczarować.

Z początku wydawała się ich nie zauważać. A może zauważyła, ale nie zaniepokoiła się. Kazał pilotowi utrzymać kurs i powoli podejść. Zmniejszyli dystans o połowę. Bliżej, bliżej...

- Jest tuż przed nami - powiedział pilot.

- Trzymaj się jej.

Teraz musiała się zorientować, że statek federalnych ją ściga. Czy spróbuje uciec, czy też zechce zachować bezpieczną odległość i zobaczyć, co się stanie?

- Zwiększa prędkość - ostrzegł pilot.

Tak więc otrzymał już odpowiedź na to pytanie. Skinął na pilota, żeby utrzymał dystans i wysłał bezpośredni sygnał. Ten był zaopatrzony w kod identyfikujący ich statek jako jednostkę FSB. Nakazywał jej zwolnić i wpuścić na pokład funkcjonariuszy, którzy przeprowadzą rutynową kontrolę. Takie rewizje zdarzały się w tym sektorze, w którym roilo się od przemytników i ich zleceniodawców. Miał nadzieję, że nie mając niczego do ukrycia, dziewczyna uzna, iż najprościej będzie pozwolić federalnym wejść na pokład i zobaczyć to na własne oczy. Każdego dnia wielu ludzi podejmowało właśnie taką decyzję.

Czekał w milczeniu, zastanawiając się, jaka będzie jej odpowiedź.

- Zwiększa prędkość - ponownie oznajmił pilot. Tym razem niepotrzebnie: Miklas wyraźnie widział na ekranie, że tamten statek się oddala. W porządku, pomyślał. A więc nie pójdzie łatwo.

- Podejdz na odległość strzału - rozkazał. Na pokładzie miał dwóch najlepszych celowniczych Tridac. Dał im sygnał, żeby przygotowali się do otwarcia ognia. - Macie celować w silniki i tylko w silniki - rzekł z naciskiem. - Unieruchomić statek, ale nie zranić dziewczyny.

Tak blisko, a jednak tak daleko...

Wgniotło go w fotel, gdy statek gwałtownie przyspieszył. Miklas poczuł dreszcz emocji i krew żywiej zaczęła krążyć w jego żyłach. Dziewczyna uciekała - nie było żadnych wątpliwości. Wynik tej ucieczki był z góry przesądzony. Od swoich szpiegów Miklas wiedział, że jego statek jest lepiej wyposażony do walki lub długiego lotu. Przy takiej prędkości nie mogła nawet podjąć próby dokowania w jakimś bezpiecznym miejscu i niebawem będzie musiała skierować się w pustą przestrzeń, gdzie na swej drodze nie napotka

żadnych innych obiektów. A jednak uciekała. Ludzki instynkt, odwieczny taniec drapieżnika i ofiary.

- Trzymaj się jej.

Podlatywali coraz bliżej, a pilot starał się ustawić statek na pozycji umożliwiającej oddanie czystego strzału. Zakończył manewr i celowniczy zastygł, szykując się do otwarcia ognia... a potem zaklął i zrezygnował, gdy cel gwałtownie odbił w bok.

- Dostaniemy ją - warknął Miklas.

Teraz leciała z pełną prędkością, wykonując gwałtowne skręty. Na pewno robiła to celowo, uniemożliwiając im otwarcie ognia. Miklas uznał, że całkiem nieźle sobie radzi, jak na dziewczynę z osiedla. Wątpił, by przed tą podróżą pilotowała coś bardziej skomplikowanego od jachtu.

- Z prawej burty stacja - powiedział pilot.

Była to górnicza stacja, otoczona polem ogromnych kawałów rudy. Niektóre z nich prawie dorównywały jej wielkością. Czyżby dziewczyna chciała schronić się za jednym z nich? Leciała za szybko na taki manewr. A jeśli sądziła, że manewrując w tym polu, uda jej się zgubić pościg, to była głupsza, niż sądził. Jego kosmopilot lepiej poradzi sobie z tym niż uciekiniarka z osiedla. Ponadto za tą stacją miał ukryte trzy statki, które natychmiast weszłyby do akcji. Pościg już właściwie się skończył.

Byłaś dobrą przeciwniczką, pomyślał. Jednak pogoń tylko wtedy naprawdę cieszy, jeśli kończy się sukcesem.

Teraz leciała w stronę stacji, zygzakując wśród kawałów rudy, usiłując zgubić pościg. Jego statek był większy i nie miał równie dużej zdolności manewrowej, lecz pilot był dobry i zdołał utrzymać odległość. Mimo to strzelec nie mógł sięgnąć celu, chociaż kilkakrotnie próbował. Raz trafił w ogromny kawał rudy i rozłupał go na dwie części, śląc w pustkę snop iskier.

Nieważne. Zbliżali się do następnych statków Tridac, a kiedy te wejdą do akcji, pościg natychmiast się skończy. Jeszcze minuta...

- Przygotujcie się - ostrzegł tamtych.

Ona znów zwiększała prędkość. Kierowała się w otwartą przestrzeń. Czyżby miała nadzieję, że im ucieknie?

- Teraz! - rozkazał.

Statki wyłoniły się zza stacji i zajęły pozycje. Jednocześnie oddały strzały ostrzegawcze, niosące wymowne przesłanie: Jesteśmy tu. Mamy miażdżącą przewagę. Zrezygnuj z dalszej ucieczki i nie narażaj statku na uszkodzenie”.

Miał nadzieję, że dziewczyna usłucha. Każdy zdrowy na umyśle pilot tak by zrobił.

- Przyspiesza - powiedział pilot.

Zacisnął zęby. W porządku, jeśli tego chcesz... Zawróciła. Leciała w stronę pola rudy. Co do licha...?

Może chciała schronić się za jednym z przechwyconych meteorów? Może zamierzała manewrować między nimi, przemykając tam, gdzie nie mogły przelecieć większe statki? Może chciała tylko zaskoczyć ich, zejść z pola rażenia albo...? Kto wie, co działo się w jej głowie?

Nie mogła wystarczająco szybko wykonać tego skrętu. Żaden pilot by tego nie potrafił. Może gdyby urodziła się w kosmosie, zorientowałaby się i skorygowała kurs. Niestety. Nie zrobiła tego.

Czołowo zderzyła się z meteorem z taką siłą, że olbrzymie kawałki rudy oderwały się i, wirując, odleciały w przestrzeń. Eksplozja wypełniła ekran rozbłyskiem światła, tym bardziej oślepiającym, że niespodziewanym. Sekundę później konsola pilota zabręczała ostrzegawczo, gdy na ich kursie pojawiły się szczątki rozbitego statku. Jej statku. Jej silników. Jej ciała.

Stał tam i patrzył na to. W takich chwilach człowiekowi brakuje słów. Nawet przekleństwa nie pomagają.

- Sir...

Machnięciem ręki uciął wszystkie pytania. Zauważył, że dłoń mu drży.

- Sprawdzić oznaki życia - rzekł w końcu. - Potwierdzić. Pilot powiedział prawie przepaszającym tonem:

- Mamy potwierdzenie, sir. Żadnych oznak życia. Przykro mi. Niewiele mi to pomoże, kiedy dowie się o tym zarząd. Zdumiewające, jak gwałtownie może zakończyć się kariera.

W ułamku sekundy, jak statek eksplodujący po uderzeniu w ogromny głaz. W jednej chwili jest tam, a w następnej zostają z niej nędzne szczątki.

Zaczerpnął tchu, na chwilę zamknął oczy i w końcu warknął:

- Wracamy do domu.

WĘZEL GUERAŃSKI WIĘZIENNA STACJA MOSKWA

- Już czas.

Devlin Gaza spojrział na stojących w drzwiach strażników, zaczerpnął tchu i skinął głową. Oczy miał przekrwione z niewyspania, ale kazał to skorygować programowi zdrowotnemu. I poprawić wilgotność skóry, by jej suchość i matowy kolor nie zdradzały jego zmęczenia. I strachu.

Teraz, kiedy kazali mu wyjść z celi, zastanawiał się, czy była to słuszna decyzja. Czy będzie bardziej poruszona, widząc, że nie okazuje strachu, czy też wzbudziłby więcej współczucia, wyglądając jak wrak człowieka dręczonego niepokojem i poczuciem winy? Takie oznaki mają duże znaczenie dla *simba* i właściwy wybór równie dobrze mógł być różnicą między życiem a śmiercią.

Było już jednak za późno, żeby coś zmienić. Wstał i opuścił celę, tak jak mu kazali, po czym ruszył naprzód, otoczony przez dwunastu uzbrojonych strażników. Dwunastu! Dobry Boże, za kogo oni go brali, że przydzielili aż tak liczną eskortę? Był programistą, nie komandosem!

Uważają cię za terrorystę, powiedział mu wewnętrzny głos. I wiedzą, że współpracowałeś z terrorystami. Dlaczego więc się dziwisz?

Terrorysta. Dobry żart. Starożytne słowo, łątka przyklejana każdemu, kogo Gildia zechciała oskarżać o swoje kłopoty. Czy nie rozumieli, o co chodzi Lidze? Czy nie potrafili swymi ciasnymi umysłami pojąć, że przeznaczenie ludzkości należy kształtować starannie i precyzyjnie, a nie zostawiać tego przypadkowi? Minęły wieki, od kiedy Liga ostatni raz została oskarżona o terroryzm - ślepo stosowaną przemoc, której obawiały się wszystkie cywilizowane stacje. Czy oni nie mogli zrozumieć, że chodziło o coś znacznie ważniejszego? O przyszłość ludzkości.

„Posłuchaj”, błagał ją po procesie, „oboje wiemy, że musimy uwolnić się od Ziemi. Ja tylko dostarczyłem nam pretekstu. Czy to taka straszna rzecz, pozostawić ich własnemu losowi, bez naszych technologii i bez pomocy? To zaledwie cień tego, co oni zrobili nam!”.

A potem: „Musimy uwolnić się od nich, Alyu, przecież wiesz o tym równie dobrze jak ja. Czy naprawdę możesz mnie winić za to, że dałem nam taką możliwość? Weź to, co ci dałem, i wykorzystaj! Mój Boże, niektórzy gildmistrzowie oddaliby życie za taką możliwość...”.

Ona nic nie powiedziała. Nic.

Przez dziesięć lat była jego kochanką, jego partnerką. Myślał, że ją zna. Nic.

Zobaczył, że prowadzą go do doku więziennej stacji. Do tej pory nie powiedzieli mu, dokąd idą i dlaczego. Kiedy o to spytał, strażnicy nawet na niego nie spojrzeli ani w żaden inny sposób nie zareagowali na jego słowa. Spróbował wejść do więziennej sieci, chcąc skierować to pytanie gdzie indziej, lecz chociaż hełm nawiązał połączenie, pytania padały w pustkę i pozostawały bez odpowiedzi. Oczywiście. Zostawili mu hełm, by utrzymać łączność i kontrolę nad programem obserwacyjnym - który wprowadzili mu do głowy jak każdemu

innemu więźniowi - jednak nie zamierzali udzielać swobodnego dostępu do sieci najgroźniejszemu programiście w galaktyce.

Mimo wszystko mógłby się uwolnić, gdyby się bardzo postarał. Mógłby przeprogramować interfejs, otworzyć zamki celi, zmienić plan wart, zakraść się na statek i uciec stąd. Jeszcze wystarczyłoby mu czasu na przygotowanie pożegnalnej przemowy i wysłanie jej do uninetu, żeby wszyscy mogli ją usłyszeć. Mógł opanować każdy system komputerowy i wszystkie zastosowane przez nich środki ostrożności nie zdołałyby mu w tym przeszkodzić. Nawet Masada nie zdołałby go powstrzymać.

Tylko że wtedy do końca życia musiałby się ukrywać, jako najślynniejszy zbieg w kosmosie. Dokąd by uciekł? Kto by go obronił? Każda stacja, która udzieliłaby mu schronienia, nieuchronnie została by odizolowana, co było najstraszniejszą karą stosowaną przez Gildię. Wszyscy członkowie Ligi Hausmana byli teraz bacznie obserwowani i gdyby spróbował do nich uciec, wpadłby prosto w ręce Gildii. Nie, tak jest lepiej. Wyjawic Alyi wszystkie fakty, jasno i prosto, i mieć nadzieję, że z czasem zrozumie go i mu wybaczy.

W końcu była Gueranką. Nienawidziła Ziemian tak samo jak on.

W doku stał mały kosmolot z jasnym symbolem Gildii na dziobie. To dobry znak, powiedział sobie Devlin. Dopóki o tej sprawie wie tylko Gildia, dopóki galaktyczne media nie mają pojęcia, co się dzieje, ma jeszcze szansę. Mogli utrzymać to w tajemnicy, tak jak wiele innych rzeczy, aby wykorzystać jego wirusa - lub nie. Tak, obecność tego kosmolotu to dobry znak.

Wprowadzili go do małej poczekalni i kazali usiąść na jednym z miękkich foteli. Po kilku minutach poczuł, że statek się zatrzęsł. Gaza zrozumiał, że opuścili więzienną stację.

- Dokąd lecimy? - zapytał. Wcale nie oczekiwał odpowiedzi i nie otrzymał jej. W porządku, jeśli chcieli milczeć, to on też to potrafi. Prędzej czy później ktoś musi coś mu powiedzieć: tego wymagała jego ranga.

Kiedy statek oddalił się od stacji i ciężenie unormowało się na wygodnym, choć nieco wysokim poziomie, kazali Gazie ponownie wstać i pójść za nimi. Usłyszał. Znał tego rodzaju statki, więc wcale się nie zdziwił, gdy kazali mu skrócić w prawo - do głównego przedziału pasażerskiego, gdzie można przeprowadzić wywiad lub przesłuchanie. Dwaj strażnicy weszli pierwsi, on za nimi, a reszta niewielkiego oddziału poszła w ich ślady lub została na korytarzu, zapewne, by zapobiec ewentualnym próbom ucieczki.

Jakby miał dokąd uciec.

Drzwi rozsunęły się i wszedł do środka. Ostre światła oślepiły go zniecacka. Uniósł dłoń, osłaniając oczy. W pomieszczeniu było mnóstwo ludzi - długie szeregi

umundurowanych członków Gildii... oraz cywile. Z przerażeniem zauważył, że niektórzy z tych ostatnich nawet nie byli Gueranami. Nie do pomyślenia! A potem spojrzął na źródło światła i ujrzał pomrukiujące wokół wideokamery, ustawiające się pod jak najlepszym kątem.

O mój Boże. Dziennikarze. Poczł zimną dłoń strachu ściskającą mu serce, gdy rozpoznał loga największych dzienników, zdobiące hełmy niektórych widzów. Skoro byli tu dziennikarze... Zadrżał. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Kiedy środki przekazu dowiedzą się o tym, co zrobił, wszystkie reguły tej gry ulegną zmianie. Czyżby zawiadomiła o wszystkim dziennikarzy? Przecież Alya nie mogła tego zrobić. Nie Alya, która go kochała i rozumiała.

Nagle stanęła przed nim. W pierwszej chwili nawet jej nie poznał. Miała nie umalowaną twarz, wbrew wszelkim guerańskim zwyczajom. Oczywiście, widywał już ją taką w jej prywatnych apartamentach, lecz tym razem było inaczej. Tutaj, gdzie sprawowała absolutną władzę, brak *kaja* wydawał się czymś niemal prymitywnym, zbyt niesamowitym, by to zrozumieć. Obcy ludzie mogli odczytać teraz każdy grymas jej twarzy, nadając mu dowolne znaczenie. Podczas gdy on... Pozbawiony drogowskazu, jakim był *kaja*, Gaza nie potrafił wyczuć jej zamiarów i nastroju. Z nie umalowaną twarzą sprawiała wrażenie bezbronnej, lecz kiedy tak przed nim stała, on czuł się nagi.

- Alya... - zaczął.

Przeszyła go gniewnym spojrzeniem i miała rację. Nawet kiedy darzyła go łaskami, nie wolno było publicznie zwracać się do niej po imieniu. To przez te światła. Doprowadzały go do szaleństwa. I te wszystkie kamery pomrukiujące mu nad głową, szukające najlepszych ujęć, denerwujące go tak, że nie potrafił zebrać myśli. W jego otoczeniu powinien panować ład i porządek, spokój, symetria. Nie taki chaos latających kamer i stojących za nimi dziesiątków ludzi.

- Milcz - rozkazała lodowatym głosem. Z mocno bijącym sercem usłuchał. Widok jej nie umalowanej twarzy w tym otoczeniu był tak szokujący, że Gaza nie potrafił zinterpretować jej wyrazu. Jednak Alya była zarówno *nantana*, jak *simba*, a taki *kaja* nigdy nie robi niczego bez powodu.

Potem odwróciła się do niego plecami, stając twarzą do zgromadzonych. Strażnik położył dłoń na jego ramieniu, nakazując mu milczeć. Czy mógł nie usłuchać? Do programu zdrowotnego Devlina wprowadzili moduł spowalniający wszystkie reakcje mięśniowe. Jakoś nauczył się z tym poruszać, ale na pewno nie mógł biec. Ani walczyć. Ani... zrobić niczego takiego, czego mogliby oczekiwać.

Alyu! Znasz mnie, znasz moje zalety, na pewno rozumiesz, dlaczego to zrobiłem! Może złamałem prawo, ale z pewnością wiesz, że to było konieczne! Jeszcze możesz mnie uratować, Alyu!

Zaczęła mówić, beznamiętnym głosem, stojąc nienaturalnie nieruchomo, nie wykonując żadnych zbędnych gestów. Najwidoczniej nie chciała, by ktokolwiek wiedział, co w tym momencie czuła.

- Obywatele kosmosu. - Wideokamery przestały uwijać się wokół niego i skierowały obiektywy na nią. - Dziennikarze i dziennikarki. Reprezentanci władz Ziemi i wszystkich ziemskich stacji. Dziękuję wam za przybycie do węzła Tiananmen. Dzisiaj poznacie wyniki prowadzonego przez ponad dwa lata śledztwa w sprawie wirusa znanego jako Lucyfer oraz długich przesłuchań osób odpowiedzialnych za wprowadzenie go do uninetu. Dziś również zapadnie wyrok na winnych.

Czyżby w jej głosie usłyszał wahanie, króciutką przerwę między słowami, przez którą można dostrzec uczucia? Chociaż strach mroził mu serce, modlił się, żeby tak było. Przecież go kochała? Chyba nie przestała go kochać? Nie mogła go skazać. Prawda?

- W chwili, gdy mówię te słowa, w kilkunastu węzłach aresztuje się spiskowców. Czeka ich taki los, jaki szykowali Ziemi: zostaną na zawsze odizolowani od galaktycznego społeczeństwa i pozbawieni wszelkich możliwości międzygwiazdnych podróży. - Milczała przez chwilę, pozwalając, by wszyscy obecni zdali sobie sprawę z surowości wyroku. - Zamierzali naszymi rękami zgotować taki los Ziemi, więc uważam to za sprawiedliwą karę.

Zerknęła na Devlina i szybko odwróciła wzrok. Z jej oczu niczego nie zdołał wyczytać.

- Nasza Gildia nie jest siłą polityczną, wykorzystującą własną potęgę do dominowania nad innymi światami. I nigdy się taką nie stanie. Celem Gildii zawsze było utrzymanie kontaktów między potomkami Ziemi i bezpieczne przeprowadzanie ich przez *ainniq*, tak by mogli dzielić z nami to, co tu zbudowaliśmy. Tak też robimy, od wieków. Niektóre ze światów Hausmana, które ponownie zostały odkryte przez nasze statki zwiadowcze, znajdowały się na bardzo prymitywnym stopniu rozwoju, a mieszkający na nich Warianci ledwie przypominali istoty myślące i nie mieli pojęcia o swoim dziedzictwie. Uratowaliśmy tych naszych zaginionych kuzynów, wykształciliśmy ich i uczyniliśmy częścią naszej społeczności. Zmusiliśmy innych, aby ich zaakceptowali, a w razie potrzeby walczyliśmy o tę akceptację. Właśnie taki jest cel istnienia Gildii: odszukanie wszystkich zaginionych kolonii Ziemi i zjednoczenie wszystkich potomków ludzkiej rasy. Oczywiście, od początku wiedzieliśmy, gdzie znajduje się Ziemia, gdyż posiadaliśmy starożytne mapy. Postanowiliśmy

ją odszukać. Zdecydowaliśmy włączyć niezmienione dzieci Terry do naszej społeczności, gdyż mają do tego prawo. Tak uważali założyciele Gildii i ja również w to wierzę.

Teraz ponownie obrzuciła Gazę lodowatym spojrzeniem. Na moment serce przestało mu bić, a wokół piersi zacisnęła się stalowa obręcz, nie pozwalająca złapać tchu.

- Ten człowiek - oznajmiła głosem zupełnie, całkowicie wypranym z emocji, jakby cała ta część jej duszy nagle umarła - ten człowiek, Devlin Gaza, zamierzał zniszczyć wszystko, co zbudowaliśmy. Chciał wykorzystać dawne animozje, by znów podzielić ludzką rasę, aby synowie i córki Ziemi żyli i dorastali, nie wiedząc o swoim istnieniu. Taka próba jest poważnym przestępstwem, a fakt, że podjął ją członek Gildii, czyni je niewybaczalnym. To zniewaga dla wszystkiego, co jest nam drogie. Wszystkiego, w co wierzymy. Kim jesteśmy.

Chciał się poruszyć, zaprotestować - gdyby nie zdołał się uratować, to przynajmniej przemówić w swojej sprawie - lecz stojący obok strażnik warknął:

- Milcz!

Hełm przekazał jakieś polecenie do procesora myślowego, blokując jedno z najważniejszych połączeń nerwowych. Gaza stracił zdolność mowy.

TO JUŻ KONIEC, DEVLINIE. Słowa, które ujrzał w polu widzenia, pochodziły od niej, chociaż nie miał pojęcia, skąd o tym wie. **BĄDŹ MĘŻCZYZNĄ DO KOŃCA I ODEJDŹ**

Z GODNOŚCIĄ.

Hełm nie pozwolił mu odpowiedzieć.

- Warianci, Ziemianie, przedstawiciele prasy - powiedziała urzędowym tonem, niczym cesarzowa zwracająca się do dworu. - Wezwałam was tu dzisiaj, abyście zobaczyli, jaka kara spotka winnego tej zbrodni. Nie chcę, by pomawiano Gildię o tolerowanie jakichkolwiek wykroczeń. To, co jest niedopuszczalne u innych ludzi, tym bardziej jest niedopuszczalne u członków Gildii i zostanie surowo ukarane. - Ruchem głowy wskazała na Gazę, dając znak otaczającym go strażnikom. - Brać go.

Nie mógł z nimi walczyć. Nie mógł protestować. Mając zablokowany ośrodek mowy, nie mógł nawet wykrzyknąć jej imienia. Kiedy spróbował się poruszyć, odkrył, że wzmocnili siłę działania inhibitorów ruchu, tak że każdy krok przychodził mu z najwyższym trudem. Jakoś zdołał poruszać nogami i nie upaść na twarz, gdy ubrani na czarno strażnicy popchnęli go naprzód.

Dziennikarze towarzyszyli im, a za nimi szli inni goście. Kamery pomrukiwały mu nad głową. Boże, jak on ich nienawidził! Nienawidził ich wszystkich. Jak mogli nie rozumieć,

co dla nich zrobił? Powinni być mu bezgranicznie wdzięczni i obsypać go zaszczytami, a nie skazywać na wygnanie.

Zaprowadzili go z powrotem do doku. Stała tam mała kapsuła, której przedtem nie było. Nagle pojął, do czego to zmierza. Strach ścisnął mu serce i Gaza w panice próbował wyrwać się strażnikom. Ta próba oporu potrwała tylko sekundę, gdyż polecenie z czyjegoś hełmu jeszcze bardziej spowolniło reakcje mięśni. Kiedy wsadzali go do kapsuły, ledwie mógł iść, a ręce bezwładnie zwisały mu wzdłuż boków.

NIE! - krzyczał bezgłośnie w myślach. NIE!

Wsadzili go do kapsuły. Zapięli pasy. Zanim zamknęli drzwi, pokazali mu plan lotu, żeby wiedział, dokąd polecą kapsuła. Wideokamery baczły tuż za drzwiami, usiłując uchwycić grymas przerażenia na jego twarzy.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, były jej oczy. Zimne, takie zimne. Czy jego kochanka miała kiedyś takie oczy?

ODEJDŹ SZYBKO, zobaczył słowa. A potem, po chwili: NAPRAWDĘ CIĘ KOCHAŁAM, DEV. Alya!

Kapsuła zaczęła się ruszać. Z początku powoli, gdy masywne uchwyty transportera ustawiły ją w odpowiedniej pozycji. Potem poczuł towarzyszące wszystkim startom mdłości, gdy naturalne i sztuczne ciężenie, oraz tuzin innych sił, włącznie z siłą bezwładu, walczyły o dominację w jego żołądku. To nic. Nie odrywał wzroku od ekranu - niewielkiej bramy, przez którą mógł dojrzeć swój los. Patrzył, gdy kapsuła mknęła przez przestrzeń, ku najbliższemu *ainniq*. Powoli pojawiła się przed nim szczelina, urzekająco piękna, bliższa i większa z każdą mijającą chwilą. Nic więcej nie mógł zrobić: do rozpoczęcia przejścia stery były zablokowane, a więzienny hełm nie miał oprogramowania potrzebnego do ich uruchomienia. Bądź mężczyzną.

Poczuł, jak drapieżcy poruszyli się, gdy jego maleńka kapsuła wpadła w *ainniq*. Idealne połączenie głodu i nienawiści, a może także inteligencji. Czy one miały poczucie własności, te *sana*, czy rozumiały ludzki świat na tyle, by nienawidzić tych, którzy wkraczali na ich terytorium? Czy to rzadkie zwycięstwo będzie dla nich nie tylko ucztą, ale i zemstą?

Spróbował im uciec. Nie mógł zmienić kursu kapsuły więcej niż o kilka stopni, ale zdołał zapanować nad przyspieszeniem i gnał pełną mocą silników. Wiedział, że to daremne, ale każdy by tak zrobił. W jego ludzkim mózgu były odcisnięte schematy relacji drapieżnika i ofiary, więc gdy jeden z tych potworów ruszył jego śladem, podświadomość przejęła kontrolę, starając się jak najdłużej odwlekać nieuchronny koniec.

Ten nadszedł szybko. Za szybko.

Dopiero na samym końcu z jego gardła wyrwał się krzyk.

*

Alya Cairo patrzyła na ekran, aż kapsuła znikła, połknięta przez *ainniq*. A potem zaczęła jeszcze chwilę. Milczała. Towarzyszący jej strażnicy nie poruszali się, nie potrafiąc niczego wyczytać z jej twarzy. Dziennikarze byli niespokojni, ale pełni szacunku. Nie potrzebowali dostępu do jej bioobwodów, by rozumieć ból, jaki odczuwała w tym momencie. W ciągu godziny jej nie umalowana twarz pojawi się we wszystkich mediach, jako świadectwo ludzkiej udręki. Idealny kontrpunkt śmierci Gazy, uwięzienia wielu członków Ligi oraz szeroko zakrojonych poszukiwań wirusa, jakie już od dłuższego czasu prowadzono w uninecie.

Powoli odwróciła się i bez słowa spojrzała na audytorium. W jej oczach nie było łez ani żadnego błysku, jaki mogliby zinterpretować. Skinęła na kogoś, kto wyszedł z tłumu i podał jej miseczkę z czarną cieczą. Nie spojrzała na nią, lecz na osłep zanurzyła palce w farbie. Potem rozsmarowała ją sobie na twarzy. Guerański znak żałoby. Kamery brzęczały niezmordowanie, szykując materiał o guerańskich zwyczajach, który jeszcze tego dnia pojawi się we wszystkich wiadomościach.

Kiedy namalowała sobie na twarzy prymitywny wzór smutku, maskujący uczucia tak samo, jak zakryłby *kaja*, powoli przeszła przez tłum. Ze wszystkich stron zadawano jej pytania, które ignorowała. Otaczali ją zaniepokojeni strażnicy - wydawała się nie zauważać ich obecności. Jeden z dziennikarzy stanął jej na drodze, aż strażnik musiał chwycić go za ramię i odciągnąć na bok - inaczej pewnie weszłaby na natręta.

Niczego nie widząc i nie czując, gildmistrzynie Gildii *Ainniq* zostawiła strażników i dziennikarzy, gości i doradców, wchodząc w wąski korytarz prowadzący do jej apartamentu. Nikt za nią nie poszedł. Nikt nie śmiał. Kilka kamer towarzyszyło jej jeszcze przez metr czy dwa, po czym wszystkie z traskiem upadły na podłogę, gdy wysłany przez jednego z ochroniarzy sygnał zakłócił ich programy nawigacyjne.

Odeszła sama.

Do apartamentu. Tam zastygła w milczeniu. Spoglądając na ikony, mające uaktywnić wszystkie funkcje, które wyłączyła godzinę wcześniej, przygotowując się na spotkanie z dziennikarzami. WYŁĄCZ KONTROLĘ NAD KANALIKIEM ŁZOWYM, poinstruowała program zdrowotny. Łzy zaczęły płynąć jej z oczu. WYŁĄCZ INHIBITORY METABOLIZMU. Serce zaczęło tłuc się w piersi, policzki zaczerwieniły się, a regularny oddech stał się głębszy, gwałtowniejszy i szybszy. WYŁĄCZ INHIBITORY EMOCJI.

Zacisnęła powieki, gdy synapsy otworzyły się i zamknęły, neurotransmitery zadziałały, a dendryty zaiskrzyły nową aktywnością.

Żal, jak potężna tsunami, przetoczył się w jej mózgu, ogarnął i wstrząsnął całym ciałem, aż ostrzeżenia programu zdrowotnego wypełniły pole widzenia jasnoczerwonymi literami, a smutek nie pozwolił jej dłużej dostrzegać rzeczywistości.

Samotna w zaciszu apartamentu, Prima Gildii płakała.

XXVII

RUSA

Las jest gęsty i zielony, powietrze ciepłe i parne. Porusza się w nim myśliwy - cicho, ostrożnie, trzymając pod pachą własnoręcznie zrobioną broń, a w sakwie na biodrze zatrute strzałki.

Tam, tam kończy się trop. Łowca przystaje, wciągając nosem powietrze. Ciepły wietrzyk przynosi mu słaby zapach zwierzęcego piżma, świadczący o bliskości zwierzyny, która nie może go zwietrzyć.

Wpycha strzałkę do długiej dmuchawki, którą przykłada do ust, i powoli rusza naprzód. Krok za krokiem, tak delikatnie stąpając po liściach, że te prawie nie szeleszczą.

Teraz widzi przed sobą polankę. Teraz, przez zasłonę liści, gałęzi i poskręcanych pnączy, widzi jelenia.

Rusa.

Oddech więźnie myśliwemu w gardle. Może się poruszył. Może zdradził się jakimś dźwiękiem. Jeleń spogląda nań, spłoszony, napotyka jego spojrzenie brązowymi ślepiami.

Rusa, strażnik dusz. *Rusa*, święty jeleni, którego ciało jest siedzibą dusz zaginionych ludzi.

Odsuwa broń od warg. Serce wali mu jak młotem. Jeleń nie porusza się. Czyjego ducha nosi teraz to ciało, czyjego przodka, kochanka, zaginionego dziecka? Czyja dusza spogląda tymi łagodnymi oczami, czyja osobowość każe jeleniowi cofnąć się o krok, nastawić uszy, przygotować się do ucieczki?

Oczywiście, nie strzeli do niego. Jak można zabić żywe stworzenie, nie wiedząc, jaka tkwi w nim dusza? Jak można ocenić to w jednej chwili, podczas gdy następna może wymagać nowej i odmiennej oceny?

Patrzy, jak jeleń odchodzi: powoli, majestatycznie, wyczuwając własną słabość. A potem, kiedy podziw znów ustępuje przed głodem, rusza innym tropem, by zapolować na łatwiejszą zwierzynę.

KAJA: „Kosmiczny przewodnik po guerańskim systemie społecznym”, tom II: Znaki duszy.

WĘZEL PARADYZYJSKI STACJA PARADISE

Kabina widokowa ziała pustką, kiedy weszła do niej Sonondra Ra. Nikt nie siedział na miękkich fotelach otaczających szklane stoły. Bar był zamknięty, a światła zgaszone, więc reflektory odległego doku kreśliły lśniące linie na podłodze.

Feniks stał przy ogromnym oknie wychodzącym na pierścienie Paradise. Chociaż mieszkał tu przez większość życia, rzadko bywał w miejscu, z którego rozpościerał się taki widok. Stąd, z wnętrza kompleksu budynków Gildii, można było oglądać wszystkie pierścienie stacji, obracające się na rozgwieżdżonym niebie, oraz stateczny taniec kapsuł, a także transportowców wlatujących i wylatujących z nich, szukających schronienia.

Zatrzymała się obok i stała tak przez chwilę, dzieląc z nim ten widok i milczenie. Potem powiedziała cicho:

- Bardzo za nią tęsknisz.

- Taak. To głupie, nie? - Odgarnął kosmyk włosów z czoła, a potem wbił ręce w kieszenie. - Znałem ją tylko kilka dni. Nigdy nie przypuszczałem, że tak mnie weźmie.

- Wiesz, że to było konieczne - przypomniała łagodnie.

- Taak. Wiem. - Westchnął. - Agresywni Ziemianie i wszystkie te bzdety. Trzeba było coś z tym zrobić.

Od wewnętrznego pierścienia oderwał się kosmolot. Jego światła manewrowe omiotły ciemne pomieszczenie.

- Powiedz mi, że ona jest tam szczęśliwsza.

- Ma guerańską naturę. Należy do nas. Może nie urodziła się na Guerze, ale po tym, co zrobili jej Shido, nie ma dla niej miejsca wśród Ziemian. Guera zaakceptuje ją taką, jaka jest. A teraz, kiedy Tridac sądzi, że ona nie żyje, nikt nie będzie jej ścigał. To da jej czas na pogodzenie się z tym, co się stało. A po pewnym czasie zrozumie, że na Guerze nie musi ukrywać swej prawdziwej natury.

- Mam wrażenie, że będzie jej tam ciężko - rzekł. - Wasz system *kaja* wydaje się dość skostniały. Chcę powiedzieć, że przecież nie będzie zmieniała wzoru na twarzy za każdym razem... kiedy... no, kiedy się zmienia. Prawda?

Zachichotała.

- Mój drogi chłopcze, nie ma takiego stanu ludzkiej duszy, z jakim na Guerze nie mielibyśmy do czynienia. Mamy *kaja* nawet dla takich jak ona. I specjalne zwyczaje.

Odwrócił się i spojrział na nią. Światła pozycyjne głównego doku rzucały kolorowe plamy na jego twarz.

- Dlaczego darowałeś jej życie? Znacznie łatwiej byłoby ją zabić. Jestem pewny, że inni woleliby takie rozwiązanie.

Sonondra Ra uśmiechnęła się.

- Nie rozumiesz nas, prawda? - Spojrzała na rozgwieżdżone niebo. - Niektórzy gildmistrzowie pragnęli jej śmierci. Dlatego ja darowałam jej życie. - Znowu cichutko zachichotała. - Wszystko nabierze sensu, kiedy dobrze nas poznasz. A kiedyś to nastąpi. - Zamilkła i przez chwilę tylko spoglądała na wszystko: na gwiazdy, stację, na niego. Potem zapytała: - Zastanowiłeś się nad moją propozycją?

Głęboko zaczerpnął tchu, czując się jak pływak mający zanurkować w bezdenną toń.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Czasem zatrudniam nie-Gueran. Z pewnością o tym wiesz. - Popatrzyła na niego i miał wrażenie, że w jej diamentowych oczach zabłysło rozbawienie. - Oczywiście, jeśli nie masz ochoty zmierzyć się z wyzwaniem, jakim są dla hakera systemy Gildii...

- Akurat! - odparł z szerokim uśmiechem. - Naprawdę chcę to zrobić, tylko dziwię się, że ty... mi ufasz. Outsiderowi i w ogóle.

- Ufam ci, drogi chłopcze? - Uśmiechnęła się. - Może nie? Natomiast, czy cię znam? Tak. Tak, myślę, że cię znam. - Położyła dłoń na jego ramieniu i delikatnie uścisnęła. - Chodź. Jesteś mi potrzebny. Delhi właśnie ściągnęła zespół specjalistów od kryptografii i podejrzewam, że coś szykuje. Chyba warto dowiedzieć się co, nie sądzisz?

Feniks skinął głową i jeszcze raz spojrzawszy na rozgwieżdżone niebo, poszedł z nią z powrotem na stację.